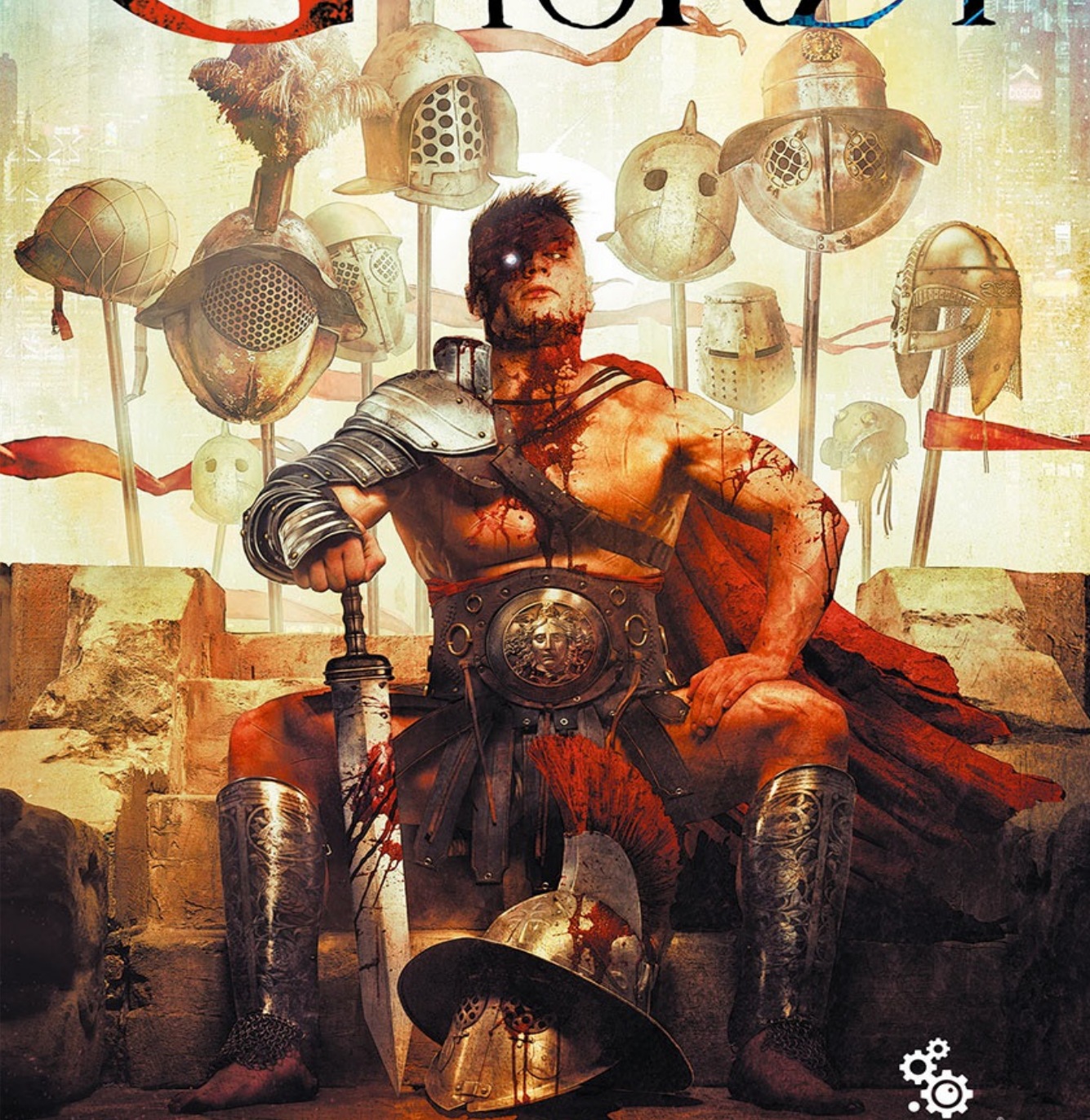


# ANTOLOGIA GLADIA TORZY



# Spis treści

Karta tytułowa

Tomasz Kołodziejczak • **Wszyscy dla jednego**

Magdalena Kozak • **Ostatni strzał strachu**

Magdalena Ratajczak • **Arena należy do was!**

Bartek Biedrzycki • **Stulti et circenses**

Eugeniusz Dębski • **Igrzyska Hańby**

Andrzej Pilipiuk • **Gładiator**

Michał Śmielak • **Ostatni**

Michał Gołkowski • **Sol Invictus**

Wojciech Kowalski • **Czempion**

Marcin Podlewski • **Colosseum Inferno**

Janusz Płonka • **Amulet**

Arkady Saulski • **Największy bohater**

Jarosław Grzędowicz • **Murmillo z końca świata**

Aleksandra Staniewska • **Zakład**

Michał Stanisław Śmietana • **Ostatni Rzymianie**

Krzysztof Abramowski • **O Lancę Andromedy**

Maja Lidia Kossakowska • **Na rozkaz cezara**

Hubert Olkowski • **Gniezno piękne jak dziś**

Wojciech Okrutny • **Cybernezis**

Alicja Janusz • **Na ubitej ziemi**

Michał Puchalski • **Hymn do Pierzastego Węża**

Karta redakcyjna

Okładka



# GLADIA • TORZY

---

Tomasz Kołodziejczak • Magdalena Kozak • Magdalena Ratajczak  
Bartek Biedrzycki • Eugeniusz Dębski • Andrzej Pilipiuk • Michał Śmielak  
Michał Gołkowski • Wojciech Kowalski • Marcin Podlewski  
Janusz Płonka • Arkady Saulski • Jarosław Grzędowicz  
Aleksandra Staniewska • Michał Stanisław Śmietana  
Krzysztof Abramowski • Maja Lidia Kossakowska  
Hubert Olkowski • Wojciech Okrutny  
Alicja Janusz • Michał Puchalski

---

ILUSTRACJE:  
ANDRZEJ ŁASKI  
PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI  
PAWEŁ ZARĘBA

**fabryka słów**<sup>®</sup>  
Lublin – Warszawa



TOMASZ  
KOŁODZIEJCZAK

---

WSZYSCY  
DLA JEDNEGO



Nudy. Nudy. Nudy.

Smród rozprutych trzewi lub woń odorantów rozpryskiwanych nad areną przez automaty. Ciała natarte oliwą, lśniące od potu i krwi. Trybuny oszalałe z radości, milczące we współprzeżywanej grozie lub znudzone brakiem trupów.

Rycerze w zbrojach zaprojektowanych przez fanów starych filmów. Mechy sterowane sprzęgowo przez bogaczy bezpiecznie siedzących na trybunach. Niewolnicy ucharakteryzowani na wrogów Imperium. Ludzie z wszczepami, z dodatkowymi narządami, z systemami nerwowymi wysterowanymi do walki. Bokserzy na ringu. Bezrozumni siłacze hodowani genetycznie, selekcyonowani w setkach śmiertelnych testów i doszkalani w wirtualach. Ochotnicy z trybun, dobrowolnie ryzykujący zdrowie, stabilność umysłu i życie dla pieniędzy, sławy i seksu. Obcy o chitynowych ciałach lub zbiorowych umysłach. Niewolnicy z Nubii i Sarmatii wypchnięci na arenę z kazamatów circus maximus, by odegrać krótką rolę w zaplanowanym przez innych przedstawieniu.

Dziś, pięćset lat temu i trzy tysiące. Choć inaczej, to jednak zawsze tak samo.

Walki gladiatorów to nudy.

Osobiście widziałem ich dziesiątki, a kolejne setki przeżyłem poprzez transfery z umysłów moich Ojców. A dzięki szczegółowym raportom spisywanym w łacinie i jeszcze dawniejszych językach poznałem też bardziej pierwotne zmagania, pojedynki ludzi uzbrojonych w trójzęby i sieci, topory z brązu i krzemienne siekierki, magiczne słowa i sploty przestrzeni.

Arena jest sceną śmierci i cierpienia, a trybuny dają widzom radość i podniecie, tworząc gęste pole mentalne ściągające Spaczonych niczym magnes żelazne opilki. Właśnie przy gladiatorских arenach ludzkości moi Ojcowie zasadzali się na potwory, tak jak pierwotni myśliwi czekali na zwierzęta przy wodopojach. Teraz czas na mnie.

Jestem Łowcą.



Udało mi się dostać całkiem niezłe bilety na walki, ledwie w czternastym rzędzie od poziomu kolistej areny, w sektorze VIP-owskim, z wygodnymi fotelami i indywidualizowanymi nakładkami rozrzeczy. Po założeniu okularów mogłem zrobić zbliżenie twarzy gladiatorów, by zobaczyć każdy grymas wściekłości czy strachu; dodać efekty dźwiękowe podkreślające przebieg pojedynku albo spojrzeć na walczących oczami widzów siedzących w innym punkcie trybun. Jednocześnie wciąż słyszałem i obserwowałem reakcje ludzi przebywających obok mnie. Radość, gdy ich idol zadawał celny cios. Rozpacz, gdy padał na żółty piach. Zachwyty, kiedy na arenę wstępowali wspaniali wojownicy. Obrzydzenie, gdy sprzątacze ściągali porąbane zwłoki.

Zwinałem wszystkie zmysły psychotroniczne. Po pierwsze, musiałem unikać ryzyka, choćby i niewielkiego, że zostanę namierzony i rozpoznany. Po drugie, i znacznie ważniejsze, pole psychiczne tak wielkiego i rozemocjonowanego tłumu mogło po prostu zniszczyć moją wewnętrzną sensorykę. Nie można patrzeć wprost w słońce, jeśli nie chce się stracić wzroku. A co dopiero mówić o zmysłach wychytujących fale emocji, drżenia dusz i cienie pamięci. Ładunek psychiczny generowany przez dziesiątki tysięcy zgromadzonych na stadionie widzów stanowił dla mnie zagrożenie.

Chwilowo więc skazany byłem na zawierzenie zwykłej ludzkiej percepcji. Obserwowałem, nasłuchiwałem, wahałem. Próbowałem zrozumieć, co się właściwie dzieje i jaka jest przyczyna zjawisk, które ściągnęły mnie na tę planetę.

Sanguis to niewielki, ale gęsty glob, krążący wokół gwiazdy typu G, z grawitacją ledwie o trzy procent niższą od standardu, własną biocenozą i obfitością surowców naturalnych. Nic dziwnego, że ponad trzysta lat temu, jeszcze przed wojnami unifikacyjnymi, uznano go za idealną planetę kolonizacyjną, poddano trwającej kilka dekad kosmetycznej terraformacji i zasiedlano już w trakcie tego procesu. Dziś należy do światów głównych ludzkiej ekumeny, ma ogromne wpływy polityczne i ekonomiczne, kontroluje wiele własnych kolonii.

W promieniu dziesięciu parseków znajduje się kilkadziesiąt innych zamieszkałych planet oraz kilka wędrownych wspólnot, a hiperprzestrzeń w tym obszarze Galaktyki jest bystra i umożliwia szybkie podróże. Nic dziwnego, że Sanguis rozwija się doskonale, jego mieszkańcy są zamożni, sami podróżują i przyjmują wielu gości, ściągających tu dla interesów, ale i podziwiania legalnych walk. Cały układ – bo oprócz Sanguisa zasiedlono tu także kilka innych planet i księżyców – zamieszkuje ponad dziewięć miliardów ludzi homo i do tego kilka milionów hibrida. Idealne miejsce na kryjówkę i żerowisko. Tu można niezauważenie i bezkarnie pasozytować, wcielać się i zabijać. O ile czyni się to ostrożnie.

Publiczność ożywiła się gwałtownie.

Zaczynał się kulminacyjny moment dzisiejszego przedstawienia. Indywidualne rozrzeczy każdego widza podkręciły transmisję, uatrakcyjniając rozrywkę stosownie do ceny biletu. Moje pokryły arenę ognistymi gejzerami. Z płomieni wyłaniali się wspaniale zbudowani gladiatorzy wszelkich płci. Prężyli lśniące ciała – zdawałoby się, patrzyli wprost na mnie, kusząc, zapraszając między siebie. Pod dachem teatru barwne smoki toczyły śmiertelny pojedynek, krwawiąc światłem, a przez trybuny przewalała się fala, gęste kłębowisko barw i kształtów, pokrywających widzów wielobarwną powłoką i tętniących wewnętrznym huraganem. Muzyka, synkopowy utwór na instrumenty, ludzkie szepty i szcęk broni, nadawała monumentalnym obrazom nerwowy, ale przejmujący charakter, sygnalizowała, że nadchodzi wydarzenie straszne i wspaniałe zarazem.

A potem wszystko zgasło i na arenie, na piasku znowu idealnie żółtym, jakby od dwóch godzin nie zalewała go prawdziwa krew, stanął on, mistrz. Gajon Starszy.

Walczył od ponad dwudziestu lat. Zaczynał na mikroskopijnych ringach w koloniach z księżyców gazowych olbrzymów. Potem przeniósł się na sceny na planetach peryferyjnych, by wreszcie zakwalifikować się do walk w mniejszych miastach Sanguisa. Pod grawitacją i w nieważkości, w podwodnych klatkach i koronosłonecznych batyskafach bitewnych. Na prywatnych, hipernowoczesnych scenach w rezydencjach miliarderów i na klasycznych, publicznie dostępnych arenach stolicy.

Zwyciężał. Nie zawsze i nie od początku. Kiedy jeszcze terminował i nie walczył na śmierć i życie, zdarzało mu się przegrać. Zbierał jednak doświadczenia, stawał przeciw coraz potężniejszym przeciwnikom i porażki przytrafiały mu się coraz rzadziej. A potem dostał zezwolenie na udział w pojedynkach najniebezpieczniejszych, ale i przynoszących największe pieniądze i zaszczyty.

Śmierć. Oto stawka.

Zawsze na wielkich otwartych arenach, tak by każdy mieszkaniec planety mógł kupić bilet i obejrzeć walkę na żywo, choćby z najtańszego rzędu, z nakładką o ograniczonym zasobie rozrzeczu. Prawdziwego doznania bowiem nie zastąpi choćby i najlepszej jakości transmisja czy nawet symulacja serwująca wrażenia wprost z mózgu gladiatora. Tylko stadion i tłum – zbiorowy wrzask, równoczesne poderwanie się z foteli, hymn gladiatora śpiewany przez tysiące gardeł – tylko wtedy w pełni czujesz, że jesteś częścią pojedynku, że prawdziwie przeżywasz kolejne starcia szalonego Gajona zwanego pieszczotliwie Starszym, bo mało kto doczekał takiego jak on stażu na śmiercionośnych arenach. Co rozsądniejsi wojownicy we właściwym momencie wycofywali się z zarobionymi pieniędzmi, najczęściej zostając trenerami kolejnych pokoleń gladiatorów. Nierozsądni ginęli.

Gajon wciąż walczył, zawzięcie i bez litości. I choć ruszał się już wolniej niż kiedyś i nader często wydawał się bez szans w starciu z młodszymi, sprawniejszymi i lepiej podrasowanymi przeciwnikami, jednak – wygrywał.

A publiczność go kochała, bo któż nie wielbi starego mistrza, który raz po raz udowadnia młodym pyszałkom, że umie ich złamać. Że hart, rutyna i doświadczenie pokonają sprawność i butę. Każdy z widzów chciał też wierzyć, że i on sam – niezależnie od wieku – wciąż niesie tę swoją jurność, beztroskę i potencjalną moc sprawczą i że wiele ma jeszcze świata do zademonstrowania i udowodnienia. To dla nich Gajon wygrywał kolejne walki.

Na dodatek zwykle zwyciężał w sposób, za który fani kochali go i nienawidzili.

Zazwyczaj tak właśnie jak teraz, w ostatniej chwili, gdy wydawało się, że nie ma już żadnych szans.

Dziś walczyło z nim trzech przeciwników, wojowników z dzikiej, ulicznej szkoły gladiatorskiej, którzy dostali zieloną kartę na ten turniej i pokonali po drodze innych pretendentów. Mieli potężne ramiona wzmocnione wszczepionymi w mięśnie cięgnami, wyhodowane nogi pozwalające bez problemu wykonywać dwudziestometrowe susy, wielkie głowy porośnięte dodatkowymi warstwami skóry chroniącej przed uszkodzeniami. Broń wybrali prostą, taką, jakiej używa ulica – łańcuchy, noże, długie pałki oraz unoszące się w powietrzu, sprzęgnięte z umysłami elipsoidalne bijaki.

Naprzeciw stanął samotnie Gajon, klasyczny i elegancki, w złotej polimerowej zbroi pokrywającej nagie ciało, z podbarwionymi na krwistą czerwień bliznami po poprzednich walkach. Był łysy, bardzo szczupły, na jego gładkiej skórze nie dało się dostrzec żadnych sztucznych ulepszeń i organicznych wrostów. Poruszał się krótkimi zrywami, wcale nie płynnie, można też było odnieść wrażenie, że lekko

powłóczy lewą nogą. Uzbrojony bez efekciarstwa, w miecz i małą kolistą tarczę, za broń towarzyszącą wybrał tym razem dwa nanoplastyczne ptaki, metamorfy sterowane myślami swego pana.

No więc Gajon bił się z tymi ulicznikami i jak w wielu ostatnich walkach – a występował jedynie dwa, trzy razy w roku – dał się otoczyć, zranić, zagonić w kąt areny. Raczej parował ciosy, niż sam atakował, uciekał przed uderzeniami, niż sam je zadawał, unikał zwarecia, niż pragnął zbliżenia. I kiedy już, już uznali, że go dopadli, gdy ich bijaki niemal rozłukły metamorfy na miazgę, gdy łańcuchy oplątały ramiona, a noże po raz pierwszy przebiły się przez złotą skórę Gajona, stary mistrz się przebudził.

Wyszarpnął się z niewoli, zatańczył na arenie szybciej niż przeciwnicy, odbił tarczą niezdarne uderzenie pałki, sam chlasnął bez wstrzymywania ramienia.

Cios. Cios. Cios. Przez kark, w brzuch, prosto w krtań.

Trzej uliczni wojownicy umarli, nim jeszcze padli na piasek.

Tłum szalał, a ja nasłuchiwałem szeptów z mroku.



Mój statek jest moim domem.

To nie znaczy, że nie dysponuję kilkunastoma siedzibami jawnymi i wielokroć większą liczbą tajnych – na dziesiątkach światów. Moi przodkowie inwestowali, a ja jeszcze pomnożyłem ich zyski. Mam zasoby pieniężne, kryjówki i stałe źródła dochodów. Rzesze finansistów zajmują się moim majątkiem, nie mając pojęcia, dla kogo pracują. Tabuny dyrektorów zarządzają mniejszymi i większymi przedsiębiorstwami, generując zyski, których wąski strumień poprzez skomplikowane sieci pośredników trafia do mojej dyspozycji.

Ale najlepsze pieniądze robię na handlu sztuką. Mam magazyn pełen oryginalnych dzieł stworzonych w ciągu ostatnich kilkuset lat, a także intrygujących artefaktów Obcych z wielu planet. Najcenniejsze obiekty pochodzą z Ziemi, nawet sprzed trzech mileniów. Ojcowie zadbali o inwestycje, a ja pilnuję, by moim następcom nie zabrakło ciekawych przedmiotów z dzisiejszych czasów. Tak naprawdę to nie muszą być nawet wybitne dzieła. Mogę się pomylić w ocenie i kupić wytwór artysty, który nie osiągnie wielkiej sławy za rok, pięć czy choćby i po śmierci. To nie ma znaczenia. Wiek nadaje wartości sztuce, za pięćset lat ów obiekt będzie wart majątek tylko dlatego, że jest stary i unikalny.

Czymże jest połowa milenium wobec naszej wiecznej warty?

Dysponuję wieloma luksusowymi rezydencjami, świetnie



wyposażonymi bazami wypadowymi, ale i skromnymi kryjówkami. Jednak jedynym miejscem, które uznaję za prawdziwy dom, jest mój statek, „Humajun”. Tu mam sprzęt i bazy danych, tu przechowuję najważniejsze artefakty z przeszłości, bojową magię, księgi rytuałów, pamięć moich Ojców. Czasem więzę Spaczonych. Bywa, że tu ich zabijam.

Formalnie to prywatny jacht. Luksusowy, nie na tyle jednak, by wzbudzać zainteresowanie innych turystów czy mediów zajmujących się kosmicznym karawaniem. Ma smukłą sylwetkę, jest wyposażony w najlepszej klasy sprzęt i sztuczną inteligencję najnowszej generacji. Chronią go moje anioły. Jeśli niezaproszony wejdiesz na pokład – statek cię pożre.

Nie zawsze nim podróżuję, szczególnie wtedy, gdy chcę przybyć na planetę nieoficjalnie lub pod fałszywą tożsamością. Mam kilka innych okrętów, korzystam też z transportu publicznego. Zwykle udaję wtedy kolekcjonera sztuki albo drobnego przedsiębiorcę. Jednak Sanguis to ludny świat, odwiedzany przez miliony turystów, więc bez wielkiego zachodu mogłem się tu wmieszać w tłum. Na dodatek w rozpracowywanej właśnie sprawie potrzebowałem potężnych mocy obliczeniowych i bezpiecznego dostępu do danych w sieciach zewnętrznych, a to zapewniały mi programy i błogosławieństwa nałożone na SI „Humajuna”.

Po obejrzeniu przedstawienia w miejskim cyrku zamówiłem taksówkę i kazałem zawieźć się na lądowisko. Tam czekał już prom, który w niewiele ponad kwadrans przewiózł mnie na orbitę. Nie spędziłem jednak na „Humajunie” wiele czasu. Załadowałem tylko nagrania z areny i spore pakiety danych pozyskanych z sieci przez programy szperające, w tym kluczową dla śledztwa pełną listę widzów dzisiejszego przedstawienia wraz z ich rejestrami medycznymi. Czuję, że dobrze namierzyłem Spaczonego na podstawie statystyk z poprzednich lat, ale chciałem zyskać ostateczne potwierdzenie.

Potem przebrałem się i ponownie ruszyłem na dół, na powierzchnię.

„Humajun” zatrzasnął właz za promem i orbitował na stacjonarnej, czarny cień w czarnym kosmosie, upstrzonym jedynie światłem gwiazd i reflektorów pozycyjnych. Wspaniała kosmolot. Eschatologiczny potwór. Mój dom.

Planeta pode mną rosła w iluminatorach jak żywa istota.



Przyjęcie było na tyle ekskluzywne, że pozwolić sobie na nie mogli

jedynie najzamożniejsi lub najlepiej ustosunkowani członkowie lokalnej elity. Na tyle jednak dostępne, że można było kupić na nie zaproszenie turystyczne, o ile oczywiście dysponowało się dostateczną kwotą. Formalnie zbierano tu datki na leczenie okaleczonych gladiatorów i na opłacenie szkolenia dla młodych i zdolnych kandydatów do tej profesji. Nieoficjalnie – omawiano sprawy bieżącej polityki, rozliczano się z nielegalnych zakładów związanych z pojedynkami i szukano partnerów seksualnych na najbliższą noc.

Wielką halę wypełniały ruchome platformy grawitujące wolno między podłogą a sufitem. Na każdej mieścił się okrągły stolik i kilka krzeseł, a przed wypadnięciem ochraniały srebrzyste poręcze, generujące też pole zagłuszające. Czasem platformy zbliżały się do siebie, a nawet łączyły na dłużej, tak że ludzie mogli spędzić czas w większym gronie albo przesiąść się od stolika do stolika.

Każda miała swoje oświetlenie i indywidualnie dobraną muzykę, resztę hali wypełniał mrok, rozpraszany czasem jakąś barwną, ale cichą eksplozją generowaną przez drony. Fale światła przecinały ciemność, układały się w różnokształtne wzory, pulsowały energią. Platformy zanurzały się w nich, jakby były połykane przez oceaniczne monstra. Sala miała kilkadziesiąt metrów wysokości; gdy człowiek znajdował się pod sufitem, nie był w stanie dostrzec, co dzieje się na poziomie podłogi, szczególnie że świetlne fajerwerki odcinały widoczność.

Na pozór towarzystwo wydawało się raczej jednorodne – pięknie wyglądający ludzie, młodzi lub w średnim wieku, w strojach ekstrawaganckich lub klasycznych, obnoszący się z ewentualnymi ulepszeniami dyskretnie, ale tak, by inni nie mieli wątpliwości co do jakości i wartości wszczepów. Jednak wprawne oko rozróżniłoby, kto z zebranych naprawdę ma dwadzieścia lat, a kto pozostaje w tym wieku już od kilku dekad. Kto zakłada kostium jako naturalny strój własnej gladiatorskiej subkultury, a kto kupił go w modnym butik. Czyje wszczepy wspierają prawdziwą walkę na arenie, a czyje po prostu zwiększają wydajność biznesową, seksualną czy sportową. Turystów dało się odróżnić nawet bez szczególnej obserwacji.

Początkowo te trzy grupy – gladiatorzy, lokalny establishment i obcoplanetarni – bawiły się w swoim własnym towarzystwie, wymieniając powitania czy rozmawiając o interesach. Jednak po pierwszej godzinie przyjęcia większość ważnych spraw została załatwiona, a walka na arenie – wstępnie omówiona. Wtedy rozdzielone dotąd klasy zaczęły się mieszać. Mistrzowie szkół przedstawiali młodych adeptów potencjalnym sponsorom. Goście spoza planety rozprawiali o interesach z lokalnymi biznesmenami. Pomiędzy wszystkimi zaś rozpoczęły się seksualne łowy, jawne i niewerbalne, otwarte i skryte, z nadzieją na zapłatę lub zwykłą namiętność.

Wykupiłem całą platformę, a ponieważ przybyłem na przyjęcie nieco spóźniony, był to ostatni moduł, który czekał na gościa. Nic dziwnego, że wzbudziłem zainteresowanie. Gdy mój stolik wzniósł się ku sufitowi, zauważyłem, że wiele innych platform przesuwa się w pobliżu na mojej wysokości lub nawet nieco powyżej. Obejrzano mnie dokładnie i bez wątpienia sprawdzono, kim jestem.

Oto, co powiedziały im sieciowe wszczepy: Paul Nerojan IV/III, prywatny socjolog i historyk z Galagati, badający współczesne wersje obyczajów przeniesionych z odległej przeszłości. Skupiony na nauce samotnik, często podróżuje, dużo czasu spędza w muzeach i dantotekach. Z dochodów ze swojej profesji raczej nie stać by go było na wykup udziału w tym przyjęciu. Więc albo jest bogaty z domu, albo ma jakieś inne źródła zarobkowania, albo jest tak ześwirowany na punkcie gladiatorów, że przepuścił tu cały swój majątek. Ogólnie – figura umiarkowanie ciekawa i warta uwagi.

Ja jednak przyglądałem się innym gościom bacznie, we wszystkich spektrach. Wyostrzyłem zmysły i ostrożnie wypuściłem kilka penetratorów mentalnych. Uruchomiłem nici sygnalizacyjne wplecione w tkaninę mojego garnituru. Rozgrzałem serce i kości. Szperałem delikatnie, na granicy czułości instrumentów – i sprzętu technicznego, i czujników eschatologicznych, i narządów w moim ciele.

Mogło być tu więcej Spaczonych. Musiałem ich wykryć, nim oni dostrzegą moją obecność.

Na razie jednak niczego nie wyczuwałem. Platformy krążyły po sali, drony kelnerskie dowoziły potrawy i napoje, towarzystwo zaczynało się bawić. Kilka razy spytano mnie o chęć dołączenia do większej grupy, z uśmiechem odpowiadałem, że mam plan na samotny wieczór w towarzystwie mojej SI. Wtedy zostawiano mnie w spokoju. Kilka atrakcyjnych kobiet wydawało się nawet zainteresowanych mną jako wieczornym łupem, ale nie wykonałem żadnego gestu w ich stronę. Przyuważył to młody gladiator, właściwie dopiero kandydat na wojownika, ubrany w kolorowy cywilny strój, który krojem przypominał jednak bojową zbroję. Bez wątpienia szukał sponsora. Przybliżył się dość nachalnie, jak na standardy obowiązujące na tego typu imprezach, ale odprawiłem go szybko. Umknął przestraszony, że złożę skargę.

Po kolejnej półgodzinie przyjęcia zauważyłem wśród gości poruszenie. Częściej odwracali się na fotelach i spoglądali w dół hali, rozmawiali z większym ożywieniem, preżyli się, poprawiali fryzury, dyskretnie podkręcali naskórne aplikacje. Chcieli wyglądać bardziej atrakcyjnie albo przynajmniej czuć się lepiej przed samym sobą.

Platformy powoli zaczęły się opuszczać, ustawiając w okręgach – najmniejszy na dole, wyżej coraz większe – tworząc swoistą arenę wokół

fragmentu spowitej w całkowitej ciemności podłogi. Wyciszyły się lokalne melodyjki, a potem we wszystkie uszy uderzyła potężna i groźna kompozycja symfoniczna, dokładnie ta sama, która kilka godzin wcześniej zapowiadała na arenie główną walkę wieczoru.

Wszyscy zaczęli klaskać, a na poziomie podłogi błysnęło światło. Zgasło zaraz, ale wszyscy dostrzegli stojącą samotnie sylwetkę człowieka.

Wreszcie wszystko rozjarzyło się złoto i ujrzeliśmy głównego gościa wieczoru, gladiatora Gajona Starszego. Podniósł ręce w geście triumfu i powitania, powoli obrócił się wokół, tak by wszyscy mogli zobaczyć jego twarz. Szczęśliwą, pewną siebie, zwycięską.

I ja mu się przyjrzałem. Okiem i sercem. Amuletem i orężem. Wołą, Czynem i Potęgą.

Tak, nie miałem już wątpliwości. Gajon Starszy, mistrz gladiatorski, był Spaczonym.

Kiedy późno w nocy wróciłem na pokład statku, SI wypłula nowe dane. Zmarł jeden spośród trzydziestu tysięcy widzów dzisiejszego przedstawienia. Kilkoro innych trafiło do szpitala lub zgłosiło problemy zdrowotne swoim sieciom opiekuńczym. W ostatnim tygodniu umarły też cztery osoby, które w przeszłości widziały osobiście choćby jedną walkę Gajona.

Statystyka działała i wskazywała tropy.



Moi Ojcowie mieli trudniej i łatwiej jednocześnie.

Musieli wydobywać informacje z legend i opowieści. Cedzić prawdziwe fakty o Spaczonych z bająn przerażonych starców, zabobonnych analfabetów czy niedouczonej mnichów. Czytać w stu językach, żywych i martwych. Podróżować po pierwotnych krainach, gdzie zagrażała im nie tylko potęga złych mocy, ale też zwykli ludzie, dzikie zwierzęta, nieokiełznana przyroda. Jednak nie musieli tak starannie maskować swoich działań i ukrywać zdolności. W tych starych, dobrych czasach mogli zabijać w bezpośrednim starciu i z niedostępną dla mnie łatwością zacierać ślady.

Mój przodek przyjeżdżał do małego miasteczka, podawał się za kupca lub wędrownego mnicha i bez problemu mógł wyprawiać się w interior, by polować na potwory. Zakładał szary mundur i szedł na pierwszą linię frontu, by w błotnistym okopie dorwać Spaczonego, ściągniętego na bitewne pole przez aurę codziennych, potysięcznych śmierci. Wynajmował kawalerkę w centrum metropolii, by z chaosu nocnego

życia, neonów, taksówek, prochów i szybkiego seksu wyłuskać istoty żerujące na miejskim ludzkim tłumie.

Jakże inaczej wygląda współczesne polowanie! Wprawdzie dysponuję dostępem do potężnych baz danych i mogę wychwycić naprawdę subtelne ślady obecności moich wrogów, pozostawiane w sieciach monitoringowych, różnego rodzaju rejestrach czy mediach. Lecz sam też muszę uważać po stokroć bardziej, bo i moje działania łatwiej można namierzyć i analizować. Na przykład moi Ojcowie bez problemu zmieniali tożsamość kilka razy w życiu, by ukryć przed współczesnymi fakt, że żyją wielokrotnie dłużej niż zwykli ludzie. Przemieszczali się po kontynentach, a jeśli chcieli wrócić w ten sam rejon świata, to czekali kilka dekad, aż powymierają pamiętający ich sąsiedzi. Ja – tropiony elektroniką i genetyką – będę musiał rozwiązać to zadanie inaczej.

Po pierwsze, oficjalnie poddam się różnego rodzaju zabiegom prolongacyjnym, dzięki czemu jeszcze przez najbliższe półtora stulecia będę mógł uchodzić za tego samego człowieka, utrzymującego się w świetnej kondycji dzięki dużym wydatkom na nowoczesną medycynę. Koło roku dwa tysiące siedemset pięćdziesiątego zaś przeniosę umysł w ciało młodego kłona. Dziś to jeszcze niedoskonała technika, ale przecież w zeszłym roku kupiłem instytut badawczy pracujący nad tym zagadnieniem i wiem, że postęp jest tylko kwestią czasu. W odpowiednim momencie zapozoruję zabieg transferu jaźni do nowego mózgu. To jedna z opcji. A może po prostu zmienię tożsamość i przeniosę się w jakiś zakątek odległy od centrum Galaktyki, by tam przeczekać kilkadziesiąt lat, zlegendować się i powrócić na światy główne jako przybysz z prowincji. Z tej metody korzystali i moi przodkowie, gubiąc tropy czy to w państwie Nowojorczyków, czy Chińczyków, czy w królestwach megalitycznych.

W trakcie Łowów też muszę być ostrożny: korzystać z fałszywych identyfikacji i kont; ciągnąć informację z legalnych baz i dopiero potem dokonywać jej nie do końca legalnej analizy; mordować, tworząc pozory naturalnych wypadków.

Na Sanguisa ściągnęły mnie wyniki długoterminowego, żmudnego zbierania danych i interpretacji wyników. To najlepszy sposób namierzenia celu w czasach, gdy ludzie zasiedlili tysiące planet w całej Drodze Mlecznej. Gdy poddali swoje ciała tak różnorodnym modyfikacjom biologicznym i technologicznym, że nie da się odróżnić człowieka od monstrum tylko po wyglądzie czy fizjologii. Gdy produkują miliony godzin fikcyjnych opowieści o potworach, więc na Łowy nie da się już iść tropem zrodzonych z ziarna prawdy ludowych legend. Gdy żyją w tak dużych społecznościach, że indywidualne zaburzenia wzorów zachowań są trudne do wychwycenia nawet doświadczonym okiem.



Gdy nie mogę wyczuć odoru Spaczenia na światach, od których dzielą mnie lata świetlne próżni.

Wtedy do gry wchodzi potężne SI mojego statku, nieustająco mielące w swych trzewiach dane spływające z całej dostępnej infosfery ludzkości. I innych cywilizacji też.

Oto, czego dowiedziałem się niemal trzy miesiące temu, niemal tuż po tym, jak zlikwidowałem sektę marionetkarzy. Na Sanguisie obserwujemy zaburzenie statystyki. Średnia długość życia ludzi ze światów na tym poziomie rozwoju techniczno-medycznego wynosi sto dwadzieścia trzy lata, cztery miesiące i pięć dni. Na Sanguisie jest to o niemal dwa tygodnie krócej, co jeszcze nie byłoby dziwne, bo przecież każdy średni wynik pochodzi z realnych pomiarów, które odchylają się od niego na plus lub na minus. Jednak kluczowe okazało się to, że ów ubytek średniej nie jest równomiernie rozłożony po całej populacji. Dla ponad dziewięćdziesięciu sześciu procent mieszkańców planety średnia jest zbliżona do wartości oczekiwanej, jedynie z drobną odchyłką. Wynik zaniżają widzowie gladiatorskich pojedynków, ale jedynie ci, którzy regularnie oglądają je na żywo.

Żyją krócej, niż powinni, a jedynym czynnikiem odróżniającym ich od pozostałych tubylców jest fakt, że choć raz na własne oczy obserwowali walkę Gajona Starszego.



Nie jest łatwo zbliżyć się do kogoś takiego jak Gajon Starszy, celebryta zawsze otoczony przez tłum dziennikarzy i wielbicieli.

Prymitywni Spaczeni zwykle żyją w mroku, na krawędzi cywilizowanych społeczeństw, na planetach w fazie zasiedlania, na multikulturowych i chaotycznych światach. Nie tyle po to, by ukryć się przed nami, Łowcami, ale raczej by samemu móc bezkarnie zaspokajać swoje potrzeby. Sprytniejsi i bardziej otwarci na nowe doznania udają się na globy odległe, czasem wręcz kontrolowane przez Obcych. Tam mogą działać niezauważenie i bezkarnie i sycić żądze niemal tak jak w dawnych czasach na Ziemi. Istnieją też potężni Spaczeni – świadomi swojej mocy, ale również mojego istnienia – którzy pozornie żyją w świetle dnia. Biznesmeni, artyści, filantropi, magnaci. Używają pieniędzy z klasą i dyskretnie, by utrzymać zapewniające bezpieczeństwo ważne pozycje społeczne i by móc bezkarnie nadużywać władzy, kiedy to jest możliwe. Są i inni, szalone duchy, bestie ontologiczne, kanibale własnej rasy, poszukiwacze obcych mocy, samorodni obrońcy klanów, pokutnicy chcący bezskutecznie zmazać

Spaczenie, założyciele nowych religii, pozeracze własnych umysłów. Tych nawet trochę lubię, kiedy są już martwi.

Wszyscy oni jednak w jakiś sposób starają się ukryć, zejść z linii strzału, nie eksponować swego istnienia. Na stałe przebywają w ciemnej strefie lub prowadzą oficjalne, niby-ludzkie życie, a w mrok, ten prawdziwy i mentalny, zstępują jedynie dla nasycenia swych pragnień i głodów. Ostrożnie i czujnie, bo wiedzą, a choćby się domyślają, że tam czekam na nich ja, z mieczami, pazurami, zabójczą krwią z mojego serca, złotą i srebrną żrenicą oczu. Ze służebnymi aniołami i miłością pokoleń Niewinnych. Z misją przyjętą przez Ojców, gdy świat pozostawał młody.

Tymczasem Gajon Starszy nie ukrywał się, wierząc w bezkarność zapewnioną przez anonimowość i rozproszenie ofiar. Cały czas pozostawał w świetle reflektorów i w blasku tysięcy spojrzeń, otoczony przez wielbicieli, kochanków, dziennikarzy, sponsorów. Nigdy samotnie nie spał, nie podróżował, nie bawił się. Bezpośredni krąg znajomych składał się z niewielkiego grona starannie wyselekcjonowanych osób, co nie znaczy, że nie korzystał z prostytutek, groupies i innych gladiatorów.

Mieszkał na osiemnastym pięttrze wspaniałego apartamentowca stojącego niemal w centrum Cor, stolicy Sanguisa. Osiemset metrów kwadratowych z multiptylnym basenem, lądowiskiem dronów, salą treningową z modulowaną grawitacją, z dwoma mniejszymi mieszkaniami dla służby i ochrony. Budynek dla sławnych i bogatych, tu nie wchodzi się z ulicy i nie kupuje mieszkań bez zaliczenia wieloetapowej weryfikacji. Podjąłem próbę penetracji. Sześć poziomów niżej we wciąż luksusowym, ale znacznie mniej spektakularnym apartamencie mieszkało Carlisso-Carlisso, wielopłciowe twórstwo żywych rzeźb. Jeszcze dekadę temu na szczycie, dziś wypadające z łask złąknionej nowości publiki. Hodowane przez Carlisso-Carlisso zwierzeźby wychodziły z mody, wpływy spadały, ale nawyk szastania gotówką nie zmieniał się.

Kupiłem dwie figury. Jedna przypominała psa bez tylnych nóg, kręcącego się non stop na odwłoku, kłapiącego dziwnie dużą szczęką, wydającego serie szczeknięć tworzących rytmiczną muzykę. Oczy zwierzeźby lśniły bursztynowo, zawsze wiernie wpatrzone we właściciela. Nie pachniała, nie wydalala, nie wymagała karmienia. Zasoby energii i surowców miała zapakowane do korpusu. Kiedy się skończą – umrze. Nie wyczułem w tym stworze żadnego śladu jaźni, to nie była żywa istota, tylko konstrukt biologiczny taką udający. Podobnie jak drugi twór Carlisso-Carlisso, motylopodobny latawiec wielkości dłoni, o pięknych, zmieniających wciąż barwy skrzydłach, swobodnie fruujący po wnętrzu rakiety i kreślący w powietrzu figury eleganckich układów. Kiedy przelatywał koło mojej głowy, czułem wiatr na

policzkach i chwytałem delikatny zapach, przyjemny, czasem kwiatowy, czasem bardziej owocowy, ze smugą czekolady, drewna i rdzy. Klienci kupowali motomotyle, by kontemplować właśnie te skrzydła, lot i wonie. Nie występowały dwa tak samo skomponowane modele.

Ten wytwór Carlisso-Carlisso nawet mi się podobał. Towarzyszył mi przez dwa kolejne dni, które poświęciłem analizie wciąż napływających danych.

Statystyka to doskonałe narzędzie do badania rzeczywistości, choć stojąca za nią matematyka wielu ludziom wydaje się zbyt trudna do ogarnięcia. Błędne pojmowanie konsekwencji statystyki sprowadziło na nieostrożnych lub po prostu głupich osobników mnóstwo nieszczęść – od utraty majątku w kasynie po przegrane międzygwiazdne wojny. Tu jednak sprawa była prosta.

Jeśli robisz dziesięć pomiarów jakiegoś parametru w skali od zera do dziesięciu każdy, to średnią osiem możesz otrzymać na wiele sposobów. Na przykład uzyskasz osiem wyników po dziesięć i dwa warte zero. Czyli większość badanych przypadków osiąga maksimum, ale nieliczne po prostu nie działają i nie dostarczają żadnej wartości. Średnią ósemkę da ci też równy rozkład: po pięć dziesiątek i szóstek. Czyli połowa zjawisk zachodzi szczytowo, a połowa znacznie poniżej, ale też równo. Taką samą średnią zapewni także po prostu dziesięć ósemek, co oznacza, że mierzone obiekty są dokładnie takie same.

W badanym przeze mnie przypadku zachodziły dwa pierwsze zjawiska. Ułamkowy procent widzów umierał w wieku znacznie poniżej, a nieco większy zauważalnie poniżej średniej. Jednak większa część widzów pozostawała w okolicy średniego oczekiwanego czasu życia, z lekką odchyłką w dół, ale nie w stopniu, który zwróciłby uwagę jakiegokolwiek instytucji zajmującej się badaniem zdrowia społeczeństwa Sanguisa.

Najciekawsze badawczo okazało się zawężenie skali. Weźmy przykład z dziesięcioma pomiarami wartymi osiem. Jeśli cztery z nich osiągnęłyby wartość trzynastie, to wystarczyłoby, żeby zasypać dziurę i złapać średnią dla całego pomiaru równą dziesięć. Jednak wśród widzów pojedynków niemal nie było ludzi, którzy żyliby znacząco powyżej średniej.

Taki właśnie komunikat wyrzuciły moje komputery kilka miesięcy temu: mieszkańcy układu Sanguisa żyją zbyt krótko. Kolejne przybliżenie: ci, którzy chodzą na walki gladiatorów. I następne: w szczególności dotyczy to fanów Gajona Starszego. Ktoś lub coś skraca im życie.

Właśnie dlatego tu przyleciałem.

Jako klient, miłośnik i sponsor Carlisso-Carlisso zostałem zaproszony na jedno z jego przyjęć, ale – pomimo że twórstwo powoływało się na

znajomość ze słynnym sąsiadem – gladiator się nie pojawił. Wprosiłem się jeszcze na dwie kolejne imprezy, ale również bez interesującego mnie efektu. Zrezygnowałem więc z tej ścieżki dostępu, przynajmniej na razie. Zwierzęży spaliłem w niszczarce. Nie cierpiały, bo nie zostały skonstruowane do odczuwania bólu. Choć podobno niektóre inne dzieła Carlisso-Carlisso miały wbudowaną taką opcję i cieszyły się wielkim powodzeniem.

Musiałem uzbroić się w cierpliwość. Może i Gajon Starszy żył w świetle dnia, ale jeśli był tym, czym myślałem, że jest – musiał czasem zstępować w cień.



Przez kolejny tydzień, gdy szukałem następnej okazji do zbliżenia, jeszcze raz prześledziłem wszystkie dostępne dane o karierze gladiatora i ponownie zagłębiłem się w jego życiorys. W ogólnie dostępnych mediach mnóstwo było informacji o początkach kariery. Zapisy walk, wypowiedzi fanów i przeciwników, opinie trenerów.

Jak zwykle najciekawsze okazało się to, czego zabrakło. Żadnych informacji o rodzinie, szkole, partnerkach z czasów młodości. Szczególnie to ostatnie zastanawiało. Za większością gwiazd ciągną się całe stada byłych kochanków, partnerów biznesowych albo po prostu, jak mówią o sobie, najlepszych kumpli ze szkolnej ławy. Za nieduże pieniądze albo i za friko, a jedynie z nadzieją na chwilową celebrycką sławę, opowiadają różne historyjki o przeszłości gwiazdy. Prawdziwe, tylko trochę prawdziwe lub zupełnie fejkowe.

Gajon pojawił się jakby znikąd, pierwsze ogólnodostępne nagrania pochodzą z gladiatorskiej szkoły na Manibusie. Pytany o wcześniejsze życie milczał albo stwierdzał, że to dla niego smutny temat i nie chce go zgłębiać.

Kiedy wdrapał się na szczyt, przeprowadzono kilka solidnych dziennikarskich śledztw. Nie rozstrzygnęły niczego, ale podprowadziły zainteresowaną publiczność do pewnej interpretacji, wprowadzając niepotwierdzonej ostatecznie, jednak na tyle prawdopodobnej, że uznano ją za prawdziwą. Miał mianowicie Gajon pochodzić z planety Karakorum, odległej od Sanguisa o sześćdziesiąt parseków. Był to glob bardzo aktywny geologicznie i wymagający intensywnej terraformacji. Niemniej kilkaset tysięcy ludzi szukało tam szansy na dostatnie życie i dobrą przyszłość.

Niestety, jakieś czterdzieści lat temu doszło do wielkiej katastrofy. Błędnie zdiagnozowano aktywność tektoniczną kontynentu, na którym

posadowiono kolonię. Nagłe przełamanie płyt litosferycznych zatopiło oceanem lawy centralne miasto i kosmoport. Powierzchnię niemal połowy planety na kilka sekund pokrył kożuch przegrzanej pary wodnej, gotując wszystkie żywe stworzenia. Uratowało się niewielu mieszkańców – szczęściarzy, którzy akurat przebywali w szczelnych pomieszczeniach lub właśnie szykowali się do podróży na orbitę. Wśród nich miał się znajdować ośmioletni wówczas Gajon. Przez kilka lat tułał się pomiędzy światami, by w końcu trafić do układu Sanguisa i wstąpić do jednej z gladiatorских szkół. Ten fakt potwierdzały już zapisy w prawdziwych rejestrach.

Karakorum też stanowiło trop. Spaczeni szukali takich okazji do budowania fałszywych tożsamości. W ciągu ostatniej dekady zabiłem kilku podających się oficjalnie za ocalałych z tamtej katastrofy.

Paru innym, mniej groźnym, na razie odpuściłem, bo nie chciałem, aby jakiś wprawny poszukiwacz sensacji odkrył, że istnieje tu jakaś koincydencja i że dziwna klątwa ściga uratowanych kolonistów. Nawet jeśli większość zabójstw upozorowałem na zwykłe wypadki.

Tak naprawdę nigdzie w infonecie nie pojawiły się dowody ostatecznie potwierdzające pochodzenie Gajona, niemniej większość fanów żyła w przeświadczeniu, że zna jego przeszłość. Legendowanie przeprowadzono sprawnie i z kunsztem – Spaczeni też wiele się nauczyli przez minione stulecia funkcjonowania w kosmosie informacyjnym.

Kariera Gajona rozwijała się powoli, ale konsekwentnie, od tanich walk bez zagrożenia życia w małych amfiteatrach na rubieżach układu po śmiertelne pojedynki na głównych arenach stolicy. Wszystko to miałem doskonale udokumentowane, opatrzone komentarzami fachowców i opiniami fanów. Przeważał pogląd, że Gajon nie dysponował wrodzonymi warunkami, aby zostać mistrzem. Nawet w najlepszym dla gladiatora wieku dwudziestu pięciu, trzydziestu lat nie zachwycał szczególną siłą czy szybkością. Jednak pokonywał przeciwników, z którymi powinien był przegrać, gdyby rozpatrywać wyłącznie mierzalne parametry. Miał intuicję, precyzję, sporo szczęścia i niezłą technikę. A że publiczność lubi nieoczekiwanych zwycięzców, jego sława rosła. Supergwiazdą stał się jednak dopiero po przekroczeniu czterdziestki.

Był najstarszym gladiatorem walczącym na dużych arenach. Co roku stawało przeciw niemu dwóch, trzech pretendentów – zwycięzców wielu walk, młodych, silnych, świetnie wyszkolonych, zdeterminowanych. A on wciąż ich zabijał, po pojedynkach, w których jego samego od śmierci dzielił często jeden fartownie odbity cios.

Oglądałem te starcia wielokrotnie, szczerze podziwiając kunszt gladiatora. Wszystko wyglądało bardzo naturalnie. Gajon przegrywał,



dawał się zapędzić w kozi róg, nawet zranić, by w najmniej oczekiwanym momencie odrodzić się: przełamać atak przeciwników, uchylić się przed, wydawałoby się, śmiertelnym uderzeniem, samemu zadać ostateczne pchnięcie ryzykownym wypadem. Na żadnym zbliżeniu nie dostrzegłem – w jego gestach, minach, ruchu warg – momentu, w którym korzysta z Woli.

Nie zużywałem czasu tylko na analizy. Korzystając ze znajomości nawiązanych u Carlisso-Carlisso, poznawałem nowych ludzi i miejsca. Zaliczyłem kilka nudnych przyjęć, dwa wernisaże marnej sztuki, jedną randkę ze średnio atrakcyjną kobietą oraz całkiem smaczną kolację w barze, do którego Gajon chadzał, zanim jeszcze stał się sławny.

Z drobnych informacji, złośliwych plotek i mocno subiektywnych opinii starałem się wydobyć wszelkie fakty, które mogły mi pomóc w zastawieniu pułapki na Spaczonogo. Był groźnym przeciwnikiem, a na dodatek nie mogłem zostawić po sobie żadnych śladów. Więc działałem ostrożnie i nieśpiesznie. Ot, zamożny turysta, który chce się zabawić w czasie urlopu, więc poznawszy członków lokalnej elity, wkręca się na kilka imprez.

Wieczory gladiatorские na wielkiej arenie odbywały się rzadko, zwykle dwa razy miesiącu. Ponieważ zaś oficjalnym powodem mojej wizyty na Sanguisie była chęć oglądania walk, wyprawilem się do Pes, a potem do Oculus. To mniejsze miasta, położone kilkaset kilometrów od stolicy. Tam obejrzałem pojedynki na lokalnych scenach. Nie zobaczyłem ani nie wyczułem nic niepokojącego, poza tym prostym faktem oczywiście, że zwykli ludzie kupowali bilety, by oglądać mordowanie innych ludzi. Wybrałem się też na turniej młodych gladiatorów, gdzie nie walczone jeszcze na śmierć i życie. Pojedynki były emocjonujące, publiczności całkiem sporo, ale panowała tu znacznie spokojniejsza atmosfera. Widzowie kibicowali dorastającym wojownikom, przyglądając się im uważnie i próbując przewidzieć, jak potoczy się ich dalsza kariera. Inwestorzy.

Na Sanguisie funkcjonowała giełda gladiatorская, coś więcej niż zwykle zakłady bukmacherskie. Można było obstawiać młodych zawodników, wspierając finansowo ich szkolenie, biotechnologiczne przekształcenia i wydatki promocyjne. Kibice stawali się udziałowcami późniejszych sukcesów wojownika, czerpali dochody z wpływów z biletów, emisji sieciowych i kontraktów reklamowych. Oczywiście, jeśli nie osiągnął odpowiedniej popularności lub ginął zbyt młodo, mogli stracić pieniądze.



W dawnych czasach nazywano ich wampirami, zmorami, strzygami. Mówiono, że wysysają krew, dusze i umysły. Że atakują zarówno śpiących, jak i czuwających. Że zwykle polują w lasach i na bagnach, ale zakradają się też do domów. Że szczególnie lubią niewinne dzieci i rozwiązłe kobiety. Mają kły albo podwójny szereg zębów. Istnieją bez duszy lub z wieloma.

Cóż, w dawnych legendarzach ludzie mylili Spaczonych, mieszały ich cechy, dopisywali własne wyobrażenia. Trudno im się dziwić – niewielu przeżywało bliskie spotkanie z potworami, by przekazać prawdziwe informacje pobratymcom. A i my sialiśmy dezinformację.

Gajon najprawdopodobniej należał do klanu, który w folderach Ojców funkcjonował pod nazwą „życiopijcy”. Wysysali z ludzi istnienie, by zamienić je na własne. Nie byli nieśmiertelni, starzeli się i w końcu umierali, ale zasilani człowieczą *vita navitas* mogli przetrwać nawet kilka stuleci.

W ciemnych wiekach funkcjonowali w niedużych wspólnotach – w puszczech i dżunglach, na stepach i w dorzeczeniach, na brzegach mórz i w głębi lądów. Gdy już nasycili się życiem mieszkających w pobliżu hominidów, przenosili się na inne tereny łowne. Później odkryli, że warto przyłączyć się do wędrownych ludzkich hord, bo to zostawia mniej śladów żerowania. Rozpraszali się pomiędzy plemionami, aż wreszcie odkryli miasta jako niemal niewyczerpane źródła, które właściwie eksploatowane mogą dostarczać energii przez stulecia. Ale popełniali też błędy, zbyt wyzyskiwali ludność, doprowadzali do nagłego wyludnienia i upadku prężnych ośrodków, jak Göbekli Tepe, Oxkintok czy Biskupin.

Tam, gdzie sprawowali władzę, organizowali rytuały, w czasie których młode dziewczęta i młodzi chłopcy starzeli się gwałtownie, aż do śmierci. Tam, gdzie trwali w ukryciu, polowali na samotnych podróżnych i żyjących na uboczu osadników. Ludzie z pradawnych epok, eonów szybkiego umierania, stuleci bez nauki i rejestrów personalnych – o ile w ogóle natrafili na truchła ofiar – uważali to za zemstę bogów, atak demona albo wręcz naturalne zjawisko. Wszak i oni żyli wtedy po trzydzieści lat, a pięćdziesięcioletni osobnik wydawał im się starcem, wysłannikiem odległej przeszłości. Czasem sami próbowali naśladować Spaczonych, tworząc mroczne kultury lub zmieniając się w kanibali.

Jednak i życiopijcy ginęli. Dawni ludzie rozumieli, że na świecie istnieją zjawiska i istoty naprawdę groźne, choć niemożliwe do zobaczenia nieuzbrojonym okiem. Czasem orientowali się, że wśród nich mieszkają potwory. Bronili się więc, zabijali je lub choćby przeganiali, przy okazji mordując wielu niewinnie posądzonych współbraci.

Na życiopicjów polowali i moi Ojcowie, już w tych pradawnych czasach, z których mam jedynie zapisy na kamiennych płytkach i znaki na kościach. Im bliżej współczesności, tym więcej było dostępnych informacji i tym sprawniej potrafiliśmy ten klan namierzyć i eksterminować.

Wybiliśmy ich niemal do szczętu. Przetrwali ci, którzy zmienili taktykę, wmieszali się w tłum rodzącej się cywilizacji. Jako właściciel tysięcy niewolników, w tym rozplodowych kobiet, możesz uprawiać nie tylko dostarczane Rzymowi zboże, ale i ludzki pokarm dla siebie i swojego klanu. Gdy zostaniesz wodzem koczowniczej hordy przemierzającej pół kontynentu, będziesz bezkarnie wysysać życie z mieszkańców podbijanych miast, bo któż zauważy gwałtownie postarzałych ludzi w połodze i rzezi. Jeśli stoisz na szczycie kamiennej piramidy jako kapłan okrutnej religii, możesz tuż przed wyrwaniem serca ofierze wyssać jej energię, zostawiając tylko tę odrobinę potrzebną do podtrzymania bicia mięśnia unoszonego w zakrwawionej dłoni.

Polowaliśmy i na nich, podążając tropem legend, faktów i rysunków na ścianach świątyń. Więc uczyli się i ewoluowali nadal, rozproszyli się po ziemskim mrowisku i chaosie wieków nowożytnych, a potem wyruszyli w kosmos.

Gajon należał do nowej odmiany. Zyskiwał siły nie poprzez całkowite wyssanie jednej ofiary i doprowadzenie do jej natychmiastowego starzenia i śmierci. Nie potrzebował krwi ani mięsa, nie musiał swego karmiciela widzieć, wysłuchać czy poznać – jak bywało w dawnych czasach. Kradł krótkie odcinki życia. Minuty, godziny, czasem dni, tyle że od tysięcy ludzi naraz. Wystarczyło, że obdarzali go potężnymi emocjami i byli w miarę blisko, jak na stadionie, w czasie walki.

Jednak dla niektórych odebranie tych godzin czy dni okazywało się skróceniem całego życia, jakie im jeszcze zostało. Przyspieszało choroby. Czasem zabijało.

To przystosowanie mogło dać Spaczonemu spokój i bezpieczeństwo. Gdyby korzystał z niego rozsądnie, po prostu strzygłby ludzi jak trawniki albo owce. Nie mordowałby ich w jednorazowym akcie przemocy, tylko uśmiercał powoli, niezauważenie, tak jak zabijają przewlekłe choroby, zanieczyszczenie środowiska czy złe nałogi.

Gajon jednak używał swoich mocy w czasie walki na arenie. W kryzysowych momentach pojedynku, gdy jego własne życie mogło się skończyć, po prostu ciągnął je od publiczności. Dzięki temu potrafił przetrwać sytuacje, w których inni już by polegli. Odzyskać siły, zejść z linii ciosu, nie odnieść rany po mocnym trafieniu, fartownie uderzyć samemu. To nie był prosty transfer zdrowia wpływający na stan organizmu Spaczonego, leczący rany czy przyspieszający przepływ impulsów nerwowych. To przesył samej idei życia, wpływający na

probabilistykę i ciągi przyczynowo-skutkowe.

Unikał śmierci w ostatniej chwili, nieprawdopodobnie i cudownie, jak sądziło wielu. W pewnym sensie mieli rację.

Teraz musiałem potwierdzić jeszcze jedną kwestię.

Gladiator w czasie pojedynków odbierał części życia ogromnej liczbie osób. Jednak sam od razu spalał większość pozyskanej energii – na ochronę swojego istnienia po prostu. Nie wiedziałem, czy to, co mu zostaje, wystarcza na kolejne miesiące, na okres pomiędzy walkami. Czy Gajon dokarmia się w międzyczasie, kradnąc energię ludzi, z którymi się spotyka?

SI mojego statku przewaliła terabity danych, badając śmiertelność na całej planecie, porównując zapadalność na groźne choroby w różnych regionach, mierząc umieralność dzieci. I statystykę poronień, bo kto powiedział, że Spaczony zabija tylko narodzonych. Nałożyłem to na siatkę adresów Gajona, tras jego tournée, wyjazdów relaksacyjnych, ulubionych knajp.

Nie otrzymałem klarownych wyników, odchyłki mieściły się w granicach błędu. Dało się jednak zauważyć pewne korelacje. Na przykład w młodości gladiator przez niemal dwa lata uczył się i walczył na arenach miasta Katarelbita i wtedy promilowo wzrosła tam śmiertelność. Ale mogła to być koincydencja zupełnie przypadkowa, a i nie udało mi się dotrzeć do wielu archiwalnych danych, które mogłyby ewentualnie połączyć przypadki śmierci konkretnych ludzi z informacją, czy oglądali wówczas pojedynki Gajona na żywo.

Inny trop, który próbowałem zgłębić dokładniej, to losy turystów, którzy spędzali na Sanguisie więcej niż parę tygodni albo wracali wielokrotnie, by obejrzeć kilka pojedynków mistrza. Brakowało mi tu danych, bo nie miałem dostępu do wielu lokalnych sieci planetarnych. Jednak ponieważ utrzymuję swoje centra analityczne w dużych i ludnych systemach, przynajmniej z nich mogłem ściągnąć informacje szyfrowanymi kanałami. Pierwsze wyniki wydawały się obiecujące, o ile mogę użyć tego słowa dla określenia faktu, że średnia długość życia fanów była nieco niższa niż średnia dla ludzi o podobnym profilu biologicznym. Niestety, dysponowałem wciąż zbyt małą próbką, by te wyniki dawały klarowny obraz statystyczny. Mogłem więc założyć, że Gajon nie koncentruje się na obcokrajowcach, odbiera części życia losowo, a ponieważ lokalsi częściej bywają na jego pojedynkach, to i oni bardziej na tym cierpią.

W archiwach medialnych samego Sanguisa nie znalazłem również żadnych wzmianek o ludziach zabitych przez życiopicjów tradycyjnym sposobem – o gwałtownie postarzałych dzieciach, o osobnikach w sile wieku powalanych przez nagłe objawy geriatryczne, o innych niewytłumaczalnych śmierciach. To nie znaczy, że mieszkańcy planety

nie zapadali na różne straszne choroby i że nie zdarzały się tu przypadki, których lekarze nie umieli wyjaśnić. Jednak nie odbiegało to od statystyk z innych miejsc, więc nic nie wskazywało na działania sił innych niż naturalne, a w szczególności na wzmożoną aktywność życiopijców.

Utknąłem.

Spaczeni często kryją się na światach nieprzejrzyistych. Zamieszkują planety ograniczone technologicznie, kolonie pogrążone w chaosie, cywilizacje wojenne. W takich miejscach łatwiej im trwać i wykorzystywać moce. Polować na ludzi, odprawiać rytuały, odbudowywać własną populację. Lecz wybór taki niesie też konsekwencję groźną dla nich samych. Na prymitywnych i chaotycznych planetach ja również mogę łatwiej działać. Zbudować fałszywą tożsamość, wmieszać się w tłum, zacierać ślady.

To samo można powiedzieć o bardzo rozwiniętych technologicznie koloniach, w których jednak obowiązują przepisy ułatwiające ukrywanie tożsamości, a systemy informatyczne – tak rządowe, jak i komercyjne – nie śledzą obywateli. Ograniczają inwigilację, zacierają ślady sieciowej aktywności, nie korzystają z kamer na ulicach i policyjnych dronów. Tam również Spaczeni łatwiej mogą zniknąć, ale i ja działam stosunkowo bezpiecznie.

Najtrudniej prowadzić śledztwo na planetach takich jak Sanguis, gdzie niemal każda aktywność – zakupy, rozrywka sieciowa, wynajem pojazdu – zostawia ślad. Tu muszę być szczególnie ostrożny. Zwykle na takich właśnie światach żyją najtrudniejsi do złapania Spaczeni, władający specyficznymi mocami, pozwalającymi wyzyskiwać ludzi niezauważalnie i dyskretnie.

We wstępnym etapie śledztwa nigdy nie używam Woli, nie sięgamy po Czyny i nie przywołuję Potęg. Staram się dotrzeć do celu metodami konwencjonalnymi, badając fakty, namierzając wrogów, prowadząc rozmowy, przeczesując sieci. Moce uruchamiam, gdy nie mam już innej możliwości.

Każde ich użycie zbliża mnie bowiem do Spaczenia. Do stanu, z którego wydobył się przed eonami pierwszy Ojciec, gdy dokonał wyboru determinującego życie przyszłych pokoleń Łowców.

To nie znaczy, że na skutek krótkiego wejścia za Kurtynę Maniego od razu się zapadnę – zmienię w potwora i stanę się podobny do tych, na których poluję. Wypicie butelki wódki nie czyni człowieka alkoholikiem. Ale czyni go pijanym, a pijani ludzie częściej robią złe rzeczy niż trzeźwi. No i jeszcze jedno – każdy alkoholik wypił kiedyś swoją pierwszą butelkę wódki.

Anioły też przywołuję tylko wtedy, gdy uznaję to za niezbędne. Są moimi przodkami, zmysłami, narzędziami, braćmi, organami,



potomkami, myślami, duszą. Wrosły z zewnątrz, choć przecież dojrzewały wraz ze mną od chwili poczęcia. Są młode, mimo że pamiętają pierwszych Ojców. Potrafią mnie opuścić, ale są jednocześnie mną.

Gdy spotkam Niewinną, oddam je swojemu synowi, a on swojemu, i tak będziemy dalej trwać razem przez eony.

Muszę uwzględnić także pewien aspekt praktyczny. Wielu Spaczonych dysponuje zmysłami wyczulonymi na przepływ sił psychotronicznych. I niemal wszyscy wiedzą, że są obiektem Łowów. Więc jeśli zacznę nadużywać Woli, mogą mnie wyczuć – przez przypadek albo dlatego, że popełnię choćby drobny błąd. A jeśli mnie namierzą, to spróbują uciec, zacierając ślady. Umkną, by krzywdzić i zabijać gdzie indziej, a ja zmarnuję czas i zasoby. To moja klęska.

Zdarza się też – gdy Spaczeni są silni, butni lub niedouczeni – że sami próbują zaatakować. Czasami to korzystne rozwiązanie, bo potwory ujawniają się i mogę się z nimi rozprawić. Ale bywa i groźne. Znam na pamięć imiona dziesiątek Ojców, którzy zginęli w walce. Żarzą się w moim umyśle jak krople stopionej stali, karmiąc się potężną mocą, lecz i śląc przestrozę.

A przecież nie odnalazłem jeszcze swojej Niewinnej. Nie mam potomka. Jeśli zginę – moja linia zgaśnie, jak zgasło wiele innych linii naszego klanu.

Od momentu przybycia na Sanguisa ani razu nie użyłem jeszcze Woli, bo najpierw musiałem mieć pewność, przeciwko komu występuję. Jak duża jest jego siła? Czy zdołam obronić się przed wyssaniem mojego życia, gdy zaatakuję? I wreszcie – czy Gajon to jedyny życiopijca na tej planecie?

Oto mój kolejny dylemat: im dłużej badam sprawę i czekam z zabiciem Spaczonego, licząc, że pojawią się inni – tym większej liczbie osób on wydlubie okruchy życia. Czas przeznaczony na śledztwo, przygotowania i zastawienie pułapki na bestię mierzyć muszę godzinami choroby, cierpienia i rozpaczony jej ofiar. Tego wyboru zawsze muszę dokonać sam.



Okazja pojawiła się niespodziewanie. Oto na jednym z raucików dowiedziałem się, że Gajon zamierza wyrwać się ze stolicy i na kilka tygodni przenieść do prywatnej rezydencji w Magnoris. To dziki i niemal niezamieszany teren na wschodzie kontynentu, gdzie pasmo Gór Szpicowych ciągnie się równoległe do wybrzeża na dystansie kilkuset

kilometrów. Na tyle mało tam wolnej przestrzeni, że nie rozwinęła się masowa turystyka. Jednak kilka fiordów i krótkich kawałków płaskiego lądu stanowiło doskonałe miejsce do posadowienia nielicznych, bardzo drogich hoteli i całkiem sporej liczby prywatnych rezydencji. Najbogatsi mieszkańcy Sanguisa szukali w Magnoris odosobnienia. Miejsca, w którym mogli skryć się przed mediami czy też załatwić mniej oficjalne interesy. Albo po prostu odpocząć, w samotności i otoczeniu pięknej, acz surowej przyrody.

Gajon zabierał ze sobą tylko dwóch służących, wynajętych z firmy, z której usług korzystał przy takich okazjach. Jak to ujął plotkujący na ten temat znajomy, gladiator planował „sycić się życiem”. Nie miał pojęcia, jak blisko był prawdy. Jednak Gajon nie planował całkowitego odosobnienia – podobno w willi odwiedzali go znajomi, partnerzy biznesowi, a czasem i fani, którzy za spędzenie kilku dni w bezpośredniej bliskości mistrza musieli zapłacić małą fortunę.

Oczywiście, sprawdziłem tę ostatnią możliwość. Niestety, wszystkie terminy były już zarezerwowane – na ile zdołałem się zorientować – przez zamożnych grupies wielu płci, którzy mieli nadzieję, że nie tylko zdołają popodglądać prywatne życie i zamknięte treningi mistrza, ale też go przelecać. Albo sami zostaną przelecceni, aż tak szczegółowych informacji to już nie uzyskałem.

Sprawdziłem więc i inne opcje. Willa Gajona stała na półce skalnej wyciętej w ścianie fiordu, krótkiego, bo wrzynającego się w ląd ledwie na dwa kilometry, i stosunkowo szerokiego. Na upartego można by go po prostu nazwać zatoką. To był prywatny akwen należący do gladiatora i właścicieli czterech innych rezydencji. Przejrzałem zapisy prawne – ograniczały dalsze budownictwo i zakazywały prowadzenia komercyjnej działalności turystycznej. Ale wille bywały wynajmowane bliższym lub dalszym znajomym gospodarzy. Formalnie bez opłat. Któż jednak zabroni odwdzięczyć się drobną przysługą?

Właścicielem jednej z tych rezydencji był niejaki Havarian, gwiazdor spektakli rozszerzu o lekko spadających notowaniach. Podobnie jak Carlisso-Carlisso wydawał za dużo w stosunku do tego, co zarabiał. Na utrzymanie drogiej willi już nie było go stać. Szukał więc kupca, dyskretnie oczywiście, bo gdyby serwisy plotkarskie zwierzyły okazję, nie wypuściłyby aktora z zawsze głodnych sensacji pysków. Nie znałem Havariana osobiście, ale spędziłem kiedyś wieczór w towarzystwie jego dobrego znajomego Koonagina Dextera, producenta sieciowych alterlajfów. Zadbalem o ponowne spotkanie w niezobowiązujących okolicznościach. W swobodnej rozmowie zasugerowałem, że wiele słyszałem o pięknie Magnoris i chętnie spędziłbym tam kilka dni, by wypocząć i – kto wie – rozejrzeć się za jakąś dostępną do zakupu siedzibą. Oczywiście ze świadomością, że nabycie jakiegokolwiek

nieruchomości w okolicy nie jest łatwe i zapewne okaże się bardzo kosztowne.

Wiadomość szybko dotarła gdzie trzeba i równie szybko zostałem sprawdzony na tyle dokładnie, na ile byli w stanie. Havarian skontaktował się ze mną już następnego dnia, poinformował, że nasz wspólny przyjaciel Koonagin spędzi u niego najbliższych kilka dni, a ponieważ słyszał o moim zainteresowaniu okolicą, zaprasza i mnie. Jako egzotycznego gościa, który może opowiedzieć różne ciekawe rzeczy o podróżowaniu i życiu na Galagati. W tej pierwszej rozmowie nie padło ani słowo na temat transakcji, rzecz jasna.

Udało się osiągnąć cel, ale przygotowanie do wyprawy wcale nie było proste. Do Magnoris latały tylko prywatne śmigły należące do właścicieli domów lub ich gości. Havarian oczywiście zaproponował transport, co oficjalnie przyjąłem z wdzięcznością. Musiałem jednak spakować się bardzo uważnie, ładując do dwóch walizek wszystkie stroje i gadzety potrzebne do codziennego życia – a do ozdobnego kufra najniezbędniejszy sprzęt, bez którego nie mógłbym ruszyć na Łowy. Zwykle unikałem takich sytuacji, starałem się operować z własnej bazy, która zapewniała pełny dostęp do SI, artefaktów i broni. Tym razem jednak nie miałem innego wyjścia.

Zapakowałem do śmigła dwie wielkie, wyładowane ciuchami walizki. Nie zapomniałem o butelce najdroższej na Sanguisie brandy i paczce równie kosztownych suszonych flamdrów, niezwykłych zakąsek, specjału z Galagati, planety, z której oficjalnie tu przyleciałem. W trzeciej walizce, zabezpieczonej wewnętrznymi polami mocy, by nic ze środka nie wypełzło na świat, znajdowała się mała skrzynka, opatrzona jeszcze potężniejszymi obronnymi tuzfalami. W niej wiozłem rękawicę, okulary i kilka hartowanych amuletów, których potrzebowałem do Łowów.

Anioły w moim sercu zadygotały, gdy wziąłem do ręki te święte przedmioty.

A kilka godzin później siedziałem – wraz z samym Havarianem i kilkoma innymi gośćmi – w pojeździe, który wiozł nas nad falującym bezkresem sanguisańskiego oceanu. Wysokie na kilkanaście metrów fale podnosiły się bardzo powoli i równie długo utrzymywały w górze, nie załamując się ani nie rozpryskując. Lśniły w południowym świetle gęstą burgundzką czerwienią.

Oceany planety pokryte były kilkumetrowej grubości kożuchem fungiflory, galaretowatej warstwy mikroorganizmów i bardziej złożonych stworzeń, nadającej wodzie lepkość i czerwoną barwę.

To dlatego pierwsi kolonizatorzy nazwali ten świat Sanguis – Krew.

Wczesnym popołudniem, po wypiciu na pokładzie kilku doskonałych drinków i zjedzeniu niezbyt dobrego lanczu, zobaczyłem fiord. W oddali

na niemal pionowej szarobrązowej ścianie bielila się bryła willi Havariana, a po drugiej stronie zatoki – równie jasny dom Gajona. Zaczynałem Łowy.



Przygotowania zacząłem tuż po przyjeździe. Najpierw musiałem zbudować bezpieczną przestrzeń dla swoich działań. Przydzielono mi dwupokojowy apartament na piętrze, z dużą łazienką i tarasem oddzielnym od sąsiadów kamiennymi ścianami. Musiałem mieć jednak pewność, że nie jestem podglądany ani podsłuchiwany. Bez zahamowania spytałem gospodarza o zakres intymności w pokojach. Zapewnił mnie, że nie mam się czego obawiać. Nie wyczułem w nim fałszu, ale na wszelki wypadek odpaliłem w pomieszczeniu skaner. Szybkie badanie potwierdziło słowa Havariana – nie musiałem martwić się o inwigilację. Jednak na wszelki wypadek sprzęt nadal trzymałem w kufrze, a w szafach rozwiesiłem tylko zwykłe ubrania. Nawet gdyby ktoś z domowników chciał sprawdzić mój bagaż, nie znalazłby żadnych powodów do podejrzeń. Wszak zamożny biznesmen na urlopie może, a nawet powinien mieć zabezpieczony potężnymi szyframi i praktycznie niezniszczalny sejf. To, że był on chroniony nie tylko mechanicznie i elektronicznie, ale także taumaturgicznie – wiedziałem tylko ja.

Oprócz mnie w rezydencji gościły cztery osoby. Koonagin, dzięki któremu się tu dostałem, aktorka w średnim wieku, jak sądziłem, kochanka Havariana, oraz starsze, dystyngowane małżeństwo, przedstawione jako odległa rodzina gospodarza. Obsługę stanowiły kolejne dwie osoby, o ile dobrze zrozumiałem, mieszkające tu na stałe. Marie, atrakcyjna kobieta koło czterdziestki, pełniła funkcję sprzątaczk i kelnerki. Gongio, wysoki, zadbany facet w nieokreślonym wieku, był jednocześnie kucharzem i menadżerem domu. Oboje po przejściach, jak niezwłocznie wyjaśnił mi Koonagin, i pragnący żyć z dala od wielkich ośrodków. Zasugerował też, że Havarian sypia z nimi, gdy nie ma lepszych opcji, i że udostępnia ich także gościom.

Pierwszy dzień upłynął leniwie i spokojnie.

Spotkaliśmy się na śniadaniu, pogawędziliśmy o sztuce, podróżach i jedzeniu. Nieśpieszna rozmowa zeszła też na piękno okolicy i szybko zorientowałem się, że wszyscy goście wiedzą, po co tu przyjechałem, i zapewne zostali poinstruowani przez gospodarza, by taktownie zachęcać mnie do zakupu. Potem rozdzieliliśmy się. Niektórzy zostali w willi, a inni ruszyli na spacer lub wycieczkę ślizgaczem.

Szeroka łódź o płaskim dnie i odrzutowym silniku nie płynęła po

wodzie, a raczej sunęła po gładkiej powierzchni fungiflory, zamiast kilwaternu zostawiając za sobą karminową bliznę, ślad po milionie zgniecionych i poszarpanych stworzeń. Ponoć potrzeba było kilku dni, by taka rana w tkance oceanu na powrót zarosła.

Havarian bardzo namawiał mnie też na popołudniową wyprawę z nurkowaniem, obiecując fantastyczne widoki i niezwykle przeżycia egzystencjalne, ale podziękowałem grzecznie. Reszta towarzystwa jednak nie odmówiła sobie tej frajdy, dzięki czemu zyskałem pół dnia samotności. Wykorzystałem go na zbadanie okolicy i sprawdzenie możliwych dojazdów do rezydencji Gajona. Na szczęście nie znalazłem żadnych – do willi można się było dostać jedynie albo z powietrza, albo z wody. Stała niemal w połowie wysokości klifu, więc zarówno od powierzchni oceanu, jak i szczytu skalnej ściany dzieliło ją około pięćdziesięciu metrów. Ludzi i towary przewoziły windy. W domu gladiatora nie dało się więc zjawić niepostrzeżenie. To dobrze, śledczy po sprawdzeniu zapisów kamer nie będą podejrzewać morderstwa.

Wieczorem spotkaliśmy się w salonie na kolacji i stoczyliśmy te same rozmowy co o poranku, wzbogacone o relacje z wydarzeń minionego dnia. Ja ostrożnie i nienamolnie sugerowałem, że okolica bardzo mi się podoba i że zazdroścę gospodarzowi takiego właśnie schronienia przed pędem rzeczywistości.

Kucharz sprawował się świetnie, przygotowując potrawy z surowców przywiezionych z miasta i lokalnych owoców morza. Kiedy go wysondowałem mentalnie, odkryłem, że ma prosty umysł i jasną wizję przyszłości. Po prostu pragnął samotności, odludzia, pustki, więc służba tutaj stanowiła spełnienie jego marzeń o sposobie na życie. Podobno prowadził też jakieś amatorskie badania przyrodnicze. Z kolei Marie uciekła tu ponoć po jakichś życiowych przeprawach i dzięki pracy u Havariana powoli dochodziła do siebie. Raz czy dwa dała do zrozumienia, że jest gotowa zostać na służbie, kiedy przejmę obiekt, i że ma mi wiele do zaoferowania. Wydawało jej się, że czyni to dyskretnie, ale wyczuwałem w aurze kobiety obawę połączoną z nadzieją, i jakiś smutek jeszcze, żal po utracie czegoś ważnego, świadomość własnych błędów, które dawno temu doprowadziły do nieznanego mi tragedii.

Oboje nie stanowili zagrożenia.

Podobnie goście. Różnili się wiekiem, profesjami i sytuacją rodzinną, ale łączył ich fakt, że znajdowali się na opadającym fragmencie sinusoidy życia. Osiągnęli pewien pułap sukcesu zawodowego, lecz teraz tracili pozycję i wpływy w swoich branżach. Raczej wykorzystywali zgromadzone wcześniej zasoby finansowe, niżli wytwarzali nowe. Częściej wspominali dawne osiągnięcia, niż planowali kolejne. Być może Havarian lubił otaczać się osobami znajdującymi się w życiowym położeniu podobnym do swojego, a może po prostu tacy właśnie ludzie



decydowali się korzystać z półdarmowych wakacji w willi znajomego.

Zrozumiałem, że Havarian jest w sumie przyzwoitym człowiekiem, mającym gorzką świadomość jeśli nie porażki – to braku wielkiego sukcesu. Życzliwie nastawiony do świata i ludzi, utrzymywał roztargnienie w ryzach racjonalności i nie szarpał się, żeby wrócić na szczyt. Przekalkulował swoją przyszłość, ustalił, co chce z nią zrobić, i przystąpił do spokojnej realizacji planu, którego jeden z punktów stanowiła sprzedaż willi. Zorientowałem się też, że nie zaprosił mnie tutaj tylko po to, by namówić do kontraktu, ale także by obejrzeć mnie dokładnie i zdecydować, czy to mnie właśnie chce sprzedać swój dom i przekazać władzę nad wieloletnimi pracownikami.

Żałowałem, że muszę go okłamywać.

Do pokoiw rozeszliśmy się po północy. Wziąłem prysznic, potem wyszedłem na taras, nie zapalając żadnych świec. Na nocnym, czystym niebie lśniły tysiące jasnych punktów. Odruchowo czytałem firmament – łączyłem lśniące kropki w symbole i kształty, tworząc lokalny zodiak. Nie sądziłem, że akurat na Sanguisie skorzystam z siły gwiazdozbiorów, ale na Ziemi i wielu innych planetach ich właściwe rozpoznanie było bardzo przydatne. Gdyby ten świat wygenerował własną cywilizację, szukałbym skojarzeń z jej mitami i figurami. Teraz, łącząc węzły na nieboskłonie, mogłem skupić się tylko na lokalnej przyrodzie i czystej geometrii.

Wiał lekki i chłodny wiatr od morza, niosący delikatny, słodkawy zapach bujnej roślinności, biocenozy statycznej i nieagresywnej, karmiącej się słońcem i minerałami planety. Fungiflora Sanguisa składała się z organizmów samożywnych, nie było tu drapieżników, polowań w głębinach, zrodzonego w gruczołach biochemicznego strachu, miliardokrotnego codziennego zabijania. Ta aura planety relaksowała mnie, czułem się tu, jakbym oddychał szczególnie świeżym powietrzem. Być może jednak to ona sprawiła, że właśnie na Sanguisie rozwinął się sport gladiatorów. Ludzkie organizmy chłoną pola taumatyczne, tak jak ciepło, tlen czy zapachy. Tło planety nie dostarczało pewnego czynnika, z którym gatunek *Homo sapiens* wyewoluował na Ziemi – świecie łowów i gwałtownej śmierci, morderczych wojen i krwawych ideologii, bezwzględnej przemocy społecznej i brutalnej magii Spaczenia. Kolonistom brakowało tego okrutnego, niewykrywalnego żadnymi urządzeniami technologicznymi promieniowania tła. Więc przywrócili tu stary obyczaj, wydawałoby się, zarzucony w procesie cywilizacyjnego rozwoju. Walkami na arenie serwowali sobie brakujące substraty eschatologicznej aury, tak jak cukrzyk dostarcza insuliny, a narkoman koki.

Teorię aurocenozy badało wielu moich Ojców, a przyroda Sanguisa mogła dostarczyć ciekawych obserwacji i wniosków, którymi chciałem

uzupełnić dawne hipotezy.

Po nocnym niebie planety przesuwały się trzy księżycy – małe Gminy, ciągnące jeden za drugim w kątowej odległości ledwie kilku stopni, oraz potężny Primogen, obiegający glob w przeciwnym kierunku, teraz w nowiu, dzięki czemu mogłem obserwować ciemność nocnego nieba i wyraźnie czytać kształty gwiazdozbiorów.

Potem przeniosłem wzrok niżej, tam gdzie horyzont, klif i woda tworzyły poziome pasma cienia, niczym grube żyły czarnego minerału, u dołu coraz bardziej nieprzeniknione. Tam też lśniły trzy punkty – odległe rezydencje zbudowane na ścianach fiordu. Każda tworzyła rozmazaną plamę jasności, jakby mgławice spływały z nieba.

Skupiłem wzrok na willi Gajona, wyostrzyłem spojrzenie. Ujrzałem punkt centralny – zarysy budynku i rozświetlone panoramiczne okna. Jasna nitka małych lampek prowadziła w górę ku lądowiskowi i w dół – ku przystani.

Wyszeptałem słowa pierwszego, najdelikatniejszego trojana. Pchnąłem go w noc, w słodycz wiatru i rozelśnioną gwiazdami ciemność, by wczepił się w aurę ofiary. Po chwili rozchyliłem zmysły, by wessać pierwszą odpowiedź przyniesioną przez szpiega.

Spaczony był tam. Odpoczywał, syty i najedzony, zdrowy i pełen odebranego ludzimu wigoru. Zadowolony.

Nieświadomy mojej obecności.



Jego głód wyczułem już nazajutrz. Ze snu wrywały mnie powracające ze zwiadu taumaturgiczne kemy. Gajon znów szukał ofiar.

Szybko opłukałem się pod zimnym prysznicem, ubrałem, potem przystąpiłem do przeglądu ciała i eteru. Sprawdziłem blokady mentalne, gradienty generowanych pól Woli, obce inkursje. Krok po kroku przeszedłem procedury bezpieczeństwa, testy własnych tuzfali, sprawność duchów. Anioły w moim sercu wciąż hibernowały w oczekiwaniu na akcję.

Dopiero wtedy umyłem zęby.

Wyszedłem na taras, oparłem się o balustradę oddzielającą mnie od przepaści. Wyostrzyłem wzrok na willi gladiatora i nagle go zobaczyłem. Ubrany w ciemny kombinezon, z płaskim plecakiem w rękach czekał na windę. Po chwili półprzezroczyste drzwi zamknęły się i mała kabina, niczym lśniący, cierpliwy żuk, zaczęła powoli zjeżdżać ku przystani, gdzie do pomostu przycumowane były dwie duże łodzie. Jednak zatrzymała się wcześniej, kilkanaście metrów powyżej powierzchni

wody. Zbliżyłem obraz i dostrzegłem wąską linię biegnącą wzdłuż klifu – zapewne cień półki skalnej. Rzeczywiście, Gajon wyszedł na nią i ruszył w głąb fiordu. Jego sylwetka co chwila chowała się za załomami skały, potem pojawiała się znowu. Wreszcie zniknęła na dobre.

Ciekawe.

Zszedłem do jadalni, jak się okazało, byłem pierwszy. Ale śniadanie już czekało, więc zjadłem świeżą bułkę doprawioną kilkoma pacnięciami jakichś kolorowych mazideł, ostrych i aromatycznych. Jak objaśnił kucharz Gongio, który zaraz pojawił się na sali, to pasty robione z lokalnej fungiflory, dosmaczone egzotycznymi przyprawami.

Podpytałem go o możliwość spaceru wzdłuż klifu i dowiedziałem się, że na ścianach po obu stronach zatoki na różnych wysokościach ciągną się półki skalne. Mają po kilka kilometrów długości, miejscami są bardzo wąskie, więc trzeba uważać, ale w głębi fiordu połączono je drabinkami. Na upartego można nimi obwędrować całą zatokę. Na te ścieżki da się wejść tylko przy willach oraz w miejscu, gdzie zaczyna się południowa ściana fiordu. Tworzyły swoistą prywatną sieć spacerową dla mieszkańców rezydencji lub pasażerów łodzi wycieczkowych, czasem przyplływających tu z odleglejszych lokacji.

Ściągnąłem na siatkówkę plan ścieżek. Południowe wejście na szlak od willi Gajona dzieliło niecałe pięć kilometrów. Żeby się dostać na poziom budynku, musiałbym skorzystać z windy, do której bez znajomości hasła nie miałem dostępu. Za to bez problemu, korzystając z drabinek łączących poszczególne poziomy szlaków, w ciągu mniej więcej godziny mogłem dotrzeć do punktu, do którego zjechał gladiator, a potem podążyć jego śladem.

Uznałem, że nie będzie w tym nic podejrzanego. Poprosiłem kucharza o przygotowanie prowiantu na drogę, a sam wróciłem do pokoju, by przebrać się w strój do wędrówki.

Kiedy znowu zszedłem na dół, spotkałem pozostałych mieszkańców, z wyjątkiem gospodarza. Kurtuazyjnie spytałem, czy wybiorą się ze mną, ale na szczęście mieli już inne plany.

Łódź przewiozła mnie do południowego wejścia, a ponieważ nie wiedziałem, gdzie będę chciał z niego zejść, odesłałem ją z powrotem.

Początkowo ścieżka pięła się stromo i miała kilka metrów szerokości. Stopniowo zwężała się, choć wciąż wydawała się bezpieczna. Nie ograniczono jej żadną poręczą. Szedłem pod górę, więc powierzchnia oceanu po lewej była coraz niżej i niżej. Po prawej miałem ostro idącą ku niebu ścianę klifu. Skała była postrzępiona, szara i śniąca od wilgoci, niemal pionowa.

Wiał chłodny wiatr, niebo pokrywały ciemne chmury zapowiadające deszcz. Powietrze było świeże i spacer sprawiał mi autentyczną przyjemność. Przy tym cały czas czułem, że zbliżam się do Spaczonego

i wreszcie będę miał możliwość osobistego spotkania.

Potem półka skalna, szeroka ledwie na jakieś dwa metry, wyrównała poziom i wędrowałem wzdłuż ściany klifu. Nadal brakowało zabezpieczeń, jednak tu ścieżkę najwyraźniej wyfrezowano, pozostawiając na granicy próg wysoki na kilkanaście centymetrów. Nie ochroniłby nieuważnego wędrowca, gdyby ten stracił równowagę i zwałił się w dół, ale przed przypadkowym omsknięciem nogi już zabezpieczał. Na początkowym odcinku dno ścieżki pokryto też substancją zwiększającą przyczepność – ktoś jednak założył, że musi zadbać o bezpieczeństwo ewentualnych turystów. No i że mniej więcej jeden kilometr tym spacerowiczom wystarczy, bo później i ścieżka zwęziła się jeszcze bardziej, i ułatwiająca marsz warstwa zniknęła. Tutaj też wycięto w skale siedzisko i powieszono nad nim informację o ryzyku związanym z dalszą wędrówką.

Turysto z dalekich stron – wystarczy tej uprzejmości ze strony właścicieli zatoki. Popodziwiał widoki i spadaj! W sensie przenośnym, oczywiście...

Skorzystałem z oferty tylko częściowo. Ściągnąłem plecak, klapnąłem na ławę, wypilem łyk wody. Spojrzałem na fiord. Widok rzeczywiście był monumentalny – potężna przestrzeń, skalne ściany, gładkie niebo, a w dole leniwie falująca, lśniąca czerwona powierzchnia. Znacznie twardsza od wody, więc upadek z tej wysokości już zabijał.

Rozpiąłem zmysły. Gajon podejmował jakiś wysiłek, wyczuwałem zarówno jego głód, jak i bezwzględne przekonanie, że wkrótce zostanie zaspokojony.

Z kogo i jak miał wyssać życie na tym pustkowiu? Czyżby trzymał tu jakichś więźniów albo miał stoczyć tajny, nielegalny pojedynek?

Odsapnąłem chwilę i ruszyłem dalej.

Dostrzegłem go półtorej godziny później, wysoko, czarną plamkę na tle szarej ściany klifu.

Ścieżka opadła, nieco zbliżając się do powierzchni wody, a gdy minąłem zakręt, zobaczyłem, że się kończy – zwężając się coraz bardziej i niknąc w skalnej ścianie. Tu postawiono już barierkę ochronną, a trasę do góry wyznaczała czarna linia drabiny, wkutej w ścianę, otoczonej siatką i wyprowadzającej na kolejną skalną półkę, jakieś dwadzieścia metrów wyżej. Tam stały trzy osoby, których nie znałem, wpatrzona w to, co działo się nad ich głowami. Usłyszałem niewyraźne dźwięki rozmowy, a zmysły zareagowały na ich ekscytację i nerwowe podniecenie.

Bo Gajon nie korzystał z bezpiecznego wejścia. Powoli i ostrożnie piął się po skalnej ścianie, przyklejony do niej jak lśniący czernią robak. Był już ponad wylotem drabiny, a do górnej krawędzi fiordu został mu jeszcze kawał drogi.

Przeniosłem wzrok na wspinacza. Uważnie wyszukiwał chwyt i ostrożnie stawiał stopy na występkach – sprawiał wrażenie, że starannie planuje każdy ruch. Nad nim szumiał dron rejestrujący całe wydarzenie.

A jednak dostrzegłem, że nie każdy wybór Gajona jest optymalnie bezpieczny. Że zdarza mu się zawisnąć na palcach jednej ręki, że chwilami zbyt gwałtownie przesuwa się po ścianie, ryzykując brak oparcia, że naciska ciężarem całego ciała na stopę opartą jedynie o milimetrową nierówność. Szarżował, ale za każdym razem mu się udawało.

Stałem nieruchomo, myśląc o wietrze, skale śliskiej od wody, braku asekuracji. O tym, że w każdej chwili, tak jak na arenie, gladiator bardzo ryzykuje.

Rozszerzyłem zmysły i zaraz poczułem cienką strużkę życia, bezkrwawą krew wyciekającą z trójki młodych ludzi, zapewne gości Gajona. Brał od nich sekundy, minuty, a może i więcej. Któż to zmierzy i określi, gdy nadejdzie ich ostatnia godzina. Za dekadę, dwie albo dziesięć.

Może wrzód w rzeczywistości miał pęknąć później, może leki powinny zadziałać skuteczniej, a wszczep lepiej się przyjąć? No niestety, mam dla państwa złą wiadomość, dołożyliśmy wszelkich starań, ale nasza medycyna nie poradziła sobie...

Kto będzie wiedział, że wiele lat wcześniej młodzi fani Gajona Starszego, tak szczęśliwi, że mogą spędzić w towarzystwie idola choć kilka dni, stali na krawędzi klifu i oddawali mu swoje życie okrucieństwem po okrucieństwu po to tylko, by on mógł skakać bez strachu po pionowej skale?

Nie musiał tego robić, i to też wyczułem. Jego organizm miał dość odżywczej siły po ostatniej walce na arenie. Nie musiał ich zabijać śmiercią niewidoczną i powolną, ale nieuchronną. Gajon smakował tych ludzi jak konieser wina toczący karminowy płyn po ścianie kieliszka. A raczej jak kiper, wypluwający napój zaraz po spróbowaniu.

I w czasie walki, i wspinaczki sprawiało mu radość to igranie ze śmiercią. Szczególnie że była to śmierć cudza.

Rozważałem, czy jest szansa, że wycofam się niezauważony. O ile ludzie zapewne jeszcze nie zwrócili na mnie uwagi, to, niestety, dron mógł mnie nagrać.

Podszedłem więc bliżej, krzyknąłem do nich słowa powitania, a kiedy odwrócili się w moją stronę, pomachałem ręką i zacząłem gramolić się po drabince.

A potem przez czterdzieści minut stałem obok nich, obserwując, jak Gajon dociera do krawędzi klifu. Nie próbował mnie wysysać, bo nie zorientował się, że tam w ogóle jestem.



Wieczorem posiedzieliśmy razem nieco dłużej niż zwykle, bo Havarian świętował urodziny. Walnął o dwa drinki za dużo, rozgadał się, wspominając swoją młodość, sukcesy sceniczne prawdziwe i wyimaginowane oraz tworząc na poczekaniu listę top dziesięć najlepszych swoich kochanek.

To mi pasowało. Zmęczą się, upiją, pójdą spać, a ja spokojnie będę mógł zająć się swoimi sprawami. Tak też się stało.

Do swojego pokoju dotarłem przed pierwszą, rozebrałem się i nasmarowałem ciało ochronnymi olejkami. W pokoju panowała niemal całkowita ciemność, ale tatuaże na mojej skórze lśniły, układając się w znaki Potęgi.

Umysł przyspieszał, anioły się budziły.

Sprawdziłem, czy drzwi zamknięte są na zasuwkę i czy magiczna pajęczyna szczelnie izoluje pokój. Życiopijcy mogli nie być najlepszymi empatami kosmosu, ale kto wie jakie jeszcze stworzenia przebywały na tej planecie. Harkoni i demony, ajubale i czarownice, parajawki i zmory mogły wyczuć zaburzenie eteru i odkryć moją obecność, a tego wolałem uniknąć. Jedna walka naraz.

Otworzyłem pudełko przechowywane w opatrzonym zaklęciami kufrze. Wyjąłem czarny jednoczęściowy kombinezon zaopatrzony w kilka kieszeni, a potem okulary i rękawicę. Ubierałem się powoli, starannie zapinając guziki i dociągając paski. Czułem, jak gładki materiał dotyka skóry, jak żyły szybciej tłoczą krew, za to myśli się uspokajają. Szczęknięty wysunięte z rękawicy pazury. Matowe szkło okularów, jakby pokryte bielmem, rozjaśniło się nagle, by po chwili stać się idealnie przezroczyste. Za szklami otwierał się prawdziwy świat. Ukryte rzeczy objawiały się w pełnej okazałości. Maskowania opadały, ukazując realny kształt materii. Taumaturgiczne byty stawały się nie mniej realne od materialnych.

Wyszedłem na taras. Przed oczami miałem czyste nocne niebo, w uszach – odległy i stłumiony szum oceanu, w nozdrzach – słodkawą woń fungiflory, w głębi umysłu – ciemną strugę Spaczenia, wlewającą się w jednostajny rytm planetarnego życia.

Schowałem pazury i jednym susem przeskoczyłem balustradę.

Powoli schodziłem po niemal pionowej ścianie, jakbym kroczył po szerokich stopniach schodów. Kiedy wiesz, jak naprawdę wygląda świat, możesz się podeprzeć powietrzem, pyłem, kłębem mgły. Możesz śmigać po powierzchni wody jak narciarz zjeżdżający z niezbyt stromego stoku. Możesz wdrapać się na niemal pionową skałę, dociśnięty do niej niewidzialną strugą psychotronicznej esencji. Możesz otworzyć złożone

zamki bez wzbudzania alarmów i przeniknąć do wnętrza chronionego domu. Możesz otoczyć rzeczywistość wokół siebie symulacją, której nie rozpoznają najlepsze nawet kamery.

Za to dostrzeże ją trzecie oko każdego Spaczonego.

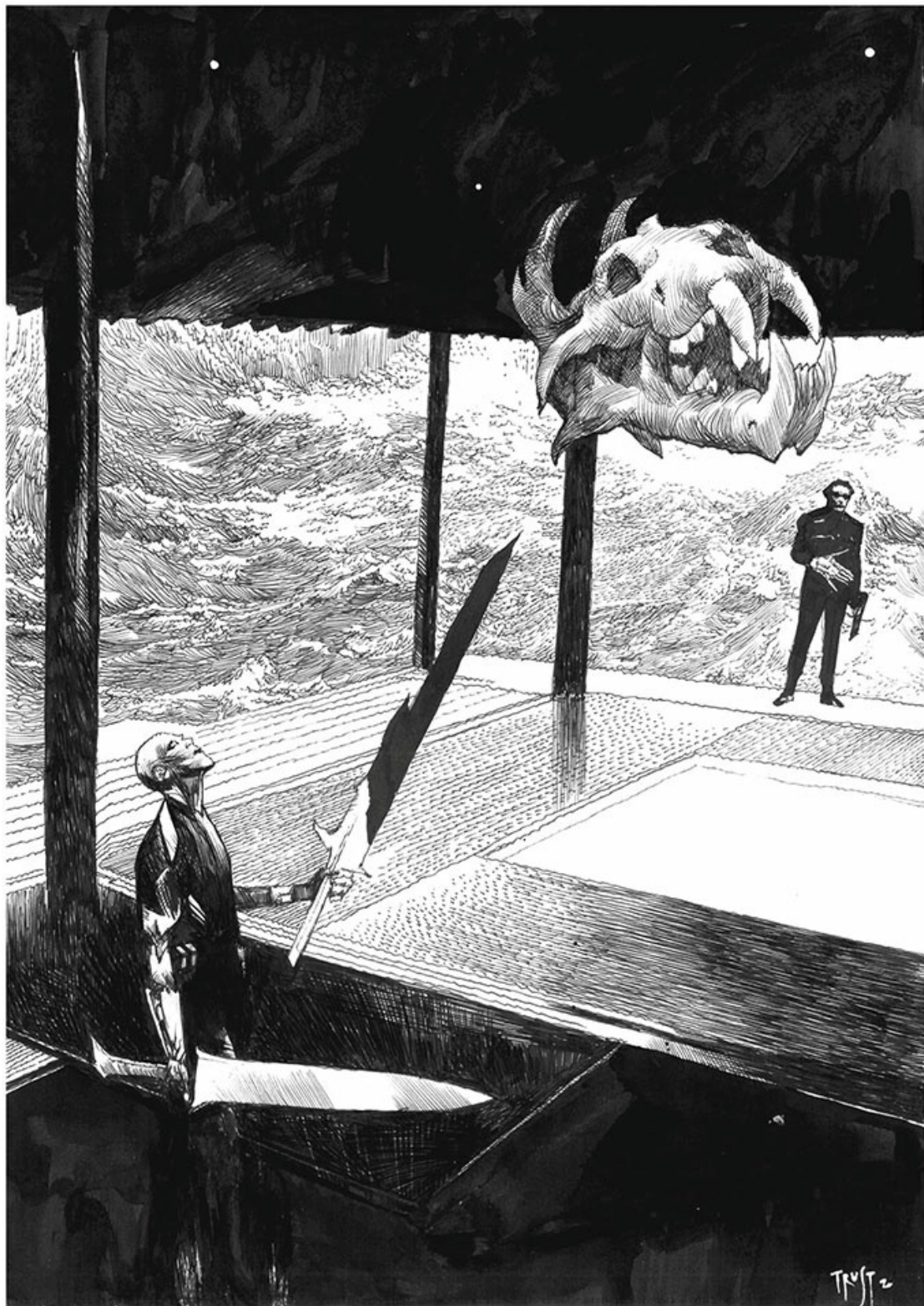
Gajon już na mnie czekał; wciąż widziałem go w ludzkiej formie. Stał na tarasie z gladiatorskimi mieczami w dłoniach, uśmiechem na twarzy, krwią na piersi. Czuję, że w zamkniętych pokojach jego domu wiją się z bólu ludzie, którym właśnie przeciął ścięgna u nóg i rąk. Delikatnie, tak by nie umarli. Skutecznie, by nie mogli nigdzie uciec ani wezwać pomocy.

Sięgnął po mnie. Żaden zwykły człowiek nie wyczułby pluskiew mentalnych obsiadających całe ciało, by ciągnąć życie z miękkich tkanek i kości, ze skurczów serca i nadymania płuc, z energii impulsów nerwowych i mózgowej kombinatoryki tworzącej inteligencję. Kradł to wszystkim ludziom i pasł się ich życiem, by odciągnąć od siebie śmierć. Zdumiał się, gdy napotkał ochronne bariery mojej Woli, ale nie zawahał się ani na chwilę.

Skoczył, jego ostrza zabłyśły srebrem, a oczy błękitem. Ciął błyskawicznie, z dwóch kierunków, tak bym chroniąc się przed pierwszym sztychem, nadział się na drugi. Cofnąłem się w gwałtownym uniku, sygnalizując mu, że będę twardym przeciwnikiem, ale jeszcze nie dając ostatecznej informacji, kim naprawdę jestem i co potrafię.

Uczyłem się go od tygodni, obserwowałem walki, analizowałem pojedynki, badałem zwyczajstwa. Był świetnym szermierzem, a swojej mocy nadużywał, wyłącznie gdy musiał stanąć do konfrontacji ze zbyt wieloma przeciwnikami naraz – lub gdy pozwolił swoim wrogom na osiągnięcie decydującej, wydawałoby się, przewagi. Z takich właśnie opresji wychodził bez szwanku, kradnąc życie publiczności.

Dlatego nie mogłem go atakować. Musiałem zadać jeden ostateczny, śmiertelny cios. Mój pierwszy szach miał być zarazem matem.



Przecież w pięciu pomieszczeniach tego domu wily się z bólu



akumulatory życia. Młodzi fani Gajona, których poznałem ledwie dziś rano, i jego służący. Ja jestem chroniony, ale jeśli zaatakuję go nieostatecznie – obroni się, czerpiąc z ich energii życiowej. Gdy wyprowadzę, wydawałoby się, stuprocentowo celny atak, odskoczy błyskawicznie, zrobi zaskakujący unik lub nieprawdopodobną zastawę. A życie będzie wypływać z więźniów tak, jak krew już cieknie z ich niedbale podwiązanych ran.

Zrozumiał, że skoro mnie nie trafił, to będę przeciwnikiem groźniejszym, niż się spodziewał. Cofnął się zatem z wąskiego korytarza do salonu, wielkiej pustej przestrzeni, w której stało tylko kilka mebli, a sporą część zajmował mały basen. Wciąż nie zapalał światła, czailiśmy się więc oświetleni jedynie blaskiem gwiazd i księżyców. Podążyłem za nim, dostrajając szkła w moich okularach.

Zobaczyłem, jak wygląda naprawdę. Człowieczy kształt pełen wypustek i kolców, zakłębień i szczelin. Kończyny o wielu stawach. Płaska, pozbawiona nozdrzy twarz, czaszka porośnięta miękką warstwą postrzępionej tkanki. Wielkie usta, w których wiły się końcówki wewnętrznych żył – otwarte na ludzką aurę, głodne. I najstraszniejsze – opatrzone długimi rzęsami i lśniące błękitem oczy pięknej dziewczyny, oczy wyrażające miłość, wierność i pragnienie.

Oto bestia. Oto prawdziwy życiopijca.

Spaczony.

Ponownie spróbował po mnie sięgnąć, z większą mocą, z potężniejszym pragnieniem. Żył w jego ustach pulsowały, czarne otwory lśniły wilgocią, końcówki dygotały. Wąskie szczeliny pokrywające całe ciało otwierały się i zamykały jak skrzela ryby.

Był silny. Dziesiątki lat otwartego żerowania pozwoliło mu zgromadzić moc i nabrać pewności, tak kluczowej dla pojedynków opartych na zmaganiu Woli, a nie jedynie fizycznym starciu. A ja, pamiętając o ludziach wokół mnie i tych z odleglejszych domów, musiałem działać rozważnie, skupić jego uwagę na sobie, tylko na sobie.

Znów ciął, miecz zgrzytnął po moich pazurach, zszedłem z linii drugiego ciosu, cofnąłem się. Pojął, że coś mnie powstrzymuje, i ruszył do przodu. Pojedynek to jego żywioł, oprócz mocy potwora miał też doświadczenie setek walk na arenach. Ciało gladiatora reagowało odruchowo, wybierało najlepsze opcje, dostosowywało się do sytuacji. Wróg cofa się – to atakuj, uważając jedynie na kontrę. Nie kontruje – albo jest słaby, albo coś knuje – więc ciśnij dalej, ale gotów do obrony. Wciąż się cofa – bij śmiało.

Nagle poczułem pełnię jego mocy. Odstawił ludzkie akumulatory, skupił się na mnie. Manewr, którego nie widziałem wcześniej w jego pojedynkach, a który powinienem był przewidzieć, bo przecież dziesiątki razy czytałem o nim w starych księgach, gdy studiowałem

przeszłość klanu życiopijców. Przez milenia i pokolenia karmili się życiem, pożerając całą energię każdej indywidualnej ofiary. Samotny podróżny, neolityczna osada, mały gród. Wysysali ludzi całkowicie, jednego po drugim, zawsze skupieni na konkretnej ofierze. Pełni pychy i przekonani o swojej mocy, bezkarni. Potem my zaczęliśmy Łowy i wyrznęliśmy większość z nich, a resztę zmusiliśmy do ukrycia. Zaszczuci i tropieni, kryli się przed naszym wzrokiem. Przystosowali się do ostrożnego żerowania na wielkich ludzkich wspólnotach. Jak pasożyty przez lata karmiące się ciałem gazeli, a nie lwy polujące na nią jednym skokiem. Dawnych, potężnych życiopijców nie spotykaliśmy już od setek lat. Popełniłem więc błąd. Nie doceniłem Gajona.

Uderzył z całą potencją sytego i pewnego siebie umysłu. Rozgrzał moje bariery ochronne tak, że zaczęły się topić i spływać warstwa po warstwie. Moja dusza zadygotała, wciąż jeszcze bezpieczna, ale jakby już ukłuta rozżarzonym ostrzem, wskazującym miejsce, gdzie potwór po nią sięgnie. Gdzie zassie moje sekundy, godziny i lata, rozpuści je i przekształci w swoje własne życie.

Dawno nie czułem takiego zagrożenia i nie toczyłem tak niebezpiecznego pojedynku.

Nie mogłem dłużej czekać. Skoczyłem ku niemu, śląc falę Potęgi, tnąc pazurami, wzmacniając własną obronę. Im bliżej byłem, tym mocniej czułem nacisk Woli Gajona.

Odparował ciosy i przeszedł do kontry, a ja poczułem, jak ciągnie siłę ze swoich więźniów. Sam mogłem niemal posmakować, jak marszczy się ich skóra, starzeją narządy, słabną zmysły. Znów się cofnąłem, co jeszcze bardziej go rozzuchwaliło. Ruszył do przodu, zapominając o obronie, gotów w każdej chwili wesprzeć się życiem więźniów.

Wybaczcie, proszę, ale naprawdę nic więcej nie mogłem dla was zrobić.

Ostatnie warstwy zabezpieczeń spływały ze mnie i wtedy ostatecznie zrozumiał, kim jestem.

Nie zawahał się ani na moment, był wojownikiem i gladiatorem. Był też Spaczonym, a teraz miał naprzeciw największego wroga swojej rasy, potomka długiej linii renegatów polujących na takich jako on. Nie chodziło o moralność, Spaczeni robili to i tylko to, co było korzystne dla nich, czasem dla ich klanów. Nie postrzegali wszystkich plemion jako jednej wspólnoty, nie jednoczyli się w walce, nie współdzielili celów. Dzięki temu zresztą mogliśmy ich tępić przez milenia, choć było nas tak niewiele. Ale ten tutaj dostrzegł możliwość zwycięstwa, dzięki któremu nigdy nie zagrożę mu już w przyszłości, a sława tego czynu da mu moc i sprawi, że inni Spaczeni będą się podporządkowywać, a na pewno – ustępować z drogi w wypadku konfliktu.

Pragnął areny większej niż stadion w stolicy choćby największej

planetki – całego kosmosu. Chwały i uwielbienia nie od durnych śmiertelników, ale od podobnych do niego istot. Indywidualnego zwycięstwa nie nad podrasowanym siłaczem, ale nad największym wrogiem swojego plemienia.

Był prawdziwym gladiatorem.

Znów zatańczyliśmy w stroboskopie ostrzy. Słyszałem pełne grozy, lecz gasnące już okrzyki więźniów. Widziałem, jak woda w basenie wzburza się i zaczyna lśnić. Czułem smród życiopijcy.

Złamał moją ostatnią barierę ochronną, poczuł mój zapach i smak. Otworzył pysk, wysunął ssawki, sięgnął po pierwszą porcję mojego życia.

Ale na moment przed tym, nim zdążył szarpnąć pierwszy kęs – wypuściłem swojego anioła i umarłem.



Wróciłem do życia ledwie kwadrans później. Anioł już zasypiał, syty i zadowolony. Złożył skrzydła i zwinął perlisty ogon. Splamione krwią ostrza – Miecz i Krawędź – na powrót wsunął w swoje serce. Podłączył na powrót nerwy do moich i wniknął we mnie, by odpocząć.

Trup Gajona leżał na podłodze, znów w ludzkiej postaci. Nie widać było śladu ciosu, choć anioł przerznął jego duszę na pół, rozszarpał umysł, wykastrował narządy, ale żaden medyk nie dostrzegłby nawet najmniejszej rany. Później zajrzę w oczy anioła, by zobaczyć, jak do tego doszło.

Przed walką miałem nadzieję, że sam zdołam pokonać gladiatora. Okazało się to zbyt trudne i musiałem obudzić pomocnika. Umarłem na czas, więc Gajon nie zdołał sięgnąć po moje życie, by samemu się uratować. Anioł zabił go, a następnie ożywił mnie pocałunkiem. Anioł bowiem jest nieśmiertelny. Wstąpił w mojego najstarszego Ojca przed mileniami i jest z nami od zawsze. Musimy go tylko karmić.

Łowcy muszą polować.

Nie słyszałem żadnych dźwięków zza ścian. Goście Gajona nie żyli. Otuliłem się niewidzialnością i wyszedłem z willi. I tu poczułem woń śmierci, dziwną, obcą, oraz usłyszałem nowy, niesłyszany wcześniej dźwięk. Przez chwilę nie mogłem zrozumieć, co się stało, aż spojrzałem na morze w zatoce. Burzyło się, kłębiło, gwałtownie uderzało o ściany fiordu, jakby ciesząc się nagle odzyskaną wolnością. Nie pokrywał go już szczelny kozuch oddychającej fungiflory. Na powierzchni fal unosiły się za to martwe strzępy, poszarpane kłaki, rozlana maź ze zmiażdżonych komórek. Czerwona jak prawdziwa krew.

Więc i stąd zaczerpnął życia Spaczony, gdy mój anioł rozdzierał jego duszę. Sięgnął po spokojne, niemrawe sanguisańskie życie, w ostatniej chwili, gdy pojął, że przegrywa swój najważniejszy gladiatorski pojedynek i że musi brać siły, skąd tylko się da.

Nie wystarczyło.

Miałem tylko nadzieję, że bariery, jakimi opasałem dom Havariana, zadziałały i ochroniły moich współmieszkańców.

Kiedy już zszedłem na wybrzeże, pchnąłem w stronę domu gladiatora impuls ogniowy. Może i żyjemy w świecie wysokich technologii, może i skolonizowaliśmy pół Galaktyki, ale wciąż nie ma lepszego sposobu na zatarcie śladów niż płomień, sterowany mocą Łowcy, wszędobylski i gorący.

Naukowcy i policjanci świata Krwi długo będą rozważać, co tu właściwie zaszło. Jakim perwersjom oddawał się Gajon Starszy, skoro znajdują pięć zwęglonych trupów ze śladami tortur. Co spowodowało pożar. Jaka to nieznama zaraza zaatakowała lokalny ekosystem i czemu tak szybko zniknęła, bo przecież więcej podobne zjawisko nie zostanie zaobserwowane.

W zaistniałych okolicznościach Havarian zapewne nie sprzeda swojej willi za dobre pieniądze. Szkoda, polubiłem go i życzyłem mu jak najlepiej.

Czy mogłem uratować tych młodych chłopaków, których trupy przed tym, nim pochłonął je ogień, wyglądały zapewne jak ciała starców? Chyba nie. Gladiator był silny, realnie mi zagroził i musiałem improwizować. Ale teraz już nie żyje i nigdy nie zaatakuje zwykłych ludzi, nie rozmnoży się, śląc w kosmos kolejne potwory. A moja akcja powinna odstraszyć od Sanguisa innych przedstawicieli jego gatunku. Tyle mogłem zrobić.

Postanowiłem zostać na planecie jeszcze przez kilka dni. Potrzebowałem więcej danych i analiz. Co, jeśli w kosmosie istnieje więcej takich zmutowanych życiopijców jak Gładion, karmiących się jedynie ułamkami ludzkich żyć? Jeśli są ostrożni i nie tak hałaśliwie bezczelni jak gladiator, to może od stuleci obniżają statystyki długości ludzkiego życia, wyrównując je w dół na obszarze całej Galaktyki. A my tego nigdy nie zauważyliśmy.

Odszukam potwory i ruszę ich tropem. Na Łowy. Prawdziwy pojedynek.

I ten akurat – nigdy mnie nie znudzi.

MAGDALENA  
KOZAK



---

## OSTATNI STRZAŁ STRACHU

### 1.



Ostatni strzał strachu. A potem jeden krok. Wychodzisz do klatki, prosto w potoki światła. Konferansjer wyśpiewuje twoje imię przy gorliwym akompaniamencie rozwrzeszczanego tłumu.

Lęk, który dotąd łopotał ci w skroniach, dławił gardło i wysuszał usta, wyparowuje w mgnieniu oka. Nagle czujesz życie, jak rozpycha się w tętnicach, poganiane uderzeniami serca, jak przelewa się we włókienkach gotowych na wszystko mięśni, pulsuje w zachłyśniętych euforią myślach. Istniejesz. Tu i teraz. Po prostu.

Istniejesz.

Nawet jeżeli za chwilę miałbyś przestać istnieć, ta właśnie chwila definiuje twoje życie, czyni je doskonale kompletnym. Jednym krokiem przemierzyłeś granicę między wszechświatami: z wyszarzałej codzienności przeniosłeś się prosto do tymczasowej Valhali. Wyruszasz w bój. Czyż nie jest to cud?

Stop!

Wciąż pamiętasz to uczucie? Jasne, że pamiętasz. Inaczej nie byłoby cię tutaj.

Mrugasz powiekami, na siłę odrywając wzrok od zawodnika

wchodzącego do klatki. Przeganasz wspomnienia i skupiasz się na rzeczywistości.

Control room jarzy się niebieskawą poświatą ekranów. Centrum zarządzania imprezą skrzętnie zbiera kawałki układanki przesyłane z gorliwych kamer. Oto skąpany światłem sędzia, niczym triumfujący bóg, chwilowy pan życia i śmierci głównych aktorów dzisiejszego przedstawienia. Czarne plamy ochroniarzy rozsypane na kluczowych pozycjach gali. Tu i ówdzie czerwone kropki patroli medycznych, bacznie obserwujące swoich potencjalnych podopiecznych. W końcu ci najważniejsi: widzowie, szczerze zapełniający rzędy siedzeń, spiętrzonych po sam sufit wokół areny.

Niemalże wrośnięci w krzesła w control roomie przedstawiciele poszczególnych służb wpatrują się w ekrany. Pilnują, komentują, wymieniają się poleceniami i uwagami. Praca wre.

Tego, co pokazuje twój ekran, nie widzi nikt.

W podziemiach wylegują się leniwie oddziały ostatniej szansy, odziane w kevlar i czarną oksydowaną stal. Pozornie nieruchawe i znudzone, na twój sygnał przeistoczą się we wściekłe, kłuszące węże, wypełzną z nagle otwartych tajnych przejść, by zdławić każdego, kto ośmieli się zagrozić wspaniałości imprezy. I zacnie się...

Stop!

Nie myśl. Już. O. Tym. Teraz.

Twój ekran posłusznie ukazuje każdy żądany obraz. Powolnymi ruchami myszki przesuwasz sylwetki uczestników imprezy, zaglądasz im w niczego nieświadome twarze.

Ich oczy świecą podnieceniem pościgu, niekłamaną wolą walki.

A ta właśnie się zaczyna.

## 2.

Te ciężkie kroki poznajesz natychmiast, wyłowilibyś je nawet spośród tupotu setek butów uroczystej parady. Miro. Wspólnik, przyjaciel, brat, nazwij go, jak chcesz, a i tak nie oddasz sedna więzi, która połączyła was dawno temu na pewnej spieczonej ziemi i trwa do dziś.

Nie odrywasz wzroku od ekranu, kiedy człapanie przybliży się, ustaje, a za plecami zaczyna ci poświstywać równie charakterystyczny dech.

– W porzo? – Miro nie traci powietrza na zbytek słów.

– Aha.

Milczysz, jak i on. Lekko wykrzywiasz kącik warg w imitacji uśmiechu. Nie wytrzyma, zapyta. Za pięć, cztery, trzy...

– Masz coś? – pada spośród świstów poszarpanego wydechu.

Kręcisz głową, to mu musi wystarczyć.

Miro z plaśnięciem opada na obrotowy fotel tuż obok, wyciąga rękę i klepie cię niecierpliwie po ramieniu.

– Teraz ja!

– To moja zmiana – odpowiadasz niewzruszenie, zaciskając palce na myszce, jakby była twoją ostatnią bronią wobec przeważającego naporu wroga. Zresztą kto wie, może nawet tak właśnie jest. Czas zaczyna wam się kurczyć, musicie już zdawać sobie z tego sprawę.

Miro prycha z dezaprobatą, ale nie nalega, wciska tylko głębiej w fotel swoje obrzękłe, skatowane sterydami ciało i zaczyna śledzić wzrokiem obrazy na ekranach. Jego mina wyraźnie twierdzi: „Przegapisz!”, ale słowa nie ośmielają się podążyć za tak obraźliwym oskarżeniem. W końcu obaj jesteście profesjonalistami i żaden nie ustępuje w niczym drugiemu.

Przeładcacie więc obaj kolejne setki postaci z tłumu.

Znasz je już tak dobrze, śnią ci się po nocach i zawsze zlewają się w jedną rozmazaną, zakrzepniętą w brutalnej ekstazie twarz. Wiedzona pradawnym, pierwotnym zewem krwi, zrzuca cywilizacyjną otoczkę jak stary łach, by przez chwilę, przez króciuteńką chwilę dojrzeć życie w jego najczystszej postaci, tuż na krawędzi śmierci.

A to wszystko za te parę złotych za bilet. Zakąszone kielbaską, popijane colą. W wygodnej przystani fotela.

Życie w najczystszej postaci.

Obserwujesz widzów mimo nieuchronnie narastającego nieuczciwego obrzydzenia. Nieuczciwego, bo rozumiesz przecież, że twoje uprzedzenia są całkowicie nieuzasadnione. Reguły tej gry są kryształowo czyste, przejrzyste i jasne dla każdego.

Oni płacą za bilet.

Za co gladiatorzy płacą im krwią.

### 3.

Z tłumu wyłania się oblicze, na którego widok czujesz znajome mrowienie. Serce nieznacznie przyśpiesza swój bieg, włoski na rękach unoszą się czujnie, a mięśnie lekkim sprężeniem dają znać o gotowości.

Drapieżnik. Prawdziwy.

Tam, pośród stada malowanych owiec. Tak samo jak wszyscy inni triumfalnie skanduje imię chwilowego zwycięzcy, zaciskając dłoń na kubku z napojem. Dwudziestoparoletni chłopak. Pozornie jest nie do odróżnienia od pozostałych, a jednak pewien błysk w jego oku

powoduje, że śpiesznie przybliżasz tę sylwetkę na ekranie. Wpatrujecie się w nią wraz z przyjacielem przez chwilę, a potem przerzucacie na siebie ostrożne spojrzenia.

– Śmierdzi psem. – Miro niby kręci głową, ale wiesz dobrze, że myśli to samo co i ty.

– Tym lepiej! – Uśmiechasz się szeroko. Tak szeroko, że mięśnie twarzy, od dawna nienawykłe do tego grymasu, protestują słabym mrowieniem.

Przekazujesz przyjacielowi myszkę triumfalnym gestem. Ten podrywa się zwinnie, jak za dawnych czasów, nagle jego sto dwadzieścia kilogramów zrywa pęta grawitacji, lekko frunie w powietrzu i zajmuje twój fotel. Ty zaś stajesz za nim i z bijącym sercem obserwujesz wirtuozerię palców na klawiaturze.

W parę minut Miro wie już prawie wszystko o człowieku skrytym za tą twarzą: imię, nazwisko, adres. Zawód? Oficjalnie sprzedawca samochodów w jednej z bardzo renomowanych firm.

– Nadal śmierdzi psem – pomrukuje Miro, ale obaj wiecie, że w niczym, ale to w niczym wam to nie przeszkodzi. A nawet wręcz przeciwnie.

Wbijasz w pamięć dane waszego potencjalnego zbawcy, a potem, kiedy Miro obraca się ku tobie na fotelu, potakująco kiwasz głową. Wtedy przyjaciel kilkoma kliknięciami wymazuje wszystko z komputera i przywraca na ekran znów ten sam banalny, owczy tłum.

I nareszcie on też zaczyna się uśmiechać.

#### 4.

Chłopak, co zrozumiałe, odnosi się do ciebie nieufnie. To popatruje ci w oczy, to ucieka wzrokiem, przenosząc spojrzenie na zaciskany w palcach pęk kluczyków. Wcisnąłeś mu się przed biurko w salonie sprzedaży pod pozorem chęci obejrzenia jednego z absurdalnie kosztownych samochodów i od razu, bez ceregieli przedstawiłeś swój plan.

Tak naprawdę już po pierwszych słowach powinien kazać ci wyjść... ale nie zrobił tego, więc możesz śmiało zakładać, że może być twój. Być może kupiłeś go, zanim jeszcze zacząłeś mówić, tą nieuchwytną aurą wojownika, tym czymś w sposobie poruszania się, w śmiałych gestach, w zdecydowanej, dobitnej artykulacji słów. Wszystkim, po czym poznaje swój swego.

– To bardzo duże pieniądze. – Mrużysz oczy, posyłając mu porozumiewawczy półuśmiech. – Naprawdę duże!



Sprzedawca kręci głową.

– Wie pan... – decyduje się na pozorną szczerłość. – Jedno, czego się w życiu nauczyłem, to to, że nie ma darmowych obiadków. Zawsze jest coś za coś. A więc...? – urywa, popatrując na ciebie znacząco.

Rozpierasz się wygodnie w ekskluzywnym skórzanym fotelu klienta. Zdecydowanie to nie jest salon dla biedaków.

– Oczywiście. Mam w tym swój interes.

– Słucham.

Dobrze jest, uśmiechasz się w myślach. Płynnie przeszłście do omawiania warunków kontraktu. A zatem zdecydowana, natychmiastowa odmowa już w ogóle nie wchodzi w grę.

– Po pierwsze, bo to zawsze jest pierwsze: pieniądze. Dlatego od tego zacząłem. Gala, o której mówimy, jest jedną z największych, a co za tym idzie najbardziej obstawianych w kraju. Zakłady idą w grube miliony.

– W walce z mistrzem postawi pan na mnie? – Młody uśmiecha się domyślnie, a potem wykrzywia wargi. – Wie pan, widziałem już parę takich filmów. Zazwyczaj scenariusz przewiduje zły i smutny koniec frajera, który da się wkręcić w biznes, o jakim nie ma pojęcia...

No nie, uznajesz w myślach; tak to się, kolego, nie będziemy bawili. Zaczniemy się szanować, i to od samego początku.

– To siedź i sprzedawaj te swoje fury dupkom, którzy mają wystarczająco dużo szmalu, żebyś musiał lizać im tyłki! – rzucasz wzgardliwie, po czym unosisz się z fotela. – Sorry, pomyliłem się. Wyglądałeś mi na faceta z jajami.

– Nie bierz mnie tutaj pod siusiu. – Chłopak najwyraźniej nie przejmuje się twoją demonstracją siły. – Siadaj i gadaj jak człowiek!

Mościsz się z powrotem w miękkociach mebla. Posyłasz młodemu długie, nieco kpiące spojrzenie. Znów nie kazał ci wyjść. Więc właśnie zadeklarował się, powiedział „tak” – i obaj wiecie o tym doskonale. Ale w dobrym tonie będzie poumizgiwać się do niego jeszcze trochę.

– Tak, postawię na ciebie, ale to najmniejszy z moich bonusów – ciągniesz znów nieskazitelnie spokojnym tonem. – Ci, którzy postawią na niego, stracą nielichy szmal. Konkurencja wypstryka się z kasy, a to, wyobraź sobie, dla nas akurat bardzo ważne.

Młody kiwa głową.

– Przekonujące.

– I ostatnie, chyba najważniejsze... – Podnosisz się lekko, przechylasz nad biurkiem i zbliżasz ku niemu twarz. – Wątki osobiste. Mam pewien problem z tym panem. Marzę o chwili, w której ktoś spuści mu łomot. Publicznie.

Chłopak unosi pytająco brwi, ale w odpowiedzi dostaje tylko twoje zdecydowane kręcenie głową.

– Aż tak dobrze się nie znamy – rzucasz sucho. – Wchodzisz w to czy

nie?

Wypuszcza z siebie powietrze z długim świstem.

– Ten film kiedyś też oglądałem – mówi bardzo poważnie. – Zaraz po walce młody zwycięzca spotyka pewnych smutnych i bardzo rozczłuszczonych panów. Ten scenariusz również kończy się źle.

Śmiejesz się cichutko.

– Za dużo tych filmów oglądasz, chłopie. – Sięgasz po filiżankę kawy, która zdążyła już ostygnąć, poczęstunek na koszt firmy, i upijasz łyk, delektując się smakiem. Odstawiasz ją z cichutkim brzęknięciem, niemal ostentacyjnie ignorując zawisłe na twoich wargach spojrzenie chłopaka. Poczekaj, dzieciaku, poczekaj. Potrzebujesz tej chwili, by zrozumieć, jak bardzo ci na tym zależy.

– No więc? – przerywa niecierpliwie młody i już wiesz, że wygrałeś. Na całej linii.

– Zaraz po walce na nowego, nieodkrytego dotąd zwycięzcę rzucają się hieny – oświadczasz nagle bardzo surowym tonem. – Kluby, menadżerowie, trenerzy, którzy chcą pozyskać nową gwiazdę do swojej stajni. Nic to, że gwiazda w kolejnej walce może się okazać niewypałem. Tu i teraz, będąc ulubieńcem publiczności, wnosi w wianie plus milion punktów do lansu. Prestiż i rozgłos to podstawa, to one przyciągają klientów, a w ślad za nimi idą pieniądze, tego ci chyba nie muszę tłumaczyć?

Kręci głową w milczeniu.

– A ci smutni panowie, o których z takim przejęciem wspominasz... – Śmiejesz się cynicznie, cichutko. – Będą pierwsi w tej kolejce.

Wstajesz. Dosyć na dzisiaj.

– Tu jest moja wizytówka. – Przesuwasz po blacie kartonik z imieniem, nazwiskiem i numerem telefonu, niczym więcej. – Zadzwoń, jeśli się zdecydujesz.

Chłopak nakrywa dłonią ten swój bilet do krainy czarów i śpiesznie chowa go do kieszeni.

– Ile mam czasu? – rzuca, ważąc coś w myślach.

– Gala jest za trzy miesiące. A wypadaloby się trochę przygotować.

Nieśpiesznie podchodzisz do szklanych drzwi. Młodzian automatycznie podrywa się z fotela, okazując szacunek dla klienta, podstawę w tej branży.

Już na progu odwracasz się na chwilę, zawieszasz wymowne spojrzenie na oferowanym przez sprzedawcę aucie.

– Jak już będzie po wszystkim, kupię tę brykę – obiecujesz z kolejnym uśmiechem. – Podoba mi się. Serio.

Wychodzisz, zostawiając za sobą miarowo wachlujące drzwi i niewątpliwy mętlik w myślach człowieka, którego postanowiłeś użyć do własnych pokrętnych celów.

Przy czym dobrze wiesz, że żaden z was nie powiedział całej prawdy.

– To tylko czyni rozgrywkę ciekawszą – mruyczysz, wsiadając do równie ekskluzywnego samochodu jak ten, który teoretycznie przyszedłeś tu kupić. Jest pożyczony, ale samo przejechanie się nim to przyjemność sama w sobie.

Zaiste w tym rozdaniu masz naprawdę dobrych sponsorów.

## 5.

Chłopak wbija wzrok w nalane kształty Mira, po czym ostentacyjnie kręci głową.

– Szok i niedowierzenie – konstatuje brutalnie. – Naprawdę to ten pan będzie mnie uczył walczyć?!

Były czempion nie daje się wyprowadzić z równowagi.

– Gdzieżbym śmiał. – Unosi dłonie do góry w poddańczym geście. – Ja tu tylko sprzątam. Zmywam krew.

Młody przełyka ślinę. I przenosi spojrzenie na ciebie.

– No więc?! – ponagła z wyraźną nutą zniechęcenia.

– Właśnie przegrałeś walkę – konstatujesz. – Właściwie to już możesz wyjść.

Patrzy na ciebie szeroko otwartymi oczami. Jak to? Tyle się nagadałeś, żeby go tu ściągnąć, a teraz...?

– W tym twoim podwórkowym klubiku nauczyli cię czegoś więcej poza chojrakowaniem? – Siadasz na rozkładanym krzeselku przy drabinkach. – A może wspominali coś o cnocie cierpliwości, tylko zapomniałeś posłuchać?

Czerwienieje nieco.

– W jakim klubiku? – usiłuje protestować, chociaż na pewno zdaje sobie sprawę, że akurat to kłamstwo nie ma u ciebie żadnych szans.

– Trenowałeś, co do tego nie mam wątpliwości – cedzisz przez zęby. – Albo coś ogólnego, albo wszystkiego po trochu. Ruszasz się jak sportowiec. Uszy masz trochę kalafiorki, czyli coś tam w parterze ogarniasz. Zapasy? Brazylijskie dżu-dżitsu? Pięści owszem, nieco zdarte, ale nie bokerskie, bez zgrubiałych kłykci, no i na pewno nie zdarte po karate. Nos nie bokerski, z pewnością. Łuki brwiowe całe. No więc? Co to było i gdzie?

– Takie tam... – mruczy, ewidentnie spuszczać z tonu. – Na osiedlu, z chłopakami, trochę tego, trochę tamtego...

– Dobrze. – Kiwasz głową. – Bardzo dobrze. Czyli w tak zwanym światku nikt cię nie zna.

Milczy przez chwilę. Coś ukrywa, wiecie o tym obaj z Mirem. Ale nie

szkodzi. Tym lepiej nawet.

Dźwigasz się z miejsca.

– No to pokaż, co potrafisz.

Błysk w jego oku sprawia, że niemalże chce ci się zaśmiać w głos. Ach, ta młodość! Wciąż szuka wrażeń, pędzi do przodu, wygląda okazji do sprawdzenia się. A świata nie zdziwisz, kolego. Niestety.

Przechodźcie na matę. Rękawice, ochraniacze i do dzieła.

– Najpierw stójka. Ręce, nogi, tylko bez markowania. Zaczynaj.

Unosi gardę, zaczyna się miarowo poruszać, jego mózg aż paruje. Tysiące kombinacji, planów, koncepcji, jak cię zniszczyć. Nudno. Wiesz, że jak sam nie zaczniesz, to zamęczy cię samym tym skakaniem.

Powoli podchodzisz, w półdystansie wyprowadzasz prawy prosty, potem lewy. Nie za szybko, obserwujesz, jak się zachowa. Pojedynczy sierp, wolno i szeroko. Czekasz na jakąś reakcję. Nic. Skacze i kiwa się. Noż kurwa.

– Młody! Przestań tańczyć jak ciota i spróbuj uderzyć! Skradasz się jak jakiś pieprzony prawiczek przed pierwszym seksem.

Wyprowadzasz podwójny szybki prosty lewą ręką. Pierwszy to podpucha, drugi absorbuje gardę i uwagę, zaraz za nim idzie szybki krótki sierp. Strzał. Trafiony, zamroczony. I to zdziwione spojrzenie. Lubisz to.

Ale wreszcie obudziłeś w nim bestię, wreszcie chce ci oddać, chce zabić. Dobrze...

Teraz on przejmuje inicjatywę. Wyprowadza kolejno serie prostych i sierpów. Różne kombinacje. Trzeba przyznać, że coś tam liznął, ale to wciąż liga podwórkowa. Sierpy są tak szerokie, że przechodząc gładko pod nimi, czujesz się jak Neo w „Matrixie”.

Dobra, mamy już ręce, zobaczmy nogi. Znowu go podpuszczasz. Wyprowadzasz nie za szybkie, proste kopnięcia w przód. Nie mają mu nic zrobić. Chcesz tylko zwrócić jego uwagę.

Reaguje zupełnie klasycznie, cofa się. Sam próbuje low kicków, prawy, lewy. Bez wiary, więc i bez efektu. Ale idziemy dalej. Atakujesz, dwa wymachy na gardę, gdy trochę opada, dodajesz kopnięcie po obrocie. Nie chcesz go zabić, nawet nie trafić. Raczej sprowokować do ataku. Po kopnięciu obrotowym tylko frajer by nie skorzystał..

Młody skorzystał, frajer.

Wyprowadza wysoką mawachę. Boże, jaki on jest przewidywalny. Błyskawicznie skracasz dystans, wręcz wchodzisz mu w to kopnięcie. Zastawiasz dolną nogę i sekundę później młody z gracją martwego słonia spada na ziemię. Walnął, aż echo poszło.

– Skoro tak płynnie przeszliśmy do parteru, przekażę cię w ręce mojego kolegi. Miro, twoja kolej.

Wycofujesz się na ławkę, skupiając się na poskromieniu galopującego

oddechu. Utracona połowa płuca przydałaby się teraz, i to bardzo. Ale cóż, jest, jak jest, a życie toczy się dalej.

Przyjaciel ospale i z wyraźnym wysiłkiem wstaje z ławeczki i kładzie się na macie.

– Dawaj, młody, bądź dla mnie łagodny, przecież ja tu tylko sprzątam.

Chłopak pała żądzą zemsty. Liczy na to, że pomimo przewagi masy grubas na ziemi będzie powolny i niemrawy. Ochoczo podchodzi do Mira i zaczyna badać teren. Trochę po prawym kręgu, trochę po lewym. Miro spokojnie i jakby niemrawo obraca się, tak by sylwetkę młodego mieć stale przed sobą. Czeka.

Ośmielony chłopak nieopatrznie podchodzi zbyt blisko. Szykuje się do ataku. Podsuwa się odrobinę do przodu, spina niczym wąż... i wtedy Miro błyskawicznie prostuje nogi, zakłada dźwignię na kolano i obala przeciwnika. Niby wolny, wręcz ślamazarny grubas dopada go w gnieniu oka. Masa plus grawitacja równa się brak oddechu.

Jeśli młody żył do tej chwili w przekonaniu, że jest szybki i zwinny jak kobra, to teraz spotkał na swojej drodze prawdziwego pytona. Powietrze. Kończy się. Coraz szybciej. Niespodziewanie pyton zwalnia uścisk, przetacza się na bok i wpuszcza kobrę na siebie. Młody nie może uwierzyć w swoje szczęście. Teraz on jest na górze i wygrywa.

Jego ręce już atakują gardę Mira i zmierzają do szyi. Będzie kąsał, gryzł. Wygrywa? Naprawdę? Ty wiesz. Miro wie. Młody jeszcze nie. To była podpucha: twój przyjaciel wpuszcza ręce chłopaka między swoją gardę, po czym błyskawicznie ściąga je do siebie i obejmuje go nogami. Sankaku, czasem nazywane trójkątem. Dobrze założone kończy każdą walkę w parę sekund. Jeśli młody nie odklepie, odpłynie najdalej za dwadzieścia sekund. Dalej, dzieciaku, odklep. Odklep, to nie wstyd...

Nie odklepał, odjechał.

Kiedy dojdzie do siebie, trzeba mu będzie przypomnieć zasady bezpieczeństwa, ale serca do walki nie można mu odmówić.

Miro rozluźnia uścisk. Po chwili chłopak otwiera oczy i siada na macie, wyraźnie naburmuszony.

– No dobrze – syczy przez zęby. – Skoro nie daję sobie rady z dwoma kalekami – wymownie spogląda na ciebie, a potem przenosi wzrok na wciąż leżącego, zdyszanego Mira – to na bank nie dam rady mistrzowi. Możecie mi więc łaskawie powiedzieć... – podrywa się nagle, zaczyna nerwowo krążyć po sali – po jasny chuj żeście mnie tutaj ściągnęli?! Co ja tu, do kurwy nędzy, robię?!

Zaplatasz palce dłoni, wspierasz na nich podbródek i nie ruszywszy się z krzesła, rzucasz spokojnie:

– Mistrz ma kontuzję lewego kolana.

Chłopak fuka w odpowiedzi.

– Nie on pierwszy, nie osta...

– Co za debil! – Miro siada na macie, wyraźnie rozzłoszczony. – Wiesz co? Wypierdalaj! Chuja się znasz na...

– Spokojnie – hamujesz go. – Przecież to zwykły kelner, skąd ma się znać. – Przenosisz wzrok na chłopaka i kręcisz głową w jawnej dezaprobacie. – Właśnie dostałeś informację wartą grubym szmal. Szkoda, że jesteś taką nieogarniętą cipą!

Młody zatrzymuje się i wbija w ciebie skupiony wzrok.

– Finałowa walka to nie mizianie się po buźkach – ciągniesz spokojnie. – Przeciwnicy starają się dowiedzieć o sobie jak najwięcej. To są godziny, co ja mówię: dziesiątki godzin obserwacji nagrań z poprzednich walk, wychwytywanie słabych i mocnych stron, budowanie strategii. I to nie pojedynczo, tylko całym pierdolonym zespołem! Zawodnik, kilku trenerów, dietetyk, rehabilitant, cały sztab ludzi pracuje na ten sukces. Każda słabość, każda kontuzja jest najpilniej strzeżoną tajemnicą. Oficjalnie zawsze przed walką zawodnicy są w świetnej formie. Jak myślisz: dlaczego? Co zrobiłby obecny wicemistrz, gdyby miał dostęp do tej informacji?

– Napiierdalałby w to kolano ile wlezie. – Przez twarz chłopaka przemyka wreszcie błysk zrozumienia. – Wykorzystał każdą okazję!

– A więc nie muszę cię uczyć elementarza – rzucasz z przekąsem. – Dobre chociaż to.

Wstajesz z krzeselka, radując się powrotem w miarę przyzwoitego oddechu, i podchodzisz do brata w niedoli. Dałeś mu chwilę, ale skoro do tej pory sam nie wstał, to raczej już nie wstanie. Nie chcąc go upokarzać, wyciągasz dłoń, jakby to był zwyczajny przyjacielski gest.

Miro chwyta twoją rękę i posapując, próbuje się podnieść z podłogi. Trwa to chwilę, wreszcie wspólnym wysiłkiem udaje wam się przywrócić do pionu te żalodne kilogramy.

Chłopak patrzy na was, ale już trochę inaczej: z kielkującym ziarenkiem szacunku?

– A tak właściwie to jak masz na imię? – Miro łże mu w żywe oczy, przecież sprawdził wszystko, co się dało, łącznie z wynikiem skali Apgar przy urodzeniu.

– Piotr. – Chłopak wyciąga dłoń. – Piotrek jestem.

Ściskacie ją po kolei i odchodzicie do swoich siedzisk. Młody stoi w miejscu przez chwilę, wreszcie nie wytrzymuje:

– A jak mam do was...? – zawiesza głos w znaczącym niedopowiedzeniu.

Rozpieracie się na swoich składanych krzesłach, jakbyście siedzieli w skórzanych fotelach. Oto znów zostaliście szafarzami dóbr.

– Trenerze – odpowiadasz po prostu. – Do każdego z nas możesz mówić: trenerze!

Powoli, w milczeniu zawodnik kiwa głową.

## 6.

Strach zaciska ci gardło.

Witasz go jak starego znajomego. Jest nieprzyjemny, to fakt. Bardzo nieprzyjemny. Ostrymi pazurami rozdziera ci duszę, a ta wykrwawia się paskudnie, powoli. Ale wiesz – bo doświadczyłeś tego już tyle razy, że po prostu wiesz: to nie wiara, to fakt – że zaraz po ostatnim z jego strzałów nadejdzie wielka nagroda. Przelewająca się przez całe ciało euforia.

Nieważne, czy walka skończy się zwycięstwem, czy porażką. Sam ten błogosławiony spręż, adrenalinowy haj jest doświadczeniem najbardziej dojmującym z możliwych. I choć niby działasz w nim na zimno, z wyrachowaniem, to jednak gdzieś z tyłu głowy – może jeszcze w mózgu, a może gdzieś niżej, w rdzeniu kręgowym – pulsuje to, o czym zawsze marzysz i bez czego jesteś jak ćpun na odwyku: życie w czystej postaci.

Czekasz więc na tę nagrodę, cierpliwie znosząc chwilowe tortury. Wpatrujesz się w niebieskawą poświatę ekranów w control roomie. Poszczególne służby zgłaszają gotowość. Zaraz zaczniecie wpuszczać publikę.

Wtem drzwi do waszego pomieszczenia otwierają się, słychać szmer podnieconych szeptów, a ludzie podnoszą się z miejsc.

Mistrz przyszedł! Przybył ON we własnej postaci!

Wstajesz jak inni, milcząco patrząc mu prosto w twarz.

Tę samą twarz, która pokrzwawiona pochylała się nad tobą na ringu, kiedy powietrze uciekało ci z rozpaczliwym świstem ze zmiażdżonej klatki piersiowej i płuc poszarpanych ostrymi odłamkami żeber. A w ślad za nim koniecznie chciało opuścić cię życie.

On też patrzy na ciebie. Witacie się powolnymi skinieniami głów.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Rozlega się chór nieśmiałych potakiwań, a ON rozgląda się po pomieszczeniu.

– Ostatnia walka... – rzuca w zadumie. – „Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny ze sceny zejść... niepokonanym!” – nuci cichutko.

Hamujesz się, by nie zerknąć na reakcje swoich ludzi, zajmujących kluczowe stanowiska w control roomie. Niejednego zgubiły takie durne spojrzenia. Na złodzieju czapka gore, jak powiadają.

Mistrz odwraca się i nie mówiąc już nic, znika za drzwiami.

– To jakaś nowa tradycja? – sapie medyk. – Nigdy dotąd żaden tu nie wchodził... Chyba im nawet nie wolno?

– Kończy karierę – rzucasz niedbale. – Żegna się. Można od czasu do czasu zrobić wyjątek. Być człowiekiem, nie? – Wracasz do swojego ekranu.

Nie komentują. Jesteś tu szychą, odpowiadasz za bezpieczeństwo

imprezy. Nikt nie będzie z tobą dyskutował.

Publiczność wlewa się na trybuny ożywionymi strumieniami. Omiotasz wzrokiem sylwetki żądnych widoku krwi biznesmenów z nieodłącznymi pięknymi kobietami u boku. Zajmują cenne miejsca przy stolikach strefy VIP, tuż przy siatce klatki. W ślad za nimi do hali wsypują się zarówno zwyczajni Janusze z Grażynami, jak i grupki nakoksowanych pseudogangsterów plus ich jednakowo wyglądające dziewczyny, których szczytowym osiągnięciem wydaje się paranie najstarszym zawodem świata. Zasiadają wprawdzie na dużo skromniejszych krzeselkach widowni, ale żądza krwi władza nimi tak samo. Mimo tysięcy lat uporczywego cywilizowania gatunku ludzkiego pierwotne instynkty wciąż korzenia się głęboko. I nieodmiennie przynoszą dochód tym, którzy potrafią z nich skorzystać.

Zerkasz na jeszcze jedną strefę, tym razem ledwo hamując pełen satysfakcji uśmieszek. Prawie jak VIP: co prawda bez stolików, ale na wyściełanych krzesłach, z doskonałym widokiem na ring. Tłoczą się tam specjalnie zaproszeni przez ciebie i Mira hejterzy, internetowi znawcy tematu, gorliwie komentujący wszelkie poczynania zawodników. To taki specjalny prezent od was dla Mistrza w tym jego ostatnim przedstawieniu.

Światła reflektorów miotają się po hali, oślepiając publikę, muzyka napiera ostrym techno. Nastrój buduje się nieustępliwie, wzmacnia podniecenie, uwalnia pierwsze krople adrenaliny. Wszyscy tutaj jesteście profesjonalistami. Wiecie, jak robi się show.

– Hej, patrzcie no! – rzuca strażak sprzed swojego ekranu i stuka weń długopisem w podnieceniu. – Tam, na widowni... To przecież Miro! Miro „Zielony Smok”!

Zaciskasz wargi. Strażaka, niestety, musieli zmienić w ostatniej chwili, nowy jest kompletną świeżynką. To jego pierwszy występ tutaj.

– Wyluzuj – karcisz go naprędce. – Zajmij się swoją robotą.

– Ale, człowieku, znasz jego historię? – Tamten nie przestaje się podniecać. – Był superczempionem z wojskowego klubu, ale potem odwaliło mu i uparł się, że zostanie prawdziwym wojownikiem, pojechał na misję... I przywiózł stamtąd kilka kul, w tym jedną w kręgosłupie. W kicach totalny burdel, coś tam mu, zdaje się, musieli przeszczepiać. No i teraz całe życie na sterydach. Koniec kariery, ciach!

– Miro pracuje tutaj z nami – rzuca lodowatym tonem jeden z twoich pomocników. – A ty zajmij się swoją robotą, jeżeli masz zamiar jeszcze kiedykolwiek tu zaistnieć!

Strażak urywa, czerwieniejąc, i wraca wzrokiem do ekranu.

Chcesz posłać dziękczynne spojrzenie interweniującemu koledze, ale nie możesz, bo nagle oczy samowolnie zaczynają wpatrywać się w ciemność wywalonego w powietrze rosomaka, rozrywaną hukiem



eksplozji kolejnych ajdików i prześmierdłą dymem palonych ludzkich ciał. Pośród jadowitego terkotu broni maszynowej wrywasz Mira, zakleszczonego obok ciebie w trzewiach płonącego pojazdu, a instynkt przetrwania, wrzeszczący w twojej głowie oszalałym strachem, nakazuje natychmiast rzucić wszystko i wiać gdzie pieprz rośnie. Ale ty niezmordowanie ciągniesz przyjaciela, ciągniesz go i ciągniesz, wreszcie ostre słońce kaleczy ci oczy przez potrzaskane odłamki gogli. Zwalacie się obaj na jałowy piach z gracją wyrzuconych na plażę wielorybów, a ty nie wiadomo skąd wziętymi siłami dobywasz broni i strzelasz, strzelasz bez opamiętania...

Stop!

Z wysiłkiem ściągasz się z powrotem do rzeczywistości, zdrętwiałymi palcami poruszasz myszką. Jest cała mokra od zimnego potu, który ściekł z twoich rozdygotanych rąk.

Zmuszasz się do spojrzenia na ekran. Miro jest dokładnie tam, gdzie miał być. Siedzi w pierwszym rzędzie, z doskonałym dostępem do ringu. A obok niego Piotrek, cały w nerwach.

Ten widok mógłby cię zaniepokoić, ale przez te trzy miesiące zdążyłeś już poznać chłopaka i wiesz, że przed walką jest nakręcony jak diabeł tasmański na sterydach. Potem jednak dzielnie przyjmuje na klatę ten ostatni strzał strachu... i staje się zimny i opanowany.

Jak wy.

W sumie to poniekąd szkoda, że sprawy potoczą się tak, a nie inaczej. W innych okolicznościach moglibyście się nawet z młodym zaprzyjaźnić.

Ryk wyrwany z tysięcy gardeł przerywa twoje głupekowate dywagacje. Ludzie podrywają się z miejsc, wiwatując na cześć zawodników, majestatycznie wyjeżdżających na scenę. Konferansjer w charakterystycznych zaśpiewach przedstawia każdego z objawiających się herosów. Teatralna wojna rozpoczyna się na dobre.

Dzisiejsza konwencja to starożytny Rzym: zarówno scenografia, jak i stroje walczących poddane są tej stylizacji. Oto przenosimy się w czasy dawnych gladiatorów.

Zawodnicy witają się ze sobą z szacunkiem. Na razie nie przyjęła się tu jeszcze zachodnia maniera „trash talku”. Obrzucanie się wyzwiskami jest uważane za niesmaczne i po prostu się nie sprzedaje. Oczywiście, jeśli tylko gusta publiczności się zmienia, rynek natychmiast się do tego dostosuje i wojownicy zaczną znieważać swoje matki i przodków do dowolnego pokolenia wstecz. Ale na razie jest, jak jest.

Sędzia rzuca parę uwag. Walczący zajmują pozycje.

Siedzisz spokojnie w swoim obracającym fotelu, nie poddając się wszechogarniającemu podnieceniu. Wynik tej walki jest ci dobrze znany: Mistrzowi pozwoli się wygrać. Ze sceny zejść niepokonanym. Ten biznes potrzebuje również nieśmiertelnych gwiazd.

Tłum szaleje z zachwytu. Po ciężkiej, spektakularnej walce Mistrz obronił tytuł. Poklepują się teraz po plecach z wicemistrzem, przytulają serdecznie. Przeciwnicy na ringu, prywatnie członkowie tego samego elitarnego klubu zwycięzców. Tylko oni wiedzą, ile ich kosztowało, żeby się do niego dostać.

Podają sobie dłonie, potem dziękują sędziemu i narożnikowi przeciwnika. Wicemistrz wychodzi z klatki pokonany, ale bez wstydu, za to ze sporą sumką na koncie za elegancko przegraną grę. Taki biznes.

A teraz... Serce zaczyna łopotać znajomym rytmem. TERAZ!

Zaczyna się!

Lęk objawia się mroźnymi ukąszeniami, kiedy Mistrz, wznosząc triumfalnie ręce, oznajmia:

– Na sam koniec, na pożegnanie, zamierzam dotrzymać dawno danej obietnicy. Zapraszam do walki kogoś z publiczności! Niech wstanie ten, który ośmieli się ze mną zmierzyć! Kto jest gotów?! Kto z was podejmie rękawicę?

Tłum zrywa się z miejsc i głośno wiwatuje. Dziś wieczorem każdy z nich może zmierzyć się z czempionem. To jakby samemu stać się Mistrzem. Gaśnie światło, zapada cisza. Pojedynczy reflektor w całkowitej ciemności ślizga się po ławeczkach, szukając swojego celu. Wszyscy czekają w napięciu. Prócz ciebie: znasz przecież tę trasę. Koledzy prowadzą reflektor jak po sznurku, aż wreszcie promienie beżlędnie trafiają w punkt. Światło zatrzymuje się na Piotrze.

Przeciwnik został wybrany.

Hala znów ożywa setkami dźwięków: gwizdy, wiwaty, oklaski. Piotr powoli schodzi na dół. Nie reaguje na zaczepki z boku. Jest skoncentrowany: oto nadchodzi jego chwila. Chwila, do której przygotowywał się przez ostatnie trzy miesiące. Miesiące ciężkiego treningu, bólu, łez i tysięcy litrów wylanego potu. Z osiedlowego fighterka zmienił się w tym czasie w wojownika. A teraz czeka na cud: nikomu nieznany młody zawodnik pokona Mistrza.

Oklaski.

Piotr przeciska się przez stoliki strefy VIP, śmiało wchodzi do klatki. Tuż za nim człapie Miro, zajmuje miejsce w narożniku jak oficjalny trener. Nikt nie zdaje się zwracać na niego uwagi.

– Jak się nazywasz, młodzieńcze? – Konferansjer przysuwa mikrofon do warg przybysza.

– Piotr.

Prowadzący śmieje się lekko.

– Po prostu Piotr? Może jakieś ładniejsze zawołanie? Tygrys? Kiler? Wilk?

– Po prostu Piotr. Wystarczy. – Wasz wychowanek nie daje się zbić z pantaląku. Przenosi wzrok na Mistrza. – Walczyć z panem to dla mnie zaszczyt!

Ten uśmiecha się wyrozumiale.

– Będę łagodny – obiecuje.

Przełykasz ślinę. Łagodny, jasne.

Po tym, kiedy Ojczyzna zrezygnowała z waszych usług, Miro wciągnął cię w ten świat, podarował swoje stare znajomości i układy. Szło ci nie najgorzej: zdobywałeś kolejne punkty, mozolnie wspinałeś się po drabince sukcesu i pompowałeś ego wodą sodową, głupi smark. Więc kiedy Mistrz potrzebował dawcy punktów do kolejnej walki, nie wahałeś się ani chwili, mimo powątpiewających pomruków Mira. Wystąpiłeś jako totalny ogór, niestety: okazałeś się za dobry. Mistrz nie miał z tobą łatwo i nie mógł być tak łagodny, jak by może i chciał. Skończyło się półrocznym pobytem na OIOM-ie, usuniętym płatem lewego płuca i kolejną koniecznością znalezienia innego pomysłu na życie.

A miało być tak pięknie.

Zawodnicy podają sobie dłonie. Przymykasz oczy i znów widzisz tę chwilę: zalewa cię oślepiająca jasność, kiedy wychodzisz na ring...

Stop!

Chłopie, kurwa, masz teraz robotę do zrobienia! Ogarnij się!

Konferansjer znika, w jego miejsce pojawia się sędzia.

– FIGHT!

Piotr zaczyna spokojnie, tak jak został przygotowany. Atakuje strefami i systematycznie sprawdza, szukając słabych punktów Mistrza. Jest pewny siebie. Zbyt pewny. Mistrz, choć niedawno skończył walkę, wciąż pozostaje pełen energii. Wydaje się świetnie bawić. Bez problemu unika każdego ciosu. To jak trening z workiem: w sumie zawsze wiesz, gdzie się go spodziewać. Pełny relaks.

Na trybunie tymczasem pojawiają się zupełnie inne emocje. Najpierw brawa, okrzyki radości, żądza krwi. Tłum chce zobaczyć, jak Mistrz składa im w ofierze młodego zawodnika. Ale Mistrz nic sobie z tego nie robi: walkę, którą powinien wygrać w dziesięć czy piętnaście sekund, przeciąga coraz bardziej. To staje się żalosne, tłum okazuje gniew. Gdzie krew? Gdzie ofiara? Czy za to zapłacili tyle kasy?

Patrzysz na zegar. Minęła minuta. Dokładnie.

No dobra. Czas!

## 8.

Przełączasz widok na swoją tajemną jaskinię węży i wciskasz guzik

komunikatora.

– Zająć pozycje wyjściowe! – polecasz.

– Zająć pozycje wyjściowe – potwierdza dowódca oddziału. Złowrogie szeregi przeciskają się przez korytarze, docierają do wrót. Zatrzymują się tam w oczekiwaniu na twój rozkaz.

– Zgłaszam gotowość! – meldują poszczególne sekcje.

– Przyjąłem – informujesz, po czym przełączasz się na kanał ogólny. Słysząc cię teraz w całej hali. – ZESPÓŁ SPRZĄTAJĄCY PROSZONY DO ODBLOKOWANIA DROGI POŻAROWEJ NUMER TRZYNAŚCIE!

Czarne kropki ochroniarzy i czerwone ratowników zastygają w zdumieniu, a potem śpiesznie kierują się do wyjść. Nikt nie zwraca na nich uwagi, wszystkie oczy wpatrzone są w ring.

Tam Mistrz właśnie wchodzi młodemu w nogi, ten bezskutecznie próbuje trójkąta, ale jedyne, na co go stać, to wymłócenie paru dość bezradnych ciosów na głowie przeciwnika. Padają obaj, Mistrz przechodzi do półgardy... po czym niemal ostentacyjnie odpuszcza i pozwala przeciwnikowi wstać.

Wśród publiczności rozlegają się gwizdy, z początku pojedyncze, potem cała sala daje upust nagromadzonym emocjom. To nie jest widowiskowe, ani trochę. To nie walka, to rzeź!

A ty wpatrujesz się w ekran coraz bardziej zachłannie.

Droga pożarowa numer trzynaście nie istnieje. Ten tekst to hasło dla służb, że zaraz odbędzie się ewakuacja. Mają parę minut, by wydostać się z tłumu i przejść w bezpieczne, z góry ustalone miejsce.

Medyk i kilku innych niewtajemniczonych w control roomie zerkają na ciebie zza swoich ekranów, nie ośmielają się jednak protestować. Jesteś tu panem i władcą. Jeżeli uznałeś, że jest niebezpiecznie, to jest i kropka, i nie musisz się nikomu tłumaczyć.

Tymczasem na ringu młody coraz bardziej rozpaczliwie atakuje kolano Mistrza, ale chyba już zaczyna rozumieć, że wbrew obiegowym plotkom jest ono całkiem zdrowe. Jak wielu początkujących, dał się ponieść fantazjom o własnym wyjątkowym szczęściu i niespodziewanej wygranej, która poniesie go w triumfie aleją gwiazd. A tu niespodzianka: stary wyga robi z nim, co chce.

Sala to śmieje się do rozpuku, to gwizdże co siłą.

A ty znosisz coraz wścieklej kąsające ataki strachu. Bo to zaraz, już.

I wreszcie nadchodzi ten upragniony, ostatni strzał.

## 9.

Na ringu upokorzony chłopak wali desperackimi seriami haków, bez

opamiętania. Obudził się w nim berserk. Umrze, ale nikt nie powie, że nie walczył aż do końca. Nikt!

Mistrz jednak nie bez przyczyny jest Mistrzem. Cały czas to on rozdaje karty w tej grze. Przyjął kilka ciosów młodego z pełną premedytacją na gardę. Pozwolił mu wejść do zwarcia i bawi się tymi próbami zadania mu bólu. W następnej chwili lekko podcina chłopaka, obala na bok i na plecy. W parterze zabawa trwa dalej. Po kolei: dźwignia na nadgarstek, łokieć i bark. Przetoczenie i duszenie od tyłu.

Młody zawodnik wprost kipi z bezsilnej złości, dobrze wiedząc, że Mistrz się z nim bawi. Zwyczajnie bawi. Tłum szaleje, w końcu ma swoją ofiarę, swojego baranka prowadzonego na rzeź. Mistrz nie zamierza jeszcze kończyć. Okrzyki z trybun mówią mu, że ten cyrk im się podoba. Chcą więcej? Niech mają! Odpuszcza duszenie i powoli wstaje. Unosi ręce w zwycięskim geście, podburzając tłum do oklasków.

Piotr podnosi się chwiejnie. Skończyły mu się pomysły. Upokorzony i wściekły patrzy spode łba.

I w tej chwili dostrzega szansę. Przeciwnik z uniesionymi rękoma stoi do niego bokiem, prawie tyłem. Młody wykorzystuje okazję: doskakuje, chwytając Mistrza w pól i wynosząc wysoko w górę, rzuca przez swoje plecy. Ten, zdaje się, zupełnie zaskoczony, nie zdążył zakorzenić pozycji, nawet nie zaoporował. Wyleciał w górę i teraz bez żadnej kontroli spada na kark. Suples, ura-nage... jak zwał, tak zwał. Ważne, że działa. Jak wejdzie, zawsze działa.

Mistrz upada i zostaje tak bez ruchu.

Cisza. Absolutna cisza. Tłum, który przed chwilą krzyczał tak ochoczo, teraz milczy w niedowierzaniu.

Na matę wbiegają noszowi z obsługi medycznej gali, ładują bezwładne ciało i błyskawicznie znikają w mroku korytarza.

Sędzia powoli, z namaszczeniem unosi do góry rękę zwycięzcy.

– Proszę państwa! Cóż za nieoczekiwany koniec walki! Nikomu nieznany, przypadkowo wybrany młody zawodnik Piooootrriiiii! Zostaje zwycięzcą, pokonując Mistrza przez nokaut!

Hala wybucha jednogłośnym wrzaskiem, w którym miesza się oburzenie z powodu porażki Mistrza, podziw dla nowego zwycięzcy, podejrzenie oszustwa i milion innych uczuć, których widzowie nie są nawet świadomi. Ale krzyczą, by wyrzucić je z siebie, jakby strwożeni, że te eksplodują im w środku i zamienią ich w bezwładne kukły, podobne do tej, którą przed chwilą zniesiono z ringu.

Miro podchodzi do zdumionego Piotra, obejmuje go czule ramieniem, niczym syna. Sięga po mikrofon. Sędzia podaje mu go z ukłonem, po czym sam ulatnia się zgrabnie, jakby go tu nigdy nie było.

Przyciskasz guzik interkomu. Nie boisz się już niczego.

– Teraz! – rozkazesz swoim wiernym sprzymierzeńcom. Długo

czekali na tę chwilę, tak samo jak i ty. A teraz wreszcie nadszedł wasz czas.

Otwierają się bramy. Wężowe szeregi wojowników zaczynają oplatać niczego nieświadomą halę.

– Jak widzicie, każdy może być zwycięzcą! – krzyczy Miro, jakby zapomniał, że przecież ma mikrofon. – Każdy, każdziuteńki! Pan, pani, pani... pan też! – Przesuwa palcem wskazującym po publiczności. – Ja i ty! I ty, i ty, i ty! Wystarczy odrobina szczęścia, nic więcej. Prezent od losu, na który przecież każdy z was w pełni zasługuje! Nie trzeba codziennego żmudnego wysiłku ani bezsensownego marnotrawienia potu, krwi i łez. Oto mamy dwudziesty pierwszy wiek! Dziś rycerzem Jedi zostaje się w trzy dni!

Niepewny początkowo tłum nagradza go w końcu brawami. Miro stoi bez ruchu, niczym zaklęty w posąg. Snop czerwonego światła krzepnie na nim, jakby broczył krwią.

– A teraz, skoro już przekonaliście się o tym na własne oczy... – Miro milknie na chwilę, po czym skanduje doniośle: – Czas zamienić się miejscami! – Odwraca głowę ku weneckim szybom control roomu, jakby chciał spojrzeć ci prosto w oczy. Jesteś tu ze mną, bracie? Widzisz to? Czujesz? – Wy wszyscy, którzy tak doskonale znacie się na walce! Którzy w każdym momencie wiecie najlepiej, co zawodnik powinien zrobić, i nie wahacie się obwieszczać o tym całemu światu... macie teraz okazję sprawdzić skuteczność waszych bezcennych rad w praktyce!

Jakże żałujesz, że nie możesz być tam razem z nim. Ale masz swoją robotę. Tu, za kulisami przedstawienia.

– ZAPRASZAMY NA RING! – oznajmiasz przez głośniki. – WSZYSTKICH, BEZ WYJĄTKU!

Ludzie śmieją się. Ten i ów podnosi się z miejsca. Cóż za doskonały żart. Wspaniałe widowisko, bez dwóch zdań!

– Zapłaciliście za bilet i uważacie, że jesteśmy kwita – ciągnie Miro z mocą promieniującą z każdego ze słów. – Widzicie, jest pewien problem: czasami za krew trzeba zapłacić własną krwią! My, gladiatorzy, też zasługujemy na odrobinę zabawy!

Stalowe szeregi wślizgują się między sektory. Uśmiechy rzedną na twarzach, ludzie zaczynają się rozglądać dookoła z niepokojem. To niemożliwe, przekonują się słabo. Nikt nie ośmielił się odebrać suwerenowi jego niezbywalnego, świętego prawa do bezpieczeństwa!

– NAPRZÓD! – rozlega się twój ryk w głośnikach.

Opancerzone szeregi ruszają na widzów. Ci, skonsternowani, z początku tkwią w bezruchu, niczym zdurniałe stado owiec. Potem w panice ruszają ku wyjściom. Twój gladiatorzy nie zamierzają im przeszkadzać. Ci, którzy dotarli do drzwi, szybko orientują się dlaczego: zablokowane. Zabite na głucho.

Rozszalały tłum napiera na nie bez umiaru, kamery na monitorach ukazują pierwsze ofiary: przyduszone, zgniecione, zdeptane. Na razie żadnych śmiertelnych... Na razie.

Medyk w spóźnionym proteście zrywa się sprzed ekranu, ale twoi ludzie są wszędzie, również i tutaj. Zawijają go bez trudu. Ekran pomocy medycznej pozostaje sam, bez żadnego wsparcia. Patrole medyczne zgromadzone w bezpiecznej strefie na zewnątrz zapewne zachodzą w głowę, co też może się dziać na hali. I dlaczego nikt ich nie wzywa.

– JEDYNE CZYNNY WYJŚCIE TO TO ZA ARENĄ! – objaśniasz strwożony tłum. – ZAPRASZAMY DO WALKI! WSZAK PO TO TU PRZYSZLIŚCIE?

W klatce stoją już wyprostowane postacie, gotowe do przyjęcia wyzwania. Na głowach mają starożytne hełmy gladiatorów, jakby to duchy dawno zapomnianych zwycięzców przyszły upomnieć się o swoje. Wokół nich jednak świeci pustka, jakby ring wytworzył magiczny, zadżumiony krąg, którego nikt nie ośmieli się przekroczyć. Nawet klienci strefy VIP stłoczyli się w odległym kącie sali, z niedowierzaniem rozglądając się dookoła. Świat oszalał. Nagle ich wszechmocna złota karta nie kupuje... właściwie to nie kupuje niczego.

– A chuja tam! – Grupka podchmielonych koleś w dresach odrywa się od tłumu, dziarsko kroczy przed siebie, prosto w zakazaną strefę. – Raz kozie śmierć!

Wdrapują się na arenę i od razu zostają zmieceni. Wycofują się pokrwawieni, poturbowani... I z bardzo poszerzoną wiedzą w zakresie własnej doskonałości.

Gladiatorzy, nietknięci, pozostają w miejscu jak posągi. I tylko ich oczy przemykają po tłumie, wyławiając, oceniając, szacując potencjalnych przeciwników i ofiary.

Z piersi wyrывa ci się uszczęśliwiony dech. Wybieraliście tych ludzi z Mirem długo, starannie. Spędziliście godziny, słuchając historii bolesnych porażek, niezrealizowanych planów i umierających marzeń. A w zamian daliście im...

Daliście im właśnie ten czas.

Czas zmiany waluty: zapłaty krwią za krew.

## 10.

Jedną z kamer ufiksowałeś na Piotrze, stale masz więc jego obraz w jednym z okienek. Twój młody zwycięzca wyrwał się z areny, popędził do swojego krzesła w pierwszym rzędzie, dorwał plecaczek i właśnie wysupłuje zeń komórkę.

Uśmiechasz się. Gala transmitowana jest na żywo, w tej chwili cały Internet aż huczy niebotycznym zdumieniem. Linia sto dwanaście niewątpliwie rozgrzała się do czerwoności, za chwilę objawią się tu służby państwowe w pełnej krasie. Widać jednak kolega Piotr ma własny pomysł na zbawienie akurat tej zatrzaśniętej w krwawej pułapce części ludzkości.

Niechże sobie ma. Niech realizuje. To tylko doda pikanterii całej scenie. „Show must go on”.

Wracasz spojrzeniem do publiczności. Tu i ówdzie wybuchają pierwsze bójkę, ktoś kogoś popchnął, ktoś zablokował przejście, ktoś uderzył w odwecie, ale nie tego, który był winien... Spirala przemocy nakręca się, choć dosyć niemrawo. Ale spokojnie, jeszcze rozwinie skrzydła. Potrzebuje tylko trochę czasu, jak reakcja łańcuchowa.

– Nooo, kolego, postaraj się – mruyczysz pod adresem Piotra, który wrócił na arenę, podświadomie czując, że jest tutaj nietykalny, skulił się przed wyjściem za kulisy i teraz nerwowo negocjuje przez telefon. – Udowodnij, że maszyna losująca słusznie wskazała nam właśnie ciebie jako gwiazdę wieczoru!

Za twoimi plecami rozlega się charakterystyczne człapanie.

Fala ulgi przepływa przez twoje ciało. Miro wydostał się bezpiecznie ze strefy śmierci i teraz opiera ci dłoń na ramieniu.

– W porzo? – świszczy z trudem. Tam, na arenie, wyrzucił był z siebie aż za wiele słów.

– W porzo. Patrz, młody dzwoni.

– Wzywa kawalerię? – Miro uśmiecha się lekko.

– I owszem. – Odpowiadasz mu równie przelotnym uśmiechem. – Wisienka na torcie.

Wracasz do komunikatora.

– Dalej, dociśnijcie ich trochę! – polecasz pretorianom.

Nie trzeba ich zachęcać, zostali wyselekcjonowani równie starannie. Póki wygrywali, byli noszonymi na rękach ulubieńcami tłumów, ale gdy tylko powinęła im się noga, ta sama gawiedź napluła im w twarz i wyrzuciła na śmietnik, ochoczo sięgając po nowe zabawki.

A teraz byli zwycięzcy wrócili i mają ochotę na odrobinę zabawy.

Padają ciosy, wymierzane z idealną, bezwzględną precyzją. Dzielą publiczność na grupy i nieubłagane spychają ku arenie. I oto kolejni, dotychczas bezkarnie chłepczący cudze cierpienie obserwatorzy zaczynają przekonywać się, jak to jest naprawdę z tym potem, łzami i krwią. Rycerzy Jedi chwilowo brak.

Osobna grupa twoich podkomendnych zajmuje się klientami VIP. Tam do udziału w prywatnym pokazie zaproszono wyjątkowych profesjonalistów. Panowie w eleganckich marynarkach tracą nagle całą elegancję: niektórzy walczą wręcz zwierzęco, inni kulą się na posadzce,



łkając jak dzieci. A ich wymalowane kobiety... Odwracasz z niesmakiem wzrok. Na to nawet nie warto patrzeć.



Podnosisz się z fotela. Podchodzicie z Mirem do tafli okna

z weneckiego szkła, jednej z kilku zamontowanych na tej hali, i wpatrujecie się przez chwilę w rozszalałe poniżej pandemonium.

– Panowie, kończymy zabawę! – ostrzega kolega sprzed jednego z ekranów.

– Psiarnia jedzie? – rzucasz domyślnie, wracając na miejsce.

– Aha.

Znowu wciskasz guziki.

– Koniec imprezy – obwieszczasz swoim gladiatorom. – Wycofać się!

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki czarne szeregi kurczą się, zaczynają znikać w tajemnych przejściach. Biada jednak niepowołanym, którzy spróbują dostać się tam wraz z nimi!

Tłum nadal szaleje, chociaż oprawcy już odeszli. Raz otwarta puszka Pandory nie ma ochoty zamykać się zbyt szybko.

A wy wraz z Mirem obserwujecie na ekranach niebieskie suki, jak zatrzymują się pod halą i wypluwają z siebie kolejne czarne szeregi, palące się do udziału w tej grze. Za chwilę nastąpi niespodziewana zamiana ról. Tę samą publiczność pałował będzie kto inny. Na tym właśnie polega dobry cyrk.

– Czas! – cedzi Miro pomiędzy skrzywionych warg.

Personel control roomu zwija się błyskawicznie. Kasują pliki, niszczą dokumenty. Nie do odtworzenia będzie, kto dziś był w pracy, a kto nie. Papiery imprezy masowej, obowiązkowo złożone w urzędzie, opiewać będą na nieistniejące nazwiska, jakby to duchy dawno zapomnianych gladiatorów wywołały całą tę awanturę. Organizator zaś będzie bronił się rozpaczliwie, że o niczym nie wiedział, że to jakaś podła akcja konkurencji, próbującej zdyskredytować firmę i rozsadzić ją od środka. I kto wie, może nawet sam wystąpi o odszkodowanie.

Wychodząc, zerkacie jeszcze na waszego Czarnego Piotrusia, który bohatercko wpuszcza na arenę swoich policyjnych kolegów zakulisowym wejściem, podczas gdy zawodowi breacherzy zgodnie z procedurami nadal biedzą się na zewnątrz nad waszymi przemysłnymi ryglami oficjalnych wejść. Doskonale: dzięki temu policja wbija się w tłum, kiedy ten jest jeszcze w amoku walki, i okrasia przedstawienie dodatkowymi smaczkami. Co najmniej połowa pijanych adrenaliną widzów ruszy na nich z okrzykiem „jebać psy!” i agresja rozprzestrzeni się w najlepsze. Gdyby niebiescy zbawcy weszli za późno, tłum zdążyłby ostygnąć i zamienić się w żalną chlipaninę. Z kolei gdybyście sami otworzyli im drzwi, zamiast walki mielibyście szybko zgola nieimponujące i nieestetyczne sceny rozpaczliwego exodusu przed siłami porządku. A tak, proszę: dzięki waszemu młodemu koledze igrzyska wciąż trwają. Istna wisienka na torcie.

Piotruś ma pełne prawo, by poczuwać się do roli gwiazdy wieczoru. Kto wie, może jeszcze dostanie medal od samego komendanta.

## 11.

Wjeżdżacie z Mirem sekretną windą na samą górę, prawie na dach. Tajna loża, przykryta kuloodpornym weneckim szkłem, niewidzialna i niedostępna dla nieuprawnionych, tryska szampanem na wasze powitanie. I obsypuje gromkimi brawami.

– Trzeba wam przyznać, panowie – pieje rozentuzjasmowany sponsor – umiecie zorganizować rozrywkę na najwyższym poziomie!

Uśmiechacie się skromnie, ujmując kieliszki. Wykonujesz wiernopoddańczy gest w kierunku Mistrza, który właśnie wstał ze skórzanej kanapy i zmierza w waszym kierunku.

– Nic nie byłoby możliwe bez udziału tego tu nieboszczyka – mówisz.

– To się nazywa odejść z fajerwerkami – potwierdza Mistrz pełen satysfakcji. – Tej legendy nie przebije nigdy nikt!

Trącacie się szkłem. Patrzysz mu w oczy, w te same, które widywałeś tak często w szpitalu i później, kiedy ich właściciel wyciągał cię za uszy na rehabilitację i wtłaczał w kierat obecnej roboty. A teraz błyszczą rozradowanym zmartwychwstaniem.

– A tak swoją drogą, gratuluję wyboru! – Mistrz przerywa na chwilę, upija łyk i ciągnie dalej: – Młody ma potencjał. Pięknie, fachowo skorzystał z podsunętej okazji, a mógł na przykład rozplakać się albo próbować ugryźć mnie w tyłek. Za to jak mną pirzgnął, to przez chwilę zastanawiałem się, czy aby na pewno jesteście dogadani.

Śmiejecie się razem z Mirem, na luzie, bez żadnego przymusu.

– Szkoda go trochę – wzdycha w końcu Miro. – Mógłby powalczyć dla nas. Faktycznie: ma potencjał. Gdyby tak jeszcze nabrał doświadczenia...

Machasz ręką.

– Daj spokój. Przecież to pies!

– Ale kiedy jednak może... – Miro nie poddaje się zbyt łatwo, unosi brwi ku Mistrzowi w niemym zapytaniu.

– Ja wychodzę z interesu. Całkowicie! – ten ucina wszelkie dywagacje. – Spektakularnie umarłem w słodkich objęciach ringu, przeszedłem do legendy, a teraz będę na Hawajach puszczał kasiorę. I wam też to doradzę! – Spogląda na was surowo. – Zwłaszcza tobie, Miro. Mimo paru lat od wycofania się nie liczyłbym na anonimowość!

– Gościu w control roomie rozpoznał cię błyskawicznie – przychodzisz Mistrzowi w sukurs. – „Zielony Smok” i tak dalej. Piał na twoją cześć, aż uszy bolały.

– Serio? – Ten głupek cieszy się, jakby usłyszał najwspanialszą nowinę na świecie. – Ktoś mnie jeszcze pamięta?

– Na pewno zapamiętają cię wszyscy, którzy teraz dostają wpierdol tam, na dole!

Podążacie wzrokiem za gestem Mistrza. Łańcuszek policjantów

wtargnął już przez wskazane przez Piotra wejście, a teraz biedzi się z rozszalałym armagedonem. Na hali pojawiają się również pierwsze nieśmiałe kropki medyków. Mimo wszystko macie cichą nadzieję, że obyło się bez trupów. Łomot, owszem, serce raduje. Ale bez przesady. No i śledztwo jest wtedy mniej zawzięte.

– Zabieram was ze sobą, ptaszęta! – wyrzuca z siebie Mistrz. – Owszem, wychodzę z interesu. Ale żeby całkiem nie zdiadzieć, potrzebuję sparringpartnerów. I to najlepiej takich, którzy wiedzą, że nie mają do czynienia z nieboszczykiem, a pary z gęby nie puszcza. Co wy na to?

– Sparringpartner ze mnie jak z koziej dupy... – Miro spogląda na waszego dobrodzieja z wyrzutem. – Chyba wiadomo?

– Nadal zajebicie ogarniasz parter – protestuje Mistrz. – A ty... – Stuka cię w ramię nóżką pustego już kieliszka. – Przez pierwsze dwie minuty jesteś niezwyknięty. Dopiero potem kończy ci się rezerwa i płuca siadają.

Odrywasz oczy od kotłowania i dopiero teraz uświadamiasz sobie, że cały czas tam kogoś szukałeś. Oczywiście: waszego Czarnego Piotrusia, choć wiesz dobrze, że gdy zniknął z ekranu w control roomie, nieodwołalnie opuścił twoje życie. Jakby żał ci było się rozstawać. Polubiłeś go.

Przerzucasz wzrok na Mistrza.

– Jest to ewidentnie kolejny odruch litości, z których szeroko słyniecie, nasz dobry panie – odpowiadasz z westchnieniem. – Ale okej, ja też bym wolał mieć oko na takich dwóch frajerów, co w każdej chwili mogą zacząć głosić wieści o pewnym nielegalnym zmartwychwstaniu, zupełnie nie powiązanym z panującą religią. Niech będą Hawaje. Trochę gorąco, ale co tam, nie zamierzam wybrzydząć.

– Przecież nie możesz zostać w tej firmie, chłopie – mówi Mistrz śmiertelnie poważnie i znasz go już na tyle, by wiedzieć, że uparł się i nie ustąpi. – A nie po to cię wyciągałem spod kosy Kostuchy, żeby przejęła cię teraz jakaś bandyterka!

– Przecież powiedziałem, że się zgadzam. – Wzruszasz ramionami. – I po co ta mowa?

– Bo z niewystarczającym entuzjazmem – śmieje się Mistrz, ale odpuszcza, kiwa głową i wraca bratać się ze sponsorami dzisiejszej imprezy: gośćmi, którzy znają się na rzeczy i lubią prawdziwe show. I którzy lada moment zaczną się zbierać tajnymi windami do ukrytego podziemnego parkingu, bo policja, jak już sobie poradzi z tym rozgardiaszem na dole, w końcu dotrze i tu.

Miro opiera ci rękę na ramieniu, niby nic takiego, ale po nagłym zaciśnięciu palców poznajesz dobrze, co się święci: kolega słabuje. Za duży wysiłek, za dużo wrażeń naraz. Błyskawicznie pomagasz mu

osunąć się w wygodną przepaść skórzanego fotela.

– Przyniosę ci mokry ręcznik z łazienki – proponujesz i na pokorne kiwnięcie głową przyjaciela mkniesz za hebanowe drzwi.

Tam wrzucasz ręcznik do umywalki i przy okazji pochylasz się nad nią sam, ochlapując zimną wodą opuchniętą z wysiłku i zdenerwowania twarz.

A potem podnosisz głowę i patrzysz w lustro.

Wiem o tobie wszystko, znam całe twoje życie, mówisz odbiciu. Całe życie, w najczystszej postaci. I wszystkie strzały strachu, jakie przyszło – i niewątpliwie jeszcze przyjdzie – ci znieść.

Aż do ostatniego z nich, który prędzej czy później nadejdzie, bo musi.

*Z podziękowaniami  
dla Macieja „Dante” Manowskiego  
i Marcina „Gonzo” Tobery  
za bezcenne wsparcie merytoryczne*



MAGDALENA  
RATAJCZAK

---

ARENA NALEŻY  
DO WAS!



**W** powietrzu wzbierało brzęczenie, jakby z oddali zbliżał się rój owadów. Rój przepotężny, nabuzowany adrenaliną, łaknący śmierci i krwi. Czterdziestotysięczny tłum, po brzegi wypełniający ławy amfiteatru. Podniecenie buchało gorącym z ludzkich ciał, napięcie niemal krystalizowało się wokół, przygotowując o ból w skroniach. Wszystkie oczy skierowane były na białą lożę prowadzącego, w której już zaraz mieli pojawić się bohaterowie dzisiejszego wieczoru.

– Szanowni państwo, witamy po przerwie! Z zachwytem wysłuchaliśmy wspaniałych The Currentiers, a już TERAZ ZARAZ zobaczymy ostatnią, finałową walkę programu „Arena... – prowadzący zawiesił głos, a publika dokończyła zgodnym okrzykiem: – należy do was!”.

Ściany Kolosa wypełniło intro programu, majestatyczna muzyka, przywodząca na myśl starożytne bitwy, królów i zakony rycerskie. Publiczność zgromadzona przed odbiornikami holowizji zobaczyła również trójwymiarową nazwę programu oraz logo – półkolisty wieniec laurowy z dwoma skrzyżowanymi mieczami w środku, które rozbliły jasnym światłem i szcęknięły stałą.

Jeremy Roles, prowadzący, mężczyzna po trzydziestce, w garniturze w kolorze indygo, poprawił tkwiące na nosie przeciwsłoneczne awiatory, które nosił mimo późnego wieczoru. Słońce właśnie zachodziło, barwiąc niebo długimi pasmami fioletu i zgaszonej purpury. Roles posłał szeroki uśmiech do kamery, która zrobiła najazd na jego opaloną twarz.

– Są z nami nasi nieustraszeni finaliści, którzy mają za sobą już sześć

tygodni trudnych zmagania. Dziś zmierzą się w ostatecznej walce, która wyłoni zwycięzcę! Najlepszego z najlepszych! Przypomnę, że nagrodą jest pięćset tysięcy dolarów oraz zmiana wyroku na dożywocie z możliwością ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie warunkowe!

Rozległy się brawa.

– Szanowni państwo! – Roles zawiesił głos, czekając na ciszę. Gdy w końcu zapanował względny spokój, kontynuował zapowiedź: – Kobieta, która w widowiskowy sposób pokonała dwóch przeciwników, zyskując miano wojowniczej księżniczki, niezłomna i jakże piękna! Mężczyzna, który nie raz udowodnił swoją niespotykaną siłę i odwagę, zaskakując wszystkich już w pierwszym odcinku, a także sam jeden zmierzył się z dziką bestią i wygrał ten pojedynek! Oto oni! Karen „Xena” Reynolds i Evan „Headkiller” Darwin! Wielkie brawa!

Jak na komendę huknęły oklaski, rozbłysły światła, rozbrzmiała głośnie muzyka. Tuż obok Rolesa wyrosły dwie postacie. Kobieta była raczej drobnej postury, ale pod jej obcisłą czerwoną sukienką z długim rękawem i szerokim rozcięciem na wysokości uda malowały się stalowe mięśnie. Miała hiszpańską urodę: śniadą karnację, głęboko osadzone ciemne oczy, czarne włosy związane w koński ogon. Mężczyzna znacznie nad nią górował. Miał sylwetkę zapaśnika – potężnie rozbudowane mięśnie, których nie mógł ukryć nawet idealnie skrojony garnitur z muszką. Bicepsy rozpychały rękawy, a masywne uda nogawki. Przy ogromnej posturze twarz rodem z okładek magazynów o modzie wyglądała jak doklejona. Wywołany prezentował olśniewający uśmiech białych zębów, podczas gdy kobieta tylko lekko uniosła kąciki ust.

– Tak, chodźcie tutaj, kochani! – Roles zachęcił ich gestem ręki, aby podeszli bliżej.

Studio prowadzącego – podium w monumentalnym porządku tokańskim – znajdowało się na samym dole, tuż przy arenie, i zapewniało zdecydowanie najlepszy widok na wydarzenia rozgrywające się poniżej. Wzdłuż półtorametrowej ściany odgradzającej łożę od reszty sektora ustawiona była miękka kanapa z białej skóry, mająca po bokach dwa fotele w tym samym stylu. Między nimi, zdawałoby się, że nieprzymocowany do niczego, unosił się w powietrzu niski szklany stolik. Stał na nim dzbanek z wodą oraz długie szklanki z celulozy nanokrystalicznej.

Gdy podeszli, Jeremy wycisnął pocałunki na policzkach Karen i mocno potrzęsnał dłonią Evana. Następnie poprowadził ich w stronę kanapy, a sam zajął miejsce na fotelu.

– Czeka nas dziś wieczór pełen emocji – stwierdził Roles, gdy umilkły oklaski. – Ostateczna walka, która wyłoni zwycięzcę całego programu! Jesteście gotowi? Denerwujecie się? Karen?



– Zawsze mam napięte nerwy przed walką – powiedziała kobieta przyjemnym niskim głosem. – Ale myślę, że to zdrowy stres. Pomaga mi się skupić na czekającym zadaniu.

– Wspaniale! – Prowadzący uśmiechnął się. – A ty, Evanie? Co czujesz w tym momencie, o krok przed rozstrzygającą walką?

Darwin wybuchnął perlistym śmiechem.

– Czuję się, jakbym zażył sporą dawkę koki – oznajmił.

Wszyscy zaśmiali się z żartu.

– Mam nadzieję, że twoje samopoczucie jest wywołane jednak naturalnymi środkami. – Roles pogroził mu palcem ku ogólnej ucieśce.

– Oczywiście – przyznał Evan. – Po prostu już nie mogę się doczekać.

– Jak i my wszyscy! – zawołał Jeremy, po czym ponownie zwrócił się do Karen: – W programie widzieliśmy wiele twoich brawurowych akcji, w których wykorzystywałeś swoją zwinność i szybkość, ale powiedz nam, moja droga, czy masz jakiś konkretny plan na walkę finałową?

– Tak – odparła pewnym głosem. – Musiałam wziąć pod uwagę, że Evan ma nade mną troszeczkę przewagi fizycznej...

Wszyscy wybuchli śmiechem. W porównaniu z wyższym o prawie czterdzieści centymetrów i ponad dwa razy cięższym mężczyzną Reynolds wyglądała jak laleczka.

– ...co nie czyni go jednak specjalnie zwinnym. – Roles ponownie wyszczerzył zęby, a Darwin wymierzył jej żartobliwą sójkę w bok.

– Zamierzasz więc zakończyć tę walkę jak najszybciej? – dopytywał prowadzący. – Wszyscy pamiętamy, że już w pierwszym odcinku pokonałaś swojego przeciwnika w najkrótszym czasie ze wszystkich.

– Postaram się zrobić, co w mojej mocy – zapewniła kobieta. – Nie mogę jednak zdradzić nic więcej.

– Doskonale to rozumiemy. – Roles dobrodusznie pokiwał głową. – A ty, Evan? Trzymasz jakiegoś asa w rękawie na ten pojedynek?

– I to niejednego!

– Czy nie masz jednak oporów przed samą walką? Starciem z kobietą, nad którą, jak już zauważyliśmy, masz ogromną przewagę warunków fizycznych? Wszyscy pamiętamy twoje starcie z lwem...

– Karen niejednokrotnie udowodniła, że jest przeciwnikiem, z którym należy się liczyć – stwierdził poważnie Evan. Zaraz jednak dodał z łobuzerską miną: – Chociaż zastanawiam się, którą część ciała właściwie powinienem ochraniać, w momencie gdy będzie celowała w moją twarz...

Widownia zatrzęsała się od śmiechu.

– A ty co na to powiesz, Karen? – wtrącił szybko Roles, choć było już za późno. Po Rewolucji Płciowej takie uwagi nie były mile widziane przez opozycjonistów, ale program był nadawany na żywo.

– Ja tylko przypomnę walkę Dawida z Goliatem. Myślę, że więcej nie

trzeba.

Widać było, że żart Evana niespecjalnie ją rozbawił. Roles klasnęła w ręce i szybko przeszedł do innego tematu.

– No dobrze, moi drodzy! – wykrzyknął. – Do ostatecznego starcia pozostało już naprawdę niewiele czasu. Ale zanim pozwolę wam odejść, żebyście mogli się przygotować, najpierw obejrzymy, jak przebiegała wasza droga w programie. Karen, zaczniemy od ciebie, spójrz, co przygotowaliśmy!

Reynolds powiodła wzrokiem za ręką Jeremy'ego, który wskazywał na ogromny grafenowy ekran, rozpięty na pobliskim łuku amfiteatru. Rozbłysło na nim logo programu. Karen wiedziała, że już za chwilę zobaczy skrót wszystkich swoich zmagani. Ten punkt widniał we wręczonym jej wcześniej scenariuszu finałowego odcinka. A jednak poczuła się dziwnie. Mimo że to wszystko było już za nią, nagle stwierdziła, że nie chce ponownie patrzeć na te potworności, których była sprawczynią. Dotąd upychała je w najgłębszej dziurze umysłu, sama przed sobą udając zobojętnienie i zimną krew. Teraz znów miała zobaczyć obrazy, których tak usilnie starała się wyzbyć.

To wszystko dla ciebie, kochanie, napomniała się w duchu.

Tymczasem na ekranie zaczęto pokazywać urywki jej walk.

Oraz wszystkie osoby, które zabiła.

## Początek

Ogłoszenie otrzymali wszyscy więźniowie bloków śmierci, nie wyłączając kobiet, również tych transseksualnych. Po prostu pewnego dnia rano do każdej z cel weszli strażnicy, wręczając białą kopertę, w której krył się e-pape, przezroczysta tabliczka w powłoce z grafenu, gruba na pięć milimetrów. Po dotknięciu palcem zamigotała i pojawiły się na niej czarne litery, wypisane dużą czcionką:

*Myślisz, że widziałeś/aś już wszystko? Że holowizja nie jest w stanie pokazać ci już nic nowego i w żaden sposób cię zaskoczyć? Odczuwasz znużenie, oglądając kolejne „przełomowe” i „kontrowersyjne” programy?*

*Już teraz możesz pomóc nam to zmienić i stać się częścią nowego programu, który wywoła prawdziwą burzę i na zawsze zmieni oblicze świata popkultury! Zapewnimy rozrywkę, jakiej nie było jeszcze nigdy. A to wszystko dzięki tobie!*

*Nadchodzi rewolucja!*

Karen zmarszczyła brwi. Cóż to za głupia reklama? Po co to przynieśli? Czytała jednak dalej.

*Już we wrześniu holowizja SHV startuje z prawdziwie kontrowersyjnym programem „Arena należy do was!”, którego główną ideą jest wskrzeszenie starożytnych walk gladiatorów. Tak jak to odbywało się setki lat temu, zawodnicy będą walczyć ze sobą, a także ze zwierzętami przy użyciu różnego rodzaju broni białej, a walki będą nierzadko odbywały się na śmierć i życie. Wszystko to przy gorącym aplauzie publiczności, która zasiądzie w rekonstrukcji rzymskiego Koloseum, stanowiącej studio i arenę w jednym. Żadnego jury, żadnych ocen – wygra po prostu najlepszy!*

*W związku z tym poszukujemy dwudziestu śmiałków, bez względu na płeć i wiek, którzy odważą się stawić czoło własnym słabościom i wykazać się na arenie. Jako że walki odbywać się będą na śmierć i życie, oferta skierowana jest do więźniów oczekujących na karę śmierci.*

*Nagrodę stanowi zmiana wyroku na dożywocie z możliwością wcześniejszego zwolnienia warunkowego oraz 500 tys. dolarów.*

*Zgłoszenia należy przekazać strażnikom danej placówki. Ze wszystkich zgłoszeń do wybranych osób zostaną przesłane ankiety, na ich podstawie wyłonimy uczestników, którzy otrzymają dalsze instrukcje.*

*Serdecznie zapraszamy do udziału! Nic nie tracisz, a możesz zyskać drugie życie!*

Reynolds wpatrywała się w e-pape'a. Jej mózg przetwarzał informacje. Czy to mogła być prawda? Zmiana wyroku? Pięćset tysięcy? Skoro im to rozdano, najwyraźniej tak właśnie było.

Pozostałymi informacjami nie zdziwiła się tak bardzo, jak zapewne chcieliby tego organizatorzy. Walki na śmierć i życie – tak, to chyba było jedyne, czego na wizji jeszcze nie było. Pomyślała o Melanii. Jej oczy zwilgotniały, ale zacisnęła zęby, powstrzymując łzy. Czy istniała choć szansa, że do programu wybiorą akurat ją? Była tylko szczupłą, drobną kobietą, a wyobrażała sobie, że na gladiatorów nadają się raczej potężnie zbudowani mężczyźni. Wprawdzie po Rewolucji Płciowej organizatorzy nie mogli sobie pozwolić na to, aby dopuścić jedynie samców, ale dlaczego mieliby wziąć właśnie ją? A nawet jeśli... To jaka jest szansa, że wygra? Pewnie znikoma.

Jednakowoż, jak słusznie zauważono w ogłoszeniu, nie miała nic do stracenia.

Odetchnęła głęboko i wcisnęła przycisk przywołujący strażnika.



Zgłoszenie zostało wysłane. Niezmiernie się ucieszyła, gdy trzy tygodnie później przyniesiono jej do celi ankietę, dzięki której miano wyłonić dwudziestu uczestników.

Szybko przejrzała pytania. Te na początku były dość formalne, choć nie pytano ani o rodzinę, ani o wyrok i zbrodnię. Podejrzewała, że wyczytano to już wcześniej z jej akt i stanowiło to element zakwalifikowania się do następnego etapu. Później zaczęły się inne pytania:

*Czy uprawiałaś kiedykolwiek jakieś sporty walki bądź inny rodzaj sportu? Jak oceniasz swoją wydolność fizyczną? Jakie jest Twoje największe marzenie? Czy myślałaś kiedyś o ucieczce z więzienia? Jak oceniasz swoje zdolności interpersonalne? Czy kiedykolwiek chciałaś popełnić samobójstwo? Czy odnajdujesz w sobie złość i agresję? Jaki masz stosunek do zwierząt? Czy lubisz gry zespołowe? Jak sobie radzisz w relacjach w grupie? Ilu partnerów seksualnych miałaś?*

Postanowiła udzielić takich odpowiedzi, jakie sama na miejscu organizatora chciałyby otrzymać, aby program był odpowiednio emocjonujący i ciekawy. Muśnięciem palca wywołała klawiaturę i zaczęła uzupełniać pierwsze pole.



Gdy dwa tygodnie później zaprowadzono ją na spotkanie z naczelnikiem zakładu penitencjarnego, nie miała pojęcia, o co chodzi, lecz mimo to zaschło jej w ustach. Nie przypominała sobie, aby zrobiła coś złego bądź w jakikolwiek sposób złamała regulamin. A takie spotkania odbywały się właśnie głównie z tego powodu i wiązały najczęściej z wymierzeniem jakiegoś rodzaju kary lub przeniesieniem do innej placówki.

Denerwowała się.

Naczelnik nie bawił się w owijanie w bawełnę. Gdy tylko usiedli, on w wygodnym skórzanym fotelu za ciężkim dębowym biurkiem, a ona na plastikowym krześle, oznajmił:

- Zakwalifikowałaś się, Reynolds.
- S-słucham?

– Do tego programu... – Z niechęcią zerknął na ekran komputera. – „Arena należy do was” czy jakoś tak. Dzisiaj dostałem wiadomość.

– Och... – Z wrażenia nie wiedziała, co powiedzieć. W brzuchu wybuchło jej podniecenie.

– W związku z tym – kontynuował naczelnik z marsową miną – za dwa tygodnie przyjedzie transport, który zabierze cię do Oregonu, gdzie będziesz przebywała w specjalnie przygotowanej placówce. Oczywiście tylko w przerwie między... nagraniami. – Skrzywił się. – Niech ci się jednak nie wydaje, że możesz coś kombinować. Przed wyjazdem zostanie ci wszczepiony paralizator, którym zdalnie będzie sterował strażnik. Jeden fałszywy ruch i przez dwa dni będziesz dochodzić do siebie. Zrozumiano?

– Tak jest, naczelniku.

– Wspaniale. Tutaj masz dokumenty, które musisz podpisać już teraz.

Podał jej e-pape'a wraz z rysikiem. Palcem przesuwając ukazujące się jedno po drugim upoważnienia i zgody.

*Oświadczam, że świadomie i w pełni władz umysłowych zgadzam się z zasadami programu „Arena należy do was!”, rozumiem, że walki mogą spowodować śmierć własną bądź innego uczestnika, i w związku z tym wyrzekam się wszelkich roszczeń prawnych w stosunku do Organizatora.*

Ręka zadrżała jej lekko.

Podpisała i przesunęła tabliczkę po blacie w stronę naczelnika.

– Dobrze. Dalsze instrukcje zostaną ci wydane na miejscu. Powinnaś spakować rzeczy, które chcesz zabrać ze sobą. Czy wszystko jasne?

– Tak jest, naczelniku.

– Masz jeszcze jakieś pytania?

– Nie, naczelniku.

– Życzę ci w takim razie powodzenia, bo już nigdy się nie zobaczymy.

– Czy w ten sposób życzy mi pan również wygranej? – uśmiechnęła się Karen.

– Och... – Naczelnik nie odpowiedział uśmiechem. – Nie to miałem na myśli.



Karen Reynolds została skazana na karę śmierci, bo zabiła żonę senatora stanu Massachusetts. Gdyby popełniła tę zbrodnię na

kimkolwiek innym, prawdopodobnie dostałaby dożywocie, a może nawet, gdyby obrona odpowiednio się postarała, jakieś dziesięć lat.

Bo nie zrobiła tego celowo. Właściwie był to niefortunny wypadek.

I miała powód, przez który doszło do tej całej sytuacji. Powód, który normalnie doprowadziłby do łez ławę przysięgłych i zapewnił jej łagodny wyrok.

Ale pech chciał, że zginęła żona senatora Bergsa, Emily, a sam senator poprzysiągł Karen srogą zemstę i obietnicy dotrzymał. Miał ogromne wpływy. Trzymał w kieszeni zarówno ławę przysięgłych, jak i sędziego. Wyrok nie mógł być inny.

Reynolds do dziś nienawidziła siebie za to, jak bardzo spieprzyła całą sprawę. Ale musiała spróbować. Potrzebowała pieniędzy. Dla Melanii. Melania...

Jej mała, sześciolatka córeczka, umierająca na nowotwór złośliwy ośrodkowego układu nerwowego. Mimo że żyli na początku dwudziestego drugiego wieku, medycyna wciąż nie wynalazła ogólnodostępnego i skutecznego leku na raka. Oczywiście istniała metoda leczenia przypadku Melanii – tyle że cholernie droga. Cały cykl terapii, tak żeby w ogóle można było pomyśleć o poprawie zdrowia dziewczynki, kosztował trzysta tysięcy dolarów. Karen nie miała takich pieniędzy.

Postanowiła więc je zdobyć. Za wszelką cenę.

Tak się złożyło, że od kilkunastu miesięcy pracowała w domu senatora Bergsa jako pokojówka. Do jej obowiązków należało głównie sprzątanie całej posiadłości; nie była jedyna na tym stanowisku, oprócz niej zatrudniano także inną młodą dziewczynę.

Jakiś czas wcześniej przypadkiem zobaczyła, jak senator korzysta z ukrytego sejfu. Miała akurat posprzątać w jego gabinecie, nacisnęła więc klamkę, aby wejść do środka. Znieruchomiała jednak za uchylonymi lekko drzwiami, widząc mężczyznę wewnątrz pomieszczenia. Miękki dywan na korytarzu wyłumił jej kroki, drzwi zaś otwierały się bez najmniejszego skrzypnięcia, toteż Bergs nie usłyszał jej przybycia. Już miała zostawić go w spokoju i przyjść później, gdy zastanowiło ją dziwne zachowanie senatora.

Stał przodem do zachodniej ściany. Nie widział pokojówki. Ściana wykładana była mozaiką kolorowych kafelków i teraz właśnie Bergs przyciskał kciuk prawej dłoni do jednego z nich, mówiąc coś półgłosem do siebie. Karen zdziwiła się. Czyżby zwariował?

Jednak oto na jej oczach muśnięty przez senatora kafelek wysunął się na jakiś centymetr ze ściany, po czym odjechał płynnie w lewo, ukazując ukrytą wnękę, w której znajdował się sejf z klawiaturą numeryczną.

Reynolds wiedziała, że nie powinna na to patrzeć, nie mogła się jednak powstrzymać. Zawsze miała dobry wzrok, a też senator nie starał

się niczego zasłaniać, będąc przekonanym, że znajduje się w gabinecie sam. Dlatego też widziała ciąg cyfr, jakie wprowadzał – i bezwiednie go zapamiętała.

Oczy otworzyły jej się szeroko, gdy ujrzała wnętrze sejfu. Nie był duży, ale za to po brzegi wypełniony kosztowną biżuterią i plikami pieniędzy. Było to zresztą dość niezwykle w dobie transakcji bezgotówkowych. Karen wiedziała jednak, że senator przejawia upodobania do tradycyjnych rozwiązań.

Świadczyć o tym mogły również same zabezpieczenia skrytki, które Reynolds zgłębiła później, gdy już zdecydowała się na jej opróżnienie. Nie było tutaj popularnego skanu gałki ocznej ani czujnika wagi, choć co do tego drugiego nie mogła mieć pewności, czy nie został wbudowany w podłogę. Sejfu bronił jedynie odcisk linii papilarnych kciuka i próbka głosu. Jedynie – chociaż dla niej było to „aż”, w żaden sposób bowiem nie miała szans, aby któreś z nich podrobić.

O ile głos senatora mogłaby ewentualnie nagrać i spreparować ścieżkę audio tak, by brzmiała możliwie jak najbardziej naturalnie – choć czujniki miały zabezpieczenia chroniące przed taką manipulacją – o tyle odcisku kciuka nie miała już możliwości zdobyć.

Mimo to wielokrotnie, sprzątając w gabinecie, dokładnie oglądała ten jeden szczególny kafelek. Nie różnił się niczym od pozostałych i gdyby nie wiedziała, że jest tak wyjątkowy, nigdy by się tego nie domyśliła. Po wielu godzinach rozmyślań, jak dostać się do środka, doszła do wniosku, że jedynym sposobem będzie mechaniczne, siłowe sforsowanie przeszkody. Niestety, podejrzewała, że może to wywołać jakiś ukryty alarm. Na szczęście potem już tylko klawiatura dzieliła ją od kosztowności. O ile senator nie zmienił kodu dostępu...

Jej plan miał wiele niewiadomych i był mocno niedoskonały. Nie miała jednak wyjścia. Nie wiedziała, w jaki inny sposób mogłaby zdobyć tak wielką sumę pieniędzy. A od tego przecież zależało życie Melanii.

Akcję zaplanowała na dzień, w którym dom był możliwie jak najbardziej wyludniony. Senator wyjechał gdzieś w delegację, zabierając ze sobą asystentów, którzy zwykle w ciągu dnia przebywali na terenie posiadłości. Szczęśliwie złożyło się również, że zachorowała Henrietta, druga pokojówka. Poza nimi po części domu przeznaczony dla senatora nie kręciły się już raczej inne osoby. Kucharze trzymali się kuchni, ochrona również miała swoje pomieszczenia, do których prowadziło osobne wejście.

Pozostawała tylko Emily, żona senatora, która jednak od dwóch dni leżała w swojej sypialni piętro powyżej gabinetu, nie czując się najlepiej. Karen miała wolną rękę.

Wcześniej przygotowała plecak na zdobyczne łupy oraz najważniejsze – ultracienki nóż ze szkła hartowanego, niezwykle ostry

i wytrzymały, którym zamierzała dostać się do środka skrytki. Po całej akcji chciała od razu opuścić domostwo, toteż zaplanowała jej wykonanie na piętnaście minut przed końcem zmiany. Nie chciała przeznaczać na to więcej czasu, niż to absolutnie konieczne.

Tyle że nic z tego nie wyszło.

Owszem, udało jej się podważyć kafelek i odsunąć go na bok, mimo że zajęło jej to prawie dwanaście cennych minut i sprawiło, że cała była upocona i włosy kleiły jej się do karku. Nie rozległo się żadne ostrzegawcze wycie. Nie miała jednak pewności, czy alarm nie jest po prostu bezdzwięczny i nie odzywa się bezpośrednio w pokoju ochrony. Musiała się śpieszyć.

Z duszą na ramieniu wpisała kod, modląc się, by wciąż był aktualny. Był. Ekran błysnął na zielono i sejf stanął otworem.

Tyle że w tym samym momencie otworzyły się drzwi do gabinetu. A w nich stała Emily.

– Co pani wyprawia?! – krzyknęła na jej widok.

Reynolds szybko obliczyła szanse. W tej samej sekundzie, w której pani Bergs ruszyła w jej kierunku, pośpiesznie zgarnęła z sejfu kilka plików banknotów i garść biżuterii. Upchnęła je do kieszeni i rzuciła się do drzwi. W dłoni zostało jej kilka pierścionków.

Emily jednak zagroziła jej drogę.

– Ochrona! Ochrona! Złodziejka! – wrzeszczała, choć nikt nie mógł jej usłyszeć.

Karen spojrzała na drzwi, potem na wściekłą żonę senatora i podjęła decyzję. Skoczyła na lewo, próbując wyminąć kobietę, ta jednak również była szybka. Schwyciła pokojówkę za ramię i pociągnęła silnie, tak że kobiety wpadły na siebie. Zaczęła się szamotanina.

I wtedy to się stało.

Karen wciąż ścisnęła w dłoni nóż, ten cholerny nóż o superostrym, ultracienkim ostrzu, które w całości zatopiło się w brzuchu Emily.

Reynolds nie wiedziała, kiedy to się stało. Szarpały się zawzięcie. Senatorowa próbowała wykręcić jej drugą rękę – tę, w której wciąż trzymała zaciśnięte w garści pierścionki, gdy nagle było po wszystkim. Ostrze z łatwością przecięło tkanki, wnikając w jej ciało aż po trzonek.

Emily szarpnęła pokojówkę raz jeszcze, tak jakby nie zauważyła sterczącego z jej brzucha noża. A potem znieruchomiała. Zbladła. Otworzyła usta jak do krzyku, ale wtedy chlusnęła z nich krew i wydobyło się tylko niezrozumiałe bulgotanie. Westchnęła. Zwolniła uścisk na ramieniu Karen i upadła na podłogę. Z jamy brzusznej wypływały fale posoki, plamiąc nieskazitelnie czysty beżowy dywan. Oczy patrzyły błagalnie.

Karen stała, obserwując ją w niemej zgrozie. Zaczęła cała drżeć.

– Przepraszam – wyszeptwała.



I uciekła.

Wypadła na korytarz, zataczając się na ścianę. Czowała się jak pijana. Kolana miała miękkie, w głowie jej pulsowało. Posuwając się mozolnie naprzód, miała wrażenie, jakby tonęła w gęstej mgle. Była przerażona. Zszokowana. Wszystko to, co miała zrobić po opróżnieniu sejfu, nagle wyparowało z jej umysłu.

W najgorszych snach nie przewidziała tego, co zaszło. Wiedziała tylko jedno: musi się stąd jak najszybciej wydostać.

Jakimś cudem udało jej się dotrzeć do schodów i zejść piętro niżej, nie przewróciwszy się po drodze. Na tym jednak jej plan ewakuacji się zakończył.

Bo oto z naprzeciwka wyszło dwóch ochroniarzy. Wbiegali śpiesznie po schodach. Przemknęło jej przez myśl, że w skrytce musiał być cichy alarm, który aktywował się, gdy nie zamknęła jej zgodnie z procedurą.

I może nawet minęliby Karen bez słowa, by czym prędzej sprawdzić, co wywołało alert, potraktowawszy Reynolds zgodnie z jej rolą – jako pokojówkę, która właśnie skończyła pracę – gdyby tylko opuszczała dom spokojnie, uśmiechnięta jak zawsze, schludna i opanowana.

Karen tymczasem trzęsła się jak zwolniona cięciwa, a przód jej bluzki pokrywały czerwone plamy, na które nawet nie zwróciła uwagi. Za to ochroniarze dostrzegli je jak najbardziej.

W ten oto sposób zakończyła się jej krótka, żałosna i nieudana próba kradzieży, zwieńczona zabójstwem. Wprawdzie Emily żyła jeszcze, gdy ochrona ją znalazła; wezwano karetkę, ale kobieta wykrwawiła się w drodze do szpitala.

Senator Bergs wrócił prywatnym odrzutowcem jeszcze tej samej nocy. Przybył do aresztu, w którym w tym czasie przebywała już Karen, tylko po to, żeby obiecać jej, że zapłaci za to głową.

Obietnicy dotrzymał.

Biorąc pod uwagę zaostrzone przepisy stanowe dotyczące kary śmierci oraz znajomości senatora, nie było to nawet specjalnie trudne. Całą sprawę przedstawiono tak, jakby Karen z zimną krwią zaplanowała i wykonała zbrodnię, a rabunek był tylko rzeczą dodatkową i jedynie dopełniał całości makabry. I nikt nie chciał słuchać, że wcale nie tak to wyglądało. Przedstawiono odpowiednie paragrafy, wyrok zapadł.

Melania została zabrana przez opiekę społeczną; ze względu na ciężki stan umieszczono ją w szpitalu, a stamtąd po niedługim czasie przeniesiono do hospicjum dziecięcego.

Pod jakimś względem obydwie, matka i córka, znalazły się w celi śmierci.



Karen wprowadzono do nowej celi, która bardziej przypominała niewielki pokój hotelowy. Bloki śmierci nie miały udogodnień, jakie znajdowały się w zwykłych więzieniach. Najwidoczniej pomyślano, że więźniom skazanym na taką karę i tak nie zrobi to większej różnicy. Tutaj jednak zamiast żelaznej pryczy znajdowało się zwykłe łóżko z grubym piankowym materacem. Na środku stał niewielki stoliczek i jedno krzesło. Brakowało okien. Ściany miały ciepły żółty kolor i w jedną z nich wbudowana została półka, na której stał płaski odbiornik holowizji. Jednak nie to było najciekawsze – w pokoju w wydzielonej części znajdował się również prysznic, luksus, o jakim można tylko pomarzyć w zakładzie karnym. Karen zabłysły oczy na ten widok. W więzieniu kąpiel odbywała się tylko dwa razy w tygodniu, a w dodatku zbiorowo.

Na łóżku leżało ubranie, złożone w równą kostkę. Czarne spodnie i bluza dresowa w tym samym kolorze oraz biały T-shirt. Strażnik, który jej towarzyszył, polecił jej założyć nowy strój.

– Chciałabym się wcześniej odświeżyć – oznajmiła Karen, zerkając w stronę prysznica.

– Oczywiście – odparł tamten. – Nie musisz się śpieszyć, spotkanie organizacyjne wyznaczone jest dopiero za półtorej godziny. Bądź gotowa, gdy przyjdę. Aha, twoja... cela... jest w pełni monitorowana, ale do tego chyba jesteś przyzwyczajona. Moim obowiązkiem jest jednak cię o tym poinformować. Tak że radzę przestrzegać norm.

Po czym opuścił pomieszczenie, zostawiając ją samą.

Reynolds od razu pomknęła pod prysznic. Rozebrała się bez skrępowania. Przyzwyczała się już do stale obserwujących ją oczu strażników. Tutaj na szczęście nie byli obecni fizycznie, tylko umieszczone przy suficie kamery bacznie śledziły każdy jej ruch.

Z jakiegoś powodu dokładnie zapamiętała tę kąpiel. Może dlatego, że była zmęczona po długiej podróży, a woda tak przyjemnie obmywała jej ciało, spłukując z niego kurz wraz z rosnącym zdenerwowaniem, uspokajając napięte mięśnie. W kabinie odnalazła żel przyjemnie pachnący wanilią. Natarła się nim od stóp do głów, wdychając zapach przywodzący na myśl spokój i beztroskę. Nie wiedziała, ile tak stała pod strugami gorącej wody, ale miała ochotę nigdy nie zakręcać kranu. Na pleksi kabiny zebrała się para, odgradzając ją od całego świata.

Karen zapamiętała tę chwilę jako ostatnią, w której czuła się tak cudownie rozluźniona i swobodna. Nie musiała się jeszcze martwić tym, co nadejdzie.

## **Spotkanie organizacyjne**

Bacznie obserwowała pozostałych uczestników. Zebrali się w dużym pomieszczeniu o białych ścianach i podłodze z czarnego drewna, siadając w półkolu na ustawionych wcześniej wygodnych krzesłach, które miały przymocowane otwierane blaty na notatki. Naprzeciw nich stało jedno krzesło za białym stolikiem, na razie puste. Na ścianie za owym siedziskiem znajdowały się ogromne przezroczyste ekrany grafenowe. Na środku półkola z krzesel leżał na podłodze spory wyświetlacz hologramów.

Oprócz niej znajdowała się tu tylko jedna kobieta – przynajmniej na pierwszy rzut oka. Postawna blondynka, choć niewysoka, z wyrazem twarzy, który mówił jasno: lepiej ze mną nie zaczynaj. Jej wygolona głowa i skrzyżowane na piersi serdelkowate ramiona, a także ukradkowe spojrzenia, jakie słała Karen, mówiły Reynolds, że ma do czynienia z lesbijką. Niewykluczone jednak, że któryś z pozostałych mężczyzn mógł być przedoperacyjnym transem. Nawet wydawało jej się, że tak jest w istocie; jeden z nich przybrał postawę, która w jakiś trudny do zdefiniowania sposób przywodziła jej na myśl, że musi być kobietą. I nie chodziło wcale o to, że trzymał nogę założoną na nogę. Nie, to było coś w całej sylwetce, układzie ramion, specyficznym wygięciu stopy. A może jej się tylko wydawało. Nie śmiała nikogo oceniać.

Pozostali wyglądali już całkiem zwyczajnie, choć wszyscy byli dobrze zbudowani. W większości mieli tatuaże, niektórzy również na twarzy. Siedzieli, więc nie mogła dobrze ocenić ich wzrostu, choć jeden z nich wydał jej się wyjątkowo niski, może nawet niższy od niej, a mierzyła przecież zaledwie metr siedemdziesiąt.

W oczy za to rzucał się inny mężczyzna – blondyn o urodzie hollywoodzkiego casanovy. Patrzył przed siebie spod przymrużonych powiek, jakby raziło go słońce, a na ustach błąkał się lekki uśmieszek. Był tak przystojny, że wydawało się to aż nienaturalne – w zwykłym dresie, każdy bowiem nosił taki sam strój, jaki kazano włożyć również Karen, wyglądał jak odbicie holograficzne, a nie prawdziwy człowiek. Jego skóra nie miała najmniejszej skazy, a symetryczna twarz o silnie zarysowanej szczęce godna była dłuta antycznych artystów.

Jedyne, co odbierało mu nieco uroku, to jego sylwetka – zbudowany był bowiem jak zapaśnik. Mimo luźnego stroju pod materiałem rysowały się potężne mięśnie. Spodnie ciasno opinały się na jego rozbudowanych udach. Karen miała wrażenie, że w bicepsie może mieć tyle centymetrów, ile ona w talii.

Za plecami każdego z więźniów stało dwóch funkcjonariuszy. Jeden z nich dzierżył kontroler paralizatora, wszczepionego każdemu z uczestników. Na razie jednak nie zanosilo się, aby trzeba było go użyć. Wszyscy siedzieli spokojnie na swoich miejscach, z reguły patrząc gdzieś w losowy punkt sali. Nie rozmawiano. Skądś sączyła się cicha muzyka

jazzowa, Karen jednak nie potrafiła odnaleźć źródła dźwięku.

Czekali.

Oczywiste było, że spotkanie zacznie się dopiero wraz z pojawieniem się osoby, dla której przeznaczone zostało owo puste dotąd krzesło. Padały na nie liczne spojrzenia, wkrótce zaczęto się niecierpliwić. Minuty mijały w ciszy.

I nagle drzwi do pomieszczenia otworzyły się gwałtownie, równie szybko zamknęły, a do środka wmaszerował niewysoki, szczupły mężczyzna w garniturze, o miłej, pogodnej twarzy i niebieskich oczach dziecka. Pod pachą trzymał spore pudło, które wyglądało na ciężkie i brzdęknięte, gdy stawiał je na stoliku. Potem skinął zebrany głową i przedstawił się.

– Nazywam się Myles Arrowside i reprezentuję spółkę JerensBlade, która jest organizatorem programu. Pełnię tu rolę reżysera całego przedsięwzięcia, dlatego tak bardzo chciałem was poznać i przekonać się, jak prezentujecie się w rzeczywistości. Zawsze to co innego, niż przeglądać wirtualne zgłoszenia. Dlatego mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy!

Uśmiechnął się szeroko i rozłożył zapraszająco ramiona, jakby chciał ich wszystkich uściskać. Jego uśmiech jednak przygasł, gdy powiódł wzrokiem po twarzach więźniów. Opuścił ręce i usiadł na krześle.

– No dobrze. Na początek przedstawię wam może plan na najbliższe dni, bo to jest w tym momencie najważniejsze – rzekł, a w jego głosie wciąż dźwięczał entuzjazm. – Rozumiem, że zapoznaliście się z regulaminem, tak? Każdy podpisał oświadczenia... prawda?

Odpowiedział mu zgodny pomruk.

– Cudownie! – wykrzyknął. – Zatem tak. Przede wszystkim musimy jak najszybciej nagrać zapowiedź programu, która będzie puszczana w holowizji. Zdjęcia odbędą się już jutro, bo chcemy wyemitować teaser za nie więcej niż dziesięć dni. Spokojnie, poradzicie sobie doskonale! – dodał, widząc niepewne miny większości. – Zaraz wam wszystko wytłumaczę. To naprawdę nic trudnego. Zostanie wam dokładnie powiedziane, co macie robić i mówić. Potem dogramy z każdym setkę, która będzie puszczana naprzemiennie, aby wzbudzić zainteresowanie widzów. Zobaczycie, że to naprawdę świetna zabawa!

Potem otworzył przyniesione przez siebie pudło i każdemu wręczył wydobytego z niego sporego e-pape'a. W urządzenie wgrana była mapa podziemi miejsca, w którym mieli walczyć, a także krótkie omówienie dostępnych rodzajów broni białej i wiele innych informacji związanych z programem.

Myles mówił, mówił i mówił.

Karen zaś wodziła wzrokiem po twarzach zebranych, zastanawiając się, kogo z nich będzie musiała zabić jako pierwszego.

## Zdjęcia

Na miejsce dowieziono każdego osobno i w kajdankach, w obstawie czterech funkcjonariuszy. Mimo że więźniowie mieli stać się częścią programu rozrywkowego, nie zapomniano, że każdy z nich zamordował już w życiu człowieka. W większości niejednego.

Arena robiła wrażenie. Tak jak zapowiedziano, obiekt był wiernym odbiciem rzymskiego Koloseum. Z tą tylko różnicą, że nie miał nawet najmniejszego ubytku, a cała konstrukcja pokryta została barwionym włóknem szklanym, co dawało monumentalny efekt, zwłaszcza gdy na górne elementy padało światło słoneczne, tworząc wspaniałą iluminację.

Od razu po przybyciu więźniowie zostali skierowani do charakterystycznej, która mieściła się w hypogeum, rozbudowanych podziemiach Kolosa, jak potocznie nazywano to miejsce, pełnych tuneli i rozmaitych pomieszczeń. Tam zajął się nimi tłum stylistów i wizażystów.

Strój miał przylegać do ciała, miał być wygodny i w najmniejszym stopniu niekrępujący ruchów. Dla Karen dobrano obcisły czarny stanik sportowy i legginsy w tym samym kolorze, kończące się tuż za kolanem. Po bokach kompletu biegły fluorescencyjne ciemnozielone pasy, które zdawały się migotać, gdy się poruszała. Dostała również czarne buty ze sznurówkami pasującymi do zdobień ubioru. Strój wykonany był głównie z mieszanki aerożelów, co czyniło go wyjątkowo lekkim i skutecznie absorbującym wilgoć.

Nikt nie pytał jej o zdanie. Karen czuła się obnażona i niepewna.

Potem posadzono ją na krześle bez oparcia przed ogromnym lustrem. Równolegle, w jednym rzędzie, siedzieli już inni więźniowie. Tuż obok niej na stołku rozpięta była ów ogromny casanova. Miał na sobie jedynie obcisłe spodenki do połowy uda. Zdawało się, że stołeczek pęknie pod jego ciężarem, ale nic takiego się nie stało. Makijażystka właśnie maskowała mu korektorem nieistniejące cienie pod oczami.

Zauważył, że Reynolds go obserwuje, i puścił do niej oko.

– Jak tam, maleńka? – zapytał, serwując jej szeroki uśmiech.

Otworzyła właśnie usta, by odpowiedzieć, żeby sobie na za wiele nie pozwalał, kiedy podszedł do niej fryzjer i stanął tak, że odgrodził ją od olbrzyma.

Założył jej folię ochronną na ramiona, podsunął mobilną umywalkę i rozpoczął od mycia włosów.

Gdy skończono zabiegi, w jej długich czarnych włosach pojawiły się ciemnozielone pasma, stanowiące idealne połączenie ze strojem. Niezbyt jej to odpowiadało, ale nikt nie pytał Karen o zdanie. Cieszyła się w duchu, że chociaż nie skrócono jej włosów – zapuszczała je od dwóch

lat i była z nich dumna. Sięgały do pasa.

Oczy pomalowano jej zielonymi cieniami, wykończając eyelinerem wyciągniętym w niemożliwie długą kreskę. Mimo że Karen miała wyraźnie zarysowane kości policzkowe, wizażystka podkreśliła je jeszcze mocniej bronzerem. Rozświetlacz również miał w sobie zielone drobiny, co w opinii Karen nie wyglądało najlepiej. Usta pociągnięto jasnobrązową pomadką.

Wkrótce wszyscy z powrotem znaleźli się na arenie. Zaczynał się maj i przyjemnie przygrzewało słońce. Powietrze było rześkie, wiał lekki wiaterek.

Na obrzeżach placu kręcili się policjanci i strażnicy więzienni, paląc papierosy i popijając kawę z biodegradowalnych kubków. Do każdego z więźniów oddelegowano także osobistego strażnika, który stał zaledwie parę metrów obok, trzymając kontroler wszczepionego paralizatora.

Z jednego z bocznych tuneli nadszedł Myles Arrowside, tym razem ubrany znacznie swobodniej, w fioletowej marynarce i ciemnych spodniach. Był jednak równie szeroko uśmiechnięty i pełen entuzjazmu jak za pierwszym razem.

– Witajcie, moi drodzy! – zawołał na ich widok. – Widzę, że wszyscy jesteście już gotowi. To cudownie! Najlepiej więc będzie, jak od razu zaczniemy.

Tak też się stało.

Najpierw poprosił ich, aby ustawili się w jednym rzędzie i przybrali poważne miny wyrażające determinację, ze wzrokiem skierowanym lekko ku niebu. Kamera robiła po kolei zbliżenia na twarze, a następnie filmowała ich z każdej strony.

Następnie Myles podzielił ich na dwie grupy i kazał im ustawić się na przeciwległych krańcach areny. Stamtąd mieli biec ku sobie w szybkim tempie, wydając „bojowe okrzyki”, a tym razem ich miny miały wyrażać „złość”, ale także „zdecydowanie”. Ważne było, żeby każda grupa biegła w równym tempie – aby dobrze wyglądało to w kadrze – oraz żeby spotkali się dokładnie na środku.

Szybko okazało się, że dwie ostatnie kwestie są dość problematyczne. Z tego powodu musieli powtarzać ujęcie aż czternaście razy, zanim reżyser okazał zadowolenie. Do tego czasu każdy zdążył się już nieźle spocić i zniechęcić, dlatego z ulgą przyjęto koniec zbiorowych nagrań.

Arrowside dał im kilkanaście minut przerwy, podczas której każdy napił się wody i chwilę ochłoniął. Potem reżyser znów zwołał ich w jedno miejsce.

– No dobrze, to teraz potrzebuję dwóch panów – oznajmił. – Zrobimy sobie taki mały pojedynek, który będzie puszcany w przebitkach zapowiedzi. – Myles powiódł wzrokiem po twarzach więźniów. – To

może... Evan i Joel? Tak? No to zapraszam!

Z grupy wystąpił olbrzymi casanova, który okazał się Evanem, oraz jego przeciwnik – dorównujący mu wzrostem, ale na pewno nie wagą ani urodą Joel. Miał wygoloną na łyso i pokrytą tatuażami czaszkę, orli nos i głęboko osadzone oczy, w których widniał jakiś nieprzyjemny wyraz. Karen przeszedł dreszcz. Joel ubrany był w czarne spodnie z granatowymi pasami na bokach. Każdy z mężczyzn miał obnażony tors.

– Chciałbym, żebyście odbyli krótki pojedynek. Możliwie jak najbardziej efektowny – powiedział Myles, szybko jednak dodał: – Oczywiście na niby, jasne? Nie chciałem, żeby komuś coś się stało. To jeszcze nie ten etap! – Zaśmiał się, a parę osób nawet podzieliło jego wesołość.

– Nie ma sprawy – odparł Evan.

– Do dzieła – mruknął Joel.

Stanęli naprzeciw siebie i wymienili uścisk dłoni, mierząc się uważnymi spojrzeniami. Joel powiedział coś, co usłyszeć mógł tylko Evan, a tamten pokręcił głową i uśmiechnął się lekko. Joel odszedł na kilka kroków i odetchnął głęboko.

– Kamery! – krzyknął Myles, odsuwając się tak, żeby nie wejść w kadr. – Akcja!

Joel od razu wyskoczył, mierząc kopnięcie w głowę Evana, ale ten zdążył schwycić jego stopę. Chciał ją wykręcić, tym samym zmuszając przeciwnika do upadku, ale ten wykorzystał tę siłę i obrócił się w powietrzu. Wylądował zgrabnie w przysiadzie na drugiej nodze.

Evan nie czekał. Przypadł do przeciwnika i sam chciał mu wymierzyć kopniaka, ale tamten zdążył się uchylić. Casanova stracił równowagę i niezgrabnie zatoczył się kilka kroków do przodu.

Rozległy się śmiechy.

– Cudownie! – zawołał Myles.

Evan odwrócił się z powrotem do Joela, z jego twarzy zniknął zwyczajowy uśmiech. Teraz malowała się na niej wściekłość. Błyskawicznie zmniejszył dzielący ich dystans i wymierzył potężny prawy sierpowy, który Joel z trudem zablokował. Zaraz jednak otrzymał cios w brzuch drugą ręką i aż zgiął się wpół. Wtedy blondyn poprawił nieudane uderzenie i twarz Joela zalała się krwią.

– Już, dosyć! Panowie! Dosyć! – rozwrzeszczał się Myles, a do Evana natychmiast doskoczyło dwóch strażników, chwytając go za ramiona.

Olbrzym szarpnął się jeszcze kilka razy, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą. Strażnicy puścili go, jednak pozostali obok, wciąż czujni.

Joel tymczasem trzymał się za twarz, przez jego palce ciekła krew.

– Złamałeś mi nos, ty kutasie! – krzyknął.

– Zdarza się. – Blondyn wzruszył ramionami.

– Czego nie zrozumiałeś w tym, że walka nie ma być na poważnie, co?! – darł się dalej Joel.

Evan obnażył zęby.

– Uwierz mi, że gdyby była na poważnie, wyglądałabyś o wiele gorzej...

– Ty...!

Joel chciał rzucić się w jego stronę, ale w porę powstrzymały go ramiona funkcjonariusza. Splunął krwią na ziemię.

– Pieprzę cię – warknął.

– Panowie, panowie, spokój! – Myles, który odszedł na chwilę, powrócił właśnie w towarzystwie kobiety z torbą lekarską. Nosła luźny uniform i miała wściekle różowe włosy, upięte w wysoki kok. – Naprawdę, nie ma potrzeby... Chodź, Joel, doktor Kelly to opatrzy...

Karen z fascynacją patrzyła, jak lekarka odejmuje zakrwawione dłonie mężczyzny od jego twarzy i delikatnie bada mu nos. Dlatego nie zauważyła, że ktoś do niej podszedł, i uświadomiło ją o tym dopiero klepnięcie w ramię.

– Nieźle, co? Będąc na miejscu Joela, cieszyłabym się, że nie złamał mi nic więcej. – To była owa kobieta o nieco męskim sposobie bycia. Krótkie włosy przefarbowano jej na czerwono. – Nazywam się Linda Mae, a ty?

– Jestem Karen... Karen Reynolds.

– Reynolds? Czeka, czeka... – Linda zmarszczyła brwi, najwyraźniej szukając czegoś w pamięci. Zmierzyła Karen uważnym spojrzeniem, zatrzymując wzrok nieco dłużej na jej piersiach, mocno opiętych stanikiem. Sama nosiła koszulkę bez rękawów. W końcu twarz rozjaśniła jej się w przebłysku olśnienia. – Czy to nie ty zajebałaś tę żonkę senatora Massachusetts?

– To był wypadek – skrzywiła się Karen. – Tak naprawdę jestem niewinna...

Linda parsknęła śmiechem.

– Jak my wszyscy – odparła. – Ja na przykład wysłałam na tamten świat byłego męża mojej partnerki. Nieźły skurwiel był z niego. Bił ją i poniżał, nękał, nawet w trakcie trwania procesu rozwodowego. Oddałam światu przysługę, pozbywając się tego gnoja. Ale wcześniej oderżnęłam mu jaja i wepchnęłam mu do gęby. Udusił się, jebany. Dobrze mu tak, tfu! – Splunęła na ziemię.

Reynolds uśmiechnęła się blado. A więc miała rację, podejrzewając Lindę o skłonności homoseksualne. Nie wiedzieć czemu, ale wszystkie lesbijki, jakie dotychczas spotkała, wyglądały podobnie: postawne, krótko ostrzyżone kobiety o feministycznych zapędach. Jej nowa znajoma nie była wyjątkiem.

– Ci tutaj... O, ten na przykład, ten, tamten z boku... O, tam. – Linda wskazała trzech mężczyzn. Dwóch stało pogrążonych w rozmowie,



trzeci, rudy, z bródką upodabniającą go do kozła, siedział na ziemi w jakimś oddaleniu od reszty, z twarzą wystawioną ku słońcu. – To są seryjni.

– Seryjni?

– Tak. Każdy z nich ma na koncie co najmniej kilka głów.

– Skąd to wiesz? – zdziwiła się Karen.

– To widać – stwierdziła Mae z prostotą. – Wystarczy, że...

Ale Reynolds nie miała się dowiedzieć, na co należy patrzeć, aby rozpoznać seryjnych morderców. W tej samej chwili rozległo się wołanie Mylesa:

– A teraz zapraszam drogie panie! Niestety, muszę przerwać jakże uroczą pogawędkę.

Podeszły do niego.

– Potrzebujemy również scenki z waszym udziałem – oznajmił. – Jednak nie będzie to zwykły pojedynek. Chciałbym pokazać coś specjalnego. Dlatego właśnie... Tak, Davis, podaj, proszę...

Młody mężczyzna, który pojawił się jakby znikąd, wręczył każdej z kobiet pugnał o czarnej jak smoła rękojeści. W pierwszej chwili Karen zaskoczyło, że wręczyli im prawdziwą broń, ale później pomyślała o paralizatorach. Zważyła ostrze w dłoni. Było dość ciężkie, ale doskonale wyważone. Popatrzyła niepewnie na reżysera. Chyba nie sądził, że będą walczyć tym czymś...?

– Spokojnie, drogie panie, nie oczekuję, żebyście użyły sztyletu przeciwko sobie – Arrowside prędko rozwiał jej wątpliwości. – Chciałbym, żebyście stanęły w odległości jakichś trzydziestu jardów od siebie i po prostu zaprezentowały się z tą bronią. Lindo, może mogłabyś kilka razy przerzucić sztylet z jednej dłoni do drugiej? Dasz radę?

– Jasna sprawa – odparła tamta, na próbę podrzucając broń.

– Cudownie! Ty, Karen, możesz po prostu wywinąć jakiś widowiskowy młynek... O, tak właśnie! Teraz tylko będziesz musiała to powtórzyć. Na mój znak obydwie ruszycie w swoim kierunku, biegnąc ile sił. Później oczywiście pokażemy to w slow motion, żeby był efekt. Pamiętajcie o mimice! Chcę widzieć determinację i zaciętość! No, to bardzo proszę... Lindo, stań tutaj, a ty, Karen, tam, gdzie ta linia...

Reynolds odeszła kilkanaście kroków i ustawiła się tuż za wyrysowaną na piasku linią. Serce biło jej szybko i musiała kilka razy głęboko odetchnąć.

– Gotowe?

Kiwnęła głową.

– Pamiętajcie o twarzy! Kamera, akcja!

Karen ugięła nogi w kolanach, przybierając pozycję, jakiej wyuczyły ją wieloletnie treningi MMA. Tym razem jednak w wysuniętej w przód dłoni trzymała broń. Choć nie trenowała od dawna, jej ciało miało

jednak zapisane ruchy w pamięci mięśniowej.

Zacisnęła zęby. Starła się, aby jej twarz wyrażała przekonanie o wygranej. Czowała, że kamera robi zbliżenie.

– Doskonale! – dobiegło ją wołanie Mylesa. – To teraz biegniemy, na trzy! Raz... dwa... trzy!

Wystartowały w tym samym momencie. Reynolds zauważyła, że zbliża się nieco szybciej od Lindy do punktu, w którym miały się spotkać, zwolniła więc. Chwilę później obie minęły się w pędzie i wyhamowały kilka metrów dalej.

– Bardzo dobrze! – Myles oderwał się od podglądu kamery, uśmiechnął szeroko. – Wyszło dokładnie tak, jak powinno! Chodźmy teraz do reszty... Wygląda na to, że to koniec na dzisiaj – zwrócił się do wszystkich więźniów. – Dziękuję wszystkim za wysiłek i cierpliwość. Zobaczymy się dopiero we wrześniu, gdy program wystartuje, nie pozostaje mi więc nic innego, jak życzyć wam powodzenia w treningach... No i do zobaczenia!

## Przygotowania

Na doskonalenie umiejętności walki pozostały prawie cztery miesiące. Dla kogoś, kto nigdy nie miał styczności z żadnym sportem, nie było to wiele czasu. Jak jednak Karen zdążyła się zorientować, każdy z więźniów miał w swojej przeszłości epizod związany z jakąś sztuką walki bądź innym rodzajem aktywności. Pewnie był to jeden z niepisanych warunków dostania się do programu. W duchu gratulowała sobie, że jeszcze za czasów liceum uczyła amatorsko na MMA. Teraz miało to przynieść wymierne korzyści.

Sala treningowa okazała się ogromna. Sufit wisiał na wysokości dwunastu stóp, z boku widniał wydzielony balkon dla obserwatorów. Cała prostokątna hala zdawała się jeszcze większa poprzez umieszczone na dwóch krótszych ścianach lustra i podłużne okna na pozostałych ścianach, przez które wpadało jasne światło dnia.

Zapowiedziano, że każdy z uczestników programu musi opanować umiejętność walki dwoma rodzajami broni białej. Obowiązkowe było władanie gladiusem – krótkim mieczem o szerokiej klindze, używanym przez pierwszych gladiatorów, od którego zresztą wzięli swoje miano. Miało to dodatkowo zaznaczyć historyczny aspekt przedsięwzięcia. Dodatkowo do wyboru mieli: miecz jednoręczny i półtoraręczny, miecz dwuręczny, który był jednak tak długi i ciężki, że chyba tylko Evan byłby w stanie go udźwignąć, rapier, pałasz, puginał, taki sam, jaki wręczono Karen i Lindzie do pokazu, oraz topór i berdysz. Był tam także buzdygan

i jego bardziej kolczasta wersja w postaci morgenszterna, a także kiścień o nadzwyczaj długim łańcuchu, łączącym kulę z trzonem. Wszystkie rodzaje broni wykonane zostały z dobrej stali, a ich rękojeści pokryto aerografitem, co robiło wrażenie, jako że materiał ten całkowicie absorbował i nie odbijał światła.

Co ciekawe, zrobione z niego były również maty treningowe oraz inne sprzęty dostępne na sali, ze względu na jego wysoką odporność na uszkodzenia i zdolność do powrotu do pierwotnego kształtu i właściwości.

Dla każdego rodzaju broni przeznaczono osobne stanowiska, nad którymi pieczę sprawowali wykwalifikowani instruktorzy. Mieli oni za zadanie nauczyć więźniów posługiwania się bronią. Niestety, nie sprowadzono trenerów sztuk walki, wychodząc z założenia, że w tej kwestii każdy powinien radzić sobie sam.

Za to oferowano im miejsce do takich treningów i odpowiednie narzędzia – różnorakie sprzęty, między innymi dwa ringi i trzy klatki sparingowe, maty, hantle, drabinki, pełne wyposażenie siłowni, znalazła się nawet bieżnia. Każdy mógł znaleźć swoje miejsce i odpowiednią dla siebie aktywność.

Sprowadzono również specjalne roboty, posiadające sztuczną inteligencję, które miały służyć im za przeciwników. Tylko na nich mogli używać ostrej broni, podczas gdy w każdym innym wypadku posługiwali się stępionymi replikami.

Oczywiście, nie pozostawiono ich samych sobie. Strażnicy snuli się po galeryjkach, część z nich przebywała na dole, zajmując miejsca pod ścianami. Więźniów przyprowadzano na dwie tury po dziesięć osób – co jakiś czas dla bezpieczeństwa zmieniano ich skład. Jedna grupa rano, druga wieczorem, i tak na zmianę. Mimo ogromu przestrzeni nie chciano, aby więźniowie zbyt długo przebywali razem, zwłaszcza w trakcie ćwiczeń fizycznych, gdy wyzwala się mnóstwo adrenaliny i testosteronu. Mogłoby to doprowadzić do niepotrzebnych konfliktów.

Jak się wkrótce okazało, obawy te były słuszne.

Incydent miał miejsce w trzecim tygodniu ćwiczeń.

Joel nie mógł wybaczyć Evanowi „przegranej” w jego mniemaniu walki pokazowej i tego, jak go później potraktował blondyn. Akurat tak się złożyło, że tego dnia znaleźli się w tej samej, ćwiczącej rano grupie.

Już od samego początku Joel słał Evanowi groźne spojrzenia, a nawet trącił go niby przypadkiem barkiem, mijając w drodze ku kolejnemu stanowisku. Blondyn jednak zignorował zaczepkę i spokojnie robił swoje, wciągając innych w przyjacielskie rozmowy w trakcie przerw, podczas których Joel stał z boku z chmurną miną i zaciśniętymi pięściami. W pewnym momencie nawet wykonał obraźliwy gest w stronę Evana, ale tamten zdawał się go nie zauważać. Może naprawdę

tego nie widział?

Joel w każdym razie miał dość tego, że zadufany w sobie olbrzym ma go gdzieś.

Znajdowali się w dwóch różnych końcach sali. Począł, aż Evan zmieni stanowisko, tak żeby Joel musiał przejść obok niego, kierując się ku stolikowi, na którym stały celulozowe butelki z wodą mineralną. Specjalnie opróżnił wcześniej do dna swoją, żeby mieć pretekst, aby się tam udać.

I w końcu stało się: Evan z suwnicy do ćwiczeń mięśni nóg przeniósł się na podnoszenie sztangi. Położył się na ławeczce, tyłem do Joela, który rozciągnął usta w nienawistnym uśmiechu. Wspaniale. Nie dość, że Evan znajdował się teraz idealnie na trasie do wody, to w dodatku, jeśli dobrze pójdzie, udusi go sztangą.

Rozejrzył się ukradkiem. Wprawdzie jego strażnik nie był niczym zajęty i obserwował więźniów, ale akurat nie jego. Dobrze, że ta suka Reynolds też była w tej grupie. Funkcjonariusz wlepił gały w jej tyłeczek, zamiast pilnować swojego podopiecznego. Joel nieśpiesznie ruszył w stronę stolika.

Z emocji niemal drżały mu ręce. Tył głowy Evana znajdował się już tylko parę stóp przed nim. Na szczęście tamten nie uważał za konieczne wziąć kogoś do asekuracji. Tym gorzej dla niego. Prostował akurat ramiona, unosząc ciężar. Joel postąpił jeszcze parę kroków naprzód. Evan opuścił sztangę, zatrzymując ją może dwa cale nad krtanią.

I wtedy Joel rzucił się ku niemu. Chwycił za metalowy drążek i z głośnym sykiem pchnął w stronę odsłoniętej szyi. Blondyn zdołał utrzymać drążek i wcisnąć jedną dłoń między pręt a gardło, co niechybnie uratowało mu życie. Sztanga jednak wciąż miażdżyła mu krtań, dociskana przez Joela. Evan zacharczał.

Wszystko to trwało ułamki sekund. Joel zobaczył jeszcze wytrzeszczone oczy olbrzyma, roześmiał się mściwie, ale nagle śmiech zamarł mu w gardle, a wokół pojawił się ból, ból obezwładniający, jakby ktoś podłączył go do gniazdka z prądem. Ciało opanowały niekontrolowane drgawki, upadł na podłogę, z ust potoczyła mu się ślina. A potem nadeszła ciemność i nie pamiętał już nic. Zemdlał.

Strażnik w porę uruchomił paralizator. Jeszcze chwila i Evan miałby złamane kręgi szyjne. Teraz wszyscy biegli w jego stronę.

– Lekarza! Lekarza! – krzyczał któryś z funkcjonariuszy do mikroskopijnego mikrofonu wczepionego w rękaw.

Trener od mieczy wraz z trenerem sztyletów ostrożnie zdjęli z mężczyzny ciężką sztangę. Był okropnie czerwony na twarzy i nie mógł wydusić słowa, ale w gruncie rzeczy miał wiele szczęścia.

Wszędzie rozlegały się podniecone głosy rozmów. Wyciągano szyje, by lepiej widzieć. Coś takiego nie powinno się stać i każdy o tym

wiedział.

– Zróbcie przejście! Zróbcie... Och, na litość boską!

Do sali wparowała doktor Kelly wraz z dwoma sanitariuszami, z których jeden dźwigał nosze. Lekarka rzuciła okiem na poszkodowanego i zwróciła się do asystentów:

– Załadujcie go na nosze. Zabieramy go do ambulatorium.

Potem pochyliła się nad Joelem.

– Ten tutaj wygląda jeszcze gorzej – stwierdziła kwaśno. Zmarszczyła pofarbowane na różowo brwi. – Czy to nie kolega od złamanego nosa? Co tu się wydarzyło?

Wyjaśnień udzielił jej funkcjonariusz, który użył zdalnego paralizatora. Gdy skończył, oczy pani doktor ciskały gromy.

– To waszym obowiązkiem jest pilnowanie, żeby nie dochodziło do takich sytuacji! – powiedziała ze złością. – Proszę mieć pewność, że złożę raport w tej sprawie.

Po czym odwróciła się do niego plecami, nie dając mu szans na obronę, i uniosła rękaw blad różowego uniformu na wysokość ust.

– Dajcie jeszcze jedno nosze – rzuciła do ukrytego mikrofonu. – Mamy tu jednak dwóch pacjentów.

Po chwili przybyło kolejnych dwóch sanitariuszy, którzy zajęli się Joelem. Mała procesja obładowanych ratowników z doktor Kelly na czele ruszyła w stronę drzwi. Za nimi powlekli się dwaj strażnicy, w tym ten, którego nieuwaga przyczyniła się do całego zamieszania.

Nie pojawił się zresztą nigdy więcej. Najwidoczniej skarga lekarki musiała dotrzeć do odpowiednich ludzi. Nie chodziło o to, że użył paralizatora – sęk w tym, że uczynił to zbyt późno. Gdyby wcisnął guzik w momencie, w którym Joel rzucił się ku Evanowi, prawdopodobnie tamten nie zdążyłby zaatakować casanovy.

Joela również już nie zobaczono. Został odesłany do zakładu penitencjarnego, a jako że był to wciąż wczesny etap treningów, na jego miejsce sprowadzono innego uczestnika. Okazał się nim szczupły mężczyzna średniego wzrostu, o miłej aparycji, który w młodości ćwiczył zapasy. Cieszył się, że dano mu szansę wzięcia udziału w programie.

Evan wrócił do nich cztery dni później, jak zawsze uśmiechnięty, z łobuzerskim błyskiem w oku. Nie wspominał o zdarzeniu.

Przygotowania trwały.

## **Pierwszy odcinek**

Znajdowali się w hypogeum, gdzie panował przyjemny chłód dzięki

ulokowanym przy suficie klimatyzatorom.

Mimo to Karen ledwie mogła oddychać. Powietrze nagle wydało jej się duszne i gorące. Świat zawirował. Wsparła się o ścianę, czując, że żołądek skręca się w supeł.

– W porządku? – usłyszała czyjś głos nad sobą.

Uniosła głowę i z trudem zogniskowała wzrok na osobie, która stała tuż obok. Był to Gregor, rudy mężczyzna z kocią bródką. Często ją zagadywał. Tym razem jego twarz wyrażała zatroskanie.

– Tak... w porządku – odparła, choć nie było to prawdą.

Gregor chyba też o tym wiedział, bo delikatnie chwycił ją pod ramię.

– Pomogę ci.

– Dziękuję – szepnęła z wdzięcznością i pozwoliła poprowadzić się na ławeczkę.

Usiedli z boku. W pobliżu znajdowało się sześć innych osób; niektórzy również siedzieli, inni nerwowo krążyli po sali, dwóch mężczyzn rozmawiało cicho. Jednak wszyscy bez wyjątku wpatrywali się – lub chociaż co jakiś czas rzucali krótkie spojrzenia – w ogromny ekran z grafenu, rozpięty na środku ściany.

Wyświetlał się na nim obraz walki, która właśnie toczyła się na arenie.

Reynolds również zerknęła na ekran i znów przeszedł ją dreszcz. Pojedynek właśnie dobiegał końca. Jeszcze tylko jedna para. A później kolej Karen. Głośno przełknęła ślinę.

– Przyniosę wodę – zaoferował się Gregor i odszedł w kierunku stojaka z butelkami z celulozy nanokryształicznej.

W tym momencie została wywołana kolejna dwójka – była to Linda oraz ten niski mężczyzna, niższy nawet od Karen, który kazał wołać na siebie Jeff. „Jeff the Killer” – dodawał ze śmiechem, nawiązując do popularnej kiedyś creepypasty.

Wybił gong. Pojedynek rozpoczął się w burzy oklasków widowni, która zapełniła Kolosa aż po brzegi. Czterdzieści tysięcy osób. Karen machinalnie przyjęła wodę od Gregora.

Z fascynacją patrzyła, jak walczący zaczynają powoli się okręzać, badając grunt. Każdy z nich dzierżył gladius. Myles zdecydował, że w pierwszym epizodzie będą walczyć właśnie tymi krótkimi mieczami, na cześć starożytnych zmagani. Miało to podnieść atrakcyjność odcinka, a każda walka miała trwać do pierwszej krwi. Postanowiono bowiem zacząć łagodnie – w tym odcinku nikt nie powinien zginąć. Odpaść miał tylko jeden zawodnik, ten, który spośród wszystkich najszybciej zostanie ranny. Polecono im wcześniej, aby wystrzegać się celowania w głowę i generalnie nie generować zbyt poważnych obrażeń, a jedynie powierzchowne urazy.

Walka trwała. Linda już dwukrotnie agresywnie natarła na Jeffa, ale

ten za każdym razem zdołał sparować jej cios. Znow krążyli wokół siebie, szukając dogodnej okazji do uderzenia.

I w końcu taka się nadarzyła. Jeff uniósł miecz, odsłaniając prawy bok. Linda błyskawicznie rzuciła się w tym kierunku, jednym susem skracając dystans. Cięła gladiusem pod ramieniem Killera. Odskoczyła. A mężczyzna złapał się za bok, patrząc w oszołomieniu. Przez jego dłoń przesączała się krew.

Rozległ się głośny aplauz publiczności. Zabrział gong. Walka była zakończona. Linda wygrała.

Karen wstała, czując się jak we śnie. Wiedziała, że zaraz wywołają jej imię. Musiała przejść długim tunelem hypogeum i odebrać broń.

Nagle poczuła szarpnięcie za dłoń. To Gregor coś do niej mówił. Pewnie chciał jej życzyć szczęścia. Pochyliła się nad nim, aby lepiej słyszeć.

– ...takie kobiety jak ty. Najpierw je gwałciłem, a potem podrzynałem gardła, patrząc, jak oczy wychodzą im z orbit...

Odsunęła się od niego gwałtownie, aż szara z obrzydzenia. Ruszyła w stronę areny. Gdy się odwróciła, żeby ostatni raz spojrzeć za siebie, mężczyzna śmiał się głośno z obleśnym wyrazem twarzy.

Szła niskim tunelem, mijając szpaler strażników. Wokół dudniło echo odgłosów z areny, burząc jej krew i przyprawiając o szybsze bicie serca. Czowała wibracje pod stopami. Już nie mogła się wycofać.

Na samym końcu, tuż przed wyjściem na skąpany w zachodzącym słońcu plac, czekali na nią technicy. Jeden z nich wręczył jej gladius i zamachał ręką, aby jeszcze wstrzymała się z wyjściem. Przycisnął palec do ucha, czekając na instrukcje. W końcu skinął głową i popchnął Karen delikatnie do przodu, tym samym dając jej znak, że już czas.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła przed siebie.

– ...Kaaaren ReeEEEEynooooolds!

Głos prowadzącego potoczył się echem po amfiteatrze. Weszła na arenę.

Bardziej czuła, niż słyszała przetaczającą się po trybunach burzę oklasków. Miejsca na widowni zostały zajęte co do ostatniego, ale nie widziała otaczających ją twarzy. Było tak, jakby nagle znalazła się pod wodą: wszystkie dźwięki z zewnątrz stały się dziwnie wygłuszone, obrazy zamglone, w uszach słyszała tylko łomot własnego serca.

Z naprzeciwka już nadchodził jej przeciwnik – Steve Kozansky, krzepki mężczyzna przewyższający ją o głowę, o krzywych zębach i twarzy prostego robotnika, na której gościł teraz pogardliwy uśmiezek. Nie musiała pytać, aby wiedzieć, co myśli; cała jego postawa pokazywała, jak bardzo jest przekonany, że Karen nie ma z nim najmniejszych szans. W końcu była tylko słabą, drobną kobietą.

Spotkali się na środku areny i wymienili uścisk dłoni, który niemal

zmiażdżył jej palce. Potem odsunęli się na przepisową odległość i każde przyjęło pozycję wyjściową w oczekiwaniu na rozpoczęcie walki.

Zabrział gong.

Karen wyzbyła się wszelkich myśli i uczuć, skupiając się tylko i wyłącznie na jednym: walce. Czowała, jakby nagle spadł na nią jakiś czar, wyłączający wszystko z wyjątkiem sylwetki Steve'a.

Dotychczas pojedynki rozpoczynały się tak samo: gladiatorzy krążyli przez chwilę wokół siebie, badając się nawzajem. Ale Karen skądś wiedziała, że tym razem tak nie będzie. Jakieś przecucie, może postawa Steve'a, może błysk w jego oku powiedziały jej, co tamten zaraz uczyni.

Kiedy więc od razu po sygnale rzucił się w jej kierunku z mieczem przy biodrze, celującym w jej bok, była na to przygotowana. Okręciła się zwinnie wokół własnej osi, przepuszczając go za plecami. Odwróciła się, gdy Steve wciąż był tyłem. Zarejestrowała tylko jego uniesioną rękę, tę, która była pusta, zanurkowała więc i jednym ruchem przejechała ostrzem miecza po lewym boku Kozansky'ego. Odskoczyła, widząc już, że wygrała: z przeciętej skóry płynęła krew.

Steve również się odwrócił. Z niejakim zdziwieniem przytknął dłoń do zranionego boku. Pochylił głowę, nie dowierzając.

Zabrział gong, obwieszczający najszybszy koniec walki do tej pory.

Widownia wybuchła głośnym aplauzem i brawami, które nagle rozbrzmiały w głowie Karen, jakby ktoś gwałtownie wyciągnął ją na powierzchnię wody.

Kozansky podniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. Widziała, że właśnie zrozumiał, co znaczy dla niego ta przegrana. Tak szybka. Zbyt szybka. Wiedział, że stracił coś więcej niż tylko tę walkę.

Mimo panującej wrzawy usłyszała, jak syknął:

– Ty głupia suko... myślisz, że wygrałaś?!

I rzucił się ku niej z obnażonym mieczem.

Celował wbrew. W ostatniej chwili odparła cios. Zachwiała się pod jego siłą i mężczyzna od razu wymierzył kolejny sztych, przed którym jednak zdołała się uchylić. Widownia zamarła. Rozległo się przeciągłe „oooch!”.

Steve uniósł gladius wysoko nad głowę i zadał kolejny potężny cios, który Reynolds z trudem zablokowała klingą własnego miecza. Szczęknięty skrzyżowane ostrza. Kozansky napierał dalej, zaciskając zęby z wysiłku, nieuchronnie zbliżając ostrze do kobiecej twarzy. Pot perlił się na ich skórkach.

– Dostaniesz, suko... długo... tak... nie... dasz... rady... – wysyczał, jeszcze bardziej zwiększając nacisk.

Karen wiedziała, że facet ma rację. Ramiona mdlały jej od wysiłku. Czowała, że zaraz zginie.

Kątem oka spostrzegła jakiś ruch. I nagle wokół zaroilo się od



funkcjonariuszy, którzy błyskawicznie obezwładnili Kozansky'ego.

Gladius wypadł jej z rąk. Oparła dłonie na kolanach, oddychając ciężko. Dlaczego nie użyli paralizatora? Czy to dla uciechy publiczności, która łaknęła akcji, czy też dlatego, że takie postępowanie zaszkodziłoby wizerunkowi programu? Mimo wszystko była wdzięczna, że w końcu pośpieszono jej z pomocą.

Reynolds poraziła świadomość własnej słabości. Obiecała sobie, że odtąd przyłoży się jeszcze bardziej do treningów. Taka sytuacja nie mogła się powtórzyć.

Po wszystkich odeskortowano ją do pomieszczenia, gdzie czekali zawodnicy, którzy odbyli już swoje walki. Wciąż buzowała w niej adrenalina.

Gdy tylko Karen weszła do środka, na jej spotkanie wybiegła Linda, zamykając ją w uścisku swoich wielkich ramion.

– Jezu, co za chora akcja – powiedziała. – Totalnie mu odjechało... Myślałam już, że jeszcze chwila i cię załatwi. No ale w sumie nic dziwnego, że się wkurwił, w końcu wcześniej to ty załatwiłaś jego... Serio, dwadzieścia siedem sekund! Nikt nie zrobił tego szybciej i pewnie już nie zrobi! Byłaś naprawdę ekstra!

– Dzięki – odparła Karen, uśmiechając się wymuszenie.

– Chodź, jest tu kącik z kawą i ciastkami, powinnaś coś przekąsić...

– No nie wiem... – Reynolds zerknęła na ogromny ekran, który znajdował się i w tym miejscu. Trwał już kolejny pojedynek. – Nie jestem głodna. Chciałam zobaczyć pozostałe walki...

– Aj, daj spokój. Po takim stresie i wysiłku powinnaś uzupełnić glukozę. Gdzieś kiedyś o tym czytałam.

Mae pociągnęła ją za ramię w drugą część pomieszczenia, znajdującą się za przewężeniem, a Karen posłusznie pozwoliła się tam zaprowadzić. Linda nastawiła ekspres na dwie latte, Reynolds bez entuzjazmu wybrała rogała francuskiego ze stosiku różnego rodzaju ciastek, babeczek i wafelków. Emocje już trochę opadły, puls powoli odzyskiwał swój zwykły rytm. Mimo to nie odczuwała głodu i tylko skubała przekąskę, podczas gdy Linda wepchała na raz do ust całą muffinkę z kremem.

Gdy w końcu wypily kawę i wróciły do innych uczestników, było ich więcej, niż gdy opuszczały salkę. Trwała właśnie przedostatnia walka.

Obie panie zajęły miejsca z tyłu. Ekran dzięki swojej wielkości był doskonale widoczny z każdego punktu pomieszczenia. Słońce zaszło już jakiś czas temu i arena skąpana była teraz w sztucznym świetle potężnych lamp, emitujących jasne, blade światło, w którym wszystko wyglądało na nienaturalnie wyostrzone.

Wkrótce walka dobiegła końca, rozległy się oklaski, a głos spikera zapowiedział ostatni już tego wieczoru pojedynek: Evan Darwin kontra

Michael Velasquez, śniady Latynos niskiego wzrostu, co najmniej czterdzieści kilo lżejszy od olbrzymiego blondyna. Przeciwników dobierali wcześniej w drodze losowania i było to zdecydowanie najmniej wyrównane zestawienie.

Panowie wyszli na środek i tak jak pozostali uczestnicy, wymienili uścisk dłoni i odsunęli się w wyznaczone pola.

Zabrział gong. Ruszyli.

A właściwie to Evan wystartował w kierunku Michaela, kręcąc młynka mieczem, podczas gdy tamten... rzucił się do ucieczki. Sądząc susy na tyle długie, na ile pozwalały mu krótkie nogi, odbiegł prawie na sam kraniec areny, oglądając się trwożliwie przez ramię. Rozległy się głośne śmiechy publiki. Najwyraźniej Velasquez zdawał sobie sprawę z przewagi fizycznej przeciwnika i postanowił ratować się ucieczką, aby tylko nie zostać rannym zbyt szybko i tym samym nie odpaść z programu.

Evan pobiegł za nim kilkanaście jardów, ale zaraz zatrzymał się i chwycił rękami pod boki. Nie zamierzał go ścigać.

– Chodź tutaj! – krzyknął, a dzięki obłożonym tlenkiem tytanu ścianom Kolosa wszyscy dobrze go usłyszeli. – Nie będę cię ganiał jak kury na rosół!

Widownia zawyła ze śmiechu. Więźniowie zebrani przed holoodbiornikami również wymieniali rozbawione uwagi. Michael zaś tylko pokręcił głową.

– Jak chcesz! – Evan wzruszył ramionami. – Mamy czas!

Nie mieli ograniczeń czasowych, w jakich należało skończyć walkę, jednak to, co właśnie się działo, okazało się zupełnie bez precedensu. Nie minęła chwila, a z tunelu wybiegł jeden z techników i zbliżył się do Velasqueza, gestykulując gwałtownie. Stanął tuż przed nim i powiedział coś na tyle cicho, że tylko tamten mógł go usłyszeć. Nie trzeba było jednak być wróżbitą, aby zgadnąć, co takiego powiedział realizator. Sądząc po minie Michaela i jego niechętnym skinięciu głową, z pewnością nakazał mu podjąć walkę i przestać grać na zwłokę pod groźbą dyskwalifikacji.

Chcąc nie chcąc, Velasquez powoli ruszył w stronę Evana, w wyciągniętej ręce trzymając swój gladius. Karen wydawało się, że ręka ta lekko drży.

Blondyn już na niego czekał. Na szeroko rozstawionych, lekko ugiętych nogach, również z uniesionym mieczem, w pozycji dachu. Gdy Michael znalazł się w odległości kilku kroków, olbrzym rzucił się w jego kierunku.

I zasypał go gradem ciosów. Które Velasquez z początku dzielnie odbijał. Lecz nagle zachwiał się pod siłą wyjątkowo potężnego uderzenia wpierś, które odbił płaską stroną klingi. Potknął się.

Darwin wykorzystał to i pchnął go kopniakiem na ziemię. Michael przykleknął na jedno kolano. A Evan zamachnął się i odciął mu głowę.

No, nie do końca. Czaszka zakołysała się na fragmencie skóry i ścięgien, przechylając się na prawy bok. Miecz wypadł z dłoni mężczyzny. Velasquez zachwiał się i padł na ziemię. Martwy.

Wszyscy zamarli. W powietrzu zawisła ciężka cisza szoku i niedowierzania. A potem, jakby nagle otworzono wygłuszone drzwi, rozbrzmiał obezwładniający huk oklasków i dzikie wycie tłumu.

Ludzie oszaleli.

Stawali na swoich miejscach i przepychali się, aby lepiej widzieć. Na arenę wysypali się funkcjonariusze oraz ratownicy, którzy w pośpiechu zbliżali się, targając nosze. Nikogo już jednak nie można było dzięki nim uratować. Można było tylko zabrać zwłoki z widoku.

Kamera zrobiła najazd na sylwetkę blondwłosego olbrzyma. Evan przechadzał się dookoła areny z uśmiechem na przystojnej twarzy, pozdrawiając wiwatujących widzów istic królewskim gestem. Nikt go nie zatrzymywał, mimo że wokół kręcili się strażnicy.

Jego miecz ociekał krwią.



Świat oszalał.

Powtórki z odcięcia głowy Michaela Velasqueza przewijały się w każdym programie informacyjnym w holowizji i intermeganece. Serwery zalane były komentarzami i wypowiedziami na ten temat. Filmik na kanale HBS osiągnął dziesięć milionów wyświetleń w niespełna pięć minut od opublikowania. Ekspertsi przekrzykiwali się w wydawaniu opinii.

Wprawdzie media już wcześniej publikowały reklamy i materiały wideo dotyczące zapowiedzi programu „Arena należy do was!”, ale te ostatnie w większości utrzymane były w powątpiewającym tonie. Z pobłażaniem patrzono na rzekomą „rewolucyjność” przedsięwzięcia. Zapewnienia organizatora, że w programie będzie się miało do czynienia z widokiem prawdziwej śmierci, zbywano twierdzeniem, że z pewnością nałożone zostaną efekty specjalne, nakładki deep fake, charakteryzacja, a wszystko i tak będzie ustawione.

„Arenę” przedstawiano jako połączenie teleturnieju ze sztukami walki, okraszone historyczną otoczką. Brakowało jednak entuzjazmu w tych zapowiedziach, ale to nic dziwnego: takich programów widziano już wiele. Każdy miał być „niespodziewaną nowością” i żaden nie był. Dlaczego więc miano spodziewać się czegoś innego?

Po pierwszym odcinku nie można było jednak odmówić organizatorom jednego: mieli rację. W każdym calu. Rzeczywiście pokazali coś, czego wcześniej w świecie rozrywki nie widziano.

Nikt nie wątpił, że śmierć Michaela była prawdziwa. Nie potrafiono znaleźć miejsca na żadne mistyfikacje.

Od razu głos podnieśli obrońcy praw człowieka. Rzecznik organizacji Humanity for Human wystosował nawet oficjalne pismo do prezydenta w akcie protestu. Rząd wydał oświadczenie, w którym stwierdzał, że nie zostały naruszone żadne przepisy. Wypowiedziało się wielu prawników, psychologów, policjantów, aktywnych zawodników MMA i cała rzesza innych specjalistów. Generalnie ich poglądy podzielone były na dwa obozy: tych, którzy uważali, że jest to jedynie kolejny krok w ewolucji rozrywki, oraz tych, którzy twierdzili, że jest absolutnie niedopuszczalne, by godzić się na jawny mord w biały dzień na oczach milionów.

Faktem było, że mord ten był zupełnie legalny.

Więźniów nie bez powodu przewieziono akurat do Oregonu. Tylko w tym stanie prawo zostało sformułowane w sposób, który umożliwił realizację programu. Notabene zmiany w ustawie, która pozwalała na tak niespotykane działanie organizatora, zostały wprowadzone na półtora roku przed rozpoczęciem naboru do „Areny”. Oczywiście już wtedy planowano całe przedsięwzięcie. Jednak w obliczu nowych przepisów nic nie można było poradzić i protestujący przeciw dalszej emisji programu mogli jedynie bez powodzenia podejmować próby manifestacji swoich roszczeń.

Drugi odcinek miał zostać wypuszczony dokładnie za tydzień. W piątek o tej samej porze.

Cały świat czekał, wstrzymując oddech.

## Venatio

Bilety na trybuny zostały wyprzedane dokładnie trzy minuty i dwadzieścia osiem sekund po uruchomieniu sprzedaży, jeszcze zanim zaciął się serwer. W zależności od sektora ceny zaczynały się od pięćdziesięciu dolarów, a najlepsze miejsca w łoży VIP kosztowały już pięćdziesiąt tysięcy. Ale to i tak było mało. Znalazła się całkiem pokaźna grupa osób, którym udało się zakupić bilety w normalnej sprzedaży i wystawić je później na eBayu, gdzie zyskiwały astronomiczne ceny. Podobno za ostatni zlicytowany na aukcji bilet, na kilka godzin przed rozpoczęciem drugiego odcinka, ktoś zapłacił ponad osiemdziesiąt tysięcy dolarów. I to za zwykły sektor.



Zapowiedź drugiego odcinka była tajemnicza i obiecywała wielkie emocje. Tym razem uczestnicy nie mieli walczyć między sobą, ale działać wspólnie przeciwko innemu przeciwnikowi. Nie zdradzono, z kim, a raczej z czym konkretnie mają się zmierzyć, ale powiedziano tylko jedno: będą to zwierzęta. Bardzo dzikie i bardzo groźne. Tak jak w starożytnym Rzymie!

Ogłoszono, że gladiatorzy również nie wiedzą, czemu przyjdzie im sprostać, tak aby wystawić na próbę ich doraźną sprawność działania i zdolność do współpracy.

Nie było to prawdą, ale o tym wiedzieli tylko zainteresowani. Powiedziano im, że na początku zostanie na nich wypuszczone stado dzików, a następnie przyjdzie im zmierzyć się z dwoma lwami. Wszyscy byli mocno zaskoczeni, lwy bowiem stały się gatunkiem zagrożonym, na granicy wyginięcia. Na świecie pozostało już tylko kilka stad plus te okazy, które urodziły się w ogrodach zoologicznych. Karen podejrzewała, że wybór drapieżnika był głównym powodem, dla którego wcześniej go nie zdradzono; zaraz podniosłyby się głosy obrońców zwierząt, że to niehumanitarne skazywać niewinne zwierzęta na śmierć dla pustej rozrywki. Co jednak było ludzkie w programie, w którym w założeniu człowiek miał odbierać człowiekowi życie, by tylko zostać w rozgrywce?

Reynolds w duchu zgadzała się z obrońcami zwierząt. Zawsze kochała „braci mniejszych” i cierpiała, widząc ich krzywdę. Jako dziecko miała nawet psa, jednak przeżyła jego śmierć tak bardzo, że w dorosłym życiu nie zdecydowała się na przygarnięcie czworonoga.

Pozwolono im poza bronią, z którą wcześniej trenowali, zabrać również po jednej dwumetrowej włóczni dla każdego. Włócznie były dość lekkie, wykonane z włókna węglowego, o ostrzach ze szklanych polimerów, co czyniło je wyjątkowo ostrymi. Technik, który przyniósł broń, oznajmił, żeby lepiej miarkowali ciosy, gdyż groty miały tę właściwość, że po wnikięciu w ciało rozpadały się na szereg ostrych odłamków. Powodowało to, że nawet źle zadane pchnięcie mogło okazać się śmiertelne, trzeba jednak było uważać, bo cios zadany niecelnie – na przykład w głębie – sprawiał, że broń stawała się bezużyteczna.

Postanowili, że do walki z dzikami połączą się w pary (jeden zespół stanowiły trzy osoby, jako że było ich dziewiętnaścioro; po śmierci Michaela Steve Kozansky pozostał w programie, mimo że został pokonany przez Karen). Przy lwach zaś mieli się podzielić na dwa zespoły, dziesięcio- i dziewięciosobowy. Uznali, że będzie to najlepszy układ, który zapewni im możliwie jak największe bezpieczeństwo

i najszybsze zabicie dzikich zwierząt.

Wkrótce miało się okazać, że choć pomysł był dobry, nie miał szans na realizację. I nawet w najmniejszym stopniu nie było w tym winy gladiatorów.



Podniosły się kraty i z tunelu wybiegło całe stado dzików, w sumie piętnaście sztuk. Wypadało po więcej niż jeden na parę, więc szybko uzgodniono, że zespół, który zabije pierwszego, ma się od razu rozglądać za kolejnym.

Dziki pędziły w ich stronę, kwicząc i pochrzäkując.

Ale nie były to zwykłe dziki, jakie jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej można było spotkać w lesie. Te tutaj to były ogromne, genetycznie modyfikowane i specjalnie wyhodowane do programu *bestie*. Wyglądały raczej na swoich prehistorycznych protoplastów. Każdy przerastał wielkością ogromną maciorę chlewną, a zamiast tłuszczu pod szorstką szczecina kryły się potężne mięśnie. Z ryja wyrastały im kolosalne kły, każdy mierzący prawie dziesięć cali długości.

Gladiatorzy rozpierchli się, gdy stado wpadło między nich.

– Oszczędzajcie włócznie! – ktoś krzyknął. Chyba Evan. – Przydadzą się później!

Wszyscy myśleli podobnie, każdy trzymał już swoją ulubioną broń, włócznie pozostawiając do drugiej fazy starcia.

Linda i Karen, które stanowiły parę, od razu wypatrzyły jednego dzika, który biegł na końcu całej grupy. Stał teraz, wałąc kopytami w ziemię i wydając krótkie chrząknięcia. Wymieniły spojrzenia, odrzuciły włócznie i zaczęły tupać oraz nawoływać, chcąc zwrócić jego uwagę.

Udało się. Zwierz wydał niepokojący wizg i ruszył w ich stronę. Kobiety czekały ramię w ramię. Taki był plan. Stały w jednym punkcie niemal do samego końca, w ostatniej chwili odskakując na boki przed śmiercionośnymi kłami, którymi wymachiwało zwierzę. Dzik wyhamował i zwrócił łeb w stronę Karen, obierając ją na cel.

Nie zdążył jednak zebrać się do ataku, gdy Linda od tyłu wbiła mu miecz w cielsko. Niestety, dzik w ostatniej chwili poruszył się i ostrze trafiło w końcową część grzbietu, nie czyniąc mu większej szkody. Zwierzę szarpnęło się gwałtownie, wyrywając Mae rękojęść z dłoni. Odwróciło się teraz do niej, wściekłe, ranne – i przez to jeszcze bardziej niebezpieczne. Zaszarżowało na kobietę. W ostatniej chwili Linda zdążyła się uchylić.

Reynolds zobaczyła spanikowane spojrzenie towarzyszki, która nie miała przecież broni. Nietknięte włócznie leżały tam, gdzie je zostawiły. Karen nie czekała, aż zwierzę ponowi swój atak. Podbiegła do niego od tyłu i skoczyła mu na grzbiet, chwytając za pozostawioną rękojeść miecza Lindy, a drugą ręką przytrzymując się szorstkiej szczeciny. Zwierz kwiknął, rozwścieczony do granic możliwości. Szarpał się i wyginał, próbując zrzucić Karen. Ona jednak trzymała się mocno. Odchyliła się do tyłu, żeby uniknąć morderczych kłów, i wbiła swój sztylet u podstawy czaszki dzika.

Zwierz postąpił jeszcze dwa niepewne kroki. I padł martwy, a Karen zwinnie zeskoczyła, zanim jeszcze jego cielsko zważyło się na arenę.

– Dzięki – powiedziała Linda, wymierzając truchłu kopniaka. – W pewnym momencie nie było mi za wesoło.

– Najważniejsza jest praca zespołowa – oznajmiła Reynolds i obie się uśmiechnęły.

Tymczasem inne pary również poradziły już sobie z większością osobników. Po arenie biegały tylko trzy ostatnie sztuki, zaganiane przez gladiatorów, a Steve Kozansky właśnie rozłupywał czaszkę czwartemu.

I może dlatego nie zauważył, że jeden z dzików odłączył się od dwóch pozostałych i popędził w jego stronę, jakby chciał się zemścić za śmierć pobratymca.

Steve usłyszał ostrzegawcze wołanie Evana, ale o ułamek sekundy za późno. Dzik wpadł na niego, Kozansky osłonił się ręką, aby nie zostać nabitym na długie niemal na stopę kły, ale to właśnie jeden z nich zahaczył o jego ramię. Steve zawył z bólu, gdy rozjuszony dzik rozszarpywał mu rękę, rzucając łbem na boki. Zwierz pociągnął go po piasku areny.

I wtedy stało się coś, czego nikt nigdy by się nie spodziewał.

Nagle doskoczył do nich Evan. Uwolnił ramię Steve'a. Złapał rękoma kły dzika i... i uniósł za nie ogromne cielsko zwierza, wysoko, prawie nad głowę, choć tamten musiał ważyć dobre kilkaset funtów. A potem cisnął nim z rozmachem kilka jardów dalej. Dzik wyrznął w ziemię z paskudnym chrupnięciem, zwiastującym złamany kręgosłup.

Natychmiast dopadli do niego inni gladiatorzy, ostatecznie kończąc jego żywot. Pozostałe dwa osobniki również były już martwe.

Evan stał w glorii chwały, dla żartu prężąc mięśnie, a tłum skandował: „Headkiller!”, będąc pod wrażeniem tego niespotykanego pokazu siły i odwagi. Po prawdzie inni gladiatorzy też zerkali na olbrzyma z mieszaniną szacunku i zazdrości.

Ale niedługo mogli cieszyć się tym zwycięstwem, bo oto zabrzmiały trąby i zostały otworzone dwie ukryte w podłożu areny kłapy.

A z każdej z nich wyszedł lew.

Obydwa samce, podobnie do dzików, były nadnaturalnie

powiększonymi przedstawicielami swojego gatunku. Wokół ich głów falowały piękne, gęste grzywy. Cała postawa była dumna i nieugięta, biła od nich pogarda dla nędznych ludzkich stworzeń.

Lwy zbliżały się nieśpiesznie. Tymczasem gladiatorzy przegrupowali się w dwa zespoły, tak jak umówili się wcześniej. Postanowili czekać, zobaczyć, co zrobią drapieżniki, które na razie powoli przechadzały się wszerek areny, co jakiś czas tylko zerkając na ludzi.

Lecz wtem otworzyła się kolejna kłapa i z umieszczonej pod nią platformy wypadł trzeci lew, chyba jeszcze większy od pozostałych. Ten jednak nie był spokojny. W pełnym pędzie minął swoich pobratymców i zatrzymał się tuż przed grupą gladiatorów, którzy zamarli, czekając na jego ruch.

A lew nagle, bez ostrzeżenia skoczył i rzucił się na Kozansky'ego.

Prawdopodobnie zwabił go zapach krwi, wciąż toczącej się z jego ramienia. Steve nie zdążył wykonać choćby najmniejszego ruchu. Lew powalił go na ziemię uderzeniem potężnych łap i wbił kły w jego ciało, jednym kęsem wrywając mu cały bark i kawałek szyi. Chlusnęła krew.

To pobudziło do działania dwa pozostałe samce. I one ruszyły w stronę ludzi, którzy chaotycznie zmieniali pozycje, aby móc walczyć z jednym przeciwnikiem więcej.

Jedna grupa obstała lwa, celując do niego z włóczni. Gregor szturchnął go w zad, zapominając chyba o właściwościach ostrza, które zostało w ciele, rozszepiając się na wiele mniejszych kawałków. Lew ryknął z wściekłości. Zamachnął się potężną łapą. Rozgorzała walka.

Karen tak była zafascynowana rozgrywającymi się wydarzeniami, że nie zauważyła, że nagle została sama, z boku, stojąc i patrząc na poczynania innych.

Zauważył to jednak ktoś inny. I wytypował ją jako kolejną najsłabszą ofiarę.

Kilka następnych chwil minęło dla niej jak w zwolnionym tempie, choć trwały zaledwie sekundy.

Ogłuszający ryk. Odwróciła się w stronę, skąd dochodził dźwięk. Pierwszy z lwów porzucił ciało Steve'a. I ruszał właśnie na nią.

Była jak sparaliżowana. Widziała te potężne szczęki, ostre pazury, wzbijające pył z ziemi, gdy lew biegł ku niej, ale nie potrafiła się poruszyć. Dosłownie zamarła z przerażenia. Zrozumiała, że oto w kilku susach nadciąga śmierć.

Widziała, jak lew wybija się do ostatecznego skoku. Już niemal czuła jego zęby zaciskające się na szyi.

Lecz wtem coś staranowało zwierzę w powietrzu, odrzucając je na bok. Lew przetoczył się po ziemi i wylądował na brzuchu. Wydał zdumione fuknięcie.

Bo w jego plecy, jak niechciany owad, wczepiony był człowiek. Evan



„Headkiller” Darwin.

Wszystko wydarzyło się w ułamkach chwili. Mężczyzna nie czekał, aż zdezorientowane zwierzę odzyska animusz. Puścił grzywę, którą dotąd ścisnął kurczowo, i obiema rękoma chwycił półtoraręczny miecz przytroczony do pasa. Uniósł go, łapiąc za głównię, i jednym ruchem wbił w kark lwa.

Zwierzę ryknęło i zerwało się, zrzucając z siebie Evana. Nie zdążyło jednak zrobić nic więcej. Potężny cios gladiatora przebił grubą szyję zwierzęcia na wylot. Lew osunął się na ziemię. Łapy zadrgały jeszcze konwulsyjnie, a potem znieruchomiał.

Publiczność wiwatowała, wykrzykując raz po raz: „Headkiller! Headkiller!”. Olbrzym był ich zdecydowanym ulubieńcem i po tym, czego dokonał w tym odcinku, trudno było się ludziom dziwić.

Blondyn stanął na nogi z wyraźnym trudem. Jego klatkę piersiową pokrywały długie zadrapania. Najgorzej jednak było z lewą nogą. Widniały na niej cztery głębokie szramy, z których sączyła się krew. Pamiątka lwich pazurów. Ale mógł skończyć o wiele gorzej.

– Jezu, Evan... – Karen nie potrafiła oddać słowami, jak wielkie wrażenie zrobił na niej jego czyn i jak bardzo jest mu wdzięczna. – To było...

– Niesamowiteee! – Komentator zdawał się podzielać jej odczucia. Jego głos potoczył się echem po Kolosie. – Czy państwo widzieli to starcie? Czy może ja śnię? Sam jeden rzucił się na to szalenie niebezpieczne zwierzę! Coś nieprawdopodobnego!

Evan podszedł w stronę Reynolds. Utykał lekko, ale starał się to zamaskować.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała.

– Ratowałem tylko damę w opresji. – Uśmiechnął się, prezentując białe zęby.

Karen pokręciła głową, trochę zawstydzona i wciąż niedowierzająca.

– Twoja noga... Nie wygląda to najlepiej – zauważyła.

– Eee tam. – Machnął ręką. – Dadzą mi opatrunek z hydrożelem, kilka szwów i będzie jak nowa. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia... Spójrz.

Karen podążyła za jego wzrokiem. Miał rację.

Pierwsze ciało należało do Steve’a. Pozbawione lewego barku i kawałka szyi, miało rozprutą całą klatkę piersiową. Lew zdążył pożywić się większą jej częścią, zanim zaatakował Karen.

Kilka kroków dalej leżało drugie ciało i tylko dzięki jego niewielkim rozmiarom Reynolds zdołała odgadnąć, do kogo należało. To był Jeff. Przynajmniej kiedyś, bo teraz nie miał twarzy, a jego tułów był rozerwany na pół. Wnętrza zostały rozwleczone na kilka stóp wokoło. Cuchnęło krwią, fekaliami i moczem.

Ostatni już trup znajdował się bardziej z boku i był najmniej

pokieroszowany. Eric – bo tak brzmiało jego imię – miał ledwie kilka zadrapań i krwawą pręgę na prawym boku, ale po ułożeniu jego głowy widać było, że skręcił kark.

Nie było więcej ofiar śmiertelnych, ale jeszcze kilka osób miało mniejsze lub większe rany. Wszystkie zresztą zostały opatrzone przez zespół medyczny pod wodzą doktor Kelly po zakończeniu odcinka. Najciężej ranna osoba wydobrzała przed upływem trzech dni.

Wszystkie trzy lwy zabito, płacąc za to jednak wysoką cenę.

## Trzeci odcinek

W grze pozostało szesnaście osób. Do trzeciego odcinka podzielono ich na cztery zespoły trzyosobowe i jedną czwórkę. Ich zadaniem było zamordowanie jednej osoby z każdej drużyny. Każdy walczył za siebie. Aby jednak uniemożliwić im wcześniejsze zgadanie się między sobą, tak aby dwie osoby zbratały się przeciwko jednej – choć potem i tak okazało się to nieuniknione – wcześniej podzielono ich na trzy osobne grupy oczekujących, z których wywoływano po jednym nazwisku, tak że poznawali swoich przeciwników tuż przed wyjściem na arenę.

Karen miała cichą nadzieję, że uda jej się trafić do jednego zespołu z Lindą. Panie zdążyły się polubić i spędzały ze sobą chyba najwięcej czasu. Dogadywały się dobrze i miło było czasem pożartować z drugą kobietą w gronie samych mężczyzn.

No, nie do końca samych mężczyzn. Była jeszcze Miranda – a właściwie Salomon, który choć twierdził, że czuje się kobietą, według prawa nie miał zmienionej płci, a i nie został poddany żadnej terapii hormonalnej, przez co wyglądem nie odbiegał od innych panów. Ponoć miał poddać się operacji i zmienić papiery, ale nie zdążył, zanim go zamknęli. Co ciekawsze, nie dość, że utożsamiał się z płcią żeńską, to twierdził, że jest lesbijką, ponieważ wciąż podobały mu się kobiety. Jednakowoż nie był zainteresowany Lindą – zresztą z wzajemnością.

Byli także Alexander i Derek, o których Karen wiedziała, że urodzili się kobietami. Teraz jednak nic już nie wskazywało, że kiedykolwiek tak było, zwłaszcza w przypadku Alexandra, który miał prawie metr osiemdziesiąt i szerokie ramiona. Derek był zdecydowanie drobniejszej budowy, ale okazał się przy tym tak męski, jak to tylko możliwe. Jego broda i wąsy były elegancko przystrzyżone i zadbane. Gdyby ubrać go w garnitur, Karen powiedziałaby, że to dyrektor jakiegoś banku, a nie seryjny morderca dzieci.

Nazwisko Reynolds wywołano jako pierwsze z drugiej grupy.

Idąc niskim tunelem, nasłuchiwała, z kim przyjdzie jej się zmierzyć.

Niestety, w zapowiedzianej trójce nie miało być Lindy. Wywołano Wooda – milczącego, wysokiego mężczyznę od stóp do głów naznaczonego tatuażami – i, ku utrapieniu Karen, Gregora.

Nie cierpiała tego człowieka. Od początku czuła do niego jakąś niechęć, mimo że tamten zawsze był niezwykle uprzejmy i często starał się ją zagadywać. Wielokrotnie oferował jej pomoc podczas treningów; to proponował, że może zmierzyć się z nią w sparingu, to służył przyniesieniem przekąski czy odstawieniem hantli. Starła się jednak zbywać jego próby wątpliwego podrywu niezachęcającym uśmiechem. Jego prawdziwa twarz wyszła na jaw dopiero przed jej pierwszą walką. Wciąż nie mogła zapomnieć słów, które wtedy powiedział. Niestety, postawa prezentowana wobec niej wcale się nie zmieniła, choć Karen od tego czasu już przestała udawać miłą i po prostu ignorowała Gregora lub odchodziła bez słowa.

Dlatego też wchodziła na arenę z niepokojem.

Przeciwnicy również zbliżali się do środka placu, każdy z innej strony. Wood jako broń wybrał kiścień, Gregor zaś standardowy gladius. Reynolds zdecydowała się na miecz jednoręczny, dość lekki, by mogła się nim swobodnie posługiwać, ale o klindze zdecydowanie dłuższej niż gladius, co wyrównywało trochę krótki zasięg jej rąk.

Cała trójka oszczędnie skinęła sobie głową i odsunęła się za wyznaczone linie. Czekali na rozpoczęcie.

Zabrział sygnał. Widownia huknęła oklaskami. Zaczęło się.

Wystarczyła chwila, aby Karen zorientowała się, że oto będzie musiała zmierzyć się z dwoma przeciwnikami, którzy działają wspólnie przeciwko niej. Czuła, jak wypełnia ją gniew, choć spodziewała się tego. Znowu. Zawsze łatwiej atakować najslabszego. A ona, jako niska i szczupła, a przede wszystkim kobieta, taka właśnie była w ich mniemaniu.

Kilka następnych minut miało pokazać, jak bardzo się pomylili.

Stanęli ramię w ramię i zaczęli powoli się do niej zbliżać. Cofnęła się parę kroków, nie spuszczać ich z oczu.

– Wybacz, Karen – powiedział Gregor przeproszającym tonem, tak jakby uważał, że Reynolds sądziła, iż zechce się z nią sprzymierzyć – ale sama rozumiesz...

Zrobił szybki wypad do przodu, ciął płasko, celując w brzuch. Odbiła jego uderzenie klingą miecza i sama wymierzyła cios w szyję. Zablockował go ze szczękiem stali. Ich ostrza skrzyżowały się, gdy każde napierało na nie ze swojej strony.

W końcu Gregor odepchnął Karen. Odtoczyła się do tyłu. Skoczył za nią, nacierając z prawej strony. Wywinęła się i cięła lewą ręką w jego lewy bok. Poczowała, że koniuszek miecza natrafił na przeszkodę. Gregor syknął. Na jego żebrach powstała krwawa ryna.

I tylko dzięki temu, że Reynolds zauważyła zbliżający się od tyłu cień, w ostatniej chwili udało jej się pochylić i uskoczyć. Ponad głową ze świstem przeleciała najeżona kolcami kula. Karen odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Woodem, który zdążył obejść ją od tyłu. Uśmiechał się paskudnie.

– Teraz już się nie wymkniesz, ptaszku – powiedział, biorąc zamach.

Wydawało się, że znowu będzie celował w głowę, ale w ostatnim momencie gwałtownie obniżył rękę i kiścień poleciał nisko, tak że Karen musiała podskoczyć. Nie zrobiła tego jednak wystarczająco wysoko. Jeden z kolców musnął podeszwę jej buta. Wytrąciło ją to z równowagi. Wylądowała w półprzysiadzie, odwrócona bokiem, tak żeby widzieć obydwu przeciwników.

I od razu musiała sparować cios Gregora, który znowu przypuścił atak. Wymienili kilka uderzeń. Odchyliła się gwałtownie w prawo. I znów kula przemknęła na milimetry od jej ramienia.

Nie było dobrze. Czowała się jak zagonione w pułapkę zwierzę.

Widziała, że Wood znowu bierze zamach. Patrzyła na niego o ułamek sekundy za długo, chcąc mieć pewność, gdzie będzie mierzył tym razem. Gregor to wykorzystał. Przyskoczył, wycelował gladius wlic i uderzył w jej szyję. Uchyliła się in quartata. Nie dość szybko. Miecz rozciął ramię. Poczowała silne pieczenie, popłynęła krew. Gregor zakrzyknął z radością. I ponowił atak.

Miała mniej niż tchnienie, by zrobić to, co zrobiła. I więcej niż pewność, że to się nie uda.

Ale się udało.

Widziała, jak Wood rozpędza łańcuch kiścienia. Widziała, że kula uderzy wysoko, ponownie celując w jej głowę. Cofnęła się, nie trzymając obrony, wiedząc, że Gregor będzie próbował się zbliżyć, aby dosięgnąć jej mieczem. Gregor, który nie zwracał uwagi na manewry Wooda.

W momencie, gdy usłyszała złowrogi świst kuli, a Gregor właśnie wykonywał cios w jej pierś, cofnęła się jeszcze o krok, zginając niemal wpół.

A kiścień przeleciał nad jej głową i wbił się prosto w szyję Gregora.

Szarpnięcie pociągnęło Wooda do przodu. Karen widziała jeszcze szok na jego twarzy, gdy prostowała się i robiła zamach. Wood nie zdążył z powrotem zwinąć swojej broni, która wżarła się w ciało Gregora. Wciąż trzymał łańcuch w wyciągniętej ręce. Karen zanurkowała pod jego ramieniem i wbiła mu miecz w brzuch. A następnie, dopełniając orchestrę, jednym ruchem szarpnęła w górę, rozpruwając go aż po mostek.

Wood zachwiał się. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale popłynęła z nich tylko krew, a z jego brzucha wylały się wnętrzności. Na twarzy mężczyzny wciąż malowało się niedowierzanie, gdy upadał na

piasek.

Ciało Wooda zastygło pod dziwnym kątem, z wciąż sterczącym mieczem z piersi. Karen kopnięciem odwróciła je na plecy i wyrwała ostrze. Dzwoniło jej w uszach. Była tak naładowana adrenaliną, że miała wrażenie, że cała się trzęsie. Uniosła twarz ku widowni, ale widziała tylko kolorowe smugi, bo wzrok zaszedł jej mgłą. Całym ciałem czuła dudnienie i wibracje. Gdzieś w innej rzeczywistości po Kolosie przetaczał się głos prowadzącego:

– ...jedyna zwyciężczyni tego pojedynku, Kaaareeen Reyyynoolds! Cóż to była za walka! Brawa, brawa!

Do jej uszu doszedł w końcu ogłuszający wrzask, wypełniający ściany amfiteatru. Miała wrażenie, że wszystko trzęsie się i drży w posadach. Dojrzała techników machających do niej z progu jednego z tuneli. Zrozumiała, że to tam powinna się skierować.

Schodziła z areny, po raz pierwszy mając na sumieniu zadaną z pełną celowością i naumyślnie śmierć człowieka. To nie był jednak jej wybór. Nie do końca. To był jedyny sposób, aby opuścić to miejsce na własnych nogach, a nie zostać wyniesioną przez Bramę Umarłych.



– Musisz znaleźć w sobie takie miejsce, do którego będziesz ładować wszystkie te wspomnienia – powiedział jej później Daniel, żylasty mężczyzna koło czterdziestki, chyba najstarszy z nich. Jego przedramiona pokrywały liczne tatuaże i sznyty. – Miejsce, do którego wpędzisz całe to poczucie winy, strach, litość, wszystko to, co może przeszkodzić ci w kolejnych walkach. A potem zamkniesz je na klucz i zapomnisz, że to miejsce istnieje. Rozumiesz?

– Jednym słowem, mam wyzbyć się człowieczeństwa. Czy to mi właśnie proponujesz?

Popatrzył jej głęboko w oczy. Westchnął.

– Ech, dziewczyno... – Pokręcił głową. Uśmiechnął się półgębkiem. – Powiedz, co ty tu właściwie robisz? Nie chodzi mi o ten cholerny program...

– Wiem – przerwała mu. – Jednak... Nie potrafię dać ci takiej odpowiedzi, jakiej byś oczekiwał.

Jego brwi uniosły się wysoko ze zdumienia, spojrzał wyczekująco. Jednak Karen nie powiedziała już nic więcej.

Ale poszła za jego radą. To dla ciebie, córeczko, myślała. Jeśli musiała okupić śmiercią życie Melanii, była na to gotowa.

I od tej pory nawet zabijać już było łatwiej.

## Czwarty odcinek

Siedziała na stołku, podczas gdy młoda fryzjerka upinała jej włosy w standardowy koński ogon. Karen była zadowolona, że w końcu usunięto z nich owe ciemnozielone pasma, przywracając jednolitą barwę hebanowej czerni.

Nagle ujrzała, że zbliża się do niej jak zwykle rozradowany Myles Arrowside w towarzystwie kilkunastoletniego chłopaka z wąsikami à la dandys, który wyglądał na doklejonny. W wysoko uniesionych rękach, tak aby nie szurał po ziemi, trzymał pokrowiec w stylu tych, w których zwykle przechowuje się garnitury.

– Karen, moja droga! – wykrzyknął reżyser na jej widok, ujmując jej dłonie w swoje. – Zobacz, co dla ciebie przygotowaliśmy!

Dał znak asystentowi, a ten rozpiął zamek pokrowca i pozwolił mu opaść na ziemię. Teraz w rękach trzymał wieszak, z którego spływał strój Reynolds: obcisła sukienka z naturalnej skóry. Oczywiście od lat w celu zdobycia tego materiału nie wykorzystywano zwierząt, tylko hodowano skórę w laboratoriach, przy wykorzystaniu komórek macierzystych. Sukienka rozszerzała się w spódniczkę do połowy uda, z pociętych prostokątnych pasów materiału, nabijanych ćwiekami. Takie same zdobienia biegly również wzdłuż ogromnego dekoltu i znajdowały się na dwóch pasach krzyżujących się na plecach.

– Nieźle, co? – zapytał Myles z entuzjazmem. – Uznaliśmy, że idealnie dopełni to twojego nowego pseudonimu, no i sama przyznaj, że odwzorowanie jest bardzo dobre.

– Moje nowego pseudonimu?

– To ty nie wiesz? – Arrowside wyglądał na autentycznie zszokowanego. – Nie czytałaś, co piszą o tobie w sieci?

– Nie mam intermegnetu w celi – odparła sucho.

– Och... no tak. – Myles zmieszał się na moment, ale zaraz dodał z zapalem: – Po twoim ostatnim, cytuję, „naprawdę widowiskowym” występie jakiś dziennikarz w „The Sun” zauważył twoje niebywałe podobieństwo do tej aktorki, która grała Xenę w remake’u sprzed paru lat. Sam sprawdziłem jej zdjęcia, i rzeczywiście! Mogłybyście być siostrami! – zaśmiał się. – W każdym razie – kontynuował – inne portale to podchwyciły i wszyscy, WSZYSCY teraz nazywają cię Xeną. No wiesz, Xena, wojownicza księżniczka i tak dalej. Pasuje idealnie, prawda? No więc postanowiliśmy sprawić ci takie oto wdzianko, stworzone na wzór stroju z serialu. Przymierz, proszę, szybko, bo muszę już lecieć, a bardzo chciałbym zobaczyć, jak wyglądasz!

Karen wzięła kostium z rąk asystenta i schowała się za kotarą, gdzie rzuciła własne ubranie. Z trudem wcisnęła się w nowy strój – okazał się aż za bardzo dopasowany. Jednak gdy obciągnęła dokładnie spódniczkę,

materiał sam idealnie dostosował się do jej sylwetki, przybierając fakturę drugiej skóry, tak że poczuła się wręcz naga. Spojrzała na siebie w lustrze.

Prezentowała się całkiem nieźle. We wbudowanym staniku musiały być jakieś niewidoczne nakładki, jej piersi wydawały się bowiem o wiele większe i pełniejsze, niż były w istocie. Podskoczyła na próbę i z zadowoleniem stwierdziła, że wszystko trzyma się na swoim miejscu, nic się nie przesuwa i nie ucieka, a ruchy ma nieskrępowane.

Wynurzyła się zza zasłony.

– Ach, doskonale! – zawołał Myles, a oczy mu się zaświeciły. – Teraz to już w ogóle wyglądasz kropka w kropkę jak Xena! Nie sądzisz, Trevor?

Chłopak mruknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi, co chyba miało być aprobatą, ale Arrowside już go nie słuchał.

– Muszę już uciekać, a ty szykuj się, moja droga – powiedział na odchodnym. – Ach, byłbym zapomniat: „New York Times” chce zrobić z tobą wywiad... jeśli tylko przejdiesz do następnego odcinka. Nie powinienem tego mówić, ale liczę na ciebie, Karen. Nie daj się zabić! – Mrugnął porozumiewawczo i już go nie było.

Reynolds westchnęła. Chciałaby, żeby to było takie proste.



W czwartym odcinku gladiatorzy mieli zmierzyć się w walce jeden na jednego, bez użycia broni, opierając się jedynie na sile własnych mięśni. Nie zostało powiedziane, że pojedynek ma odbyć się na śmierć i życie; wystarczyło, żeby jedna ze stron poddała się bądź nie była zdolna do kontynuowania starcia.

Karen z kamienną miną wysłuchiwała, że tym razem jej przeciwniczką będzie Linda.

Naturalnie żadna z nich nie chciała uśmiercić tej drugiej. Przez cały czas trwania programu zdążyły się bardzo polubić. Choć może nie dało się nazwać tej relacji przyjaźnią, Linda stała się dla Karen towarzyszką, której mogła się zwierzyć i porozmawiać bez zbędnych konwenansów.

Dlatego Reynolds chciała zakończyć tę walkę szybko, zmuszając Lindę do poddania się. Planowała kilkoma szybkimi ciosami sprowadzić ją do parteru i tam unieruchomić. Nie chciała jej zabijać.

Z tych planów też niewiele wyszło.



Karen poczuła wibracje gongu. Walka się rozpoczęła.

Od razu ruszyła w stronę Lindy, trzymając gardę wysoko, przy twarzy, podobnie jak przeciwniczka. Wykonywała małe, drobne kroczki na ugiętych kolanach, cały czas pozostając w ruchu, aby mieć możliwość zarówno uchylenia się, jak i wyprowadzenia celnego ciosu.

Zbliżyła się i wymierzyła kopniaka w prawe udo przeciwniczki. Zdawało się, jakby tamta nawet tego nie odczuła. Warknęła dziko i przystąpiła do kontrataku.

Karen zręcznie obroniła jej lewy sierpowy i prawy prosty; później podstępne uderzenie w bok głowy, które musnęło jej ucho. A potem sama zaczęła wymierzać ciosy. Z satysfakcją odczuła, że jej pięść dosięgła celu, wbijając się w lewy policzek Lindy. Zaraz poprawiła z drugiej strony.

Mae skuliła ręce z przodu, próbując się zasłonić. Karen wykorzystała to, zbliżyła się jeszcze bardziej i zaczęła niemiłosiernie okładać ją z boków głowy. Wiedziała, że jeszcze chwila, a obolała oponentka nie da rady dłużej się bronić, i wtedy Karen wymierzy jej kończące uderzenie.

Zamachnęła się lewym ramieniem i... i nagle ziemia umknęła jej spod stóp. Upadła ciężko na plecy. Chciała z powrotem zerwać się na nogi, ale nie zdążyła. Bo siedziała już na niej Linda, przygważdżając ją własnym ciężarem.

Reynolds chwyciła ją za szyję oraz barki i z całej siły ścisnęła, aby Linda nie mogła się wyprostować i zasypać jej gradem ciosów. Mimo to czuła, jak tamta wymierza jej bolesne uderzenia w boki tułowia. Musiała się jakoś z tego wywinąć. Pamiętała, że Mae brała kiedyś udział w zapasach, i teraz dawało to o sobie znać. Miała o wiele większe szanse znokautować Karen w parterze. Reynolds musiała wstać. Za wszelką cenę.

Nagle więc puściła Lindę i przekręciła się na brzuch, ale niewiele więcej zdołała zrobić. Poczowała, jak ramię przeciwniczki zaciska się na jej szyi w potwornym duszeniu trójkątnym.

– Co... ty... robisz...? – wycharczała Karen, bo ramię zaciskało się coraz mocniej, odcinając jej dopływ tlenu.

Nie doczekała się odpowiedzi. Linda miała ponurą, skupioną twarz, na której perlił się pot. Karen latały mroczki przed oczami. Wiedziała, że jeśli zaraz się nie oswobodzi, nie tylko przegra, ale po prostu zginie.

W ostatnim rozpaczliwym zrywie przekręciła się na prawą stronę, szarpnęła, obsunęła nieco w dół i jakimś cudem udało jej się uwolnić. Dysząc spazmatycznie, błyskawicznie zerwała się na nogi i odskoczyła od Lindy. Która również wstała, nie mniej zmęczona. Ale to jeszcze nie był koniec walki.

Reynolds oddychała głęboko, powoli okrążając przeciwniczkę. Linda również znowu przyjęła postawę wyjściową. I nagle runęła ku Karen



z dzikim okrzykiem na ustach.

Ale nie zdążyła jej dopaść, bo Reynolds wymierzyła jej potężne kopnięcie w wątrobę, od którego Linda aż zgięła się wpół, tracąc oddech. Karen nie czekała, aż tamta odzyska równowagę. Doskoczyła do Mae i uderzyła ją silnie w splot słoneczny, wyciskając tym samym resztki powietrza z jej płuc.

Linda zamarła na moment z ustami otwartymi jak zdechła ryba. A Karen dosięgła ją prawym sierpowym. Trafiała w łuk brwiowy i przeciwniczka zalała się krwią. Uniosła dłonie, próbując trzymać gardę, ale wciąż miała problemy z oddychaniem. Karen odsunęła się, żeby wziąć rozmach. Silnym kopniakiem w twarz posłała Lindę na ziemię – w końcu.

Od razu znalazła się przy niej i wykręciła jej obie ręce do tyłu. Widownia wyła z zachwytem, krzycząc: „Xena! Xena!”. Karen nachyliła się do ucha Lindy i syknęła:

– Teraz puszcze ci rękę, a ty odklepiesz walkę. Jasne?!

Ale Linda spojrzała na nią w taki sposób, że Karen miała pewność, że tego nie zrobi. Naciągnęła jej mocniej ramię, niemal wrywając je ze stawu i zmuszając Mae do jęku bólu.

– Puszcze ci rękę, a ty odklepiesz swoją przegraną – powtórzyła.

Mierzyły się chwilę spojrzzeniami, a potem Linda powoli skinęła głową. I Reynolds właśnie miała puścić jej lewe ramię, gdy nagle zorientowała się, że publika nie krzyczy już jej nowego miana. Teraz skandowali co innego.

Potoczyła wzrokiem po trybunach. Tłum stał, trzymając przed sobą wyciągnięte prostopadle do ciała ręce. Pokazywano coś, jakiś gest.

Karen widziała to już przy poprzednich walkach tego wieczoru. Wiedziała, co oznacza i jakie niesie konsekwencje.

To był kciuk. Kciuk w dół. A słowa, które krzyczeli ludzie, brzmiały: „Za-bij-ją! za-bij-ją!”.

– No dalej – usłyszała głos Lindy. – Zrób to.

Nie musiała pytać, o co jej chodzi. Teraz obydwie coraz wyraźniej słyszały rytmiczne wrzaski tłumu. ZA-BIJ-JĄ! ZA-BIJ-JĄ! ZA-BIJ-JĄ!

– Nie. – Karen ściągnęła usta.

– Zrób to! – warknęła Mae. – I tak w końcu zginę. Daj im to, czego chcą! No już!

– Nie.

Reynolds oswobodziła przeciwniczkę, posyłając ją pchnięciem na piach. Dla niej walka była skończona. Wygrała.

Podniosła się i powoli ruszyła w stronę zejścia z areny. Widziała, że nie wszyscy są zadowoleni z takiego obrotu sprawy; gdzieś na widowni rozległy się gwizdy i tupanie. Większość jednak biła jej głośno brawo, znów wykrzykując: „Xena! Xena!”.

Uniosła dłoń i zamachała publice, co powitano z wielką radością. Widziała, że Evan też tak robił, a był przecież ulubieńcem tłumu. Stwierdziła, że nie zaszkodzi trochę się przypodobać ludziom.

I może dobrze się stało, że wciąż obserwowwała reakcje widowni. Bo gdyby nie to, byłby to jej ostatni pochód.

Znajdowała się już za środkiem placu, gdy nagle spostrzegła jakieś zamieszanie na trybunach. Zmrużyła oczy. Część ludzi wymachiwała rękoma i wskazywała palcami na coś za jej plecami, wydając niezrozumiałe okrzyki. Na ich twarzach malowało się przerażenie.

Odwróciła się, żeby zobaczyć, co wywołało ten chaos.

I w ostatniej chwili odskoczyła o krok. Tuż przed jej twarzą przemknęło niewielkie ostrze, trzymane przez Lindę między palcami. Kobieta zatoczyła się, nie trafiwszy w swój cel.

Broń przypominała brzytwę z ubiegłego wieku, była tylko niewiele większa, trochę grubsza i równie śmiertelnie ostra. Mae musiała ukrywać ją gdzieś od początku. Nie było to trudne, zważywszy na rozmiary narzędzia.

Karen zadrżała. Śmierć minęła ją o cal, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło: Linda zbierała się właśnie do kolejnego ataku. A przecież dogadywały się tak dobrze, prawie się zaprzyjaźniły przez ostatnie miesiące. Reynolds nie wyobrażała sobie zabicia koleżanki – przynajmniej jeszcze kilka chwil temu. Rzeczywistość właśnie zrewidowała jej wyobrażenia.

Gdy Linda znów się na nią rzuciła, Karen była już przygotowana. Uchyliła się pod ramieniem atakującej, która cięła zamasyście, celując w szyję. Reynolds błyskawicznie okręciła się wokół własnej osi i schwyciła ramię oponentki, unieruchamiając je dźwignią. Wbiła kolano w jej plecy, zmuszając ją, by uklęknęła.

Linda próbowała dosięgnąć jej drugą ręką, ale nie była w stanie tego zrobić. Nie mogła też powstać, Karen bowiem przydepnęła jej nogi. Mae wciąż jednak ścisnęła brzytwę między palcami. Tak silnie, że z jej dłoni popłynęła krew.

– Puść broń – nakazała jej Reynolds, ta jednak tylko szarpnęła się w odpowiedzi.

Karen zwiększyła nacisk. Jeszcze chwila, a kończyzna zostanie złamana. Linda jednak nie chciała wypuścić ostrza. Karen naparła jeszcze mocniej.

I nagle rozległo się nieprzyjemne chrupnięcie. Mae zawyła z bólu. Brzytwa upadła na piasek.

Reynolds schyliła się i podniosła ostrze. Uwolniła złamaną rękę, która opadła bezwładnie wzdłuż boku Lindy. Chwyciła ją za włosy i szarpnęła do tyłu, odsłaniając gardło.

Widownia zamarła. Cisza dźwięczała w uszach.

– Powinnaś to zrobić od razu – wyszeptała Linda, przymykając oczy. Przełknęła głośno ślinę.

– Masz rację – odparła Karen – powinnam.

Jednym ruchem poderżnęła jej gardło.

Krew trysnęła szerokim strumieniem. Linda Mae upadła twarzą w piach i już więcej się nie poruszyła.

Karen odeszła, przepełniona bolesnym uczuciem goryczy. Uszy wypełniał jej ryk tłumu. Schodziła jednak z areny ze wzrokiem wbitym w ziemię, szybko, nie unosząc już dłoni w geście pozdrowienia. Tego dnia umarło także coś w niej.



Wywiadu dla „New York Timesa” udzieliła parę dni później w łoży cesarskiej, ubrana ponownie w strój wojowniczej księżniczki. Gazetę reprezentowała młoda dziennikarka, bystra blondynka w czerwonym kostiumie i z oszalałymi długimi paznokciami w tym samym kolorze. Wszystko było nagrywane, cała rozmowa bowiem miała ukazać się w intermeganecie. Poza kadrem znajdowało się kilku policjantów i strażników, dbających o bezpieczeństwo ekipy dziennikarskiej, w razie gdyby Karen przyszło do głowy niespodziewane gwałtowne zachowanie.

Pytania reporterki wydały się Reynolds do bólu przewidywalne i nudne. Kobieta ekscytowała się formułą programu i w związku z tym zasypała Karen całą masą pytań z serii: jakie emocje towarzyszyły jej podczas pojedynku, czy długo trwały przygotowania, jak odnajduje się w tak krwawych rozgrywkach jako kobieta i jak czuje się z nadanym jej przez społeczność intermeganetową mianem.

Reynolds odpowiadała zwięźle, z uśmiechem na ustach. Czekala tylko na to jedno jedyne pytanie, które musiało w końcu paść. I padło.

– Dlaczego zdecydowałaś się wziąć udział w programie?

Opowiedziała jej więc o Melanii. Łzy, które pociekły z oczu Karen, były niewymuszone i autentyczne.

Po tym wywiadzie ludzie pokochali ją jeszcze bardziej. Uwierzyli, że działa w programie w słusznej sprawie.

Karen także starała się w to wierzyć, gdy zmywała z siebie krew kolejnego zabitego przeciwnika. Wiedziała jednak, że niektórych plam nie uda jej się pozbyć już nigdy.

## Piąty odcinek

Zostało już tylko pięć osób. W tym odcinku miała zostać wyłoniona czwórka, która weźmie udział w półfinale, kiedy zostaną wyeliminowane kolejne dwie osoby.

Tym razem nie mieli walczyć ze sobą nawzajem. Postanowiono indywidualnie sprawdzić ich zwinność, szybkość, orientację przestrzenną oraz, oczywiście, umiejętność walki.

Dlatego ich zadaniem było przejście labiryntu. Zasady okazały się proste: ten, kto ostatni dotrze do środka, gdzie trzeba dotknąć stojącej tam rzeźby Spartakusa, odpada.

Cała reszta już taka prosta nie była. Labirynt został wypełniony różnymi przeszkodami, utrudniającymi dojście do celu. Jego ściany pokryto pianką aluminiową, aby zapewnić wygłuszenie dźwięków z zewnątrz; dodatkowo najeżono je ukrytymi pułapkami, uruchamiającymi się poprzez czujniki ruchu. Przed pojawieniem się przeszkody rozległ się krótki sygnał dźwiękowy, który informował zawodnika o czekającym go zadaniu.

I tak na przykład przed gladiatorem nagle podnosiła się lina, która miała ściąć go z nóg. Ziemia rozsuwała się, tworząc głęboki dół z wodą, który należało przeskoczyć – bądź przebyć w jakiś inny sposób. Ze ścian mogły w losowych miejscach wysuwać się miecze oraz zaostrome stalowe pręty, zdolne przebić człowieka na wylot. Były też pełne ostrzy kołowrotki, z którymi musieli walczyć jak z przeciwnikiem, aby strącić z nich całą broń.

Oraz najlepsze – jeśli ktoś zagłębił się w złą alejkę, ślepa uliczkę, na jej końcu czekał robot, podobny do tych, z jakimi mieli do czynienia już podczas treningów, i należało podjąć z nim walkę. Jego ruchy w dużym stopniu zostały zaprogramowane, ale posiadał też sztuczną inteligencję, dzięki której na bieżąco rejestrował ataki człowieka, ucząc się i dopasowując swoje działanie do postawy gladiatora.

Mimo to nie było rzeczą specjalnie trudną wygrać z owym tworem, zabierało to jednak cenne minuty, co okazało się szczególnie uciążliwe w momencie, gdy liczył się czas. A robot nie męczył się i niejednokrotnie należało zadać mu więcej celnych ciosów niż żywemu człowiekowi.

Gladiatorów, wyposażonych w tarcze i miecze, rozstawiono w równych odstępach wokół labiryntu, każdy miał osobne wejście. Gdyby poprowadzić między nimi linie proste, można by wyrysować gwiazdę pięcioramienną.

Zabrzmiął gong i wszyscy rzucili się do środka.

Karen usłyszała szelest za plecami i gdy spojrzała przez ramię, zobaczyła, że otwór, przez który weszła, natychmiast zasklepia się pajęczą warstwą aerożelu. Pod stopami miała brunatną ziemię, ale wiedziała, że to tylko cienka wierzchnia warstwa, pod którą kryje się skomplikowany mechanizm podłogowy.

Była teraz całkowicie odgradzona od reszty świata. Umilkły dźwięki tłumu. W środku panowała absolutna cisza, przerywana tylko jej oddechem i uderzeniami serca, które jak się jej wydawało, biło aż za głośno. Przez chwilę poczuła się, jakby trafiła do innej rzeczywistości, odległej od śmierci i krwi, cichej i spokojnej. Zaraz jednak rozległo się głośne „iiiiig!”, burząc to wrażenie. Mimowolnie napięła wszystkie mięśnie. Zaraz natrafi na pierwszą pułapkę.

Okazał się nią stalowy pręt, który nagle wysunął się ze ściany na wysokości jej prawego boku. Gwałtownie skoczyła do przodu. Sekunda później i nie miałyby wątroby.

Rozejrzała się wokoło. Widziała kolejne pręty, powoli wysuwające się ze ścian. Nie miała wątpliwości, że gdy tylko znajdzie się na ich wysokości, z pełną prędkością wysuną się na całą swoją długość.

Kolejny zamieszczony był nisko, wystarczyło go tylko przestąpić. Lecz ułamek sekundy później musiała z kolei schylić się gwałtownie, bo następny już celował w jej głowę.

Zobaczyła układ pięciu dalszych prętów. Przymknęła na moment oczy. „Dla ciebie, kochanie”.

Skoczyła na ścianę po lewej, odbiła się, przelatując nad prętem, który śmignął pod nią ze świstem. Opadła na ziemię i od razu przeturlała się do przodu, słysząc, jak nad nią wysuwa się metal za metalem. Udało jej się jednak przebyć pierwszą próbę bez większych trudności.

Martwiła się tylko, że zajęło jej to tak dużo czasu. Ruszyła dalej truchtem.

Wiedziała, że aby dojść do środka, musi kierować się na północny wschód. W tym właśnie kierunku starała się skręcać w kolejne alejki.

Natrafiła jeszcze na dół z wodą, który nagle wyrósł przed jej stopami, ale wzięła spory rozbieg i przeskoczyła go zwinnie. Potem przez całą długą alejkę atakowały ją ostre shurikeny, ale osłoniła się przed nimi tarczą, a niektóre odbiła klingą miecza. Później znów natrafiła na głęboki dół, tym razem zbyt szeroki, aby można go było przeskoczyć. Liczył sobie dobre dwadzieścia stóp. Spostrzegła jednak rozwieszoną na ścianie obok siatkę, która ewidentnie była elementem tej przeszkody. To po niej miała się wspiąć, aby ominąć wyrwę. Siatka jednak sama w sobie również okazała się wyzwaniem – na niektórych jej splotach znajdowały się ostre kolce, musiała więc tak wybierać drogę, aby nie pokaleczyć ciała.

W końcu zeskoczyła na stabilny grunt. Biegła dalej. Czuła, że jest już coraz bliżej środka. I wtedy właśnie napatoczyła się na robota.

Karen wydawało się, że słyszy dobiegające zza sąsiedniej ściany radosne okrzyki. Coś opadło jej na dno żołądka. Nie myliła się – w istocie była już bardzo blisko środka labiryntu.

Że też akurat teraz musiałam wybrać złą ścieżkę, wyrzucała sobie

w duchu. Ale nic to. Nie miała czasu do stracenia. Dobyła miecza.

I zaatakowała, wymierzając szybkie ciosy. Wkrótce zorientowała się, że powinna mierzyć w konkretne punkty, takie jak głowa, odwzorowana zgodnie z ludzką anatomią wątroba, mechaniczne serce. Tylko w ten sposób mogła pokonać w krótkim czasie maszynę, która była niewrażliwa na uderzenia w inne części pseudociała.

Robot w końcu padł. Zielone światelko na jego czole rozbłysło czerwienią, dając kobiecie pewność, że to naprawdę koniec. Pośpiesznie wróciła po swoich śladach do końca alejki, a potem wybrała sąsiednią drogę, mając szczerą nadzieję, że ta doprowadzi ją do środka łamigłówki.

Ruszyła biegiem. Już nie truchtem, ale prawie że sprintem. Przed nią wyrosła ściana labiryntu. Karen znalazła się na skrzyżowaniu. Wybrała prawą odnogę, zakręcającą zaraz w lewo. Przyśpieszyła. Dotarła do zakrętu i... jej oczom ukazał się środek labiryntu. W oddali widziała już upragniony posąg Spartakusa.

Rzuciła się w tamtą stronę.

Już wybiegając z alejki, zauważyła, że ktoś gna ku posągowi z przeciwległej strony. W jej uszach rozbrzmiały entuzjastyczne krzyki tych, którzy dotarli tu wcześniej. Nie miała czasu zorientować się, ilu ich było. Sądząc jednak po wrzaskach i dopingiu, była jedną z dwóch ostatnich osób. A ta druga pędziła ku Spartakusowi z naprzeciwka. I była coraz bliżej.

Karen zacisnęła zęby i przyśpieszyła. Jest tak blisko. Nie mogła zawieść. Nie teraz.

Huczało jej w głowie, płuca paliły, obraz rozmazywał się przed oczami. Biegła, jakby ścigało ją stado demonów. Już nie widziała swojego rywala: wzrok miała skoncentrowany na starożytnym gladiatorze, odlanym z brązu, leniwie opierającym nogę na tarczy. Dzieliły ją od niego ostatnie kroki.

Krzyknęła, gdy z impetem wpadła na tę właśnie tarczę i osunęła się po niej na ziemię, zawzięcie łapiąc powietrze. Drugi zawodnik znalazł się tuż obok ułamek sekundy później. Zdążyła. Wygrała. Teraz zobaczyła, że jest to wytatuowany Daniel. Oboje dyszeli ciężko.

– Gratuluję! – usłyszała nad sobą czyjś głos.

Podniosła głowę i ujrzała roześmianą twarz Evana. Blondyn pomógł jej wstać.

– Ale nie musieliście się tak śpieszyć – mówił dalej, podając teraz rękę Danielowi, który również zwał się ciężko na ziemię. – Philippe jeszcze nie dotarł. Obydwoje przechodźcie dalej.

Karen rozejrzała się. Dopiero teraz zauważyła, że oczekiwały na nich tylko dwie osoby: Evan i Salomon, zwany Mirandą. Popatrzyła na Daniela, który zrobił niemądrą minę. A potem oboje się roześmiali.

## Półfinał

W półfinale znaleźli się: Karen, kobieta o hiszpańskiej urodzie, Evan, napakowany przystojniak, Salomon, o kobiecym sposobie bycia i niewysokiej szczupłej sylwetce, uważający się za Mirandę, oraz Daniel, najstarszy z nich, który liczył sobie czterdzieści pięć lat. Był jednak w znakomitej formie.

To właśnie z nim miała zmierzyć się Reynolds, podczas gdy Evan miał walczyć z Salomonem. Karen na tym etapie nie traktowała już pojedynków emocjonalnie; nie mogła sobie na to pozwolić. Zresztą to właśnie rady Daniela jej w tym pomogły. Z zalem więc myślała o starciu z nim, gdyż szczerze polubiła tego mężczyznę. Był dość cichy i miał spokojne usposobienie. Odbyli kilka interesujących rozmów na tematy zgoła metafizyczne i Reynolds nieraz zastanawiała się, kim Daniel był w przeszłości i dlaczego otrzymał wyrok śmierci. Nie zdradził jej tego nigdy.

Zachowała kamienną twarz, gdy wrywała ostrze miecza z jego piersi. Leżał na arenie jak porzucona marionetka, z szeroko rozrzuconymi rękami. Własny miecz wypadł mu z dłoni. Obok niego powiększała się kałuża krwi. Karen pochyliła się i zamknęła mu oczy.

Tłum skandował: „Xena! Xena! Xena!”, a ona wcale nie czuła się jak wojownicza księżniczka. Raczej jak ktoś, kto po raz kolejny został zmuszony do popełnienia strasznych czynów, aby osiągnąć swój cel.

Stos trupów rósł pod jej stopami.

Coś zatrzepotało Karen w brzuchu, gdy schodziła z areny, bezmyślnie machając do widzów. Dostała się do finału! Droga, okupiona krwią tak wielu, wkrótce miała dobiec końca. Aż trudno było jej w to uwierzyć. Ale jednak. Dała radę.

Przed nią był już tylko ten jeden jedyny, ostatni pojedynek. Kiedy zmierzy się z Evanem, który po raz kolejny w widowiskowy sposób pokonał Salomona.

– Piękna walka! – entuzjasmował się później Myles Arrowside, który wpadł, by im pogratulować. – To co, moi drodzy, zostaliście tylko wy, prawda? Już prawie koniec, aż sam nie mogę w to uwierzyć! Wiecie oczywiście, że finał dopiero za dwa tygodnie? Tak? No to wspaniale. Ech, niech wygra najlepszy!

– Niech wygra... – zaczął Evan, ale nie dokończył, a jego wzrok był dziwnie nieobecny i zamyślony.

## Finał

Gdy wychodzili z łoży, Evan kurtuazyjnie podał jej ramię, z którego wyswobodziła się zaraz, gdy tylko zniknęli za kotarą odgradzającą studio od tylnego przejścia do podziemi. Nie oglądając się na olbrzyma, minęła strażnika stojącego u szczytu schodów i pośpiesznie zaczęła schodzić w dół. Oboje z Darwinem musieli udać się teraz do charakteryzatorni, aby przywdziać strój do walki. W czasie ich przygotowań miał odbyć się krótki występ kabaretowy.

– Karen! Poczekaaj!

Evan dogonił ją kilkanaście stopni niżej, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Musimy porozmawiać – powiedział.

– To nie najlepszy moment – odparła ostrzej, niż chciała. Czują rosnące zdenerwowanie.

– Lepszego już nie będzie. To zajmie tylko chwilę. Staśmy może tutaj...

Zeszli jeszcze kilka schodów, przystając na niezbyt długim podeście. Panował półmrok, korytarz miał tu kolor sadzy, a ciemność rozpraszana była jedynie niewielkimi światełkami rozmieszczonymi na ścianach, rzucającymi mdły blask dogasającego ognia.

Evan stanął tak blisko niej, że poczuła się nieswojo. Jego ogromna sylwetka przytłaczała Reynolds. Nachylił się lekko, jakby chciał jej powierzyć jakiś sekret.

– Nie możesz wygrać tej walki, Karen – oznajmił półgłosem. – Musisz dać się pokonać. Na arenie tylko udawać, że walczysz. Załatwimy to szybko. To twoja jedyna szansa, żeby przeżyć.

W pierwszej chwili myślała, że się przesłyszała.

– Że... co? – wyrzuciła z siebie, a jej twarz wyrażała kompletne zdumienie.

– Jeśli będziesz walczyć, zginiesz, bo ja i tak zwyciężę. Jeśli zaś pozwolisz mi się pokonać, daruję ci życie i zapewniam cię, że publiczność również. To już jest... załatwione. Kochają cię po tej historii z dzieckiem. Nikt nie musi zginąć w tej walce, uwierz mi. Może nawet zmienią ci wyrok na dożywocie, chociaż tego już nie mogę zagwarantować. Wszyscy przejęli się twoją historią. No i przynajmniej wyjdiesz stąd w jednym kawałku.

– Co ty w ogóle wygadujesz?!

– Nie utrudniaj, proszę – westchnął Evan. – To dla twojego dobra. Po prostu masz tę walkę przegrać. Nie bronić się. Rozumiesz?

– Nie.

Darwin pokręcił głową.

– Karen, nie ma czasu, jak sama zauważyłaś, a ja staram się tylko...

– A co, jeśli wygram? – przerwała mu napastliwym tonem.

Nie odpowiedział od razu. Patrzył na nią z góry, słabe światło dziwnie zmieniło jego rysy. Wydawało jej się, że widzi w nich coś jakby



współczucie.

– Nie wygrasz – rzekł w końcu.

– A skąd to możesz wiedzieć?! – krzyknęła. Z każdą chwilą była coraz bardziej wściekła. Nie rozumiała, jaki jest cel tej rozmowy, i była coraz bardziej poirytowana, że Evan chce się wykić tanim kosztem.

– Ciiszej – syknął, oglądając się przez ramię, ale z góry nie dochodziły żadne dźwięki. – Wiem to stąd, że nigdy nie miałaś wygrać. Ja muszę wygrać, tak samo jak musiałem rozwalić łeb Michaela już w pierwszym odcinku, pomimo że niby nikt nie miał zginąć. Czy teraz już rozumiesz?

Reynolds otworzyła usta, ale zaraz zamknęła je z powrotem. W mroku odszukała oczy olbrzyma.

I nagle uderzyła ją straszna, okrutna prawda. Zachwiała się, jakby otrzymała prawdziwy cios. Mężczyzna podtrzymał ją, ale straciła jego dłoń z ramienia.

– Kim ty właściwie jesteś...? – szepnęła.

– Na pewno nie tym, kim byli wszyscy inni. I kim jesteś także ty – odrzekł sucho. – Naprawdę sądziłaś, że ktokolwiek zgodzi się na to, żeby zaoferować wyrok z warunkowym zwolnieniem dla jednego z morderców? Dla kogoś, kto z zimną krwią zabijał swoje ofiary, których liczba nierzadko szła w dziesiątki? Myślałaś, że ktokolwiek zgodzi się, żeby taki człowiek ponownie wrócił do społeczeństwa?

Pytania zawisły w próżni, która nagle znalazła się w głowie Karen. Wszystko powoli składało się w całość. Nie bez powodu Evan był najsilniejszy z nich wszystkich, najprzystojniejszy, najodważniejszy, zawsze najlepszy. Ulubieniec tłumów. Podstawiony im jak na tacy. Od samego początku zostało zaplanowane, że to on wygra program. A cała reszta była jakby na dokładkę, dla uciechy publiczności, bo ktoś przecież musiał umierać. A cóż to za różnica dla ludzi i tak oczekujących na śmierć, czy nadejdzie ona wcześniej, czy później?

Poczuła, że pod powiekami zapiekły ją łzy bezsilności przemieszanej ze wściekłością. Była tak blisko. O krok od wygranej. Przecież naprawdę wierzyła, że jest możliwa. Że zdobędzie upragnione pieniądze i uratuje życie Melanii. A teraz...

– Nie – powiedziała nagle.

– Co: nie?

– Nie będzie tak, jak mówisz. Nie zamierzam się poddać. Jeśli chcesz wygrać, będziesz musiał mnie zabić.

Zapadła cisza.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Zginiesz, wiesz o tym? A to wcale nie musi się tak skończyć...

Zostawiła go na podeście, zbiegając na dół po kilka stopni naraz. Wciąż była oszołomiona tym, czego się przed chwilą dowiedziała. Stojąc

już przed drzwiami charakteryzatorni, zacisnęła pięści. To dla ciebie, kochanie, pomyślała. Mamusia wygra tę walkę dla ciebie. Choćby wszystko i wszyscy byli przeciwko nam.



Siedziała z zamkniętymi oczami, podczas gdy wizażystka poprawiała jej makijaż, nie mogła więc widzieć, że w pomieszczeniu pojawił się Myles, który od razu skierował się w stronę Evana. Wymienili kilka pośpiesznych słów, Darwin pokręcił głową. Reżyser rzucił spojrzenie ku Karen znad jego ramienia. Czoło miał zmarszczone, a na twarzy brakowało zwykłego szerokiego uśmiechu.

Kiedy jednak podszedł do Reynolds, szczyrzył zęby jak zwykle, aż w policzkach pojawiły mu się dołeczki. Zawołał do niej tubalnym głosem, na co otworzyła oczy.

– No i jak, moja droga? Ostatnie chwile, co? Jak się czujesz?

Karen zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Czy wiedział o wszystkim? Był częścią tego układu? W końcu reżyserował cały program... A może i on nieświadomie grał rolę, jaką mu przeznaczono? Napotkała szczerze spojrzenie jego dziecięcych oczu, wyrażających autentyczne zainteresowanie. Nie potrafiła orzec.

– Zdenerwowana – wymamrotała, ale zabrzmiało to bardziej jak „zendr-a-na”. Odchrząknęła. – Trochę zaschło mi w gardle. To ze zdenerwowania – powtórzyła.

– Doskonale cię rozumiem, Karen. Zaszłaś już tak daleko... – powiedział ciepłym, wyrozumiałym głosem. – Ale na gardło możemy coś zaradzić! – Klasnął w dłonie. – Akurat przyniosłem, zobacz... Dałem już Evanowi...

Sięgnął za siebie i nagle w rękach trzymał tacę z wysoką szklanką wypełnioną mętnym, żółtawym płynem.

– Co to jest? – zapytała nieufnie.

– Elektrolity! Plus parę naturalnych wspomagaczy, nic niedozwolonego, ale na pewno poczujesz się lepiej, pomoże ci się skupić. Może wygląda nie za ciekawie, ale ponoć nie jest takie złe. Trochę słonawe, jak powiedział Evan. Ale elektrolity zawsze są trochę słone.

Kobieta szybko odszukała wzrokiem blondyna. Stał tam, po drugiej stronie pomieszczenia, ze śmiechem rozmawiając z jakąś młodą kobietą, która co chwila rumieniała się dość mocno. W lewej ręce trzymał taką samą szklankę jak ta, która pojawiła się tuż przed nią. Na dnie jego naczynia zostało tylko kilka ostatnich łyków, które na oczach Karen wychylił jednym pociągnięciem i odstawił szkło na stół przed sobą,

obok stojąca z pędzlami do makijażu.

– Dzięki, Myles – powiedziała, biorąc od niego napój. Przełknęła mały łyk, krzywiąc się nieznacznie. – Rzeczywiście słonawe – mruknęła.

– No dobrze, ja muszę już lecieć, w ogóle nie powinno mnie tu być! – stwierdził Arrowside, wciąż uśmiechając się szeroko, choć jego oczy jakby przygasły. – Życzę ci powodzenia, Karen, ten ostatni raz. Daj z siebie wszystko, a będziemy świętować po skończonej walce.

– Jasne... Dzięki.

– No to trzymaj się! Pa, pa!

Pomachał jej jeszcze w drzwiach, zanim zniknął za nimi w łopocie żółtej marynarki, którą miał dzisiaj na sobie.

Reynolds spojrzała na zegarek, a w tym samym momencie ktoś zawołał:

– Już czas!

Była to informacja ewidentnie przeznaczona dla niej i Evana.

Odetchnęła głęboko.

Nadszedł czas ostatecznej rozgrywki.



Do walki mogli wybrać dwie sztuki broni spośród całego dostępnego arsenału. Evan sięgnął po miecz półtoraręczny oraz kiścień, a Karen, widząc jego decyzję, uzbroiła się w miecz jednoręczny i tarczę. Zdecydowała się na tę ostatnią głównie ze względu na to, że będzie mogła się zasłonić, jeśli Evan zdecyduje się zamachnąć najeżoną kolcami kulą. Tarcza miała jakieś dwie stopy średnicy i była wyjątkowo lekka i wytrzymała.

– Drodzy państwo, po raz ostatni... Arena należy do was!

Głos Jeremy'ego Rolesa rozbrzmiewał jeszcze echem, gdy rozległ się gong rozpoczynający walkę.

Karen przyjęła pozycję wołu, z klingą na wysokości głowy, wycelowaną w stronę przeciwnika. Evan zastygł w pozie głupca, z ostrzem skierowanym ku ziemi, co tylko na pozór wydawało się bezsensowne. Kobieta wiedziała, że w każdej chwili może przejść do innej postawy i ruszyć do ataku.

Dlatego postanowiła go uprzedzić.

Przyskoczyła do niego i od razu cięła wbrew, chcąc wykorzystać niskie ustawienie jego miecza. Nie pozwolił na to, blokując cios i błyskawicznie wyprowadzając własny, wpion. Odbiła sztych, szczęknęła stal. Udało jej się odepchnąć Evana. Wzięła szeroki zamach i sinistrą wycelowwała w jego prawy bok. Uchylił się w ostatnim

momencie.

Karen zrobiła wypad i cięła wręb. Znów odbił jej uderzenie. Ale zaraz zmyliła go szybką poziomą fintą, po czym błyskawicznie powtórzyła ten sam ruch co przed chwilą. Nie spodziewał się tego. Poczula, jak sam czubek miecza przecina ciało. Na piersi Darvina aż do lewego ramienia wykwitła szkarłatna linia.

Mężczyzna ryknął dziko i zasypał ją gradem ciosów. Zmusił ją do wycofania się. Z trudem parowała kolejne uderzenia. Zakręciło jej się w głowie i przez moment widziała podwójnie. Potrząsnęła głową i obraz wrócił do normy.

Ale kosztowało ją to niemal życie. Evan cofnął się, aby wziąć potężny zamach i wyprowadzić śmiertelnie groźną bastllereę. Zasłoniła się tarczą, ale siła ciosu zmusiła ją do przyklęknięcia na jedno kolano. Ramiona zadrżały jej z bólu. Wykrzywiła twarz w grymasie wysiłku.

Lecz mężczyzna nagle cofnął klingę, pozwalając jej wrócić do pionu, co natychmiast uczyniła. Zachwiała się niedostrzegalnie, gdy znów przez moment zawirowało jej w głowie. Wiedziała, że olbrzym mógł przed chwilą zakończyć tę walkę. Odnalazła jego wzrok.

– Jeszcze nie koniec przedstawienia! – zawołał, składając się do kolejnego ciosu.

Tyle że to była zmyłka. Karen śledziła ruchy jego miecza i zbyt późno zauważyła, co tak naprawdę planuje. A Evan zamachnął się kiścieniem.

W ostatniej chwili wysunęła tarczę, przyjmując na nią cały impet uderzenia. Ramię zgięło jej się pod siłą ciosu i poczuła, jak tarcza mocno uderza ją w bok, trafiając w biodro. Syknęła. Miała wrażenie, że kość miednicy pękła. Karen niemal załamała się pod mdlącym uczuciem bólu.

Blondyn się uśmiechał. Jego sylwetka rozdwajała się i scalała jednocześnie.

Mężczyzna zamachnął się znowu kiścieniem. Karen odchyliła się od ostrych kolców, które przeleciały niebezpiecznie blisko jej twarzy. Wygięła się jednak za mocno, zachwiała, postępując dwa kroki wstecz. Już nie odzyskała równowagi.

Potoczyła wzrokiem po arenie. Kształty w oddali były niewyraźne, twarze publiczności zlały się w pasma kolorowej mgły. Objęła spojrzeniem sylwetkę Darvina, która zdawała się lekko falować i tracić na ostrości. Mężczyzna stał, kręcąc młynki kiścieniem. Nie śpieszył się.

Coś było cholernie nie w porządku. Poczula mdłości. Nie otrzymała przecież ciosu w głowę, żeby mieć takie objawy. Stłuczony bok pulsował bólem, ale nie mógł być sprawcą takiego stanu rzeczy. Uniosła miecz i zobaczyła, że ręce jej drżą. Koniuszek klingi również zdawał się dygotać – widziała teraz trzy takie same cienkie ostrza, jak powidoki jednego obrazu.

Coś stało się z jej postrzeganiem. Z sekundy na sekundę coraz bardziej traciła orientację. Widziała, że Evan zbliża się do niej, krąży jak wilk wokół zwierzyny – a może tylko jej się wydawało? Przecież stał tam, machając do publiczności, która krzyczała coś, dopingując do dalszej akcji.

Odeszła jeszcze kilka kroków, starając się utrzymać równowagę, choć nie było to łatwe, bo wszystko wokół coraz mocniej falowało i wyginało się, podczas gdy ona miała wrażenie, że stąpa po elastycznym batucie. W panice zastanawiała się, co ma zrobić. Nie mogła poprosić o przerwę – regulamin nie przewidywał czegoś takiego, pojedynek miał trwać, dopóki nie wyłoni się zwycięzca. Ale czy regulamin przewidywał to, co właśnie się z nią działo?

Teraz była już pewna, że jednak ją otruto. Pierdolone elektrolity Mylesa... Przecież wzięła tylko łyk, z grzeczności, i potem odłożyła wysoką szklanekę. Widać wystarczyło. Musieli uzgodnić to razem z Evanem. Wpadła jak mucha do kielicha krwiożerczego kwiatu.

Potknęła się o nieistniejący kamień. Jakimś cudem nie wylądowała na ziemi. Zakłęła. Chciało jej się krzyczeć i płakać jednocześnie. Wiedziała, że to już koniec. Nie była zdolna walczyć w takim stanie. Ledwo co ogarniała rzeczywistość wokół siebie.

To nie powinno się tak skończyć, pomyślała rozpaczliwie. To ja powinnam zwyciężyć. Przecież tak kończą się te wszystkie filmy o dobrych i złych, prawda? Ci dobrzy zawsze ostatecznie wygrywają. A ona z pewnością była tą dobrą. Przecież Melania... Powinnam teraz ostatkiem sił unieść miecz, a gdy Evan się zbliży, wbić mu go prosto w gardło. Tyle że ręka... ręka? – miała ich przecież kilkanaście, a wszystkie były dziwnie lekkie, nierzeczywiste, wielkie i niezgrabne – nie była w stanie się nawet obronić, a co dopiero przypuścić atak.

Przepraszam, kochanie. Mamusia chciała dobrze. Mamusia chciała, żebyś była zdrowa. Mamusia bardzo cię kocha, Melu. Melania...

Imię córki było ostatnim, co zdążyła pomyśleć. Potem jej odcięta głowa potoczyła się po piasku areny, znacząc swoją drogę czerwoną wstęgą krwi. Oczy pozostały szeroko otwarte, jakby wciąż starały się zrozumieć, dlaczego spotkał je tak niesprawiedliwy los. Ciało z głuchym tąpnięciem upadło na ziemię.

Pojedynek był zakończony. Arena nie należała już do niej.



– Zabi...liśmy ich. Zabiliśmy ich. Wszystk-kich – wybełkotał Harry Sullivan, dyrektor generalny spółki JerensBlade, organizatora programu,

odpowiedzialny za jego realizację.

Dochodziła czwarta w nocy. Razem z Mylesem Arrowsidem dopijali kolejnego drinka w opustoszałym już mocno barze po imprezie firmowej. Spotkanie zorganizowano dla wszystkich zaangażowanych w projekt, niedługo po zakończeniu finałowego odcinka. Na moment pojawił się nawet Evan Darwin, dalej w glorii chwały. O tej porze jednak zostały już tylko niedobitki, a Harry wraz z Mylesem od jakiegoś czasu zalegali na kanapie w rogu, przy stoliku zawalonym pustym szkłem i kilkoma butelkami.

– Kogo... zabiliś...my? – Arrowside zamrugał oczami, próbując skupić wzrok na swoim towarzyszu.

– Wszys...tkich. Dziewiętna-aście osób. Nie żyją... – Harry czknął.

– Osiemnaście – mruknął Myles. – Jeden przeżył w... no, tym odcinku z labiryntem... Fajna zabawa...

– Fajna zabawa? – powtórzył Harry, a jego głos nagle nabrał ostrości.

– Kurwa, Myles! Zginęły prawie dwie dziesiątki ludzi! Przez nas!

– Co ty pieprzysz? Przecież nie my ich... zabiliśmy...

– Ale tak jakbyśmy to byli my! Może nie naszymi rękami, ale, kurwa, cały czas czuję się, jakbym miał na dłoniach ich krew... Jezu, jak mogliśmy wymyślić tak chory program? Pamiętam tamtego golfa... Ale wtedy to wyglądało inaczej, gdy o tym rozmawialiśmy, gdy wymyślaliśmy całe to gówno... Myles?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł tamten, bawiąc się pustym kieliszkiem. – Zgarnęliśmy niezłą kasę, no nie? Mówiłem ci, że ludzie to kupią. Każdy tylko siedział z wywieszonym jęzorem przed holoodbiornikiem, czekając, aż poleje się krew. Co, może myślisz, że nie? Niby tak pomstowali, że to niehumanitarne! że barbarzyństwo! a każdy, KAŻDY tylko ślinił się na wyprute flaki...

– Przestań. – Harry wzdrygnął się.

– ...po prostu pokazaliśmy to, czego wszyscy oczekiwali, choć nikt nie śmiał się przyznać nawet przed sobą. Sam pomyśl. Przecież dotąd holowizja pokazała już chyba wszystko. Podobnie intermeganet. Ale zabójstwa na wizji... takie prawdziwe, nieustawiane... Byliśmy pierwsi! Nikt nigdy nie miał takich wyników oglądalności, wiedziałeś o tym?

Po chwili Arrowside mówił dalej:

– Inne holowizje już wysłały zapytania w sprawie wykupienia praw, chcą emitować „Arenę” w innych krajach. Choć pewnie w niewielu będzie to możliwe. – Parsknął śmiechem. – W każdym razie kasa będzie nam spływać jeszcze przez długi, długi czas... Kolejne sezony... Jakie znaczenie ma to, że zginęło paru więźniów, margines społeczny? I tak byli skazani na karę śmierci.

Sullivan nie odpowiedział. Wzrok miał utkwiony gdzieś daleko w jakimś punkcie na ścianie.

– A ta kobieta... Karen... – zaczął. – Przecież ma... miała... chorą córeczkę. Sam widziałem ten wywiad. Chciała zdobyć pieniądze na leczenie. Sądziś, że gdyby nie... Sądziś, że mogła wygrać tę walkę?

– Oczywiście – powiedział Myles bez zająknięcia. – Ba, nawet spodziewałbym się, że tak się stanie...

– ...ale nie tak miało być, prawda? – Harry utkwiał w koledze przenikliwe spojrzenie.

Arrowside odwrócił wzrok, chwycił za stojącą nieopodal butelkę, zajrzał do środka. Najwyraźniej dojrzał coś na dnie, bo przechylił ją i pociągnął kilka łyków. Otarł usta dłonią.

– To jest biznes, Harry – rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie ma miejsca na sentymenty. Lepiej się z tym pogódź. Poza tym, jak by nie patrzeć, to był twój pomysł, no nie? Idę do kibla.

Poklepał go po ramieniu i wstał, zataczając się lekko. Sullivan został sam.

Ukrył twarz w dłoniach. Tak, to był jego pomysł. I w miarę jego rozwoju gardził sobą coraz bardziej.

Uniósł głowę, słysząc szmer kroków. Myślał, że może reżyser wrócił, ale to tylko kelnerka zbierała brudne naczynia z sąsiedniego stolika. Popatrzył na jej hiszpańską urodę, wysoko upięty koński ogon i zapłakał. Sucho, bez łez, na które nie było miejsca w tym świecie.



Dwa tygodnie po emisji finałowego odcinka programu „Arena należy do was!” na konto Hospicjum Dziecięcego im. Świętej Teresy wpłynął przelew na kwotę trzystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Jego tytuł brzmiał: „Na leczenie Melanii Reynolds”. Nadawca pozostał anonimowy.



# BARTEK BIEDRZYCKI

---

## STULTI ET CIRCENSES



**W**ięc tak... – Iwan Iwanowicz obrócił się do wiszącej na ścianie mapy. – Pójdiesz tu. – Postukał paznokciem w zatłuszczony, poznaczony muszym łajnem arkusz. – Tam jest taka instalacja...

Spod sterty jakichś dokumentów w tekturowej teczce wydobył źle doświetlone zdjęcie i rzucił je w moim kierunku. Upadło na krawędź stołu, a potem ześlizgnęło się prosto na podłogę. Nawet nie zawracałem sobie głowy podnoszeniem go, omiotłem je tylko wzrokiem – widniała na nim zupełnie niecharakterystyczna betonowa komórka, mogąca być absolutnie czymkolwiek: od sracza za wiejską remizą począwszy, a skończywszy na zejściu do wentylatorni petersburskiego metra.

– Tam zejdziesz do podziemi i znajdziesz takie coś... – Z szafki pod blatem wyciągnął kłęb splątanego metalu, okręconego kilkoma wiązkami różnokolorowych kabli. – Podobno trzymają to w szafie stalowej w gabinecie.

Obrócił się do mnie twarzą, splunął na posadzkę i wyciągnął z kieszeni na piersi zmaltretowanego bielomora. Złamał gilzę uderzeniem paznokcia, wsunął między spierzchnięte wargi i zapalił.

– A potem przyniesiesz do mnie tyle, ile dasz radę. Ogarnąłeś?

– Tak, tak. Złączymy to coś z tym czymś i wtedy...

– Co?

– Nie, nic, ogarnąłem. Rozumiem, że masz jakiś plan podejścia do obiektu? Emisji nie było już dość dawno, a skoro aż tyle wiesz, to ktoś przetarł szlak?

– Bożokorow. On cię doprowadzi – odparł Iwan Iwanowicz, splunął



tytoniem i całą swoją postawą dał mi do zrozumienia, że to koniec odprawy.

– Pojebało was wszystkich... – mruknąłem tylko pod nosem, zebrałem plecak z posadzki i wyszedłem z zaplecza.



I tak to było, dokładnie tak. Człowiek ma w sobie jakieś takie wrodzone, przynależne mu idiocstwo, które sprawia, że nie czyta znaków, nie słucha intuicji, instynkt wyśmiewa i w ogóle nie bierze pod uwagę tego, że czasem należałoby stanąć na chwilę, pomyśleć, zastanowić się, może jakieś wnioski wyciągnąć.

Człowiek, jako gatunek zwierzęcia, jest istotą tak obmierzłą i urągającą wszelkiemu rozsądkowi, że wprost trudno jest mi to wyrazić. Ludobójstwo na wielką skalę jest chyba jedynym lekarstwem, bo czekać, aż kosmos nas sam zادةpcze, to zanadto szkodliwe.

O czym to ja? No tak, poszliśmy na chodkę, a jakże, z Bożokorowem.

Niech go świnia powącha.

Powinienem był wiedzieć, że się od starego trzeba trzymać jak najdalej. Ten człowiek to Jonasz, pocałunek Judasza, nosi w jednym plecaku poniedziałek trzynastego i piątek trzynastego, ale ja, oczywiście, niczego się nigdy nie uczę.

Wyszliśmy spokojnie od Iwana Iwanowicza następnego ranka, przeczogliśmy się za Kordon i poszli my w Zonę, hej.

Z początku nic się niby wielkiego nie działo, ot, snork, ot, jakiś ślepak, raz mi żarnik przypalił dupę, ale nie tak, żeby się aż z tego powodu stresować za mocno. Jedną i drugą noc spędziliśmy w jakichś starych chałupach – w tej jednej wsi to się tak sobie wyspałem, bo w chałupie obok kołatała się zamknięta baba, co to jej się nie umarło.

No i doszliśmy wreszcie aż prawie tam, gdzieśmy mieli dojść. Z rana ostrzelaliśmy jednego czarnobylca, co strasznie zawzięty był – aż się musieliśmy salwować ucieczką na drzewo, bo świniak za bardzo nie miał ochoty odpuścić. Zupelnym fartem trafił go pionowo z góry prosto w ten głupi łeb dziadek Bożokorow.

I tam, pod tym drzewem, obok rozglądanego wieprzka, żeśmy się rozstali. I wtedy popełniłem błąd.

Wiecie, jak to jest: tuż przed metą, niedaleko do celu, na chwilę tracisz koncentrację. Pomyślałem sobie, że skoro pechowiec odbił hen, w Zonę i poszedł gdzieś na Prypec, to co już mi się teraz może przytrafić. I jakoś tak szedłem, uśmiechałem się do siebie, rozglądałem dookoła czujnie, aż się z nagła wjebałem do szybu wentylacyjnego,

przydzwoiłem kacapem raz i drugi o betonowe ściany i straciłem przytomność.

Gratulacje, milordzie, no kurwa.



Otworzyłem oczy, bo gdzieś niepokojąco blisko usłyszałem niewiarygodnie głośny ryk. Otworzyłem je od razu bardzo szeroko, bo i widok, jaki się przed nimi odwalał, nie należał do najbardziej uspokajających.

Leżałem na piachu.

Ziemia pode mną się trzęsła.

Za przyczyną pseudogiganta, który szarżował ogólnie w moim kierunku.

Z innych wieści: znajdowałem się w jakiejś wielkiej hali. Po braku okien wywnioskowałem, że musi znajdować się pod ziemią. Wsparciem dla tej hipotezy był fakt, że przed utratą kontaktu ze światem poruszałem się w dół.

W zasadzie w ciągu pierwszej sekundy przytomności praktycznie się zesrałem, i to bynajmniej nie z radości.

Potem, na szczęście, moja percepcja – chociaż nadal daleka od doskonałości – pozwoliła mi na poczynienie dalszych obserwacji. Pseudogigant szarżował, owszem, ogólnie w moim kierunku, lecz jedynie ogólnie. Jego bardziej bezpośrednim celem była dwójka stalkerów znajdujących się między mutasem a mną. Jeden z nich miał się całkiem dobrze. W masywnych łapach dzierżył siekierę, którą właśnie wznosił do ciosu. Drugi natomiast, cóż, drugi to była zupełnie inna historia. Wyglądał raczej na krótkie i bolesne wspomnienie po stalkerze. Trzymał się w pionie, ale tylko dzięki kawałowi żelaznego drąga, bo lewą nogę miał wyposażoną w kilka dodatkowych stawów, jakich ludzie zwykle nie miewają. Trzeba również uczciwie przyznać, że i pseudogigant wyglądał jak szmata. W cielsko i w łeb wbite miał jakieś żelastwo, gazrurkę, kawał płaskownika i jeszcze jakąś drobnicę. Widać było też wyraźnie, że miał już kilka bliskich spotkań ze wzmiankowaną siekierą.

Ziemia trzęsła się, co w obliczu biegnącego w twoją stronę dwutonowego sukinsyna nie jest niczym zaskakującym. Mutas zatoczył łuk toporną łapą i połamany stalker poleciał w powietrze jak szmaciana lalka. Sposób, w jaki jego ciało ułożyło się w trakcie lotu, sugerował wyraźnie, że jest mu to – i na wieki już będzie – absolutnie obojętne.

Drugi jednak najwidoczniej nie porzucił marzeń o tym, że będzie

jeszcze żywy przez jakiś czas, i z rozmachem wbił siekierę w gruzłowaty łeb mutasa z takim impetem, że ta zanurzyła się w nim aż po stylisko. Westchnąłem ciężko i w ostatnim przebłysku świadomości padłem w cuchnący piach, zasłaniając głowę rękoma.

Ostatnim, bo pseudogigant, padając, wyrznął mnie w łeb martwą łapą i świeżo odzyskaną przytomność znów straciłem.



Wspominałem już, że uważam ludobójstwo za wspaniały wynalazek? Tak? To nic. Nigdy nie dość opowiadania o dobrych pomysłach. Powinno się zaorać całą tę Zonę do gołej ziemi, potem wybetonować, a cokolwiek w niej mieszka, cóż, Hans, przynieś mi flammenwerfer, byle szybko i duży. Będziemy werfen flammen all day long.

Na czym to ja skończyłem? A więc wpadłem do szybu wentylacyjnego, jak ten debil, co się na ulicy zagapi na dziewczynę w krótkiej spódniczce i wleci do otwartej studzienki telekomunikacyjnej. Na pewno widzieliście takich.

Studzienki telekomunikacyjne jednakowoż nie są zwykle zbyt głębokie, ja natomiast pokonałem w dość szybkim tempie odpowiednik dwóch pięter – a w zasadzie dwóch kondygnacji – po drodze testując czaszkę na betonowych ścianach i belce.

Jak już się znów ocknąłem, to mnie coś tknęło, bo jakoś tak dziwnie się ruszyć nie mogłem. W pierwszej chwili nie zwróciłem na to uwagi, bo mnie oczywiście baniak napażał, co niczym dziwnym raczej nie jest. Ale jak doszedłem trochę do siebie, to pomyślałem, że chyba muszę mieć kulasy poprzetręcane, skoro ruchu żadnego wykonać nie mogę. I łapska tak samo. I jak się próbowałem dźwignąć i obejrzeć, to się zorientowałem, że mam wszystko na miejscu, tylko tak jakby skrzepowany jestem. I nie żebym się sromał majestatu czy coś, tylko normalnie związany jestem kablem elektrycznym w czarnej otulinie, wielożyłowym, na oko telefonicznym, z tych raczej nowych, nie sprzed Pierwszej Katastrofy.

No i to jest ten taki moment, w którym człowiek zdaje sobie sprawę, że coś poszło cholernie nie tak, a on zachował się cholernie głupio. W filmach zwykle w tym momencie ruch zwalnia, potem następuje stop-klatka i idiotyczny głos zza kadru rzuca jakiś one-liner w stylu: „Pewnie się zastanawiacie, skąd się wziąłem w tej sytuacji?”.

No, to wy już wiecie. Wpadłem jak debil do dziury w ziemi. A ponieważ tak się jakoś składa, że nie noszę błękitnej sukienuni, nie mam niesfornych blond loczków trzymanyh w ryzach kokardą i nie

biegłem za puszystym króliczkiem o jasnym futerku, i tak, zgadliście, nie mam na imię tak jak pewna dziewczynka z przyszłości, zatem miejsce, do którego trafiłem, okazało się nader smutne.

I nie trafiłem tam sam, co – nie oszukujmy się – tylko pogarszało sprawę. Kiedy już doszedłem do siebie na tyle, że rozeznałem się we własnym położeniu, zacząłem rozglądać się z ciekawością wokoło i szybko dostrzegłem, że takich pechowców, którzy też nie okazali się Alicją, jest więcej. Leżeliśmy wszyscy w jakimś półkolistym sklepionym pomieszczeniu, oświetlonym słabo starą lampą łukową, która wyglądała i działała tak, jakby ją ktoś wyciągnął ze śmietnika. Całe to miejsce zresztą wyglądało, jakby w istocie było śmietnikiem. I – powiedzmy to sobie otwarcie – zarówno ja, jak i moi towarzysze niedoli wyglądaliśmy, jakby nas ktoś wyciągnął ze śmietnika.



Nie miałem za dużo czasu, by zastanawiać się nad implikacjami tego

faktu, bo oto zgrzytnęła krata znajdująca się gdzieś na końcu pomieszczenia i do środka wtargnęło dwóch ludzi. Na tyle, na ile byłem w stanie dojrzeć cokolwiek dokładniej ze swojej – dosyć niekomfortowej – pozycji, wyglądali na wojenstalkerów.

Tylko mi tych kurew tutaj brakowało, pomyślałem, z żalem przypominając sobie sylwetkę Bożokorowa, jak odchodził za horyzont w pizdu, obrócony do mnie plecami i coś gadający sam do siebie pod nosem.

Z wojenstalkerami to nie pogadasz. To zakute pały, urodzeni rycerze, zresztą tam każdy jeden „tylko rozkazy wykonuje”, a dowódcy dupę grzeją gdzieś na Dużej Ziemi. Z drugiej strony skoro dotąd nie wdrożyli swojej typowej taktyki „strzelać, póki cokolwiek się rusza, potem dopiero przesłuchać”, znaczyło to, że nie jest jeszcze tak najgorzej. Czapy pewnie nie będzie, ot, obiją mordę, skują i wyślą na tamtą stronę Kordonu. Po drodze wszystko się może zdarzyć.

– Puszczajcie mnie, suki! – wydarł się delikwent, a mnie aż coś tknęło, bo tak się rozdarł, jakby przeczuwał, że nie na przesłuchanie go prowadzą, ale jakieś gorsze mu szykują atrakcje.

Szarpnąłem się całym ciałem i usiadłem pod betonową ścianą.

– O, się kolega ocknął – burknęło obok stworzenie, któremu najbliżej z nas wszystkich zgromadzonych było do Alicji. A w każdym razie sądząc z buźki, bo garderoba nie wskazywała na jakieś szczególne pokrewieństwo z damską modą.

– Ten co się tak drze, a? – zagadnąłem.

– A zaraz się dowiesz – odparła stalkerka.

I faktycznie, nie minęło wiele czasu, a dobiegł mnie szum jakby wiwatującego tłumu. Potem coś, co chyba było rykiem wściekłości, i ostry, dość raptownie urwany krzyk. Oraz coś, co najprawdopodobniej było jękiem zawodu publiczności.

– Ej, co tu się odpięrdala? – rzuciłem w przestrzeń, nie skupiając się na żadnej konkretnej postaci siedzącej w pomieszczeniu. Jednocześnie przypomniałem sobie nagle z przerażającą jasnością pierwsze ocknięcie, pseudogiganta i dwóch stalkerów – fartownego i niefartownego.

– Igrzyska – odburknął ponury bandos skrępowany jak baleron pod przeciwległą ścianą. Wygląd jego gęby dobitnie obrazował, dlaczego jest skuty łańcuchem zamkniętym na kłódkę i jak wielkie problemy stawiał przy zatrzymaniu. Pod świeżą warstwą obrażeń umościła się zresztą fizjonomia, dla której kontakty z pięścią nie były pierwszozną.

– Jakie znów igrzyska? – zapytałem.

– No przecież nie olimpijskie, kurwa. – Bandos splunął krwią na ziemię. – O gladiatorach słyszałeś?

Gdzieś w głębi korytarza rozległ się kolejny ryk, potem wrzaski, a na koniec kilka długich serii z broni maszynowej. Ograniczyłem się do

pokiwania głową, bo szkoda było strzępić ryja. Sytuacja wydawała się w zasadzie jasna – przynajmniej od strony formalnej i jej efektu dla mnie; przyczyny i mechanizmy spierdoliny, w jaką przez własną nieuwagę wdepnąłem, były jak zawsze w takich sytuacjach drugorzędne.

Znów zgrzytnęła krata i do naszego więzienia wpadł mocno pokiereszowany nieszczęśnik. Część więźniów rzuciła się od razu w jego kierunku, co zważywszy na fakt, że wszyscy byli w ten czy inny sposób skrępowani, przywodziło na myśl dyskotekę dla gąsienic. Dodajmy, że głuchoniemych, bo nie grała żadna muzyka.

– I co? I co?! – rozległy się głosy ze wszystkich stron.

– Juchociąg – wydyszał tamten i stracił przytomność.



Musicie przyznać, że na tym etapie było już jasne, że cała sprawa przybrała naprawdę gówniany obrót. W ciągu następnej godziny wojenstalkerzy wyciągnęli z więzienia jeszcze kilka osób, z czego wrócił tylko jeden delikwent – bandos z potłuczonym ryjem. Potem na jakiś czas się uspokoiło. Stalkerka rozwiązała mi jakoś ręce, które paliły boleśnie, kiedy wracało mi krążenie. Pod wieczór wrzucili nam trochę czerstwiejącego chleba i jakieś konserwy, o które zaraz wybuchła bitka. Przewornie trzymałem się z dala, nie zdradzając nikomu, że jedną z puszek udało mi się ukryć pod kurtką.

Noc nadeszła i minęła w miarę spokojnie. Nadeszła o tyle, żeśmy się tego wszystkiego domyślili z uspokojenia ruchu w podziemiu, bo i tak było ciemno, zimno, a do domu daleko. Spokojnie o tyle, o ile może spokojnie minąć noc w piwnicy pełnej porwanych ludzi, szczególnie takich, co przez życie przebijają się w najlepszym razie ciosami pięści.

Ranek za to zaczął się wrzaskami, kopniakami i kilkoma kubłami zimnej wody losowo wylanymi na całe porozkładane na podłodze towarzystwo. Fortunnie mnie dostało się jedynie chlapnięcie. Dobrze rozpoczęty dzień okazał się w ogóle świetny, kiedy udało mi się dyskretnie otworzyć konserwę i spożyć ją spokojnie w towarzystwie Alisy, w romantycznym kącie lochu za ceglaną kolumną. No dobra, romantyczny to może trochę na wyrost powiedziane. Ale jak masz czymś napełniony żołądek, na grzbiecie kurtkę w całości, siniaki jakby mniej bolą i w ogóle trochę pospałeś, to i nawet w piwnicy świat daje radę.

Skorzystałem z okazji i przedstawiłem się dziewczynie, na co ona – patrzcie, co za zbieg okoliczności – potwierdziła, że faktycznie jest

imienniczką bohaterki Bułyczowa. Powiedziałem jej, że tak ją zdążyłem już w tej opowieści ochrzcić, chwilkę się pośmialiśmy, zalotnie ostrzegła mnie, żebym sobie nie wyobrażał za dużo, bo mi złamie parę rzeczy, pośmialiśmy się znowu, a potem oczywiście rzeczywistość przypomniała sobie o nas. Miała postać dwóch wojenstalkerów z karabinami w pozycji bojowej. Na tyle, na ile mogłem ocenić w niezbyt dobrym świetle lampy łukowej, co najmniej jeden z tych karabinów był odbezpieczony. I właśnie ten zatoczył łuk obejmujący całe pomieszczenie, a następnie drgnął i zatrzymał się naprzeciw naszej dwójki.

– Ruchy – szczerknął jego właściciel.

Rozejrzałem się ciekaw, do kogo mówi, ale wokół naszej dwójki było kilka metrów wolnej przestrzeni. Bardzo gwałtownie wolnej, powinienem dodać.

– Ruchy, stalker – szczerknął wojen ponownie i w sumie tyle było konwersacji. „Razdiewajsia” – powiedział lejtnant. Dźwignąłem się więc, skinąłem głową na pożegnanie zgromadzonemu nie całkiem świetnemu towarzystwu i wyszedłem w ślad za naszymi gospodarzami, bo dobrodziejami raczej nie sposób ich nazwać.

Alisa ruszyła w krok za mną z miną godną obu swoich imienniczek, jednocześnie zdradzającą kpiącą pewnością siebie i niejakie pomieszanie związane z zaskoczeniem niecodzienną sytuacją.

– Panowie wybaczą – zagaiłem nieco niepewnie – ale byłbym zobowiązany, gdybyście raczyli nam pokrótce wyjaśnić naszą sytuację.

– Zamknij ryj – odparł krótko ten, który nas wybrał, i w zasadzie na tym ta obiecująca rozmowa się zakończyła.

Na szczęście sytuacja była już na tyle rozpoznana, że nawet lekkie upośledzenie konwersacyjnych zdolności ukraińskiego żołdaka nie było dużą przeszkodą w zorientowaniu się, że siedzimy w gównie po uszy. Siedzimy po uszy, toniemy i generalnie nie da się zgruntować dna. Tymczasem wojenstalkerzy wprowadzili nas do małego, oświetlonego gołą jarzeniówką pomieszczenia, które musiało być czymś na kształt zbrojowni. Tyle że nie było w nim broni, tylko jakieś śmieci. No dobra, może i można to uznać za broń – metalowe rurki, jakieś dziadowskie noże, kije popularne wśród miłośników sportu (aczkolwiek raczej wśród fanów futbolu niż baseballu), dostrzegłem nawet rasowe widły. Ludzkość to jest pomysłowa swołocz, mówię wam całkiem szczerze.

I powiem wam, że widły faktycznie były rasowe, bo akurat mi się trafiły.

Pewnie nawet byłbym zachwycony, gdyby przyszło mi przerzucać gnój. Jasne, powiecie, że to gówniane zajęcie, i naprawdę skłamałbym, gdybym nie przyznał wam racji. Ale jestem też, niestety, zmuszony powiedzieć, że w tamtej chwili przerzucanie gnoju wydawało mi się zajęciem szlachetnym, ze wszech miar przyjemnym i nad wyraz



pożądanym. Gdybym tylko mógł je wykonywać, zamiast być w miejscu, w którym akurat byłem.

A potem poprowadzili nas krótkim korytarzem, wypchnęli przez jakieś pancerne drzwi, no i, kurwa mać, pomyślałem, że przerzucanie gnoju to jest w ogóle najlepsza ścieżka kariery, jaką mogłem potencjalnie wybrać, a zostanie stalkerem w Zonie było niewiarygodnie najgorszą decyzją podjętą przez dowolną ludzką istotę na przestrzeni co najmniej ostatniego tysiąclecia, albo i dłużej.



Pancerne drzwi zatrzęsły się za nami z łoskotem, który pewnie coś przypominał i pewnie można by go jakoś ładnie nazwać, wiecie, poetycko czy literacko, jeden pies, ale serio, nie jest to moment, o którym bym myślał z jakimś poetyckim zadęciem. Pancerne drzwi za plecami i ostre światło prosto w oczy to pierwsze, co zarejestrowałem. Dłuższą chwilę nie mogłem sobie pozwolić na odbieranie doznań wzrokowych za sprawą rzeczoności światła, za to docierały do mnie dość wyraźnie doznania słuchowe. Byliście kiedyś na meczu? Wiecie, taki spęd, na którym dwudziestu paru wyzełowanych ćwoków gania za szmatą po trawie, a wszyscy się tym jarają? No właśnie. Jarają się jak przetręceni i drą ryja, jakby działo się coś naprawdę godnego uwagi, bo przecież żaden sam przed sobą się nie przyzna, że to tylko banda pajaców paradujących po trawniku w krótkich portkach. Faktem jest, że mordy piłują nieziemsko, a jeśli byliście kiedyś na meczu, to wiecie, o czym mówię.

No więc wyobraźcie sobie ten ryk wprost z meczu, tylko tak jakby zapakowany. Powiedzmy, w beczkę. Nie żeby nas wepchnęli do beczki, no nie, bez przesady, zresztą żaden ze mnie Diogenes, a i Alisa nie sprawiała wrażenia jakoś żywotnie zainteresowanej rozwijaniem własnej szkoły filozoficznej. Chodzi raczej o akustykę. Wiecie, barokowe echa i takie tam? Zresztą wizualne skojarzenie z beczką nie było też tak całkiem nieuprawnione, bo gdy już moje oczy nieco przywykły do ostrego światła, okazało się, że jesteśmy w jakiejś piwnicy. Po pierwsze, sporej. Kurewsko dużej, nawet jak na piwnicę. Rzekłbym, że to podziemna hala, ale trzeba tu wziąć pod uwagę drugi element, a mianowicie była to budowla raczej stara. Teraz się takich nie robi, chyba że budujecie hipsterski loft czy jak się to gównem nazywa. Była więc łukowato sklepiona, jak rzeczona beczka, a sklepienie wykonano z czerwonej cegły.

Jeśli jednak wydaje wam się, że to była cała osobliwość związana z tą

piwnicą, to jesteście w błędzie, i to raczej takim z tych większych, że tak sobie pozwolę ocenić. Pomieszczenie bowiem, w przeważającej mierze ceglane i łukowato sklepienie, było także okrągłe i miało dość znaczny obwód. Jak teraz o tym myślę, to nie jest wykluczone, że był to jakiś podziemny zbiornik gazu albo inna tego typu instalacja, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. Ale na tym nie koniec architektonicznych niespodzianek: o ile obwód pomieszczenia raczej plasował się wśród tych określanых zwyczajowo słowem „znaczny”, o tyle na poziomie podłogi ograniczony był konstrukcją o raczej pośpiesznym, rzekłbym – tymczasowym charakterze. Konstrukcja ta była czymś, co znów przychodzi na myśl idiotyczne igrzyska polegające na obserwowaniu baranów ganiających szmatę po trawie, czyli trybunami. Wykonana ze stalowych belek, odeskowania i blachy, okrążała środek pomieszczenia, który – a rozsypany grubą warstwą piach jednoznacznie potwierdzał to przypuszczenie – musiał być niczym innym jak areną.

Mówiąc krótko, było to pierdolone Koloseum.

Ja wiem, że to się może wydać pochopnym wnioskiem, że ja tak od razu starożytność, chleba i igrzysk, i inne takie tam bezbożne supozycje, ale naprawdę trzeba wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności i fakty. A te są raczej oczywiste – nieco niewyraźne wspomnienia z szarży pseudogiganta, stan ludzi wracających do piwnicy, ryki, krzyki i strzelaniny, jakie zdarzyło mi się słyszeć, wreszcie wzmianka o igrzyskach zasłyszana w czasie mojego z jednej strony niezbyt długiego, a z drugiej stanowczo przeciągającego się pobytu w podziemiu, do którego zawitałem po idiotycznym wpierdoleniu się do studni. Macie obraz całości czy nie?

Żeby nie przedłużać...

Na środku trybun stała, no właśnie, wypisz wymaluj trybuna właśnie rodem z pierwszomajowych pochodów, socrealistyczna ambona, na której środku siedział znaczniejszy jakiś żołdak w otoczeniu innych żołdaków znaczniejszych, aczkolwiek nie tak znacznych jak on. Obwieszony był medalami i orderami, a przekonany jestem, że przynajmniej część z nich bita była jeszcze w Związku Radzieckim przed Pierwszą Katastrofą. Uniósł rękę władczy gestem i gwar gawiedzi ucichł jak nożem uciął. Jakkolwiek by patrzeć, była to jednak impreza wojskowa, a nie cywilny stalkerski obóz z dala od Dużej Ziemi, gdzie bezhołowie jest zwykle jedynym i najwyższym systemem organizacji społecznej.

– Witajcie na Arenie! – zakrzyknął, częściowo pod naszym adresem, częściowo na użytek publiczności, która zareagowała krzykliwą owacją. Jeśli chodzi o mnie, to nie byłem pod wrażeniem, a szybkie spojrzenie z ukosa na moją mimowolną towarzyszkę zdradziło błyskawicznie, że jej również daleko było do zachwyty, prędzej mógłbym ją uznać za

rozbawioną.

– Trafiliście tu, bo jesteście nic niewartymi śmieciami! – Oho, rozpędzał się. – Wasze istnienie to ujma dla chlubnych tradycji oręża!

Na te słowa rzeszy Alisy wręcz zafurkotały, tak szybko zamrugała.

– Ponieważ jednak wierzymy, że część z was na manowce zesłała nie ze złej woli, lecz w wyniku niefortunnych okoliczności, pozwalamy wam udowodnić swoją wartość bojową i odkupić winy, jakich dopuściliście się w Zonie. W tym celu walczyć będziecie z jej radioaktywnym pomiotem, a jeśli udowodnicie swoją wartość jako nowożytni gladiatorzy, będzie wam darowane życie!

Publiczność znów się rozwrzeszczała, a brzmiało to dla mnie jak skowyt pędzącej przez Zonę sfory ślepaków.

Arenę wysypano zdeptanym piachem, który splamiony był tu i ówdzie substancją niepozostawiającą żadnych wątpliwości co do swojej proveniencji. Dobudowane trybuny zapełniali drący parszywe mordy żołdacy, w większości prawdopodobnie pijani albo pozostający pod wpływem innych środków, co zarówno w Armii Radzieckiej, jak i w formacjach, które w tych akurat okolicach ostały się po jej politycznej dezintegracji, było dość popularne. Naprzeciwko natomiast znajdowało się coś, co należałoby nazwać raczej bramą niż drzwiami, chociaż było podobnie pancerne jak odrzwia za naszymi plecami. I pozwolę sobie na pewien odlot, mianując tę bramę wrotami piekieł, bo kiedy się uchyliła, na arenę wyleciało nic innego jak właśnie sfera ślepych psów.

Nie będę się przechwalał, nie o to przecież w tej opowieści chodzi. Powiem jedynie, że trzy z tych obmierzłych stworzeń przekonały się, że widły nie bez powodu były od dawna w kulturze uznawane za postrach wszelkich potworów. Uczciwie będzie również nadmieniłem, że za sprawą czterech sztuk, które padły z ręki Alisy, ugruntowała się pozycja japońskiego miecza jako potężnego oręża. Czemu katanę nazywa się mieczem, nie zaś szablą, biorąc pod uwagę jej charakterystykę, oraz skąd te skurwysyny wzięły w ogóle katanę – pozostaje poza zasięgiem mojej wiedzy, ale też nie jest dla mnie kluczowe znać odpowiedź na oba te pytania. Czy to razem, czy osobno. Jakkolwiek by było, jest w zasadzie pomijalne w tej historii. Ważne jest, że siedem nowych plam zboczyło piach tej pojebanej areny, my zaś mimo to wyszliśmy ze starcia bez szwanku.

Oczywiście to, co dla nas było pozytywnym rozwiązaniem kłopotliwej sytuacji, niekoniecznie musiało być pozytywne dla innych, o czym przekonaliśmy się oboje stosunkowo szybko. Przy czym nie jest tak, żebyśmy nie byli tego świadomi już wcześniej, prawda.

Zostaliśmy poczęstowani prypec-kabanami, po jednym na głowę, a potem ktoś stwierdził, że skoro tłum jest rozochocony, to warto

dorzucić do pieca, no i puścili na nas pseudogiganta. Widzieliście kiedyś na żywo pseudogiganta? Serio, posłuchajcie i nie chcecie zobaczyć, bo to naprawdę nie jest coś, co warto obejrzeć przed śmiercią, ta zaś staje się udziałem obserwatora w grubo ponad połowie sytuacji spotkania w środowisku naturalnym dla pseudogiganta. W przypadku areny raczej pustej – o ile nie liczyć padliny, ale ją trudno uznać za potencjalne schronienie – stosunek szans zaczynał być jeszcze bardziej niekorzystny dla obserwatora.

Cóż mogę powiedzieć na okoliczność tej opowieści, która zgodnie z wszelkimi przesłankami dobiega właśnie końca. Pozwolę sobie powtórzyć tezę podaną bliżej początku, że ludzie głupim gatunkiem są. Dodam, że mówiąc to, nie kokietuję nikogo ani nie próbuję się wykazać fałszywą skromnością. Całkiem uczciwie i z pełnym przekonaniem za pierwszej wody głupca skłonny jestem uznać także siebie, bo pokażcie mi mędrca, co gotów jest zupełnie bez powodu wjechać się do studni, nie mówiąc już nawet o dalszym ciągu tej afery. Jestem, jako się rzekło, człkiem ze wszech miar głupim. Zważywszy na to, że Alisa znajdowała się w położeniu niecodziennie analogicznym do mojego, bezpiecznie będzie przyjąć, że w tę kabałę pchnęły ją decyzje również nieznamionujące osoby mądrej. Było więc nas dwoje głupich gapiących się w oczy śmierci pod postacią pseudogiganta.

Głupi jednakowoż w większości ludowych bajek i porzekadeł ma szczęście, a częściej jest to przewaga szczęścia nad rozumem. Wtedy też wydarzyło się kilka różnych rzeczy, zresztą bezpośrednio ze sobą związanych. Pozwolę sobie je zrelacjonować, bo są one kluczowe dla tej historii i ich pominięcie mogłoby się spotkać z dezaprobatą ze strony odbiorców.

Pseudogigant rozejrzał się i postanowił, że szarża ogólnie w naszym kierunku będzie uzasadnioną decyzją. A nawet szczególnie w naszym kierunku.

Jakiś debil na zmontowanych prowizorycznie trybunach uznał, że zrobienie użytku z broni, którą trzymał na kolanach, będzie zasadne dla podgrzania atmosfery. Akurat w tej konkretnie kwestii miał cholerną rację, to trzeba przyznać otwarcie.

Rzeczony żołnierz przymierzył krótko i oddał pojedynczy strzał w stronę mutanta, który okazał się jednocześnie celny i zasadniczo dla potwora bolesny, bądź też przynajmniej wystarczająco irytujący, by zmienić kierunek jego szarży ogólnie na trybuny. I tutaj, jak się to mawia, coś poszło kurewsko nie tak dla wojenstalkerów. Mutant bowiem w sposób dość prosty udowodnił, że inżynierskie zdolności budowniczych trybun na tej posranej arenie pozostawiają nieco do życzenia, a mianowicie kilkoma wprawnymi szarpnięciami rozwalił pół sektora bądź czegoś, co funkcjonalnie było odpowiednikiem sektora.

Poleciały deski, blachy, stalowe belki, europalety, krzeselka i rozwrzeszczani wojenstalkerzy. O ile elementy ogólnie pojętego wystroju nie skarżyły się na swój los, o tyle dzielni synowie armii jednak wykazali pewną inicjatywę, korzystając z faktu, że posiadają broń palną. Zaczęła się więc strzelanina, trzeba tu zaznaczyć, że – po pierwsze – mocno chaotyczna, po drugie – najwyraźniej nieszkodliwa dla pseudogiganta, dla samych żołdaków zaś raczej kłopotliwa ze względu na dużą liczbę rykoszetów.

Alisa stanowczo zachowała większą przytomność umysłu, bo podczas gdy ja stałem i oniemiały napawałem się widokiem odwracających się ról na arenie, ona zanurkowała pod oderwany kawał blachy i pociągnęła mnie za sobą. Zaraz też jakaś zbłąkana seria zaterkotała po naszej prowizorycznej osłonie, co nieco mnie otrzeźwiło. Biorąc przykład z klasyki kinematografii, zaczęliśmy się z wolna przesuwając wraz z płatem blachy w kierunku ogólnie odwrotnym do tego, z którego dobiegał największy harmider. Potknąwszy się raz lub dwa o ścierwa psów i świniaków, dotarliśmy nieco po omacku nie do końca tam, gdzie chcieliśmy – mianowicie nie do drzwi, którymi żeśmy na ten padół łez trafili, ale do bramy, którą wpuszczano mutasy. Nie było jednak za wiele czasu na rozważanie tej smutnej pomyłki, bo serie z karabinków grzechotały wokoło niczym grad. Odrzuciliśmy niezbyt już przydatną osłonę i pomknęliśmy w głąb korytarza, który okazał się istną menażerią. W klatkach po obu jego stronach miały się mutanty wszelkiej maści. Część naturalnie podminowana, część wściekła do granic. Zgromadzenie tego wszetecznego zwierzyńca musiało sporo potrwać, wymagało także niezłych zasobów i zaplecza. Nie czas był jednak na zachwyty nad rozmachem skurwysynów.

Oto bowiem pseudogigant uznał w końcu przewagę radzieckiej myśli technicznej w postaci różnych modeli karabinka AK i rzucił się z powrotem ze zdruzgotanej doszczętnie areny w gardziel korytarza, który niewiele wcześniej obraliśmy z Alisą za naszą drogę ucieczki. Zachwyty również wydawały się potworowi obce, raczej bliżej mu było do wściekłości. Miał pewnie jakieś zadawnione animozje z przynajmniej częścią eksponatów potwornego zoo, gdyż biegnąc, szarpnął raz i drugi te czy inne kraty, część z nich zaś poddała się brutalnej sile i puściła, uwalniając mieszkańców klatek.

Znacie takie słowo „pandemonium”? Jeśli tak, to z grubsza możecie sobie wyobrazić, co się wyrabiało w tej dziwnej podziemnej bazie wojenstalkerów. Skłamałbym, gdybym powiedział, że mam jakieś bardzo wyraziste wspomnienia. Przemierzaliśmy we dwójkę, zdawałoby się, kilometry korytarzy, wdarliśmy się do licznych pomieszczeń, wdając się w potyczki początkowo ze sparaliżowanymi strachem wojenstalkerami, potem z coraz większą hordą mutantów. Lufy

zdobycznych karabinków rozgrzały się, grożąc odmówieniem posłuszeństwa, gdyśmy wreszcie wpadli do czegoś, co musiało być gabinetem.

Alisa jednym strzałem zdjęła wojskowego siedzącego za biurkiem i krzyczącego coś do telefonu. Była gotowa wybiec drzwiami znajdującymi się na drugim końcu pomieszczenia, kiedy mój wzrok padł na stalową szafę, obok której upadł trup z generalskimi gwiazdkami na pagonach.

– Poczekaj, dziewczynko z przyszłości – mruknąłem i podszedłem do szafy.

– Nie ma czasu – odburknęła i przystanęła, wyglądając za drzwi.

Ja tymczasem kilkoma uderzeniami kolby karabinka rozwalilem tandetny radziecki zamek w szafie i gdy ta z głośnym skrzypnięciem się otworzyła, moim oczom ukazało się ustrojstwo, którego dostarczenie zamówił u mnie Iwan Iwanowicz. Musiałem mieć naprawdę dziki wzrok i miotać się w sposób zaiste wzbudzający współczucie, kiedy poszukiwałem jakiegokolwiek plecaka, torby lub innego ustrojstwa, które pozwoliłoby mi unieść ze sobą zawartość stalowej szafy, bo spojrzenie Alisy wyrażało w stopniu dużo wyższym współczucie niż dezaprobatę. Na szczęście nie skończyło się na wyrażeniu współczucia i dziewczyna cisnęła mi z rozmachem porządny wojskowy plecak. Niewiele myśląc, zgarnąłem do niego całą zawartość jednej z półek i ponaglany coraz bardziej wymyślnymi przekleństwami mojej towarzyszk, spróbowałem dogonić ją na znajdującym się za drugimi drzwiami korytarzu.

Muszę szczerze przyznać, że nie było to zadanie należące do najłatwiejszych. Po pierwsze, dziewczyna była młodsza i zdecydowanie sprawniejsza ode mnie. Nie zrozumcie mnie źle, nie należę do kanapowych gawędziarzy. Gdybym nie potrafił szybko biegać, wysoko skakać i nie miał sokolego wzroku, to już dawno nie chodziłbym po Zonie. Ona jednak była jakąś cholerną lekkoatletką, która zachowywała się, jakby właśnie biła rekord w biegu na tysiąc metrów. Nawet gdy z bocznego korytarza wyleciał na pełnej rakietnicy snork, nie zwolniła, poderwała tylko karabin, precyzyjną krótką serią zdjęła mutasa i nie gubiąc kroku, pognęła dalej. Nie mając innego wyjścia, próbowałem ją dogonić. Nawet bez tej zachęty w postaci przypadkowej nowej towarzyszk prawdopodobnie postąpiłbym podobnie, bo pozostawanie w wojskowej bazie, w której roiło się od potworów, nie należało do moich ulubionych zabaw mniej więcej od połowy lat dziewięćdziesiątych, kiedy to namiętnie grywałem w pewną popularną pierwszoosobową strzelankę od id Software.

Zwłaszcza gdy okazało się, że fala mutantów pędzi tuż za naszymi plecami, bo najwyraźniej goni ich pseudogigant, który jakimś cudem

przetrwał starcie w Koloseum.

Nie będę się wdawać w dalsze dywagacje, dość powiedzieć, że udało nam się rzeczonym korytarzem oddalić z miejsca, w którym doświadczyliśmy wszystkich tych niepospolitych przykrości. Nie obyło się oczywiście bez dalszych przeszkód, gdyż wrota, które najwyraźniej prowadziły na powierzchnię, były zamknięte. Na szczęście któryś z tych debili z armii – bo nie sposób nazwać inaczej ludzi realizujących projekt podobnego kalibru jak ten, który właśnie mieliśmy zamiar opuścić – zostawił otwarte drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, a to okazało się studnią wyposażoną w drabinkę kłamrową. Studnią bliźniaczo podobną do tej, która stała się katalizatorem mojej okropnej przygody.

Chwaliłem sobie wtedy ze wszech miar własną głupotę, głupi bowiem ma zawsze szczęście, quod erat demonstrandum. Gdy wyszliśmy na powierzchnię, okazało się, że odbyło się to przez dokładnie ten sam całkiem niespecyficzny obiekt, z grubsza mogący być kibelem na zapleczu remizy, który nie tak dawno temu miałem okazję widzieć na zdjęciach u Iwana Iwanowicza. Tak mi się przynajmniej zdaje, ale też nie przyglądałem się jakoś szczególnie, tylko pobiegliśmy przed siebie w kierunku zachodzącego słońca. Biegliśmy tak, aż słońce zaszło, i dopiero wtedy zatrzymaliśmy się w ruinach jakichś zabudowań.

Ja po kilkukilometrowym biegu gotów byłem odpocząć, siadając gdzie popadnie, ale Alisa chwyciła mnie pod ramię i zaciągnęła na piętro na wpuł spalonego domu. Było to o tyle kłopotliwe, że jedyną drogę na górę stanowił jakimś cudem ocalały piorunochron. Wdrapując się po nim, omal nie skręciłem karku, kiedy nagle w oddali coś potężnie huknęło i na chwilę na ciemniejącym szybko niebie wykwitła łuna wybuchu. Towarzyszyły jej dalekie, nieco stłumione porykiwania, poszczekiwania, pochrząkiwania. Co znamienne, nie wtórowały jej ani krzyki, ani wystrzały. Żadne z nas nie żałowało tych istot. Przez jakiś czas obserwowaliśmy zjawisko z zainteresowaniem, potem jednak emocje i zmęczenie wzięły górę i zasnęliśmy pod resztkami krytego strzechą dachu.

Ranek powitał nas chłodem, mgłą i ogólnym uczuciem przygnębienia, które nie jest w Zonie niczym niecodziennym. Nieco zmarznięci i głodni zsunęliśmy się z piętra na ziemię i ruszyliśmy w stronę pobliskiego obozu. Zdołaliśmy ująć może ze trzy wiorsty, kiedyśmy trafili na miejsce, gdzie nie tak dawno temu rozstałem się z Bożokorowem. I wierzcie lub nie, ale rzeczony Jonasz siedział przy świeżo rozpalonym ognisku i zażerał się wojskową konserwą.

– O, dobrze, że ja cię znowu widzę – zachrypiał na mój widok dziadyga. – Ja się cieszę ciebie widzieć w dobrym zdrowiu, chłopaku. Dobrze jest, że się tobie nic nie stało. Ja ci na śmierć zapomniał powiedzieć, że tutaj wojenstalkerów coś ostatnio pełno i żebyś ty lepiej

uważał.

Chciałem coś powiedzieć, ale Alisa przysiadła się do ognia i bez skrępowania wyłudziła od starego konserwę. Zanim się obejrzałem, wykończyła ją całkiem sama, więc dla mnie z zapasów pechowca został tylko czarny konserwowy chleb. Zjadłem chleb bez słowa, bo co można powiedzieć mądrego, kiedy właśnie cudem nie stałeś się atrakcją idiotycznych igrzysk. Potem razem ruszyliśmy w stronę Kordonu, lecz przed wieczorem Alisa odbiła na Dziciatki i nigdy więcej jej nie zobaczyłem, czego jednak do pewnego stopnia żałuję. Bożokorow, coś mamrocząc, zmienił plany i ruszył na Prypec, i świadkiem mi gospodarze, że jego nie mam ochoty więcej na oczy oglądać.

Przezołgałem się przez Kordon, dotarłem do Iwana Iwanowicza i oczywiście ta swołocz powiedziała, że to, co ciągnąłem za sobą w wojskowym plecaku, to wcale nie to, co u mnie zamówił. Kupił, rzecz jasna, ten szrot, ale za jakieś marne grosze.

Więc może postawiłby któryś setkę bimbru, co? W końcu fajna opowieść, no nie?

*Konstancin-Jeziorna–Warszawa,  
maj–lipiec 2019*



EUGENIUSZ  
DEBSKI



## IGRZYSKA HANBY



**D**ynamicznie ciśnięta pałka z dużą mocą, ale bardziej z rozważą i przymiarką wykonała w powietrzu kilka obrotów i bezgłośnie, nie musnąwszy nawet ścianek krótkiej rury, przemknęła przez nią. Stojący po prawej stronie unieśli prawe pięści z wyprostowanym środkowym palcem i ryknęli: „Ta!-Ki!-Chuj!”.

Gesquena udała, że nie słyszy owacji, odwróciła się do Tarlina i uniosła brew. Miała trzy bezbłędne rzuty na pięć, jeden ze stuknięciem, ale panco przeleciała na drugą stronę, i tylko jedno pudło. Tarlin uniósł prawy kącik ust niczym poirytowany wilk i darując sobie inne gesty, choćby wzruszenie ramion, chwycił swój pęk pałek i poszedł na linię rzutu. Gesquena usunęła się już wcześniej, podeszła do Barasha i pozwoliła bratu ucałować się w policzki i przycisnąć do piersi.

Uważała, że tchórzliwy brat – a o tym, że jest tchórzliwy, wiedziała od wczesnego dzieciństwa – manifestował tak często swoje uwielbienie do siostry, bo chciał, żeby wszyscy mieli świadomość, czym się skończy zaczepianie Barasha: skończy się tym, że siostra westchnie i pójdzie wyrównać rachunki za niego. Bo on nie umie i nie chce, bo on się boi, a ona umie, nie boi się i – w ramach rodzinnych układów – musi.

Ponad ramieniem brata obrzuciła wzrokiem cały podeyon; w zachodniej ćwiartce jacyś nieudacznicy niemrawo okładali się batami i korzystając z nieuwagi strażników, jęczeli i syczeli, markując ból, choć w ćwiczebnych biczach rzemienie zastąpione zostały pasmami grubej wilgotnej tkaniny. W ich kierunku już wolno podążał Yucht i wiadomo było, że kilku opierdalaczy będzie miało spuchnięte lewe ucho, Yucht bowiem to właśnie uwielbiał – plaskacze w ucho.

W ćwiartce północnej – podeyon miał kształt kwadratu przeciętego przekątnymi – dokładnie tak samo kwadratowej jak i pozostałe trzy, ćwiczone zapasy i walkę na koi-deng, dwie grube palice połączone rzemiennym warkoczem, z kulami na końcu. Na przykład trafienie w skroń odsyłało delikwenta do wesołego miasteczka bogów, czyli PainHydrionu. Zapasy zaś były dla wieśniaków, służyły tylko rozgrzewce, rozgrzewce i podniesieniu poziomu corafeliny. Ale przede wszystkim w zapasach chodziło o to, by powstawały koneksje, by rosła nienawiść poszczególnych galadorów do siebie, by kształtowały się formacje i opozycje. Chodziło też...

– I w dupę! – ryknęli zwolennicy Tarlina, gdy pierwsza pałka bezszelestnie przemknęła przez otwór.

Tarlin prychnął, chwycił drugą pałkę, przejechał po całej jej długości lewą dłonią, ścierając niepotrzebny i mogący popsuć rzut pył, a Gesquena wiedziała już, że spartaczy: zdekoncentrował się, pozwolił sobie na chwilę radości, triumfu, satysfakcji, za co musiał zapłacić. Odsunęła się od Barasha.

– Jeb-jeb-jeb! – wyskandowała grupa totumfackich Tarlina.

Gesquena rzuciła szybkie spojrzenie na swoją koterię i zmrużyła oko.

I Tarlin spartolił rzut. Pałka ustawiła się dobrze, idealnie poziomo względem gruntu, lecz o dwa palce w bok od otworu. Huknęło mocno, cała tarcza drgnęła, ale oczywiście nie runęła.

– Podobno kiedyś – zaczął cicho Barash – zwycięzca wystawiał przez otwór fiuta, a pokonany go lizał.

– Inna wersja mówi, że to pokonany wystawiał fiuta przez otwór, a zwycięzca pieścił go pałką – powiedziała Gesquena.

– Przestań! – skrzywił się chłopak. – Masz obsceniczne poczucie humoru.

– Tak, bo nie mam czego wystawić przez rurę?

Tarlin spieprzył trzeci rzut i już przegrał. Spokojnie pochylił się i podniósł pozostałe dwie pałki, włożył pod pachę i podszedł do Gesqueny. Nie wyciągnął dłoni, ale pochylił głowę w geście lekkiego poddania.

– Gratuluję – rzekł. – Masz dla mnie zadanie?

– Ta. – Gesquena jeszcze chwilę temu nie zastanawiała się nad karą dla pokonanego, choć wierzyła w swoją szczęśliwą gwiazdę. – Dwa tygodnie statusu wege – rzuciła spokojnie.

– Ochujałaś?! – Otworzył szeroko oczy, rozdęte nozdrza i otwarte usta dowodziły, że cios był celny. Barash zachichotał. Tarlin rzucił mu spojrzenie z toną jadu i dwoma kilogramami obietnicy. – Jak to sobie wyob... No nie-e-e...

– No ta-a-ak! – przedrzeźniła go. – Wszystko! Posiłki wege, buty wege: ze sztucznej skóry albo parciane, pas taki sam, żadnych rzemyków

i bransolet, co najwyżej paski juty albo pal...

– Kurwa, zabiję cię, ty dmuchawo! – warknął Tarlin. – Następnym razem...

– Ty nie dmuchałeś, więc gównu wiesz! – roześmiała się Gesquena. – A skoro mowa o następnym razie, to może pójdziemy do ćwiartki południowej? Na miecze? I tam cię wykończę, kurwipolciu!

Odwrociła się i odeszła, nie zwracając uwagi na pokonanego, który już chwycił jedną z trzymany pod pachą pałek i potrząsnął nią, jak to miał w zwyczaju, gdy przymierzał się do rzutu. Coś go jednak powstrzymało przed zadaniem ciosu w głowę Gesqueny: zaciśnięte zęby, dwa tuziny zwolenników gladiessy albo zbliżający się wolnym krokiem centyfir OyMaster. Pokancerowany niczym odzyskany po dachowaniu van gigant strażnik mierzył Tarlina spojrzeniem spod przymrużonych powiek, ale widząc, że już nie zanosí się na zdradziecki atak od tyłu, przeniósł wzrok na Gesquenę i sękatym, grubym jak dębosz ramieniem zatoczył ćwierć koła.

– Melduj się u Tori, krótkim szpurtem. Ruchy!

Z OyMasterem nie było żartów. Ani się na nich nie znał, ani nie chciał znać, ani nie lubił, ani nie zamierzał marnować czasu na rozgryzanie puent i wolt. Gesquena skinęła głową i skręciła na południe, w stronę najwyższej wieży czatowej osadzonej na admibudynku. Królestwo Tori Glade. Handia Eli, Królowa Pierdli, zmieniła swoje miano na prymitywny anagram: „gladiator” na „Tori Glade”, gdy otworzyła kolejny, czwarty przybytek resocjalizacji pod Nas Conles. Nikt nie protestował ani z powodu otwarcia nowego Penitencjariu na przedmieściach stolicy, ani tym bardziej z powodu zmiany imienia i nazwiska. Tori Glade i jej sieć prywatnych więzień załatwiała kilka problemów, z których rozrywka na poziomie może nie wysokim, ale dla Wysokich Ludzi, wcale nie była najmniej ważnym. Oczywiście, na pierwszym planie punktowało się walory penitencjarne i resocjalizacyjne: jak można defraudantów, wielożeńców czy naciągaczy i hakerów wsadzać na lata pomiędzy gwałcicieli, morderców, złodziei i pedofilów?! Niech sobie odsiedzą odpowiednio skorelowane wyroki w gronie ludzi o podobnym statusie i życiorysach. A to, że przy okazji dostarczą rozrywki ludziom o zbliżonym statusie, wśród których nie zabraknie znajomych, przyjaciół i nawet rodzin? I bardzo dobrze! Bardzo!

Gesquena domaszerowała do drzwi i zatrzymała się. Powinna się zameldować, ale nie zamierzała. Co jej mogą zrobić? Wsadzić do karceru o chlebie i wodzie? Bardzo dobrze, mała nadwaga wymaga zdecydowanych działań. Karna chłosta? Wykluczona. Trzy lata u Tori to za mało na całe spektrum kar. Za blisko stolicy. Zbyt chwiejne istnienie takiego przybytku i tak blisko...

– Nazwisko-imię-sername? – warknął metalem głos z ruporta.

– Gesquena Mora Rip Vastayars. Gie fau cztery dziewięć osiem trzy trzy pięć siedem siedem.

Szczęknięty rygle, jeszcze pół sekundy drzwi trwały w oprawie, potem sapnęły i wsunęły się w mur. W ciemnym korytarzu rozbłysło światło i otworzyły się drzwi na końcu długiego, wąskiego pomieszczenia. Gesquena westchnęła bezgłośnie i dokonując w marszu rachunku sumienia, dotarła do progu, przestąpiła go i zatrzymała się. Od szesnastu miesięcy, od chwili przekroczenia zapadni przed bramą Penitencjarium, absurd sytuacji śmieszył ją, gdy miała dobry humor, i irytował, gdy dopadało ją przygnębienie.

Irytował znacznie częściej.

A przecież z Tori Glade znały się dość dobrze. Nie przyjaźniły się i nie odwiedzały, ale spotykały się stosunkowo często, bo świat bohemy, VIP-ów i bogaczy nie był w końcu, nawet jak na stolicę kolonii, przesadnie wielki. Ciekawe, pomyślała, czy wie, że większość jej znajomych, zwłaszcza kobiet, bez odrobiny zakłopotania nazywa ją Kobietą z Dupą na Plecach? Bo pewnie sama nie wie o tym, że gdy ściśnie swoje kłocowate ciało bielizną i założy ulubioną suknię z dużym dekoltem na plecach, to robi jej się rowek między łopatkami i każdy patrzący zastanawia się, czy łączy się z przedziałkiem między pośladkami. A może wie, że ja też tak o niej mówiłam?

Nie starając się iść cicho, podeszła do progu i zastukała w ościeżnicę, choć otwarte drzwi były wyraźnym zaproszeniem do wejścia.

– Proszę, wejdz, Gesqueno!

Tori siedziała w swoim fotelu, odgradzona od petentów ogromnym biurkiem, wyposażonym w cały system zabezpieczeń: siatki pod napięciem, paralizatory, wyrzutnie strzałek z jadem ropuchy-sekutnicy i jeszcze czymś, o czym Gesquena nie wiedziała. Te sekretne środki obronne musiały sięgać zwyczajnych pocisków dum-dum albo wystrzeliwanych z zamontowanych w ścianach śrutówek węglkowych kulek.

Właścicielka, szefowa i znajoma Gesqueny nie podniosła się, nie skinęła przyjaźnie, nawet nie zmusiła warg do ułożenia się w skromny uśmiech. Nie miała powodu. Gesquena nie była jedyną jej znajomą w Penitencjarium. Tak, świat bohemy i VIP-emy był niewielki, a przestępczy – większy. Te dwa zbiory musiały się w jakiejś części pokrywać, tworząc zbiór PNB, przestępców nie byle jakich.

Gesquena przestąpiła próg.

– Osadzona Gesquena Mora Rip Vastayars. Gie fau cztery dziewięć osiem trzy trzy pięć siedem siedem.

– Usiądź. – I po dwóch sekundach pauzy: – Proszę.

Gesquena usiadła.

– Zostałaś skazana na trzy lata w Penitencjariu, Gesqueno.

– Tak, pani dyrektor.

Jeśli Gesquena liczyła na odrobinę luzu, uśmiech i „daj spokój, Gesqueno, nie jesteśmy na apelu!”, to się przeliczyła. Tori nie zamierzała w żaden sposób okazywać specjalnych względów osadzonej znajomej, z którą wypily pół beczki szampana i zjadły paręnaście tuzinów ostryg koralowych przekaszanych serowymi węgorzami. Kobieta z Dupą na Plecach miała wreszcie okazję do rewanzu za szeptu do jej pleców. Jej dupy na plecach.

Właścicielka Penitencjariu pochyliła się nad biurkiem, położyła ręce na blacie. Kąt ułożony z wyprostowanych dłoni stykających się palcami wycelowany był w Gesquenę.

– Wiesz pewnie, że wczoraj minęła połowa twojej odsiadki...

To nie było pytanie, więc Gesquena, w duchu urażona traktowaniem jej jak pospolitej osadzonej, milczała.

– Nabywasz w związku z tym kilku nowych praw. Z których chyba najważniejszym jest widzenie z rodziną. I właśnie...

– Wiem o tym, pani dyrektor.

Nie wiem tylko, czy rodzina wie.

Tori pozwoliła sobie na przymknięcie na chwilę powiek. Na wystarczająco długo, by osadzona otrzymała sygnał: dyrektor jest nie-za-do-wo-lo-na!

– Ale nie wiesz, że twój pater już czeka na ciebie w świetlicy. Masz szczęście, bo dziś nie ma innych odwiedzających, więc będziecie sami. Regulamin znasz, najważniejszy jego punkt brzmi: „Złamanie któregokolwiek z punktów Regulaminu skutkuje odebraniem prawa do widzeń na połowę pozostałego do odsiedzenia wyroku”.

– Wiem, pani dyrektor. Dziękuję, pani dyrektor. Jestem wdzięczna i...

– Gesquena zaczerpnęła głęboko powietrza. – Proszę nie zrozumieć mnie źle, ale chcę już dziś zaprosić panią na wielką pasitę przy butelce chantoro rocznik pięćdziesiąt dwa...

Wstała i wyprostowała się.

– Dziękuję. Na pewno skorzystam z zaproszenia, osadzona. Będę tylko musiała... – Tori uśmiechnęła się samymi ustami, oczy pozostały nieruchome i groźne jak u żmii – pilnować się, by z nawyku nie wtrącać co rusz „osadzona”.

– Mnie to nie przeszkadza, pani dyrektor. Ja wiem, że jestem niewinna, i udowodnię to po odsiedzeniu wyroku. Zwracanie się do mnie „osadzona” będzie wyśmianym przypomnieniem i motywacją, żebym przypadkiem nie zapomniała, co obiecałam sobie zrobić: wykrzyć prawdziwego sprawcę i doprowadzić go do pani przybytku. Bo do pierdła, jak obie wiemy, nie będzie się kwalifikował. – Wyprężyła pierś i wyskandowała: – Osadzona Gesquena Mora Rip Vastayars gie fau

cztery dziewięć osiem trzy trzy pięć siedem siedem prosi o pozwolenie na opuszczenie biura i udanie się do świetlicy celem realizacji widze...

– Wypierdalać, osadzona!

Osadzona uśmiechnęła się, wykonawszy zwrot. Wcześniej nie ryzykowała, ale wiedziała, że każdemu człowiekowi poruszają się uszy, gdy rozciąga usta w uśmiechu. A jej to nawet poruszają się wyjątkowo, brat zawsze się z tego śmiał... Idąc do drzwi, nie wytrzymała i sięgnęła ręką za plecy, chwyciła tkaninę między łopatkami i ścisnęła ją palcem wskazującym i kciukiem. Jeśli nie wie, co to znaczy, to niech pomyśli. Niech zapyta. Zerknie przez ramię do lustra.

H-ha!

Zadowolona z siebie przemierzyła korytarz, wyszła na podeyon i skierowała się do innych drzwi w admibudynku. Połowa ogromnego placu skryła się już w cieniu, który spłodziły pospołu wysoki mur i zachodzące słońce. Gdy znalazła się o kilka kroków od drzwi, zgrzytnęła zasuwa i w progu stanął Rod, mało jej znany strażnik. Ustawiła się przepisowo i czwarty raz w ciągu dziesięciu minut wyrecytowała dane, które nie tyle miały ją identyfikować, ile przypominać jej samej, że nie jest na planie filmowym ani w ComicLandzie. Strażnik skinął głową, gdy padło drugie „siedem”, i usunął się z przejścia.

No tak... Tak jak myślała.

Pater.

Kto inny by się odważył... Nie, kogo innego oddelegowałyby rodzina, żeby odwiedził czarną owcę, zbłąkaną owieczkę, durne beczydło?

Dlaczego owca? Osioł to tylko głupek, a owca to i kretyńka, i występna, i ograniczona. Żre tę pieprzoną trawę i żre. To jak ma być mądra? Przy tym zajęciu? A z drugiej strony – jak ma zbłądzić, skoro trzyma się kupy, jakby wytarzała się w klejącej trawie i przyłgnęła do całego stada, i dla...

– Gessie?!!

Przyspieszyła, żeby zrobić paterowi przyjemność. Tylko dlatego. Widzenie z paterem? Tu? Pod nadzorem tuzina kamer?

A on podbiegł w jej stronę tym swoim kretyńskim krokiem: obie ręce bełtały się tylko odrobinę i niezgodnie z ruchem nóg; objął ją, przycisnął, nawet usiłował unieść nieco nad podłogę.

– Gessie-e-e... – zaśpiewał lub załkał. – Córecz...

– Pater, tu jestem wojowniczką. – Odsunęła się i zrobiła to, czego oczekiwał: przyjrzała mu się z aprobatą z odległości wyciągniętych ramion. – Nie psuj mi reputacji. – I nie krusz mojego bojowego ducha! – Dobrze wyglądasz, pater.

– Ty też, có... Gesqueno!

– No, wiadomka! Przecież mnie tu nie głodzą. Zwłaszcza że gdybym

potrzebowała, to odebrałabym, co chcę, od kogo chcę. Jestem gwiazdą!

– Wiem, Gessie. Wiemy... Przecież śledzimy wyniki turniejów! Wiemy doskona...

– Pater, proszę cię. – Chwyciła go za lewy łokieć i poprowadziła do najbliższego stolika. – Na pewno zdajesz sobie sprawę, że pobyt tutaj to nie wczasy w ToyLandzie. Muszę tu wytrzymać jeszcze półtora roku. Przy dobrych wynikach trzy kwartały. A dobre wyniki... – Niemal siłą usadowiła patera na metalowym siedzisku wtopionym w beton podłogi, po czym sama usiadła; siedzisko strzeliło, bo blacha była wygięta do góry. – ...są możliwe przy naprawdę wyjątkowej koncentracji. Dlatego nie mogę roztkliwiać się myślami o zapłakanych siostrach, o cierpiącej mamie i, wybacz, o twoim stresie. Na razie muszę wytrwać tu rok albo krócej, potem wyjdę i się wypłaczę, a jeszcze później zabiorę się za czyszczenie swojego biogramu.

Pater patrzył na nią z... cholera! Z uwielbieniem! Jego córeczka, niezniszczalna Gesquena, nie do pobicia również tu, w środowisku, w którym przeciętniaki giną, wędzną, wieszają się albo podcinają sobie gardła. Ale nie ona, o nie! Ona wyjdzie i im pokaże!

– Pater, wybacz, ale twoja wizyta mnie osłabia. Więcej nie przychodź, niech nikt nie przychodzi, wytrzymajmy ten pierdolony rok... Przede mną turniej, Igrzyska! Dla mnie Igrzyska Hańby, ale kogo to obchodzi?

Wystarczy mi, że muszę się opiekować Barashem. Przez niego narażam się większej liczbie ludzi, niż tego potrzebuję, ryzykuję więcej i częściej, i gównie z tego mam, tylko dziurę w swojej zbroi, w swojej opoce, w murach swojej cytadeli. Sama nie wiedziała, dlaczego ciągnęła, choć nie miało to najmniejszego sensu:

– Przecież wiemy, i ty, i ja, i wielu, wielu innych, że korporacja ma w dupie długość odbywanej kary czy sensowność wyroku, prawda? Korpo chodzi tylko o to, żeby osadzeni pracowali za darmo, bo to robią we wszystkich peniterach! A do tego wsadza się tu tych, którzy mogą zabawić tłuszcę. Żeby mogła przyjść, nazrec się gigrowego lomiotu i napić brechy, pogapić się na odrywających sobie uszy gladiatorów. Świństwo i draństwo.

– Dobrze, córuś, dobrze. – Rozejrzał się nerwowo. – Nie pytam, jak ci tu, bo na pewno nie jestem w stanie tego ocenić i zrozumieć, ale może jest coś, co moglibyśmy zrobić? Nie mam na myśli paczki z konfitowanymi ozorami czy pieczoną sparżą, ale może...

Zastanawiała się. Chwilę. Jeszcze trochę. Pater chyba nawet nie wysłuchał jej perory, a na pewno nie wniknął w jej sens.

– Wiesz co? – powiedziała drętwo, tylko po to, żeby przegonić ciszę. – Właściwie tak. Możesz zaangażować jakiegoś zręcznego śledzia, żeby póki tu siedzę, pogmerał trochę w mojej sprawie. Tylko nie tego, który jakoby już gmerał i wygmerał tylko to, co pomogło jebanemu sądowi.

Pater niemal bez zmrużenia oka przełknął bluzg. Pokiwał radośnie głową.

– Poszukam i zainspiruję, obiecuję.

– Dobrze. Dziękuję, pater.

Teraz należy mu podziękować. Jest taki czuły na punkcie swoich pomysłów, swoich idei, ich realizacji... Wystarczyło, że z Barashem nie ucieszyliśmy się jak należy z wyjazdu do Miasta na Dnie Camalory, żeby nie odzywał się do nas kilka tygodni...

– Jak się czuje mamomo? I jak twoja książka?

Tak, nie zapomnieć o kilku pytaniach świadczących o zainteresowaniu rodziną, bo w końcu ona interesuje się mną. Pater tutaj to oznaka zainteresowania!

– Posuwa się powoli – powiedział cicho ojciec. Książka czy mamomo, durniu!? Bąknął skromnie, fałszywie, oczywiście zatem, że odpowiada na ważniejsze pytanie, o książkę. – Lina ma się dobrze.

No dobra, to już wszystko załatwiliśmy. Wykorzystałam permit na widzenie, umówiłam śledzia, zapytałam o mammo i o książkę. Można się zegnać.

Podniosła się lekko, wygięte blaszane siedzisko uwolnione od ciężaru strzeliło znowu. Pater drgnął. Gesquena omal się nie roześmiała, ale to by się paterowi nie spodobało. Bardzo. Pater wyciągnął rękę, chyba chciał dotknąć jej dłoni, lecz za późno, Gesquena już się podniosła, jej dłonie ześliznęły się z blatu stołu. Pater siedział nadal.

– Gessie... mam pytanie. Zależy mi na pozytywnej odpowiedzi...

Ba! Jak zawsze.

– Chciałbym... chcę opisać twoją historię. – Podniósł nagle głowę i popatrzył w oczy córce. – Prawdziwie, bez kręactwa...

Dostrzegła w jego oczach determinację. I nadzieję. Wiarę w to, że się w końcu uda, że przebije się do dziesiątki... no dobra – dwudziestki moderowych autorów, tych kreujących rzeczywistość, prowadzących ludzkie stado, odpowiedzialnych za psychę, mental, moralność. Tak tego pragnął, biedak, i tak mu odmawiano, odpychano od muru, za którym spacerowało grono Sterników, kurwa ich mać!

Uśmiechnęła się na tyle sztucznie, by zrozumiał, że to głupi i nienośny pomysł. I pomyślała, że niech sobie pisze. Przez rok nie uda mu się niczego sensownego spłodzić, a za rok albo mniej ona już będzie aktywna, po prostu skasuje mu pierdolony plik w pierdolonej chmurze i pierdolone zęby, jeśli będzie się upierał. I od razu zrozumiała, że nie zdąży, że pater już zaczął, już dużo spłodził, że za rok opowieść o córce marnotrawnej będzie w sprzedaży. No chyba że nie znajdzie wydawcy, ale nie, zawsze jakiegoś znajdował, peryferyjnego, nieliczącego się, upadającego albo debiutującego, ale znajdował.

No i co teraz? – pomyślała. Zabić skurwysyna, który na córce chce się



przedrzeć do Dexateonu Mędrców? Co mi to da? Ktoś inny podejmie temat, jeszcze bardziej ekscytujący: „Zabiła patera w Penitencjarium!”.

– No to pisz – usłyszała swój głos. – Ale jeśli detektyw coś odkryje... Nie, cokolwiek odkryje, zostaw to mnie, dobrze? Nie możemy dawać moim wrogom czasu na przygotowanie okopów. Najwyżej napiszesz drugą książkę, potem, kiedy już wszystko wyjaśnię. Okej?

– Oczywiście, córeczko! Tak zrobimy.

– No to dobrze.

Teraz podniósł się pater. Jego siedzisko też zareagowało wystrzałem. Gesquena zrozumiała, że tak zostały zaprojektowane: strażnicy od razu wiedzieli, kto wstaje, kto chce wyjść, uderzyć, przytulić... Chytry, darmowy, głośny strażnik dupy.

Objęli się, pokleпали rytualnie po łopatkach.

Pater odsunął się, ale w przeciwieństwie do córki nie puścił jej ramion.

– Jutro drugi z serii Master, prawda?

Uśmiechnęła się tak, że tylko idiota nie zrozumiałby, że to nie jest uśmiech.

Pater nie zrozumiał.

– Zdobyłem dwa miejsca – poinformował ją z dumą i lekko potrząsnął za ramiona. – Kogo mam wziąć ze sobą?

– Oddaj sąsiadom! – wypaliła. A potem uświadomiła sobie, że i tak nie wypatrzy ich twarzy w ćwierćmilionowym tłumie. – Po co macie się denerwować? Ja wygram!

– No coś ty?! – obruszył się. – Siedemdziesiąty trzeci rząd, praktycznie wszystko widać, bez videoplatform!

Gównu tam zobaczysz. Co najwyżej pikacze karetki, jeśli wjedzie na płytę. Ale co mnie to?

Za murami świetlicy rozległ się modulowany gong. Komp przypominał o treningu; za chwilę, jeśli nie pojawi się na wybiegu, zaczną się naliczać minuspoiny. Nie mogła sobie na to pozwolić.

– Pater, muszę pędzić. Tu rytm życia jest starannie inwigilowany i precyzyjnie sterowany. Ukarzą mnie za spóźnienie na trening. To by była pierwsza kara, a ja tego nie chcę. – Szturchnęła patera pięścią w pierś, wysunęła się z jego objęć i pognęła do drzwi. Już się koncentrowała, już wzbierała aktywnością; jeśli pater nawet coś powiedział, to już go nie usłyszała.

W ring wbiegła równo z długim piskiem emitowanym przez timer na przedramieniu. Udało się!

Chwyciła pierwszą lepszą włócznię i ruszyła przed siebie, wybierając przeciwnika i rozglądając się za takim, co szukał jej.

Bliźniacy Stewo i Daness? Dobra, wyszkoleni i niezłośliwi. Chcą dociągnąć do końca penitarki z jak najmniejszą liczbą guzów i blizn,

dlatego przykładają się do treningów i starają się nie narobić sobie wrogów.

Sparowała udawane uderzenie w kolano i sama zamarkowała dźgnięcie w żołądek Danessa. Stewo zachichotał i ruszył w obejście.

Ot, jeszcze jeden dzień, czterysta ósmy, kończący rok w pierdyńcu. Jeszcze trzysta takich i będzie miała falę w dupie: przejdzie z kategorii VIC-ów do VIP-ów. Szczyby i ryje odpękała, VIC-ów się nie boi. A VIP-ów wolałaby nie... Zamiast VIP-ów wolałaby być na wolności i szukać tego...

Zacisnęła pięści i widząc, że Danessowi spelza uśmiech z ust, gdy dostrzeża jej złość, uderzyła prawą pięścią z góry w lewą i od razu lewą w prawą.

– Założyliście pieluchy pod suspensy? – Zrobiła groźną minę i wyskandowała to przez zaciśnięte zęby, tu nauczyła się tak mówić. – Biorę się za was, a nie chciałabym, żeby ktoś widział, jak się poszczaliście.

– Niech cię fałda nie boli! – zapewnił ją Stewo z boku. Nie wychodził z jej pola widzenia, to nie byłoby geites. Ale doskoczyć i dziabnąć – tak!

Gesquena rzuciła się w bok, wykonując salto i utrzymując Danessa na dystans dzięki wysuniętej w jego stronę włóczni.



Przejście dwóch pierwszych stopni drabinki nie sprawiło Gesquenie większych problemów, mimo że musiała cały czas kontrolować „wyczyny” brata: widząc na przykład, że po pojedynku z nią na Barasha ruszy niezły pantonista Gmuyir, tak obiała mu ramiona, że niemal nie był w stanie unieść drąga i Barash jakoś tam go wypunktował, zainkasował potrojony ze względu na rangę dranów wynik i zadowolony z siebie dał się pobić głupiemu wieśniakowi Ragozie. Gesquena przestała zajmować się bratem, który polazł do lazaretu z całkiem, całkiem szczęśliwą miną.

Miała półtorej godziny relaksu, wróciła do flatu, zanurzyła się na krótko we wrzątku, wyskoczyła i ustawiła w walcu, z którego trysnęły lodowate strugi. No i masaż. Ludzkie dłonie byłyby lepsze, lecz Gesquena nie miała ochoty na czcze pogaduszki, a nawet na ludzkie milczenie. Maszyna popiskiwała, syczała, czasem któryś z wałków zgrzytnął czy szczęknął, ale to wojownicze nie przeszkadzało. Jeszcze rok temu uprawiała dwa sporty walki amatorsko, dla zablokowania otłuszczenia organizmu, o co w korpo, z niekończącymi się lunchami, brunchami, dinnerami, supportami, aportami, briefingami, dwudniówkami i czterodóbkami, było bardzo łatwo. Mało kto na jej korpoziomie był tak wysportowany i miał taką kondycję. Wydawało się

wtedy, że to fajne, gdy ogłaszano biegi ku czci albo ku pamięci. Brała w nich udział, deptała podia i tyle.

I nagle okazało się, że jej gibkość, wyćwiczone mięśnie i zwyczajne nawyki treningowe pozwoliły jej stać się gwiazdą Penitencjarium i dość gładko prowadziły do skrócenia odsiadki.

O niczym tak nie marzyła jak o tym, by wyjść na wolność i poszukać tej szajki, która wyssała z konta korpo osiemnaście milionów, uprowadziła je w internetowy gąszcz, a potem podrzuciła na jej konto sześćset tysięcy, z których posiadania nie mogła się wytłumaczyć, a tym bardziej z pokrywających się dat kradzieży i przelewu.

Uświadomiła sobie, że nie poddaje się masażowi, tylko leży spięta, produkując kwas mlekowy i zgagę. Rozluźniła się, ale kilka minut poszło się wyszczać, jak mawiał Barash.

– Początek trzeciej, ostatniej tury za dziesięć minut. Wylosowano rodzaj broni: sześć!

Sześć? Czyli gołe piąchy?!

No, to akurat najgorsze, co mogli dla niej wylosować. Wylosować? Co to za losowanie, skoro wszyscy wiedzą, że jest pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Tak, zwinna, szybka, gibka, ruchliwa, aktywna. Ale jednak jej cios to nie cios Niedźwiedzia czy Baryły Kalidaby.

Poderwała się z maty i wykonała sześciominutową rozgrzewkę-rozciągawkę.

W tym czasie padło pięć imion. Baryła, wiadomo, Brontozar – też. Pozostali to precle!...

Z kim wejść w komitywę? Na początku, rzecz jasna, nikt nie będzie stawał sam, trzy pary też są mało prawdopodobne. Najpewniej dwaj giganci staną naprzeciwko siebie, do nich doszłusują pozostali. Niewielkie szanse, że będzie czterech na dwóch, para za szybko zostanie starta, a jeden z wielkoludów zbytnio się nie zmęczy i będzie potem najgroźniejszy. Wygodniej, dla tych normalnych przynajmniej, podzielić się na trójki, wypuścić na siebie Bromasa Brontozara i Baryłę Kalidabę...

A gdyby Kalidaba i Brontozar się sprzymierzyli? No, to by było widowiskowe, ale – nie. Za bardzo się nie lubią...

Wyszła z masażerni i pokazawszy czytnikowi siatkówkę oka, weszła w ostatni wolny korytarz. Po minucie ryknęły fanfary i otworzyły się bramki na arenę.

Jak byki na szlachtunek. Tyle że matadorów nie ma... I tych... pikinierów?

Zatrzymała się na sekundę, ale drzwi bezlitośnie trzepnęły ją w plecy i wypchnęły na arenę.

Pół miliona ludzi ryczało, wrzeszczało, rupory dawały czadu, orkiestra nie zostawała w tyle.

Szybko rzuciła spojrzenie w lewo i prawo. Brontozar już zmierzał

w jej kierunku, miał przy boku Samitsa i Vulgę. Czyli ona z Baryłą, to dobrze, i z Majmasem. Cóż, też nie najgorzej. Majmas był chytry i zajadły, lepiej mieć go w drużynie niż za przeciwnika.

– Masz pomysł na tego chujasa Brontozaurusa? – mruknął Baryła, klaszcząc w dłonie. Wielkie jak łopaty graby wzbudzały fale powietrza, które zmuszały Gesquenę do mrugania. – Tak wprost to za dużo roboty...

– Niech Majmas odwróci jego uwagę, a ja go kopnę w dupsko. Wtedy będziesz...

– Głupi pomysł – powiedział Baryła, uśmiechając się szeroko. Miał zęby wielkie jak paznokcie kciuków Gesqueny. – Dwa lata temu jeden cwaniak wykonał ten numer, a on ryknął tylko i tak ścisnął pośladki, że złamał biedakowi trzy kości śródstopia.

– No to nie zostaje nam nic innego, jak...

Brontozar przyspieszył, a potem przyspieszył jeszcze bardziej. Gnał już jak samojezdny kafar, umyślnie tupiąc tak, by słyszały go trybuny. Samits i Vulga wyprzedzali go o dwa kroki. Samits nagle przebiegł przed swoim liderem i rzucił się na Majmasa. Logiczne było, że Brontozar zetrze się z Baryłą, ale Gesquena nagle wymyśliła coś innego. Wyskoczyła do przodu i ominąwszy Vulgę, rzuciła się na giganta. Oczywiście dwa kroki przed zwarem zwinęła się w kulę i przeleciała obok szarżującego wielkoluda, a gdy ten zdziwiony zaczął hamować, rozciągnęła się na klepisku i z całej siły grzmotnęła go piętą w mięsień łydki. Odczuł to. Poderwał nogę i zaczął się odwracać. Gesquena miała nadzieję, że Baryła właściwie wykorzysta pół sekundy zawahania giganta.

Wykorzystał. Podbił prawą rękę i huknął Brontozara z całej siły w serce. Gesquena wiedziała, że ten cios bywa bardzo skuteczny, a dobrze i z odpowiednią siłą wykonany paraliżuje ofiarę.

Brontozara nie sparaliżowało, zbyt gruba warstwa mięśni i żeber chroniła jego serce, ale Baryła włożył w ten cios dużo siły, bardzo dużo, to musiało poskutkować. Brontozar znieruchomiał, charknął, uderzył lewą dłonią, niemrawo, ale chodziło przede wszystkim o zyskanie na czasie i odzyskanie pełnej kontroli nad ciałem. Jego przeciwnik też to wiedział, dlatego zasypał go lawiną uderzeń i kopniaków, pozornie niekruszących obrony rywala, lecz na pewno wybijających z tej cytadeli pojedyncze cegiełki.

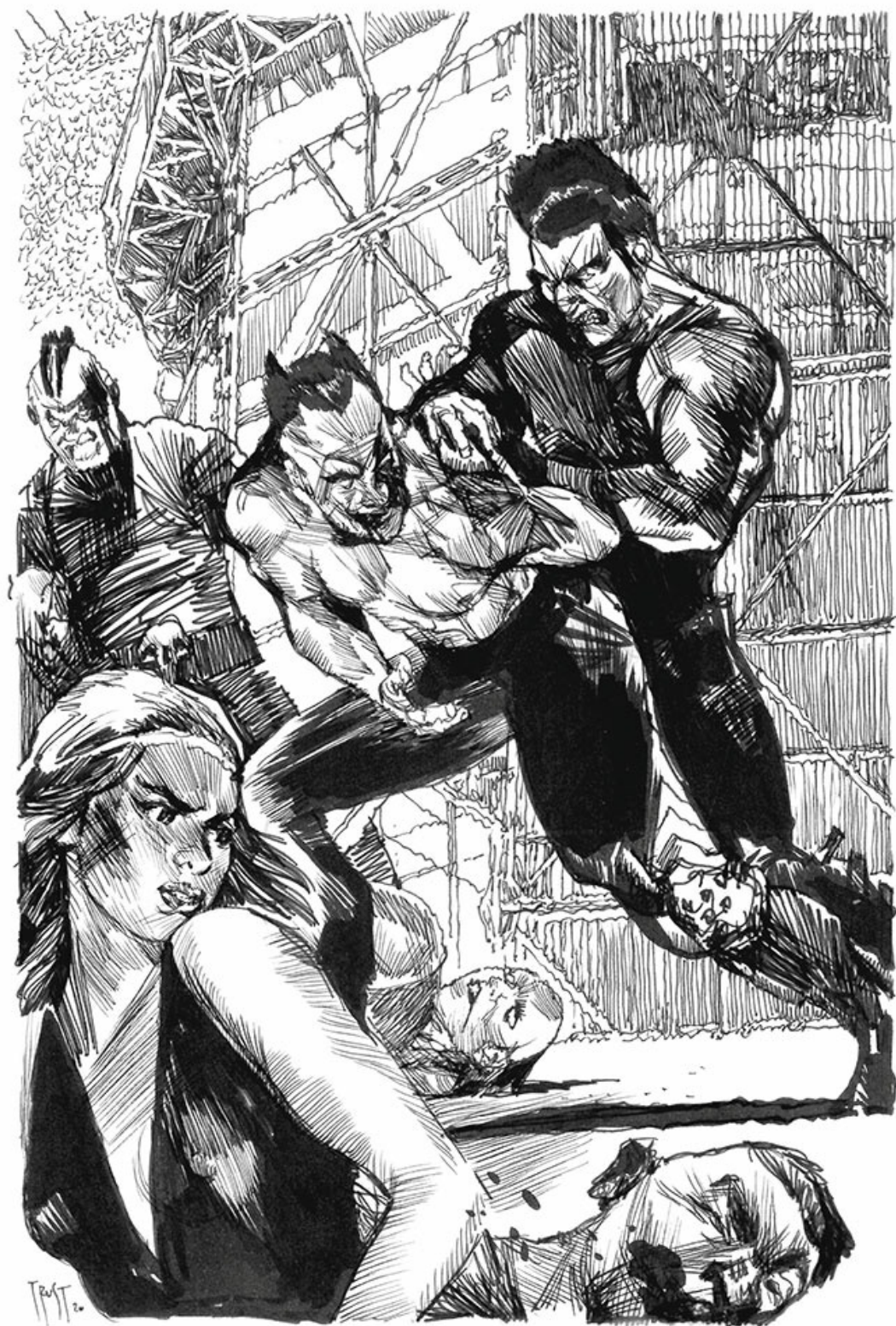
Przeгляд sytuacji olbrzymów zajął Gesquenie ćwierć sekundy, potem kątem oka zobaczyła nadlatującą pięść, przykucnęła i okręciła się na czubku lewej nogi, prawą od razu prostując i uderzając w kolana Vulgi, który podskoczył i uniknął niemiłego zbiecia. Skoczyli na siebie z dużą ochotą, zawziętością, apetytem. Gesquena – chcąc pomóc Baryle, Vulga – bo nie lubił kobiet, zwłaszcza takich, które mogły mu poprzestawiać kości i przemieścić zęby. Baryła był w jakimś tam sensie kumplem

Gesqueny. Poza tym, pomyślała, gdyby co, to Baryłę może pobiję, Brontozara nie. Nawet gdyby się położył i pozwolił sobie obrobić wszystkie kości, mięśnie i ścięgna, to skończyłoby się tak, że upadłabym i zemdląca ze zmęczenia, a on wstałby i odlał się na moją twarz.

W jej pojedynku z Vulgą nie było nic ekscytującego. Na pewno spojrzenia widowni skupione były na walce gigantów. Prawdopodobnie nawet pater patrzył, jak okładają się pięściami, jak grzmocą kolanami i łokciami ludzie o wzroście dwa metry piętnaście, może dwa dwadzieścia i o wadze sto pięćdziesiąt, sto siedemdziesiąt kilo. Sam Baryła pewnie skutecznie zasłaniał Majmasa, niemal w ciągłym wyskoku, usiłującego jednym celnym kopniakiem wyeliminować Samitsa. I – o dziwo – udało mu się to: kolejny wyskok okazał się zmyłką, Samits skontrował kopniakiem, odsłonił krocze, pożałował tego... I już leżał, niemal dotykając czołem swoich kolan.

Trzeba było zadziałać energiczniej. Vulga był wyszkolony nieźle i tylko nieźle. Seria w głowę nie dotarła do celu, ale dwa ciosy w żebra połamały kilka z nich. Vulga musiał odskoczyć, lecz nie przewidział blokady nogi. Kiedy upadał na plecy, dopadła go Gesquena i zdążyła wpakować dwa szybkie w nos i podbródek. Vulga na pewno nie czuł, jak uderza tyłem głowy o klepisko.

Drugi w ciągu kilku sekund ryk widowni prawie ogłuszył Gesquenę. Odskoczyła od powalonego przeciwnika i rzuciła się na Brontozara. Na jego lewej ręce zawisł Majmas, poderwał nogi, oplótł je na ramieniu giganta i tłukł piętami jego twarz, usiłując trafić w oko. Gdyby Brontozar nie był zajęty poważniejszym przeciwnikiem, wbiłby po prostu Majmasa w plastonowe klepisko jak kołek w grunt, ale Majmas właśnie na to liczył: że będzie bardziej zajęty czymś innym, kimś innym. Baryłą.



Baryła raz po raz blokował ciosy prawą ręką i uderzał: pysk, szyja,



serce, pysk, szyja, serce, i tak kilka razy. Kiedy już Brontozar niemal się przyzwyczał do tej sekwencji, zamiast uderzyć w szyję, poderwał swoje stu pięćdziesięciokilogramowe cielsko w górę i po minimalnym locie uderzył obiema piętami w kolano rywala. Gesquena nawet nie usłyszała chrzęstu kości, ryk widowni zagłuszył wywołujący obrzydzenie dźwięk. Nawet wrzask Brontozara z trudem przebił się przez wrzawę, która przerobiona na kilowaty zasilalaby przez miesiąc średnio zaludnione miasteczko.

Dobicie Brontozara było już kwestią kilku ciosów.

Wykonał je Kalidaba zwany Baryłą. Po czwartym sierpowym Brontozar stracił przytomność i zwałił się na ziemię, przywalając Majmasa.

Baryła rozstrzygnął walkę swojej koterii niemal sam, ale teraz stał się przeciwnikiem Gesqueny. Majmas, o ile wygrzebie się spod nieprzytomnego cielska Bronsa, nie będzie problemem. Kalidaba wyprostował się i uniósł sękatę łapy.

W pierwszej chwili nawet nie poczuł ciężaru na swoich plecach.

Gesquena nie czekała, nie czekała na nic. Nic innego jak walka z Baryłą nie mogło się przecież wydarzyć.

Z Baryłą nie miała szans. Może gdyby miała łuk?

Dlatego bez zwłoki, podporządkowując się trwającemu niemierzalny odcinek czasu przeblaskowi intuicji, poderwała się i wskoczyła na plecy Baryły.

Czubki palców stóp zahaczyła o gruby wał przepaski, przylgnęła do spoconego, kudłatego cielska i oplótłszy rękami mocarną szyję, wyszukała na niej węzeł śpiocha i wbiła weń kciuk. Oczywiście, to mogło być trzy milimetry w lewo lub cztery w dół; na grubej szyi Baryły nie było łatwo wykryć przebiegu naczyń krwionośnych, ale i tak innego pomysłu na pokonanie Kalidaby nie miała.

Baryła opuścił ręce, starał się sięgnąć do tyłu, ale tu zakpiła z niego jego gigantyczna klatka piersiowa i mięśnie rąk, nie pozwalając uchwycić uczeplonej go Gesqueny. Spróbował górą, nad barkami, lecz tu szanse na wczepienie się w rywalkę były jeszcze mniejsze. Wolno myślący Kalidaba dopiero teraz uświadomił sobie, że może przecież sięgnąć szyi, a szyję oplatają ręce Gesqueny, a Gesquena... a Gesquena...

Trafiła w węzeł! Dopływ krwi do mózgu gwałtownie się zmniejszył. Rozpaczliwie wbity w bok szyi kciuk zatrzymał natlenioną krew, mózg Baryły sennie skwitował niedobór paliwa, szarpnął się i wyłączył.

Baryła okręcił się na załamujących się nogach i runął miękko na klepisko. Gesquena zeskoczyła w połowie upadku, potknęła się o nogę Majmasa wystającą spod ciała Brontozara. Upadła i chwilę leżała, łapiąc oddech i usiłując zredukować ból w jeszcze chwilę temu napiętych do granic możliwości mięśniach. Chwycił ją skurcz w lewym udzie.

Z jękiem usiadła i uderzyła kilka razy kantem dłoni pod kolanem. Udało się. Wstała i nie zwracając uwagi na ogłuszający ryk stadionu, pokuśtykała do Majmasa, wyciągnęła go spod ciała Bronsa, potem popatrzyła na Kalidabę. Poruszył lewą dłonią, jakby chciał pokazać, że żyje. Gesquena zmarszczyła czoło. Nie sądziła, by...

Baryła uniósł powiekę i zatoczył gałką oczną krąg, na pół sekundy zatrzymał się na Gesquenie.

Skurwiel się podłożył?! Pomógł! A to kawał... No tak, on ma jeszcze sześć lat, wszystkie skróty już wykorzystał... Co za... Jak wyjdę, odnajdę jego rodzinę i odetnę ją od kłopotów do końca...

Ryk spikera, wzmocniony przez najsilniejszą w tej części pierścienia aparaturę, niemal powalił Gesquenę na kolana, skumulowane basy prawie wyłupywały z plastonu kawałki tworzywa. Gesquena zrozumiała, że to celowy atak audialny, który miał zmusić gladiatorów do zatkania uszu, okazania słabości, poddania się. Ale ona postanowiła poświęcić swoje bębenki – stała wyprostowana, z uniesioną głową, nie próbując nawet znaleźć oznaczonego liczbą siedemdziesiąt trzy rzędu, lecz pokazując, że nie złamie jej ryk aparatury, która właśnie zaczęła emitować „Marsz triumfu”. Miała nadzieję, że do patera i mamono dotrze jej demonstracja siły, niezawisłości. I niewinności.

– Zwycięzca Turnieju Master, sto osiemnasta edycja, runda wiosenna! Gesquena Mora Rip Vastayars gie fau cztery dziewięć osiem trzy trzy pięć siedem siedem! – ryknęły głośniki.

Odwróciła się i ustawiła na wprost trybuny KorpoGold.

– Skurwysyny! Mam nie zapomnieć, że przede wszystkim jestem osadzoną, a dopiero potem zwycięzcą turnieju. Co? – powiedziała głośno, mając nadzieję, że kompy odczytają to z ruchu warg i zwokalizują. Ale zbytnio w to nie wierzyła. – Turniej o-sa-dzo-nych dla wolnych! Co? Chuj z wami!

Powstrzymała się od obscenicznych gestów, bo z doświadczenia wiedziała, że błyskawicznie reagujące kompy w ułamku sekundy skierują obiektywy na roześmiane dzieci, całujących się młodzieńców czy wzruszonych staruszków. A ona zostanie pokryta silnym i odpowiednio nasyconym blaskiem jupiterów, z którego wyłaniać się będą jej oczy, włosy albo detale ubrania, może nawet wzięte z archiwów, a nie z dzisiejszej areny.

– Chuj z wami... – powtórzyła już do siebie.

Popatrzyła na Majmasa. Zrobiła pół kroku, chcąc pomóc mu wstać i dokuśtykać do sanitroomu, gdy muzyka ucichła, rozległ się intrygujący i irytujący zarazem warkot metalicznych werbli.

– Zgodnie z regulaminem rozgrywek Master zgłoszono chęć przystąpienia do walki superfinałowej – oświadczył niewidzialny spiker, w tej chwili niepodzielny władca, na którym skupiona była uwaga



wszystkich obecnych. I Gesqueny. – Komisja Star Master dopuściła do rozgrywek zgłoszonego przez Korporację Corpcosul Yenhoendrę Kautcha!

Stadion zareagował właściwie, choć nie tak głośno jak na upadek Baryły.

Yenhoendra... Gesquena poczuła, że za chwilę skurcz zaatakuje mięśnie jej zuchwy. Poruszyła szczęką, potarła czoło.

Po co mu to? Dołożył się do skazania, może się obawia, i słusznie, że gdy wyjdę, zacznę od nowa rozpracowywać wyciek milionów z korpkonta? Aaach!.. Obawia się, tak, dlatego nie chce, żebym wyszła wcześniej. Chce mieć więcej czasu na mataczenie i zacieranie śladów. Bo co – jest zamieszany? Zyskała na czasie. Pocierając czoło, mogła przy okazji ukryć twarz przed wścibskimi obiektywami. Ale dlaczego... Wcześniej nie myślałam o nim, ale może to był błąd? Może to było bezczelne i trywialne i dlatego przez wszystkich odrzucone? Zagarnęła włosy do tyłu i niedbale zwinąwszy je w kłęb, przebiła go w kilku miejscach drewnianymi szpilami. Skurwiała gadzina...

Kautch już wychodził na arenę. Był dobrze, proporcjonalnie, profesjonalnie zbudowany – pracowało dla niego i nad nim co najmniej trzech trenerów i zrobili, co się dało. Wysokiemu i szczupłemu młodzieńcowi pozwolili rozbudować klatkę piersiową, zachowując szczupłość reszty ciała. Był szybki i miał twarde, kamienne, nieprzesadnie mocne, ale właśnie kamienne uderzenie. Gesquena trenowała z nim wielokrotnie i wykonała trzy czy cztery sparingi. Wszystkie przegrała. Nawet nie dlatego, że była wyraźnie gorsza, słabsza lub niewytrenowana. Jej po prostu aż tak nie zależało na wygranej, której kosztem byłaby kolekcja siniaków czy skrzywiony nos. Albo jedno i drugie. A jemu, Yenhoendrze, zależało bardzo. Więc się poddawała...

Ale teraz nie zasysała z powietrza energii tylko dla ładnej potyczki. Teraz musiała jej nie przegrać.

Teoretycznie Kautch wyszedł do walki z koterią – na arenie byli osadzeni, więc musieli być i wspierający wyzywającego. Nikogo nie obchodziło, że ze wspierających Baryła może nie żyć, Brontozar niemal na pewno ma połamane nogi, a pozostali udają nieprzytomnych, są nieprzytomni albo nawet martwi. Szybkie spojrzenie na boki upewniło Gesquenę, że na pomoc, przynajmniej w tej chwili, nie ma co liczyć.

Po lewej stronie Yenhoendry niedbale maszerowała para w żółtych getrach, z gęby dwa wioskowe buraki, cepy-trepy, małe oczka wybałuszone do kamer i trybun, klatki piersiowe ogolone i wytatuowane. Mordoboje. Nieważni, byle nie stanąć do nich plecami. Z prawej Corpcosula tańczył na czubkach palców i strzelał prostymi małymi zwinny jaszczurek: szerokie, żabie, może bardziej żabie niż

jaszczurze usta omiatał ciągle spiczasty czubek języka. Prawie na pewno był groźniejszy od wsiurowych braci. Gesquena wyprostowała się, wyciągnęła w górę ręce, zatoczyła nimi półkola. Zastanawiała się, jak rozegra walkę Kautch. Z pewnością nie zaatakuje sam i jako pierwszy, bo gdyby się napruł na kończące uderzenie, to buczenie widowni wbiłoby go w plaston areny. Ale też nie może losów pojedynku (pojedynku? czterech na jedną – pojedynek?!) złożyć w ręce trzech najemnych! Czyli podzieli: najpierw jeden, zobaczymy, co zdiagnozuje, potem Consul Kautch, potem znowu jeden i na koniec Corpconsul!

I już.

Poczekaj, aż się zbliżyli i ruszyli na nią. Wsiury. Czyli mieli ją osłabić, zmęczyć, trochę obić, ile się da. Pejzanerzy przyspieszyli, wysforowali się i rozsunęli na tyle, by nie mogła bić się jednocześnie z oboma, ale nie na tyle, by oni nie mogli z doskoku kopnąć jej lub wbić jej łokcia w kręgosłup.

Akurat! – pomyślała. Nie mam nic lepszego do roboty, jak ułatwić wam zadanie!

Podbiegła w prawo, na bezpośrednie starcie. Po kilku krokach jeden pizdoner zasłonił sobą drugiego, drugi szybko ruszył w obejście kolegi, szyk im się zmieszał. Gesquena przyspieszyła, markując chęć obiegnięcia ich i zaatakowania Kautcha od tyłu. Ofiarne wsiury zareagowały tak, jak przewidziała: jeden zasłonił drugiego, ten z tyłu przyspieszył i zaczął obchodzić kolegę, w sumie omal się nie zderzyli, a na pewno ograniczyli sobie pole manewru. Kautch i Jaszczur zostali z boku i z tyłu – chyba chcieli zobaczyć, jak sobie potańczy ta trójka, albo czekali, aż zmęczenie poprzednią walką i spadek adrenaliny rozmiękczą Gesquenę.

Skoczyła w prawo, buractwo powtórzyło poprzedni błąd, wtedy skręciła w ich kierunku, a oni, zamiast rozdzielić się i wziąć ją w kleszcze, zamknięte na dodatek przez wolno zbliżającego się Kautcha, ruszyli na nią ramię w ramię. Może zwyczajnie dodawali sobie animuszu, ocierając się o siebie ramionami.

Gesquena wykorzystała wszystko, co mogła wykorzystać: swoje umiejętności, ich słabą chęć walki i niemal zerowe wytrenowanie. W głowie nagle uformowało się przekonanie, że Yerhoendra umyślnie wziął tę parę parobków, by ona załatwiła ich widowiskowo, co umocni jej prestiż i przychylność widowni, a potem przeleje się na jego osobę, gdy z kolei on zada jej kilka okrutnych ciosów.

Zbliżywszy się na odpowiednią odległość, wyskoczyła w powietrze i wpakowała stopę w krocze tego z prawej. Wykorzystując, na ile się dało, opór jego genitaliów, lewą stopę podciągnęła w górę i zacumowała piętę na podbródku drugiego. Saltem ustawiła się twarzą do przeciwników, ale ich już nie było: jeden lkał i chwycił spazmatycznie

powietrze, osłaniając dłońmi krocze, drugi, nie wiedząc o tym, miał więcej szczęścia – po prostu został ekspresowo wyłączony, bez świadomości, bez bólu, bez krzątaniny.

Została para.

Jaszczur nie przerywał swojego tańca z markowanymi prawymi prostymi. Kautch lekko zmienił tor poruszania się. Ci dwaj naprawdę brali ją w kleszcze. Gesquena zauważyła, że lewe przedramię Kautcha jest jakieś dziwnie gładkie pod cienką tkaniną rękawa. Pomyślała, że albo ma tam ochraniacz, co samo w sobie było niedozwolone, albo co gorsza, jakiś rodzaj drętwy, której dotknięcie wywoła uderzenie prądem. Zrozumiała też, że wzywianie sędziów nie ma sensu.

Ruszyła na spotkanie Jaszczura, ale tak, by nie tracić z oczu Kautcha. Spotkali się niemal na środku plastonowej areny. Walki rytualnie zaczynały się od zwyczajowych kilku penetrująco-zwiadowczych uderzeń, jakiegoś niewysilonego kopnięcia. Gesquena tak właśnie zaczęła, ale już po drugim bez trudu sparowanym sierpowym rzuciła się na Jaszczura z żarłocznością zagłodzonej orki. Miała mało czasu, bo Kautch już zrozumiał, jaką taktykę przyjęła, i na pewno nie uśmiechało mu się pozostanie na arenie sam na sam z rozjuszoną wojowniczką. Ruszył prawie biegiem w ich stronę.

Jaszczur myślał wolniej i działał wolniej – parował ciosy, uciekał, niemrawo uderzał, ale to było spotkanie popołudniowej bryzy z orkanem znad gór. Trafiła go dwa razy w głowę, złamała żebro w prawym boku. Zamarkowała lewy sierpowy i uderzyła z całej siły prawym prostym w serce. Gdy trafiła tu, do Penitencjarium, była po kilku miesiącach uprawiania amatorskiego boksu, nie była więc nowicjuską, ale znaczenie uderzenia w serce poznała dopiero tutaj. Dobrze wymierzone i odpowiednio silne powala na ziemię każdego. No, niemal każdego. Baryły – nie. Brontozara – nie. Ale Jaszczura skosiła wybornie.

Nagle odzyskała słuch. Stadion wył. Pół miliona obywateli skandowało jej imię, sektor po sektorze. Veliańska Karuzela działała bezbłędnie, a „Ge-squen-aa-a” frunęło po kole: jeden sektor jeszcze wył „a-a-a”, a następny już zaczynał „Ge-es!”... Po raz pierwszy w tym więziennym życiu postanowiła odwdziżyć się tłumowi. Zasalutowała.

Kautch przesunął się i wolno, czujnie ruszył w jej stronę. Prostował i zginał ręce, a Gesquena rozumiała, że aktywuje jakąś ukrytą pod rękawem broń. Zrobiła krok, uniosła stopę i przydepnęła energicznie dygocącego Jaszczura. Potem, nie spuszczając oka z Kautcha, zerwała z niego koszulkę i wydarłszy z niej dwa pasy, szybko owinęła prawą pięść. Kautch zmrużył chytre oczka. Dowiedział się, że wiedziała, ale nie przejmował się tym. Widać sprawa była uzgodniona na odpowiednio wysokim szczeblu.

Gesquena zrozumiała, że nie chcieli zlecać zabójstwa penitencjariuszom. To nie było bractwo, któremu można by zaufać. Znalazł się Kautch, głupi i niez...

Ach?! To nie tak, jak myślała... No nie, przecież on sam by się nie zgłosił! Ktoś mu kazał, ktoś powiedział: „Narozrabiałeś, zwinąłeś osiemnaście milionów, trzeba tę zdobycz ukryć, a ta sucz stoi na przeszkodzie. A gdy wyjdzie, sama stanie się przeszkodą”. Dlatego Kautch wyszedł na arenę. Żeby ją zabić!

Zmrużyła oczy i przyjrzała się uważnie jego prawemu przegubowi. Coś tam połyskiwało matowo. Jak nic – paralizator, pewnie nastawiony na oszołomienie. Jassssne, przecież nie sparaliżuje jej na oczach milionów widzów, całego niemal globu! Uderzy, oszołomi i poprawi śmiertelnie, choćby „nieudany” ciosem w grdykę. „Ustawiła się niefortunnie, proszę komisji. Ja już nie mogłem powstrzymać uderzenia, wyprowadzonego siłą całego ciała... No tak się stało, strasznie żałuję... Gdybym mógł cofnąć czas, ustawić się odrobinę inaczej... Ale to była walka, ona szukała dla siebie najlepszej pozycji, a ta pozycja okazała się dla niej najgorsza...”

Postanowiła od razu rozstrzygnąć wszystko szybko. Zaczęła biec w jego stronę energicznie, tnąc powietrze wyprostowanymi dłońmi. Kautch jakby się potknął, jakby zgrzytnął mu program przemieszczania się, w sumie zawahał się: biec na spotkanie, przesuwając się, zmuszając przeciwniczkę do zmiany kierunku, zwolnienia, czy stać i czekać na atak, zamarkować unik, dwa uniki i musnąć przemykające obok ciało paraliż. Wtedy to ona się potknie, może upadnie spektakularnie...

Gesquena miała jeszcze pięć metrów do rywala. Wyrzuciła ramiona w przód i skoczyła szczupakiem, mierząc pięściami w jego kolana. Kautch błyskawicznie ugiął nogi, chcąc wybić się w odpowiednim momencie w górę i po prostu spaść na grzbiet przeciwniczki, ale plan Gesqueny wprowadzał poprawki do przewidywanej przez niego rzeczywistości: zwinęła się, odbiła łokciami od podłoża i gdy zaskoczony Kautch podskoczył niezdecydowanie, stopy wojowniczeki trafiły go w uda. Przekręcił się w powietrzu i opadł tuż obok Gesqueny. Oberwał łokciem w nerkę, jęknął, popełnił błąd: zamiast próbować walczyć, walczyć tak, jak umiał, usiłował zrealizować swój czy może narzucony przez kogoś plan. Machnął prawą ręką, chcąc koniecznie spowolnić, sparaliżować, zneutralizować rywalkę. Uderzyła go piętą w biceps, niemal całkowicie odbierając mu władzę w ręce, na której tak polegał. W końcu zrozumiał swój błąd, zaciął nogą łydkę Gesqueny, założył klamrę z drugiej nogi.

– Zabiję cię, suko! – warknął.

– Gównu tam! – Szarpnęła się, ustabilizowała pozycję i wymierzyła mu trzy proste w nos i usta. – Masz, na początek!

– Zdechniesz! – wyrzucił z siebie, tryskając krwią, sam już nie bardzo wierząc w swoje słowa. Miał pozycję co najmniej niedobłą i nie widział możliwości jej poprawy. Chciał uniknąć ciężkiego pobicia i klepnąć kilka razy plaston areny, ale nie miał czym. Prawa ręka go nie słuchała, a lewą przygniół własnym ciałem. – Rozszarpiemy cię, a potem wyrzniemy całą twoją rodzinę! – Szarpnął się, lecz był na przegranej pozycji. Otworzył usta, chcąc splunąć w twarz Gesqueny, ale właściwie odczytała jego zamiar. Łokieć wylądował na jego górnej wardze, zmiażdżył ją. – Won, szuko!...

Rozplakał się. Z bólu i poniżenia. Zawył. Poczł w zdrętwiałej prawej ręce jakiś ruch, zrozumiał, że Gesquena obmacuje jego tajną broń. Wsunęła dwa palce pod opaskę przy łokciu i szarpnąwszy mocno, oderwała paralizator wraz z rękawem.

A potem wszystko potoczyło się w tempie czarnej błyskawicy szukającej łamanej i postrzępionej drogi z niebios na suchą letnią ziemię. Gesquena trzepnęła drętwą o ziemię i widząc, że program zmienił się tak, jak sobie tego życzyła – na maksymalne rażenie, przyłożyła ją gwałtownie do szyi Kautcha Yenhoendry. Może by zdołał jakoś się obronić, zrobić unik, odsunąć się, lecz chwilę temu opanowała go dziwna wiara w to, że Gesquena nie okaże się tak podła i nie skorzysta z okazji, nie uderzy, nie...

Pomylił się, ale już sobie tego nie uświadomił.

Gesquena cisnęła drętwą dużym łukiem od siebie, żeby wszyscy widzieli, że walka wcale nie miała być uczciwa i rozrywkowa, brutalna, ale tylko rozrywkowa. Miała być egzekucją. Niech widzą. A jeśli realizatorzy będą chcieli to wykasować, to niech się przynajmniej trochę pomęczą.

Odsunęła się od trupa. Leżała chwilę, zbierając siły, potem poderwała się, chcąc podziękować tłumowi za owację. Przychylność tłuszczy można wykorzystać, może się przydać. Uniosła ręce i okręciła się na palcach.

Nie widziała nadlatujących dwóch strzałek z miotacza OyMastera.

I jego samego też nie zobaczyła.

I nawet nieba, choć runęła jak podcięta, ze wzrokiem utkwionym w błękicie z kilkoma fioletowo-żółtymi obłokami...



Hankel Henke zakręcił szklanką i energicznie wlał resztkę winiaru w usta. To był mocny destylat, jeden z mocniejszych w jego barku, ale nie był to czas na łagodne pieszczoty delikatnego szampana czy cierpkość wytrawnego wina. To była straszna noc, koszmar, a

niemająca perspektyw łagodnego, miłego świtu.

– Sześćdziesiąt trzy osoby zginęły. Tyle wynika z meldunków, ale to na pewno dopiero jedna trzecia prawdziwych strat. Oczywiście, oficjalnie wszystkie te ofiary to wynik szaleństwa rozjuszonego, spanikowanego, niezbornego tłumu. Ile z nich to cele naszej policji, to już inna sprawa...

Monolis przysunął sobie drugie krzesło, położył na oparciu dłoń, oparł na nich brodę.

– Czterdzieści dwa pokolenia trwa nasze życie tutaj – wycedził. – Nie ma powodu do wprowadzania zmian, tym bardziej do zakłócania społecznego rytmu egzystencji. Gesquena popełniła przestępstwo, jedno poważne, ale drugie to już nie przestępstwo, to zbrodnia i zamach na społeczny układ. Tego nie możemy tolerować. Poblążliwość okazana człowiekowi, który na oczach kilku milionów zabija innego, i to dlatego, że chce uciszyć...

– Tego nie wiemy z całą pewnością! A raczej wiemy, że to ten kretyn Kautch chciał ją zabić. Uciszyć. Wyeliminować.

– To już detale, Hankel! Ale nie możemy ryzykować! Nie możemy zmieniać dla niej naszego systemu prawnego i trybu sądownictwa. Nie wolno nam dopuścić do sytuacji, w której ona będzie z zydła oskarżonej głosiła jakieś swoje idee!

– Nie wiemy, czy je ma – burknął Henke.

– Nie mamy pewności, czy je ma, Arcykorpie! – skorygował go Monolis Segerdorf. – Ale jeśli istnieje choć minimalna szansa na to, że będzie głosiła jakieś swoje ideole, jakieś...

– Zachowaj te pierdoły dla mediów. Rozmawiajmy otwarcie: ona go zabiła, bo kpił z niej, obiecywał wyrznięcie jej rodziny, pewnie też rewizję i przedłużenie odsiadki, odczytane z ruchu warg. Tak zeznają świadkowie, i to ze strony Condylona, więc nieuprzedzeni i niestojący po stronie osadzonej! Nie dyskutujmy, Monolisie! Nie tym razem... Po prostu powiadamiam cię o swojej decyzji, o wyroku do wykonania i konieczności wyciszenia całej sprawy. Ty wiesz, jak to zrobić, a jeśli nie wiesz, to poszukam kogoś, kto wie, umie i chce. Musimy szybko zakończyć sprawę osadzonej Gesqueny! – Płasnął dłonią w blat.

– Uspokój się trochę i nie pohukuj na mnie – westchnął Monolis i wyprostowawszy się, z całej siły pchnął ciężkie krzesło nogą. Zgrzytnąwszy na podłodze z arcydrogiego tarchanu, uderzyło w barek, wywracając kilka butelek, w tym tę wysoką, z winiarem. Przysadziste karafki nie przewróciły się, były stabilne i ciężkie, gospodarz rzadko używał lekkich nalewów. – Zostałeś Arcykorpem w mgnieniu oka, a jeszcze szybciej możesz przestać nim być. – Splótł palce, wykręcił dłoń i strzelił kilkoma kostkami, prostując ramiona. – Gesquena to jedno, a jej śmierć to drugie. Połowa ludzi ją uwielbia, druga połowa

rozszarpałaby ją na atomy, gdyby tylko mogła. W sprzyjających dla niej okolicznościach zostanie Arcykorpem w ciągu najbliższej nocy, w niesprzyjających zbrodniarzem i wyklętą gadziną.

– To drugie. Idziemy na to drugie, wiadomo – mruknął gospodarz. Zdążył się uspokoić, błyskawicznie przeanalizować słowa Hankela, niemal w locie, gdy jeszcze dolatywały z ust rozmówcy do jego uszu. Dostatecznie długo pracował w korpo, żył w i dla korpo, żeby nie wiedzieć kto-co-dlaczego. – Musi zostać starta z powierzchni ziemi i definitywnie wymazana z pamięci ludzi.

– Dobrze, Arcykorpie. Ja też skłaniam się ku temu wariantowi – powiedział Monolis, nie akcentując czasownika, ale Hankel drgnął i popatrzył na gościa z mieszaniną złości, strachu i nienawiści. Monolis przeciągnął ciszę o dwie sekundy, lecz reakcje gospodarza kontrolował spojrzeniem z boku, nie patrząc wprost. – Załatwimy to. Jutro w mediach pojawi się wyczerpująca informacja o tym, że powodowani słuszną rozpaczą i kierowani sprawiedliwością społeczną osadzeni doprowadzili do... że tak powiem... zgonu występnej Gesqueny. Tak? Bo nawet dla nich to, czego się dopuściła, było nie do przyjęcia.

– No... – mruknął nieco uspokojony Hanke. – Tylko, jebła mate, nie tak wykwintnie, dobrze? Po prostu: pyszniła się swoim czynem, aspirowała do miana szefa...

– Miało być niewykwintnie? – Monolis uniósł brew.

– Racja, dobrze, w porządku. Mam nadzieję, że masz kogoś, kto potrafi...

– Mam.

– ...sensownie i przekonująco...

– Mam! Ronda Beye.

– No przecież ona jest popierdolona?! Namiesza, nasra jakimiś swoimi potencjami... – potrząsnął głową, szukając odpowiedniego słowa – ideami...

– I o to chodzi. Namiesza tak, że nikt nie będzie mógł się do niczego przyczepić, nie będzie o co się zahaczyć, w czym dłużyć. Rozumiesz? Granitowa kula pokryta bełkotem, z żadnej strony nie ma dostępu, luki, szczeliny, występu. Nieważne! – Machnął ręką, widząc, że rozmówca miną zgłasza jakiś opór. – Ciebie to nie dotyczy, ty zostałeś racjonalnie i sprawiedliwie osadzony na... O-pips! – zająknął się i przepaszająco uniósł rękę. – Wybacz to niefortunne określenie. Wybrany na stanowisko i kropka.

– Dobra, zrzucam to na ciebie, Monolisie – rzekł niecierpliwie Hankel. Bez wątpienia chciał to już mieć za sobą, chciał zapomnieć o użyciu słowa „skłaniam się” tam, gdzie spodziewał się słowa „trzyma się”, „osadzony” zamiast „wybrany”, no i chciał zapomnieć o tym, że polecił zamordować znajomą osobę, pragnął wyrzucić z pamięci wszystko to, co

się stało po wybiegnięciu na arenę Kautcha, biednego głupiego Kautcha, który chciał własnoręcznie wymieść to, co wcześniej rozsypał: cuchnące, obrzydliwe przyłgi oskarżeń. Niesłusznych. Hanke, jeden z tych, co dzielili kilkanaście zagarniętych milionów, nie, więcej, bo przecież zostały zainwestowane w liftowane tymi właśnie kapitałami fundusze, dobrze wiedział, że Gesquena miała po prostu pecha: wykształcenie, zdolności, doświadczenie i kilka innych cech, i to spowodowało, że została w doborowym gronie wytypowana na osadzoną... – Niech to się już skończy, raz i na zawsze.

– Skończy się. – Monolis wstał, klepnął się dwa razy w kieszeń rajzety, w której nosił telet. – Już jest skończone, dostałem speeder newsa. Zbiorowy mord, a może i wcześniej gwałt... Dużo obrzydliwych detali...

Z przyjemnością odnotował wzdrygnięcie gospodarza.

Cholerna plastuga, pomyślał Monolis. I takie gównu wywindowałem na... No, nieważne, samemu mi się nie chce. Za dużo roboty, za dużo wszystkiego: popleczników, wrogów, włazidupków, skrytobójów... Tak jest dobrze. Tak, tak jest dobrze...



Sekretarka podbiegła do biurka i pochyliwszy się dość obscenicznie, niemal uderzywszy biustem o blat, podała Monolisowi telet.

– Udało się! – szepnęła.

Udało? Jak się uda, to ci między te...

– Monolis. Słucham? – warknął do słuchawki, a sekretarkę ponaglił wymiatającym ruchem dłoni. Chyba czekała na jakieś występne polecenie. Szef pozbawił ją złudzeń, ale były i dobre strony takiej sytuacji, bo nie musiała się przebierać, oddawać sukienki do prania, cerowania albo wręcz wyrzucać strzępów.

– Mam przed sobą gazetę, dupku wapienny! Wyczuwasz: nie encyklopedię, tylko codzienną porcję gówna?!

– No?...

Tobie, nadęta ropucho, też bym chętnie wsunął, tylko że nóż pod zebro! „Wyczuwasz”? Co za mowa, kretyn... Skąd wiesz, baranie, co to encyklopedia?

– I co, podoba ci się? Miało być „uduszona, zamieszki w Penitencjarium, zbiorowisko mętów”, a co jest? „Ukrzyżowana, wraz z bratem Barabaszem”. Czemu, jebła mate, z Barabaszem, a nie Barashem?! „Zbiorowy mord, inicjatorem była dyrektor, aresztowana”? „Kolczasta obręcz na głowie...” Co to, jebła mate, jest? Gdzie tu sens, gdzie logika, gdzie...



– W dupie, durniu! Tak właśnie ma być! – ryknął Monolis. Zaskoczony, a właściwie wystraszony Hankel gwałtownie odsunął telet od ucha. Słyszałby na drugim końcu gabinetu każde sapnięcie Monolisa.

– Zero prawdy, kotłowanina sugestii, plotek, bajeru, rozumiesz? Miszmasz, bulgot, wir i już! Nikt nic nie wie, każdy wie wszystko, energia zostanie strawiona na dociekania, a najwięcej na pierdolenie: „Mój szwagier gadał z kumplem, którego żona ma przyjaciółkę, której matka pracuje w burdelu, gdzie jeden klient drugiemu mówił...”. Rozumiesz?

– Nie bardzo, ale jeszcze bardziej nie chcę.

– Czego, bałwanie, nie chcesz? Czego nie rozumiesz? Gadam z tobą takim językiem, jaki do ciebie dociera, nie?

Hankel omal się nie rozplakał – ze złości, bezsilności, strachu.

– Nie rozumiem tego pomysłu. Co nam to da? Stanie się cierpiętniczką.

– No właśnie że nie, tumanie! Jak można oplakiwać kogoś, o kim nie wiadomo, czy był złodziejem, czy bohaterem, gwałticielem, pedofilem, działaczem charytatyw...

– Przecież ona nie była gwałticielem!

Monolis zamilkł na długą chwilę. Henke poczuł, że milczenie to nie niesie mu niczego dobrego.

– Ty jednak jesteś idiotą! – usłyszał po kilku sekundach. Monolis był zdziwiony albo udawał zdziwionego. – Ja się rozłączam, ty poszukaj kogoś, kto ci wyjaśni ten gambit z ukrzyżowaniem. Może twój ogrodnik albo pałac? Poproś, żeby przystępnie ci to wyłożyli, arcydupku!

W słuchawce rozległ się emitowany przez łącze sygnał rozłączenia.

Hankel wolno odłożył słuchawkę. Siedział długą chwilę nieruchomo, niczym posąg. Albo model posągu.

Potem zaczął wolno kręcić głową.

– Coś mi tu nie gra, jebła mate, coś nie gra. Nie wyniknie z tego nic dobrego. Ktoś pożałuje, ale nie będę to ja...

Jeszcze chwilę kręcił głową z goryczą i niedowierzaniem, jakby dostrzegał w przyszłości coś, czego nie spodziewali się autorzy wariackiego planu.

Coś, co zmiecie kilka państw, zmieni parę kolejnych, stworzy jeszcze inne.

Z wysiłkiem przełknął pęczniejącą w ustach gulę.

– Coś mi tu nie gra... – I po chwili: – Dużo!...



ANDRZEJ  
PILIPIUK

---

## GLADIATOR



Zima najwyraźniej nie mogła się zdecydować, czy chce nadal nas nękać, czy ustąpić miejsca swojej siostrze – wiosnie. Panowała wyjątkowo obrzydliwa odwilż, śnieg tajał tylko po to, by kolejna fala mrozu mogła ściąć powstałą wodę. Na ulicach i chodnikach wieczorami robiła się paskudna szklanka. Uwielbiałem taką pogodę, o ile oczywiście nie musiałem wychodzić z domu... A dziś nie musiałem.

Ani jutro. Mogłem siedzieć spokojnie, pić herbatę z odrobiną wina, dodaną tylko dla smaku, i godzinami oprawiać stare książki.

Zadzwoił domofon. Na wszelki wypadek rzuciłem okiem na monitor podpięty do kamery dyskretnie powieszony w bramie. Przed bramą stali pan Piotr, od roku pełniący nieformalne stanowisko przywódcy Grona Jarzębiny, oraz nieznany mi starszy mężczyzna w garniturze. Serce uderzyło mi odrobinę mocniej. Znałem naszego szefa dobrze, nie był zbyt towarzyski i raczej nigdy nie dzwonił bez powodu. Skoro wybrał się do mnie z niezapowiedzianą wizytą i jeszcze przyprowadził gościa, musiało się przydarzyć coś ważnego.

Wpuściłem ich i po chwili stali już w drzwiach.

– Witaj, Robercie. – Wódz uściśnął mi dłoń. – Mam taką sprawę. Ale może najpierw poznać się, panowie. Jest za mną stary znajomy, z Włoch. Pan profesor Mateo Cattani, archeolog. Zgadało nam się o tobie... – przeszedł na angielski.

– Czym zatem mogę służyć? – Zaprosiłem ich gestem do salonu. – A na początek: kawy czy herbaty?

Woleli kawę. Uruchomiłem ekspres.

– Pan profesor kopie we Włoszech, konkretnie: w Weronie. W tej

Weronie, gdzie wiesz, Romeo i Julia...

– Średniowieczne miasto stojące na ruinach miasta rzymskiego w łuku rzeki Adyga. Amfiteatr, rzymski most, zamek, ruiny teatru, muzeum archeologiczne w dawnym klasztorze, słynne konserwatorium...

– Widzę, że jest pan zorientowany – odezwał się profesor Cattani. – Badam moje miasto od kilku dekad. Badam je poniekąd podwójnie, bo po pierwsze, prowadzę wykopaliska, po drugie, robię przegląd materiałów i dokumentacji z wykopalisk prowadzonych na przestrzeni ostatnich dwustu lat.

– Rozumiem. – Kiwnąłem głową.

– Obecnie polem mojej pracy jest tak zwana Arena w Weronie – wyjaśnił. – Prowincjonalny amfiteatr, ale duży i o tyle ciekawy, że bardzo dobrze zachowany, o niebo lepiej niż słynne Koloseum. Trwają prace nad przebudową placu wokół i proszę sobie wyobrazić, natrafiono na fragment „zaplecza”, miejsca, gdzie znajdowały się klatki dla zwierząt, kuchnie oraz rów, do którego trafiały zabite zwierzęta i polegli gladiatorzy. Powiem od razu, spodziewano się tego, bo kopano tam już przed pierwszą i drugą wojną światową.

– Polegli gladiatorzy – podchwyciłem.

– Na arenę trafiali różni ludzie. Niewolnicy szkoleni, żeby mordować się na oczach panów. Biedacy, którzy wierzyli, że dzięki sile i zwinności zarobią trochę grosza. Skazańcy, kryminaliści, jeńcy wojenni... A czasami wolni zawodowcy. Jeśli gladiator należał do bractwa pogrzebowego, to znaczy jeśli miał coś w rodzaju wykupionej polisy, to gdy zginął na arenie, zabierano jego ciało i zapewniano skromniutki pogrzeb...

– A jeśli nie? – teraz zainteresował się też pan Piotr.

– No cóż – westchnął profesor Cattani. – W takim przypadku trafiał do zbiorowego dołu razem z trupami usieczonych zwierząt oraz innymi odpadkami, które zbierano w teatrze po każdej większej imprezie.

– I taki dół planuje pan rozkopać?

– Owszem.

– Chce pan zaprosić do tego przedsięwzięcia mnie? – zdziwiłem się.

– Tak.

– Jestem zaszczycony. Ale dlaczego?

– Większą część zadania powierzę moim studentom. Potrzebuję jednak pomocy kogoś młodego, silnego, a przy tym zaufanego, dyskretnego i o otwartym umyśle. I z wykształceniem archeologicznym, żeby wiedział, co i jak... Jeśli się nie mylę... Oczywiście mogą się mylić... Jest szansa na znaleziska, khm...

Profesor umilkł, jakby nie bardzo potrafił ubrać myśl w słowa. Pociągnął łyk kawy.

– To znaczy, że możemy tam znaleźć na przykład rzeczy, w których istnienie nie wierzy oficjalna nauka?

– Całkiem elegancko powiedziane – pochwalił.

– Szkielet, dajmy na to, tygrysa szabłoźebnego ubitego na arenie? – indagowałem.

– Nie do końca. – Uśmiechnął się lekko. – Co może mi pan powiedzieć o tych kawałkach metalu? – zagadnął, wyjmując z teczki torebkę strunową.

Obejrzałem znalezisko.

– Powiedziałbym, że to współczesny śmieć. Wygląda jak trzy elementy bransolety od zegarka – zacząłem ostrożnie. – Czy ten metal to stal kwasoodporna, czy nikiel?

– Nikiel.

Przypomniałem sobie dzieciństwo. Warszawska Praga, bazar Różyckiego i staruszek bez nogi nad wielką walizką przedwojennych pięćdziesięciogroszówek... Monety miały wówczas ponad pół wieku, a wyglądały jak świeżo wybite. Pamiętałem też podobną monetę, tyle że dwudziestogroszową, którą wykopałem w ogrodzie willi rodziców. Po latach w ziemi nadal wyglądała świeżo.

Te detale tak nie wyglądały. Wiadomo, gleba glebie nierówna, ale przecież to były Włochy, kraj z natury dość suchy...

– To elementy, które bardzo długo leżały w ziemi – zauważyłem, kładąc jeden z nich pod mikroskopem cyfrowym. – Bardzo gruba, wielowiekowa patyna.

Kliknąłem przełącznikiem, powiększając obraz sześćset razy. Patrzyłem może przez minutę na głęboko utlenioną powierzchnię. Typowe uszkodzenia dla bransolety noszonej na ręce. Do tego ziarenka piasku wpięzione w korozję...

– Bardzo długo... – powtórzyłem. – Kiedy je znaleziono? – zapytałem ostrożnie.

– W tym właśnie problem. Trafiły się moim poprzednikom podczas wykopalisk w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku – wyjaśnił.

– Nie mogło dojść do jakiejś pomyłki albo fałszerstwa? Albo podmiany?

– Są opisane w katalogu muzealnym z roku tysiąc dziewięćset trzeciego. Moi koledzy biorą mnie za wariata. Ale trafiła się okazja, żeby kopać tuż obok tamtego wykopu. Nie ustaję w nadziei, że znajdę jeszcze coś. Coś, co potwierdzi moją teorię.

– Resztę tego zegarka?

– Albo inne ciekawostki niepasujące do kontekstu archeologicznego.

– Zetknąłem się kiedyś z czymś w rodzaju cienia dowodu na podróże w czasie – westchnąłem, przypominając sobie zdjęcie cadyka siedzącego

w cieniu czarnych parasoli. I pewne praktyki wykopaliskowe, na których zaginął licealista... Ale to był chyba tylko koszmarny sen... Bo dzieciak odnalazł się w końcu po dwu tygodniach w szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie. I generalnie niczego nie pamiętał...

– Z naukowego punktu widzenia to bzdura, ale jest trochę znalezisk, o których nie mówi się głośno. Niewiele, może kilkanaście przedmiotów w skali Europy, co do których są poważne... nazwijmy to, wątpliwości – powiedział profesor Cattani. – Jeśli zechce pan...

– Kiedy zaczynamy?

– Czternastego kwietnia. Cały potrzebny sprzęt będzie na miejscu.



Werona to takie „miasto trzydniowe”. Trzy dni ostrego zdzierania zelówek i można pobieżnie zobaczyć większość rzeczy wartych obejrzenia. Rzecz jasna, by zwiedzić je dokładnie, trzeba poświęcić tydzień. A dla dogłębnego zapoznania się ze wszystkimi zabytkami trzeba kilka miesięcy, jeśli nie lat... Turyści zazwyczaj oglądają dom, który miał należeć do Szekspirowskiej Julii, ze słynnym balkonem zbudowanym w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Czasem odwiedzą kryptę, w której rzekomo miała zostać pogrzebana. Ci ambitniejsi zwiedzą muzeum koło jednej z dawnych bram i któryś ze starych kościołów. Na drugą stronę rzeki do muzeum archeologicznego dotrą nieliczni...

Miałem spędzić tu dziesięć dni. W sam raz tyle czasu, by obejrzawszy to, co oglądają wszyscy, zadumać się chwilę w zakątkach, gdzie turyści zazwyczaj się nie zapuszczają. A na razie czekały mnie pracowite poranki przy łopacie.

Przyszedłem jako pierwszy godzinę przed czasem. Wzdłuż ściany amfiteatru rozstawiono ogrodzenie z blaszanych paneli, mające chronić miejsce wykopalisk przed spojrzemiami postronnych. Popatrzyłem na mury wzniesione z cyklopich głazów. Arena, nawet zrujnowana, robiła ogromne wrażenie. Jakim cudem ściany przetrwały niemal dwa tysiące lat? Bloki spojono klamrami z brązu, mocowania zalano ołowiem. Nie żałowano też specyficznej zaprawy robionej z wapnia i popiołu wulkanicznego. Po zastygnięciu twardniała niemal jak nasz beton... Solidna konstrukcja, oparła się trzęsieniom ziemi i całym stuleciom dewastacji, kiedy to mieszkańcy korzystali z ruin jak z darmowego kamieniołomu... Pchnąłem blaszaną furtkę. Uchyliła się zachęcająco.

Profesor był już na miejscu, porządkował sprzęt. Machnął ręką i zatoczył palcami kółko. Aha, mam nie przeszkadzać, tylko samemu się

rozejrzeć – zinterpretowałem gest.

Korzystając z chwili, przeszedłem się po terenie przyszłych olśniewających odkryć. Nasze stanowisko ulokowano niemal w cieniu murów dawnego amfiteatru. Koparka zdjęła najbardziej współczesne warstwy. Obecny bruk, podsypkę, bruk z końca dziewiętnastego wieku... Poniżej znajdowała się warstwa zasypiskowa, zapewne związana z odbudową i adaptacją amfiteatru, która nastąpiła w siedemnastym wieku.

Wykopaliska nie wyglądały szczególnie imponująco. Wytyczono raptem cztery niewielkie wykopy, każdy o wymiarach dwa na siedem metrów. W pierwszym odsłaniano coś, co wyglądało jak relikty kuchni dla personelu albo czegoś w rodzaju lokalu z fast foodem, a może miejsca, gdzie przygotowywano przekąski dla widzów? Z tego, co doczytałem, w drugim spodziewano się równie ciekawych odkryć – radar geologiczny pokazał płataninę murów. Zapewne gleba kryła bliżej nieokreślone budynki gospodarcze. Profesor zakładał, że mogą to być stajnie i zagrody dla zwierząt używanych potem na arenie. Obecnie widać było tylko szarą glebę upstrzoną kawałkami gruzu i kamienia. Naprawdę ciekawe rzeczy kryły się głębiej, może metr poniżej przygotowanej powierzchni.

Obok trzeciego znajdował się zasypany wykop z lat trzydziestych. Odsłonięto wówczas ślady łaźni lub zajazdu, prawdopodobnie wcześniejszego o kilkadziesiąt lat niż arena. W miejscu, gdzie mieliśmy prowadzić badania, można się było spodziewać przedłużenia tego budynku. A płytki sondaż czwartego stanowiska wykazał, że w czasach rzymskich był tam śmietnik, czyli to, co archeolodzy bardzo lubią.

Warto wszystko odsłonić szerokopowierzchniowo, bo to, co robimy, to raczej sondaż, pomyślałem. Zmieniają nawierzchnię, więc jest okazja zajrzeć, co jest pod spodem. Stanowisko nie jest zagrożone, więc poczeka sobie może nawet kolejne sto lat...

Poczułem, że ktoś mi się przygląda. Rozejrzałem się i spostrzegłem sporego kocura, który siadł sobie w jednej z arkad i przypatrywał mi się z góry.

– Pokażę ci mój najnowszy nabytek. – Profesor zdjął plecak z ramienia, rozsznurował i w kilka minut złożył nieduży wykrywacz metali.

Omiatał przez chwilę ziemię, a potem podpiął tablet i pokazał mi na nim trójwymiarowy plan stanowiska z naniesionymi odczytami.

– Nowa generacja sprzętu. Bardzo udany model. Program komputerowy na podstawie GPS robi od razu mapę, nanosząc artefakty. Jasnozielony to przedmioty z brązu, czerwony to żelazne – wyjaśnił. – Spróbujemy teraz powiększyć...

Wyrób z brązu, który namierzył, miał kształt z grubsza wężyka.

– Rozgięta bransoleta albo bardzo duża fibula. Ewentualnie kawałek drutu... – zastanawiał się. – Masa między czterdzieści a siedemdziesiąt gramów.

– A te cętki? – zaciekałem się.

– Jest tu masa drobnych kropli zastygniętego ołowiu, pewnie dach nad najwyższą arkadą był pierwotnie pokryty nie dachówką ceramiczną, tylko cienką ołowianą blachą. Podczas pożaru stopiła się, ba, temperatura była na tyle wysoka, że metal wyparował, a potem schłodzony opadł, jakby ktoś sypnął śrutem. Zwróć uwagę, jak się układają.

– Podczas pożaru wiatr wiał z tamtej strony...

– Też tak mi się wydaje! Archeologia przyszłości! – puszył się, jakby był twórcą tego urządzenia. – Jest tu w glebie też sporo gwoździ... Z różnych epok i różnych surowców.

– To urządzenie rozpoznaje metale?

– Więcej. Ma wbudowany rodzaj spektrometru, pozwala rozpoznać stopy takie jak brąz, cynkał, stop drukarski... Pokazuje, czy srebro jest wysokiej próby, czy ma jakieś domieszki... A czasem nawet rozpoznaje, jakie i ile.

– A zasięg?

– Taki efektywny to, powiedzmy, pół metra... Ale większe przedmioty namierza spokojnie na głębokości ponad metra.

– Ile kosztuje takie чудо? – zapytałem zachwycony.

– Trzydzieści osiem tysięcy euro...

– Hmm... No tak. – Entuzjazm trochę mi minął.

– Psik! – Profesor tupnął na kota, który najwyraźniej zaciekawiony nami, zlął jakoś w dół i teraz przyglądał nam się, siedząc na bryle gruzu. – Nie wytrzymam z tym futrzakiem. Zasadniczo lubię koty, ale ten przybłąda strasznie mnie wkurza. Wszędzie włazi... Moje studentki, zamiast patrzeć w ziemię, gapią się na kota.

– Ładny jest – mruknąłem. – Tricolor... A dziewczyny już tak mają, że lubią dzieci i zwierzęta... Instynkt taki.

Powoli schodziła się reszta ekipy. Profesor przedstawił mnie swoim studentom. Miał na praktykach sześciu chłopaków i cztery dziewczyny. Oczywiście natychmiast pozapominałem imiona... Rozdzielono zadania. Profesor przydzielił mi dwójkę praktykantów i wykop. Punkt ósma wbiliśmy łopaty. Powoli wgrzaliśmy się w głąb ziemi, w głąb przeszłości. Cała wydobyta gleba trafiała na plandeki, miała zostać potem przesiana i rozplukana.

Kot znów przyszedł i obrzucił nas wyniosłym spojrzeniem. Był ładny i poruszał się z gracją, ale faktycznie dezorganizował nam pracę. Przegoniłem go. Poszedł do „sąsiadów”, gdzie dwie studentki przesiewały urobek przez duże sita. My wróciliśmy do pracy, a za to zza

hałdy przez kilka chwil dobiegało radosne szczebiotanie, z którego wyłapałem słowa „piccolo gattino”.

Malutki koteczek!? – zdumiałem się. Wielki, wredny kocur, łeb jak rzepa...

Skupiłem się na robocie. Dłuższy czas nie znajdowaliśmy kompletnie nic ciekawego. Tylko okruchy kamienia, cegły i pojedyncze skorupy naczyń i dachówek z różnych epok. Zagłębialiśmy się w dno powoli. Minęło naprawdę wiele czasu, a i starożytni woleli chyba zakopywać swoje trupy głęboko. Odsłoniliśmy wreszcie zarys rowu. Splantowaliśmy kolejny raz teren łopatami, potem profesor, nie żałując wody, zlał wszystko szlauchem. Poczekaliśmy, aż wsiąknie, i doczyściliśmy grackami. Szara podłużna plama była zapewne zbiorowym grobem ludzi i zwierząt. Przecinały ją dwa jaśniejsze prostokąty przemieszanej ziemi – ślady po wykopach naszych poprzedników, archeologów, którzy kopali tu u progu dwudziestego wieku, a potem ponownie w czasach Mussoliniego. Do końca dnia udało się zejść pół metra w głąb...

Odwaliliśmy z pięć metrów sześciennych, pomyślałem, prostując bolące plecy. Dziesięć, może dwanaście ton ziemi... Popatrzyłem na sita i do stojącej obok plastikowej kuwety na artefakty. Ale dziewczyny nie znalazły niczego ciekawego. Dwie drobne monety z początków dwudziestego wieku, kilka paciorków, trochę skorup, przeważnie nowożytnych...



Kolejne dni upływały na tej samej miłej, ale trochę monotonnej robocie. Profesor co jakiś czas omiatał stanowisko swoim superwykrywaczem. Przesiewaliśmy glebę. We wtorek trafił się spory kawałek ładnej czarki terra sigilata. Była ozdobiona tłoczoną scenką rodzajową. Rzymianie odciskali takie naczynia z gotowych matryc. W Polsce podobne znalezisko byłoby ukoronowaniem dnia badań – tu wzbudziło jedynie przelotne zainteresowanie... Złapałem rytm. Rano kopaliśmy, dopóki słońce nie zaczęło zanadto dokuczać. W południe była sjesta. Po południu kopaliśmy kolejne cztery godziny. Sprzęt na noc składaliśmy do magazynu – wygospodarowano nam spore pomieszczenie pod zewnętrzną arkadą areny. Od strony placu zamurowano je w dziewiętnastym wieku, dostępu do środka broniły solidne stalowe drzwi. Przez jakiś czas był tu magazyn sklepowy, pod ścianami pozostały szafy i regały... Wszystkie nasze graty, cenniejszy sprzęt i ewentualne znaleziska można tu będzie wygodnie porozkładać. Popołudniami włączyłem się z profesorem po mieście. Wieczorami pijałem wino ze



studentami...

Dopiero w czwartek odsłoniliśmy wreszcie coś konkretnego. Najpierw pojawiły się kości niedźwiedzia, potem kilka końskich. Wyczyściliśmy grackami cały obszar. Zacząłem odsłaniać gnaty szpachelką. Przygotowywałem zarazem stanowisko do wykonania dokumentacji fotograficznej. Profesor stanął na krawędzi wykopu i przyglądał mi się z zainteresowaniem.

– Masz do tego wyraźny dryg – zauważył. – Cemu nie zostałeś archeologiem tam u was, w Polsce?

– Przepisy się zmieniły, gdy kończyłem studia. Nie mam prawa wykonywania zawodu – wyjaśniłem.

Pokręcił zdumiony głową. Narysowałem i sfotografowałem gnaty, a potem wyjąłem je i ułożyłem w plastikowych skrzynkach. Jeszcze kilka ruchów gracką i odsłoniłem ludzką łopatkę. Profesor przywołał jedną z dziewczyn i zabraliśmy się do pracy we trójkę.

Kości nie zdradzały imion, ale opowiadały nam historie życia i śmierci tych ludzi. Przedramię ze zgruchotanymi kośćmi, połamane żebra, kawałek złamanego ostrza nadal tkwiący w kości krzyżowej... Czaszka kolejnego była paskudnie wgnieciona. Pęknięcia układały się w prostokąt. Ranny oczekiwał na łaskę, na las kciuków uniesionych do góry. Ale decyzja tłumu żadnego krwi najwidoczniej była inna. Podszedł więc wyznaczony egzekutor w masce etruskiego boga śmierci i dobił go młotem.

Kot przyszedł, popatrzył, co robimy, i poszedł w diabły, to znaczy do sąsiedniego wykopu. Tam najwyraźniej okazywano mu więcej uwagi.

– Ciao, adorabile gattino!

– Bello, simpatico...

– Piccolino!

Odsłanialiśmy ostrożnie, staraliśmy się maksymalnie usunąć glebę, by można było wykonać dokumentację rysunkową i fotograficzną. Ziemia schła szybko, spryskiwaliśmy ją zraszaczami... Nie było łatwo rozdzielić ciała. Szczątki zwalono jedno na drugich; gdy tkanki mięsne wygniły, gnaty ludzkie i zwierzęce pozapadały się w siebie, wymieszały. Kości kolejnych nieszczęśników trafiały do plastikowych skrzynek.

Przy zabitych nie było prawie żadnego wyposażenia – na arenie mieli przy sobie niewiele, a po śmierci obdarto ich ze wszystkiego... Trzeci szkielet, leżący z brzegu, był jakiś nietypowy. Znajdował się przy samym dnie zasypiska grobowego, jedna ręka kończyła się na wysokości łokcia. Zapewne reszta kości została wydobyta podczas poprzedniej eksploracji rowu – przed przeszło stu laty.

– To może być ten od zegarka – powiedział cicho profesor.

Przyjrzałem się znalezisku i kiwnąłem głową, przyznając mu rację. Czaszka wydawała się delikatniejsza niż pozostałe, z jednej strony

została niemal zmiądzona. Odsłoniłem piszczel i kość udową. Zmierzyłem i podałem wynik. Profesor wyjął z aktówki tablice, podstawiał dane do tabel.

– Za życia miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu – powiedział. – Jak na tamte czasy, był nieomal olbrzymem.

– Ale kości cieńsze niż u „sąsiadów” – zauważyłem.

– Popatrz tutaj. – Uczony wskazał mi chropowate miejsca po zaczepach mięśni i ścięgien.

Nie musiał niczego tłumaczyć, sam mogłem ocenić, że ten człowiek niewiele w życiu pracował fizycznie. Na jego kościach nie było śladów po urazach, deformacji, które powstawały w wyniku chorób czy trudnych warunków życia...

– Może to jakiś bogacz, rzymski arystokrata, który podpadł i trafił na arenę jako skazaniec – zauważyłem.

– To możliwe... – Profesor powściągliwie kiwnął głową. – Na kościach gladiatorów często są ślady urazów, złamań i tak dalej.

Wydobyłem z grobu zgniecioną czaszkę. Była ciężka, przez te wszystkie wieki ziemia wnikała do środka, aż wypełniła ją w całości. Oglądałem w skupieniu. Pęknięta od jakiegoś ciosu kość skroniowa. Ślad po cięciu mieczem nad lewym okiem. Krawędzi kości były ostre, w każdym razie nie zaczął się nawet proces zarastania ubytku... Wsunąłem w cięcie kartkę i odrysowałem krzywiznę. Miecz naciął głowę do głębokości maksymalnie dwu centymetrów. Mózg mógł zostać uszkodzony. Czy to było przyczyną zgonu? Niewykluczone, ale równie dobrze mogło być inaczej. Po takim urazie gladiator zapewne stracił przytomność. Nawet jeśli nie, podczas walki krew zalewała oczy... W tej sytuacji stał się łatwym celem.



Wyjąłem zuchwę. Dwa detale nie pasowały mi do tak zwanego

kontekstu antropologicznego. Po pierwsze, zmarły miał zbyt równe zęby. Żadnych wad zgryzu. Po drugie, w miejscu, gdzie trzech zębów brakowało, w kości spostrzegłem otwory i ślady dziwnych przebarwień. Czy był tu kiedyś mostek? Osadzony na implantach?

– Co powiesz? – zagadnął profesor.

– Że nie bardzo jestem w stanie uwierzyć własnym oczom – bąknąłem. – Podejrzewałbym, że to mafia zakopła jakąś ofiarę w zbiorowym grobie gladiatorów, ale warstwy powyżej były nienaruszone...

– Zrób dokumentację, wypreparuj mi kości do skrzynki, zabiorę je potem do pracowni, wyczyszczę i spróbuję coś jeszcze z nich wyczytać. Ziemia na sita... A ja jeszcze poszukam reszty zegarka.

Objechał swoim magicznym wykrywaczem dno wykopu, ale nie znalazł nic podejrzanego. Zadokumentowaliśmy wszystko starannie. Zbliżała się pora sjesty. Zeszliśmy z terenu wykopalisk jako ostatni. Nie chcieliśmy zostawiać tak ciekawego znaleziska pod gołym niebem, wybraliśmy zatem wszystkie kości, odczyściliśmy je z gleby i złożyliśmy w kontenerze. Poskładaliśmy sprzęt, zamknąłem budkę narzędziową na klucz. Profesor zatrzasnął drzwi magazynu i sprawdził, czy na pewno zostały zamknięte. Włosi rozeszli się na obiad do domów, a ja siadłem z profesorem przy stoliku w knajpce o rzut beretem od miejsca naszych wykopalisk.

– Ma pan kolejny dowód... – zacząłem. – No, może nie dowód, ale bardzo mocną poszlakę. Żuchwa ze śladami ingerencji dentystycznej znacznie bardziej zaawansowanej niż w Rzymie. Co dalej?

– To dobre pytanie – westchnął. – Na razie wrzuciłem fotografie do sieci. Zobaczymy, co powiedzą moi uczeni koledzy...

Zjedliśmy makaron z pesto i sosem bolońskim, który zupełnie nie przypominał tego serwowanego w Polsce. Spoglądałem na wysokie mury amfiteatru. Paskudnym miejscem był ten starożytny Rzym... Obrzydliwa cywilizacja, nieludzko okrutna, mieląca ludzi jak maszynka do mięsa. Dla ilu widok tych murów był ostatnim w życiu? Ilu przeszło przez te sklepione korytarze, by zginąć na piasku areny?

– No, zobaczymy, czy są jakieś komentarze. – Profesor wyjął tablet i zalogował się do sieci. Przez chwilę wpatrywał się w ekran. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. – Nie mogę znaleźć... Tak jakby ktoś mi skasował całą stronę – warknął. – Tyle roboty na marne... Ale kto i po co?

– Mam bardzo złe przeczucia... – powiedziałem powoli.

Zrozumiał w jednej chwili. Poblądł i wsadził pod talerz dwa banknoty. Puścił się pędem. Ruszyłem kłusem za nim. Pod magazynem byliśmy może po pięciu minutach.

W pierwszej chwili wydawało się, że wszystko jest w porządku.

Drzwi były zamknięte, tak jak je zostawiliśmy. Ale gdy weszliśmy do środka, od razu spostrzegliśmy, że brakuje połowy żuchwy. Tej ważniejszej połowy. Zostawiliśmy ją na stole...

Profesor złapał leżący na stoliku obok aparat. Karta pamięci była na miejscu, ale ostatnie pięćset fotografii wykasowano.

– Kto i jak!? – syknął po włosku.

– Kto miał klucze?

– Tylko ja i zarządca budynku.

– Zazwyczaj do nowego zamka dają w zestawie cztery klucze. Niektóre firmy pięć. Pytanie, gdzie są dwa lub trzy pozostałe... Tu jest monitoring? – zapytałem.

– Jest na plac i teren wykopalisk... Na same drzwi nie, ale będzie widać, kto podchodził. Jeśli mam kreta wśród studentów, zaraz sprawdzimy.

Skoczył do skrzynki w kącie. Uruchomiłem laptop. Cofnąłem film o czterdzieści minut. Kamera złapała obraz profesora, który podszedł, a po chwili wrócił. Potem już nic. Plac był pusty, nikt nie przeskoczył przez ogrodzenie, nie pojawił się żaden ze studentów. Nad płotem pojawiły się dwie głowy jakichś ciekawskich, ale tylko pogapili się chwilę i zniknęli. Kot przebiegł...

– Nie wierzę w czary! – burknął profesor.

– Może jest jakieś tajne przejście do magazynu? – zadumałem się. – Za którąś z szaf?

– Jedyne wytłumaczenie! Zaraz poszukamy. I pomyśleć, że zostawiłem tu moje cacuszko. – Podniósł wykrywacz i impulsywnie przytulił go do piersi.

Urządzenie zabuczało.

– Ajajaj... Nie wyłączyłem i prawie wyładowała się bateria – mruknął, patrząc na wyświetlacz. – To nic, zaraz się podładuje, a na razie zgram wyniki pomiarów, żeby i to się nie skasowało!

Podpiął urządzenie do ładowarki. Kartę pamięci przełożył do tabletu.

– Na szczęście wszystko jest. – Odetchnął z ulgą. – Ale, ale, jeszcze jeden odczyt – zdziwił się. – To chyba wtedy, gdy leżał w pracowni... Dziwne, wymaga ruchu do pracy.

– A czas nagrania? – zapytałem.

– Gdy byliśmy na obiedzie! Może złodziej go oglądał? Pomachał w stronę jakichś gratów, ale pomyślał, że to zbyt skomplikowany sprzęt, i zrezygnował z kradzieży? Zaraz, gdzieś tu była wizualizacja...

Kliknął coś na ekranie. Obraz artefaktu był zamazany. Ale w polu działania cewki ewidentnie znalazł się jakiś metalowy przedmiot, bo obok plam wyświetlił się wykres kołowy podający charakterystykę stopu.

Masa obiektu: 1371 gramów. Skład: 64 procent tytanu, 11 procent

żelaza, 8 procent miedzi, 7 procent metali szlachetnych, 5 procent ołowiu, 3 procent uranu, 2 procent złota... – odczytaliśmy zbarania.

– Co, u diabła!? Może odczytało dane aparatu fotograficznego albo laptopa... – zdumiał się profesor. – Ale skąd taki dziki skład!? Godzina odczytu...

– To był kot – szepnąłem. – Ten tricolor, który za nami łąził.

– Bzdura, nie miał przecież obroży – powiedział profesor i umilkł.

– Gladiator faktycznie był podróżnikiem w czasie. Coś poszło nie tak... Zginął na arenie. Znaleźliśmy ślady, na które nie mieliśmy prawa się natknąć. Skoro podróże w czasie są możliwe, zapewne ktoś tego pilnuje – rozważałem. – Zorientowali się, że jesteśmy na tropie, i wysłali kota-robotę, żeby posprzątał... My pamiętamy, ale to widocznie bez znaczenia. Twarde dowody wyparowały. Idę o zakład, że w pudełku nie ma też elementów bransolety, a jutro nie znajdziemy tego zapisu ani w komputerach, ani w pamięci urządzenia...

– Brzmi to idiotycznie, ale... – Profesor urwał.

Odsunęliśmy jeszcze wszystkie szafy. Tajnego przejścia nie było. Jediną istotą, która zbliżyła się do drzwi w feralnym czasie – był kot.



Przez kolejnych sześć dni sprzyjało nam szczęście. Znaleźliśmy różności. Czaszkę lwa, w którego oczodole tkwił skorodowany grot włóczni, kubek z brązu, kilka elementów uzbrojenia gladiatorów, kilka szklanych ampulek zawierających pierwotnie pachnidła lub lekarstwa. Odsłoniliśmy relikty budynków zaplecza areny. Były to ciekawe znaleziska. Dziennikarze nasmarowali dwa artykuły, a raz nawet przyjechała do nas telewizja i profesor Cattani oprowadził dziennikarzy, opowiadając o funkcji odsłanianych obiektów. Przez te sześć dni co jakiś czas ukradkiem rozglądałem się wokoło, ale ani razu nie spostrzegłem żadnego kota.



MICHAŁ  
ŚMIELAK

---

## OSTATNI



**G**łuchy stukot dziesiątek młotów mieszał się z jękiem konających, przypominając Tytusowi Labienusowi odległy odgłos nadchodzącej burzy. Jednak tym razem nawałnica się skończyła, huragan panoszący się po Cesarstwie Rzymskim przez bez mała trzy lata wreszcie ucichł, rozbił się o wyszkolone legiony Marka Krassusa. Spartakus zginął przykryty przez pięćdziesiąt tysięcy trupów, a ci, którzy mieli nieszczęście przeżyć, mogli przez ostatnie dni podziwiać najpiękniejszą rzymską drogę, Via Appia, z wysokości krzyża. Nie dane im było jednak bić brawo z zachwytu nad tym cudownym brukowanym traktem, z rękami przybitymi do krzyża jest to ciężka sztuka.

– Długo wam zejdzie? – zapytał Labienus nieznanego mu z imienia centuriona, który nadzorował całą operację. Ukrzyżowanie sześciu tysięcy niewolników na stumilowym trakcie wymagało wojskowej precyzji i zarządzania, zatem nic dziwnego, że pieczę nad tym trzymały legiony rzymskie.

– Już powoli kończymy, wieczorem mamy przybić tych niby ich oficerów przed samymi bramami Rzymu – odpowiedział setnik, poklepując dosiadanego przez siebie konia po szyi.

– Ostatni zaszczyt w życiu? – zakpił Tytus, a oficer z uśmiechem skinął głową. – Macie ich tu gdzieś?

– Tak, codziennie przywozimy wszystkich, żeby się napatrzyli, zanim przyjdzie ich kolej. Niech wiedzą, co ich czeka.

– Trzy lata wolności, a potem na krzyż. Ciekawe, ilu żałuje swojej decyzji. Zaprowadź mnie do nich.

– Tak jest, trybunie Labienusie.

Podjechali do rozbitego nieopodal obozu wojskowego, w którym stacjonowali legionieści pilnujący porządku podczas całej operacji. Niewolnicy, podzieleni na sześćosobowe grupy, byli skuci łańcuchem, jednak nie wyglądali na wygłodzonych czy torturowanych. Poszarpane odzienie i harde miny stanowiły jedynie wspomnienie o potędze ich buntowniczej armii. Niektórzy dowcipkowali, rzecz niby niestosowna tuż przed ukrzyżowaniem, jednak ileż jest tych stosownych? W końcu ta właśnie grupka skazańców to w większości gladiatorzy: ludzie, dla których śmierć była codziennością, mogła stanowić zwieńczenie praktycznie każdego dnia.

– Wyglądają lepiej niż podczas bitwy – skwitował widok Tytus.

– Z rozkazu Marka Krassusa dbamy o nich, żeby mieli dużo siły, będą przez to dłużej zdychać – wyjaśnił centurion nie bez uśmiechu.

– Słusznie – uznał zadowolony Tytus. – Przenikliwość Krassusa wysoko go zawiedzie.

– Szukasz kogoś konkretnego, trybunie? – zapytał oficer.

– Widzę, że nie tylko Krassus jest przenikliwy – roześmiał się Labienus. – Tak, szukam. Otóż organizuję małą arenę na uroczystości fetujące zwycięstwo nad buntownikami. Chciałbym, aby moi goście zaznali tego, czego już od dłuższego czasu im brakowało. Walk gladiatorów. Świat wraca do normalności, trzeba to nie tylko uczcić, ale i odpowiednio obwieścić. – Spojrzał na centuriona z obawą, że ten przejrzał podstęp. Co prawda kłamał prawie tak dobrze, jak walczył, jednak lepiej czuł się z mieczem w dłoni.

– Zatem szukasz gladiatora, który uświetni to przyjęcie... Powiem tylko, że nie jesteś pierwszy. Kilku już zostało zabranych przez naszych obywateli czy wykupionych przez właścicieli szkół gladiatorских. Niestety, muszę cię zmartwić, ale ci niewolnicy głośno deklarują, że już nigdy nie staną na arenie. Wolą śmierć.

– Tak, wiem, słyszałem. Jednak chcę jednego z nich, konkretnego, z którym przyszło mi się zmierzyć u brzegów rzeki Silarus, w chwili gdy zdychał Spartakus. Jestem pewien, że będzie chciał rewanżu.

– Sam staniesz do walki? – zapytał z niedowierzaniem centurion.

– Pokonałem go raz, pokonam i kolejny. A jeśli zginę, to stanowisko trybuna będzie do objęcia. Możesz się ubiegać.

Oficer zmieszał się i szybko wrócił do konkretów.

– Kogo zatem szukasz?

– Jego. – Tytus wskazał palcem niewysokiego, krępego, mocno zbudowanego mężczyznę. Orzechowa skóra opinała napięte mięśnie, a brązowe oczy rzucały wyzwanie każdemu, kto tylko ośmielił się w nie spojrzeć. – Traka o imieniu Tadius.

– Strasznie cichy – skwitował centurion. – Nawet myśleliśmy, że



kiedyś wycięto mu język. Jednak twarda sztuka, powalił trzech ludzi, zanim dał się zakuć w kajdany. Gdyby nie rozkaz Pompejusza, że każdy z tych psów ma zdechnąć dopiero na krzyżu, to nie stałby już tutaj.

– A walczy niczym lew – dopowiedział Tytus. – Będzie piękne widowisko.

– Dobrze, niech twoi ludzie go odepną i przykują do wozu. Dopóki jest na terenie obozu, odpowiadam za niego. Nie chcę tutaj uciezki.

– Zgoda, jednak tacy jak oni raczej nie uciekają. Mógł to zrobić podczas bitwy, jednak został do końca.

Labienus podszedł do skutego niewolnika na taką odległość, by łańcuchy zapewniały mu bezpieczeństwo. Trak spojrział mu w oczy. Nie skwitował spotkania ni słowem, tylko lekko się uśmiechnął.

Podobnie uśmiechał się podczas bitwy, tylko że wtedy miał w prawej ręce miecz, lewa osłaniała go tarczą. Zerwana z gladiatorskiego hełmu zasłona odkrywała zakrwawione oblicze i ten łobuzerski uśmiech. Wiedział już, że sprawa jest przegrana, znał finał tej opowieści, a jednak uderzył mieczem o tarczę i ruszył wprost na Tytusa. Musiał być cholernie zmęczony, bitwa trwała już długo. Właściwie nie bitwa, lecz rzeź. Dokładnie zaplanowana rzeź, należy dodać.

O poranku armia Spartakusa stanęła w równej linii, czekając na sygnał do ataku. To już nie była bezmyślna hołota, lecz prawdziwa armia, dowodzona przez weterana, skoncentrowana i posłuszna. Tytus był pewien, że Spartakus musiał wcześniej walczyć z Rzymianami, zanim został gladiatorem; pewnie nie raz kierował potyczką, a może i bitwą. Taktyka buntowników była mieszanką tej stosowanej przez Traków i Rzymian właśnie. Jednak brakowało im jednej rzeczy, która pozwoliła legionom podbić bez mała cały świat: karności. Każdy legionista wiedział, że jest tylko jednym mieczem i jeśli nie będzie działał według ściśle opracowanych zasad, umrze. Siłą legionów była taktyka, metodyka i staranne planowanie.

Tę lekcję właśnie mieli odebrać buntownicy.

– Będą porywczy – powiedział krótko Krassus podczas przygotowywania taktyki. Siedzieli w jego namiocie, popijali wino i po raz chyba dziesiąty powtarzali swój plan. – Są rozochoceni i mają się za bogów, niezniszczalnych wojowników, do tej pory wygrywali. Uderzą pierwsi, uderzą mocno i brutalnie, podobnie jak to robili poprzednio. Na środku ustawią najlepszych i najdzielniejszych. Po bokach słabszych. Skrzydła wzmocnią konnymi, żeby ci słabsi nie uciekli ze strachu. Uderzą tam, gdzie chcemy, bo inaczej nie będą mogli. A my będziemy przygotowani.

Pokora dała zwycięstwo. Pokora, o której za pierwszym razem Marek Krassus zapomniał i przegrał. Teraz jednak pochylił głowę, wypędził ze swego namiotu butę – i był gotów zwyciężyć.

Umocnił obozowisko, przyszykował pułapki, skrzydła zostały okopane dołami, by konni nie mogli uderzyć z pełną mocą. Zakazał legionistom atakować, mieli się bronić i wykrwawiać buntowników.

– Środek będzie zajęty walką, bo tam rzucimy nasze najlepsze centurie. Gdy skrzydła zatrzymają się na okopach, dorżniemy je z dystansu, a wtedy słabe boki wpadną w popłoch. Środek im nie pomoże, będzie odcięty. Wtedy będziemy mogli zacząć rzeź.

Dokładnie tak się stało.

Po pierwszym impecie bitwa przerodziła się w ciąg chaotycznych starć, w kilka tysięcy małych aren. Jednak tutaj gladiatorzy przegrywali, walczyli nie w amfiteatrze, nie jeden na jednego, ale tak, jak potrafi tylko żołnierz rzymski: w tłumie, ścisku, wrzasku, ale ramię w ramię z przyjacielem. Zatem starcia były krótkie, a legioniści cięli, zbierali żniwo, szli dalej.

Widząc, że przegrywa, Spartakus miał dwa wyjścia: uciec lub zabić Marka Krassusa. Wybrał oczywiście to drugie i ruszył w stronę rzymskiego wodza.

Nim do niego dotarł, otrzymał cios w udo, zabito pod nim konia. Wtedy na pomoc ruszył mu właśnie Tadius, a na jego drodze stanął Tytus Labienus. Trybun był wypoczęty, do tej pory nie angażował się w walkę. Nie został poobijany, nie mdlały mu ręce, nie drżały nogi, nie rzeziły płuca, ale też nie gotowała się w nim bitewna krew. Trzeba jednak powiedzieć jedno: Tytus, nawet gdyby spotkał Tadiusa wypoczętego i wyspanego, poradziłby sobie bez problemu. Walkę kochał bezgranicznie i ona odpłacała mu tym, czym może odpłacić tylko rozpieszczana kochanka: bezwzględnym posłuszeństwem. Świadom swojej przewagi, postanowił nie zabijać przeciwnika, ale udowodnić mu, że to dla niego jednak zbyt wysokie progi.

Uniknął zarówno ciosu mieczem na szyję, jak i następującego natychmiast po nim uderzenia tarczą. Piękna i groźna kombinacja, lecz zarazem ryzykowna, bo odsłaniała bok atakującego, co trybun z zimną krwią wykorzystał, powalając przeciwnika wysokim kopnięciem.

Tadius padł na kolana, jednak wiedziony instynktem i wyszkoleniem, przeturlał się i wstał zasłonięty tarczą. Był naprawdę dobry.

Nie rzucił się do ataku, łapał oddech. Tytus podszedł i zaatakował trzema podstawowymi ciosami: dwa krzyżowe cięcia na głowę, po czym sztych. Po sztychu był wysunięty do przodu, odkrywał cały bok i każdy przeciwnik powinien to wykorzystać. Nie inaczej stało się i teraz. Gdyby Trak był wypoczęty, pewnie nie dałby się wciągnąć w tę szkolną pułapkę, ale zadziałał odruch. Po dwóch unikach zbił sztych i wyprowadził cięcie od dołu, które powinno rozplatać szyję przeciwnika.

Trafił jednak w pustą przestrzeń, bo Tytus Labienus po prostu padł

na ziemię i uderzył go głowicą miecza w kolano. Ból był okrutny, gladiatorowi zrobiło się jasno przed oczami i padł, czując w ustach piasek. Po kolejnym ciosie, tym razem w głowę, obudził się dopiero po bitwie.

To było tydzień temu, ale dziś tak samo paliło słońce, a krzyki krzyżowanych niewolników łudzaco przypominały krzyk walczących.

– Jak kolano? – zapytał Tytus.

– Nie najgorzej, dziękuję za troskę – odpowiedział Trak. – Jestem pewien, że w ciągu najdalej dwóch dni dolegliwości całkowicie ustąpią. – Spojrzał wymownie w stronę najbliższego krzyża, na którym rosły niewolnik pluć krwią, złorzecząc Rzymianom, ich córkom, matkom, ojcom i wszystkim powinowatym.

Trybun również zerknął na krzyż i głęboko westchnął z udawanym żalem.

– Niestety, mam złe wieści – oznajmił, patrząc już Tadiusowi prosto w oczy. – Kolano będzie ci doskwierać nieco dłużej.

– Zabierasz mnie? – zapytał jeniec, patrząc na zdejmowane kajdany. – Znowu będzie uciecha, gladiatorzy wkraczą na arenę?

– Każdy wkracza tam, gdzie mu pisane.

– Proszę, nie dość, że wojownik, to jeszcze filozof.

– Proszę, nie dość, że buntownik, to jeszcze śmieszek.

– Każdy ma dwie natury. W naszym przypadku za jedną odpowiada Mars. Myślisz, że mile jest jego uszom słyszeć sześć tysięcy gardeł swoich synów wydających śmiertelny krzyk konającego?

– Nie mieszajmy w to bogów. To nie ofiara dla nich. To nawet nie jest ofiara dla Rzymu. To jest kara. Jeśli niewolnik podniesie rękę na swojego pana, wtedy ginie on i wszyscy niewolnicy z tego domu. Raczej spotkała was łaska. Powinno tutaj być sto tysięcy krzyży.

– Cieszę się, że tak mówisz – odpowiedział Trak, przypinany do wozu.

– To wszystko jest tak banalnie proste. Wy nas więzicie, my wam uciekamy, wy na to nie pozwalacie. Byle nikt do tego nie dorabiał ideologii.

– Niestety, do wielkich zdarzeń jakiś głupiec zawsze dorobi ideologię. Zawsze swoją. Spal świątynię: ręka bogów, kara za czyny. Ochroń świątynię: ręka bogów, nagroda za czyny. Tak ten świat działa.

– Nie masz bogów w poważaniu.

– Żadnego nie widziałem. Koniec tych rozmów, jedziemy.

Trybun wydał rozkaz swojemu orszakowi i ruszyli do jego willi. W końcu mógł przestać grać. Od innych jeńców dowiedział się przecież, kim był Tadius, zanim został niewolnikiem. Gdyby centurion też to wiedział, nie wydałby pewnie Traka tak łatwo. A wtedy trybun straciłby ostatnią deskę ratunku.

W willi kazał go wykąpać, nakarmić i stosownie przyodziać.

Gladiator nie protestował. Może doceniał te chwile, może miał nadzieję na lepszy los, może po prostu był głodny. Kto nadąży za myślami niewolnika. Gdy Labienus dostał sygnał, że Tadius jest już gotowy, sam po niego poszedł.

– Nie chcę walczyć – rzucił na wstępie niewolnik.

– Dlaczego? – zapytał Tytus przekornie.

– Nie lubię.

– Dobrze walczysz. Szkoda marnować talent.

– Nie walczę dobrze, pokonałeś mnie w kilka chwil.

– Ja każdego pokonuję w kilka chwil. Nie sugeruj się tym. Ale zapytam: jeśli nie chcesz walczyć, to co chcesz robić?

– A czego ode mnie oczekujesz? Wykorzystujecie niewolników do walki, zasilacie nami domy rozpusty, świątynie, kopie my dla was rowy, uprawiamy ziemię, wychowujemy dzieci, czyścimy latryny, pilnujemy bydła i innych niewolników, składacie nas w ofierze. Niektórzy wysyłają gladiatorów do łóżka swoich żon, żeby spłodzili im mocnego syna. Zatem czym mogę służyć?

Na Tytusie Labienusie przemowa nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Tak wyglądał ten świat, tak zostało to zapisane. Jedni rodzą się wojownikami, inni niewolnikami, czasem los przekornie zmienia jednych w drugich.

– Byłeś w szkole gladiatorów w Kapui? – zapytał Traka.

Tadius skinął głową. Trybun zdecydował się wreszcie na szczerść.

– Z tego, co wiem – zaczął wolno – rzadko wysyłano cię na arenę, bo masz inny talent. Podobno potrafisz poskładać do kupy każdego gladiatora po walce... Składanie kości, opatrywanie ran, niektórzy ponoć wręcz wracali z martwych. Podobną funkcję pełniłeś u boku Spartakusa.

– Dużo wiesz. Byłem pewien, że mamy w swoich szeregach szpiegów.

– My u was, wy u nas. Tak to jest na wojnie. Ale jak widzę, szpiegzy nie kłamali?

– Gdyby ktoś na targu niewolników spytał mnie, w czym jestem dobry, miałibyście najlepszego lekarza w Rzymie. Ale wy nie złożycie swojego życia w ręce byle niewolnika.

– Nie sądz wszystkich jedną miarą. Wielu legionistów szanuje niewolników, bo sami mogą się nimi stać. Wystarczy jedna przegrana potyczka na dalekiej prowincji i podzielimy wasz los. Zresztą gadamy tutaj, a czas ucieka. Chodź za mną. Sam zobaczysz, na ile jestem w stanie ci zaufać.

Przeszli raptem trzy komnaty dalej, do jasnego pomieszczenia, którego centralnym punktem było łóżko osłonięte siatką przed owadami. Spoczywała w nim młoda dziewczyna, blada, złana potem, co chwila wstrząsały nią drgawki. Pot z czoła ocierała jej czarnoskóra niewolnica, wyraźnie zmartwiona stanem pacjentki. Nic dziwnego,

mamki mocno wiązały się ze swoimi podopiecznymi, traktowały ich jak własne dzieci.

– To moja córka Aurelia – powiedział cicho Tytus. – Uczyła się jeździć rydwanem, oczywiście mimo mojego zakazu. Niestety, jak widzisz, nie jest to bezpieczne zajęcie dla młodych dziewczyn. Spadła z wozu wprost pod kolejny.

– Dziwnym jesteście ludem – powiedział Tadius. – Wysoko rozwinęliście sztukę i wojnę, a leczenie wciąż ogranicza się dla was do okładów z kapusty i pojenia winem, modłów i złożenia wszystkiego w ręce pater familias.

– Nie czas na mędrkowanie – rzucił twardo trybun. – Opatrz ją i powiedz, czy jest nadzieja. Odkupiłem za niemałą kwotę twoje narzędzia, którymi posługiwałeś się w leczeniu buntowników. – Wskazał na skórzany worek leżący koło łóżka. – I pewnie teraz zechcesz postawić ultimatum. Jestem na to gotów. Powiedz cenę.

– Moja cena? Miło, że pytasz, mogłeś przecież po prostu mi rozkazać, prawda? Zatem moja zapłata: po zabiegu, niezależnie od jego efektu, będę mógł zdecydować o swoim dalszym losie.

– Chciałbym, żebyś przypilnował jej leczenia, został, aż wydobrzeje. Następnie możesz zrobić, co zechcesz, wyposażę cię nawet na drogę.

– Tytusie, taka jest moja wola, jako jeszcze niewolnika. Po opatrzaniu twojej córki sam zadecyduję o swoim losie. Jeśli się nie zgadzasz, możesz mnie zabić tu i teraz, możesz też odesłać na krzyż.

– Nie mam wyjścia, jak widzę. Niech tak będzie. Mam nadzieję, że jednak zechcesz skorzystać z mojej gościny.

Tadius nie odpowiedział, podszedł do dziewczyny i odkrył prześcieradło. Nie wyglądało to dobrze, a szczerze powiedziawszy, wyglądało bardzo, ale to bardzo źle.

– Potrzebuję wina, miodu, octu. Weźcie dwa prześcieradła lniane, gotujcie je przez pół godziny, potem szybko wysuszcicie. Poicie ją makowym opium?

– Tak. – Niewolnica skinęła głową.

– Nie przestawajcie. Ma spać i nie czuć bólu. Dodatkowo potrzebuję tutaj gorącej, gotującej się wody. I najsilniejszego mężczyzny, jakiego masz w domu. Dodatkowo kilka wąskich desek lub wysuszonych kijów, twardych, nie sprężystych.

Labienus wyszedł i gromkim głosem zaczął wydawać rozkazy domownikom. Tymczasem Trak przyglądał się Aurelii i był pewien kilku rzeczy: dziewczyna nie będzie już nigdy zgrabnie chodzić, pewnie może zapomnieć o tańcu. Nogi były połamane w kilku miejscach, na szczęście bez otwarcia skóry. Ręce połamane, żebra też, biodra chyba całe. Upadek z rydwanu mógł także uszkodzić kręgosłup, ale tego się nie dowiedzą, dopóki dziewczyna się nie obudzi. Na szczęście głowa była

cała, chociaż mocno potłuczona.

Złamany nos doda jej charakteru, uszczknie urody. Rozcięcia wyglądały paskudnie, rany już zaczęły się goić i trzeba będzie je otworzyć i oczyścić. Pozostaną blizny. Jeśli przeżyje. Tadius już dawno zauważył, że złamania są paskudną i zdradliwą rzeczą, drobinki odpryśniętych kości potrafią zakazić ciało, spowodować nagłą śmierć pacjenta, szczególnie jeśli po kontuzji długo leży w bezruchu.

– Pewnie tak bogaty patrycjusz posiada w piwniczce lód albo śnieg? – zapytał wracającego Tytusa, starając się pozbawić głos kpiny. Takie rarytasy sprowadzano z Alp i kosztowały więcej niż wino, ale znajdowały się w większości domów bogatych obywateli.

– Tak – odparł sucho trybun.

– Każ przecierać jej czoło i nogi zimnymi ręcznikami. Musimy zbić gorączkę, jednak tylko na tyle, żeby nie zagrażała życiu. Skóra ma być cieplejsza niż zwykle, nie gorąca, nie zimna. Gorączka jest dobra, jeśli nad nią zapanujesz.

Labienus wydał kolejne rozkazy, a Tadius rozpoczął walkę o życie dziewczyny. Najpierw przez rurkę sam wlał jej do gardła odpowiednią ilość makowego. Potem wygonił z komnaty wszystkich domowników oprócz mamki i rosłego niewolnika, najpewniej pochodzącego z Germanii. Wy tłumaczył mu, na czym polega nastawianie złamanych kości, i we dwóch poczuli się siłować z dziewczyną.

Trak wiedział, że ten widok nie jest przeznaczony dla bliskich, żaden świątły Rzymianin nie zrozumie tych zabiegów. Po nastawieniu kości nóg i rąk otworzył i oczyścił wszystkie rany, na szczęście żadnej nie trzeba było przypalać ani zszywać, nie widział także oznak zakażenia. Założył opatrunki i usztywnił połamane kości. Pracował bez chwili wytchnienia do zmierzchu. W tym czasie czarnoskóra niewolnica cały czas schładzała ciało dziewczyny.

– Nie podawajcie jej już żadnego maku. Gdy się wybudzi, natychmiast mnie zawołaj – rozkazał kobiecie. – Chociaż do rana raczej nie powinna oprzytomnieć.

– Wydobrzeje? – zapytał Tytus.

– Jeśli się obudzi do świtu, pewnie wydobrzeje, ale teraz wszystko już w rękach bogów.

– Moich czy twoich?

– Nieważne, byle zwrócili na nią uwagę. Musimy odpocząć.

Tadiusowi wskazano komnatę do odpoczynku, czekała tam na niego wieczerza. Usnęła szybko.

Rankiem obudziła go czarnoskóra mamka, szarpiąc za ramię. Po jej uśmiechu zorientował się, że dziewczyna się obudziła, dobry znak. Zarzucił swój worek z narzędziami na ramię i ruszyli do komnaty Aurelii. Czekal tam już Tytus Labienus, klęczał obok wezglowia i głaskał

córkę po włosach.

Trak podszedł do łóżka, skinął trybunowi i zwrócił się do Aurelii:

– Jak mam na imię?

– Nie wiem – wyszeptała dziewczyna.

– A ten mężczyzna obok? – Wskazał na zdziwionego Tytusa.

– To mój ojciec – odpowiedziała bez zająknienia.

Dobrze, głowa faktycznie była cała. Zaniki pamięci czy pomieszenie rozumu po takich urazach były dość powszechne.

– Boli?

– Tak.

– Co boli?

– Wszystko. – Uśmiechnęła się blade.

Wyjął igłę z przybornika i ukłuł ją w palec u nogi.

– A teraz boli jeszcze bardziej – wyszeptała.

– Rusz palcami u stóp.

Poruszyła i syknęła z bólu.

– A teraz u rąk.

Poruszyła i nawet chwyciła delikatnie ojca za palec.

– Świetnie – uśmiechnął się Tadius. – Bogowie nad tobą czuwali. Chociaż myślę, że najbliższe tygodnie wybiją ci z głowy rydwany do końca życia. – Odwinął bandaż, rany były czyste, bez ropy. Mocny organizm młodego człowieka. – A dla twoich opiekunów kilka zaleceń. Codziennie zmieniać bandaż na czyste, wcześniej wygotowane. Łubki na kościach usunąć za trzy tygodnie, wcześniej nie wolno jej wstawiać. Każdego ranka i wieczora musicie z nią ćwiczyć: ma ruszać palcami, nawet mimo bólu, ma zginać kolana i łokcie, na szczęście te nie są zmiążdżone. Ma pić trzy razy dziennie wino z miodem, żeby oczyszczać krew. Za trzy tygodnie może wstać i ostrożnie od nowa uczyć się chodzić, najlepiej z pomocą specjalnych kul, których rysunki wam przygotowuję.

Labienus wstał i wziął gladiatora pod rękę, wyprowadził z komnaty.

– Zostań, dopilnuj, żeby wróciła do zdrowia – powtórzył mocnym głosem. Brzmiało to nie tyle jak prośba, ile raczej dobra oferta handlowa.

– Mieliśmy umowę, trybunie – odparł Tadius. – Mogę sam zadysponować swoim losem.

– Tak, wiem, dlatego nie każę, nie grożę, tylko składam propozycję.

– Wasza duma i traktowanie ludzi z góry... Nawet nie zapytasz, jaką podjąłem decyzję co do mojego losu. A może właśnie chcę zostać, dołączyć do twoich domowników? Dbać o was i o twoich niewolników, żeby mieli lepszy los niż ci pozostali? Żebyś pozwolił mi leczyć innych niewolników, ulżyć im, opatrywać gladiatorów? Zanim uczyniono mnie gladiatorem, w Tracji byłem kapłanem i lekarzem zarazem. Mam dużą

wiedzę i łaskę bogów.

– Zatem niech będzie. – Tytus się uśmiechnął.

– Ale to nie jest moja wola. Powiedziałem, że może takiego losu bym chciał. Ale nie chcę.

– A więc czego pragniesz? – burknął trybun, niechybnie tracąc cierpliwość.

– Odwieszysz mnie tam, skąd mnie zabrałeś. Chcę spojrzeć na Rzym z wysokości krzyża i umrzeć razem z moimi braćmi.

Tytusa zamurowało. Nieczęsto się zdarzało, aby tracił rezon i pewność siebie, ale teraz był pewien, że niewolnik sobie z niego żartuje.

– Mogę cię zabić tu i teraz! – krzyknął.

– Zrób to, ale złamiesz swoje słowo. A złamanie obietnicy jest złym omenem, nie robiłbym tego.

– Nie rozumiem, jak możesz chcieć umrzeć w męczarniach, zamiast zostać w tym domu? Gwarantuję ci spokojne i dostatnie życie do samej śmierci. Zostań choć do momentu, gdy Aurelia będzie zdrowa, a dam ci nawet wolność. Głupcze!

– Zostanę tutaj i będę leczył Rzymian? O nie. Tak by się to skończyło, sława o mnie szybko się rozniesie i zaraz co bogatsi przyjdą oglądać mnie jak małą na ramieniu kuglarza. Ludzie, którzy przyczynili się do śmierci wszystkich moich braci, wystawią swoje owrzodzone tyłki, żebym ich leczył. Nie, nie po to trzy lata stawałem u boku Spartakusa, żeby dziś zostać psem na usługach Rzymian. Decyzję podjąłem już w momencie buntu. Nie zmienię jej. Na wolności także nie zaznam spokoju; jak mam go zaznać, gdy wyrznięliście pięćdziesiąt tysięcy ludzi nad Silarus, a kolejne sześć tysięcy przybiliście wzdłuż Via Appia? Nie ma dla mnie wolności, bo jestem teraz niewolnikiem tych tysięcy, które zabiliście.

– Jesteś głupcem.

– W innych warunkach byś mnie zrozumiał, bo kto może wiedzieć więcej o braterstwie niż żołnierz? Wspólnie przelana krew łączy na zawsze. Teraz jednak patrzysz na mnie oczami człowieka, który oferuje łaskę. Pamiętaj, trybunie, że łaskę okazuje się tylko pokonanemu. I nigdy się jej nie ufa. To wasi filozofowie mówią, że zaszczyty zmieniają obyczaje.

– Dobrze, zatem chodźmy – rzucił sucho trybun. – Zdasz jeszcze zawisnąć na ostatnim krzyżu przed bramami Rzymu. Będziesz ostatni, a to chyba zaszczyt.

Tadius uśmiechnął się lekko i sięgnął w odruchu po swoją torbę, po czym głucho jęknął. Z niedowierzaniem spojrzął na bok, z którego wystawał sztylet trzymany przez trybuna. Dech uciekał z płuc Traka, nie mógł nawet krzyknąć.



– Mnie się nie odmawia – wycedził przez zęby Tytus. – I nie rozkazuje ani nie poucza. Zdechniesz tutaj, bez braci, bez honoru.

Tadius osunął się na zimną posadzkę. Mimo bólu uśmiechnął się, słysząc głosy tysięcy wołających go do siebie. Patrzyli na Rzymian z góry, z wysokości krzyża, i wiedzieli, że było warto.



MICHAŁ  
GOŁKOWSKI

---

SOL INVICTUS



**K**roki podkutych sandałów odbijały się echem w przeogromnej przestrzeni łukowato sklepionych korytarzy, rezonowały od pokrytych tynkiem ścian.

Świeża farba lśniła wilgotną warstewką w chybotliwym, niepewnym blasku kaganka; wyszlifowane i wypucowane płyty marmurowej podłogi wciąż pokrywała cieniutka warstwa pyłu.

Centurion, ubrany w przyduży pancerz i kurewsko niewygodny, idiotyczny hełm z poprzecznym grzebieniem, zawahał się, zatrzymał na przecięciu dwóch korytarzy.

Które to było skrzyżowanie, zaraz... Wszystko wyglądało tak samo, a w tym świetle naprawdę trudno było się zorientować.

Podniósł kaganek, poświecił na wykute w marmurowej płycie litery.

– Em ce em iks myślnik ce fał i i... – przeczytał po kolei. – Czyli ile na ile, do cholery jasnej?

Obejrzał się przez ramię, strzelił oczami w lewo i prawo. Upewniwszy się, że jest sam, sięgnął za pazuchę i wyciągnął złożoną na osiem razy, zafoliowaną kartkę z wydrukowanym na igłówce planem.

– No dobra, tutaj... Aha, czyli dalej tym korytarzem – mruknął sam do siebie, chowając o tyle kompromitującą, co niezbędną pomoc.

Raz jeszcze rozejrzał się, poprawił hełm, położył dłoń na głowicy wiszącego u boku gladiusa. Trzymając głowę wysoko i udając, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, ruszył odpowiednim przejściem.

Domus Aurea coraz wyraźniej nabierał wymaganych od niego kształtów i funkcjonalności, powoli wracając do roli tego, czym miał być:

luksusowej, pełnej przepychu, bajecznie bogatej rezydencji.

Większość ścian i podstawowych elementów nośnych już przywrócono, w tej chwili pracujące na górze ekipy kopaczy kończyły odsłanianie kolejnej sekcji stropu. Na zewnątrz już czekały zeskładowane materiały wykończeniowe, pod plandekami spoczywała ogromna liczba przygotowanych dokładnie wedle kosztownych wzorców mebli i utensyliów.

Ile to mogło potrwać? W ciągu tygodnia, może dwóch...

– Ahem – odchrząknął głośno centurion, zasłaniając usta pięścią. – Ahem, ehem. Hry, yhyhy.

...w ciągu kilkudziesięciu zmian powinni dać radę odkryć sklepienia, a potem skuć nabudowane na ścianach nośnych łuki. Jak tylko to przygotują, inżynierowie rozbiorą ściany działowe i zaczną stawiać konstrukcję nowego, a w zasadzie starego dachu.

Tak, to dopiero będzie coś. Ale na razie ta część rezydencji pozostawała pod ziemią, światło słoneczne ledwo, ledwo tu docierało i trzeba było radzić sobie z kagankiem.

Minął kolejny korytarz, przeciął zastawioną drewnianymi rusztowaniami robotników salę. Tylko kilka niewielkich światełek pełgało gdzieś wysoko w ciemności, mdły blask wyciągał z czerni zarysy sylwetek. Dało się słyszeć szuranie miękkich butów, od czasu do czasu ktoś sapnął albo stuknął rozcierakiem o dno moździerza.

– Kto tam? – odezwał się jeden ze stojących przy drzwiach legionistów, ale zaraz rozpoznał centuriona. – Ach, to wy, Flaccidusie. Wybaczcie, słabo was widać.

– Spocznij, żołnierzu. Mam ważną wiadomość dla Archistratigosa.

Tamten tylko przełknął ślinę, kiwnął głową i pociągnął za solidny spiżowy uchwyt. Skrzydło ogromnych wrót zajęczało, uchyliło się. Centurion wcisnął się w powstałą szczelinę, na chwilę jeszcze spotkał się wzrokiem z legionistą.

– Powodzenia – szepnął szeregowiec, a kiedy przełożony schował się po drugiej stronie, zamknął drzwi.

Huknęły zamykające się wierzeje, centurion został sam po drugiej stronie. Niby było tutaj tak samo, a jednak... Jednak było zdecydowanie inaczej. Powietrze zdawało się wręcz gęste, coś wibrowało niezauważenie na granicy słuchu i krawędzi postrzegania. Trochę tak, jakby siedząc, człowiek na poły słyszał, na poły czuł, że u sąsiada za ścianą gra ściszone do zera telewi...

– Ehhehekhy, yhyhy! Ahhrhem! – odkaszlnął głośno Flaccidus. – Avemaria, Avemaria! Deus vult! Kyrieleison, doxa tou Theou!

Słowa odbiły się echem od sklepienia, zamarły gdzieś w trzewiach korytarza. Oby tylko jego myśli nie odbijały się tak daleko i szeroko...

Postał tak chwilę, bojąc się nawet poruszyć. Wreszcie zebrał się na

odwagę, podniósł nogę i zrobił krok, potem drugi, trzeci i kolejny.

Szedł, starając się nie myśleć. Nie zwracać uwagi na narastający w uszach pisk i szum krwi, na łomoczące w piersiach serce. Usiłował nie koncentrować się na tym, że sam zaczyna oddychać coraz płycej, bardziej urywanie, spazmatycznie.

Nie chodziło tylko o wiszący w powietrzu, zatykający dech, przyprawiający o mdłości i zawroty głowy, ciężki, słodkawy smród rozkładającego się ciała. Pałące się w wielkich złotych misach kadzidło nie maskowało zaduchu, zamiast tego raczej dociążając już i tak lepką woń, która teraz owijała się wokół włosów i osiadała na ubraniu.

Kontrastowało to rażąco z wystrojem samego wnętrza. Tutaj wszystko było dopasowane do najmniejszego szczegółu: geometryczne malowidła naściennych stiuków pyszniły się szkarłatem, żywą zielenią i złotem, precyzyjnie rozmieszczone źródła światła rzucały idealnie wyliczone cienie w taki sposób, aby jeszcze pogłębić perspektywę i tak już imponującego miejsca. Wypolerowana na wysoki błysk podłoga aż lśniła, odbijając każdy refleks światła.

Flaccidus mijał właśnie TO miejsce, chciał odwrócić wzrok.

Jak zwykle zresztą powtarzał sobie: nie patrz, nie patrz, nie patrz tam.

I zawsze, ale to zawsze jak ostatni dureń zerkał w bok.

Mimo że sterowana przez mózg głowa obracała się w jedną stronę, to zdradzieckie oczy uciekały w inną. Dosłownie wiedzione tą przysłowiową zgubną ciekawością, która kazała durnej babie sięgnąć po to pieprzone jabłko.

Ciemny, tchnący grozą prostokąt wejścia, na krótką chwilę oświetlanego przez chybotliwy płomyk kaganka. Wyciągane z mroku pokręcone, groteskowo powyginane kształty tego, co niegdyś było ludźmi, takimi samymi jak on.

Oddychającymi, śmiejącymi się, myślącymi ludźmi. Zajętymi własnym życiem. Przekonanymi, że kontrolują swój los i mają na cokolwiek wpływ.

Teraz? Jak zużyte jednorazowe szmaty, zmięte i ciśnięte w bok, na stertę odpadków.

Hałda rosła za każdym razem, gdy tu był. Tak, wiedział doskonale, że chłopcy z piątej centurii sprzątaj ją od czasu do czasu, dwukółkami wywożąc ciała nad brzeg Tybru... Tyle że przybywało ich szybciej, niż nadążali utylizować.

„Utylizować”. Centrurion zadrzał. To słowo pojawiała się ostatnio coraz częściej. Kiedyś, gdy usłyszał je pierwszy raz, pomyślał sobie: nie, niemożliwe. To przecież nie może tak wyglądać, nikt by tak TEGO nie nazwał.

A teraz, w miarę upływu... Ahem. No cóż, w miarę UPŁYWU

okazywało się, że obiecywane im Królestwo na Ziemi było nie tyle królestwem, ile raczej kurewstwem.

Po raz kolejny zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami, tym razem obłożonymi szczerym złotem. Rozpiął pasek hełmu, poprawił gladius, ułożył chustę pod szyją. Załomotał trzy razy pięścią i popchnął ogromne wierzeje.

Blask uderzył go, na krótką chwilę oślepił. Flaccidus zacisnął oczy, postąpił jeszcze kilka kroków, potem się zatrzymał. Wyprężył się, huknął pięścią w pierś i wyrzucił przed siebie dłoń w geście salutacji, a potem pospiesznie zdjął hełm i trzymając go pod pachą, ukłęknął na jedno kolano.

Zamrugnął i powoli otworzył oczy. Widział już zarys własnych zakurzonych sandałów na idealnie białej marmurowej posadzce, ale powyżej była tylko wirująca, olśniewająca kryształowa biel światła...

Na samym środku oktagonalnej komnaty, skąpany w strugach blasku słońca lejącego się przez otwór w sklepieniu, stał we własnej osobie Michał. Ogromne śnieżnobiałe skrzydła falowały delikatnie, niemalże muskając najdalej wysuniętymi lotkami przeciwległe ściany.

Odwrócony do centuriona tyłem Archanioł opuścił zadartą ku górze głowę i wystąpił spod wodospadu światła. Blask zafalował i przygasł nieco, barwy wróciły do normy. Dopiero wtedy Flaccidus odważył się podnieść wzrok, uważając jednak, aby nie spojrzeć powyżej pasa potężnej istoty.

– Przybyli, panie – powiedział.

Archanioł powoli, z namaszczeniem przegarnął pukle włosów wypielęgnowaną dłonią, przeciągnął się jak człowiek, który właśnie wyszedł spod długiego, kojącego prysznica. Strząsnął i powoli złożył ogromne skrzydła, obrócił się i dopiero wtedy spojrzał na człowieka.

Centurion poczuł to. Dosłownie poczuł – jakby ktoś wrzucił mu na kark worek pełen ziemi. Zadrżał, przełknął ślinę.

Niebiańska istota postąpiła krok ku śmiertelnikowi, potem drugi. Bijące od Anioła, niemal namacalne blask i ciepło zatańczyły na twarzy żołnierza, włosy na karku zjeżyły się przerażeniem.

Tak było spokojnie, pomyślał sobie. Tak dobrze, dopóki nie zjawił się ten...

...

...wspaniały, jaśniejący, wielkoduszny i doskonale rozumujący byt bliski niedoścignionego Ideału, dokończył myśl.

– Prowadź – głos zadudnił nie tylko w uszach, ale od razu w głowie centuriona, zarezonował gdzieś w kościach potylicy.

– Tak, panie – wyrzucił z siebie Flaccidus.

Od razu podniósł się z kolan i ruszył ku drzwiom, słysząc za sobą kroki ogromnej istoty. Odskokzył na bok, wypuszczając Archanioła

przodem, zamknął jedno skrzydło drzwi, potem drugie i pobiegł śladem Archistratega, który nawet nie obejrzał się, nie zaczekał ani chwili.

Tak, dokładnie tak to wyglądało – ogromna, śmiertelnie groźna istota, której nawet w głowie nie powstało, żeby zamknąć za sobą drzwi. Jakby miał kibel, to pewnie też by nie spuścił...

– Co takiego? – zahuczał Archanioł, tym razem obracając głowę do człowieka.

– Avemaria, Deus Vult! – pisnął setnik, przeklinając się w myślach za głupotę i jednocześnie uświadamiając sobie, że nawet to przeklinanie i tak odbywa się także w myślach.

Na całe szczęście przed nimi widać już było wyjście, więc centurion pobiegł ku wierzejom i czym prędzej załomotał w nie ręką. Michał był już coraz bliżej, nie zwalniał... Stojący po drugiej stronie legioniści na szczęście okazali się ogarnięci, od razu zaczęli ciągnąć za uchwyty, otwierając drzwi przed Archaniołem.

Nie dość szybko. O ile jeden zdążył uchylić swoje skrzydło dość daleko, to jego kolega albo się zagapił, albo nie miał tyle sił... Dość, że nie otworzył na czas.

Archanioł ledwie musnął drzwi barkiem.

Niczym trafione ogromnym młotem, wrota odskoczyły w bok, zagarniając po drodze nieszczęsnego legionistę. Huknęły, uderzając całym impetem o ścianę, jednocześnie chrupnęły zgniatanymi kośćmi i mlasnęło rwane ciało; krwawy bryzg przyozdobił świeżo pobieloną ścianę.

– Caius...! – wrzasnął drugi legionista i skoczył ku przeciwległej stronie korytarza, niemalże wpadając pod nogi Archanioła.

Setnik zacisnął tylko oczy, starając się nie widzieć, nie myśleć.

Dlaczego, dlaczego zawsze na jego zmianie? Przecież mogło się to przydarzyć któremukolwiek innemu! Niechby trafiło na zmianę Heriusa albo tego zadufanego w sobie buca Appiana! Tymczasem to on będzie musiał pisać z tego raporty, przystawiać swoją pieczęć na niezliczonych dokumentach Księgowości.

Michał nadal parł przez korytarze, zdając się nie zauważać pokrywających ściany pajęczych struktur i przyskających mu z drogi ludzkich mrówek.

Majtający się u pasa Archanioła miecz zaczął i pociągnął za sobą jedną z podpór rusztowań, wrywając ją z mocowania. Ktoś na górze wrzasnął, gdy jego podest zakołysał się i przechylił, a potem cała konstrukcja zaczęła składać się i sypać, ciągnąc istnym dominem zniszczenia resztę mozolnie wznoszonych poziomów.

Załomotały belki i deski, brzęknęły naczynia, chlapnęły na wszystkie strony bezcenne kolorowe barwniki. Kurz wzbił się chmurą, spowijając rumowisko litościwym całunem.

Flaccidus patrzył tylko w czubki własnych butów, tępo przestawiając nogę za nogą i próbując nadażyć za przełożonym.

To nie pierwszy raz, gdy Michał zdecydował się tak po prostu wyjść ze swojego niebiańskiego barłogu i radośnie rozjechać wszystko, co na jego polecenie i w zasadzie tylko dla niego w pocie czoła budowali śmiertelnicy. Natomiast tym razem – no cóż, tym razem prace naprawdę szły już pełną parą i nawet widać było koniec zaplanowanych robót.

Wreszcie przed nimi pokazał się prostokąt światła, Flaccidus z ulgą zdmuchnął płomyk kaganka.

Archanioł jako pierwszy wyłonił się z ciemnych korytarzy prosto na zalaną światłem słonecznym połąć ogromnego czworokątnego dziedzińca.

Rzeźbiarze pracujący nad pomnikiem od razu popadali na twarze. Ktoś przytomnie uderzył w dzwon, dźwięk poniósł się ponad całym ogromnym placem budowy, w który teraz zamieniło się centrum Rzymu.

Wieczne Miasto zmieniło się nie do poznania – albo właśnie nie zmieniło się wcale, myślał sobie czasami centurion, patrząc na panoramę metropolii.

Większość budynków rozebrano kamień po kamieniu i wywieziono poza obręb historycznego Urbis. Na ponad połowie z wytyczonych działek zakończono już plantowanie gruntu, którego wierzchnia, niekoszerna warstwa – bagatela, cztery do sześciu metrów – zasłaniała pozostałości i fundamenty budowli z Ostatnich Słusznych Czasów.

W tej chwili historyczne centrum Rzymu, to NAPRAWDĘ historyczne centrum oglądało światło dzienne po raz pierwszy od – no cóż, od dawna, prawda? Bo czas przestał być już konceptem w jakikolwiek sposób zasadnym.

W promieniach słońca tkwiącego nieruchomo na nieboskłonie, zalewającego całą Italię nieustającym żarem, po uliczkach tego ogromnego przedsięwzięcia przechadzali się Architekci, nadzorujący poprawność wytyczonej budowy.

Kilka pierwszych insuli – zamkniętych osiedli o centralnym placu i studniowo ustawionych wokół niego piętrowych domach z kłitkami mieszkań – stało już dumnie na wytyczonym miejscu. Mieszkający w nich specjalnie wyselekcjonowani Wierni mieli do swojej dyspozycji niewielkie forum, ujęcie wody, publiczne toalety i budowane właśnie łaźnie. Wkrótce miano ukończyć budowę kolejnego kwartału, co oznaczać będzie, że Nowy Rzym ma już prawie tysiąc mieszkańców... Idylla.

Oczywiście, było sporo problemów, jak chociażby woda. Toalety były piękne i czyste, ale głównie dlatego, że nikt z nich nie korzystał; tak samo lśnił nowością wodotrysk, bo stylizowany pysk teatralnej maski był suchy.

Dlaczego? No głównie dlatego, że wciąż nie powstał doprowadzający wodę ze wzgórz akwedukt. A nawet jak powstanie, to nic to nie zmieni, bo źródło dawno wyschło.

Planistów Góry jednak to nie ruszało. Ich cel był jasny i prosty: odbudować idealny świat, w którym ludzie jakoś musieli sobie poradzić.

Tak to przynajmniej wyglądało jeszcze do niedawna. Flaccidus szczerze wierzył – nie miał zresztą wyboru – że naprawdę budują Nowy, Lepszy, Wieczny Świat. Właśnie taki, jakim powinien być od zawsze, pozbawiony błędów i wypaczeń starego. Nowy Raj. Miejsce, gdzie każdy będzie mógł żyć aż do kresu dni swoich.

I wszystko było klancyk, super i fajnie. Z wyjątkiem dwóch pojęć: „żyć” oraz „kres”. Bo w całym tym zamieszaniu wcale nie o życie chodziło, a kres był o wiele bliższy, niż się wydawało.

Michał potoczył płonącymi światłością oczami po trwających w pokornym bezruchu ludziach i zagrzmiał:

– Do pracy, ludu Boży! Niech trud w imię Najwyższego uszlachetni wasze żalosne śmiertelne powłoki!

Rzemieślnicy od razu się poderwali, ze zdwojoną energią wracając do obowiązków. Archanioł miał niepokojący zwyczaj obserwowania ich wysiłków, wyłuskiwania jego zdaniem najwolniej pracujących i zabierania ich do swoich prywatnych komnat... Skąd potem już nie wracali.

Teraz jednak Archistrateg zajęty był czymś innym – stał i kontemplował ogromną twarz spiżowego posągu, którego głowę świeżo zwieziono dwunastoma zaprzęgami wołów z odlewni na wytyczonych przedmieściach.

Sol Invictus, Słońce Niezwyciężone. To właśnie miała przedstawiać statua, której postument u wejścia do Domus Aurea od dawna już czekał na gigantyczny, składany z części posąg młodzieńca, wspierającego się jedną ręką o płonący miecz, a drugą o strzaskaną kolumnę, reprezentującą dawny, niedoskonały świat.

Twarz posągu była dokładną kopią twarzy Archanioła.

Flaccidus zaryzykował strzelenie szybkim spojrzeniem w górę. Po twarzy górującego nad nim Michała błąkał się uśmiezek, wręcz widać było, jak tamten przygryza wargę w grymasie, który w jakichkolwiek normalnych okolicznościach można by uznać za lubieżny.

Centurion wzdrygnął się i potrząsnął głową. Nawet nie chciał o czymś takim myśleć... Widać miłość własna nie była li tylko domeną młodszego brata Archanioła, niegdyś strąconego z niebieskiego piedestału.

– Ahem, panie...? – nieśmiało zagadnął centurion. – To właśnie oni.

Michał oderwał wzrok od posągu, spojrział w kierunku, który wskazywał człowiek.

Tam, w zbawczym cieniu częściowo odbudowanej z koszernych



kamieni ściany, siedzieli pokryci kurzem drogi ludzie. Ubrani w podarte łachmany, nierzadko boso, zarośnięci, o skołtunionych włosach... Nie trzeba było sokolego wzroku, aby dostrzec u nich skrępowane ręce i kajdany na nogach.

Opodal trzymała się ich eskorta – dobry tuzin rosłych, wyselekcjonowanych legionistów z Drugiego Bezlitosnego. Nawet po nich widać było, że trudy podróży dały im się we znaki, bo stali wsparci o postawione na ziemi tarcze, kilku zdjęło hełmy.

Dowódca przytomnie zakrzyknął, pokazał ręką ku wyjściu z Domus Aurea. Żołnierze zaczęli pospieszenie nakładać na siebie uzbrojenie, ustawiać się w karnym szyku.

Jeńcy też zauważyli Archaniola, kilku poderwało się z ziemi. Jeden, nadmiernie wyrywny, chciał rzucić się do ucieczki, ale stojący najbliżej legionista zdzielił go tyłcem włóczni pomiędzy łopatki i nieszczęśnik padł jak długi. Drugi żołnierz doskoczył, zaczęli we dwóch kopać leżącego.

Michał ruszył ku nim, sadząc te swoje sążniste kroki. Flaccidus potruchtał za nim, już teraz czując, że zanosí się na coś bardzo, ale to bardzo niedobrego.

– Doxa tou Theou! – zakrzyknęli nierównym chórem legionieści, wyprężając się na bacność przed Namiestnikiem Bożym na Ziemi.

Skuleni, zabiedzeni ludzie patrzyli na Wysłannika wielkimi z przerażenia oczami, w których malowała się cała gama emocji – od absurdałnego zachwytu przez strach aż do dzikiej nienawiści. Oby tylko żaden nie powiedział nic głupiego, pomyślał Flaccidus. Żeby tylko niepotrzebnie nie sprowokować i tak już dziwnie pobudzonego Archaniola...

– Żałosne, niegodne istoty ludzkie! – zagrzmiął Michał, rozkładając skrzydła. – Radujcie się, albowiem zostaliście wybrani! Wasze miałkie, obciążone brzemieniem grzechu żywoty i tak przepadną w wielkim ogniu oczyszczenia, ale w swych ostatnich chwilach oddacie należną chwałę Przedwiecznemu...!

Głos Archaniola odbił się od ściany, uderzył ludzi niczym powiew wichru. Skulili się, ktoś załkał, oczekując na jakąś straszną, bolesną śmierć.

Tymczasem Wysłannik odwrócił się i już miał odejść, jak gdyby straciwszy zainteresowanie całym wydarzeniem. Flaccidus w przebłyску jasności umysłu podskoczył ku niemu, zadarł głowę i zapytał:

– Panie! Co życzysz sobie, aby z nimi uczynić?

Logiczne było, że Michał musiał mieć w tej swojej chorej głowie jakiś plan. Przecież od długiego już... ahem... no, wielokrotnie przewijał się temat tego, że mają tutaj przygnać tych ludzi. I tych, i kolejnych, i po

nich rzekomo następnych.



TKST 20

Wszyscy spodziewali się kolejnej brutalnej, pokazowej, wymyślnej

egzekucji, która praktycznie na nikim nie robiła już wrażenia. Via Appia została cała zastawiona krzyżami, resztkami ludzkich pochodni i gnijącymi na palach trupami. Południe Italii było jednym wielkim cmentarzem, Neapolis podobno jeszcze się paliło...

...więc i ci tutaj musieli być tylko kolejną chorą zachcianką Archaniola.

Michał popatrzył na Flacidusa niemalże ludzkim wzrokiem.

– Jak to co? Rozmieścić ich w kwaterach, opatrzyć, напоić i nakarmić. Wpuścić do łaźni, przysłać masażystów i medyków. Ma im niczego nie brakować!

Centurion sapnął, spojrział na jeńców.

No, tego to się nie spodziewał.



– Hej, ty!

Centurion zatrzymał się w pół kroku, spojrział na tkwiącego za kratą człowieka. Spróbował przywołać na twarz wyraz wyniosłej obojętności.

– Czego chcesz, Dłużniku?

Tamten machnął ręką, przywołując go bliżej. Flacidus zerknął ku stojącym dalej w korytarzu wartownikom, podszedł dwa kroki, ale zatrzymał się w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem rąk tamtego: kto wie czego może próbować taki desperat?

Mijało już piętnaście zmian, odkąd sprowadzono tych ludzi do Rzymu. Od tamtej pory żyli w tym, co wedle standardów nowego świata i nowych czasów zakrawało na luksusy: mieli stały dostęp do wody, żywność, dach nad głową... Okazało się, że to specjalnie dla nich odbudowano ogromny budynek gmachu Ludus Magnus, stojącego praktycznie ściana w ścianę z pałacem Archaniola.

Legioniści mocno sarkali z tego powodu: przecież byli przekonani, że to ich mieli tam skoszarować! A teraz siedzieli tam ci oberwańcy, którzy ani nie pracowali, ani nic nie produkowali, ani nawet nie można ich było zabić.

Strach pomyśleć, co mówili ludzie w mieście, mieszkający w warunkach o wiele gorszych niż gnieźdzący się w zbyt ciasnych koszarach legioniści.

– No chodź, mówię. – Tamten pokiwał ręką. – Przecież cię nie ugryzę, nie? Strachliwa ta młodzież w tych czasach.

Flacidus odchrząknął, wyprostował się z godnością. Fakt, był od tamtego sporo młodszy, ale bez przesady.

– Czego chcesz? – powtórzył.

– No, jeśli serio pytasz, to fajnie by było stąd wyjść. Poza tym tobym się piwka napił, takiego z kija najlepiej. I miseczkę orzeszków ziemnych jakbyś przyniósł, to w ogóle...

Centurion struchlał, syknął nerwowo i zrobił odruchowo znak krzyża.

– Ci-cho! Czyś ty się z głupim na rozum zamienił, nieszczęsny? Przecież za takie słowa...

– No co? No co mi robią, powiedz? Dadzą jeszcze większą celę z podwójnym łóżkiem? – prychnął tamten, siadając pod ścianą. – W dupie mam Michała, w dupie mam całą Górę i wasze strachy.

– Milcz! Milcz, bo bluźnisz! Nie pogarszaj swojej sytuacji!

– „Nie pogarszaj”?! Kurwa, jak może być gorzej, człowieku?! Przecież jesteśmy tutaj i czekamy na śmierć!

Flaccidus zastanowił się, pokiwał głową. No tak, była w tym pewna logika.

– Czego? – zapytał po raz trzeci, przykucając po swojej stronie kraty.

Tamten westchnął ciężko, uśmiechnął się półgębkiem. Teraz, ogolony i ostrzyżony, w ogóle przypominał człowieka. Widać było, że dawno już minął półmetek życia, a mocno ogorzała twarz i solidne, sękaty ręce znamionowały człowieka, który zarabiał na życie raczej pracą fizyczną niż pisaniem na...

Flaccidus ugryzł się w mentalny język, szybko wyszeptał kilka losowych wersetów z Pisma, żeby przykryć niekoszerne myśli. Jeniec zmrużył oczy, pokiwał głową.

– Co, trudno się kontrolować cały czas?

– Ano... – przyznał niechętnie Flaccidus.

– A ja, widzisz, mam wyjebane. Mogę robić, co chcę, i nic mi się nie stanie... Jehowa! – wrzasnął nagle jeniec na całe gardło.

Centurion chciał się poderwać i odskoczyć w przerażeniu, ale przydepnął sobie połę płaszcza, stracił równowagę i poleciał w tył jak długi. Wywalił się na plecy, zgubił hełm. Odpychając się rękami i nogami, odpełził w tył, pod przeciwległą ścianę, osłaniając głowę ramionami.

Przecież lada chwila będą tu Wysłannicy, którzy zetrą to miejsce z powierzchni ziemi.

– Jehowa! – powtórzył jeniec, wstając. – Jehowaaaa...!

– Jehowa! – odpowiedział mu krzyk z innej celi.

– Jehowa w dupie dildo chowa! – zawołał ktoś jeszcze.

– Je-ho-waaa...! Jebać Górę, Michał ssie pałę!

– Aaaaa...!

– Jehowaaaa!

– Nie było niepokalanego poczęcia, a Ziemia jest okrągła! Eppur si muove!!

– Nie ma dowodów, że Akwarelista o czymkolwiek wiedział...!

Całe koszary napełniły się dzikimi, na poły obłąkańczymi wrzaskami, rykami i łomotaniem krat, szarpanych dłońmi siedzących za nimi ludzi. Dłużnicy zrywali się ze swoich prycz, krzyczeli i darli się na całe gardło, ciągaliby cynowymi i drewnianymi miskami po ścianach, hałłakowali i wyli...

Stopniowo rejwach ucichł, ludzie uspokoili się. Flaccidus odważył się otworzyć oczy, zamrugał: jeniec nadal patrzył na niego zza kraty.

– Widzisz, dzieciaku? – Rozłożył ręce. – Mówiłem ci. Nam już nic nie zrobiją.

– Ale... jak?

Tamten wzruszył ramionami.

– Wykreślili nas z Ewidencji. Pamiętasz, jak na drugi dzień przychodził tu Skryba?

Centurion pokiwał głową, jednocześnie dziwiąc się lekkości tonu tamtego. „Dzień”. Ot tak, po prostu to powiedział. „Dzień”. A może jeszcze „tydzień”, „godzina”, „rok”... Słowa zakazane tak samo jak wszystko z dawnego, już nieaktualnego świata Przed.

– Tak?

– No więc skreślili nas. Formalnie już nie istniejemy, rozumiesz? Nie ma naszej Kartoteki, nie ma Rejestru, nie ma nic. Nominalnie nie jesteśmy w stanie grzeszyć, więc możemy robić, co się żywnie podoba... Tak jak Ulixes i ten jego, jak mu tam...

Setnik przełknął ślinę, podniósł się na nogi.

Owszem, słyszał pogłoski, że dwóch jeńców oddawało się mocno niekoszernym praktykom... Raz nawet zakradł się, żeby ich podejrzeć, ale akurat spali pod wspólnym pledem. Niestety, a może w sumie na szczęście.

– Ale... dlaczego? – zapytał Flaccidus.

– To ja mam wiedzieć? Ty tu jesteś wielkim panem żołnierzem, dzieciaku! – parsknął jeniec. – Ja jestem prostym kolejarzem, gdzie mi tam do waszych planów. Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy planują nas w przewidywalnej przyszłości pozabijać, ot co.

No cóż, to było pytanie, na które odpowiedź pragnęli poznać nie tylko sami zainteresowani. Jak na ilość zamieszania, którą wygenerowało przybycie transportu Dłużników, faktycznie należało spodziewać się czegoś spektakularnego.

Flaccidus słyszał niosący się nad Rzymem dźwięczny klangor kuźni, w których ponoć kutą nową broń. Ludzie mówili, że egzekucja tych tutaj miała dokonać się w jakiś widowiskowy, wyjątkowy sposób, że ponoć będzie to coś, czego świat jeszcze nie widział... Ale centurion przeczuwał, że chodziło o coś zupełnie innego. Tyle tylko, że na razie umykało mu o co.

– Nie wiem – odpowiedział w końcu. – Pewnie tak... Jak nas wszystkich zresztą.

Dłużnik pokiwał głową, uśmiechnął się smutno.

– No, wreszcie mówisz jak człowiek. Czyli to nie jest tak, że wam robią pranie mózgu?

– Nie! – zachnął się Flaccidus.

– Aha. No patrz, więc to zwykle skurwysyństwo jest.

– Ale... co?

– To, że pracujecie dla tamtych, wyrzynając własnych braci i siostry. Nie rusza cię to, żołnierzu?

Flaccidus odchrząknął. Starał się nie myśleć i nie myślał w tych kategoriach. Takie były okoliczności, taki był teraz świat.

– Czego chcesz? – powtórzył po raz nie wiadomo który.

– Pogadać. Zobaczyć, czy nadal zostało tam w tobie trochę człowieka, dzieciaku. Nudno tutaj, a mnie jeszcze wsadzili do pojedynczej, więc nie mam do kogo gęby otworzyć. Poza tym...

– Nie mam na to czasu – zdecydował nagle centurion.

– Ej, czekaj no! Chciałem jeszcze...

Natomiast Flaccidus już nie słuchał, tylko szybkim krokiem szedł przez korytarz koszarów. Siedzący w celach Dłużnicy wołali za nim, pokazywali obraźliwe gesty, ale on kroczył ze wzrokiem wbitym w podłogę, widząc tylko czubki własnych sandałów.

W końcu popchnął drzwi, wyszedł na zalany światłem plac. Dopiero tutaj odetchnął, oparł się o ścianę.

Oczy powoli przyzwyczajały się na nowo do blasku. Nad placem górowała ogromna sylwetka wciąż odbudowywanej przez zastępy robotników areny Koloseum. Ponad mury Domus Aurea wznosił się póki co bezgłowy, ale mający wkrótce już doczekać się zwieńczenia posąg Niezwycięzonego Słońca.

Prawda była taka, że setnik domyślał się, co zamierzają zrobić z tymi ludźmi. Zarówno z tymi, jak i z trzema innymi transportami, które przybyły w trzy wyznaczone punkty Rzymu i teraz przebywały w podobnych warunkach.

Zgonią ich na plac, ustawią w ogromnym, niezbornym tłumie – a potem dadzą legionistom do ręki broń i każą ich wszystkich wyrznąć.

Dlaczego? Tak po prostu, bo tak. Bo tak to wyglądało już wcześniej w niezliczonej liczbie miast, miasteczek i wsi. Centurion coraz bardziej czuł, że Archaniołowi po prostu sprawia przyjemność patrzeć na cierpienie ludzi, że Wysłannik czerpie jakąś chorą satysfakcję z niszczenia tego, co ewidentnie uważał za istoty względem siebie poślednie.

Potrząsnął głową, naciągnął hełm i zawiązał paski pod brodą.

To naprawdę nie była jego sprawa.





– No hej, dzieciaku. To znowu ty, ha? Jakoś trudno nam się od siebie oderwać.

Flaccidus zerknął z ukosa na stojącego obok Dłużnika, odchrząknął.

Prawdę powiedziawszy, czuł się w tej chwili mocno nieswojo. Do tej pory jego segmentowy, błyszczący pancerz, hełm z pięknym poprzecznym grzebieniem i przede wszystkim wiszący u boku gladius dawały mu poczucie jeśli nie bezpieczeństwa, to na pewno własnej godności. Przecież tym ostatnim – klingą kutą specjalnie dla niego, jarzącą się purpurowym płomieniem gniewu Bożego – potrafiłby przerąbać na pół drewniane drzwi!

No, może nie przerąbać, ale na pewno przebić się przez nie na zewnątrz. Tak czy inaczej, do tej pory broń legionu dawała centurionowi niekwestionowaną przewagę.

Natomiast teraz, kiedy wokół niego wznosiły się masywne, zakute w przedziwne zbroje i fantazyjne hełmy sylwetki Dłużników, jego własny miecz nagle zdał się o wiele mniej poważny i śmiercionośny.

Wieść gruchnęła dwa dni... to jest sześć zmian temu: igrzyska!

Najprawdziwsze igrzyska. Przeszkoleni i doposażeni Dłużnicy z całego Rzymu mieli walczyć przeciwko sobie nawzajem ku uciechu zgromadzonej na ławach Koloseum gawiedzi. Wokół słyhać było łomot stóp dudniących o drewniane podesty i gwar tysięcy głosów ludzi spędzonych na wydarzenie z całej okolicy.

Lada chwila Dłużnicy mieli wyjść na arenę. A on, właśnie on miał ich wyprowadzić.

Dlaczego, zadawał sobie pytanie Flaccidus. Dlaczego, do ciężkiej, kurwistej cholery, to zawsze na niego musiała trafić taka niewdzięczna robota?!

– Głowa do góry! – otwierając na bok zasłonę swojego hełmu, zadudnił ten, z którym wcześniej rozmawiali przez kratę.

Jasne, łatwo powiedzieć.

– Dobrze, słuchajcie! – Centurion podniósł rękę. – Wyprowadzam was na środek! Tam stajecie przodem do łoży, podnosicie broń i krzyczycie wszyscy...

– Jehowa! – ryknęli jak jeden mąż przyszli gladiatorzy.

– ...nie. Błagam, nie, bo to się skończy fatalnie dla nas wszystkich. Wołacie: „Ave, Dominus, morituri te salutant”, po czym ustawiacie się naprzeciwko drugiej ekipy. Na sygnał dany przez mistrza ceremonii zaczyna się walka! Pamiętajcie o tym, żeby nie spieszyć się zbyt z zabijaniem, bo...

Nagle urwał. Uświadomił sobie, że Dłużnicy patrzą na niego nie to, że



z pogardą, ale z pewnym politowaniem. Jak gdyby czekali, aż odbębni swoje, a potem i tak zamierzali zrobić to, co postanowili już dawno temu.

– Już? – pokiwał głową ten zza kraty.

– Już...

– To teraz ja. Chłopaki, pamiętajcie: nie wygłupiać się tam! Nie odpierdalać bohaterów, nie silić się za bardzo na teatralność. Kto dostanie, upada, a potem...

– Nie! – przerwał mu Flaccidus. – To wcale nie tak! Macie tam iść i się zabijać! Do tego się szkoliliście! Przecież...

Nie dokończył, bo jeden z gladiatorów błyskawicznym ruchem podstawił mu pod gardło sierpowato zagięty miecz i przeciągnął szybkim ruchem, podcinając obie tętnice.

Centurion zacharczał, chwycił się za szyję i upadł na kolana. Zakręciło mu się w głowie, spojrzał na ziemię, na której lada chwila miała pojawić się chlustająca strumieniem krew.

Zamrugął.

Oderwał ręce od gardła, spojrzał na lekko brudne, ale nie zakrwawione dłonie.

Podniósł głowę i popatrzył na stojących wokół niego gladiatorów. Ten od kraty pokiwał głową, wyciągnął rękę i pomógł Flaccidusowi wstać.

– Nikt nikogo nie zabija, dzieciaku. Nie po to od tygodnia tępimy tę broń, żebyśmy mieli dla uciechy tego zjeba się teraz ciąć.

– Ale... ale to przecież oszustwo! – zapiał centurion, autentycznie przerażony. – Jeśli nie zginiecie, to... to...

– To co?

Centurion nabrał głęboko powietrza, wypuścił je ze świstem.

To nic, dotarło do niego. Ci ludzie i tak nominalnie nie żyli, więc nikt nie będzie mógł im udowodnić, że jest inaczej. Położą się na ziemi, wygrani ściągną przegranych z powrotem do podziemnych pomieszczeń. Tam pewnie pozamieniają się pancierzem i jeśli będzie trzeba, to za pewien czas wyjdą jeszcze raz.

Jedno wielkie, nadmuchane, badziewne oszustwo. Podobnie jak cała reszta tego durnego, spierdolonego świata.

– Nie martw się, od tygodni to ćwiczymy! – zarechotał starszy Dłużnik, poklepując Flaccidusa po ramieniu. – Chłopaki mają woreczki z farbą pochowane, nawet krwawić będą jak zarzynane prosiaki!

– Ale... co potem? – jęknął centurion.

– Jak to co? Wracamy do koszar! Mówili nam, że podobno ze wschodu idzie cały transport kobiet... Jeśli gnają je tutaj za te grzechy, co mam nadzieję, że tak, to będziemy mieli jak u Pana Boga za piecem!

Gladiatorzy zawołali radośnie, podnosząc w górę stępione miecze, niegroźne topory i zaokrąglone sztylety. W tej samej chwili wrota na

końcu pochylni zaczęły się uchylać, a do podziemia wlał się szum rozentuzjasmowanego, pełnego oczekiwania tłumu.

– Idźcie – machnął ręką Flaccidus, sam odsuwając się na bok.

– No coś ty! – Przywódca ekipy rozłożył ręce. – Musi nas ktoś zapowiedzieć!

– Jebać to. Serio. Idźcie sobie, ja zostanę tutaj i na was poczekam.

– Jak chcesz, dzieciaku. No to co, chłopaki?! Pobawmy się trochę, a potem impreza w łaźniach!

– Jehowa!! – ryknęli tamci, radośnie ruszając pochylnią.

Centurion patrzył na nich, jak wspinają się na górę, a potem nikną w blasku światła. Ostatnia sylwetka zatrzymała się na chwilę w wyjściu, to dowódca odwrócił się i zawołał:

– Masz jakieś imię, dzieciaku?!

– Flaccidus! – odkrzyknął centurion.

– Dobrze wiedzieć! Widzimy się niedługo, mnie wołają Siliasz!

Zrobił kilka kroków naprzód i zniknął w blasku.

Setnik stał tak, patrząc gdzieś w pustkę. Tłum wiwatował i szalał, okrzyki przelewały się falami i dudniły echem... A on był tu sam, skazany na tę gównianą, nijaką egzystencję.

To nie było sprawiedliwe. Harował w pocie czoła, dopuszczał się okrucieństw i głupot w imię Boże – a tamci mieli trochę popajacować i wrócić do życia, które w dzisiejszych warunkach śmiało można było nazwać luksusowym.

Poza Ewidencją, poza czyjąkolwiek jurysdykcją. Poza moralnością, prawem ludzkim i Bożym.

– Ave Dominus, morituri te... – rozległ się chóralny okrzyk, ale zaraz zagłuszyło go inne, radosne wołanie:

– Jehowa...!!

Tłum Dłużników ryknął dziko, huk wypełnił całą dostępną przestrzeń, zarezonował w uszach.

Flaccidus rzucił jeszcze raz okiem w kierunku wyjścia na arenę, odwrócił się i powlókł korytarzami podziemia z powrotem ku swojej nędznej kwaterze.

Zatrzymał się nagle, uniósł głowę.

Spojrzał ku arenie jeszcze raz, tym razem z nadzieją.

A gdyby tak...?

Zawrócił i ruszył znów ku pochylni, czując, jak wali mu serce.

Kroki podkutych sandałów odbijały się echem w wąskim sklepionym korytarzu, rezonowały od pokrytych chropowatym kamieniem ścian.

Świeży mocz i plwociny gdzieś w rogu lśniły wilgotnymi plamami kałuż w lejącym się z góry, pełnym radosnego drgania blasku słońca; dopiero co ułożone płyty marmurowej podłogi już pokrywała siatka zadrapań i pęknięć.

Setnik szedł coraz szybciej. Już truchtał, a nogi same rwały się do pędu.

Lewą ręką zaczął najpierw rozwiązywać, potem gorączkowo szarpać rzemienie przydużego pancerza. W końcu wyswobodził się ze skorupy, po prostu zrzucił ją z siebie. Zerwał z głowy kurewsko niewygodny, idiotyczny hełm z poprzecznym grzebieniem, cisnął w bok pod ścianę.

Czuł już na twarzy blask słońca, głosy tłumu wibrowały w uszach. Zaczął biec.

Wyszarpnął z pochwy gladius – ostry, porządny, legionowej roboty. Będzie trzeba z tym naprawdę uważać.

Czując, jak kręci mu się w głowie, nabrał w płuca suchego, pełnego pyłu powietrza.

– Jehowa!!! – ryknął, a potem wypadł na piach areny.



# WOJCIECH KOWALSKI

## CZEMPION



**C**ienka kreska światła tuż przy podłodze przecina ciemność mojego więzienia. W miarę jak wrota się unoszą, hałas na zewnątrz potężnieje, wlewając się falami do celi, przygniatając ciężarem decybeli. Tłum, jak zawsze, żąda chwały i krwi. Pancierz chrzęści, gdy prostuję tułów i ruszam ku przeznaczeniu. Kiedy wkraczam na arenę, jaskrawe światło zalewa moją sylwetkę, błyszczące refleksy roztopiają się na powierzchni naoliwionego tergitu. Dookoła twarze, czerwone, spocone, wykrzywione. Usta rozwarte w krzyku pryskają gęstymi kroplami śliny. Oczy nieprzytomne, rozwarte; pięści zaciśnięte, wzniesione. Cały dzień czekali na tę chwilę.

*Mój przeciwnik już czeka.*

*Jest większy ode mnie, pelury pokrywają mu kolorowe, drażniące wzrok zygzaki. Kwaśna woń jego wydzieliny dociera aż na drugi koniec areny. Z daleka widzę, jak nerwowo pociera o siebie tylnymi odnóżami, jedno o drugie, trrrrik, trrrrik, miarowo, w stałym rytmie, jakby chciał mnie zahipnotyzować. Trrrrik, trrrrik.*

*Robię parę kroków w bok, udając brak zainteresowania, ale jego czułki obracają się za mną, śledząc każdy mój krok. Odnóża poruszają się coraz szybciej, skórzaste skrzydła unoszą się lekko, gotowe odsłonić drugą błoniastą parę wewnątrz. Hałas wokół areny przybiera na sile, widzowie niemal czują hemolimfę w powietrzu, nozdrza najbliższych rozdymają się, jakby wietrzyli jej zapach. Trrik, trrik, trrikirrikirriiik, ćwierkot przybiera na sile i gdy przechodzi w ciągły pisk, równocześnie podrywamy się do lotu.*

*Chwytny się nawzajem w powietrzu, gdzie pozwalam się przygniść*

*tylko po to, by tuż przed uderzeniem wykorzystać ciężar przeciwnika jak wahadło i znaleźć się na wierzchu. Tergit z gruchotem uderza o ziemię, jego żuwaczki kłapią o włos od mojej goleni, a ja wyrrywam mu prawy czulek. Wierzgnięcie odrzuca mnie na bok, wstrząs upadku ogłusza, chwilę turlam się bezwładnie.*

*Tamten już stoi na nogach i kręci głową, siejąc wokół kroplami hemolimfy z urwanego kikuta. Rusza na mnie jak masywny kamień toczący się po arenie. Rozkłada z trzaskiem skrzydła i gdy podrywa się do lotu, odskakuję w lewo, tak by trzymać się jego uszkodzonej strony. Ląduje ciężko, obraca się w moim kierunku, jego atak, mój unik, krążę wokół niego, zmuszając do szukania, obracania, znikając mu co rusz z pola widzenia. Młóci odnóżami na osłep i za którymś razem udaje mi się złapać za przednią i środkową kończynę. Ciągnę do siebie i gdy on walczy o odzyskanie równowagi, moje żuwaczki tną jego wewnętrzne skrzydło.*

*Potem to już formalność.*

*Okaleczony wróg miota się bezradnie po arenie, gdy spadam na niego z góry. Przygniatam go do ziemi i wgryzam się w kark. Kilka ostatnich drgnięć, słodkawy smak hemolimfy napływającej strumieniem do gardła i wrzask publiczności oznaczają koniec walki.*

*Rozpocynam ucztę.*



– Taaaak! – ryczał Kal, wznosząc pięści w geście tryumfu. – Lopez, wiesz mi dzisiejszą kolację!

Właściciel pokonanego karalucha wykrzywił pokrytą tatuażami twarz we wściekłym grymasie, ale powstrzymał się od komentarza. Pozostali skazańcy, stłoczeni w kącie kopalni, pospiesznie rozliczali zakłady. Większość, która obstawiała zawodnika El Lobos, klęła na czym świat stoi, rzucając ponure spojrzenia nielicznym wygranym. Zwyczajową stawką była pojedyncza racja, ale niektórzy desperaci potrafili postawić całodzienne wyżywienie. W kolonii karnej Kolchida U-4 jedzenie było cenniejsze od złota.

Ryk syreny oznaczający koniec przerwy zlał się w jedno z trzaskiem energetycznych biczy nadzorców.

– Do roboty! Koniec opierdalania! – Jeden z klawiszy wyrósł z nienacka przy grupce hazardzistów.

Kal pospiesznie chwycił Czempiona i schował go do puszeki wraz z resztkami martwego truchła. Lopez pomalował swojego karaczana w ogniste błyskawice, używając wykradzonego z warsztatu lakieru. Chemikalia nie szkodziły karaluchom. Jako jedyny gatunek z Ziemi

całkowicie zaadaptowały się do niekorzystnych warunków, rozpleniając się po wszystkich zakamarkach kolonii. Były wszystkożerne i bardzo odporne na czynniki zabójcze dla osadzonych więźniów. Ba, promieniowanie i toksyczne wyziewy zdawały się wręcz im służyć. Kolejne pokolenia robali mutowały, rosły i rozwijały się w zastraszającym tempie. Obecnie były niemal trzykrotnie większe niż ich ziemskie odpowiedniki, wykazując przy tym oznaki inteligencji należącej bardziej ssakom niż owadom.

Co na przykład pozwalało na ich tresurę.

Biegnąc na swoje stanowisko na przodku, Kal odruchowo dotykał puszkę schowanej pod ubraniem. Umieszczony w niej Czempion był jego gwarancją przeżycia w tym piekle. Najlepszy, najbardziej bojowy karaczan, jakiego widziało to więzienie.

– Uważaj – wysapał truchtający za nim gruby Sed. Jako jedyny w kolonii wyglądał, jakby dopiero wstał od stołu. Tłumaczył to spowolnionym metabolizmem. – Nadepnąłeś Lopezowi na odcisk. Będzie się mścił.

Kal nie odpowiedział. To prawda, Lopez był niebezpieczny, ale takie było też całe życie na Kolchidzie. Należało to zaakceptować i starać się przeżyć.

Za wszelką cenę.

Długi ogonek wynędzniałych więźniów przesunął się miarowo w stronę okienka, by odebrać miskę szarego, zimnego koncentratu, zawierającego mieszankę składników odżywczych, środków antyradiacyjnych i witamin, mających ochronić przymusowych pracowników przed promieniowaniem. Jeden rzut oka na tłoczących się więźniów nakazywał zadać sobie pytanie o skuteczność tej metody. Wszechobecne plamy skórne, powiększone wola, zwyrodniałe kręgosłupy, chwiejące się w dziąsłach zęby, łyse, obciążone matową skórą czaszki, krwawe plwociny, wszystko to dobitnie potwierdzało powszechnie znany fakt, że największą zaletą mieszanki spożywczej była jej niska cena.

Rząd nie zamierzał wydawać na kryminalistów więcej niż niezbędne minimum. Ochronne skafandry, użytkowane przez kolejne setki więźniów, były poprzecierane i dziurawe, sprzęt górniczy przestarzały i zawodny, sadyzm strażników proporcjonalny do beznadziei położenia skazańców. Wyroki nie były mierzone w latach, ale w tonach czarnej uranowej blendy, wydobywanej z wnętrza asteroidy Kolchida U. Ten, kto wyrobił wysrubowaną normę, mógł liczyć na bilet powrotny na Ziemię, jako w pełni zresocjalizowany członek społeczeństwa. Większość z tych, którym udało się dotrzeć do tej chwili, umierała potem w ciągu roku na raka, stanowiąc odstraszący przykład dla potencjalnych przestępców. Mimo to kolejne transporty wypluwały wciąż nowe

ładunki robotników.

Jedynym sposobem, by zabezpieczyć się przed chorobą, było zwiększone spożycie witaminowej brei. Problem polegał na tym, że na każdego więźnia przypadała jednakowa racja, w żadnym stopniu niewystarczająca do zapewnienia ochrony.

El Lobos wmaszerowali zwartą grupą do stołówki i od razu udali się na początek kolejki. Co mądrzejsi więźniowie cofnęli się, robiąc im miejsce. Ktoś, zapewne z ostatniego transportu, próbował protestować, ale szybko został uciszony ciosem w twarz. Krew z nosa chlusnęła na więzienny drelich, strażnicy przypatrywali się temu obojętnie. Wewnątrz kolonii funkcjonowało kilka gangów i nie było mądrze z nimi zadzierać, nawet jeśli teoretycznie stało się wyżej w hierarchii. Większość nadzorców wyznawała pogląd, że więźniowie powinni sami regulować swoje sprawy. Tak zwane kontrolowane rozładowanie agresji. Zawsze to lepiej, by walczyli między sobą niż z przedstawicielami systemu. Bezpieczniej było się nie mieszać, odczekać do końca kontraktu i wrócić z wypłatą na Ziemię.

Kal, dojadając ostatnie łyżki brei, obserwował, jak El Lobos odbierają swoje porcje i obsiadają centralny stół, przy którym, jak na zawołanie, zrobiło się pusto. Jedynie Lopez został pod kuchennym okienkiem. Zaczekał na więźnia z krwawiącym nosem, a gdy tamten odebrał miskę, bezceremonialnie wyszarpnął mu ją z ręki i postawił przed Kalem.

– Twoja wygrana, amigo.

Obrabowany nieszczęśnik stał, patrząc bezradnie, jak jego kolacja zmienia właściciela. Łzy pociekły mu z oczu, mieszając się z wciąż kapiącą krwią. Kal odwzajemnił beznamiętnie spojrzenie, zabierając się do nowej porcji. Żeby przeżyć, należało być bezwzględny. Słabi byli sami sobie winni.

– Najedz się na zapas, bo jutro zamierzam się odegrać. – Lopez wykrzywił usta w grymasie imitującym uśmiech. Jego wytatuowana w spirale twarz przypominała maskę azteckiego bóstwa, w której błyskały złote zęby.

– Zapraszam serdecznie. – Kal nabrał kolejną łyżkę, starannie ukrywając ekscytację. – I ja, i Czempion chętnie skorzystamy z dodatkowych kalorii.

– Órale. – Uśmiech Lopeza poszerzył się. Nie był to miły widok. – Co powiesz na to? Jeśli twój karaluch zagryzie mojego, oddam ci trzydniową rację, que? A jak nie, to ty oddasz mnie.

Wokół zapadła cisza. Więźniowie nadstawiali chciwie uszu. W całej historii kolonii nikt nie postawił tak wysokiej stawki. Kal poczuł wielką gulę w gardle. Trzydniowa racja. Pewna śmierć w razie przegranej.

– No to jak? – w głosie Lopeza zabrzmiało wyzwanie. – Chyba że to za dużo dla ciebie?

Atmosfera wyraźnie stężała. Siedzący obok Kala Sed trącił go ukradkiem w ramię. Uważaj, mówił ten gest. Coś tu nie gra.

– Bueno. – Lopez odwrócił się z pogardą.

Mimo że nikt przy stole nie drgnął, Kal poczuł narastającą wokół siebie pustkę. Tchórz. Mięczak.

– Zgoda! – słowo wyskoczyło mu z ust niemal wbrew woli.

Lopez obejrzał się przez ramię. W jego spojrzeniu błysnęło coś niedobrego. Skinął głową i odszedł do stołu El Lobos.



*Ostatnia uczta była bardzo pożywna. Mięso poległego przeciwnika okazało się soczyste, a wysiłek walki doprawił je niezrównaną mieszanką bojowych wydzielin. Czuję w sobie jego siłę, pulsuje we mnie, pragnąc znaleźć ujście. Na szczęście czeka mnie następny pojedynek.*

*Kolejny raz światło razi przywykłe do ciemności oczy, kolejny raz rozdęte twarze widzów rozpościerają się nade mną, kolejny raz dudniący hałas sływa w dół, przygniatając z siłą lawiny.*

*Ale coś się zmieniło.*

*Woń, którą odbieram z drugiego końca areny, jest inna niż zwykle. Słodsza. Czuję, jak przez cały odwłok przebiega drżenie.*

*To samica.*

*A więc takie widowisko chcecie zobaczyć.*

*Prostuję tryumfalnie skrzydła i kroczę dumnie w jej stronę. Niech wie, jaki zaszczyt ją spotyka. Nie rozczaruję moich wyznawców. Posiadę ją powoli, pozwalając im rozkoszować się każdym szczegółem.*

*Widzę ją już wyraźnie, jak kłoni przede mną głowę, rozplaszczając poddańczo odnóża. Obchodzę ją naokoło, sycąc się tym widokiem. Pachnące krople jej feromonów błyszczą na odwłoku i ten widok doprowadza mnie niemal do szału. Rozchylam skrzydła i wsuwam się pod nią, dając jej żuwaczkom posmakować mojego tergitu. Powietrze z jej przetchlinek owiewa mnie, drażniąc, podniecając. Chropawy sternit ociera się o mój odwłok i czuję, jak dolny segment zaczyna rosnąć. Docieram do jej zatoki i rozpocynam boski akt.*



Podekscytowani więźniowie milkli stopniowo, obserwując dziwne zachowanie karaluchów. Gdy Czempion rozłożył skrzydła i zaczął obchodzić przeciwnika, wszyscy spodziewali się szybkiego zakończenia,



ale to, co stało się potem, było nader niespotykane. Owady szepiły się, drgając razem w przyspieszonym rytmie. Sed nachylił się nad areną, mrużąc oczy.

– One... one chyba się... pierdolą – oznajmił po chwili.

Ryk śmiechu wstrząsnął kopalnią. Więźniowie zataczali się, kwicząc z radości. Najgłośniej śmiał się Kal. Napięcie, w którym tkwił od wczoraj, spływało z niego, zmywane falą ulgi. Lopez się ośmieszył, a on zachował swój przydział. Spojrzał na rywala.

Lopez siedział spokojnie w otoczeniu kilku El Lobos. Uśmiechał się, patrząc na Kala, ale nie był to wesoły uśmiech. Raczej złośliwy.

– Dzięki, amigo. – Kal otarł łzy z oczu. – Dzięki za przyjemność, jaką sprawiłeś Czempionowi, ale do następnej walki będziesz musiał wystawić karalucha z parą cojones.

Kolejny wybuch wesołości skwitował szyderstwo. Lopez rozłożył ręce.

– Si, tak zrobię. Tylko najpierw się rozliczymy.

– Co ty pieprzysz? – Kal poczuł ukłucie niepokoju. – Walka się nie odbyła, nie mamy czego rozliczać.

– Naprawdę? – Lopez potoczył wokół wzrokiem. Więźniowie milkli stopniowo, cisza rozlewała się kręgami, których centrum stanowiła grupa El Lobos. – A jak się umawialiśmy?

– O co ci chodzi? – Kal już wiedział, że coś jest nie tak, nie mógł tylko skojarzyć co.

– Umawialiśmy się... – Lopez powoli cedził słowa, jakby smakując każde przed wypowiedzeniem – że jeżeli twój karaluch zagryzie mojego, oddam ci trzydniowe racje. A jak nie, to ty oddasz mnie. Zgadza się, Sed? Tak było? – Grubas niepewnie pokiwał głową. – No i nie zagryzł.

– Chyba cię pojebało! – wybuchnął Kal.

– Ostrożnie, amigo. – Lopez pogroził mu palcem. – Na twoim miejscu zastanowiłbym się nad następnymi słowami.

– Pieprzony oszust! Jeśli myślisz, że dam ci się tak wyruchać...

– Całkiem niezły pomysł. – Lopez poderwał się błyskawicznie, a wokół niego momentalnie zrobiło się pusto. Kilku więźniów czmychnęło w czeluść tunelu, ale większość tylko się odsunęła, już się ciesząc na nieoczekiwaną atrakcję. – O tym wyruchaniu znaczy. Możesz mi zapłacić i tak.

– Jedna racja na Lopeza! – krzyknął ktoś i wokół zawrzało.

Kal z rozpaczą potoczył spojrzeniem dookoła. Nikt nie miał zamiaru mu pomóc. Latynos był silniejszy, a do tego miał na zawołanie cały gang. Reszta będzie mu tylko kibicować.

Słabi byli sami sobie winni.

– Co tu się dzieje, zwierzaki?! – W korytarzu pojawiły się opancerzone sylwetki nadzorców. Kal niemal rozplakał się z ulgi. –

Przerwa skończyła się dwie minuty temu! Zapierdalać do roboty!

Więźniowie bezładną falą rzucili się do biegu, byle dalej od trzaskających biczy. Kal porwał Czempiona i pobiegł z innymi. Wśród tłoczących się sylwetek ujrzał, jak Lopez przesyła mu obleśnego całusa.



*Tym razem wita mnie cisza. Nie ma nikogo, tylko ja i mój Mistrz. Ten, który dał mi nowe życie. Chwałę. Podziw. Ukształtował mnie w obecnej formie. Wyzначył cel.*

*Siadam na wyciągniętej dłoni, składając wdzięcznie skrzydła w hołdzie dla jego mądrości. To dzięki niemu jestem, kim jestem. To on doprowadził mnie na szczyt. W tych rzadkich chwilach, gdy zostajemy sami, mogę odłożyć na bok maskę Czempiona i na krótką chwilę stać się Uczniem.*

*Kłonię głowę w wyrazie szacunku.*



Kal patrzył na przebierającego odnóżami karalucha. Nie widział go wyraźnie. Opuchlizna zakrywała mu jedno oko, a w załomie korytarza, gdzie porzucili go El Lobos, było ciemno. Dodatkowo miał zawroty głowy z głodu. Od dwóch dni nic nie jadł, Lopez tego dopilnował.

Mój Czempion, pomyślał ze smutkiem. Gwarancja przeżycia w tym piekle.

Zamknął oczy i wsunął karalucha do ust.



MARCIN  
PODLEWSKI

---

## COLOSSEUM INFERNO

### I



**L**eżący na krawężniku robot miał przypominać dziewczynkę.

Rzecz jasna, aby to sprawdzić, trzeba było podejść bliżej, ale Adam nie miał na to ochoty. Podobny model widział tydzień temu: obdarte, na oko dziesięcioletnie dziecko ze sfatygowaną lalką, ubrane w sukienkę ozdobioną szarymi, przygnębiającymi kropkami.

I tak samo jak wtedy wcale nie miał pewności, czy patrzy na maszynę.

Wcześniejsze egzemplarze łatwo było rozpoznać po łysinie. Piekło skopało efekt popromienny i z daleka dało się dostrzec, że skóra jest sztuczna i jakby naciągnięta niczym czepek pływacki. Ostatnia seria posiadała już mysie, potargane włosy i z tego, co Adam widział, nieaktywna maszyna miała właśnie takie. Ale czy na pewno cholerstwo nie działało? A jeśli nawet, to czy nie uruchomi się, gdy będzie próbował wykręcić z niej kwantową baterię?

Oblizął nerwowo wargi.

Jeden niewielki kroczek, pomyślał. Jeden krok plus wyciągnięcie szyi. Przecież zobaczę. Kwantówka wystarczy na pół roku, nawet jeśli jest w połowie zużyta. Niemniej jednak... cóż, co tu dużo gadać. Bał się.

Dziewczynka poruszyła się nieznacznie. Jęknęła.

Adam zatrzymał się z jedną nogą w górze. Zamarł, patrząc na leżące sztuczne ciało, na rzucający na nie cień wrak starego passata bez opcji lewitacyjnej, na zepsutą latarnię, popękaną ulicę i poczerniałe od napromieniowania drzewo. Zastygł w świetle nadgniętego pomarańczowego nieba skażonego przez Piekło, tuż obok wejścia do opuszczonej dopiero co studzienki kanalizacyjnej.

Jezus Maria, pomyślał głównie dlatego, że nie miał już siły głośno kląć, a także dlatego, że na Potępionej Ziemi nie można było wymówić świętego imienia. Wpadłem.

Widział kiedyś, jak starszy model wyprodukowany przez Piekło zaczął biegać, by dopaść człowieka. Diabelstwo w pewnym momencie opadło na czworaki i zaczęło zasuwać jak wściekły pająk, czepiając się podłoża wysuniętymi mechanicznie kończynami. I tu będzie tak samo. Dziewczynka wstanie na nogi i powoli obróci się w jego stronę. Jej czujnik wychwyci nikłą feromonową nitkę zmieszaną z zapachem potu. Potem kucnie i skoczy. A jej oczy na krótką chwilę zapłoną czerwonymi diodami.

Koniec.

Starając się nie oddychać, zaczął wyjmować plumkacza. Skradziona z piekielnych transportów poręczna broń przypominała nieco zwykły rewolwer, ale nie strzelała kulami, lecz zbitką zagadkowej energii wynalezionej przez pokręconych szatańskich wynalazców. Adam nie był, niestety, pewien, czy cholera wypali. Ostatnim razem wydało z siebie jedynie żałosne plumknięcie – dlatego zresztą go tak nazwał.

Dziewczynka zaczęła wstawać.

Od razu zauważył, że coś z nią było nie tak. Chybotwała się lekko, zupełnie jak ręka Adama, nerwowo ściskająca plumkacz. Mała znowu jęknęła – dziwnie żałosnie – by wreszcie stanąć i, tak jak przewidział, obrócić się w jego stronę.

Jej gnijąca, rozpadająca się twarz tylko częściowo zasłaniała czaszkę. Brakowało jej oka, a od dawna martwe wargi odsłaniały pożółkłe, wyszczerzone zęby. Dziewczynka wyciągnęła szponiaste, chude dłonie i wydała z siebie coś jak warkot zmieszany z rozdzierającym zawodzeniem. Zawodzeniem, któremu po sekundzie odpowiedziało kolejne, gdzieś z wnętrza splądrowanego sklepu spożywczego.

Żywe trupy.

Nie było czasu zastanawiać się, który to gatunek. Czy podstawowe, powolne chodzące, czy może biegnące sprintery. Trafiały się i nekrozmutowane, a także najprostsze – ginące od strzału w głowę – i takie, które odpuszczały dopiero po pełnym rozczłonkowaniu. Jedno było pewne: szkoda było na nie strzału z plumkacza. Tam, gdzie był jeden, musiały być kolejne, a od hałasu zbijały się w kupy, zupełnie

jakby potrafiły się ze sobą komunikować. I może zresztą tak było. Diabli wiedzą... i istotnie, wiedzieli. Czy żył ktokolwiek, kto mógłby przewidzieć zamiary rozkochanych w spaczonej technice projektantów samego Piekła? Dlatego Adam zniżył lufę broni, wypuścił powietrze, zaklął i zaczął biec.

Okolicę znał nieźle. Kiedyś kojarzył ją z nazwami ulic, ale dawna nomenklatura nie miała już sensu – nie wtedy, gdy nastąpił Koniec i Piekło zapanowało nad światem, od teraz noszącym miano Potępionej Ziemi. Na lewo – Trupiarnia Cztery, na prawo – Popromienniak, na wprost – Nawiedzony Kwadrat. Do studzienki nie było co wracać – trupy były głupie, ale z pewnością za nim pójdą; jego obraz był zbyt świeży w martwym mózgu dziewczynki, a myślenia abstrakcyjnego powinno wystarczyć jej na tyle, by unieść żeliwną pokrywę prowadzącą do kanałów.

Wyglądało na to, że aby dotrzeć do kolejnego zejścia, będzie musiał dolecieć do Nawiedzonego i odbić w lewo, do Wsio w Pariadkie (jak oznaczył w miarę bezpieczną kamienicę na rogu Nawiedzonego Kwadratu i Żarłodajni – inaczej starego Tesco). Biegając, odwrócił się na moment – Bogu dzięki, to był jednak chodzący: jęczać jęczała, ale wlokła się noga za nogą. Jak mógł pomylić żywego trupa z robotem? To z wycieńczenia, uznał. Wycieńczenia i cholernego głodu.

– Mrowiak!

Z początku nie usłyszał swojego nazwiska. Coś go jednak zatrzymało – może przecucie, a może przypadek. Dość, że wyhamował.

– Tutaj!

Skręcił. Zbliżał się niebezpiecznie do Trupiarni Cztery, ale pierwsza grupa martwiaków tkwiła dopiero za ścianą bloków, częściowo rozerwanych przez bombę punktową. Zachrypnięty krzyk dobiegał właśnie stamtąd: nieopodal leja po bombie.

– Adam! Właż!

Usłuchał, wciąż nerwowo oglądając się za siebie. Dziewczynki nie było widać, zasłonił ją jakiś wyłom.

– Gdzie?! – syknął, w tej samej chwili zauważając, że od ziemi odrywa się metalowa kłapa i w głębi pojawia się ponaglająca go ręka. Człowiek czy maszyna?

Zawahał się, ale trwało to tylko moment. Może to przez chłód: coś chyba zbliżało się od strony Nawiedzonego Kwadratu. Tchnęło stamtąd zimnem – czuł, że dostaje gęsiej skórki. Duchy, uznał, widma zmarłych, którym ku uciesze Szatana z niewyjaśnionych przyczyn nie pozwolono zregenerować ciał. Idą na mnie upiory wysysające duszę...

– Pośpiesz się!

– Igor? To ty?

– Tak! Właż!

– Co żeś tam...

– Nie ma czasu, Mrowiak! Nie czujesz, że ciągnie?!

Adam nie odpowiedział. Igor nie był do końca normalny – ale to nie stanowiło większego problemu. Kto zresztą był jeszcze normalny na Potępionej Ziemi? W dodatku jeśli chodzi o duchy, skurczybyk mylił się rzadko. Zupełnie jakby miał na nie radar w łysej, skołowanej głowie. Dlatego Adam skrzywił się, schylił i ześlizgnął w bezpieczną ciemność.

Kiedy się już zaczęło, kanały nie były bezpieczne. W zasadzie w pierwszych dniach Końca trudno było o bardziej niebezpieczne miejsce. Oczywiście, gdy już grzmotnęło atomówką, dało się schronić w metrze, ale do czasu. Ziemia zaczęła bowiem pękać i w tunelach pojawiły się piekielne robaki. Wielkie i czarne, niektóre długie jak noga dorosłego mężczyzny. Segmentowane paskudztwa, przypominające nieco Obcych ze znanej filmowej serii. A gdy już się pojawiły, zaczęły zabijać.

Ci, którzy przeżyli robaczą falę, szybko zrozumieli, że dziury z robactwem pootwierały się i na powierzchni. Z częścią potwornych insektów poradziło sobie wojsko, ale po kilku tygodniach przegrywanych walk oddziały poszły w rozsypkę. Ktoś – być może jeden z ostatnich dowodzących – uznał, że najlepiej sprawdzi się strategia partyzancka, połączona z utrzymaniem już raz zdobytych obszarów. Walka frontowa przestała mieć tym samym rację bytu, głównie dlatego, że front był już wszędzie. W kanałach uspokoiło się zatem – podczas gdy na zewnątrz rozpętało się prawdziwe piekło... które skończyło się ostatecznym zwycięstwem Gwiazdy Zarannej i jego demonicznej armii.

– Ciągnie, ciąągnie... – zawodził cicho Igor, pędząc przed siebie jak mała. – Ciągnie...

– Przymknij się! – warknął Mrowiak. Jego przewodnik odwrócił się na moment, ale tyle wystarczyło, by dostrzec wykrzywioną twarz szaleńca.

– Ciągnieeee chłodem! Duchy! Duchy! Duuuchy!

– Niech cię diabli, Igor! Usłyszają!

– Ciągnie!

Korytarz poszerzył się, opadał. Biegli w kierunku starej stacji metra albo wykopanych schronów – do czego jednak, trudno było stwierdzić. Adam stracił orientację już po pierwszych dwudziestu metrach. Po trzech odnogach przelecieli przez uchylone stare drzwi, które Igor zatrzasnął za nimi, i wreszcie, ciężko dysząc, opadli na upchany w kącie stos śmieci. Igor zagrzebał się zaraz w stare gazety i jakieś komputerowe, poźółkłe elementy składowe.

– Co ty tu... – wychrypiał Mrowiak, ale jego wybawca nie odpowiedział. Rozkaszał się tylko, machając ręką w stronę rupieci. – Po co żeś to zbierał?

Igor uśmiechnął się, wyciągając dłoń i klepiąc jeden z leżących obok

pękniętych płaskoekranów. Monitor rozbłysnął mętną zielenią i zatrzeszczał.

– Skąd masz prąd? – spytał niepewnie Adam, ale odpowiedź była prosta: pod ceglastą, mokrą ścianą siedział człekokształtny, uszkodzony robot – najprawdopodobniej druga seria wyprodukowana przez Piekło. Od mechanicznego cielska pociągnięto kable i przełączki. Drań ma tu kwantówkę, zrozumiał mężczyzna, może i starą, może i zużytą... ale kwantówkę. Tylko po co podłączył ją do tych śmieci?

– Jeszcze zassie... – pochwalił się wciąż nieco zadyszany głosem Igor. – Dwadzieścia pięć procent. I ten twój plumkacz... masz baterijkę, co?

– Mam, ale co cię to obchodzi?

– Czekaj...

– Po cholerę? – szepnęła niepewnie Mrowiak, ale na ekranie ukazał się już obraz całej dzielnicy, widzianej z góry i rozsypującej się na piksele. Coś tam się wyliczało, piszczalo i klekotało. – Co tu robisz?

– Czary-mary – pochwalił się Igor. – Tak, tak! O, tu, tu! – pisnął, podskakując do monitora. – Jest!

– Co ma niby być?

– Sygnał! Już wiedzą, och, już wiedzą!

– Kto znowu... – nie zrozumiał Adam, zbliżając twarz do monitora. – Co ty, chłopie, pieprzysz? – spytał niepewnie. – Kto ma niby wiedzieć?

Zamarł w nagłym błysku zrozumienia. Ale na ucieczkę było już za późno.

Oczywiście zerwał się – tyle pamiętał – i trzepnął chichoczącego Igora, którego niewiele to zresztą obeszło. Potem skoczył z powrotem ku tunelom – ale już nadchodzili. Słyszał dudnienie i skowyt, doleciał go pełen triumfu wrzask. Pobiegł więc na ślepo, w kierunku zaalarmowanych przez Igora obszarów, i nawet nie pamiętał, kiedy go dopadli. Jeszcze tylko kilka urwanych ujęć: twarze Łowców skryte pod ptasimi maskami dawnych lekarzy dżumy, bat, siatka, chichot i szcęk – i wreszcie twarz Igora otrzymującego swoją zapłatę i kulącego się w tchórzliwym ukłonie. A potem ciemność, bo zawsze nadchodzi ciemność, tak jak zawsze nadchodzi koniec.

## II

Trudno jest pojąć architekturę budowli Piekła.

Zajmują dawne miejsca, wzrastając z ziemi niczym gigantyczne kamienne nagrobki, i szybko przytłaczają okolicę swym ponurym majestatem. Od czarnych ścian ciągnie chłodem, a szczyty nikną gdzieś

w poźółkłych chmurach, jakby usiłowały przebić ostatnią zasłonę i spojrzeć w nieruchome oko Niebios. Większość nadal rośnie – tak jak smukłe czarne wieże i niby-blokowe monolity, przypominające mokre sny budowniczych socrealizmu. Wszystko jest zbyt wielkie i zbyt puste, zbyt martwe i zbyt nieludzkie – oto piekielne mauzolea i dworce, oto puste place i kolumny. I, przede wszystkim – oto Piekielne Colosseum; oto Colosseum Inferno.

Adam widział je tylko przez chwilę – niczym wielki cień górujący nad dawnym Mokotowem, będącym teraz skupiskiem postapokaliptycznego gruzu. Budowla zasłaniała spaczone słońce. Wyciągnięto ją z samych czeluści Piekła, gdyż Gwiazda Zaranna nie chciał rozstawać się ze swym ulubionym przybytkiem i nie wyobrażał sobie pozostawienia w wymiarze Otchłani tak cennego fortu do ataku na znienawidzone siły Niebios. Tym bardziej teraz, gdy udało mu się zająć Ziemię.

Piekielne Colosseum mignęło Mrowiakowi, a potem wóz, na którym go transportowano, zatrząsł się, a ciągnący go behemot zaryczał. To wystarczyło, by Adam zacisnął powieki i zatkał uszy: ryk piekielnej poczwary przenikał ciało i kości, mroził duszę. Nie to go jednak przerażało, ale myśl, że skoro najprawdopodobniej jedzie do Colosseum Inferno, to jego los został przypieczętowany.

Nikt nie wiedział, jakimi zasadami dotyczącymi śmiertelników kieruje się Piekło. Po jego wielkim zwycięstwie Potępiona Ziemia stała się miejscem przeklętym, dotkniętym wszelkimi plagami. Ich mnogość radowała Szatana, który zdecydował się na odegranie całego teatru Apokalipsy. Zbuntowane roboty, nuklearne zniszczenie, żywe trupy, duchy, demony i siła zwana Rozpadem – to wszystko i jeszcze więcej stało się ulubioną rozrywką diabła. Jego urzędnicy i piekielni architekci codziennie wymyślali nowe kary i nowe zabawki tortur. Wyobraźnia Piekła była niezmierną.

Ci, których nie połknęła Czeluść, chowali się po kątach niczym szczury, dostarczając rozrywki piekielnej arystokracji. Polowano na nich i zabijano – w zasadzie bez końca, bo gdy ciała nieszczęśników regenerowały się diabelskim sposobem, gładzono ich ponownie. Po kilku takich odrodzeniach załamywał się niemal każdy. Część ludzi oszalała i przystąpiła dobrowolnie do Armii Ciemności, inni – tak jak Igor – dryfowali w szarej strefie, zdradzając własny gatunek w zamian za zostawienie ich w spokoju. Jeszcze kolejnych przemieniano w żywe trupy, szatańskie cyborgi czy widma. Wszystko po to, by pokonać jedyne go wroga, którego Piekło nienawidziło bardziej niż Niebios – nudę. Lecz nawet i tu – w sercu warszawskiego Pandemonium – jedne rozrywki były cenniejsze od innych, a klejnotem w koronie okazało się Colosseum Inferno.

– Świeżak?



Adam wzdrygnął się. Chrapliwy, trzęsący się głos doleciał z wnętrza klatki. Odziana w łachmany postać – współtowarzysz niedoli – drgnęła i przysunęła się nieco bliżej.

– Nie rozu...

– Przecież widzę, żeś świeży – wychrypiał znów nieznajomy, wyciągając pokrytą łuszczycą, wychudzoną dłoń. Złapał Mrowiaka za ramię, by je boleśnie ścisnąć. – Nieco mięśni jest, co? Kochany, dasz radę! – dodał, zionąc słodkawym, zepsutym oddechem starego pijaka. – Nic się nie bój! Dobrze będzie, patrz!

– Co? Gdzie mam...

– Nie na Colosseum, w lewo! Tam! – zatrzeszczał łachmaniarz. Jego twarz, pełna strupów, zmarszczek i brudu, rozjaśniła się na moment od odległej łuny. – Wali na czerwono, znaczy otwierają!

– Co znowu?

– Piekło, świeżaku, Piekło! Wyciągają z niego dawnych zmarłych. Będzie teraz dobrze, zobaczysz! – w chrapliwym głosie zabrzmiało wyraźne rozbawienie. – Jak się nazywasz?

– Adam... Adam Mrowiak.

– Adam? Niedobrze, nie spodoba się im. Nie lubią tego imienia... tak jak i kilku innych. Albo zostaw tylko nazwisko, a wszystko inne zmień.

– Na co?

– A na co tam chcesz! Mnie nazywają Suchy. Jak pytają o prawdziwe imię, mówię, że zapomniałem. Tak najlepiej... a demonom nie chce się sprawdzać. W końcu to wszystko... – Suchy zaśmiał się i rozsunął ręce, jakby chciał zaprezentować swoje okutane w łachmany ciało – i tak idzie na przemiał, co nie? Nie ma więc dla nich znaczenia, jakie imię podasz. Rozumiesz?

– Tak jakby... – Mrowiak przełknął ślinę. Przytłaczająca łuna wciąż pulsowała: na przemian czerwień i ciemność. Suchy zachichotał.

– Coś tak zbladł, świeżak? Przejmujesz się tym otwarciem Piekła? Powinieneś się cieszyć, kochany!

– Cie...cieszyć?

– Pewnie, że tak! Wiesz, kogo wyciągnęli za pierwszym razem? Hitlera. To był taki słabiak, że aż żal brała. Klatka piersiowa zapadnięta, cienkie rączki... ledwo biegał po piasku. Taki wąsaty hobbit, dyszał tylko i piszczał. Przebiegł raptem pół areny i jak go wreszcie dopadli, zesrał się ze strachu. – Suchy wyszczerzył się w uśmiechu, demonstrując zepsute, pożółkłe zęby. – Nie żartuję! Smród doleciał aż do pierwszych rzędów... Nie wiem, co mu zrobili w Piekle, ale pewnie coś specjalnego, bo wyglądał jak kupa nieszczęścia. Z Hitlera była dupa, nie przeciwnik! Poza tym nie zdążył nic przywołać... a mógłby to zrobić, gdyby miał jaja!

– Wyciągnęli Adolfa Hitlera?

– No. Nic wielkiego... – Suchy zamachał niedbale ręką. – Camus, o, to był ktoś! Patrzyłeś i myślałeś: chuderlak. Bida z nędzą wspólny żywot pędzą. Wiesz, o kogo mi chodzi, co? Czytałeś jakieś jego książki? Znasz „Dżumę” na przykład? No właśnie... – Suchy umilkł na chwilę, wracając do wspomnień. – Taki słabeusz, jakby lękał się własnego cienia... – podjął wreszcie. – Ale jego oczy... o, człowieku! Oczy Camusa były jak stal. Wyciągnął na arenę tę swoją dżumę, poszła falą po piasku, była niczym Rozpad! Zaciukali biedaka dopiero za którymś podejściem. I nawet wtedy, skubany, ani pisnął! Nigdy później... – dodał po chwili, jakby się nad czymś zastanawiał – nigdy już go nie pokazali. Niespecjalnie mnie to dziwi, choć często wyciągają pisarzy...

– Albert Camus... wylądował w Piekło?

– Jak wy wszyscy – zauważył Suchy, wracając do swojego kąta. – Jak, kochany, wy wszyscy.

Behemot szarpnął wozem i zaryczał znowu, donośnie i przejmująco. Czerwień zamigotała raz jeszcze i zgasła, a Adam poczuł, jak po policzkach spływają mu zapomniane, dawno wysuszone łzy.

### III

Colosseum Inferno.

Gdy dojeżdżali, Mrowiak nie widział jego szczytu. Czarna budowla wyrosła przed nimi niczym ściana najeżona kolcami, z pustymi oczodołami dziur na wielokondygnacyjnym podium. Pomiędzy filarami monolitycznych arkad płonęły ognie. Wydobywał się stamtąd dym, zapach krwi i wrzask, zagłuszany przez jednostajny szum spiętrzonego w piekielnej budowli tłumy. Coś tam latało – w górze, trzepocząc nietoperzymi skrzydłami, czepiając się ciemnych ścian – i Adam usłyszał nagle demoniczny chichot, przecinający hałas niczym ostrze skalpela. Przymknął oczy.

– Już... – zachichotał Suchy. – Już!

Wjeżdżali w jedno z szerokich wejść. Była to wielka brama, na której diaboliczni rzeźbiarze wykuli płaskorzeźby zlecone przez Gwiazdę Zaranną. Dało się wśród nich dostrzec piękne postacie o świetlistych skrzydłach, rozniesione na mieczach i pikach Piekiła. Ofiary tej rzezi miały gasnące, przerażone oczy i wznosiły pokrwawione ręce ku niemyemu Niebiosom. Ale widoczne w górze, wykute w kamieniu obłoki nie reagowały na ich śmierć i cierpienie.

– Anioły... – szepnął Adam.

Suchy splunął.

– Sranioły – uznał. – Wcale nie tak wyglądają.

– A co, widziałeś jakiegoś?

Suchy nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami.

– Myślisz, że mają takie biblijne skrzydełka i śliczne aureolki? To marketing – uznał po chwili. – Masz tu przecież pokazaną walkę w Niebiosach, a ona jeszcze się nie odbyła. To tylko marzenie Lucyfera. Gównu mu z tego wyjdzie.

– Z Ziemią mu się udało... – zauważył Mrowiak. Suchy znów splunął.

– A co to jest Ziemia? – prychnął złośliwie. – Poligon ćwiczeń.

Dojeżdżali.

Spoczął już na nich cień posągu Gwiazdy Zarannej. Olbrzymia rzeźba – będąca tym samym co posąg Nerona dla Koloseum rzymskiego – zdawała się bardziej anielska niż płaskorzeźby na bramie, choć pierzaste skrzydła zastąpiono skrzydłami smoka. Po pięknej twarzy Lucyfera błdził uśmiezek Mony Lisy, utrzymaną przez niego włócznie wyrzeźbiono w kształt węża.

Kamienne spojrzenie posągu spotkało się na moment ze spojrzeniem Mrowiaka, ale było to tylko mgnienie – wjeżdżali już w noc i Adam zdusił w ustach jęk rodzący się na widok ciemnego korytarza pełnego demonów i potworów. Część niby rozpoznawał, zwłaszcza te z diabolicznych form, które przypominały majaki Lovecrafta – i to tak wierne, że patrzącemu na nie człowiekowi wywracał się żołądek.

Wóz stanął nagle i wyszarpięto ich z Suchym na zewnątrz, by od razu pognać w ciemność. Ziemia drżała i na chwilę znów rozjaśniła się od czerwonego blasku, ale Adam już tego nie widział. Zdjął go dziwny paraliż wymieszany z lodowatym lękiem. Poczul jeszcze, jak zbiegają gdzieś w dół – do podziemi hypogeum, i jak go popychają i odciągają od towarzysza, tak że poleciał wprost do niewielkiej, wykutej w ścianie wnęki. Ledwo co zdążył zrozumieć, gdzie się znalazł, gdy demon przypominający stojącego na dwóch łapach wilka zamknął celę żeliwną kratą.

Mrowiak skulił się, osłonił rękami. Wilczy pysk wsunął się między pręty, węsząc i jakby go oceniając.

– Trak! – warknął wreszcie i zniknął.

Adam zadygotał i cofnął się ku ścianie celi.

– Co powiedział? – dobiegł go chrapliwy głos Suchego.

Mrowiak obrócił się nerwowo, ale nikogo nie dostrzegł.

– Słucham...?

– Pytałem, co powiedział. Gał, myrmilo?

– Nie rozumiem... gdzie jesteś?

– W celi obok, Einsteinie! Co ci warknął?

– Coś jak traktor...

– Trak – podchwycił Suchy. – Szatan uwielbia starożytny Rzym i jego nazewnictwo. Będziesz więc trakiem, chłopie.

– Trakiem...?

– A jakże! Dostaniesz się, to taki długi, zakrzywiony nożyk, i parnę, niewielką tarczę plus ochronny rękaw. A jak będziesz miał szczęście, to i zgrabny hełmik.

– Skąd to wiesz?

– Już tu byłem – odparł po chwili zagadnięty. – Dawno temu. Ale wystarczy, żeby wiedzieć, że ludzi dzieli się tu na kilka typów.

– Typów?

– Gdybyś był bardziej wyrośnięty, zostałbyś samnitą albo galem. To takie ludzkie czołgi... gladiator ciężkozbrojny. Trak to waga kogucia, rozumiesz. Większość chudeuszy to trakowie. Nie martw się, mogłeś trafić gorzej...

– Gorzej?! – jęknął Mrowiak.

– Mogli wpakować cię w bestiariusza, dać włócznie i kazać zabijać potwory z głębin Piekła – wytłumaczył, nie bez pewnej satysfakcji, Suchy. – To pewna śmierć, nie tylko szybka, ale i paskudna. Teraz czeka cię jakiś zwykły demon.

– Zwykły demon?!

– Nie masz co narzekać! Zawsze to lepsze niż zmarły wyciągnięty z Piekła, możesz mi wierzyć! A sam widziałeś, że kogoś wyciągnęli...

– Mam się cieszyć, że trafi mi się jakiś cholerny demon?!

– Nie mówię, że zaraz masz skakać – dodał uspokajająco Suchy. – Demony, jak to demony, bywają różne. Ale trak to naprawdę świetna opcja. Mogli ci wręczyć sieć, żebyś się w nią zaplątał i wyróżnął łbem o arenę. Sieć to retiarius. Jako trak masz zatem... ej, co z tobą? Będziesz rzygał? No to pięknie...

Adam nie odpowiedział. Przerażony i rozdygotany, wciąż kaszłał, wypluwając z siebie resztki spożytej jakiś czas temu fasoli w puszcze, cudem zresztą znalezionej.

Zabrali go jeszcze tego samego dnia.

Niewiele z tego pamiętał – tylko warkot i mroczne, nachylone nad nim sylwetki, i wreszcie brudną, ciemną salę, oświetloną pełgającymi ogniami pochodni doczepionych do ścian. Tam wrzucono go w skuloną w kącie ludzką ciżbę, nadzorowaną przez piekielnego robota, wypisz wymaluj Terminatora ze znanej filmowej serii. Urządzenie zareagowało tylko raz, gdy jeden z przerażonych ludzi próbował wyrwać się i uciec ku korytarzowi. Z chrzęstem metalowych przekładni złapało go wtedy zręcznym, sztywnym ruchem i urwało mu głowę. Rzucony niedbale zezwłok zaczął szybko drgać w piekielnej regeneracji ciała – znacznie szybciej niż normalnie – ale nie doczekali finiszu, ciało zabrały demony.

Zapoczątkowana już przez wilka selekcja odbyła się szybko. Jedną z kobiet podłączono do przenośnego urządzenia, które Mrowiak kiedyś już widział i znał pod nazwą wyzwalacza. Diabelskie ustrojstwo wpięło

się w nieszczęsną końcówkami metalowych szydeł i spaliło jej ciało, pozostawiając przerażone, unoszące się w powietrzu widmo. Najwidoczniej ktoś z nadzorców uznał, że biedaczka lepiej sprawdzi się na arenie jako duch. Takich też można było załatwić wysokim napięciem, choć Adam nie wiedział, jaki typ gladiatora miałby walczyć z upiorem. Czyżby ktoś z prądnicą? Potem poszło już gładko: jednych przepchano w lewo, drugich w prawo, część cyborgizowano na miejscu, jeszcze inni dostali nekromutację. W pewnym momencie Adamowi mignął gdzieś Suchy, którego – jak dostrzegł – odepchnięto z wyraźną wzgardą. Pokryty strupami łachmaniarz budził wstręt nawet w sługach Pieła. Co się z nim stało później – tego już nie widział.

W zwykłych ludzkich ciałach zostało ich jakieś siedemdziesiąt pięć procent – i to oni, razem z Mrowiakiem, trafili do pomieszczenia pełnego dziwnych stworów o wielkich, niby-lalkowatych głowach. Nad łysymi czaszkami piekielników płonęły błękitne ogniki, ale nie one skupiały wzrok, lecz wielkie, ciemne, pozbawione wyrazu oczy demonów. Ich gęste, ciężkie spojrzenie odbierało wolę i narzucało słabość.

Gdy ludzie osuwali się przez to na posadzkę, dopadały ich karłowate dzieci o wykrzywionych, obłąkanych twarzach – małe dusze wyciągnięte wprost z Limbo – i to one zakładały na ich stare stroje uniformy gladiatorów, pośród wrzasków, pisków i złośliwych chichotów. Zanim jednak dotarli do Adama, wszystko się skończyło i Mrowiak znów wylądował w celi, w której – ku jego zdziwieniu – czekała na niego miska z gorącą strawą. Posiłek smakował koszmarnie, ale zjadł go łapczywie, nie zastanawiając się, po co go karmią.

Dowiedział się tego później. Następnego dnia o brzasku, gdy żeliwna krata odsunęła się, a on – wciąż zaspany, niepewny i drżący – ruszył przed siebie, ponaglany przez ostrza włócznie.

## IV

Na początku uderzyło go światło – zdawało się czystsze niż spowijający Potępioną Ziemię półmrok. Ale była to jasność chłodna, niemal elektryczna – zupełnie jakby nad areną zapłonął słoneczny reflektor. A może był to efekt wcześniejszej ciemności? Dość, że nie poczuł nawet, jak wciskają mu tarczę, spiczasty hełm przypominający głowę drapieżnego ptaka i długi nóż przypominający zakrzywioną maczetę. Nie osłonili mu torsu – na klatce piersiowej wciąż powiewała brudna, porwana, zapomniana koszulka z okładką „Disorder” Joy Division. Gdy wychodził, zabrali mu tylko buty – zjechane, stare trampki – i dali wysoko sznurowane sandały oraz nagolenice.

Trybuny powoli się zapełniały. Ktoś grzmiał przez głośnik w zapowiedzi atrakcji, w której Mrowiak miał być tylko przekąską. Adam uniósł głowę i zawirowało mu przed oczami. To była piekielna arystokracja, a może zwykła diabelska zbieranina: demony najróżniejszego rodzaju, obłąkane maszyny, maskary nie z tego świata, humanoidalne robale, marzenia Giger'a i Barlowe'a, istoty wyciągnięte żywcem z horrorów z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku... Można było dostać od tego oczopląsu, zwłaszcza że masa ta huczała, porykiwała i drgała niczym żywy organizm nachylony nad żółtą plamą areny, nad stadionem otoczonego murami Colosseum Cierpienia.

– Lilith! – wydarł się głośnik. – Czarna Służebnica, Pani Rozpadu... ale to już za chwilę! Niebawem wyrwane przez nią flaki i słodki zapach krwi uświęcą Colosseum Inferno, lecz teraz jeden ze świeżych! Patrzcie na niego... oto syn człowieka! Patrzcie! Oto ukochany przez Niebiosy mizerny, mały wypierdek! Spójrzcie i nacieszcie oczy, patrzcie, jak zgniecie go Wybór!

Mrowiak zmrużył oczy. Mówili o nim, ale niewiele go to obeszło. Tłum też nawet na niego nie patrzył. Wszyscy czekają na tę całą Lilith. Czy tam, na specjalnej trybunie, naprawdę siedział Lucyfer? Bił stamtąd jakiś blask, coś jakby cień światła – o ile światło może w ogóle mieć cień... Głośnik zarzęził nagle i umilkł przy akompaniamencie donośnego sprzężenia. Czyżby się skończyło? Ale był to dopiero początek. Wokół areny w końcu zapadła cisza.

Najpierw skończyły się wrzaski, chichoty i nawoływania. Potem opadł szmer, aż wreszcie, gdy Adam zaczął się rozglądać po Colosseum Inferno, dźwięki skupiły się w jednym tylko odgłosie. Były to kroki – ciche uderzenia stóp o piasek.

Nadchodząca ku Mrowiakowi postać przypominała otulonego w poszarpane szaty starca – potwornie wychudłego, o łysej głowie i twarzy niczym naciągnięty pergamin. Adam cofnął się, ale gość nie sprawiał wrażenia agresywnego – wręcz przeciwnie, uśmiechał się z rozwartymi sinymi ustami, tak że widać mu było poczerniałe zęby. Jego oczy, skryte za ciemnymi lenonkami, płonęły jak dwa zimne ognie. W dłoniach o długich, pożółkłych paznokciach trzymał starą księgę oprawną w ludzką skórę.

– Wybór! – zaskrzeczał. – Wybór!

– Jaki znowu wybór? – wymamrotał Mrowiak.

Starzec kiwnął głową i otworzył księgę.

– A! – oznajmił ochryple, przesuwając palcem po brudnych kartach. – Abalam, książę Piekieł. Abigor, jeździec z lancą. Ajperos, hrabia. Alocer, wielki książę o ciele lwa. Annabry, książę o postaci czarnego psa. Astarot, wielki książę o urodzie szpetnego anioła roztaczającego potworny smród...

– Co to ma być?! – przerwał mu Adam. – Jakiś alfabetyczny spis?  
– Wybór! – powtórzył z wyraźnym zadowoleniem starzec.  
– Wiesz, gdzie mam ten twój wybór? – prychnął Mrowiak. – W...  
– Zatem los! – ucieszył się gość i ku zaskoczeniu Adama machnął księgą, podrzucając ją w górę.

Karty zafurkotały w powietrzu. Starzec uniósł dłoń i złapał z ręcznie piekielny podręcznik, by obrócić go nagle ku twarzy Mrowiaka i wskazać literę S.

– Samael! – wychrypiał, na tyle jednak głośno, że usłyszały go zebrane w Colosseum tłumy. – Anioł Śmierci! Kusiciel Ewy!

– Hej... czekaj! – zaczął Adam, ale piekielny wysłannik skłonił się tylko i zamknął księgę, po czym cofnął się i zniknął w oparach czarnego dymu. – Nie wybierałem go, słyszysz?! Wracaj tu, kurwa!

Odpowiedziała mu cisza.

Rozglądał się jeszcze nerwowo i niepewnie, ale starzec już się nie pojawił. Mrowiak usłyszał tylko kilka chichotów z trybun – zaraz zresztą uciętych. Siedząca w Colosseum Inferno diabelska tłuszcza wołała delektować się jego lękiem, czekając na kolejny akt makabrycznej, krwistej groteski. I nie czekała długo.

Najpierw znowu pojawił się dym, a następnie szum, który skojarzył się Mrowiakowi z szelestem olbrzymich skrzydeł. I słusznie, bo to je dostrzegł jako pierwsze – jakby krucze, o lśniących smolistych piórach. Sekundę później usłyszał złowieszczy syk i tuż obok jego nogi wbiła się strzała o czarnej lotce. Demon miał łuk! To go poderwało. Zaczął biec zygzakiem, nie patrząc nawet na nadlatującego przeciwnika i nie zwracając uwagi na złośliwy śmiech przyglądających mu się piekielnych zwyrodnialców...

Następna strzała trafiła tuż obok jego prawej stopy i wymusiła zmianę kursu: odbił w lewo, rozpaczliwie zdając sobie sprawę z faktu, że na arenie nie było gdzie się schować. Wyjścia już zamknięto, a rzędy, na których siedzieli widzowie, były zbyt wysoko. Dobiegł do nich tak czy owak, by dojrzeć, jak nachyla się ku niemu jeden z siedzących najbliżej potworów, przypominający wielką dżdżownicę – i pluje w niego niewielkim strumykiem błękitnego ognia. Odskoczył wtedy, nie mając sił na przekleństwa, i zdołał odbiec na środek – na tyle szybko, by uniknąć rzuconych w jego stronę śmieci i kamieni.

Nie odbiegł daleko – następna strzała trafiła go w lewe ramię. Ból był przeszywający, Adam stracił rytm, krzyknął i przewrócił się na piasek areny. Miał jeszcze na tyle rozsądku, żeby obrócić się i spojrzeć na nadlatującą ku niemu postać. Samael lądował: znudziło go najwidoczniej strzelanie do łatwego celu i zbyt szybkie zwycięstwo. Widać go już było w całej okazałości – wyglądał jak wielki szkielet o płonących czerwienią oczodołach, odziany w ciemną, podartą szatę.

Jego skrzydła wyglądałyby może na anielskie, gdyby nie ich czern. Rozpostarł je okazale, odrzucił łuk i wyjął z fałd szaty miecz o pokrytym rdzą ostrzu. Uniósł go teraz w kościotrupiej łapie, na co odpowiedziały mu wiwaty czekającego na śmierć Adama tłumu. Nie śpieszył się: skryta w ciemnym kapturze czaszka obróciła się ku trybunie Lucyfera. Czekał na rozkazy. Od Gwiazdy Zarannej zależało, jak szybko upora się z tym żalonym przeciwnikiem; możliwe zresztą, że Lilith potrzebowała nieco więcej czasu na swoje efektowne wejście i konieczna była dłuższa zabawa z ludzkim ścierwem.

Mrowiak spróbował się podnieść. Ramię piekło żywym ogniem, opadło mu bezwładnie, ale w prawej dłoni wciąż trzymał się. Coś poruszyło się na podium Szatana – wielka, płonąca zimnym światłem sylwetka wykonała jakiś ruch. Zapewne to sam Lucyfer zezwalał Samaelowi na dokończenie dzieła, ale Adam już tego nie widział. Dźwignął się na obie nogi i ruszył ku demonowi, wciąż patrzącemu na tron Gwiazdy Zarannej.

Zdradził go śmiech. Dostrzeżono jego wysiłek i uznano za żalony: mały, zraniony ludzki robak porywający się na potężnego demona! Samael usłyszał chichot z trybun i spojrział w stronę Mrowiaka – na swoje nieszczęście nie na tyle szybko, by uniknąć ciosu. Adam ciachnął centralnie w szkieletowy tułów demona. Sica trafiła w skryte pod szatą żebro.

Colosseum Inferno zamarło.

Samael cofnął się, nie wydając żadnego dźwięku. Gdyby odczuł ból, mógłby może syknąć – ale cierpienia nie zadała mu sica, lecz związane z nią upokorzenie. Odepchnął Mrowiaka niczym dokuczliwego insekta i jednym zręcznym ruchem wbił mu miecz prosto w brzuch. Cios był tak potężny, że przyszpilił Adama do ziemi.

Anioł Śmierci nachylił ku niemu swą wielką czaszkę. W czerwonych, uwieczonych w oczodołach ognikach płonąła wściekłość.

Mrowiak zakaszłał, z ust popłynęła krew. Nic już nie widział, nie czuł ani nie słyszał: ani poruszenia na arenie, ani obezwładniającego ryku, ani kolejnej zapowiedzi... Zdało mu się tylko, że widzi nadejście tej, która miała wejść zaraz po nim: nagiej pięknej kobiety o alabastrowej skórze emitującej światło – ale mogło to być tylko złudzenie.

Zakaszłał raz jeszcze i umarł.

## V

Wskreszenie nie należało do najprzyjemniejszych.

O dziwo, nie trafił do swojej celi. Znalazł się gdzieś w podziemiach



hypogeum, ale chyba na niższym poziomie. Uwieszono go na czymś przypominającym nieco wyzwalacz, a częściowo metaliczną sieć – niczym kukielkę na sznurkach. Gdy zaczął mu wracać wzrok, zauważył, że poniżej, w mroku, stały klatki z gladiatorami. Byli to ludzie, ale nie tylko – część stanowiły przetransformowane przez Piekło diaboliczne wersje potępionych.

Nie licząc owych nieszczęśników, zauważył też uwięzione potwory. Zapewne były to demony niższego rodzaju. Bestie, z którymi według Suchego miał mierzyć się bestiarius. Część klatek z nimi stała na platformach, które podnoszono w górę za pomocą grubych łańcuchów: w ten sposób transportowano je na arenę. Sporo tu było takich piekielnych machin. Niektóre przypominały średniowieczne konstrukcje oparte na zębatych kołach, dźwigniach i podnośnikach, inne z kolei wyglądały na nowoczesne, komputerowe mechanizmy. To ostatnie niespecjalnie zdziwiło Adama. Gwiazda Zaranna bądź co bądź uwielbiał diaboliczną technologię.

Wisiał tak przez trzy dni. Przynajmniej tyle mu wyszło z wyliczeń. Czas dla wskrzeszanego dziwnie spowalniał lub przyśpieszał, w zależności od przypadku. Zdarzało się, że zabici na powierzchni Potępionej Ziemi ludzie niemal natychmiast wracali do swojej poprzedniej formy, w bólu i krzyku, lub leżeli długi czas jako martwy zezwłok. Bywało i tak, że powracali już jako widma lub żywe trupy, choć trudno było stwierdzić, jakimi wyliczeniami kieruje się Piekło, wcielając ich w ten sposób do Armii Ciemności. Dość, że sam proces wskrzeszenia przypominał ponowne narodziny, ale narodziny świadome, wypełnione cierpieniem.



Tak było i tym razem, z tą różnicą, że gdy sam proces dobiegł końca,

zabrano go nie do celi, ale do ukrytego gdzieś w podziemiach pomieszczenia z wielkim łóżem, a także stołem pełnym smakowicie wyglądającego jadła. Na ścianach płonęły pochodnie, a w drewnianych i połączanych misach leżały winogrona, mięso i, ku zdumieniu Mrowiaka, paczki ziemskich chipsów.

Niemal natychmiast, nie zastanawiając się nad niczym, dorwał się do jedzenia. W pucharach było chyba wino, w kubkach – coca-cola. Jadł i pił łąpczywie, jakby w lęku, że wszystko mu zaraz odbiorą, i nawet nie zauważył, że nie jest już sam.

Kobiety były trzy – na pół nagie, o pachnących włosach utrefionych na wzór rzymskich fryzur. Ich skóra była blada, oczy – wielkie i jakby martwe, nieruchome. Usta – ciemne i cienkie, piersi pełne.

W dziwny sposób skojarzyły mu się z alabastrowymi posągami.

– To ten... – odezwała się pierwsza, podchodząc nieco bliżej i wyciągając dłoń ku Adamowi, który stał jak sparaliżowany. Lodowate palce o długich, ostrych paznokciach dotknęły poszarpanej koszulki Joy Division, w której znów się zregenerował.

– Zranił Samaela – podchwyciła druga. Jej głos, tak jak poprzedniej, był dziwnie ciężki, niemal męski.

Mrowiak cofnął się nieco i wtedy pierwsza z kobiet uśmiechnęła się lekko. Pomiędzy zwykłymi ludzkimi zębami błyszcząły jej też ostre, krótkie kły.

– Boi się – szepnęła trzecia, zachodząc go z boku.

– Słodki – uznała pierwsza, bez większych ceregieli popychając Adama na łożo.

Wtedy to dostrzegł: niewielkie, ale całkiem wyraźne rogi wystające spod ich fryzur. Sukkuby, pomyślał z przerażeniem, i w tym momencie poczuł, że druga z demonic łapie go w pasie. Jej ramię było jak lód, ale w zimnie kryła się zapowiedź jakiejś bolesnej, obezwładniającej pieśzcoty.

– Nie... – wykrztusił, ale to było wszystko. Jedyne, co mu odpowiedziało, to śmiech.

Nie poczuł nawet, jak gryzą mu skórę i rozsmarowują na sobie jego krew, która zdawała się je ocieplać. Zanurzył się w lodowatym i zarazem gorącym wirze, odpowiadając na to szaleństwo wybuchem, którego kompletnie się po sobie nie spodziewał.

Przestał myśleć, przestał się opierać – coś w nim pękło, a one to dostrzegły. Reszta już była szaleństwem, choć w przypiływie otrzeźwienia dostrzegł jeszcze, jak się zmieniają i rozpościerają nad nim wielkie, nietoperzowe skrzydła. Nie miało to już jednak znaczenia, liczyły się tylko odbierające mu wszystko rozkosz i upodlenie, w których nie było miejsca na wstyd – została jedynie śmierć i ból, który stał się nagle ekstazą, a może to ekstaza stała się cierpieniem.

## VI

– Spodobałeś się.

– Cicho bądź.

– Mówię serio. – Suchy musiał przysunąć usta do ściany celi, bo jego głos rozbrzmiał całkiem wyraźnie. – Stąd i nagroda. Drasnąć samego Samaela! Oni lubią takie niespodziewane zmiany w scenariuszu. Wiesz, od zera do bohatera i tak dalej. Nieźle ich rozbawiłeś!

– Bzdury – wymamrotał Adam. Po tym, jak już się ocknął, wyprowadzono go brutalnie z pokoju rozkoszy, by pośród śmiechu demonów wsadzić go z powrotem do dawnej wnęki. – Przypadek i tyle.

– E tam, zaraz przypadek! Zainteresowali się tobą, mówię ci. Teraz dostaniesz coś specjalnego.

– Coś specjalnego? – zaniepokoił się Mrowiak.

Suchy zachichotał.

– Pewnie, że tak! Myślałeś, że na czym polega siedzenie tutaj? Będziesz walczyć i umierać, aż się w końcu tobą znudzą, chyba że wybijesz się wyżej. Powiedz... – Głos Suchego nagle opadł, spoważniał: – Spodobało ci się?

– Co?

– Colosseum Inferno, głąbie! – prychnął współwięzień. – Walka w chwale na oczach samego Szatana! Nieźle, co? Tak ciachnąć demona... i pocuć, co znaczy śmierć... żeby później otrzymać rozkosz. Bo to dostałeś, prawda? Rozkosz i śmierć.

– Nie.

– Nie zaprzeczaj! Przyznaj, że ci się podobało... – Natarczywy głos jeszcze się wzmocnił, rozbrzmiał dziwną szczerością. – Powiedz... mi możesz powiedzieć...

– A weź spierdalaj!

– Jak sobie chcesz – zachichotał z dziwną satysfakcją Suchy. – No nic, chłopie. Tak czy owak, szykuj się.

– Na co znowu mam się szykować?

– Na koniec laby. Już po ciebie idą.

Adam wzdrygnął się, cofnął pod ścianę celi. Usłyszał to dopiero teraz – ciężkie kroki piekielnych nadzorców. Zatem to już? Tak prędko? Ledwie po chwili wytchnienia?

Wyprowadzono go szybko.

Stał znów na arenie, dziwnie oszołomiony, otępiały od pożółkłego światła Potępionej Ziemi. Było tak samo, a jednak inaczej, choć nie potrafił wyjaśnić, na czym polegała zmiana. Te same trybuny i ta sama demoniczna widownia, to samo podium z ukrytym nań tronem Lucyfera i ten sam żółty piasek Colosseum Inferno. Piasek, który zapłonął nagle nikłą, bladą czerwienią.

Czerwień ta zajaśniała od przeciwległego końca areny i zaraz zresztą zgasła. Adam spostrzegł jednak sylwetkę – wciąż niewyraźną, skąpaną w umiერającym świetle rozwartej na chwilę Otchłani. To ten, którego wyciągnęli z Piekła, zrozumiał. Wróg specjalny. Zmarły, który idzie mnie zabić...

Wyteżył wzrok.

– Hej! – krzyknął. – Słuchaj! Nie musisz...

Zagłuszyła go wrzawa z trybun. Otworzył raz jeszcze usta, ale zaraz je zamknął. Co miałyby krzyknąć potępijonemu? Też jestem potępijony, dajmy sobie spokój? A tamten... czy miał jakiś wybór? Czy był jakiś wybór na Potępijonej Ziemi? I – przede wszystkim – jakie opcje miał ktoś wyciągnięty z Piekła?

Mrowiak, niepewny, co robić, zaczął iść w stronę przeciwnika. Widział już coraz więcej: szary, dobrze skrojony garnitur tamtego, jego bardzo bladą twarz i czarne, gęste włosy nad wysokim czołem. Kształtny nos, ciemne punkciki oczu... i to wszystko. Wyglądało na to, że nie dali mu nawet żadnej broni.

– Hej! – krzyknął ponownie. – Nie musimy się bić, okej?! Słyszysz?!

– Komm nicht zu nahe! – odpowiedział tamten. – Hörst du?!

Niemiec, zrozumiał Adam. Cholera, nie dogadamy się. Jedyne, co znał, to „Ich verstehe nicht” – co zresztą zaraz odkrzyknął. Niestety, bez wyraźnego rezultatu. Zaczął więc biec. Zamierzał znaleźć się bliżej tamtego. Zależało mu na tym, by zmarły zauważył, że rzuca się na piasek. I prawie mu się udało, gdy ziemia zaczęła pękać.

Mrowiak zatrzymał się gwałtownie, z trudem utrzymując równowagę. Ostatecznie nie rzucił broni, nawet gdy usłyszał śmiech docierający z trybun, wrzawę zresztą szybko zagłuszył odgłos osypującego się piasku.

– Czekaj! – wrzasnął, ale sylwetkę przeciwnika przesłonił nagle monolit: ciemny i ciężki, wyszarpnięty z głębin Colosseum Inferno. Na wciąż wynurzającej się płycie coś wygrawerowano – klepsydrę, a może wagę, nie dało się tego dostrzec. Wielki kłoc kładł przed sobą gęsty cień.

Adam zmrużył oczy. Było coś znajomego w owej rosnącej ciągle budowlі, do której dochodziły już nieforemne ściany, fragmenty schodów i kolumny... szczególnie kolumny, zielonkawe, żłobione w pionowe linie. Gdzieś już je widział, przed znanym sobie gmachem... ale zanim zrozumiał gdzie, ściany zaczęły pękać. Odskoczył w ostatniej chwili, ratując się przed zmiężdżeniem.

Sąd, pomyślał półprzycotomie. Skurwysyn rzuca we mnie pieprzonym Sądem!

Obrócił się i pobiegł, we wrzasku i huku areny, kierując się w stronę zamkniętego już wejścia. Potknął się nagle i upadł – szczęśliwie, bo w miejsce tuż obok walnęła kolejna kolumna. Zdażył jeszcze zobaczyć

wiszącą na niej paremię: „Quod ad ius naturale attinet, omnes homines aequales sunt”. Sekundę później poczuł, jak w nogę uderza go kawałek odłupanego kamienia.

– Ty szalony dupku! – wrzasnął Mrowiak. – Mówiłem, że nie chcę wal...

Słowa ugrzęzły mu w gardle. Spróbował się podnieść, gdy spostrzegł, że nogę ma całą we krwi. Ciało nie regenerowało się jeszcze, nie czuł też bólu... wszystko przysłoniła lodowata fala szoku. Opadła na niego cisza i cisza ta była niczym huk zbliżającego się gromu.

Adam szarpnął się, uniósł. I odwrócił, chcąc spojrzeć na przeciwnika. A ten zbliżał się już ku niemu, a razem z nim pełzył cień: niby czarna fala duszącego przypływu, smolisty i gęsty. Coś było w tej ciemności: jakaś utrata i rezygnacja, mroczna szarość pośród szelestu papierów i stukotu maszyn do pisania, ciężki oddech obezwładniającej niemocy. I było coś jeszcze: władza, a może Władza – moc kotłującego się w tle cienia, przejmująca rozpacz i pewność, że nic się nie znaczy – nie naprzeciw Systemu, który wyliczył i wymierzył twoją wartość. Była ona zerowa – i właśnie w owym zerze zawierał się cały mrok.

Mrowiak wstał.

– Zostaw... – wycharczał, machając na oślep się. – Zostaw mnie!

Przeciwnik jakby się zawahał. Zatrzymał w połowie rzuconej kłątwy, a jego ciemne oczy na chwilę rozbłysły, ale tego już Adam nie widział. Przerażony skoczył ku wrogowi i zamachnął się krzywym ostrzem. Sica zanurzyła się w ciało i Mrowiak poczuł, jak tamten pada. Zatrzeszczał jego chitynowy pancerz, zatrzepotały karaluszki skrzydła. Garnitur i człowiek zniknęły – został tylko wielki, szamocący się w agonii insekt, który zapadł się nagle pod ziemię i zniknął w oślepiającej, gorącej czerwieni.

A Adam osunął się na kolana, nie mogąc uwierzyć, że tylko czerwień i pustka zostały z wielkiego Franza Kafki.

## VII

Tym razem nie było nagrody.

Wyprowadzono go z areny w milczeniu – zupełnie jakby nie tego się spodziewano. Zrobił coś, co wywołało niezadowolenie. Czy chodziło o to, że nie chciał walczyć i próbował z tamtym rozmawiać? Możliwe. A może chodziło o jego zwycięstwo? Dość, że nie szedł już w stronę celi, lecz w głąb hypogeum, eskortowany przez wysokiego, chudego demona, przypominającego humanoidalnego ptaka.

Kroczyli salą pełną płonących świec, a potem schodami niżej, ku

granicy rozwartej Otchłani. Minęli część starych zabudowań zniszczonej przez Lucyfera warszawskiej metropolii i jakieś fragmenty podziemnych pieczar – zapomnianych tuneli i dziur. Tu dawna rzeczywistość mieszała się z piekielną. Potępiona Ziemia próbowała ratować się przed zagładą, ale realność Piekła była przytłaczająca. Wgryzała się w chorą tkankę i Mrowiak, patrząc na te wynaturzenia, czuł, że zbiera mu się na mdłości.

– Dokąd mnie prowadzisz? – spytał demona, ale czarne oczy ptaka nie wyrażały niczego.

Tak przeszli jeszcze kilkadziesiąt metrów, by zatrzymać się przed kamiennymi drzwiami z napisem „Porta degli Inferi”, które rozsunęły się, ukazując wąskie prostokątne przejście.

Adam otworzył usta, nie zdążył nic powiedzieć. Demon popchnął go brutalnie w kamienny korytarz, kończący się przestronną salą wykutą w podziemnej skale.

– Nie musisz wstawać. – Szept, choć płynął ku niemu po posadzce, był na tyle mocny, że zdawał się docierać ze wszystkich stron.

Może to kwestia akustyki, ale Adam poczuł, że przechodzi go dreszcz. Uniósł głowę.

Salę wypełniały trupy.

Martwe ciała leżały po obu jej stronach niczym porzucone zakrwawione kukiełki. Żadne się nie regenerowało, nie drgało w upiornym procesie piekielnego wskrzeszenia. Nie znaczyło to wszakże, że się nie poruszały. Nachylały się nad nimi ciemne, odziane w czarne habity postacie i co jakiś czas zabierały gdzieś jednego z trupów, niknąc w mroku.

– Idą na dół – wyjaśnił szept. – Ich służba dobiegła końca.

– Na dół? – nie zrozumiał Mrowiak. – Do Piekła?

– Niezupełnie – usłyszał i owo proste stwierdzenie przypieczętowało wszystko niczym grobowa płyta. – Zbliź się.

Adam wstał.

Zaczął iść przed siebie, wypatrując swojego rozmówcy. Wystarczyło mu kilka kroków, by dostrzegł kamienny stół i kamienne krzesło, a także siedzącą na nim postać. Tajemniczy gość przypominał starego człowieka, choć jego twarz skrywał częściowo ciemny kapelusz podróżny. Z rękawów szarej, postrzępionej szaty wystawały pomarszczone białe dłonie, trzymające coś przypominającego wyjątkowo stary i spróchniały kostur.

– Adam Mrowiak – szepnął starzec.

– Zna mnie pan? – zdziwił się Adam.

– Ja znam wszystkich.

– A pańskie nazwisko?

– Charon. Syn Erebu i Nyks.

- Kolejny demon?
- Przewoźnik – sprecyzował starzec.
- Na usługach Piekła?
- Na usługach Śmierci – odpowiedział mu szept. – Podejdz.

Mrowiak usłuchał. Coś było w tym szepcie, jakaś moc, której nie dało się oprzeć. Stał prawie pod stołem, dziwiąc się, jak bardzo zmieniała się perspektywa: im był bliżej, tym Charon, jak i jego krzesło wydawali się więksi. Potrząsnął głową.

- Czego ode mnie... – zaczął, ale Przewoźnik nachylił się i położył na stole płachtę wyczarowanego skądś pergaminu. – Co to?

- Kontrakt gladiatora.

- Nie rozumiem...

- To proste. Jak może wiesz, Gwiazda Zaranna ceni starożytny Rzym i jego historię. Tylko ostatnie przemiany Wiecznego Miasta, powiedzmy, że religijne, nie zyskały jego sympatii... – zaczął starzec. – Dość, że powołał Colosseum Inferno, a ono rządzi się prawami, które Lucyfer postanowił respektować. Jedną z nich jest wolność, którą może uzyskać gladiator. A zatem oto i ona. Twoja wolność. O ile na nią zasłużysz.

- Wolność?

- Tak – zgodził się Charon. – Wolność od służby na arenie. Wolność od Potępionej Ziemi. I może wolność od Piekła.

- To znaczy?

- Widzisz ich – wyjaśnił Przewoźnik. – Tych, którzy tu leżą. Wypełnili swój kontrakt i otrzymali łaskę wolności.

- Łaskę wolności? – Mrowiak wciąż nie rozumiał. – Przecież to trupy!

- Oczywiście – zgodził się szept. – To jedyna wolność, na jaką możesz liczyć, jeśli wykażesz się odpowiednimi zdolnościami na arenie, a rokujesz wielkie nadzieje w oczach samego Szatana. Proponowana jest ci zatem wolność nieistnienia. Żadnego cierpienia. Żadnej duszy. Żadnego wskrzeszenia. Tylko ciemność.

- I oni wszyscy... zgodzili się?

- Chcieli być wolni – oznajmił Charon. – Tak samo jak ty. Bierz.

- Co?

- Twój kontrakt – szepnął starzec i zaskoczony Mrowiak zauważył, że nagle jest już sam w ciemności, ze zwiniętym pergaminem w dłoni.

Znikła gdzieś sala, trupy i piekielny Przewoźnik – został tylko papier i mrok, który bez żadnego ostrzeżenia ustąpił miejsca dobrze znanej celi.

Tej nocy Mrowiak nie mógł usnąć.

Zjadł, co mu przyniesiono, i wiercił się potem na zgniłej słomie, patrząc wciąż na pergamin, na którym widniały wszystkie jego dane – łącznie z niepotrzebnym peselem i miejscem zamieszkania. Czy naprawdę obiecano mu koniec tego koszmaru? A zatem... wolność w śmierci. Śmierć jako jedyna ucieczka z Potępionej Ziemi, możliwość



uniknięcia cierpienia w zamian za satysfakcjonującą Lucyfera walkę.

– Dostałeś, co? – usłyszał nagle cichy głos.

– Dostałem – mruknął.

– Mówiłem, że się spodobałeś – oznajmił nie bez satysfakcji Suchy. – Teraz już pójdzie z górki.

– Z górki?

– Po prostu nieco pomordujesz – wyjaśnił więzień z sąsiedniej celi. – Zranienie Samaela czy załatwienie Kafki to dobry początek, ale teraz będziesz się musiał postarać. Poderżniesz kilka gardziołków, wyprujesz flaczki. Czasami oberwiesz, to jasne, i pomęczysz się ze wskrzeszeniem, ale i do tego da się przyzwyczaić. Gwiazda Zaranna nie chce, żebyś ginął. Chce, żebyś się postarał. Pokazał, co jesteś wart na arenie, i udowodnił, że dobrze cię ocenił. Rozumiesz?

– Tak.

– Oj, chyba nie do końca – zauważył złośliwie Suchy. – Tępak z ciebie, chłopie.

– Spadaj, sam jesteś tępak...

Odpowiedział mu chichot.

– Już jutro – dodał po chwili Suchy. – Gdy nad Potępioną Ziemią wstanie to przygaszone, zepsute słońce, wtedy będziesz wiedział, czego chcesz. Zawsze tak jest. Tu, na arenie.

– Nie wiem, co tam mamrociesz – odburknął Adam, ale słyszał wszystko wyraźnie. Głos Suchego nieco opadł, przycichł.

– Tu wszystko widać jak na dłoni – podsumował ochryple. – Gdzie jak gdzie, ale tu wszystko jest jasne, kochany. Sam się przekonasz.

Mrowiak nie odpowiedział. Wciąż patrzył na swój kontrakt.

## VIII

Świt powitał go poźółkłym, docierającym do celi blaskiem i odgłosami porannej krzątania. Przy celach znów pojawiły się demony i potwory, które wyprowadziły chyba Suchego. W końcu się doigrał, pomyślał półprzytomnie Adam. Może i budził obrzydzenie, ale do czasu. Myślał, że jest taki cwany... lecz wszystko się kiedyś kończy.

Tymczasem mijały godziny, a po niego nadal nie przychodzili.

Coś tam się działo na arenie, ale mógł dostrzec cokolwiek tylko wtedy, gdy niemal wciskał twarz w kratę. Wyciągnęli chyba jakiegoś wielkiego węża, który – przy dopingu „Lewiatan!” – zżerał usiłujących go pokonać bestiariusów. Trwało to z półtorej godziny. Później zmienił się program. Szykowano coś specjalnego, ale co – tego już Mrowiak nie wiedział. Przysnął.

Kiedy się obudził, zaskoczyła go cisza. Najwidoczniej zapadał zmierzch, bo wewnątrz jego celi zabarwiło się na słaby róż. W powietrzu unosił się zapach krwi i chyba ozonu: zbierało się na kolejny kwaśny deszcz. Adam chciał sprawdzić, co się dzieje na arenie, znów podszedł więc do kraty – i cofnął się w tej samej sekundzie, gdy zrozumiał, że cela była otwarta.

Wypuszczali go? Zamek się zepsuł? Co tu się działo, do diabła?

Wciąż się wahał, powoli wychodząc na zewnątrz. Ale wszystko stało się zaraz jasne. Wystarczyło spojrzeć w mrok korytarza, by ich zobaczyć. Stali tam, blokując mu przejście, patrząc na niego w ciszy. Piekielne roboty i widma. Demony i potwory. Patrzyli na niego wyczekująco, aż zrozumiał, czego od niego chcą.

Był gladiatorem, a miejsce gladiatorów jest na arenie.

Gdy ruszył przed siebie z siłą w dłoni, wciąż jednak czuł, że coś jest nie tak. Czy w Colosseum Inferno była mniejsza widownia? Czemu nie powitano go śmiechem i wyzwiskami? Byli tam przecież: znów widział diabelską świtę i panopticum piekielnych osobliwości. Wszystkie te potwory patrzyły jednak na niego w ciszy i to zbiło go z tropu. Do czasu, gdy usłyszał swoje nazwisko podane przez trzeszczący mikrofon.

– ADAM MROWIAK.

To zaczęło się jak cichy szelest, jak dochodzący do niego pomruk. Piski i gwizdy, i wreszcie gardłowe krzyki na wiwat. Oklaski i jego imię rzucane przez wykręcone diabelskie gardła. Zapamiętali go i polubili. Patrzył na nich do momentu, w którym wysoko, na zajęтым przez samego Lucyfera podium, coś się poruszyło i Adam poczuł, że spoczywa na nim ciężki wzrok Gwiazdy Zarannej.

Zauważył mnie, zrozumiał Mrowiak, i w tym zrozumieniu był lęk, ale i dziwna euforia. Szatan mnie widzi...

Wrzawa z wolna wygasła, słońce umierało, rzucając ku arenie ostatnią falę gasnącego blasku. Adam przełknął ślinę. Widział go już – sylwetkę odzianą w jakieś łachmany, chyba łysą – przyjął więc odruchowo postawę. Tu nie było co dyskutować, tyle już świetnie wiedział. Ważne było to, by przeżyć.

Przeciwnik już podbiegał.. nieporadnie jakoś, krzywo. Coś mu dali w dłoń – chyba sztylet – słabą broń skrytobójcy. Czyżby Brutus? To by go niespecjalnie zdziwiło. Skoro znajdowali się w Colosseum, nawet by tu pasował.

Ale to nie był zdrajca Cezara. To był Igor.

Łysy, przerażony świr przebiegł tuż obok Adama, machając na oślep sztyletem. Oczywiście nie trafił, potknął się i przewrócił. Z trybun gruchnęły śmiechy, Mrowiak ich jednak nie słuchał. Obrócił się i machnął nogą, trafiając wprost w wystawiony pośladek przeciwnika.

Igor zapisał. Sztylet upadł gdzieś w piasek i nie mógł go chyba

znaleźć. Drapał ziemię to na lewo, to na prawo, jak przerażone zwierzę.

– Niiieeee! – zaskowytał. Ręce trzęsły mu się jak w febrze. – Obiecali! Niiiee!

– Co ci obiecali, skurwielu?! – warknął Adam, sprzedając mu kolejnego kopniaka. – Co ci obiecali za to, że mnie sprzedałeś?!

– Niiieeee!

– Łeb ci urwę, gnojku! – krzyknął Mrowiak w towarzystwie aplauzu trybun. – I wsadzę prosto do dupy!

– Nie... – Raz jeszcze kopnięty Igor przewrócił się na plecy. Wyglądał jak majtający kończynami robak, godzien najwyższej pogardy.

Adam uśmiechnął się i uniósł się. A potem zobaczył oczy swojego skulonego wroga.

Nie było w nich nic prócz przerażenia. Takiego samego lęku jak ten, który Mrowiak codziennie odczuwał, oglądając demony, żywe trupy i potwory krążące po Potępionej Ziemi.

Adam opuścił broń.

– Proszę... – rozryczał się Igor. – Nie... nie zabijaj...

– Cicho bądź.

– Nie zabijaj mnie!

– Mówiłem, żebyś się przymknął!

Zdrajca kiwnął spazmatycznie głową. Nie odważył się już odezwać, a Mrowiak odwrócił od niego wzrok i spojrzał na podium. Czekał.

Na początku nic się nie wydarzyło. Lecz potem, gdy zgasło już słońce, do barierki podeszła jakaś wielka, promieniująca zimnym blaskiem postać. Z tej odległości można ją było pomylić z jednym z wielkich alabastrowych posągów, gdyby nie jej powolne, jakby wystudiowane ruchy i ów jasny, spowijający ją cień – owa świetlista ciemność.

Lucyfer, Gwiazda Zaranna i Oskarżyciel, Wąż i Kłamca, jedyny Pan Piekła, wysunął do przodu swoją dłoń i pokazał to, na co czekał Adam. Kciuk, który powoli, ale nieubłaganie skierowano w dół.

Mrowiak westchnął.

Nie patrzył już ani na diabła, ani na płaczącego przeciwnika, ale na swój wyciągnięty z kieszeni kontrakt gladiatora. Kontrakt, który uniósł w górę i podarł na oczach całego Colosseum Inferno.

Zapadła cisza. Nie licząc popłakiwania Igora, ze strony podium i trybun nie padło ani jedno słowo. Trwało to chwilę, a potem cała demoniczna świta zaczęła się zbierać. Nie patrzono na niego: po prostu wychodzono z trybun. Opustoszało też podium – Szatan odchodził zniesmaczony, niczym kibic po nieudanym meczu.

– No i po zabawie – oznajmił Suchy, który pojawił się znienacka w pobliżu Igora. – Ej, słyszałeś? – dodał, nachylając się nad łysym świrem. – To koniec! Spadaj stąd! Może tym razem cię nie capną!

Igor nie czekał. Zerwał się jak oparzony i pobiegł w stronę jednego

z szerokich wyjść.

– Nie rozumiem... – zaczął Mrowiak.

Suchy pokiwał głową.

– Mówiłem już, że jesteś tępy – przypomniał. – A czego się spodziewałeś?

– Nie wiem... to przecież...

– Colosseum Inferno – odpowiedział za niego Suchy. – Potępiona Ziemia. I poligon ćwiczeń. Ale to już nie musi cię martwić. Zaliczyłeś, a mało kto teraz zalicza. Dziwne, bo jest już tak wszystko wyraźnie ukazane, że bardziej chyba nie można. No nic, idziemy.

– Dokąd?

– Tam, gdzie się właśnie dostałeś – wyjaśnił Suchy, rozpościerając wielkie śnieżnobiałe skrzydła. – Prosto do Światła.

*Warszawa, 24 maja 2019*



# JANUSZ PŁONKA

## AMULET



**G**orące powietrze unosi się nad piaskiem i delikatnie faluje. Na języku czuję rdzawy smak krwi z rozciętej wargi. Rozglądam się dookoła i widzę już tylko jedną parę krążącą wokół siebie, po mojej prawej stronie. Oczywiście zostałem też jeszcze ja i mój przeciwnik. Chyba go nie doceniłem. Choć prawie za każdym razem jest jakaś niespodzianka.

Pozostała czwórka zwycięzców siedzi już w cieniu i pije z kielichów wino, natomiast cztery trupy leżą bezwładnie i ich krew powoli wsiąka w arenę.

Widzowie to uwielbiają. Widok ciał, które przed chwilą tętniły życiem, poruszały się, mówiły, z potężną mocą uświadamia, jak kruche jest nasze istnienie. A może po prostu większość oglądających jest zwykłymi psychopatami, spełniającymi w ten sposób swoje chore fantazje. Mógłbym się nad tym zastanowić, ale w tej chwili czas wrócić do rzeczywistości. Inaczej za moment też będę leżał martwy i wbijał puste spojrzenie w niebo.

Tym razem wylosowałem chudego retiariusza, którego ciało wygląda, jakby składało się z samych ścięgien. Żebra wystają mu spod skóry, ale jest niesamowicie szybki i wytrzymały. Biega dookoła, usiłując zarzucić na mnie sieć, albo ją rozrzuci, licząc, że się o nią potknę, a wtedy dokończy długim harpunem. Wszyscy gladiatorzy nienawidzą harpunów. Sieciarz ma do wyboru harpun lub trójząb, a ten, kto wybiera harpun, musi być albo dobrym fachowcem, albo idiotą, z bardzo prostego powodu. Uzbrojony w harpun musi wygrać albo umrzeć, bo jego przeciwnik nigdy nie pozwoli, żeby został tylko ranny i widzowie mogli zastosować prawo łaski. Uderza się zatem tak, aby

zabić.

Na samym początku szkolenia do walki wszystkim nowicjuszom pokazuje się bowiem, jak wyglądają rany zadane różnego rodzaju bronią. Czasami odbywa się to na trupie przywiezionym na plac ćwiczeń, ale czasem, w przypływie dobrego humoru setnika – na skazańcu z karą śmierci, przykutym do pala. Rany od ciosów mieczem, pchnięcia włócznią, uderzenia topora czy maczugi są zwykle czyste i dają szybką śmierć. Nawet po trójzębie umiera się szybko, gdy jeden z trzech grotów trafi w jakąś wrażliwą arterię lub organ.

Inaczej sprawa wygląda z harpunem.

Broń ta ma ostrze z zadziorem jak haczyk na ryby. Po wbiciu w ciało i wyszarpięciu wnętrzości w człowieku zostaje dziura jak pięść. Gdy trafi w serce, to pół biedy, ale z reguły nie ma się tyle szczęścia. Wszyscy po pokazie pamiętali, jak razem z harpunem wychodzą płuca lub sznur flaków. Najgorszą rzeczą jest wtedy ułaskawienie, bo można zdychać godzinami, leżąc na arenie do zakończenia wszystkich walk, a później i tak medycy niewiele mogą zrobić. Dlatego nikt z walczących nie lubi harpunników, za to widzowie ich uwielbiają. Ich walki zawsze stają się walkami wieczoru, przyciągającymi najbogatszych sponsorów, windujących najwyższe zakłady.

Niestety, już się przekonałem, że mój przeciwnik nie jest idiotą.

Sprawnie krąży wokół, zmuszając mnie do gwałtownych ruchów w obronie przed siecią. Mam na sobie rynsztunek secutora, a jak wiecie, jest on bardzo nieporęczny i przede wszystkim cholernie ciężki. Cesarz Kommodus lubił w nim walczyć i oczywiście zawsze zwyciężał, chociaż nasze statystyki mówią o przewadze wygranych sieciarza. Ale na pewno cesarz był wybitnym wojownikiem.

Czuję, jak pot zalewa mi oczy i cały obraz rozmazuje się pod hełmem. Mam w nim małe otwory, ledwo pozwalające dojrzeć przeciwnika. Prostokątna tarcza pozwala na obronę przed harpunem, ale krótkim mieczem trudno go dosięgnąć. Jestem coraz bardziej zmęczony, jeszcze chwila i opuszczę tarczę.

Krew, którą czuję na języku, przypomina mi chwilę nieuwagi, gdy nadepnałem na sieć i upadłem po jej szarpnięciu. Wtedy tarcza uratowała mnie przed pchnięciem w tors.

Kątem oka zauważam, że mały Azjata pchnięciem włóczni dobija właśnie potężnego Murzyna uzbrojonego w korbacz. Widać jednak ta stalowa kula na łańcuchu nie wystarczyła na kurdupła i ciężko się dziwić, bo wszyscy wiedzą, że są oni najniebezpieczniejszymi przeciwnikami na arenie. Potrafią walczyć każdą bronią, a ułamanym styliskiem od topora zabić ciężkozbrojnego.

Wczoraj jeden taki został wygoniony na piach bez żadnej broni, musiał komuś wyjątkowo podpaść. Do czasu zamknięcia zakładów nie

wiadomo było, z kim będzie walczył. Ale i tak obstawiano dla jego przeciwnika. Zwłaszcza gdy okazało się, że będzie nim mocno wygłodniała puma. Tylko widzicie, dziwnym trafem, przykryty piaskiem, na arenie został długi łańcuch niezauważony po wcześniejszym turnieju. No, może nie do końca niezauważony, ale strażnicy też ludzie, czasem w odpowiednim czasie spojrzą nie tam, gdzie powinni. W efekcie kociak skończył ze skreconym karkiem, żółtek z bliznami na wytatuowanym torsie, a ja z grubym portfelem i wdzięcznością chińskiej triady.

Właściciela przyjmującego bukmacherkę znaleziono nazajutrz powieszono na łańcuchu w jego strzeżonej hacjendzie. Podobno ktoś się bardzo zirytował, postawiwszy na zwierzę. Cóż, życie.

Zwycięzca walki obok, który właśnie zszedł z areny, rozłożył szeroko ręce i szyderczo się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć: „Co tak długo?”. Faktycznie, czas najwyższy rozstrzygnąć pojedynek.

Ruszyłem do przodu i nadepnałem na sieć. Harpunnik poderwał swój koniec, ale tym razem byłem przygotowany. Hełm, nagolenniki, osłona piersi, tarcza – to wszystko waży ponad czterdzieści kilogramów, ja prawie setkę, więc tym razem zasadzka się nie udała.

Zrobiłem przewrót, wypuszczając tarczę, i wolną ręką szarpnąłem sieć, czego się nie spodziewał. Nie zdążył jej puścić i siła pociągnęła go ku mnie. Jeszcze próbował podeprzeć się harpunem, ale uderzyłem z półobrotu i wreszcie miecz dosięgnął celu.

Nogi pod retiariusem ugięły się, ze zdziwieniem spojrzał na krew tryskającą z rozciętego uda. Rzuciłem miecz na tarczę i podniosłem z piasku harpun. Wrzawa, która wcześniej podniosła się nad Koloseum, momentalnie ucichła.

Odpiąłem hełm i wreszcie mogłem zaczerpnąć oddechu. Wszyscy patrzyli gdzieś za moimi plecami, a ja, usłyszawszy werdykt, odwróciłem się do klęczącego sieciarza. Obaj wiedzieliśmy, że bez względu na to, co usłyszałem, i tak by umarł. Krew z rozciętej tętnicy wypływała coraz wolniej. Ale jeżeli można poprawić stan konta i miejsce w rankingu popularności, dlaczego tego nie wykorzystać?

Pchnąłem oburącz i ostrze przebiło klatkę, wychodząc między łopatkami. Patrzyłem na szybko gasnące oczy. Często zadawano mi pytanie, co czuję w takim momencie. Najbardziej podekscytowane były kobiety, stateczne żony lub młode kochanki, które szeroko otwierając oczy, pragnęły poznać odpowiedź. Mam ich kilka, w zależności od nastroju. Że widząc, jak dusza uchodzi z ciała, doznaję duchowej przemiany albo wdychając powietrze, chłonę siłę pokonanego. Robi to wielkie wrażenie, a panny są wtedy tak podniecone jak kotki w marcu, z czego skwapliwie korzystam.

Tak naprawdę jednak nie czuję niczego.

Już dawno nie robi to na mnie wrażenia. Czasami walczysz i zabijasz z wściekłości, bo akurat widziałeś ginącego wcześniej przyjaciela, czasami zabijasz miłosiernie, w jednej chwili, czasami okrutnie, bawiąc się i okaleczając, aż przeciwnik nie może zrobić ruchu, lecz wciąż żyje. Wszystko zależy od tego, kim on jest, jak walczył i najważniejsze – jaki jest kontrakt.

Dzisiaj za sieciarza umowa była doskonała.

W chwili gdy przebiłem go harpunem, tłum oszalał. Ryk obecnych wzniosł się pod niebo. Setka potężnych głośników ukrytych w murach zwielokrotniła efekt. Telebim za moimi plecami eksplodował błyskiem, gdy kamery uchwyciły race wystrzelone z patrolowca skrytego między chmurami.

Na bocznych ekranach wielkości boisk do futbolu ciągle szły powtórki finałowych ciosów ze wszystkich walk. Na arenie wirtualne obrazy wciąż odtwarzały nasze pojedynki. Widzowie z wykupioną opcją Tytanium mogli poczuć na ustach smak krwi, którą ja czułem, dzięki czipowi wpiętemu do ośrodka smaku, a dzięki kamerkom ukrytym w nitach hełmu mogli widzieć obraz. Natomiast przeskakując do awatara sieciarza na chwilę przed śmiercią, mieli możliwość poczuć jego strach.

Kiedyś człowiek siadał przed telewizorem i krzyczał, podskakując na krześle, gdy zobaczył kolesia w masce wymachującego nożem. A teraz, mogąc poczuć to wszystko, co czuje kat albo ofiara? Nie na darmo ubezpieczenia nie obejmowały śmierci podczas podłączenia do sieci i co roku kilkanaście tysięcy osób nie wytrzymało ciśnienia, a część łądowna u czubków. Ale kto bogatemu zabroni.

Moja walka została oceniona na dziewięć przecinek siedem, więc wpadnie dodatkowa premia od sponsorów, którzy wykupili czas pomiędzy starciami. Odwróciłem się i pomaszerowałem do stołu. Mam nadzieję, że będzie jeszcze coś do picia. Żartuję. Jak mogłoby zabraknąć czegoś ulubieńcom Galaktyki? Dzisiejsze walki oglądało jakieś siedem miliardów ludzi z czterech planet i kilku kolonii.



Zacznijmy jednak od początku, chociaż część z was już mnie poznała, przeglądając sieć i oglądając naszą kolonię. Jak się nazywam, nie ma tu znaczenia. Wszyscy wołają na mnie Kapitan. Ostatnie dwa lata na wolności dowodziłem statkiem i zajmowałem się przemytem wszystkiego, co tylko zmieściło się w ładowni.

Praca była niebezpieczna, ale zastrzyk adrenaliny i stan rachunku



bankowego wynagradzały to z nawiązką. Z chęcią poznawałem nowe miejsca i ludzi, chociaż wiercie mi, większości z nich lepiej, żebyście nigdy nie spotkali. Mógłbym opowiedzieć wam wiele ciekawych historii, ale umowa dotyczy tylko czasu spędzonego tutaj, więc nie będę niepotrzebnie zdierał gardła, gadając do dyktafonu. Swoją drogą, to wygodne: cały komputer wielkości drobnej płytki, wszyty na ramieniu i aktywowany głosem, łącznie z obrazem wyświetlanym na siatkówce oka. Ale przecież doskonale to znacie.

Nie mogłem oprzeć się propozycji opowiedzenia wam o naszym życiu, więc zaczynamy tego Big Brothera skazańców.

Wracając do mojej historii, jak się tu znalazłem?

Cóż, jak większość z nas. Ufałem komuś, kto był dla mnie wszystkim i dla kogo poświęciłbym wszystko. Wierzyłem w każde słowo, jakie usłyszałem. Nigdy wcześniej tak się nie zaangażowałem i na pewno drugi raz nie popełnię tego błędu...

Jeszcze teraz słyszę słowa: „Jesteś dla mnie najważniejszy... porwij mnie... nikogo tak nie kochałam”. Wierzycie w te wszystkie bzdury o dwóch połówkach jabłka? To wreszcie przestańcie.

Cóż mogę dodać – moja ukochana nie była najlepszym obiektem do porywania. Nawet jeśli wcześniej sama mnie do tego namawiała. Jak masz miękkie serce, musisz mieć twardą dupę.

Gdy siedziałem skuty na podłodze jej mieszkania, uklękła koło mnie i patrząc drwiąco tymi swoimi zielonymi oczami, wyszeptała: „Musisz zrozumieć, że ludzie się zmieniają. Teraz mam inne potrzeby, które zapewni mi ktoś inny, a nagroda za ciebie da mi przepustkę do innego świata. Bo nie umiem nikomu zaufać, zwłaszcza komuś takiemu jak ty, ale zawsze będę tęskniła...”.

Wiem, wiem, nie dziwię się, że się śmiejecie. Przecież to samo spotyka facetów od tysiącleci i cały czas pozostajemy tak samo naiwni. Po krótkim procesie zostałem skazany na podwójne dożywocie. Nie, nie za porwanie, i nawet nie za przemyt, ten był tylko dodatkiem. Główny zarzut był inny. Oskarżono mnie o ludobójstwo w kolonii Zadar, a głównym oskarżycielem był don Vincento, ten sam, który jest jednym z patronów walk takich jak ta dzisiejsza. Do kopalni trytu trafiłem osiem miesięcy później, jak tylko wypuścili mnie ze szpitala, w którym wylądowałem z kośćmi połamanymi podczas aresztowania przez ludzi Vincenta z oddziału Delta. Zanim straciłem przytomność, poczułem jeszcze, jak cienkie ostrze wycina mi na policzku literę V, i usłyszałem: „Szkoda, że się już więcej nie zobaczymy, cukiereczku. Ale nie martw się. Skończyłem to, czego ty nie chciałeś nawet zacząć”. To don Vincento wyznaczył za mnie nagrodę.

Co oznacza wylądowanie w kopalni, wie każdy. Średnia długość życia tam to cztery lata, dlatego nie ma nikogo, kto nie skorzysta z oferty

przeniesienia do kolonii imperialnej na asteroidzie Karen. Są tu tylko dwa miejsca, gdzie można żyć – miasteczko skazańców i Koloseum. Reszta to piach i skały na pozbawionych wody pięciu tysiącach kilometrów kwadratowych, gwarancji, że nikt nawet nie będzie próbował uciekać. Oczywiście propozycję dostają ci, którym na niczym już nie zależy. No i mają doświadczenie w walce. Kolonia składa się zatem głównie z wyszkolonych morderców, byłych żołnierzy, policjantów i ochroniarzy.

Zdarzają się też tacy, którzy nie mają żadnego wyszkolenia, mają za to doskonałe warunki fizyczne lub deklarują, że przejdą półroczne szkolenie na gladiatora. Z reguły giną podczas pierwszych walk, ale sami rozumiecie, nie wszyscy mogą być zwycięzcami.

Oprócz tego miasteczko niewiele różni się od tych zamieszkałych przez wolnych obywateli. Wszystkie prace przy obsłudze kwater, barów czy sklepów wykonują skazańcy z mniejszymi wyrokami. Jak można zapanować nad taką bandą degeneratów? Wszystkim nam wstrzyknięto kapsułkę, która wysyła impuls paraliżujący nerwy. Chwilowo lub śmiertelnie. Jest ona też lokalizatorem, więc strażnicy cały czas wiedzą, co robimy. Jakakolwiek próba awantury kończy się powrotem do kopalni albo na arenę z uzbrojeniem w postaci kija przeciwko dzikim bestiom.

Zresztą walki i tak mamy wystarczająco wiele podczas codziennych treningów i zakontraktowanych turniejów. Rodzaj turnieju zależy od sponsorów. Czasami losujemy broń i ekwipunek, czasami jest ona rozwieszana na ścianach Koloseum i trzeba ją zdobyć, niekiedy są wpuszczane dzikie zwierzęta podczas pojedynków, a bywa, że trzeba walczyć tylko z nimi. Oczywiście na arenie nie walczymy pomiędzy sobą. Przeciwnicy są przywożeni z innej kolonii, szkoleni tak jak my. Dlatego każdy ma swoich fanów, którzy płacą za dostęp do oglądania walk.

Najbogatsi obywatele mogą po wszystkim zasiąść na widowni, spotkać się ze swoimi ulubieńcami i pstryknąć samojebkę do pochwalenia się w mediach. My natomiast mamy warunki prawie jak w normalnym życiu, z alkoholem i kobietami oraz pieniędzmi, które możemy przekazać, komu chcemy, na dowolnej planecie. Jeśli ktoś uzyska wystarczającą liczbę lajków od widzów, może nawet dostać warunkowe zwolnienie, kimkolwiek by był i niezależnie od tego, za co tu wylądował. Taki urok demokracji.

Niedawno przywieziono nową partię skazańców. Pomiedzy wielkimi, napakowanymi zbirami siedział w niej na oko dwudziestoletni, chuderlawy chłopak. Wszyscy byli ciekawi, za co tu trafił, bo na zabijającego z zimną krwią mordercę nie wyglądał. Chociaż czasami można się zdziwić. Okazało się, że jest hakerem i udostępnił informację

o testowaniu nowych leków na pacjentach w ośrodkach odwykowych dla bezdomnych. Dużą śmiertelnością podczas eksperymentów nikt się nie przejmował. Po ujawnieniu wybuchła afera i młodego zwinęli.

Dostał dwadzieścia pięć lat i zakaz korzystania z jakiegokolwiek elektroniki. Trochę żał mi się go zrobiło, bo trafił jak owca między wilki, więc dzięki układom i sporej łapówce zainstalowałem go jako mojego pomocnika i partnera do ćwiczeń. Setnik popłakał się ze śmiechu, gdy mu o tym powiedziałem. Aleks ledwie mógł podnieść moją tarczę, nie mówiąc już o walce. Po pierwszym sparingu miał naderwane ścięgna od samego machania treningowym mieczem.



Szczególnym zainteresowaniem cieszą się walki kobiet. Wiele osób zastanawia się, co takiego zrobiły, że się tutaj znalazły. Część z nich pracowała dla mafii jako killerki, część zadźgała swojego ślubnego, gdy kolejny raz przyszedł pijany do domu i dobierał się do dzieci, inne wyrzuciły przez okno młodszego blond model. Ostatnio na arenie trafiły na siebie nawet aktualna i była żona jednego z oligarchów...

Jakoś tak się złożyło, że chłopina utonął we własnej wannie. Po krótkim śledztwie okazało się, że panie postanowiły ukarać go za nowy romans. Wszystko doskonale zaplanowały, ale zapomniały wyłączyć monitoring i sprawa się rypla. Pewnie część z was oglądała tę walkę. Sami przyznacie, że czegoś takiego jeszcze tu nie było. Żaden facet nie dorówna wścieklej babie. Na koniec, gdy rzuciły się na siebie z gołymi rękami i rozcinały ciała paznokciami, wszyscy zamarli. Obie w końcu zmarły z wykrwawienia, ale od tej pory gladiatorki zaczęły wzbudzać szacunek.

W transporcie razem z Alekssem znalazła się moja znajoma. Miałem nadzieję, że udało jej się uciec, ale widocznie łapy don Vincenta są bardzo długie. Rois z kolei bardzo się ucieszyła, gdy ujrzała mnie żywego. Poszliśmy do baru, żeby oblać spotkanie.

Kobieta wzbudziła wielkie zainteresowanie samym swoim wejściem. Silne, wyćwiczone ciało, płaski brzuch i spory biust nie pozwalały oderwać od niej oczu. Rois doskonale zdawała sobie sprawę, jak działa na facetów. Lubiła sobie z nimi poflirtować, żeby i tak każdemu na koniec dać kosza. Wiedziałem, że woli spędzać czas z jakąś przyjaciółką, więc mogliśmy bez podtekstów razem pracować, bić się, pić i rzygać do jednej muszli.

Obiecałem opowiedzieć wam o don Vincencie. Jest jednym z najbogatszych obywateli Ziemi. Jego firmy zajmują się poszukiwaniem

i wydobywaniem złóż na innych planetach, co przynosi fortunę. Prowadzi najpopularniejszy show, czyli walki gladiatorów w Koloseum, wybudowanym dokładnie na wzór rzymskiego, oczywiście na neutralnej asteroidzie, gdzie ziemskie prawo nie obowiązuje i można urządzić takie jatki.

W jaki sposób dogadał się z rządem, że można przywozić tu skazańców, nikt nie wie, ale też nikogo to nie interesuje. Ogromne igrzyska, organizowane co pół roku, są żyłą złota dla wszystkich. Dostęp do kamer w naszym miasteczku przebija najlepsze reality show. Pomnóżcie sobie kwotę abonamentu razy liczbę oglądających nas na co dzień, same walki są płatne ekstra. Teraz rozumiecie, dlaczego don Vincenzo może sobie pozwolić na prywatną armię, najlepszych specjalistów w każdej dziedzinie i kupienie każdego polityka, aby pisał pod niego ustawy.

Oczywiście, znacie go jako wielkiego filantropa i dobroczyńcę biednych. Nie wiecie jednak jeszcze nic o jego dwóch komandach, które mają zapewnić bezpieczeństwo naukowcom i ekipie wydobywczej na nowych planetach. Składają się one z najlepszych najemników w naszej Galaktyce, byłych komandosów, antyterrorystów, żołnierzy zwiadu czy piechoty morskiej. Do tego spece od łączności, logistyki i transportu, potrafiący poprowadzić wszystko, co ma koła lub skrzydła. Większość została zdegradowana i wyrzucona z jednostek przez swoje popaprane charaktery. Zabójcy wykonujący każdy rozkaz bez mrugnięcia okiem.

Oddział Alfa pracuje z reguły przy ochronie obozu, Delta zajmuje się eliminowaniem zagrożeń. Jego dowódcą jest psychopata, na którego wołają Fryzjer. Tak, naprawdę uwielbia posługiwać się brzytwą.



Pytacie, jak wygląda nasze życie. Nie będę o tym opowiadał, możecie zobaczyć je na kamerach. Opowiem wam za to o jednym z mieszkańców.

W podziemiach Koloseum znajduje się zbrojownia. Większość z nas ma swoją ulubioną broń i każdy się o nią troszczy. Czyszczenie jej po walce uspokaja i pozwala wyrzucić z głowy to, co działo się na arenie. Jednak część broni traci swojego właściciela i wtedy opiekuje się nią Czejen. Jest to stary Indianin, diabli wiedzą z jakiego szczepu, ale ktoś rzucił przydomek i tak już zostało. Wygląda, jakby miał sto lat, i ledwo już powłóczy nogami, lecz umysł ma bardzo sprawny. Wszyscy go lubią, bo pomaga przy ranach i zna się na leczeniu.

Kilka dni temu spotkaliśmy się przy stole, przy którym ja ostrzyłem miecz, a on oliwił napierśniki. Nigdy wcześniej nie mieliśmy okazji

pogadać, co szczerze mówiąc, mnie nie przeszkadzało. Usiadł naprzeciw i spojrzał mi w oczy.

– Jest w tobie wiele gniewu – rzekł. – Wiele żalu i nienawiści. To robaki, które toczą twój umysł i zatrują ciało.

Nie mogłem się z nim nie zgodzić. Tylko dzięki temu jeszcze żyłem; myśl o zemście za zdradę napędzała mnie do działania. Jakby wyczuł, o czym myślę, i rzucił:

– Zemścisz się, poczujesz ulgę na chwilę. Wybaczysz, poczujesz ulgę na zawsze.

– A co, jeśli nie potrafię wybaczyć? – zapytałem.

Pokiwał smutno głową.

– Myślałeś, że gdy ty oddasz komuś serce, otrzymasz to samo, że gdy ty kogoś nie skrzywdzisz, ten ktoś nie skrzywdzi ciebie. Gdyby to było takie proste, świat byłby pełen szczęśliwych ludzi. Liczyłeś, że spotka cię coś, co trafia się raz na milion, będziecie żyć długo i szczęśliwie, razem aż do późnej starości, i pić kawę na werandzie. Widać nie trafiłeś w ten milion, ale może kiedyś...

Zaczął gmerać wśród wiszących mu na szyi amuletów, zdjął jeden i położył go przede mną.

– Weź go, został wykuty z meteorytu, który spadł na świętą polanę. Pozwoli ci się dostać tam, skąd on pochodzi.

Nie chciałem robić przykrości starcowi, więc schowałem prezent do kieszeni. Szansa, że jego słowa się sprawdzą, była wiele razy mniej prawdopodobna niż wspólna starość w ogrodzie.



Długo nie kontynuowałem tej relacji, gdyż byłem trochę niedysponowany. Ostatnio opowiadałem wam o szamanie i naszej rozmowie. Więcej już się nie spotkamy, chociaż miałbym do niego jeszcze kilka pytań. Właściwie to, że nadal żyję, zawdzięczam tylko temu, że niedługo odbędą się wielkie igrzyska i to tam postanowiono mnie uśmiercić.

Skąd o tym wiem? Od zaprzyjaźnionego bukmachera. Już są przyjmowane zakłady i ktoś rzucił ogromną kasę na mojego przeciwnika. Ale wracając do wodza, tydzień temu znowu spotkaliśmy się w podziemiach. Czyściłem włócznię, którą lubiłem walczyć ze zwierzętami. Starzec kuśtykał z dzbanem oliwy i pechowo potknął się o leżącą linę.

Dzban wypadł mu z rąk i rozbijając się, ochlapał stojącego strażnika. Ten z wściekłością złapał za pałkę i zaczął tłuc leżącego. Zdążył uderzyć

kilka razy, zanim ciśnięta włócznia przybiła go do ściany. Oczywiście w tej chwili uruchomiła się kapsułka w mojej głowie i padłem porażony impulsem.

Gdy się ocknąłem w celi, poczułem, że jestem posiniaczony, straciłem zęba i chyba mam złamane żebro. Widocznie nadbiegający strażnicy wyładowali na mnie swoją wściekłość. Jeden z nich syknął mi przez kratę, że wódz i tak nie żyje, a ja mam przesrane. Zbyttno się tym nie przejąłem, ale szkoda dziadka. Mam nadzieję, że poluje już na bizony, a jego squaw czeka przed wigwamem.



Kolejny dzień. Dzisiaj lecimy na spotkanie z solą naszej planety, czyli największymi krezusami, którzy generalnie są też największymi kanalami chodzącymi po ziemi. Don Vincenzo zorganizował przyjęcie na swojej prywatnej planetoidzie, gdzie ma wybudowany amfiteatr do prywatnych walk. Oczywiście nie będziemy tam dziś walczyć na śmierć i życie, jesteśmy zbyt cenni, ale facet najwyraźniej chce się pochwalić przed swoimi przyjaciółmi najlepszymi gladiatorami. Dlatego teraz siedzimy w transportowcu i ściskamy broń.

Jakimś sposobem udało mu się dostać zgodę, żebyśmy zabrali swoje zabawki. Zresztą, umówmy się, jak moglibyśmy zagrozić komukolwiek, mając w sobie kapsułki, do tego uzbrojeni jedynie w miecze i topory przeciw karabynom plazmowym straży? Jest nas wesoła gromadka: piętnastu facetów i pięć kobiet. Wśród nich jest także Rois. Żeby nasza reprezentacja wypadła efektownie, mogliśmy zabrać taką broń, jaką tylko chcieliśmy.

I tak wielki wiking ściska potężny młot bojowy, którym potrafi jednym ciosem rozłupać głowę byka. Za nim dwóch Chińczyków zwija sztylety uwiązane do kilkumetrowych linek. Potrafią je wyrzucić w ułamku sekundy, trafiając w oko pędzącego nosorożca. Przy pasach tkwią im zakrzywione szable, a w rękawach mają trójkątne metalowe gwiazdki. Ktoś ostrzy topór na długim stylisku, którym można ściągnąć jeźdźca z konia. Są też wszelkiego rodzaju miecze, tarcze, włócznie i kindżały. Gladiatorki uzbrojone są w łuki i szerokie tasaki.

Jedynym, który nie ma ze sobą broni, jest Aleks, pomagający przy ekwipunku całej naszej grupy. Miętoli swój worek, w którym miał mieć narzędzia do czyszczenia broni. Strażnicy przyglądają nam się obojętnie, błędząc palcami koło spustów.



Znowu jesteśmy z powrotem na statku. Niestety, nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem. Nie ma z nami wikinga, jednego z Chińczyków i dwóch innych gladiatorów, których słabiej znałem. Nie ma też jednej z wojowniczek, a Rois jest ranna.

Po wylądowaniu zaprowadzono nas do amfiteatru. Don Vincento zachowywał się, jakby przedstawiał swoje wytresowane małpki. Strażnicy nie byli ludźmi z komanda Deltę, chociaż dowodził nimi Fryzjer. Podszedł do mnie i dotknąwszy mojej blizny na policzku, głośno się roześmiał. Po chwili na arenę zeszło całe towarzystwo uczestniczące w bankiecie.

Mężczyźni we frakach, kobiety w sukniach, za które można by wyżywić typową rodzinę przez pół roku. Każdy chciał nas dotknąć i zrobić sobie zdjęcie. Kilku strażników zostało na schodach, jednak większość znalazła się pomiędzy nami a imprezowiczami. I to był błąd. Po umówionym sygnale od Aleksa, który usłyszałem w miniaturowej słuchawce, uderzyłem mieczem najbliższego strażnika, wojowniczki wyszarpnęły strzały z kołczanów i wystrzeliły do stojących wyżej wartowników, którzy spadli martwi na dół.

Reszta gladiatorów skoczyła w kierunku pozostałej ochrony. W teorii strażnicy mieli przewagę, uzbrojeni w karabiny, ale ciśnięte przez Chińczyków shurikeny nie dawały im żadnych szans. Wiking potężnym ciosem młota podrzucił w górę składającego się do strzału przeciwnika, ale nie zdążył już trafić kolejnego. Cicha seria podziurawiła mu plecy. W ogólnej hysterii, która nam pomagała, dobijaliśmy pozostałych strażników.

Byli elitą wyszkoloną do ochrony, ale czy najlepiej wyszkolony pies może pokonać wściekłego wilka, dla którego zabijanie jest codziennością? Po chwili na arenie pozostało wystraszone, zbite w gromadkę towarzystwo. Uzbroiliśmy się w broń poległych i zaczęliśmy na Aleksa.

Pewnie zastanawiacie się, dlaczego kapsułki nie zadziałały. Otóż wspominałem, że Aleks jest hakerem. Skoro potrafił wykraść najpilniej strzeżone sekrety tego świata, to sądzicie, że problemem było dla niego zniszczenie kodu kapsuł? Wystarczyło tylko zaopatrzyć go w laptop, a z tym nie ma problemu, gdy ma się pieniądze i znajomości jak ja.

W pewnym momencie podszedł do nas grubas, którego znałem z łoży w Koloseum. On zawsze głosował za śmiercią pokonanego. Zaproponował nam małą fortunę za to, że ich nie rozstrzelamy. Po zastanowieniu zgodziłem się, chociaż wywołało to głośny pomruk niezadowolenia. Wszyscy zgromadzeni goście pamiętali, że to dzięki nim

większość z nas wylądowała na arenie. Jednak Rois krótkim warknięciem przywróciła porządek.

Aleks podpiął komputer i każdy zainteresowany po kolei podchodził i przelewał sumę na podane konto na planecie, gdzie tajemnica bankowa jest świętością. Po wszystkim zamknęliśmy kobiety w sali balowej, ale czekała nas niespodzianka. Okazało się, że don Vincento zdołał uciec. Musiał mieć jakieś ukryte przejście, w którym zniknął w momencie, gdy rozpoczęły się walki. Znalazł się natomiast Fryzjer, który usiłował uciec małym patrolowcem, lecz Aleks zdążył zablokować służę.

Stoimy teraz naprzeciw siebie, uzbrojeni w broń z Koloseum. Mam krótki topór i tarczę, on zaś dwa miecze. Mogłem go zabić, strzelając, albo kazać to zrobić komuś innemu. Ale długi trzeba zwracać, a ja zawsze dotrzymuję obietnic.



Widzicie, zapomniałem o czymś wam powiedzieć. Wołają na mnie Kapitan jeszcze z innego powodu. Byłem dowódcą komanda Alfa pracującego dla don Vincenta. Pewnego razu Deltę wezwano do innej akcji, a my wyszliśmy na zwiad. I okazało się, że na terenie przyszłych odwiertów znajduje się wioska tubylców. Mieszkali sobie w glinianych chatach, hodowali bydło i sadzili ryż. Przekazaliśmy do centrali informację i postanowiliśmy wracać do bazy.

Wtedy przez komunikator połączył się z nami don Vincento i rozkazał rzucić na wieś napalm. W pierwszej chwili myślałem, że się przesłyszałem, ale powtórzył to wyraźnie. Przekazałem drużynie, jaki dostaliśmy rozkaz. Rois, która była moją zastępczynią, tylko zaklęła i obróciła się na pięcie. Wróciliśmy do bazy, zostawiając wieśniaków przy życiu.

Otrzymaaliśmy polecenie, by stawić się w centrum operacyjnym dona. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby wiedzieć, co groziło nam za niewykonanie rozkazu. Zapakowaliśmy się na statek i uciekliśmy na ostatnią planetę, na którą starczyło nam paliwa. I tam się wszyscy rozstaliśmy, ukrywając się w bezpiecznych miejscach. Historia jednak miała dalszy ciąg. Fryzjer ze swoimi bandytami wykonali rozkaz don Vincenta, a oskarżono o to mnie i ostatecznie zamknięto w kopalni. Dlatego teraz chcę wyrównać rachunki przynajmniej z jednym z nich. Na Vincenta jeszcze przyjdzie czas.





Wcześniej zostaliśmy tak samo wyszkoleni, ja jednak mam większe doświadczenie zdobyte na arenie. Setki godzin treningów i walk z najgroźniejszymi mordercami sprawiło, że jestem bezkonkurencyjną maszyną do zabijania. Po dwudziestu minutach Fryzjer leży na plecach i spogląda na topór wbity w brzuch. Pochyliłam się nad nim i szepczę:

– I co teraz, cukiereczku?

Odwracam się i wychodzimy przez bramę, zostawiając za sobą trupy i zmartwych oligarchów. Zatraskujemy wrota i słyszę dolatujący skowyt grubasa:

– Obiecałeś, skurwysynu!

Odwracam się do niego i mówię:

– Obiecałem, że was nie rozstrzelam, i tak się stanie.

Rois przypadkowo opiera się o włącznik, przy którym świeci napis „koty”. Startując, widzimy, jak na arenę wychodzą trzy wielkie lwy...

I na tym będziemy kończyć, moi mili.

Siedzę w kabinie, patrzę na uciekające przed nami światelka oddalającej się planety i obracam w dłoni amulet szamana. Miał rację, doprowadził mnie do gwiazd. I tylko wciąż zastanawiam się nad jego słowami o zemście i wybaczeniu, a pod powiekami widzę obraz zielonych oczu...



# ARKADY SAULSKI

## NAJWIĘKSZY BOHATER



**T**o była podła robota, ale lubił ją.  
Nie miał innego wyjścia – był niewolnikiem.

Na uprzątnięcie areny mieli całą noc, wydawało się więc, że to sporo czasu, szczególnie że krzątało się ich tutaj kilkunastu. Tylko że to była Wielka Arena w Kardum, teatr tak wielki, że można tu było rozgrywać prawdziwe bitwy między całymi armiami gladiatorów czy trwające wiele okrążeń wyścigi

rydwanów.

No i samych trupów było naprawdę sporo.

Ciała, poskręcane w bolesnych przedśmiertnych spazmach. Porąbane, zmasakrowane. Walały się też odrąbane ręce, nogi, głowy. Krew wsiąkała w piach.

Wszystko to było dziełem jednego człowieka – Tarruka Demona Walki. Największego gladiatora Kardum i właściwie całej północy. Człowieka, który, jak się zdawało, sam jeden mógł powalać całe armie, któremu niestraszne są nawet dzikie bestie i który ludziom pragnącym go zabić śmieje się w twarz, a potem miażdży ją maczugą.

Alva aż westchnął, widząc przed sobą kolejne rozczłonkowane ciało. Nie dlatego, żeby widok trupa robił na nim wrażenie. Był wszak niewolnikiem od urodzenia, a arenę czyścił od dwóch lat. Nie. Alva westchnął, bo w zmasakrowanym ciele tkwił nóż.

Nóż, którego musiał używać Tarruk Demon Walki.

Chłopak przyklęknął przy trupie, który łypał na niego jedynym ocalałym, zachodzącym krwią okiem. Niewolnik dotknął rękojeści noża wbitego w jedną z nóg.

Co tu się właściwie stało? Niestety, Alva nie oglądał walki – nadzorca,

ten przeklęty, spasiony gbur Urre, wysłał jego i kilku innych chłopców po ladacznice na wieczór dla ocalałych gladiatorów. Musieli uganiać się więc za dziwkami, zamiast podziwiać mordujących się wojowników. Alva oglądał brud miasta, zamiast obcować z prawdziwą chwałą areny.

Umysł chłopaka desperacko starał się zrekonstruować wydarzenia, które mogły poprzedzić brutalną śmierć mężczyzny. Tarruk, wiedział to dobrze, używał wielkiego topora albo nieco mniejszej maczugi. Innej broni nie stosował.

To znaczyło, że nóż musiał zabrać któremuś z pozostałych walczących. Wielki Tarruk dla kaprysu zabiera nóż przeciwnikowi, a potem go nim zabija! Cóż to musiało być za widowisko!

– Rusz się, Alva, mamy mało czasu! – krzyknął poganiacz za nim.

Czasu mało, trupów dużo. Jak zawsze po walce Tarruka Demona. Jak zawsze po tym, gdy ten bóg śmierci tańczy na piasku Wielkiej Areny, wygrywając swoim toporem melodię zagłady.

Alva wyszarpnął nóż z ciała, obejrzał się, ale nadzorca już odszedł, by pogonić pozostałych niewolnych. Szybko schował więc oręż do niedużej torby, którą nosił przy pasie – jednej z niewielu rzeczy, które mieli prawo posiadać niewolnicy.

Zadrżał. Gdyby go złapano? Niewolnikom nie wolno posiadać broni.

Ale dla Alvy to nie była broń. To była relikwia.



– Raz, dwa, trzy, dupę Urrego czyścisz ty! – śpiewał ktoś za kotarą. Trudno było ocenić, kto dokładnie, ale najpewniej jeden ze starszych niewolnych.

Ci z nich, którzy dożyli sędziwego wieku, nie otrzymywali już tak wymagających fizycznie zadań jak ich młodszy koledzy. Nie musieli więc zbierać trupów, wywozić ich i palić za miastem. Nie targali zapasów z licznych targowisk, nie byli też zaganiani do prac konserwatorskich w budynkach. Zamiast tego wykonywali jednak nieco bardziej cuchnącą robotę. Czyścili latryny, odczopywali ścieki pod areną, gdy te zablokowały się resztkami: gnijącym jedzeniem wyrzucanym przez widzów, krwią, gównem i bogowie zarazy wiedzą czym jeszcze. No i oczywiście wymieniali nocniki nadzorcom, co w żargonie niewolnych określano właśnie jako „czyszczenie dupy”.

Alva nie musiał tego robić, więc zignorował wyliczankę i doczołgał się do swojego siennika. Namacał właściwą cegielkę w murze i napał na nią palcami.

Podziemia areny były miejscem mrocznym i lepkiem od wilgoci.

Kardum uznawano za największe miasto pustynnej północy Karhanu, otoczone ziemiami surowymi, martwymi i palonymi każdego dnia przez słońce, jednak pod Wielką Areną królem był chłód, a królowymi jego ladacznice – ciemność i wilgoć.

Cegła ustąpiła. Alva wysunął ją i delikatnie złożył na sienniku. Potem wsunął dłoń do sekretnego schowka w ścianie i złożył tam znalezisko z areny – nóż wyjęty z nogi trupa.

W środku znajdowały się też inne rzeczy – brudna chustka, którą dał mu jeden ze starych niewolników, gdy Alva cierpiał na krwawy katar. Chustkę natarto ziołami skradzionymi z osobistej apteczki Urrego i tylko wciąganie ich woni ocaliło chłopakowi życie. Były tam też kości do gry, a także drewniana figurka przedstawiająca smukłą kobietę. Matkę Alvy.

Również niewolnicę, kobietę z hodowli rozplodowej, której jedynym zadaniem było rodzenie dla handlarzy kolejnych niewolników. Tylko że matka Alvy miała pecha. Krótco po jego zrodzeniu wydała na świat jeszcze tylko dwójkę zdrowych, rosnących dzieci, a potem zamiast zapewniać hodowcy zdrowych, silnych chłopców do ciężkich robót i ładne dziewczynki do domów rozkoszy, rodziła dzieci chore i kalekie. Na nic zdały się liczne zamiany niewolników-partnerów, problem tkwił w samej kobiecie. Nawet na tę zdrową trójkę długo nie można było znaleźć nabywcy, reputacja matki ciągnęła się za nimi niczym smrodliwa woń, więc pierwsze lata spędził Alva z rodzeństwem u jej boku. To wtedy dała mu tę właśnie figurkę, po to, by pamiętać jej wygląd.

Wkrótce jednak go kupiono i zabrano na arenę. Matki i rodzeństwa już nigdy nie widział, została tylko figurka.

– Co robisz?

Szybko zamknął schowek, odwrócił się.

To była Ullin, niewolna dziewczynka z kwater zewnętrznych. Takie jak ona miały za zadanie chodzić na codzienne zakupy, a także wyjeżdżać poza mury miasta i tam nabywać płody rolne. Alva nawet ją lubił. Niewiele młodsza od niego, była dość głupia i cicha, ale za to zawsze pomocna i czasem nawet mogła przemycić coś smacznego dla niego lub innych chłopców. Zawsze jednak największe porcje zostawiała dla niego. Inni chłopcy śmiali się, że on i Ullin za chwilę trafią do rozplodu. Alva wściekał się wtedy strasznie. Nie chciał trafić do rozplodu.

Alva chciał zostać na arenie.

– Nic, co by cię obchodziło! – odparł trochę zbyt ostro.

Podeszła i podała mu zawiniątko. Była to słodka babeczka z targu. No a przynajmniej połowa babeczki. Drugą zapewne Ullin zjadła po drodze.

– Dzięk... dziękuję – odparł, jeszcze się trzęsąc. – Bardzo smaczna.

Dziewczynka uśmiechnęła się. Alva nie potrafił ocenić tego, czy dana niewiasta jest ładna, czy też nie. Często chodzili z innymi niewolnymi do

miasta, by sprowadzić ladacznice dla gladiatorów. Uznawał zatem, że to właśnie one muszą być ładne, skoro wojownicy tak chętnie z nimi przebywają.

Ullin nie była więc ładna.

– Dużo dziś było pracy? – zapytała, jakby chcąc znaleźć pretekst, by jeszcze nie wracać do swoich kwater.

– Trochę. Ale ja się nie lękam pracy, zbieram siły.

– Wiem.

– Stanę się kiedyś gladiatorem, będę walczył na arenie.

– Wiem.

Ale prawda wyglądała inaczej. Chłopak nie stanie się nigdy gladiatorem. Nie będzie nigdy walczył na arenie. Niewolni z „dołów” byli przeznaczeni do pracy, gladiatorami zostawali niewolnicy silni i sprawni, szkoleni do zabijania od najmłodszych lat. Jeśli niewolni z „dołów” trafiali na arenę, działo się tak za karę albo wtedy, gdy grupa gladiatorów z innego miasta nie dojechała na czas, a widzowie spragnieni byli krwi. Walki te (o ile w ogóle można je tak określić) były krótkie i brutalne. Niewolni nie mieli przecież szans. Czasem też na arenę wbiegał niewolny posłaniec z podziemi lub trybun. Podbiegał do gladiatora i przekazywał, iż oto ktoś rzucił mu wyzwanie. Może jakiś widz, może inny gladiator, który danego dnia nie walczył, a chciał spróbować szczęścia. Takie pojedynki co prawda niekoniecznie toczyły się na śmierć i życie, ale zawsze ich zwycięzca mógł liczyć na wielką nagrodę i jeszcze większą sławę.

Ullin kiwała głową, gdy dojadła babeczkę. Zlizała ze szmatki nawet okruszki, po czym oddał ją dziewczynce.

– Widziałam, co tam masz – szepnęła konfidencjonalnie. – W tym schowku w ścianie. Wiem, że będziesz kiedyś walczył na arenie. Będziesz wielkim gladiatorem.

A potem pochyliła się ku niemu i mocno go przytuliła.



– Ruszać się, syny mułów! Dupy w troki! – wrzeszczał Urre, chłосzcząc plecy kolejnych niewolników.

Od rana panowało zamieszanie. Niewolni biegali tam i z powrotem, a nadzorcy denerwowali się bardziej niż zwykle.

Wszystko przez to, że do miasta przyjechać mieli nowi goście. Długi orszak. Do Kardum zbliżał się wielki Drago. Gladiator legenda, wojownik z dalekiej Estrii, który stoczył tysiąc pojedynków i wszystkie wygrał. Wirtuoz miecza, mistrz walki i, jak mówiły ladacznice, czempion

fizycznej miłości.

Przybywał do Kardum rzucić wyzwanie Tarrukowi Demonowi Walki.

Drago oczywiście także był niewolnikiem, jednak niewolnikiem, który mógł więcej niż inni, który posiadał więcej wolności niż często ludzie wolni.

Alva doskonale wiedział, że w prawdziwym świecie to nic nadzwyczajnego.

Wszyscy go kochali i podziwiali. Niewolnikiem był tylko formalnie, realnie zaś żył niczym cesarz Orlanu – otoczony własnymi sługami, w rezydencji położonej podobno gdzieś w odległej pustynnej oazie. Miał własną stadninę koni i nawet gwardię przyboczną. Właściciel Drago był z tego stanu rzeczy zadowolony – walki jego niewolnika przynosiły podobno zyski tak niebotyczne, że posiadał już tysiąc pałaców, a z jego niewolników można by utworzyć armię. Kiedyś jeszcze otrzymywał oferty kupna swojego najlepszego gladiatora, teraz jednak nikogo nie było już na niego stać, toteż czasem tylko „wypożyczano” go do walk w jakichś odległych rejonach, mówiło się też, że właściciele hodowli gotowi byli płacić wielkie sumy za to, by Drago odwiedzał ich niewolnice. Gladiator potrafił podobno zapłodnić sto kobiet w ciągu jednej nocy i wszystkie one rodziły potem kolejnych mistrzów walki.

I teraz Drago odwiedzał Kardum, by zabić Demona Walki.

Alva drżał na samą myśl.

A potem nie miał już czasu na myślenie – zagoniono ich do pracy. Najpierw szykowano kwatery dla Drago, ale potem przyszedł główny nadzorca i wyśmiał ich pracę, twierdząc, że czempion zatrzyma się w Pałacu Rozkoszy, zajmując zresztą cały kompleks. Wtedy zagoniono niewolnych do przystrajania i czyszczenia areny – walka, która miała przejść do legendy, musiała mieć także legendarną oprawę.

Tej nocy Alva niemal nie spał, wpatrywał się tylko w cegłę skrywającą jego sekretny schowek. Skrywającą nóż Demona Walki.

Czy jutro przyjdzie mu sprzątać z areny zmasakrowane zwłoki Tarruka? Czy tym razem wyjmie oręż z jego potężnego ciała?

Ranek przyniósł kolejne zadania, a potem już tylko pełne napięcia wyczekiwanie.

Widzowie przybyli tłumnie, starcie miało być wielkim świętem. Szlachta z całego miasta, najbogatsi kupcy, kapłani, magowie wszystkich niemal Klanów, znani najemnicy, a także rzesze zwykłych mieszczan czy nawet tłumy biedoty – wszyscy oni przybyli oglądać walkę tysiąclecia.

Damy w przepięknych sukniach wachlowały się, mężczyźni sapali i popijali chłodzone wino. Dzieciaki nudziły się, nie pojmując misterium rzezi, które zaraz rozegra się przed ich oczami.

Alva wraz z innymi niewolnikami obserwował igrzyska z dołu, zza

krat oddzielających arenę od jednego z wybiegów, którymi wyganiano zwierzęta. Widok nie był zbyt dobry, ale za to o wiele lepszy niż z miejsc dla biedoty, które mimo to i tak należało opłacić. Ot, przywilej niewolnika. Jeden z niewielu.

W końcu Alva westchnął. Na arenę w blasku słońca i przy wiwatach tłumu wszedł Tarruk Demon Walki.

Jego mocarna, obnażona klatka piersiowa lśniła od oliwy. Sploty mięśni napinały skórę tak, że zdawało się, iż ta zaraz pęknie. Mocarne nogi pewnie prowadziły go ku samemu centrum areny. Jego oblicze jak zawsze zakrywał fantazyjnie wykonany rogaty hełm, którego przyłbicę wymodelowano w upiorne oblicze demona.

Tarruk niósł swój potężny topór, co jakiś czas unosząc broń, jakby chciał pozdrowić kogoś z tłumu.

Tłum jednak już cichł, oto bowiem otwierały się boczne wrota. Z góry kilkadziesiąt niewiast zaczęło sypać płatki róż i to właśnie w takim deszczu czerwieni na arenę wjechał Drago.

Dosiadał konia, wspaniałego karego rumaka bojowego. Na sobie miał doskonałą skórzaną zbroję, zdobną w wizerunki lwów, tygrysów i orłów, fioletowy płaszcz i fioletową tunikę.

Rzeczywiście był niesamowicie przystojnym Estryczykiem – jego skóra miała barwę ciemnego granatu, włosy były czarne, a oczy czerwone niczym krew. Uśmiechał się i Alva musiał przyznać, iż był to jednocześnie najpiękniejszy i najstraszniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział.

Widzowie wybuchli wrzaskiem zachwytu, jakby cała arena dostała wściekłego ataku hysterii. Kobiety mdlały, mężczyźni płakali ze szczęścia. Nawet dzieci, dotąd niezainteresowane walką, prosiły rodziców, by ci unieśli je na rękach i mogły ujrzeć, że oto jeden z bogów zstąpił z niebiańskich wyżyn i odwiedził ich arenę.

U boku Drago powoli kroczyło dwoje sług. Gdyby jednak Alva ujrzał ich na ulicy, uznałby, że to co najmniej potomkowie królów, tak bogate nosili szaty, z taką pewnością stawiali kroki. Ich pan płynnie zeskoczył z siodła, podał końskie wodze jednemu z niewolnych, po czym zdjął płaszcz i podał go drugiemu. Sięgnął do pasa i wyszarpnął z pochew broń – dwa miecze, jeden krótki, drugi nieco dłuższy, o dziwnym, wąskim ostrzu. Była to najpiękniejsza broń, jaką chłopak w życiu widział.

Tarruk obserwował to wszystko bez ruchu.

Słudzy opuścili arenę, a Drago powoli zbliżył się do swojego przeciwnika. Nagle uniósł ręce, zawinał kilka imponujących młyńców bronią. Stał błyszczała niby błyskawice, syczała, przecinając powietrze, a tłum, widząc ten popis szermierczego kunsztu, wybuchł kolejnym okrzykiem radości.

Drago zakończył swój popis i stanął naprzeciw Demona Walki. Uśmiechał się.

– Czy wiesz, kim jestem? – zapytał.

– Jakimś głupcem – odparł krótko Tarruk.

I od razu zaatakował. Topór świsnął w szybkim cięciu. Alva wiedział, że choć broń wydawała się potężna, gladiator posługiwał się nią niczym lekką bambusową witką. Jego szybkość niejednokrotnie zaskakiwała przeciwników, prowadząc ich do zguby. Chłopak miał nadzieję, że tak stanie się i tym razem.

Stal przecięła powietrze, a Drago uskoczył, tanecznym krokiem wyminął Tarruka, błysnęło żelazo, gdy jeden z mieczy zatańczył w dłoni Estryjczyka. Brzęk, brzęk, kiedy stal uderzała w stal – to Drago trzasnęła Tarruka płazem dłuższego miecza w bok hełmu, zaśmiał się i tanecznie odskoczył.

– Jestem największym wojownikiem, jakiego nosiła Brahara – powiedział. – Jestem samą walką, rzezią i śmiercią!

Demon Walki nie miał zamiaru słuchać dalej tej gadaniny, natarł, by w ostatniej chwili zmienić kierunek, uderzyć z boku, szybkim, płaskim ciosem. Drago jednak i na to był gotowy. Sparował krótkim mieczem, a potem skontrował tym drugim, wąskim ostrzem.

Widzowie zachłysnęli się krzykiem, gdy na plecach Demona pojawiła się długa, wąska pręga krwi.

– Kobiety, którym dałem rozkosz, odbierają sobie życie, pewne, że już nigdy nie zaspokoi ich tak inny mężczyzna – grzmiał dalej Drago. – Mężczyźni zaś płacą mi tylko za to, żebym ich zabił, czyniąc im największy z zaszczytów!

Kolejny atak Tarruka, znowu też przeprowadzony inaczej. Pozornie niepewny, wyprowadzony z dołu, obuchem, tylko po to, by w ostatniej chwili wywinąć się i przejść do krótkiego cięcia. Jednak i ten okazał się nieskuteczny. Drago po prostu zignorował pierwsze uderzenie, jakby przeczuwając, że to tylko zwód, drugie zaś skontrował, tnąc szybko Tarruka krótszym mieczem przez pierś.

– Królowie oferują mi swoje władztwa tylko za to, żebym przez jedną godzinę uczył ich walki – zaśmiał się Drago. – Królowe zaś odsyłają córki do klasztorów i samotni, pewne, że nie znajdą dla nich lepszego kandydata do ożenku niż ja. Wiesz już, kim jestem? Jestem Drago...

Jego głos urwał się w bolesnym jęku, potem przeszedł w charkot, a następnie w wilgotny bulgot, gdy topór Tarruka rozplątał od dołu brzuch gladiatora, zatrzymując się dopiero na mostku. Atak był tak szybki, że widzowie nawet go nie zauważyli. Po prostu Demon Walki odwrócił się, postąpił jeden krok naprzód, i drugi, niepewnie i chwiejnie, tylko po to, by wystrzelić do przodu niczym kobra, jednocześnie wykonując atak niemalże identyczny z tym poprzednim – tylko szybszy,



pewniejszy i silniejszy.

Ostrze topora zatrzymało się na mostku, ale to nie był koniec. Tarruk naparł, jego mięśnie napięły się – i uniósł broń z nabitym na niej przeciwnikiem. Estryjczyk już się nie uśmiechał, tylko rozwierał szeroko oczy i wymiotował ciemną krwią. Oba miecze wysunęły mu się z dłoni i palce mężczyzny ślizgały się tylko po stylisku topora. Delikatnie, tak jak wytworna, droga ladacznica pieści męskość klienta.

Tarruk puścił topór i Drago opadł wraz z bronią na zalany krwią piach. Palce wreszcie uchwyciły stylisko, Estryjczyk wyszarpnął z siebie broń i uklęknął, spoglądając w górę, ku Demonowi.

Ten schylił się, uniósł krótki miecz. Drago otworzył usta, wypuszczając z nich kolejną falę krwi.

Tarruk wbił miecz pomiędzy wargi przeciwnika, głęboko, po rękojęść, a potem wyrwał go i odrzucił z pogardą.

– Tak jak mówiłem. Jesteś jakimś głupcem. W dodatku martwym.

Trudno opisać reakcję tłumu, Alva był pewien, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Widzowie nie tyle wrzasnęli, co eksplodowali wściekłą kakofonią uniesienia i radości. Kobiety wyły, jakby oto rozkosz dawał im sam król kochanków, mężczyźni ryczeli, jakby właśnie dowiedzieli się, że nie ma piekła. Nawet dzieci piszczały, rozumiejąc, że oto wzięły udział w czymś niepowtarzalnym.

Alva tylko się uśmiechał. Po prostu się uśmiechał.

– Wiedziałem – szepnął do siebie. – Od początku wiedziałem.



Obracał nóż w dłoni niczym relikwią świętego, po czym szybko odłożył go do schowka.

– Widziałeś walkę?

Znowu go zaskoczyła. Znowu musiał szybko się obracać, by zakryć sobą swój maleńki skarbiec.

– Tak... oczywiście, że wiedziałem.

– Dziewczyny mówią, że Tarruk mógł przegrać. Że mógł zginąć.

– Dziewczyny są głupie – uciął Alva ze złością.

Ullin zauważyła to, posmutniała i podeszła z wyciągniętymi rękami, w których znowu trzymała jakieś zawiniątko, jakby chciała go udobruchać.

Uśmiechnął się, pozwolił jej usiąść obok i przyjął zawiniątko.

To był kawał drożdżówki. Spory, pełen rodzynek. Pachniał doskonale, a Alva nic tego dnia nie jadł. Ullin chyba też – wyraźnie zaburczało jej w brzuchu.

– Nie – powiedział, podając jej drożdżówkę – ty zjedz. Jesteś bardziej głodna niż ja.

– Ty też nie jadłeś.

– Jestem mężczyzną. Będę kiedyś gladiatorem. Nie muszę jeść aż tak dużo, wytrzymam. Bierz.

Jadła, spoglądając na niego tymi wielkimi, jasnymi oczami.

– Sąd fiedziafeś, fe Taffuk wygfa? – zapytała z pełnymi ustami, łapczywie pożerając drożdżówkę.

– Obserwowałem każdą jego walkę – odparł uśmiechnięty. – Tarruk nie jest największym gladiatorem dlatego, że jest najsilniejszy, najszybszy i najbardziej wytrzymały. Jest najlepszy, bo jest najmądrzejszy. Już nie raz walczył z przeciwnikami, którzy byli od niego więksi albo szybsi, ale zawsze potrafił ich przechytrzyć. Liczy się to, co ma w głowie, to jest najważniejsze. Drago przechwalał się, popisывał. Tarruk wiedział o tym, więc atakował najpierw wolniej, niezdarnie, tak żeby przeciwnik myślał, że jest słaby, zdezorientowany i lękliwy. A potem, gdy już wiedział, na co stać przeciwnika, po prostu zaatakował tak, żeby Drago nie mógł się obronić. I już. Walka została rozstrzygnięta w momencie, gdy Drago popisывał się mieczami przed tłumem. Nigdy się nie popisuj. Nigdy nie pokazuj wrogowi przed walką, na co cię stać.

Myślał, że mówi do siebie, ale nie – Ullin słuchała go, jedząc. Potem zlizwała okruszki z chustki, zwinęła ją i włożyła sobie za sznurkowy pas.

– Smakowało ci?

– Tak. Dziękuję, Alva. To było bardzo dobre, a ja nic nie jadłam od... od wczoraj.

Chłopak też, ale pojedynek, który zobaczył, starczał za wszystkie posiłki świata.

– Dużo wiesz o Tarruku – powiedziała Ullin, przeciągając rozmowę. Jakby zależało jej na tym, by pozostać tu jak najdłużej.

– Dużo o nim wiem, bo to mój największy bohater.

Przytuliła go.

– Ty. Ty jesteś moim największym bohaterem.

Był zaskoczony, ale także ją objął. Nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko cieszył się jej ciepłem. Wtedy kraty do wspólnej celi zaskrzypiały i do środka wpadł Urre.

– Tu jesteś, mała ladacznico! – krzyknął. Jego wielkie, spocone ciało szybko znalazło się tuż obok. Nadzorca szarpnął Ullin za ramię, unosząc ją. – Nie wolno wam się chędożyć, jesteście niewolnikami! – ryknął.

Alva miał ochotę przywalić grubasowi w ten jego pokiereszowany łysy czerep. Wiedział jednak, że nie ma w takim starciu szans. Czego nadzorca chciał od Ullin? Przecież mogła tu przebywać.

Po chwili jednak zrozumiał. Stary Urre miał prawo przywoływać do swojego siennika niewolnice z innych części areny, także

z zewnętrznych kwater. Jeśli przebył taki kawał aż tutaj, znaczyło to, że nadszedł czas, by to Ullin grzała mu łożo.

– Chodź, mała dziweczko, dziś zrobię z ciebie kobietę!

Alva nie wytrzymał. Wystrzelił naprzód, uniósł pięść, tylko po to, by w ostatniej chwili zmienić kierunek i uderzyć drugą ręką, od dołu. Widział przecież setki razy, jak robi to Tarruk. Jak myli przeciwnika i powala go na piach.

Ale Alva nie był Tarrukiem.

Trafił Urrego w brzuch, owszem, ale ten był miękki niczym galareta. Dłoń odbiła się od membrany skóry, zabolą Alwę chyba bardziej niż cios nadzorcę. Ten odwinął się i jednym uderzeniem posłał chłopca z powrotem na posłanie.

– Jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, dostaniesz karę – syknął. – Tylko jedną. Ale za to ostatnią, jaką ktokolwiek ci wymierzy.

Alva niemal go nie słyszał, oszołomiony po silnym ciosie. Gdy się ocknął, Urrego i Ullin już nie było.

Chłopiec drżał. Nie obronił przyjaciółki i dał się pokonać.

Nigdy nie będzie gladiatorem. Nigdy nie spotka się na arenie z Tarrukiem, choć wyobrażał to sobie tyle razy, tyle razy myślał o tym, jak ramię w ramię pokonają stu przeciwników. To były tylko fantazje, głupie marzenia.

Teraz wydawały mu się jeszcze głupsze.



Następnego dnia obserwował Ullin kątem oka, gdy zanosił warzywa z targu do kuchni pod areną. Dziewczynka była milcząca, miała puste spojrzenie. I oczy mokre od łez.



W nocy snuł się po podziemiach bez celu. Wszyscy niewolnicy odpoczywali, starając się złapać każdą bezcenną chwilę snu. Nikt go nie niepokoił, nikt nie zatrzymywał, nikt nie kazał wracać na swoje posłanie.

Usłyszał z oddali jakieś bolesne jęki, niosły się wyraźnie po korytarzach.

Skierował się w tamtą stronę, pewien, że to Urre, ten stary potwór, znów zmusza jedną z dziewcząt do dzielenia z nim posłania.

Chłopiec skręcił raz, drugi i choć znał arenę doskonale (był to

przecież jego dom), znalazł się w miejscu, do którego trafił pierwszy raz. Albo bywał tu tak rzadko, że po prostu tych okolic nie pamiętał.

Jęki stały się głośniejsze, miarowe. Dołączyło do nich cichsze sapanie, charkliwe komendy.

Alva znał ten głos.

Znalazł się w sporym pomieszczeniu urządzonym tak, by przypominało komnatę mieszkalną. Poszczególne części oddzielone zostały białymi, półprzeźroczystymi kotarami, kołyszącymi się od delikatnych podmuchów powietrza.

Miarowy, bolesny kobiecy jęk osiągnął apogeum, kończąc się teatralnym w swej przesadzie krzykiem rozkoszy. Dla odmiany męski głos zdradzał prawdziwsze emocje – warknął raz i drugi, Alva usłyszał jakieś charkliwe, niewyraźne słowa, pełne agresji i wściekłości. Potem słyhać było tylko zmęczone sapanie.

Chłopak schował się za jedną z kotar i dostrzegł łożo, a na nim mocarnego mężczyznę, którego ciało lśniło od potu, i kobietę, niesłychanie zgrabną, jednak o brzydkim obliczu, która wycierała się szmatką pomiędzy nogami. Po chwili ubrała się w zwiewną, półprzeźroczystą szatę i szybko wymknęła z komnaty.

Alva wiedział, kto leżał na łożu. Wiedział doskonale. Znał każdy cal tego mocarnego ciała niemal tak dobrze, jak znał swoje własne – słabe i marne.

– Wiem, że tam jesteś – powiedział Tarruk Demon Walki, unosząc się na łokciach i spoglądając ku Alvie. – Jeśli przybyłaś tu po to, po co myślę, to musisz poczekać. Muszę odzyskać nieco sił. Możesz mi w tym pomóc, ale musisz to robić delikatnie.

– Jestem chłopcem – odparł Alva głośno.

– Chłopców nie potrzebuję. Idź precz!

Gladiator opadł na łożo i dyszał. Coraz spokojniej, miarowo. Alva nie widział jego twarzy zbyt wyraźnie, jedyne, co dostrzegał, to krótkie czarne włosy. Nie ruszał się z miejsca mimo polecenia. Myślał, że Tarruk zasnął, i nadarzyła się możliwość, by spędzić przy swoim bohaterze choć chwilę. Krótką chwilę.

– Nadal tam jesteś – rzekł wreszcie Demon. – To znaczy, że albo jesteś taki głupi, że chcesz mnie zabić, albo jesteś na tyle odważny, że nie lękasz się mojego nakazu.

– Ja chcę... chcę tylko... pobyc tu przez chwilę.

I wtedy Tarruk powiedział coś, czego Alva nigdy by się nie spodziewał.

– W porządku, możesz zostać. Ale nie zbliżaj się. Nie obchodzi mnie, kim jesteś.

Siedział więc, drżąc na całym ciele, siedział zaledwie kilka kroków od swojego największego bohatera, od Demona Walki, największego

z gladiatorów, człowieka, który pokonał tysiąc wrogów i pokona tysiąc kolejnych, jeśli tylko odważą się rzucić mu wyzwanie.

– Trzęsiesz się. Lękasz się czegoś. Mnie? – zapytał Tarruk, przerywając ciszę.

– Nie... nie ciebie, panie...

– Więc czego? Nieważne. Nie obchodzi mnie to. Każdy się lęka. Każdy i zawsze. Ten martwy głupiec, ten, który dawał rozkosz królowym, a teraz daje tylko rozkosz robakom, też się bał. Udawał odważnego, ale bał się, widziałem to, gdy tylko wjechał na arenę. Każdy się boi, chłopcze, pamiętaj o tym. Sztuką nie jest brak lęku. Sztuką jest władanie lękiem. Obrócenie go w broń. Gdy znowu będziesz się lękał, po prostu zaatakuj. Wtedy przestaniesz. Zapamiętasz?

Alva wiedział, że zapamięta. Wiedział, że każde słowo wypowiedziane do niego przez Tarruka Demona Walki zapamięta do ostatniej chwili swojego życia.

– Wyjdź z za tych kotar, podejdź tu. Chcę ci się przyjrzeć, zobaczyć cię.

Chłopiec postąpił naprzód niepewnie, wreszcie odsunął kotarę i zbliżył się do Tarruka.

Mimo że zawsze pragnął znaleźć się tak blisko swego bohatera, teraz odczuwał tylko lęk. Ten lęk, który powinien być przecież jego bronią.

Tarruk z bliska nie wyglądał na takiego kolosa, jakim zdawał się na arenie. Owszem, był potężnym mężczyzną, jednym z największych, jakich Alva widział, a przecież codziennie oglądał różnych gladiatorów. Nawet ten wielkolud Urre zdawał się przy Demonie Walki ułomkiem – ciało nadzorcy było bowiem jedynie masą tłuszczu, a jego siła brała się z okrucieństwa. Tymczasem ciało Tarruka wydawało się jak wykute z granitu – umięśnione, twarde, potężne. Jednak nawet i na tym posągu widać było rysy.

Obrażenia po walce z Drago. Zaszyta, gojąca się pręga, skośnie przecinająca pierś, i druga, Alva wiedział o tym, przebiegająca przez plecy, dłuższa, większa.

– Cały czas się trzęsiesz, chłopcze, widzę to jeszcze wyraźniej niż przed chwilą – rzucił Tarruk. – A przecież nie jesteśmy na arenie. Nie walczymy ze sobą. A gdy ze sobą walczymy, to niepotrzebna nam broń. Niepotrzebny nam lęk, prawda?

– To prawda...

– Więc...? Czemu drżysz? Czego tak się lękasz?

Chłopiec nie miał innego wyjścia, jak tylko powiedzieć prawdę. Czuł, że nawet gdyby skłamał, Tarruk poznałby to. Mężczyzna spoglądał w jego oczy, ale Alva był pewny, że widzi całą duszę.

– Bo zawsze o tym marzyłem – odparł wreszcie. – Żeby cię spotkać, panie.

Tarruk Demon Walki długo patrzył w oczy chłopca, długo trwał

w bezruchu. Wreszcie jednak uczynił coś, czego Alva nie przewidział, choć przecież tysiące razy wyobrażał sobie przebieg tego spotkania. Tysiące razy analizował to, co powie Tarrukowi i co może mu odpowiedzieć gladiator.

Ale Demon Walki nie powiedział nic. Tylko się zaśmiał. Gromko, serdecznie, jakby właśnie usłyszał najprzedniejszy dowcip swojego życia.

– Marzyłeś o tym, co? – Opanował się w końcu.

– Tak, marzyłem... odkąd tylko pamiętam – odpowiedział Alva.

– Odkąd pamiętasz? A ile niby masz lat? Piętnaście, szesnaście?

– Trzydzieści, mam trzydzieści lat... chyba.

Demon pokręcił głową.

– Mogę tylko współczuć – rzekł. – Marzenia. Zawsze się spełniają, chłopcze, zawsze. Ale nie zawsze tak, jak tego chcemy, pojmujesz? Czy chciałeś, żeby właśnie tak spełniło się twoje marzenie? Że ujrysz swojego... bohatera spoconego i nagiego, z futem wciąż śliskim od soków jakiejś taniej dziwki z Niskich Dzielnic?

– Nie – odparł znów szczerze Alva. – Myślałem, że spotkamy się na arenie... że razem pokonamy setki nieprzyjaciół.

Teraz Tarruk roześmiał się jeszcze głośniejszym śmiechem, ten śmiech był niczym zardzewiałe żelazo zdzierające z kości resztki gnijącego mięsa.

– Chłopcze – powiedział, ocierając łzy rozbawienia, które napłynęły mu do oczu – nigdy nie spotkamy się na arenie, chyba że wrzucą cię na nią za karę. Ale nawet wtedy nie pokonamy razem setek wrogów. Bo jesteśmy zwierzętami, ty i ja. Zwierzętami hodowanymi od szczeniństwa do konkretnych celów. Ja do zabijania takich jak ty. Ty do usługiwania takim jak ja. Pojmujesz?

Pojmował.

– Nie ma nic przyjemnego na arenie – kontynuował Tarruk. – Tylko strach, krew i śmierć. Czasem szybka, ale częściej długa i bolesna. Bo taką śmierć lubi tłum. Tylko taką. Inna śmierć to dla niego śmierć nudna. Nudna, pojmujesz?

Pojmował.

– Widzę, żeś pojętny. I już się nie boisz. Ale mnie nudzi już ta rozmowa, chcę spać, bo jutro będę dalej zabijał. Więc możesz zadać mi jeszcze jedno pytanie. Tylko jedno. Zadaj je.

– Rany... – wypalił Alva i zdał sobie sprawę, że nie kontroluje chyba swojego narządu mowy – twoje rany, panie, czynią cię słabszym.

– Czyżby?

– Tak! Przeciwnik mógłby zająć cię z twojej prawej strony, zaatakować i jeśli będzie szybki i zwinny, pokonać cię. Ta rana na piersi spowalnia twoje reakcje, panie. Spowalnia ciebie całego.

I znowu śmiech, ale tym razem inny. Nie było w nim pogardy

i szyderstwa, tylko coś innego. Podziw?

– Medycy to głupcy. Może to ty powinienes mnie łątać? Tak, zgadza się. Rana mnie spowalnia i utrudnia walkę. Oglądasz wiele walk, chłopcze?

– Oglądałem wszystkie twoje walki, panie.

Prawie wszystkie. Wszystkie, na których mógł się zjawić. Wszystkie, jakie zdołał.

– Skoro tak dobrze mnie znasz, to pewnie wiesz też, jak należałoby mnie pokonać? Wiesz, że przeciwnik musiałby błyskawicznie skrócić dystans, zaatakować z mojej prawej, najlepiej wysoko, pod pachę, o tu. Pchnąć albo ciąć, a potem czym prędzej odskoczyć przed moją spóźnioną kontrą. Jeśliby trafił tam, gdzie trzeba, nie zdołałbym wykonać kolejnego ciosu. Wykrwawiłbym się.

– Tak, panie. Ale nie zdołałby się wycofać. Twoje kontry są za szybkie. Nawet jeśliby cię ranił, to ty rozplątałbyś go wpół. I wtedy... – Alva nie chciał już kontynuować. – Wtedy...

– Wtedy obaj leżelibyśmy martwi na tej arenie, bo wykrwawiłbym się chwilę później. „A wtedy”... – dodał Tarruk, przedrzeźniając głos chłopca. – Wiesz, co by się stało? „Wtedy”?

Alva wolno pokręcił głową. Gładiator uśmiechnął się szyderczo.

– Wtedy musiałbyś w końcu znaleźć sobie nowego bohatera.



– Gdybym wiedział, że to takie przyjemne, już dawno bym po ciebie poszedł – sapnęła Urre, a ona odsunęła się od niego najdalej jak mogła.

Posłanie nadzorcy było lepsze niż to, na którym siadała z Alvą, ale dla niej okazało się tylko pełne robactwa, które obłaziło jej ciało za każdym razem, gdy łysy nadzorca zabierał ją do łóża.

Skuliła się, ściskając tam, gdzie bolało, i starała się powstrzymać łzy. Na próżno. Pocięły na zarobaczony siennik.

– Kiedyś Alva cię pokona – szepnęła Ullin. – Kiedyś mu nie uciekniesz.

– Tak – zachichotał obleśnie nadzorca. – Kiedyś Alva będzie wielkim gladiatorem.

– Będzie wielkim gladiatorem – powtórzyła dziewczynka. – Ma już nóż i kiedyś cię nim zabije na arenie.

Czuła, jak Urre unosi się za nią, ociera o jej ciało swoim obrzydliwym, lepkiem cielskiem.

– Gdzie? – zapytał. – Gdzie ma ten nóż?



Choć Alva nie jadł, nie czuł głodu. Był silniejszy niż jeszcze kilka dni wcześniej, miał wrażenie, że mógłby gołymi pięściami rozłupać mury areny, a nie czyni tego tylko dlatego, że wtedy nie miały się gdzie podziąć.

Pracował więc szybko i sprawnie, każde zadanie wykonywał błyskawicznie.

Głos Tarruka. Jego ciało lśniące od potu w blasku świateł. Jego włosy, krótkie i czarne, niezakryte hełmem. Ciekawe, jak wyglądają teraz? Wszak Tarruk dzisiaj walczył i choć Alva nie mógł oglądać starć, nie czuł żalu.

Gdzieś tam z oddali dochodził do niego szcęk oręża, jęki mordowanych niewolników. Mordowanych okrutnie i fantazyjnie, żaden oponent bowiem nie zjawił się tego dnia w Kardum i na żer Demonowi rzucono tych niewolnych, którzy czymś zawinili, byli zbyt starzy lub zbyt chorzy, by dalej pełnić swoją funkcję. Widowni nie czyniło to różnicy. Ważne, że obficie lała się krew.

– Alva, ty gnojku! – Ten głos chłopak rozpoznał od razu. Urre pędził przez kuchnię, gnając przed sobą drżącą z przerażenia Ullin.

Dziewczynka uniosła wzrok i było coś w tych oczach, czego chłopak wcześniej nie widział. Żal i coś jeszcze. Nie wiedział co.

Nadzorca złapał Alwę za ramię i boleśnie popchnął na ścianę.

– Do siennika, natychmiast!

– Siennika?

– Twojego siennika, gnojku!

Chłopiec zaprowadził go do posłania, na wpół sparaliżowany strachem. Tylko nogi nie odmawiały mu posłuszeństwa, jakby ta cała siła, którą zdobył, słuchając głosu Tarruka Demona Walki, przysła w starciu z głosem Urrego, podłego nadzorcy niewolnych.

Alva stanął nad siennikiem niczym nad otwartym grobem. Gdzieś tam w oddali znowu rozległ się mlaszczący dźwięk, potem krzyki widowni. Topór Demona pożarł kolejną ofiarę.

Urre szarpnął Ullin, przyciągnął do siebie.

– Gdzie ma ten swój skarb, maleńka? – zapytał, oblizując się obleśnie.  
– Gdzie go ukrywa?

Dziewczynka drżała jak w febrze, spoglądała przeproszająco na Alwę.

– Wskaż, gdzie jest, a nikomu nic się nie stanie, obiecuję. Zabiorę tylko to, co będzie do zabrania, i ani jemu, ani tobie nie stanie się krzywda. Nawet... – ujawnił w uśmiechu brudne zębiska – nawet nie będę cię już zabierał do siennika... nie będziesz robić tych rzeczy, wezmę inne dziewczęta... Ale pokaż, wskaż rączką, gdzie to jest.



Wskazała.

Urre natychmiast domyślił się, o którą cegłę chodzi, przecież ta luźna wystawała krzywo i wyraźnie. Alva nie miał pojęcia, jak mógł kiedykolwiek sądzić, że ktoś, kto przyjrzy się ścianie, nie domyśli się, co jest tam ukryte. Twarde palce nadzorcy szybko wygrzebały cegłę, sięgnęły do środka.

Urre wyrzucił figurkę, wyrzucił chusteczkę i sięgnął po nóż.

„Sztuką nie jest brak lęku. Sztuką jest władanie lękiem. Obrócenie go w broń. Gdy znowu będziesz się lękał, po prostu zaatakuj. Wtedy przestaniesz. Zapamiętasz?”

Chłopak rzucił się naprzód, popchnął Urrego, tak że mężczyzna trzasnął czołem o ścianę. Na siennik trysnęła krew.

– Uciekaj! Uciekaj, Ullin! – krzyknął Alva. Dość głupio, bo też i gdzie miała uciekać?

Dziewczynka jednak spojrzała przeproszająco i uciekła, pomknęła w mrok.

Urre odwrócił się. Jego twarz zalewała krew ze zmiażdżonego nosa i rozbitego czoła. W lewej dłoni ścisnął nóż. Ale uderzył prawą. Alva, gdy się otrząsnął, zdał sobie sprawę, że znajduje się na sienniku któregoś z innych niewolników. Krwawił teraz tak jak Urre, ale był gotów dalej walczyć.

Tylko nie miał sił.

Nadzorca podszedł doń, postawił go do pionu i pociągnął za sobą. Inni niewolnicy trwożliwie pierzchali przed wielkim, spoconym mężczyzną, który w jednej dłoni ścisnął nóż, a w drugiej ramię chwiejącego się niewolnego trzynastolatka.

– Chcesz być gladiatorem, gnojku?! Chcesz walczyć na arenie?!

Tak. Tak, chcę walczyć na arenie. Chcę władać bronią niczym wirtuoz lutni. Chcę kreślić nią krwawy alfabet mojej chwały, po to by tacy jak ty drżeli na samą myśl, że mógłbym zwrócić na nich moje spojrzenie.

Nie powiedział jednak nic z tych rzeczy. Za bardzo się bał, za bardzo lękał. Strach może i jest bronią, ale Urre wytrącił mu tę broń z rąk, po czym zagłębił ostrze w trzewia.

Wrzaski, gromkie okrzyki zachwyconej widowni. Szczęk oręża, ciepło słońca, piasek i wsiąkająca weń krew.

Urre zaciągnął chłopaka na wybieg dla gladiatorów. Był tak wściekły, że nie myślał trzeźwo, nie baczył na to, że za ten czyn, za wypchnięcie innego niewolnika do walki bez zgody panów czekać go może surowa kara.

– Wojownik nam się trafił! – krzyknął, plując krwią. – Gladiator! Masz, gladiatorze, bez tego będzie ciężko... – Szyderczym gestem wcisnął wilgotny od potu nóż w dłoń chłopaka.

Potężna żelazna krata uniosła się ze szczękiem, a pozostali nadzorcy

szybkimi trzaskami bata pogonili Alwę naprzód, przed siebie.

Tłum wiwatował wściekle, słońce grzało twarz.

Alva znalazł się tam, gdzie zawsze marzył, w miejscu, do którego tak tęsknił. Krzyki wypełniały jego serce, ciepło słońca ogrzewało do samej duszy. Był na arenie w tym samym czasie, gdy stał i walczył na niej Tarruk Demon Walki.

I dopiero wtedy chłopak zdał sobie sprawę, czemu go tu wygoniono.

Gladiator był otoczony przez porąbane zwłoki. Właśnie wysokim, pionowym uderzeniem topora rozplątał wpół jakiegoś starca, od szyi aż do pasa. Krew chlusnęła gęstym strumieniem, zalewając nagą pierś Tarruka i piasek u jego stóp. Gdy starzec padł, gladiator obrócił się ku Alvie.

Na arenie zostali już tylko oni. On, niewolny chłopak, i Demon Walki, największy gladiator, jakiego nosiła Brahara. Nareszcie, po tylu latach, po tylu trudach, stali na tym samym przesiąkniętym krwią piasku. Alva marzył o takim spotkaniu, odkąd tylko pamiętał.

„Marzenia zawsze się spełniają. Ale nie zawsze tak, jak tego chcemy”.

Demon Walki uniósł broń, zaczął się zbliżać.

Ich spotkanie na arenie. Pierwsze spotkanie na arenie.

Chłopak nie tak je sobie wyobrażał.

Czy mężczyzna go poznał? Czy wiedział, że oto stoi przed nim ten sam chłopak, który przypadkiem dotarł do jego kwater? Zapewne nie. Zapewne widział tylko kolejnego przeciwnika, z twarzą pokrytą krwią, z nosem rozbitym uderzeniem nadzorcy i nożem ściszanym w spoconey, drżącej dłoni.

A jednak stali razem na arenie. On i jego największy bohater. Chłopiec i legendarny gladiator. I obaj nie mieli innego wyjścia, jak tylko walczyć.

Alva spoglądał na unoszący się powoli topór, na rogaty hełm, na zasłone twarży w kształcie upiornego oblicza. Na nagi, spocony tors, zalany krwią poprzednich wrogów.

Na długą, przetykaną dratwą pręgę na prawej piersi Tarruka.

Słońce odbiło się w ostrzu topora, żelazo zaśniło złotym blaskiem. Wtedy właśnie Alva skoczył.

Strach. Strach jest bronią.

Wystrzelił naprzód niczym bełt, prosto ku Demonowi Walki, prosto w objęcia śmierci.

Ale Alva nie miał zamiaru umierać. Nie tutaj, nie teraz. A na pewno nie wcześniej, nim udowodni, że nadaje się na arenę. Tarrukowi, Urremu, Ullin, wszystkim niewolnikom w podziemiach i wszystkim widzom na trybunach. Całemu Kardum i całemu światu.

Topór zaczął opadać. Wolniej, jakby od niechcenia. Błysk żelaza, żar słońca.

Tarruk chybił, ostrze broni rozcięło powietrze tuż za chłopakiem, a ten w ostatniej chwili zmienił kierunek natarcia, zszedł w bok i chlasnął nożem z całej siły, wkładając w to uderzenie pełnię swojej woli.

Czuł, że trafia, że ostrze uderza w skórę gladiatora.

Był tylko jeden problem. Nóż był tępym.

Gdy Alva zdał sobie sprawę z tego, że jedynie drasnął przeciwnika, odskoczył, szybko, niezgrabnie, byle dalej, byle umknąć przed niechybną kontrą.

Rzeczywiście, ostrze topora poszybowało po łuku, ale chłopiec miał szczęście – żelazo chybiło. Tarruk chybił.

Alva mógłby zaatakować znowu, wbrew rozsądkowi i logice starając się zabić mistrza. On, chłopczyk z podziemi Wielkiej Areny. Nie uczynił tego jednak. Z prostego powodu.

Tarruk także nie atakował.

Nie atakował, nie kontynuował walki, jedynie obmacywał draśnięcie zadane tępym zdobycznym nożem. Nożem wciąż ściszanym w spoczonej dłoni chłopca.

Demon Walki stał tak, obmacywał ranę i chyba chichotał, choć maska uniemożliwiała dokładne rozpoznanie dźwięku.

– Pamiętam cię – rzekł wreszcie. – Teraz cię pamiętam. Ten cios. Atak z mojej prawej, wykorzystanie tego, że ta paskudzająca się rana ciągle mnie spowalnia, uniknięcie kontry. Jesteś tym wiecznie trzęsącym się dzieciakiem. Tym z dziwnymi marzeniami.

Alva nie odpowiedział nic. Tylko otarł nos nadgarstkiem, jeszcze bardziej rozmazując po twarzy krew.

– Kto ci to zrobił? Co, chłopcze? Kto był na tyle odważny, żeby rzucić się na takiego małego tchórza?

„Kto ci to zrobił?”

„Małego tchórza”.

– Urre nadzorca – odparł Alva. I w końcu przestał się trząść.

Demon Walki pokiwał głową. Ściągnął z niej hełm, wbił topór w piach, uniósł ręce i zakrzyknął do publiczności.

– Rzucono mi wyzwanie! – wrzasnął, a widzowie eksplodowali radosnym skowytym. – Ktoś pragnie ze mną pojedynku! Twierdzi, że jest silny! Twierdzi, że jest wielki! Twierdzi, że pokona mnie, Tarruka Demona Walki! Niech i tak będzie, przyjmuję wyzwanie. Przyjmuję wyzwanie... Urre nadzorco!

To, co stało się później, było dla Alvy kompletnie niezrozumiałe. Przy bramie prowadzącej z podziemi nastąpiło jakieś poruszenie, dało się słyszeć krzyki, powarkiwania strażników i błagania.

A potem krata uniosła się i na arenę wypchnięto wielkiego, spoczonego mężczyznę, ścisającego w pulchnych dłoniach prostą

maczugę. Jego oblicze było maską przerażenia, a na spodniach rosła plama wilgoci.

Urre wkroczył na arenę niczym największy spośród tchórzy. Nie był już panem życia i śmierci, decydującym o losach podległych mu niewolników. Nie był imperatorem cierpienia i władcą łez.

Nie – teraz był co najwyżej cesarzem lęku i królem przerażenia.

Widzowie krzyczeli i wyli, zagrzewając nadzorcę do boju. Chcieli walki, chcieli krwi, ale grubas tylko podszedł powoli do Demona i kurcząc się, począł odkładać maczugę na piasek.

– Nie porzucaj broni... – syknął Tarruk. – Nie porzucaj broni. To ostatnie, co ci zostało.

Urre otworzył rozedrgane usta, uniósł lekko maczugę, zapewne chcąc pokazać, iż nie ma złych zamiarów, że to wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem, a on, Urre, jest tylko marnym robakiem drżącym przed potęgą wielkiego gladiatora.

Topór błysnął w słońcu, zatoczył łuk i zagłębił się z młaśnięciem w piersi nadzorcy. Mężczyzna kwiknął, złapał za trzonek, chcąc wyrwać żelazo ze swego ciała, ale Tarruk go w tym wyręczył, kopniakiem posyłając nadzorcę w piach.

Rana krwawiła obficie, ale nie była śmiertelna. Widowiskowa, ale nie zabójcza. Widzowie uwielbiali takie rany.

Demon Walki obrócił się ku Alvie.

– Masz jeszcze ten nóż? – zapytał.

– Tak – odparł chłopiec bez wahania.

Demon wskazał Urrego toporem.

– Wykorzystaj go – nakazał.

Chłopiec wstał i podszedł powoli do nadzorcy. Mężczyzna wciąż macał się po rozerwanej piersi, a potem ujrzał Alwę i wybuchł płaczem.

– Błagam – kwilił – zostaw mnie! Obiecuję... obiecuję, że już jej nie tknę... żadnego z was nie tknę! Tylko zostaw... poniechaj... poniechaj...

Alva mocniej ścisnął nóż.

A publiczność eksplodowała rykiem entuzjazmu. Mężczyźni zapluwali się we wrzaskach, kobiety mdlały. To, co właśnie się wydarzyło, robiło wrażenie. Chłopiec z nożem zabijający dorosłego mężczyznę, oprawiający go jak wieprzka przy pomocy ostrza tak małego, że chyba nawet nie dało się tego uznać za prawdziwą broń. Wielka Arena jeszcze nie widziała takiego spektaklu. Ale czyż nie po to tu przybyli? By oglądać kolejne odsłony nieznanego dotąd okrucieństwa?



Alva jednak nie słyszał wrzasków, wiewatów, ignorował ten wybuch

entuzjazmu. Gdy skończył z Urrem, jego ciało bardziej przypominało tuskę wystawioną na sprzedaż u rzeźnika aniżeli istotę ludzką. Chłopiec jednak nie czuł nic. Ani obrzydzenia, ani niepewności, ani nawet strachu. Zabił. Pierwszy raz w życiu zabił. I nie żałował.

Śliski od krwi nóż wypadł mu z dłoni na rozgrzany piach areny. Alva uniósł wzrok, spojrzał na Tarruka, ale w oczach gladiatora chłopak nie widział podziwu. Jedyne obojętność.

– Czy teraz... czy teraz pokonamy razem stu nieprzyjaciół? – zapytał głupio Alva.

Demon Walki pokręcił głową.

– Zabiliśmy razem jednego nieprzyjaciela – odparł. – I tyle wystarczy. Marzenia zawsze się spełniają, ale nie zawsze tak, jak chcemy. A teraz – wskazał wciąż uniesione kraty – wracaj tam, skąd przyszedłeś. Wracaj do podziemi, bo tam jest twoje miejsce. Twoje tam, a moje tutaj. Jesteśmy zwierzętami, chłopcze. Róbmy to, do czego nas wyhodowano.

Chłopiec pokiwał głową i krok po kroku począł zbliżać się do bramy. Odprowadzał go wiwat tłumów.

Odwrócił się jeszcze, spojrzał na Tarruka Demona Walki i krzyknął do niego:

– Już się nie boję! I nie będę się bał!

– To źle – odkrzyknął Tarruk. – Bez strachu staniesz się bezbronny.

*9 lutego 2019*



JAROSŁAW  
GRZĘDOWICZ

MURMILLO  
Z KOŃCA ŚWIATA



**N**ie mógł tak po prostu wejść do miasta. Przyzwoicie ubrany samotny obywatel wychodzący prosto z pustyni, pieszo, bez bagażu, bez przynajmniej paru niewolników, niepotrzebnie zwracał uwagę. Dugga była duża i ludna, ale nie aż tak, żeby zapewnić zupełną anonimowość. Stojący przy bramie legionista mógł się przyczepić po prostu z nudów. Nieznany mu gość, wyglądający prawie na patrycjusza, tak po prostu nadchodzi spacerkiem właściwie z Sahary?

Powinni byli podstawić mu kryty wóz, choćby dwukółkę, drugi z ekwipunkiem, zapasami, namiotami, z wodą, do diabła, i z ośmiu ludzi, w tym paru pod bronią. Wtedy by to wyglądało poważnie.

Jak poczet podróżującego zamożnego obywatela.

Powinni.

Ale tego nie zrobili.

Bo wszystko odbywało się w trybie „panika”. Panika i festiwal żalosalnej improwizacji.

Słońce weszło na dobre i już zaczynał się upał. Powietrze nad płytami drogi falowało, niebo zmieniało się w ziejącą żarem soczewkę i gdyby miał przejść jeszcze kilometr, po prostu padłby na udar.

Przy drodze kilkoro dzieci w podartych, za dużych tunikach gapiło się na kozy, które obsiadły rachityczną, pokręconą i zeszlą oliwkę, zwieszając smętnie nogi z gałęzi. Jedna wyciągnęła pysk w stronę cienkich patyków i coś tam żuła, kręcąc brodatą żuchwą. Kiedy podchodził, dzieci jak na komendę oderwały wzrok od zwierząt i zaczęły gapić się na niego, osłaniając oczy dłońmi, jakby mu salutowały.

Pięknie. Miał tylko nadzieję, że to ich kozy i nie poleżą za nim. Inaczej



do willi dojdzie otoczony tłumem gapiów i równie dobrze będzie mógł wracać do punktu przerzutowego, aktywować marker.

Tryb „panika”.

Usłyszał szmer i odwrócił się, by zobaczyć nadjeżdżającą karawanę. Wielbłądy, wozy, juczne muły obwieszane tobołami, idący poboczami ludzie, kurz, turkot kół. Nie była imponująca. Wozów jechało kilka, mułów z dziesięć, do tego kilkunastu ludzi. Zwolnił, a potem przystanął i pozwolił się dogonić. Tunika pod płaszczem zaczęła się lepić do pleców, na ciemieniu i karku pot spływał mu już strużkami. Nawet wody nie miał.

Przynajmniej mógł wmieszać się pomiędzy wędrowców i przestać stanowić dziwowisko. Szedł trochę z boku, ale w sumie równie dobrze można było uznać, że należy do karawany, jak i że nie ma z nią nic wspólnego.

Szedł od północy i widział już świątynię Saturna, a trochę z boku świątynię Minerwy, sterczącą nad dachami domostw. Upał robił się coraz gorszy, a w miarę jak ogarniało go miasto, narastał też hałas i smród.

Starożytność śmierdziała. Mogli mieć sobie łaźnie i akwedukty, baseny z zimną i gorącą wodą, nawet tutaj, ale mydła nie wynaleźli. Kiedyś ktoś zauważył, że w Tybrze najlepiej robić pranie tam, gdzie kapłani wyrzucają gorące popioły ze stosów ofiarnych, ale jeszcze nie teraz. Do tego dochodziły fekalia wylwane w nocy prosto na ulice, a ich odór mieszał się z ciężką wonią olejków, kadzideł i smrodem psującego się mięsa z jatek. Owszem, znali latryny, ale po nocy nikt z nich nie korzystał. Zawsze kiedy tu lądował, miał ochotę kląć przez cały czas jak szewc. Nie pojmował, jak można skakać tu z własnej woli.

Mijając podłączoną do akweduktu fontannę – marmurowego lewka z obtłuczonym uchem, plującego do wyłożonej mozaiką misy – nie wytrzymał i chlusnął sobie w twarz wodą, przeciągnął po głowie i rozsmarował po karku. Pomogło na parę chwil, niemal czuł, jak woda wysycha dosłownie z każdym krokiem. Trzymał się głównej ulicy, tej z kolumnadą, która dawała jaki taki cień, ale tutaj trzeba było się przeciskać w międzynarodowym tłumie i uważać na kieszonkowców. W Dudze przynajmniej nie mieli insuli – cuchnących wielopiętrowych slumsów grożących zawaleniem, wyglądających jak posępne kwadratowe wieże, bo wszystkie okna i schody budowano od podwórza – ale i tak sieć ciasnych uliczek tworzyła tu prawdziwe labirynty, w które lepiej było się nie zapuszczać. Wokół niego wrzeszczano, rechotano, ryczały wielbłądy, turkotały drewniane, toporne wozy.

Willa Tulia stała na zboczu, wśród lepszych rezydencji, które stykały się ścianami i murami ogrodów, i niczym się nie wyróżniała. Tu nie było numerów budynków ani adresów, mało która ulica miała choćby nazwę.



Pamiętał, że budynek został otynkowany na różowawo, a z muru zwieszały się kwitnące purpurowo bugenwille. Musiał skrócić przy rosnącej pośrodku skrzyżowania palmie.

Przynajmniej było tu czystiej i nie cuchnęło aż tak przeraźliwie. Nad drzwiami wisiał niewielki plafon z głową Meduzy. Wypatrzył go i zastukał do drzwi. Po nieznośnie długiej chwili i kolejnym bębnieniu w szorstkie, okute dechy usłyszał wreszcie kroki, szczęknęły żelazne rygle i rozległo się obowiązkowe skrzywienie żelaznych zawiasów. Naprawdę, czego jak czego, ale brakowało im tutaj oliwy?

Drzwi ustąpiły, ukazując zwalistą sylwetkę odźwiernego, stojącego na mozaice przedstawiającej Cerbera, z napisem: „Strzeż się psa”, ale samego psa nigdzie nie było widać.

– Witaj, panie. – Odźwierny skłonił się, unosząc dłoń do ramienia. – Przybyłeś.

– Jak widać, Didiusie Cepio – wycodził gość i wszedł do środka. Procedura surowo nakazywała stosowanie angielskiego dopiero za dokładnie zamkniętymi drzwiami i tylko w wyjątkowych okolicznościach. W każdym innym mówili wyłącznie po łacinie.

Dał się poprowadzić do atrium, gdzie zrzucił płaszcz i natychmiast zanurzył głowę w sadzawce pośrodku. Woda była letnia.

– Gdzie szef placówki? – zapytał.

– Mamercus Longinus czeka na patio. Kazał ustawić leżanki w cieniu i przygotować napoje...

– Sam go znajdę. – Przybyły odszukał płaszcz i ruszył przez atrium na wewnętrzny dziedziniec z ogrodem i kolumnadą.

Mamercus wspierał się na łokciu, z pucharkiem w ręku, na małym okrągłym stoliku leżała patera z owocami i stały okute srebrem butelki. Odstawił puchar i uniósł się, wyciągając ręce.

– Servius Opiter – zawołał jak na widok wytęsknionego przyjaciela.

Jeśli mnie obejmie, to grzmotną go kolanem prosto w jaja, postanowił Servius, patrząc na jego pulchne rysy i utrefione włosy ujęte srebrną przepaską. Rzadko zdarzały mu się takie agresywne chętki, ale naprawdę go wkurzyli. I jeszcze ten upał...

– Dlaczego nie było nikogo przy portalu? – warknął.

– Bo na tamtą chwilę nikim nie dysponowałem, mamy tu dość nagłą sytuację...

– Jak to nikim?

– Dosłownie. Wszyscy byli w terenie.

– Proszę o fakty. Tylko rzeczowo.

– Wczoraj wieczorem stwierdzono, że Maurice Berger nie przebywa w swojej kwaterze ani nigdzie na terenie placówki.

– Lupanary?

Tamten aż się zachnął z oburzenia.

– To surowo zabronione! Procedury...

– Procedury procedurami, a życie życiem.

– Sprawdziliśmy. – Mamercus westchnął. – Nikt go tam nie widział. Ani w mansjonach, ani w tabernach, ani nawet w ganesach. Zniknął. Tamtej nocy nie znaleziono żadnego ciała, nie został aresztowany. Posłałem do miasta wszystkich uprawnionych ludzi.

Servius sięgnął po pucharek i napełnił go rozwodnionym winem. Oczywiście falern. Mamercus podejrzenie wczuwał się w rolę. Pewnie organizował też wystawne uczyty albo i orgie. Nie grał nobila. On się nim stawał. Warto by się temu przyjrzeć, ale teraz nie było czasu.

– Tu mieszkał?

– Skąd! To zwykły doktorant przysłany przez Sorbonę. Kwaterował w naszym hospicjum, tu niedaleko. Tam mieszkają rezydenci tymczasowi.

– W hospitium et stabulum Terencja?

– Tak.

– Wiem, gdzie to jest. Kiedy wrócę, chcę mieć do dyspozycji czterech ludzi i lektykę. Znalezienie go to jest najwyższy priorytet.

– W jego kwaterze nic nie ma.

– Gdzieś trzeba zacząć.

Servius dopił wino, sięgnął po opończę. Nienawidził togi i unikał jej, jak tylko mógł, bo była koszmarnie niewygodna. Na szczęście wychodziła z mody i wymagano jej tylko przy oficjalnych okazjach.

Narzucił płaszcz i znów wyszedł na ulicę. Hospitia et stabulum to były prywatne hotele z wyżywieniem, a ten konkretny odznaczał się tym, że nie można się tam było zatrzymać za żadne skarby świata.

Zawsze miał komplet.

Do tego wszyscy goście, jak by to powiedzieć, nie pochodzili z tych czasów.

Poza tym kompletnie się nie wyróżniał. Typowy rzymski budynek średniej wielkości, składający się z połączonych pawilonów ustawionych wokół kwadratowych atriów. Dodatkowo miał jedynie piętro, gdzie wzdłuż galeryjki ciągnęły się spartańsko urządzone pokoje.

Już się go spodziewali i nikt nie zadawał żadnych pytań.

Doktorant z Sorbony miał do dyspozycji proste drewniane łóżko z wezłowiec, stolik i karło do siedzenia, lampę oliwną i okutą skrzynię na rzeczy osobiste. Nie była zamknięta. Servius otworzył wieko i zaczął wykladać na podłogę całą zawartość. Znajdowały się tam cztery tuniki, takie tuż przed kolana, obszyte na brzegach ozdobną taśmą, jeszcze jedna z grubszej tkaniny, chyba wełny, płaszcz, złożona toga, para sandałów i jakieś drobiazgi w szkatułce. Niewiele więcej.

Oczywiście każdy z temponautów był prześwietlany przed skokiem, ale i tak zdarzało się, że ktoś coś przemycił. Nigdy tego nie ujawniono,

ale wszystko wskazywało na to, że z paradoksami czasu nie jest tak znowu łatwo, jak głosiły różne teorie. W każdym razie nie tak, żeby wystarczyło rozdeptać motyla, by wrócić do świata, którym rządzą Apacze. Ingerencje na małą skalę jakoś rozpływały się w rzeczywistości. A numerów w rodzaju zabicia Cezara w kołysce nikt, rzecz jasna, nie próbował. Servius podejrzewał, że nawet gdyby było inaczej, stan rzeczywistości dowodził, że jeśli ktoś taki się znalazł, to najwyraźniej mu się nie udało. Historia okazywała się nienaruszalna.

Do jakiegoś stopnia.

Najprawdopodobniej.

Tyle że to była wiedza tajna. Temponautów obowiązywały ściśle reguły bezpieczeństwa, kazano im pozostawać niewidzialnymi i niesłyszalnymi. Wtapiać się w tłum i nie zwracać uwagi. Mogli patrzeć i podziwiać. I pod żadnym pozorem nie dotykać eksponatów.

Tymczasem Berger zniknął.

Usiadł na chwilę na łóżku i rozejrzał się. Co mógł tu robić młody doktorant? Albo zbierać materiały, albo szykować ten swój doktorat. Mógł też zejść do tablinum coś zjeść, usiąść z innymi w atrium czy ogrodzie i napić się wina albo siedzieć tutaj i gapić się na mozaikę na podłodze.

Na blacie stolika leżało jeszcze kilka woskowych tabliczek, metalowy kubek z kilkoma kościanymi stylusami i parę czystych papirusów. Obok stała szklana karafka i kubek na wino.

Wszystko ułożone jak do inspekcji. Nic nie wskazywało, że ktoś tu w ogóle mieszkał.

Nawet łóżko było pościelone porządnie, po wojskowemu.

Servius odrzucił na bok szorstki wełniany koc i obmacał brzegi szmacianego materaca. Przy wezglówiu trafił na coś twardego i chłodnego, co spadło ze stukiem na posadzkę. Zajrzał pod łóżko i sięgnął po niewielki metalowy walec pokryty drobnymi ornamentami.

Capsa – pojemnik na zwój. W tym wypadku nie dłuższy od dłoni i grubości mniej więcej kciuka. Mógł zawierać jakieś dokumenty podróżne albo list. Tak wyglądał. Tyle że w rzeczywistości zawierał rozwijany ekran tabletu. Oni wszyscy takie mieli – obok markerów i rejestratorów, zamaskowanych zwykle jako elementy codziennej biżuterii, były to jedyne urządzenia techniczne, jakimi mogła dysponować stacja temponautyczna Dugga.

Nacisnął na koniec walca, wysuwając krawędź ekranu. Wyciągnął go na całą długość i pstryknął pośrodku, żeby się usztywnił. Oczywiście dostęp został zablokowany hasłem. Hasło można było złamać, ale to wymagało czasu, którego nie miał.

Schował ekran i szedł z powrotem na dziedziniec. Coś mu nie pasowało, tylko nie wiedział co. Jakiś szczegół.

Kiedy szedł przez dziedziniec w stronę tablinum, capsza zaczęła wibrować mu w dłoni. Najpierw przerywanie, a potem już ciągle i coraz mocniej. Zaklął, przyśpieszył kroku i kiedy tylko wszedł do jadalni, rzucił ją na najbliższy stół. Stojący wokół ludzie zamilkli na jego widok i odruchowo spojrzeli na walec.

Blat przez chwilę brzęczał od wibracji, które miały ostrzegać, potem rozległo się kilka ostrych trzasków – słabe impulsy elektryczne mające zmusić do rzucenia capsy na ziemię przez kogoś, kto nie rozumiałby ostrzeżenia. Potem walec rozjarzył się krótko i zmienił w wałek popiołu.

– Przynajmniej wiemy, kiedy dokładnie zniknął – powiedział ktoś.

– Nie – sprostował Servius. – Wiemy tylko, kiedy ostatni raz aktywował tablet.

To był jeden z tych mechanizmów zabezpieczających. Właściciel musiał przynajmniej raz na czterdzieści osiem godzin aktywować urządzenie, inaczej capsza zmieniała się w garść popiołu i definitywnie przestawała stanowić anachronizm.

– Dobra, to mamy z głowy. Dane z tabletu już w niczym nie pomogą – oznajmił Servius. – Kto go widział po raz ostatni? I proszę się przedstawiać.

– Chyba ja. Decimus Publius Nullo, Uniwersytet w Genewie. Widziałem go wczoraj na śniadaniu.

– Ktoś wie, jakie miał plany?

– Chyba nie. Nic nie mówił. Nie zapisał się w książce wyjść na ten dzień.

– Z kimś się przyjaźnił?

– Trzymał się w ogóle na uboczu. Taki odludek. Rzadko z kimś rozmawiał.

– Raz się pokłócił ze Spurią... – rzucił ktoś inny.

– To pani? – Servius wskazał końcem swojej capsy kobietę otuloną czerwonym szalem.

– Tak, Spuria Vivenna, Uniwersytet w Padwie. Miał skandaliczne poglądy na niewolnictwo. Upierał się, że moje oceny są ahistoryczne, i właściwie prawie to usprawiedliwiał. Twierdził, że to nieuchronne przy tym etapie rozwoju cywilizacyjnego.

– Chyba u siebie na Sorbonie takich rzeczy nie mówił, skoro go tu wysłali? Ktoś coś jeszcze pamięta?

– Codziennie ćwiczył w ogrodzie i jeszcze chodził na stadion.

– Wracam do willi Tulia. Jeśli ktoś sobie cokolwiek przypomni albo czegokolwiek się dowie, proszę zostawiać mi informacje właśnie tam. Nazywam się tu Servius Arcinnus Opiter. Wydział Bezpieczeństwa Misji.

Odpowiedziało mu milczenie. Zdaje się, że coś musieli o nim słyszeć.

W willi Tulia wiele się nie zmieniło, pojawiło się parę osób więcej. Mamercus nadal wypoczywał w ogrodzie.

– Proszę zebrać wszystkich, którzy są dostępni, zorganizować mapę Duggi z okolicami i możliwie kompletne dossier poszukiwanego – oznajmił Servius od progu. – Potrzebuję też kilku portretów Bergera, na podstawie zdjęć, wykonanych na papirusie rzymskimi materiałami i metodami. Jakie nosił rzymskie nazwisko?

– Mettius Larcjus Geta.

– Dalej potrzebne mi będą: lektyka z ludźmi, i to zaraz, czteroosobowa eskorta, ekwipunek podróży: wozy, konie, poczet, zapasy, wszystko, czego potrzeba do podróży. Potrzebuję też broni dla ludzi i siebie, na razie wystarczy mi porządny sztylet. I dziesięć tysięcy sestercji. Czy to, co mówię, jest zrozumiałe?

– Oczywiście, ale...

– Wykonalne?

– W zasadzie...

– Więc wykonać, Flaccusie! I ściągnij tu ludzi!

– Przecież nie wyślę im esemesa! Tu jakby nie ma zasięgu...

– Durnia ze mnie robisz? Wyślij gońca, kurwa! Biegiem! To nie ja zgubiłem człowieka w starożytności! Ja tu tylko sprzątam!

Mamercus nie wybiegł, był na to trochę za pulchny i zbyt spowity luźną, obfitą tuniką, ale przynajmniej wyszedł różnym krokiem i słychać było, jak kogoś woła. Najwyraźniej dotarło do niego, co nastąpi, jeśli Geta się nie znajdzie. Nawiasem mówiąc, ten przydomek oznaczał „z końca świata”.

Servius usiadł i zacisnął kilka razy pięści, a potem sięgnął po brzoskwinę i nalał sobie falernu. Wino było bursztynowe, słodkie i chyba poprawiane goździkami. Znowu...

Znowu czekały go pulces: zbożowe, wodniste papki z fasolą i bobem. Suche, skrzypiące w zębach sery i garum do wszystkiego. Sos z małych rybek fermentujących w solance. Ukochana przyprawa: sok ze zgniłych ryb.

Podsumujmy, pomyślał; najpierw najprostsze hipotezy. Geta zaplątał się gdzie nie trzeba i dostał nożem pod żebro. Niby Mamercus zaklinał, że nikt ostatnio nie zginął, ale trzeba sprawdzić u wigilów.

Opcja numer dwa: znalazł sobie na mieście kochankę i jest teraz u niej. Samotnie mieszkające kobiety w całym tym patriarchacie to rzadkość, ale niechby wdowa. W takim razie wróci jakby nigdy nic. Wariant sytuacji: zakochał się i nie będzie chciał wrócić. Analogicznie jeśli znalazł sobie kochanka. W każdym przypadku trzeba go będzie wytropić i odesłać do terażniejszości.

Poza pierwszym.

Rozkazy miał jasne: za wszelką cenę odnaleźć i ewakuować. Za wszelką cenę. Priorytetowo. Dowództwo wykazywało nawet lekkie objawy paniki. Nie wiedział właściwie dlaczego. Owszem, to się mogło

skończyć skandalem, ale ryzyko katastrofy temporalnej wydawało się niewielkie. Szansa na to, że doktorant obwoła się cezarem, była doprawdy niewielka. Najbardziej prawdopodobne wydawało się, że w piaskach Sahary przybędzie trochę kości, których nie powinno tu być. Gdyby Geta odcisnęła ślad w historii, to ten ślad już by tam był. Choćby w postaci taniej sensacji: „Rzymianie używali plomb z akrylu! Archeologowie są w szoku!”.

Chyba że czegoś mu nie mówili. Zachowywali się, jakby nieszczęsny Berger był nosicielem zero jakiejś straszliwej zarazy.



Dwie godziny później siedział w lektyce, a czterech roślących stażystów niosło go do term, przy których znajdował się gimnazjon. Był to otoczony palmami i krzewami piaszczysty plac, ozdobiony kilkoma rzeźbami, przytulony do imponującej kolumnady term.

Zostawił swoją lektykę wraz z tragarzami przed wejściem, pokonał marmurowe schody i wmaszerował do wnętrza godnie niczym procurator africanus. Oddał sakiewkę, pas ze sztyletem i pierścień capseriusowi, a po wizycie w apodyterium, ubrany jedynie w czysty ręcznik, zaczął krążyć po pomieszczeniach, leniwie opędzając się od lśniących od oliwy niewolników, którzy oferowali mu rozmaite usługi. Na pewno nie miał zamiaru korzystać z gorących basenów w caldarium ani łaźni parowej w laconicum, na samą myśl o tym robiło mu się słabo. Marzył jedynie o zimnym basenie we frigidarium, ale najpierw musiał spotkać człowieka. Zgadzała się pora dnia i zgadzało się miejsce, a Decimus Abellanus Karbo, praefectus vigilum, rzadko zmieniał obyczaje. Vigilowie niezupełnie byli policją. Nie prowadzili śledztw, ale patrolowali miasto i interweniowali, kiedy coś zwróciło ich uwagę.

Na początek Servius przepatrzył najgorsze miejsca, snując się wśród kłębów pary i spoconych ciał, ale Karbo nigdzie nie było. Nie znalazł go również we frigidarium, ale nie oparł się tym razem i pozwolił sobie spędzić z pięć minut, leżąc w zimnej wodzie, nawet jeśli, co oczywiste, ten basen był najbardziej oblegany. Przeważali, rzecz jasna, mężczyźni, ale w basenie pluskało się też kilka kobiet, sądząc z zachowania i fryzur, nie najcięższych obyczajów.

Wyszedł niechętnie i owinąwszy się ręcznikiem, kontynuował poszukiwania. W termach było mnóstwo sal i zakamarków, nawet biblioteka i bufet, więc szukać pojedynczego człowieka można było dobre kilka godzin.

Decimus Abellanus znalazł się jednak w unctorii, rozciągający swoje

rosłe ciało na marmurowym stole i pozwalający, by dwie nagie Nubijki wklepywały mu w skórę oliwę z pachnidłem. Prefekt akurat postanowił odwrócić się na wznak i zobaczył wchodzącego. I najwyraźniej perspektywa otrzymania pięćdziesięciu sestercji w prezencie bardzo go ucieszyła.

– To ty, Opiter? Wróciłeś?

– Przybywam od czasu do czasu.

– Musimy się napić! Zaraz zawołam o wino i jeszcze ze dwie ślicznotki! Zajmij tamten stół, zrobią z tobą takie cuda, jakich w świecie nawet ty nie widziałeś.

– Śpieszno mi. Muszę z tobą pomówić.

– A co takiego?

– Mój siostrzeniec zaginął.

– Och... Oskrobię się tylko, poczekaj na mnie na małym patio.



Servius wrócił do apodyterium, ubrał się, kazał capseriusowi



przynieść swoje rzeczy z szafki i wrócił na patio, gdzie usiadł na marmurowej ławce z kubkiem wina w ręku. Było podłe, przypominało raczej retsinę, ale było też chłodne. Dwie ławki dalej siedział łyśawy mężczyzna, a przed nim klęczała kobieta z głową nakrytą dołem jego tuniki, która najwyraźniej uważała, że ustawiona obok ozdobna waza z palmą oraz posąg Afrodyty w kąpeli czynią ją niewidzialną. Tu widziało się takie rzeczy co krok, aż się rzygać chciało. To i jeszcze bezmyślne, odruchowe okrucieństwo, na pograniczu jakiegoś chorego sadyzmu. Nie dało się przejść stu kroków, żeby nie zobaczyć kogoś poniżanego, gwałconego, upokarzanego albo torturowanego.

Karbo wrócił po piętnastu minutach z zaczerwienioną skórą od kościanych skrobaczek, ubrany w krótką kąpielową tunikę. Mijając parę za dzbanem, zamachał rękami i zapiał po koguciemu, bardzo z siebie zadowolony.

– Co z tym twoim siostrzeńcem?

– Dziś przybyłem do Duggi. W domu powiedzieli mi, że wyszedł przedwczoraj i nie wrócił. Nazywa się Mettius Larcjus Geta. Tu mam jego portret.

Wyjął capkę, tym razem prawdziwą, i wysunął ze środka zwitek pergaminu. Rozwinął go i pokazał Karbo.

– Gładki młodzian. Wygląda jak ogolony Gal.

– Po matce. To Galijka.

– To faktycznie „z końca świata”. Jakies znaki na ciele?

– Nic widocznego. Muskularny i postawny jak barbarzyńca.

– Ale wiele ci, przyjacielu, nie pomogę. Nie widziałem nikogo podobnego. Radzę ci, przejdź się po lupanarach. To dla młodych nie taka znowu sztuka nie trzeźwieć przez parę dni.

– Najbardziej mnie ciekawi, czy twoi ludzie nie znaleźli go na bruku z poderżniętym gardłem.

– Znaleźli tylko jednego zadżganego, ale nie był postawny. Nawet całkiem chudy, i wyglądał na koczownika, mówili. Już poszedł do ziemi.

– Znasz więcej ludzi niż ja, prefekcie. Zapytaj, niechby i w lupanarach.

Dyskretnie podał tamtemu sakiewkę z pięćdziesięcioma sestercjami.

– Idę szukać dalej.

Servius ruszył przez patio do bocznego wyjścia, przez kolumnadę prosto w skwar gimnazjonu. Kręciło się tu kilkunastu ludzi, głównie młodych, nagich mężczyzn. Trzech stało z boku, rzucając do siebie skórzaną piłką, jeden pracowicie robił pompki, wszyscy byli czymś zajęci, spoceni i zaangażowani. Wybrał sobie dwóch zapaśników, krążących wokół siebie w niskich, przyczajonych pozycjach.

– Wybaczcie, że na chwilę przerwę. Szukam Mettiusa Gety, znaliście go może? Postawny...

– Ja znałem – oznajmił jeden z ćwiczących. Miał bliznę na czole i złamany nos. – Przychodził tu, ale od kilku dni go nie widziałem. Zwykle próbował się z Gneusem Brokchusem, to ten, co robi tam kalistenię. – Machnął w stronę dryblasza robiącego pompki, który teraz przerzucił się na rozciąganie i z rękami na biodrach ugiął wystawioną daleko do przodu nogę.

Servius podszedł do niego, przeprosił i zadał to samo pytanie.

Atleta podniósł z ziemi ręcznik, przetarł twarz i zastanowił się.

– Nie było go ze trzy dni.

– Ćwiczyliście razem?

– Sztuki wojenne. Fechtunek, zapasy, boks. Tylko to go ciekawiło.

– Jak sobie radził?

– Był niezłomny. Szczerze mówiąc, zwykle mnie pokonywał. A ja kiedyś wyzwałem tu wszystkich i nikt mi nie dał rady. A jak fechtował! Nigdy nie widziałem takich sposobów. Jakich mi siniaków narobił... Co się z nim stało?

– Też chcę wiedzieć.

– Nigdy nie uwierzę, żeby jakiś zbój... No ale i Herkules...

Servius wrócił przed wejście do term, gdzie okazało się, że stażyści położyli się w cieniu, zupełnie jak prawdziwi niewolnicy. W lektyce usiadł na poduszkach i przez chwilę zastanawiał się, co robić dalej.

Powinien przejść się po lupanarach, ale po pierwsze, był pewien, że prefekt poradzi sobie z tym znacznie lepiej, a po drugie, gdyby ktoś doniósł, nawet on mógłby wpaść w tarapaty. Temponauci nie cieszyli się żadnymi odrębnymi prawami i byli rozliczani ze swoich działań w starożytności tak samo jak w domu. Zresztą sam zaginiony Berger chyba aż tak nie ryzykował. Co więc zostawało? Kazać się nosić po ulicach na chybił trafił? Na to w willi Tulia wpadli sami, lecz patrol wysłane do miasta nie natknęły się na Mettiusa Getę. Czas płynął i znalezienie go stawało się coraz trudniejsze. Prawdopodobieństwo malało z każdą sekundą, Servius niemal widział przed oczami odliczanie wsteczne.

Ostatecznie kazał się zanieść do hospicjów położonych przy drodze wylotowej z miasta. Było ich tam kilka, blisko siebie, więc wszedł do każdej, pokazując swój papirus i opowiadając legendę o zaginionym siostrzeńcu.

Bez skutku.

Uświadomił sobie, że nie wiadomo, czy Berger miał przy sobie pieniądze i ewentualnie jak duża to była kwota. Z reguły badacze zabierali z bazy niewielkie sumy, raczej w asach niż sestercjach. Wśród rzeczy Mettiusa nie znaleziono jednak żadnych pieniędzy, więc nie wiadomo, ile mógł zabrać ze sobą. Tych diet nie rozliczano jakoś specjalnie drobiazgowo, mógł też przez jakiś czas odłożyć nawet większą

sumę.

Na końcu ulicy stała jeszcze stacja pocztowa, skąd wyruszali gońcy. Istniała możliwość, żeby opłacić sobie miejsce na krytych wozach, ale jak się okazało, sportretowany na papirusie młodzieniec z tej możliwości nie skorzystał.

Servius wrócił do lektyki i kazał się zanieść na drugi koniec miasta, gdzie zaczynał się trakt wiodący w przeciwną stronę, na zachód, a potem jeszcze sprawdził drogi wiodące na północ i południe. Bez żadnego efektu, więc spocony, zniechęcony i pokryty kurzem wrócił do willi.

Ostatecznie spoczął na leżance w ogrodzie i kazał sobie przynieść wino, chleb, ser i oliwki.

Kończyły mu się pomysły.

Mettius Larcjus Geta. Nie zginął albo ciała jeszcze nie odnaleziono. Nie opuścił Duggi wozem pocztowym. Mało prawdopodobne, by aż tak zabalował. Niby z nikim się nie przyjaźnił, a jednak z tym Gneusem z gimnazjonu znalazł wspólny język. Mógł zaprzyjaźnić się jeszcze z kimś i teraz u niego gościć. Kobieta była mało prawdopodobna. Musiałaby to być kobieta tak potężna, że stojąca ponad prawem. W Dudzie takich nie było. Każda inna po prostu ryzykowałaby życie.

Mógł też po prostu wyjść z miasta i zgubić się na pustyni, co było łatwiejsze, niż się wydaje. Wystarczy stracić z oczu punkty orientacyjne i już. A w przypadku pokolenia, które urodziło się z nawigacją satelitarną na każde skinienie, wręcz oczywiste. Ludzie pozbawieni dostępu do GPS-a tracili orientację we własnej dzielnicy. Nie było co marzyć o znajdowaniu kierunku według słońca albo gwiazd. Nikt tego nie umiał. Pokolenie ludzi bez poczucia kierunku.

Kolejna myśl była naprawdę nieprzyjemna, aż zapiekło w dołku. Targi niewolników...

Oczywiście zdarzało się, żeby kogoś wolnego porwano i sprzedano w niewolę. Ale już to, że wyglądającego zamożnie obywatela ktoś zwinął z ulicy i sprzedał na targu w tym samym mieście, gdzie połowa nabywców mogła go rozpoznać, było niedorzeczne. Gdyby Geta rzeczywiście został porwany, przewieziono by go gdzie indziej.

Sztuki walki to kolejna zagadka. W teraźniejszości od kilkudziesięciu lat ich nauczanie było ściśle limitowane i doktorant mógł je opanować tylko nielegalnie. A jednak to zrobił, i to wystarczająco skutecznie, by rozgromić miejscowego zabijakę. Mettius Larcjus Geta zaczynał sam stanowić coraz większą zagadkę. Servius zrozumiał, że musi się o nim dowiedzieć więcej.



Kończył posiłek, kiedy do ogrodu wyszedł jeden z temponautów z hospitium Terencja, o ile dobrze pamiętał, Decimus Publius Nullo. Wskazał mu leżankę obok, ale tamten usiadł na niej normalnie.

– Coś sobie przypomniałeś?

– Nic istotnego, ale prosiłeś o jakiegokolwiek informacje. Chodzi o to, jak się zachowywał. Mówiłem, że trzymał się na uboczu, ale nie wyglądało na to, że jest po prostu nieśmiały. Podejrzewam, że to negacjonista.

– Słucham?

– Ktoś, kto podważa konsensus naukowy. Na pewno o tym nie słyszałeś? Istnieje pewien kanon przekonań, które przyjmuje się za prawdziwe i słuszne. Bezdyskusyjnie. Najczęściej po to, żeby nie wyważać otwartych drzwi, ale także żeby wyeliminować wątpliwe treści. Nie wszystkim się to podoba.

– Coś jaśniej?

– On unikał jakiegokolwiek dyskusji, jakby powszechnie przyjęte poglądy go mierzyły, a wiedział, że nikt nie zaakceptuje jego punktu widzenia. Tak podejrzewam. Kiedy ktoś wygłaszał jakieś zdanie na temat, no nie wiem... stosunków społecznych w Rzymie, na przykład dyskryminacji jakiejś grupy społecznej, po prostu nie podejmował tematu.

– Może go to nie interesowało.

– Może. Ale czasem miał przelotnie taki wyraz twarzy, jakieś ułamkowe spojrzenie. Jakby grymas zmęczenia, przez ułamek sekundy. Ja to czasem widuję u niektórych moich studentów. Jakby pomyślał: „O nie, znowu zaczynają pieprzyć te swoje bzdury”. Jakby miał wiedzę o jakimś innym Rzymie niż my. Albo jakby wiedział coś, czego my nie wiemy, ale dawno zrezygnował z przekonywania kogokolwiek. Sprawiał takie wrażenie, jakbyśmy wszyscy w ogóle nie wiedzieli, o czym mówimy.

– A tamta scysja z tą... Spurią Vivenną? Najwyraźniej czasem dyskutował.

– No właśnie, dla mnie to wyglądało, jakby chwilowo nie wytrzymał. Jakby mu się ułało.

– Podobno usprawiedliwiał niewolnictwo?

– W ogóle go nie oceniał. Jakby to było po prostu naturalne zjawisko. Coś, co się pojawia w określonych warunkach, i już. Na zasadzie: „Skoro zapada noc, to robi się ciemno”.

– Obiektywny badacz...

– Nie, nie! Raczej chodziło o to, że jeśli coś jest jego zdaniem logicznie nieuniknione, to moralne oceny tego czegoś nie mają większego sensu. W takich a takich warunkach pojawia się to i to, i tyle. Nie da się tego uniknąć, więc etyczna ocena niczego nie zmieni. Natomiast kiedy coś

napomknął o rzymskiej samodyscyplinie, dążeniu do doskonalenia i honorze albo szczególnie o Senecie, to czuło się w tym jakiś szacunek, nawet fascynację, ale nic wprost.

– Czyli idealizował sobie przedmiot badań. A narzekał na warunki bytowe w bazie?

– Jak na okoliczności, hospitium jest całkiem wygodne. Gdyby naprawdę funkcjonowało, to byłby to pewnie najlepszy hotel w mieście.

– Wszyscy narzekają. Zawsze. Brak technologii, elektryczności, światła, klimatyzacji, brak piwa, wyżywienie... komary. Zawsze coś się znajdzie.

– Wszyscy pojawiają się bezpośrednio po obozie przygotowawczym.

– I z reguły już mają dosyć.

– Nie zauważyłem. Może nie przy mnie. Chociaż jak kiedyś ktoś tęsknił do żelu pod prysznic czy tam mydła, to Geta powiedział mu: „To siedz w domu”. Z jakimś takim cieniem znużenia w głosie. Nie był agresywny, ale sprawiał wrażenie, że trzyma się w ryzach.

– Coś jeszcze?

– Na razie nie. Powiem, jak coś mi przyjdzie do głowy.

Do hospitium Terencja wrócili razem, bo Opiter chciał jeszcze raz przeszukać pokój Mettiusa. Tym razem na dziedzińcu czekał Sertor Porcius Strabo, oficjalny kierownik bazy.

– Nikt tam nie wchodził?

Tamten uniósł dłoń, pokazując pierścień.

– Opieczętowałem, jak kazałeś.

– Muszę jeszcze coś sprawdzić. Pobierał jakieś pieniądze?

– Przy wyjściach do miasta, jakieś osiem asów.

– Nie majątek.

Tamten wzruszył ramionami.

– Tu ceny są dziwne. Zależy, jak na to patrzeć. Dałoby się wyżywić czteroosobową rodzinę.

– Tak, chlebem, oliwą i cebulą. Ile byłby w stanie odłożyć?

– Gdyby nie wydawał nic albo prawie nic, to pewnie z kilkanaście sestercji, może dwadzieścia. To są badania terenowe, musi kręcić się po mieście, rozmawiać z ludźmi, nagrywać...

– Miał rejestratory?

– W żelaznym pierścieniu osobistym i w fibuli. Standard.

– Czy coś ostatnio zginęło? Pieniądze, żywność, broń, jakiś sprzęt z magazynu?

– Pieniądze się zgadzają, ale nie były przeliczane codziennie. Oczywiście skrzynie są zamknięte, a kasetka na drobne wydatki otwierana przez pracownika, kwota jest księgowana. Broń białą trzyma się w zamknięciu, wydaje na książkę, ale tylko funkcjonariuszom ochrony ekspedycji. Szeregowym temponautom rzadko i właściwie tylko

jako element kamuflażu, przepisy nie pozwalają. Jemu nie przysługiwała. Żywności nie da się tak kontrolować. Mamy dwudziestu temponautów, przeszło dwa razy tyle personelu, zakupy robi się praktycznie codziennie. Nie panujemy nad każdą garścią fig, miarką oliwy czy bochenkiem. Sądysz, że on okradł stację i uciekł gdzieś w kontynent? Przecież tygodnia by tu nie przeżył. I po co? Zresztą ile mógłby ukraść? Naprawdę sądzisz, że etnolog kulturowy się tu z czegoś utrzyma?

– No dobra. Potem chcę porozmawiać z tą ochroną. Teraz idę na górę.

Na piętrze wchodziło się do pokoi z galerii oddzielonej od dziedzińca drewnianą balustradą. Servius znalazł odpowiednie drzwi, rozpoznając je po czerwonym sznurku przymocowanym do skrzydła i do futryny dwoma woskowymi pieczęciami. Szarpnął go, krusząc pieczęcie, i pchnął drzwi. Okno wychodzące na ulicę było niewielkie i w pomieszczeniu panował półmrok.

Wrócił na galerijkę i znalazł wyłożoną mozaiką ścienną wnękę, gdzie stały dwie figurki jakichś bóstw, spora płonąca lampa oliwna, a obok znajdowała się drewniana szkatułka pełna zapalek. Rzymskie zapalaki nie służyły do rozniecania ognia, tylko do przenoszenia. Były to cienkie patyczki umoczone końcem w siarce, ale nic więcej. Odpalił jedną, zaniósł do pokoju i zapalił knoty płaskich lamp zawieszonych na wieloramiennym stelażu, jak na świeczniku. W sakwie przy pasie miał krzesiwo, krzemień, a nawet trochę pokruszonej hubki, ale absolutnie szkoda mu było czasu na mozolne krzesanie i rozdmuchiwanie ognia.

Zrobiło się trochę jaśniej, więc rozejrzał się, szukając tego, co mu tu przedtem nie pasowało. Co drażniło jak kamyk w bucie.

Nic.

Skrzynia, pulpit, karło, przybory do pisania, lampa, łóżko. Pusty, bezosobowy pokój. Brakowało osobistego rysu. Jakiegoś rozgardiaszu.

Czegoś charakterystycznego.

Talerza z ogryzkami i pestkami. Karafka i kubek nie powinny być umyte, tylko zawierać resztki wina. Na woskowych tabliczkach też powinny znajdować się jakieś notatki albo bazgroły, a tu nic. Podgrzano je, więc powierzchnia wosku wygładziła się, pochłaniając bez śladu wszystko, cokolwiek było tu napisane.

To na nic.

Może po prostu Geta był pedantem.

W drugim kącie pokoju stała toaletka, to znaczy stolik z ceramiczną miską i dzbanek na wodę. Do tego na czymś w rodzaju małego kwadratowego talerzyka leżało kilkanaście cienkich, jeszcze zielonych gałązek. Obok postawiono słoiczek z pokrywką.

Opiter przechylił głowę z niedowierzaniem, jak zaskoczony pies, podniósł pokrywkę, powąchał i aż się zakrztusił.

Temponauci zwykle czyścili zęby zwykłymi szczoteczkami z drewna i zwierzęcego włosia, używając proszku, który sporządzano na miejscu z kredy i węgla drzewnego, ucieranego z olejkiem miętowym. Szczoteczki nigdy nie opuszczały hospicjów, a po powrocie właściciela do teraźniejszości po prostu palono je bez śladu.

Tu szczoteczki nie było.

Mettius Larcjus Geta czyścił zęby wykałaczkami z gałązek, używając do tego mikstury z popiołu, skisłego koziego mleka i odstającego ludzkiego moczu, pewnie tego słynnego z Portugalii, sprowadzanego ze względu na rzekomo rekordowe stężenie amoniaku.

Jak prawdziwy Rzymianin.

Servius pokręcił głową i przeszedł się po pokoju.

Zajrzał jeszcze raz pod łóżko, wyciągnął nocnik i zerknął ostrożnie pod pokrywkę.

Umyty.

Nie tylko Mettius Larcjus Geta wyparował. Wyparowały też wszelkie ślady jego obecności.

Jak na tych statkach dryfujących po morzu, tylko że tam zostały przynajmniej kubki z kawą, resztki jedzenia na talerzach, zgasłe cygara w popielniczkach, a tu wszystko było czyste i odstawione na miejsce, jakby nigdy nikt tego nie używał. Można było pomyśleć, że Geta nigdy nie istniał.

Opiter podszedł do okna i spojrzął na pokrytą kamiennymi płytami ulicę. Tu, na przedmieściu, w przyzwoitej dzielnicy willowej, ruch nie był duży, na przykład teraz widać było tylko dwie oddalające się kobiety.

Tylko że okno było za małe, żeby przez nie wyjść, ściana zbyt gładka, a do kamiennej, twardej nawierzchni zdecydowanie za wysoko.

Otworzył jeszcze raz skrzynię.

Sandały, tuniki, toga, płaszcz...

A przepaski? Subligaculum? Rozejrzał się. Brakowało też kapelusza z szerokim rondem – petasusa. W tym klimacie chodzenie z gołą głową mogło się źle skończyć. W skrzyni znajdowały się sandały, które wbrew potocznemu przekonaniu były obuwem domowym. Do miasta wychodziło się w pełnych calcei. Brakowało płaszcza typu lacerna.

W porządku. Dokądkolwiek udał się Geta, nie wyruszył przecież na golasa. Miał ze sobą buty, bieliznę, tunikę, płaszcz, kapelusz. Ale zniknęły też wszystkie subligaculum – nie miał przecież jednej pary. To były lniane chusty, którymi obwiązywano się sprytnie w pasie i przeciągano między nogami, tworząc coś w rodzaju kusych majtek.

Zapasy garderoby w skrzyni wydawały się więc przesadnie skąpe. Powinien mieć tu na przykład paenulę – gruby płaszcz podróżny z kapturem. Więcej tunik. Jakieś ręczniki.

Servius rozejrzał się po pokoju. Zaczęło mu się wydawać, że istotne jest nie to, co tu znalazł, ale to, czego brakuje. Czyli na dobrą sprawę wszystko. Nie było tutaj ani jednej rzeczy osobistej, choćby grzebienia, krzesiwa, krzemienia, brzytwy, nożyka, łyżki... dobra, łyżki były w tablinum, mógł nie mieć własnej. Pieniędzy nie miał chyba za wiele, mógł je nosić przy sobie. Natomiast jedyna rzecz, jaką zostawił, to tablet. Dlaczego? Bał się, że go zdradzi? Był dobrze zamaskowany. A może właśnie chciał, żeby tablet się rozsypał? Bez sensu.

Jeżeli się spakował, to do czego? Miał skórzany chlebak – loculus? Nie dało się stwierdzić, co posiadał przedtem, jeżeli to zabrał. Ale o tym, czego w tym pokoju nie było, można by napisać doktorat.

No i w jaki sposób wyszedł tak, że nikt go nie widział?

Opiter zrozumiał, że zaczyna gonić w piętę, więc poszedł przesłuchać szefa ochrony.



Lucius Vitruvius Cato był potężnie zbudowany, łysy i w jakiś tajemniczy sposób wyglądał na weterana. Siedzieli na kamiennych ławeczkach w ogrodzie hospitium, gdzie Servius kazał sobie dać wina z wodą i popijał je oszczędnymi łykami. Zaschło mu w gardle.

– Niech mi pan opowie o zabezpieczeniach.

– Nie za wiele jest do opowiadania. Tu nie ma żadnej elektroniki, monitoringu, czujników, nic. Bo nie wolno. Zabezpieczenia to wysoki mur i drzwi zamknięte na mechaniczne zamki. Tak masywnej konstrukcji, że nie bardzo da się je otworzyć wytrychem. Klucz jest wielki, można by nim orzechy tłuc. No i przede wszystkim nadzór osobowy.

– To znaczy?

– No, służba wartownicza, w nocy patrole z psami.

– Ilu ludzi?

– Przez całą dobę dwóch, plus dwóch jako zmiana czuwająca.

– Jak utrzymujecie łączność?

– Akustycznie.

– Co... znaczy wołacie do siebie?

Tamten aż się zachnął.

– A niby jak? Przez telefon z puszki i sznurka? Szprechrurą? Tu wszystko ma być po rzymsku. Gwizdki mamy.

– Jakie są nocne procedury?

– Drzwi pozostają zamknięte przez całą dobę. Główne i ogrodowe. W nocy dodatkowo na zasuwę. Na wszystkich tych... no... dziedzińcach



pali się ogień w misach. W ogrodzie to samo. Prawie nie ma nieoświetlonych obszarów. Co pół godziny obchód terenu. Co godzina dodatkowo na zewnątrz, wokół obiektu. Znaczą od frontu i z jednego boku, bo z drugiego i z tyłu przylegają inne posesje.

– Po co aż taki reżim?

– Takie procedury. Badacze mają nie zwracać uwagi. Nie jesteśmy w teraźniejszości i nikt nie wie, co się może zdarzyć. No i bezpieczeństwo jest najważniejsze... Przecież sam pan wie.

– Jaka była tamta noc, dwa dni temu?

– Normalna. Pierwsza dwadzieścia osiem były jakieś hałasy na ulicy, sprawdziliśmy, obywatel pod wpływem alkoholu. Nic specjalnego.

– Pierwsza dwadzieścia osiem... z klepsydry pan wyczytał?

– Z tabletu.

– Znał pan Mettiusa Larcjusa Getę?

– O tyle, o ile. Kojarzę. Kilka razy eskortowałem go do miasta.

– Jak się zachowywał?

– Normalnie. Chociaż... Inni są zagubieni, trzymają się eskorty. Trochę srają w gacie. A on inaczej. Zresztą wyrobił sobie zgodę na wychodzenie samemu, że niby do badań. Inni się boją. Miałem wrażenie, że zawsze wie, gdzie jest, jakby znał Duggę lepiej ode mnie. Kilka razy mi zniknął. Na krótko, może paręnaście minut, i znalazł się bez problemu, czekał gdzieś w widocznym miejscu. Mówił, że tłum nas rozdzielił, i może tak było.

– Gdzie to się stało?

– W centrum, tam, gdzie jest agora, bazar taki, i jeszcze taka handlowa ulica z kolumnami, gdzie są sklepy. Tam faktycznie zawsze jest tłum.

– Jak pańskim zdaniem wyszedł z hospicjum?

Cato podrapał się w łysinę i pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Przez okno nie, drzwiami nie, mur jest za gładki i za wysoki, na górze pokryty muszlami na sztorc. Do tego żadnej drabiny, niczego, po czym można by wejść. Wszystkie narzędzia są pozamykane.

– A gdzie są trzymane klucze?

– Na wartowni u dowódcy zmiany. Temponauci nie mają tam w ogóle wstępu.

– Mógł wyjść przez sąsiednie posesje?

– Mowy nie ma, spuszczają psy, wielkie jak cielaki. U nas by ich zamknęli do pudła w try miga.

– Jest pan pewien swoich ludzi? Mógł się któryś upić? Zasnąć? Może został przekupiony?

– Sam byłem wtedy na zmianie. Nigdy się nic takiego nie zdarzyło, to po drugie. A po trzecie, to niby czym przekupiony? Tymi blaszanymi

żetonami? Na wała to komu?

– Można się napić, są burdele.

– Panie, poje... pomylił się pan chyba. Za to w domu jest pięć lat pierdła. A poza tym nie dostajemy przepustek. Szukaj pan frajera gdzie indziej.

– Toczy się śledztwo... – Servius miał dodać, że tak czy owak, złamano procedury bezpieczeństwa, ale ugryzł się w język. Lucius Vitruvius Cato mógł mu być jeszcze potrzebny.

– W ogóle nie rozumiem, o co ten hałas?

– To jakiś żart?

– No, mamy te maszyny czasu, nie? Dlaczego pan nie wróci do domu i nie skoczy jeszcze raz, tylko dzień wcześniej, zanim zniknął, i go nie złapie? Albo po prostu aresztuje go, zanim ucieknie czy tam go porwą, i odeśle do domu. No proste.

Servius odstawił kubek, oparł łokcie na udach i wziął się za głowę. Na chwilę.

– Pan był w ogóle na jakimś kursie?

– No pewnie.

– Nie uczyli o temponautyce?

– Prawie nic. Uczyli o Rzymie, łaciny, kamuflażu i procedur.

– Pięknie. No dobra. Najprościej: nie mogę się cofać w czasie wcześniej niż moment, w którym już byłem. Skok nie nastąpi. A to dlatego, że mógłbym stworzyć paradoks. Mógłbym znaleźć się w jednym miejscu podwójnie. A to jest fizycznie niemożliwe. Ponieważ już bywałem tu wcześniej, to kolejne skoki mogę robić tylko coraz bliżej terażniejszości. Rozumie pan?

– Nie za bardzo.

– Tak po prostu jest. Pojawiam się na przykład w zeszłą środę. Wracam. Następny skok jest możliwy w czwartek, piątek, sobotę i tak dalej. Ale nie w poprzedni poniedziałek, boby się zrobiła pętla. Fizyka nie pozwoli. Mogę jechać tylko po osi czasu, a nie pod prąd. To, że wrócę do terażniejszości, nie resetuje mojej obecności teraz. Jestem tu i już. Poza tym, skoro Geta nie został ewakuowany, to nie został. Ani przeze mnie, ani przez nikogo innego. Nie można zmienić tego, co już było.

– No to ktoś inny? Taki, co się wcześniej nie cofał?

– Też nie. Ten zaginiony również ma linię czasu, która idzie tylko z prądem. Znowu zrobilibyśmy mikropętłę. Przecież Geta był tu dwa dni temu i nie da się tego po prostu wymazać.

– Jak nie, jak tak? Chyba cofamy się, kurde, w czasie.

Servius westchnął i oklapł.

– Zostawmy to. Niech pan mi uwierzy, że tak się nie da. Po prostu trzeba go znaleźć.

Wrócił do willi Tulia, zjadł skromną kolację, z konieczności

w towarzystwie Mamercusa Flaccusa, ale rozmowa się nie kleiła, obaj mieli problem, przy czym Mamercus, odpowiedzialny za placówkę, najwyraźniej przejmował się nim bardziej.

Nocą upał trochę zelżał, Opiter posiedział więc w ogrodzie nad winem, słuchając kogoś, kto grał na cytrze. Na ochotnika; zdaje się, był to ktoś, kto badał rzymską muzykę. Servius miał dręczące poczucie, że powinien gdzieś iść, a nawet biec, coś robić, ale nie miał pojęcia co. Geta zniknął, wyparował, rozplynął się w powietrzu, zdecydowanie i bez najmniejszego śladu, w jakiś irytująco skuteczny sposób. Na domiar złego Servius w efekcie ugrzązł w prowincji Africa, w dziurze zwanej Dugga, opodal gór Atlas. Znowu w Rzymie. W zaplutym, pieprzonym, dzikim Rzymie, przekonanym święcie o wielkości swojej cywilizacji. Dzięki bogom, przynajmniej za Wespazjana, a nie któregoś z tych obłąkanych psychopatów.

Patrzył w płomień łopocące w misie i słuchał dziwacznej melodii brzdąkanej przez grajka. Czuł się bezradny i zmęczony.



Następnego dnia wstał połamany i nadal znużony, a do tego pokąsany przez komary. Wydawałoby się, że na tym półpustynnym rumowisku, które rozciągało się wokół miasta, nie powinno ich być, ale jako stary wyga wiedział, że bydlaki są praktycznie wszędzie. Wystarczyła im odrobina wody, poidło dla kóz, fontanna, wodopój, kałuża przy ujęciu akweduktu i już. Noc zamieniała się w bzyzcący, swędzący koszmar.

Umył twarz i ręce, zjadł świeży domowy chleb z serem i oliwą, a potem czekał.

Koło południa kazał się zanieść do term, ale od Decimusa Karbo dowiedział się tylko, że Mettiusa Larcjusa Gety nie widziano w żadnym lupanarze. Według Karbo dziwki, które oglądały portret Gety na papirusie, posuwały się do stwierdzenia, że takiego klienta nie tylko by nie przeoczyły, ale nawet zaoferowałyby mu liczne zniżki.

A potem Opiter wrócił do willi Tulia i znowu czekał. Rozsyłał patrole do miasta, ale wracały z niczym.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Odwiedzał termy, ale Karbo nie miał dla niego żadnych nowin. Szwendał się więc po mieście, bez żadnego skutku. Mettius Larcjus Geta rozwiął się jak obłok pustynnego pyłu.

Któregoś dnia Opiter przełamał się i kazał się zanieść na targ niewolników. Z obowiązku, wiedział, że potem będzie przez kilka dni chory. Widok przerażonych, płaczących i bezradnych ludzi, dygocących

nago na drewnianym podeście, obmacywanych i licytowanych jak bydło, na długo zostawał pod powiekami.

Niewolnikami handlowano z boku targowiska, z podestu ustawionego pod ścianą, a kupujący siedzieli na ziemi półkolem i wykrzykiwali odpowiedzi na ceny podawane przez licytatora. Wyglądało to banalnie, jak handel owcami, i w gruncie rzeczy tak to tu traktowano.

Widział to już kilka razy i zazwyczaj wszystko przebiegało raczej rzeczowo, tymczasem tutaj czuło się napięcie i w powietrzu wisiała awantura.

Siedzący klienci wyglądali na zrezygnowanych, a kilku stało przed samym podestem i wrzeszczało na licytatora. Wykrzykiwali jeden przez drugiego i nie dało się w ogóle zrozumieć słów, a co dopiero dowiedzieć się, o co chodzi. Dotarło do niego, że chodzi o jakiegoś Kaeso Nervę, ale nic więcej.

W końcu postanowił kogoś zaczepić.

– Przecież ja mam rolę do obrobienia – zawołał tamten z oburzeniem. – A co on sprzedaje? Jakies dzieci, jakies stare baby i paru pokręconych dziadogów, którzy zaraz dobiją do czterdziestki! A ja nie mam kim robić! Wszystko mi się pomarnuje przez tego kurwiego syna! Oszczędza człowiek każdego asa, o chlebie i wodzie, i co?! Z pustymi rękami mam wracać?

– Przybędzie następna karawana – uspokoił go Servius.

– Ale ciecierzycyca nie będzie czekać! Ani oliwki! Wszystko mi się pomarnuje!

– A co się właściwie stało?

– A, jechał tędy ten zawszony pies Kaeso Nerva i wykupił wszystkich młodych i silnych, jakby mu było mało swoich. Sam nic nie sprzedał, a jeszcze wykupił. Wszystko na arenę.

Servius zmarszczył brwi. Zakiełkowało mu jakieś podejrzenie. Spojrzał na licytatora i postanowił odczekać w cieniu, aż sytuacja się uspokoi i będzie można porozmawiać.

Będą tak stać z purpurowymi twarzami, wywrzaskując przekleństwa z prędkością karabinów maszynowych, siekąc powietrze wściekłymi gestami, jeszcze pewnie z pół godziny, uspokajając się i za sekundę wracając z nowymi wrzaskami. To był rzymski sport narodowy.

Ale w końcu się uspokoją, bo to nic nie da. Właściciel im nie urodzi na poczekaniu, więc po prostu muszą czekać na nową dostawę „mówiących narzędzi”. Tak ich określali: „instrumentum vocale”.

Optiter poszedł na skraj targu, aż do ulicy z kolumnadą, i tam zajrzał do otwartej na chodnik tawerny. Rozejrzał się, czy nie widzą go stażyści, i kupił sobie lukańską kielbasę z orzeszkami piniowymi, którą otrzymał w przeciętej bulce, a do tego kubek wina z miodem. Zjadł zakazany

w jego czasach przysmak i obserwując targ, odczekał, aż awanturnicy zaczną się rozchodzić.

Wrócił do licytatora i na widok jego wyrazu twarzy uniósł uspokajająco dłonie, pokazując, że nie będzie się wyklócać. Tamten wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Bogowie... co to za ludzie! Nie ma to nie ma! Skąd im wezmę? Trzeba poczekać.

– Ja nie z tym – wyjaśnił Opiter, wyciągając capse. – Szukam siostrzeńca.

– Co?! Tu się wolnymi nie handluje!

– Oczywiście. Ale mógł się tutaj kręcić. Spójrz!

Tamten niechętnie sięgnął po zwój i zmarszczył brwi.

– Ktoś podobny faktycznie tu był. Zwróciłem uwagę, bo taki postawny. Aż pomyślałem, że szkoda, że wolny obywatel. Patrzył, jak lanista kupował moich młodzieńców. Potem poszedł i więcej go nie widziałem.

– A ten lanista to kto?

– Kaeso Gavius Nerva. Już tędy kiedyś przejeżdżał. Teraz mówił, że po poprzednich Saturnaliach prawie nic mu nie zostało. Brał jak leci i wszystkich przelicytował.

– Dokąd ruszał?

– Chyba do Tuburbo Maius, ale może gdzieś dalej.

Opiter pożegnał go i ruszył do swojej lektyki. W pośpiechu.



Przygotowania do podróży trwały cały dzień, choć Servius chciał jechać natychmiast. Najpierw musiał naruszyć fundusz awaryjny stacji, co wymagało papierologii, wyklócania się i wymachiwania uprawnieniami specjalnymi. Wreszcie zorganizowano mu czterokołowy zamknięty powóz *carpentum*, otwarty *capsum* na bagaże i zapasy oraz czterech uzbrojonych ludzi eskorty i miniaturowa karawana wyruszyła w podróż na drugi dzień przed świtem.

*Carpentum* było jednym z wygodniejszych rzymskich pojazdów. Servius miał do dyspozycji miękkie siedziska, stolik, był w kabinie sam, mógł więc się nawet położyć, z czego skwapliwie skorzystał.

Nie spał długo, bo słońce wkrótce weszło i w drewnianej budzie zrobiło się po prostu gorąco. Za oknami przesuwało się bure, skaliste pustkowia, z rzadka usiane kępami ostrej niebieskawej trawy oraz zeschniętymi, wypalonymi na biało ciernistymi krzakami. Czasem trafiła się pokręcona oliwka. I tak mila za milą, bez żadnych zmian, do wtóru

klekotu kopyt i turkotu okutych kół. Carpentum miało nawet coś w rodzaju zawieszania ze skórzanych pasów, więc podróż nie była tak tragiczna.

Tylko mozolna.

Szlak był dosyć uczęszczany, więc gospody mansiones spotykało się co kilkanaście kilometrów, dało się tam coś zjeść, wypić i odpocząć, ale Opiter kazał jechać bez postojów.

Po południu zdecydował się jednak przystanąć przy stationem poczty cesarskiej. Miał doskonale podrobioną tractorię – bilet podróżny z pieczęcią cesarską, własnym nazwiskiem i opisem, a także fikcyjnym stanowiskiem służbowym, uprawniającym do podróży klasą pierwszą (nie lux, żeby nie zapadać w pamięć) i do bezpłatnego korzystania ze stationes, gdzie mógł się zatrzymać i dostać posiłek, a także zmienić konie. Na tym zależało mu najbardziej.

Na nocleg stanęli w podobnej stacji, gdzie zjadł nieszczęsną owsiankę z fasolą i warzywami, polaną garum, a potem siedział w ciasnej izdebce, gdzie czytał sprośne graffiti, którymi dziesiątki podróżnych upstrzyło ściany, i słuchał cykad.

I tak toczyły się kolejne dni.

Kołysał się wraz z budą pojazdu, spływał potem, słuchał turkotu kół i ostrego tętentu kopyt na kamiennych płytach.

Jeżeli Mettius Geta przyglądał się laniście Nervie kupującemu młodych i krzepkich niewolników, to lanista Nerva dostrzegł też zapewne Mettiusa Getę: muskularnego, wyższego od wszystkich o głowę męczyznę, który wyróżnia się z tłumu. Wystarczyło wziąć kilku ludzi, wyśledzić go, zwabić w jakiś odludny kąt i ogłuszyć. Temponauta obudziłby się już związany, na okratowanym wozie daleko poza Duggą, mając takie same szanse na ucieczkę jak pozostali niewolnicy. Zresztą może wcale nie musieli go specjalnie tropić. Niewolnictwo nie odstręczało go tak jak innych, fascynowały go nawet najdziksze rzymskie obyczaje, a gladiatorzy, jeśli patrzyło się przez pryzmat naiwnych, romantycznych mitów, mogli wydawać się interesujący. Może sam chciał porozmawiać z lanistą, żeby zgromadzić materiał, a zamiast tego skończył na wozie.

Pojawiło się więcej krzaków, potem nieśmiałe drzewa, w końcu Opiter wjechał w gaje oliwne po obu stronach duktu. Trzeciego dnia po południu Tuburbo Maius wyrosło na horyzoncie wysypką czerwonych budowli i w końcu ogarnęło go labiryntem niskich budynków, tłumem i hałasem.

Servius znalazł w miarę przyzwoitą gospodę na obrzeżach, o dziwacznej nazwie Koło, wozy wtoczono na dziedziniec, a konie otrzymały obrok.

Był na ostatnich nogach, cały pokręcony i obolały, jakby obito go

kijami, ale wziął dwóch ludzi, założył kapelusz i ruszył do miasta. Musiał pytać o drogę, ale chciał dostać się w okolice forum, a każdy wiedział, gdzie to jest. Zresztą kiedy już znalazł się w okolicy, bez trudu wypatrzył górujące nad miastem kolumnady z przytuloną do nich z jednej strony świątynią Merkurego, a z drugiej świątynią Pokoju.

Kolejny przechodzień wskazał mu drogę do ludus – szkoły gladiatorów. Jeżeli jego teoria była słuszna, Geta znajdował się właśnie tam i przechodził wstępny kurs: całymi dniami okładał drewnianym mieczem treningowy pał, dwa razy dziennie dostawał miskę pulces z ciecierzycą i wodę albo tkwił w zamkniętej, okratowanej celi. Jako nowicjusz, i do tego nielegalnie uprowadzony, w pierwszej walce zostanie pewnie wystawiony jako łatwa ofiara doświadczonego weterana, gwiazdy i ulubieńca tłumu. Nawet biorąc pod uwagę jego teoretyczne umiejętności, miał ponad dziewięćdziesiąt procent szans, że jej nie przeżyje.

Wprawdzie w gimnazjonie sobie radził, ale treningowym mieczem, w komfortowych warunkach, przeciwko równorzędnemu przeciwnikowi. Ryzykował najwyżej siniaki. Tu będzie obezwładniający stres, ostra stal, krwawy piach areny i krwiożerczy ryk tłumu. A zanim zostanie wygnany pod miecz przeciwnika, będzie świadkiem przynajmniej kilkunastu przeraźliwych egzekucji, będzie widział ludzi ćwiartowanych, rozdzieranych na strzępy przez dzikie zwierzęta i palonych żywcem. W takich warunkach nie da się uciekać w teoretyczne dywagacje o obiektywnych okolicznościach. To jest rzeczywistość, a nie akademicka dyskusja spętana regułami politycznej poprawności. Rzeczywistość najbardziej makabrycznego i krwawego widowiska w historii.

Na razie pozostawał zamknięty i pod strażą. Gdzieś w podziemiach kamiennego budynku pełnego uzbrojonych ludzi, zdolnych zdławić ewentualny bunt więźniów. Odbicie go siłami czterech ochroniarzy stacji badawczej nie było nawet nierealne. Stanowiło wymyślną formę samobójstwa.

Pozostawała dyplomacja. Kiedy lanista przybywał na igrzyska cesarskie i tracił tam swoją gwiazdę, tak zwanego primusa palusa, otrzymywał odszkodowanie w wysokości piętnastu tysięcy sestercji. Taka właśnie suma znajdowała się w skrytce na wozie. Słono, ale to było jedyne realne wyjście.

Servius obejrzał sobie dokładnie kamienny, trzypiętrowy budynek ludus i doszedł do wniosku, że cele nowo przybyłych znajdują się pewnie z drugiej strony, tam gdzie musiał być też plac ćwiczebny.

Poszedł po prostu do głównego wejścia i zakolatał. Kroki, zgrzyt zasuw i okute drewniane wrota uchyliły się, ukazując chudego, siwiejącego człowieka z łysiną na ciemieniu.

– Salve. Chcę się widzieć z lanistą.

– Salve. Quintusem Scevolą? Wyszedł.

Opiter zrobił odruchowo krok w tył.

– Scevolą? Ja chciałem mówić z Kaesą Gaviusem Nervą.

– Z Nervą? On zatrzymał się tylko na noc i żeby opatrzyć niewolnika.

Pojechał już do siebie.

– To znaczy?

– No... do Thysdrus.

Servius nabrał powietrza i wypuścił je bardzo powoli. Thysdrus... No dobrze, to było ze sto dwadzieścia kilometrów dalej. Sto dwadzieścia kilometrów porządnej, bitej rzymskiej drogi wyłożonej kamiennymi płytami, sto kilometrów pyłu i słońca. Rzym uparczywie nie chciał go wypuścić.

Wrócił do zajazdu, klnąc pod nosem. Opatrzeć niewolnika... To mogło znaczyć, że Geta stawiał opór, choć jego legendarne sposoby walki nie na wiele się zdały. Oczywiście było już za późno, żeby ruszać natychmiast, musiał przemocować w Kole. Kolejne zapluskwione łóżko, kolejne sprośne graffiti na brudnym tynku, kolejna miska pultes w ciemnym, zakopconym tablinum.

Turkot wozów dostawców na ulicy nękał go przez całą noc, na zmianę ze szczekaniem psów i pijackimi wrzaskami oraz jękami prostytutki za cienką ścianą.

Kolejne trzy dni w drodze okazały się takie same jak poprzednie, krajobraz był tylko trochę bardziej zielony, stacje pocztowe rozmieszono trochę gęściej i widzieli więcej oberży.

Mając poczucie *déjà vu*, Opiter wjechał do Thysdrus, znów znalazł gospodę i powtórzył wszystkie procedury. Tym razem wziął dwukółkę, która zawiozła go na miejsce za prawie asa.

Kaeso Gavius Nerva okazał się krępy, ale potężnie zbudowany i całkowicie łysy. Miał bliznę, która przecinała mu czoło, brew i kość policzkową, mniejsze blizny znaczyły lewe przedramię. Było ich tak dużo, że układały się prawie w siatkę. Miał też mocny, ale schrypnięty głos, jakby zardzewiały. Obojętnie zaproponował kubek wina, a Opiter zdecydował się nie wzbraniać, choć miał przed sobą sprawcę wszystkich swoich kłopotów i gdyby to tylko było możliwe, najchętniej przysmażyłby go paralizatorem.

– Jestem Servius Arcinnus Opiter. Chodzi mi o gladiatora Mettiusa Larcjusa Getę z Duggi – oznajmił. – Możesz nie znać imienia, ale wygląda tak.

Wyciągnął capkę i rozwinął papirus. Podsunął go po blacie w stronę lanisty. Tamten przekreślił obrazek, popatrzył przez sekundę, po czym odłożył go na blat z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Servius poczuł się jak w jakimś koszmarnym urzędzie. Tamten oparł dłonie na blacie



i splótł palce. Zapadła irytująca chwila ciszy.

– Co z nim? – spytał w końcu lanista.

– Pragnę go uwolnić. – Opiter uniósł dłoń. – Nie interesuje mnie, jak się tutaj znalazł. Przyjmijmy, że stało się to przez pomyłkę, a ja dobrze zapłacę. I tak nie będziesz miał z niego pożytku. Porozmawiajmy jak ludzie interesu.

– To urodzony wojownik – odparł tamten.

Servius pokręcił głową.

– Nigdy nie walczył. Pochodzi z daleka i choć trudno uwierzyć, nigdy nawet nie widział prawdziwej walki. Jest zręczny i silny, ale nie będzie potrafił podnieść prawdziwego oręża.

Lanista jakby się lekko uśmiechnął.

– To nic niewarty „zając” – ciągnął Opiter. – A zapłacę piętnaście tysięcy sestercji. Kupisz sobie dziesięciu takich.

– To dobra propozycja – powiedział w końcu Nerva. – Ale ja muszę w spokoju rozważyć różne racje. Dam odpowiedź jutro. Gdzie się zatrzymałeś?

– W gospodzie Kogut. Mogę się z nim zobaczyć?

Tamten zaprzeczył.

– Zobaczycie się później.

Servius wrócił do gospody, bijąc się z myślami, na zmianę czując nadzieję i ją tracąc. Dlaczego lanista się zastanawiał? Nad czym? Przyszło mu do głowy, że może przesadził, zaproponował za dużo. Teraz już było za późno.

Kogut znajdował się dalej od głównej ulicy, więc nie było tam takiego hałasu jak w Tuburbo Maius. Dlatego po raz pierwszy od dawna Opiter zasnął głęboko, zresztą był już wykończony.

To się stało w środku nocy. Mogła być druga lub trzecia, co oznaczało, że aresztowanie o tej porze to bardzo stara tradycja.

W jednej chwili dryfował gdzieś w głębokim śnie, a uderzenie serca później wokół wybuchło piekło. Krzyk, gruchot podkutych gwoździami podeszew na kamiennych płytach, ktoś wykrzyknął jego imię, jakoś tak rozpaczliwie.

Po kilku sekundach kompletnej dezorientacji, kiedy nawet nie wiedział, gdzie jest, Servius zerwał się z łóżka. Równocześnie gwałtownie otworzyły się drzwi, wpuszczając blask ognia płonącego w trójnogu na patio. Opiter zobaczył wysokie sylwetki, błysk stali na polerowanych hełmach i poziomych pasach segmentowanych półpancerzy, czerwone płaszcze, obosieczne ostrza krótkich mieczy. W jednej chwili zrobił się tłok, poczuł, że wykręcają mu ramiona, podłoga uderzyła go w twarz, w jednym srebrnym rozbłysku, po którym przyszła ciemność.

Odzyskał przytomność po kilku sekundach, już na patio, przed sobą

widział czerwone płaszcze spływające z pleców i nakarczki hełmów. Czuł, że ma związane rzemieniami nadgarstki, mocno, dłonie już zaczynały drętwieć. Przed stojącymi coś się działo, słyszał krzyk, a potem charakterystyczne pacnięcie, jakie wydaje szerokie ostrze rozrabiające polec mięsa z kośćmi. A potem charkot.

Vigile stojący przed nim trochę się rozstąpili, ukazując patio wyglądające jak rzeźnia. Wszystko zbryzgane było krwią. Dwóch jego ludzi leżało na posadzce, poskręcanych w obląkańczych pozach, jeden bronił się jeszcze rozpaczliwie w kącie, próbując parować sztychy nacierającego vigila. Wtedy zza jego pleców ukazała się dłoń z szerokim ostrzem, które otworzyło mu gardło krwawym półksiężycem. Struga spienionej krwi z tętnicy trysnęła na posąg i ścianę.

Kiedy wyprowadzali go z Koguta, wszyscy goście i obsługa gospody stali przed domem, bladzi i wstrząśnięci, na jezdni czekał już kwadratowy, okuty wóz, a przy nim jeszcze kilku wigilów z pochodniami.

A potem była podróż w dusznym pudle, gdzie jedyną amortyzację stanowiła garść zbutwiałej słomy.

Na koniec wylądował w pustym lochu, gdzie tkwił w ciemnościach i szoku, który wypłukał z niego niemal wszystkie uczucia. Trwał. Doceniał to, że przecięto mu więzy i rzucono tunikę.

Ale to było wszystko.

Nie miał pojęcia, co się stało. Czego chcieli od niego vigile? Nie zrobił nic, co byłoby tutaj nielegalne. Absolutnie nic. Tymczasem zarżnęli jego ludzi. Natychmiast i bez dania racji.

Bogowie, dlaczego?!

To było bez wątpienia jakieś nieporozumienie.

Rano wyprowadzono go z celi i schodami poprowadzono gdzieś na górę. A potem postawiono pośrodku marmurowej sali, wśród rzeźb i polichromii. Na rzeźbionym karle siedział mężczyzna spowity w togę, splatając wyciągnięte do przodu nogi w butach z gęstych pasków, i patrzył pod światło na puchar.

– Pewien godny zaufania, honorowy obywatel powiedział mi parę dni temu, że przybędzie tu niejaki Servius Arcinnus Opiter. Człowiek, którego nikt nie zna, który nigdy się nie urodził, a który mimo wszystko podróżuje, mając TO.

Sięgnął na okrągły stolik, gdzie leżał arkusz pergaminu.

– Tractoria... Bilet podróżny. W pierwszym zdaniu widzimy, że wystawił go Marek Publius Africanus. Dalej wszystko się zgadza, są pieczęcie i prawo do darmowego korzystania ze stationes... jakie przysługuje tylko specjalnym wysłannikom, tylko że Marek Publius Africanus o żadnym takim specjalnym wysłanniku nie słyszał.

Opiter poczuł, że jego wnętrzości ścina lód. Co za głupota... to

niemożliwe.

– Podróbki tractorii to prawdziwa plaga. Ale tym zajmują się curiosi cursus publici, nie trzeba aż frumentari. Tylko że tak dobrze podrobionej tractorii nigdy nie widziano. A człowiek znikąd z taką tractorią może być tylko... szpiegiem. Teraz pytanie: czym?

Na wzmiankę o tajnej policji – frumentari, lód ściał także nogi Serviusa. Poczł dzwonienie w uszach i szum płynącej krwi. Ledwo dosłyszał sakramentalne: „Zabrać go!”.

Następny miesiąc był bardzo długi, a jednocześnie jakby rozplnął się w ciemności, pełnej krwi i wrzasku. Nie wiedział nawet, kiedy przestali go torturować, a zaczęli leczyć, bo nie bardzo się to różniło. Pamiętał tylko, że gdzieś go przeniesiono, nie tkwił już w koszarach kohorty vigilum, ale nie wiedział, gdzie jest. Wcześniej go dręczono, tutaj z kolei leczono i zaczął dostawać lepsze posiłki. Niesmaczne, ale pożywne. Po upływie kolejnego morza bólu przyszedł w końcu taki czas, że mógł już wstawać, a potem chodzić po celi.

Nie wiedział, co z nim będzie, ale wiedział, że nie może sobie robić nadziei. Gdyby chodziło tylko o vigilów, jego znajomość z prefektem z Tuburbo Maius może coś by pomogła, ale frumentari to była zbyt gruba sprawa.

Kiedy zaczęło mu się poprawiać, znowu przeniesiono go do innej celi, zamkniętej kratą, i tym razem wiedział, gdzie jest. Człł ostry, piźmowy smród dzikich kotów, słyszał grzmiący ryk lwa, płacz ludzi w innych kłatkach, a kilka razy odległy ryk tłumu, jak huk oceanu. Znajdował się w cyrku miasta Thysdrus. Na razie nic więcej się nie działo poza tym, że chudy, łysy Grek zdjął mu bandażę.

A któregoś dnia przed kratą pojawił się ogromny cień z pochodnią. Zatknął ją w stojaku na ścianie, zrobiło się jaśniej i okazało się, że stoi przed nim Mettius Larcjus Geta. Stał w lekkim rozkroku, w niebieskiej tunice ściagniętej pasem, zaplatając na piersi potężne przedramiona z szerokimi opaskami na nadgarstkach.

– Servius Arcinnus Opiter, przedstawiciel Świata Klaunów – oświadczył.

Opiter w pierwszej chwili go nie zrozumiał, ale zaraz pojał, że tamten mówi po angielsku. Podniósł się i podszedł do kraty.

– Ty mnie wydałeś... dlaczego? Chciałem cię uratować... Dawałem za ciebie piętnaście tysięcy.

– Uratować?! Mnie? Wiedziałem, że Servius Opiter nie odpuści. Twoimi sestercjami zaopiekował się lanista. Widzisz, nie mógł mnie sprzedać, nawet za tyle, bo jestem wolnym obywatelem, a on jest honorowy.

– Jak to...

– Poszedłem do niego i powiedziałem, że chcę się przyłączyć. Jako

wolny. W rzeczywistości to się całkiem często tutaj zdarza, tylko u nas nie wolno o tym mówić, bo cenzura. No ale mnie wyśmiał. Powiedział, że nie będzie mnie niańczył. Więc wyzwiałem Leopardusa, jego gwiazdę, primusa palusa. W efekcie trzeba było jechać go pozszywać do Tuburbo. I mnie przyjęli.

– Ale ja cię chciałem zabrać do domu.

– Do czego? Ja jestem w domu. Miałbym wracać do tego aksamitnego totalitaryzmu, do AI śledzących wszystkich dzień i noc? Do cenzury? Do zakazów wszystkiego? Ja jestem człowiekiem! Tu mam prawo być tym, kim zdołam! Nikt mnie tu nie podsłuchuje ani nie podgląda, nie przyznaje jakichś durnych punktów, nie przeświewa. Myślę i mówię dokładnie to, co chcę. Myślisz, że mnie ratowałeś?! Jak ci się zdaje, co by mi zrobili w tym twoim „domu”?!  
– Chcesz mordować ludzi dla uciechy motłochu? A na koniec samemu zostać zamordowanym?

– Chcę walczyć, ale wy tego nie zrozumiecie. To jest walka! Ryzykowna, ale walka. I zazwyczaj wcale nie kończy się śmiercią. Tu są sędziowie, są też reguły. I jest opieka medyczna. My jesteśmy po prostu za drodzy, żeby zabijać nas za każdym razem. Ryzykujemy śmierć, ale otacza nas sława, można też dobrze zarobić. Niewolnicy mogą wygrać wolność. A tam? Tam jestem niewolnikiem nawet bez takiej szansy. Tu jestem mężczyzną i nikt nie każe mi się bez przerwy wstydzić z powodu urojonych zbrodni poprzednich pokoleń. Tu jestem wolny i jestem z tego dumny. Co więcej, mam szansę na sławę. Moje imię będą powtarzać tłumy. Będą wiwatować na sam mój widok. Piękne, bogate kobiety będą płacić złotem, żebym na nie spojrział. A w „domu”? Mogłem liczyć najwyżej na pogardę i wyzwiska. I przez cały ten czas będę wolny. Rozumiesz?

Odwrócił się i sięgnął po pochodnię.

– Poczekaj! – zawołał Opiter. Tamten zawahał się. – Jak wyszedłeś z willi?

Berger parsknął.

– Aż tak cię to dręczy? Górą.

– Górą?

Tamten wskazał oczami sufit.

– Z galerii na dach, potem kalenicą do muru, rzuciłem paenulę na muszlę na szczycie muru, zeskoczyłem na niego, potem na ziemię. Łatwizna. Salve!

Po jednym kroku zatrzymał się jeszcze raz.

– Nie zostaniesz stracony, Serviuszu Opiterze. Dostaniesz broń i będziesz mógł walczyć o swoje życie. Wolałbyś skończyć na krzyżu albo w zębach lwa? Pomyśl o tym! I jeszcze o jednym: dlaczego tak bardzo zależało im na tym, żebym został odszukany? Za wszelką cenę?

Dlaczego po prostu nie pozwolili, żebym zaginął w Rzymie? Od kiedy tak im zależy na pojedynczym człowieku?



To stało się dwa tygodnie później.

Stał na drżących nogach przed kratą, patrząc na piach areny, wysokie trybuny dookoła i powiewające kolorowe proporce. Ściana głów wokoło. Świadkowie. Widzowie. I chóralny wrzask jak grzmot. Schylił się i podniósł miecz, zważył go w ręku.

Słyszał, jak zapowiadają tamtego tubalnym głosem:

– Potężny Traccus Getaaaa!

I ryk tysięcy gardeł, pod samo niebo.

Spojrzał na arenę i zrozumiał, że jednak zrobił pętlę czasu. Za jakiś tysiąc lat będzie stał na tej samej arenie i patrzył na te same trybuny. Wtedy będzie się to nazywało El Jem, a cyrk będzie jedyną pozostałością po dawnym Hadrumetum. Pamiętał ten dzień, który kiedyś tam nadejdzie, i pamiętał, że zastygł nagle w grupie turystów nagrywających widowisko przez gogle i omnifony, ścięty jakimś dziwnym chłodem pełnym irracjonalnej grozy. Wtedy nie wiedział dlaczego.

I zrozumiał jeszcze jedno. Nie chodziło o życie Bergera ani zagrożenie dla misji. Wiedzieli, że Geta uciekł. Nie miało znaczenia, czy został gladiatorem, czy producentem kozich serów. Chodziło o to, że znikł z radarów sztucznych inteligencji, systemu i władzy. Że samowolnie wybrał sobie czas i miejsce. I wcale nie musiał być ostatni. To dlatego miał go za wszelką cenę odnaleźć. Uciekinier musi zostać schwytany i przykładnie ukarany.

Usłyszał zgrzyt, turkot i krata pojechała do góry. Wiedział, że jeśli nie ruszy, i tak dostanie włócznią, więc z trudem poruszając mdlejącymi nogami i ściskając rękojeść gladiusa w mokrej od potu dłoni, wyszedł na piach, pod to rozpalone niebo, podobne do soczewki.

Trak „z końca świata” opuścił ręce, w tym jedną oplecioną ochraniaczem, i odwrócił się do niego, pokazując blaszaną, wypukłą twarz pod hełmem z okapem wywiniętym tak, żeby przypominał rybę. Hełmem gladiatora rodzaju „murmillo”.

Servius chciał spojrzeć, czy w oczach tamtego dostrzeże choć cień litości albo współczucia, ale za okrągłymi, pokrytymi otworami wizurami, wyglądającymi jak skanery, była tylko ciemność.



ALEKSANDRA  
STANIEWSKA

ZAKŁAD



**R**a'Shrani, chociaż niewolnik i gladiator, miał w Kręgu Walki Kem'Zhu specjalne przywileje. Sterczący przy drzwiach kancelarii gwardziści powitali go niemo uniesieniem dłoni, odpowiedział tym samym. Żadnych pytań, żadnych żądań. Strażnicy leniwie opierali się o potężne halabardy, będące raczej rekwizytem niż skuteczną bronią. Właściciel największego Kręgu Walki w Soreham znany był ze skłonności do teatralizacji. Wszyscy wartownicy pilnujący drzwi dostawali na wyposażenie wielkie, acz nieporęczne narzędzia. Strażnikom na placach treningowych wystarczyły zwyczajne rzemienne pejczy.

Ra'Shrani popchnął drzwi i bez anonsowania wszedł do środka. Podłużne pomieszczenie miało tylko jedno wielkie okno, znajdujące się dokładnie za plecami zgarbionego przy biurku Kem'Zhu. Właściciel Kręgu Walki opierał łokieć lewej ręki na blacie i podtrzymywał głowę na zaciśniętej pięści. Na dźwięk dawno nieoliwionych zawiasów podniósł oczy znad księgi zapisanej kolumnami liczb.

Ra'Shrani wiedział, że w owej księdze znajdują się wszystkie wydatki związane z utrzymaniem Kręgu. Dane dotyczące liczby niewolników, zarówno gladiatorów, jak i ich trofeów, służby, strażników, całej administracji. Ceny za towar, koszty utrzymania tego towaru, zyski z przedstawień.

– Nie śpieszyło ci się – Kem'Zhu zwrócił się do przybysza z kąśliwą uwagą.

– Wybacz, Mistrzu Treserze, nie mogłem przeoczyć sparingu – odparł spokojnie Ra'Shrani.

– Litości, daruj mi te głodne kawałki. Dobrze wiem, że zatrzymały cię przyjemności w łożnicy.

Ra'Shrani przemilczał te słowa, choć poczuł delikatne ukłucie irytacji. Nie znosił, gdy ktoś w tak ordynarny sposób mówił o Isli. Nawet jeśli tym kimś był Mistrz Treser, jego pan.

– Siadaj. – Kem'Zhu wskazał podbródkiem na znajdujące się naprzeciw biurka krzesło.

Gdy jego niewolnik skorzystał z gościnności, właściciel Kręgu Walki wlepił w niego spojrzenie ciemnych, prawie czarnych oczu. Ra'Shrani dzielnie wytrzymał natarczywy wzrok pana. Niewielu gladiatorów mogło sobie pozwolić na taką bezczelność, ale służył już Mistrzowi Treserowi tyle lat, że obaj nabrali dystansu. Pewnie takie zachowanie nie uszłoby na sucho niewolnikowi z jakiegokolwiek innego Kręgu Walki w Hylonie, jednakże Kem'Zhu znany był ze swojej ekscentryczności. Owszem, traktował swoich gladiatorów jak narzędzia czy zabawki, ale do niektórych potrafił się szczególnie przywiązywać.

– Od ilu lat jesteś moją własnością? – zapytał Mistrz Treser.

– Przecież dobrze wiesz. Do czego zmierzasz? Po co ten wstęp?

Kem'Zhu uśmiechnął się, a był to uśmiech paskudny, złośliwy.

– Jesteś bystry. I pyskaty. Każdy inny Mistrz Treser powiesiłby cię pierwszego dnia po kupnie, ale ja lubię ludzi bystrych. I takich z dużą mordą. Dlatego postanowiłem.

Zapadła niezręczna cisza. Ra'Shrani cudem powstrzymał się od wywrócenia oczyma ze zniecierpliwienia.

– Postanowiłeś... co? Urywasz w połowie zdania i liczysz, że zdołam domyślić się z kontekstu, Mistrzu Treserze? Aż taki bystry nie jestem. Nie umiem też czytać w myślach.

– Od dziś jesteś wyzwolencem. Zwracam ci wolność i ofiarowuję Krąg Walki Kem'Zhu. Chyba powinien nazywać się od teraz Kręgiem Walki Ra'Shrani, nie sądzisz...?

Niewolnik nieznacznie poruszył się na krześle, które niespodziewanie zrobiło się bardzo niewygodne. Oparł dłonie na kolanach i spojrzał spod wysoko uniesionych brwi na zadowolonego z siebie mężczyznę. Kem'Zhu naparł plecami na oparcie swojego wysokiego fotela, zaplótł ręce na obszernym brzuchu i spoglądał z rozbawieniem na siedzącego przed nim rozmówcę. Wyraz twarzy Mistrza Tresera tylko utwierdził Ra'Shraniego w przekonaniu, że jego pan stroi sobie z niego kiepskie żarty. Już chciał mu coś powiedzieć, ale Kem'Zhu go uprzedził.

– Nie, to żaden słaby dowcip. Naprawdę zwracam ci wolność i daję mój Krąg Walki. Jestem już stary, bardzo stary, choć może na to nie wyglądam. Prowadzenie Kręgu Walki zmęczyło mnie, nie daje mi już żadnej satysfakcji. Mam dosyć tej całej biurokracji, zasranych kolumn

z cyferkami, liczenia każdej złotej monety. Męczą mnie dalekie wyjazdy na targowiska po nowy towar. Rzygać mi się chce, gdy myślę o turniejach, o tej ciągłej rywalizacji z innymi Kręgami, z innymi miastami. Zdałem sobie z tego sprawę po ostatnim królewskim turnieju w Quelaath. Jako najstarszy i najbardziej zasłużony Mistrz Treser miałem przywilej zasiadać w łoży Jego Boskości i przy boku króla-boga obserwować zmagania niewolników. Nie bawiło mnie to, wręcz przeciwnie, czułem nudę i niesmak. Jeśli traci się serce do czegoś, co było niegdyś sensem naszego życia, to znak, że czas się wycofać.

Ra'Shrani słuchał tej przemowy, wciąż nie mogąc uwierzyć w prawdziwość słów swojego pana. Jednocześnie przyglądał się uważnie Kem'Zhu. Nie był starcem, choć zaczął już nieco podupadać na zdrowiu. Nabral kilogramów, dorobił się sporego brzuszyska, jednakże nadal sprawiał wrażenie silnego. Dopiero teraz Ra'Shrani spostrzegł, że Mistrz Treser trochę się garbił, że na jego twarzy pojawiła się siateczka zmarszczek i bruzd, a na dłoniach o miedzianej skórze brązowe plamy. Nawet rogi wyrastające ze skroni, niegdyś grube i lśniące niczym onyks, jakby się skurczyły.

– Nie chcę całego swojego życia spędzać wśród śmierdzących, spoconych wojowników – perorował dalej Mistrz Treser, nie zwracając uwagi na świdrujący wzrok swojego gladiatora. – Nie chcę męczyć starych kości długimi wyjazdami na jakieś zadupia w poszukiwaniu świeżej krwi. Chcę odpocząć. Odetchnąć. Zdrowo podupczyć. Wyjechać do Quelaath, zamieszkać w Mieście Wież, bawić się. Nie chcę do grobowej deski być uwiązany do Soreham, do Kręgu Walki. Wiesz, że przejechałem cały Hylon, a nigdy tak naprawdę go nie zwiedziłem?

– Dlaczego ja? – przerwał mu dość obcesowo Ra'Shrani.

– Na moją decyzję... złożyło się kilka powodów. Jak powiedziałem wcześniej: lubię cię. Jesteś moim najlepszym gladiatorem, walczysz i zwyciężasz dla mnie od dziesięciu lat, nikt nie może ci dorównać w Soreham, niewiele ci brakuje do trzykrotnego mistrza turnieju w Quelaath, tego siwowłosego mieszańca od Aza'Balnora z Iself. Nie jesteś tylko kupą mięśni, masz rozum, umiesz z niego korzystać. To nie wszystko, są jeszcze dwa konkretne powody. Jesteś Baldorem, podtrzymasz więc wielowiekową tradycję Kręgów Walki. No i wiesz, jak zarządzać tym burdelem. Pomagałeś mi przez dekadę. Widziałeś, jak to robi twój ojciec.

Na wspomnienie ojca Ra'Shrani mimowolnie się skrzywił, nie mógł zapanować nad mimiką twarzy. Kem'Zhu uderzył w czułą strunę, co więcej, zrobił to z pełną premedytacją. Spoczywające na kolanach dłonie niewolnika zacisnęły się w pięści.

– Nie przypatrywałem się zbyt... pracy mojego ojca – wykrztusił wreszcie.



– Do kurwy nędzy, Ra... Daję ci, ty tępą pało, wolność i władzę, a ty jeszcze kręcisz nosem. Los się w końcu do ciebie uśmiecha! Zostałeś sprzedany do niewoli jako młodzik, przecierpiałeś swoje, ale teraz karta się odwraca! To jest właśnie piękne w Hylonie. Każdy Baldor, nieważne, jak wysoko usytuowany, może pewnego dnia znaleźć się na dnie, tak samo jak każdy nędznik, skazaniec czy skurwysyn może się od tego dna odbić. Bierz, co ci daję, i przestań stękać!

Ma rację, przeleciało przez głowę gladiatora. Stary sukinsyn Kem'Zhu miał rację. Ra'Shrani przecierpiał swoje, utracił dawną pozycję, pożegnał stare życie, teraz ma szansę powrócić do tego, co było. Przynajmniej w jakimś sensie. Przede wszystkim odzyska wolność. Będzie mógł decydować sam o sobie. Oraz o innych.

Popatrzył w oczy Mistrza Tresera i powoli uniósł się z krzesła, Kem'Zhu również wstał. Mierzyli się spojrzzeniami poprzez zavalone księgi i papierami biurko.

– Zgoda. Przejmę od ciebie Krąg Walki, Mistrzu Treserze.

– Wreszcie poszedłeś po rozum do łba. Nie zawieź mnie, Ra. Pokładam w tobie duże nadzieje. Nie spieprz reputacji, na którą tyle lat harowałem. Wynieś Krąg Walki Kem'Zhu na wyżyny, strąćmy wreszcie z piedestału tego skurwiela Aza'Balnora. Pokaż całemu Hylonowi naszą potęgę.

Powiedziawszy to, Kem'Zhu wyciągnął ku niewolnikowi swoją szponiastą, wielką dłoń, którą Ra'Shrani mocno uściskała.



– Tak po prostu? Jednym słowem zwraca ci wolność i oddaje Krąg Walki?

Nie spodziewał się, że Isla zrozumie. Nie była Baldorką, nie znała ich kultury, była przybyszką z zewnątrz, schwytaną przez łowców niewolników ofiarą, którą następnie sprzedano na jednym z dziesiątek targowisk rozsianych po całym Hylonie. Nie potrafiła pojąć, jak kapryśny dla Baldorów bywa los. W ciągu jednej chwili mogą stracić wszystko, cały majątek i prestiż, spaść na sam dół, żyć życiem pogardzanego robaka, ale wystarczy odpowiednia ilość szczęścia, sprytu lub pieniędzy, by zyskać znacznie wyższą pozycję.

Siedziała na łóżku z podciągniętymi nogami, zwiewna spódnica z rozcięciami na bokach odsłaniała jej gładkie, białe uda. Podczas gdy ona zalewała go masą pytań, Ra'Shrani wgapiał się w jej nogi. Były długie i zgrabne, tak różne od masywnych, umięśnionych łydek i ud Baldorek. Zorientowała się, że wcale nie słucha, tylko podziwia jej

walory, zerwała się więc z posłania i stanęła przed nim, opierając pięści o biodra. Przeniósł wzrok na jej łono.

Miała smukłą kibić i wyraźne wcięcie w talii, jej biodra nie były tak rozłożyste jak u jego rodaczek. Parsknęła z irytacją i ujęła go dłońmi za twarz, zmusiła, by popatrzył jej w oczy.

– Ra, wytłumacz mi!

– Ale co tu jest do tłumaczenia? Kem’Zhu ma dosyć, czuje się za stary do prowadzenia Kręgu, oddaje mi go wraz z moją wolnością. Przejmuję od niego obowiązki Mistrza Tresera, staję się panem wszystkich niewolników.

– Moim też? – zapytała po chwili ciszy.

Jej ramiona opadły, ale Ra’Shrani chwycił jej dłonie i mocno uściśnął.

– Nie, moją pierwszą decyzją będzie oddanie ci wolności, przestaniesz być niewolnicą – rzekł twardo.

– Nie boisz się, że gdy mnie wyswobodzisz, odejdę?

– Dokąd niby?

Na jej twarzy pojawił się nikły uśmiezek. Usiadła mu na kolanach, a Ra’Shrani objął ją w pasie. Delikatne, cienkie palce Isli dotknęły obroży zaciśniętej na jego szyi.

– To znaczy, że pozbedziemy się tego żelastwa?

Zupełnie zapomniał o obroży. Metalowa obręcz z wyrytymi na niej rozkazami. Uaktywniała się za każdym razem, gdy niewolnik opuszczał mury Kręgu Walki bez wiedzy Mistrza Tresera i strażników. Wystarczyło słowo wartownika, by zakłęcie poraziło ofiarę. Obroża tkwiła zaciśnięta wokół jego gardła przez dziesięć lat, zaczął ją traktować jak integralną część własnego ciała.

– Jeśli mi to zdejmiesz, nic nie powstrzyma mnie przed opuszczeniem Kręgu i tego cholernego miasta.

– Powtórzę... dokąd pójdziesz? Gdziekolwiek się udasz, zawsze istnieje szansa, że ponownie schwytają cię łowcy niewolników, po raz kolejny trafisz do handlarzy, sprzedadzą cię, kto wie, może jakiemuś większemu i obrzydliwzszemu dewiantowi.

Jej drobna ręka zaciśnęła się w pięść i mocno uderzyła Ra’Shraniego w pierś. Niebieskie jak letnie niebo oczy ciskały w niego gromy. Isla łatwo się złościła, była w gorącej wodzie kąpana, zdążył się już do tego przyzwyczaić. Wystarczyło poczekać.

Nie mówił nic, aż wreszcie kobieta przeciągle westchnęła i zarzuciła mu ręce na kark, co stanowiło sygnał, że już się nie gniewa.

– Masz rację. Zbyt długo tu tkwię, żeby się łudzić, że moje życie wróci kiedyś do stanu sprzed niewoli. Co jednak zmieni odzyskana wolność oprócz tego, że zdejmą mi to cholerstwo? Nie będę mogła opuścić Soreham, bo wszędzie będę potencjalnym towarem. Jestem twoim trofeum już od dawna, nikt poza tobą nie ma do mnie praw. Zostanę

oswobodzona i co?

Odkąd gladiator poznał Isłę, znienawidził to słowo. Trofeum. Niewolnice kupowane dla Kręgów Walki jako nagrody dla najlepszych gladiatorów. Rzadkie i cenne prezenty dla największych, najzacieklejszych w boju. W Kręgach Walki wojownikami zostawali tylko mężczyźni, trzymano ich jak bydło w zagrodach, na co dzień nie oglądali oni żadnych kobiet. Te kupione na nagrody trzymane były w specjalnych miejscach, z dala od wyposzczonych gladiatorów. Dopiero Mistrz Treser w ramach uznania ofiarowywał swoim najlepszym wojownikom trofeum. Na godzinę, czasami na całą noc, jeśli był ze swojego niewolnika bardzo zadowolony.

Gdy Ra'Shrani po raz pierwszy otrzymał Isłę od Kem'Zhu, wiedział, że już nigdy nie będzie się nią z nikim dzielić. Kosztowało go to naprawdę wiele, przelał mnóstwo krwi, aż wreszcie Kem'Zhu, by uhonorować pupilka, dał mu niewolnicę na własność. Wieczyste trofeum.

– Będziesz wolna – odparł, nie bardzo wiedząc, jak inaczej ma odpowiedzieć na pytanie Isli.

– Chyba się nie rozumiemy – westchnęła ponownie. – Ta wolność niewiele zmieni w moim życiu. Nadal będę tu tkwić, w murach Kręgu, przy twoim boku.

– To taka przykra perspektywa?

Jej twarz złagodniała. Gdy Isla się uśmiechnęła, w kącikach jej oczu pojawiły się drobne kurze łapki. Zbliżyła się do Ra'Shraniego i pocałowała go. Miała suche wargi, nieco spękane od gorącego powietrza Hylonu. Pachniała przyjemnie, miodem i czymś korzennym, a także odrobiną potu.

Popatrzyła na niego miękko, gdy oderwali się od siebie.

– Nie, wręcz przeciwnie.

Mocniej otoczył ją ramionami i przerzucił, ze śmiechem wylądowała na jego wąskim łóżku. Nachylił się nad nią i tym razem on pierwszy wpił się w jej usta. Mógł sobie pozwolić na figle, nie śpieszył się na trening, już wkrótce miał przestać walczyć, odłożyć miecz. Przynajmniej tak się wtedy Ra'Shranemu wydawało.



Było południe, słońce stało wysoko na czystym, błękitnym niebie, bezlitośnie grzejąc spędzonych na plac treningowy gladiatorów należących do Kem'Zhu. Skwar był trudny do wytrzymania, a mimo to kilkunastu rozebranych niemal do naga mężczyzn stawało naprzeciw siebie, uzbrojonych w ćwiczebne miecze wykonane z twardego drewna.

Skryty w cieniu gospodarczego budynku Ra'Shrani obserwował walczących.

Stał oparty o chropowatą ścianę, z rękoma założonymi na szerokiej piersi, przyglądając się gladiatorom o lśniące od potu skórze, tkwiącym po kostki w rozgrzanym piasku prowizorycznej areny. Spoglądał na wymianę trafień, słuchał głuchego stukotu uderzających o siebie mieczy. Taki oręż, choć niepozorny, we właściwych rękach potrafił siać spustoszenie. Cios w odpowiednie, silnie unerwione miejsce był piekielnie bolesny. Miecze potrafiły gruchotać kości, odbierać przytomność, a nawet roztrzaskiwać czaszki. Wciąż jednak były bezpieczniejsze od broni ze stali. Łatwiej opatrywać krwiaki niż rany cięte i kłute. Również strażnicy nie narzekali, że obawiają się krążyć między niewolnikami podczas treningu. Gladiator brał w ręce prawdziwy miecz, gdy stawał do turnieju.

– Od trzech dni nie trenowałeś. Co się święci?

Zamyślony Ra'Shrani drgnął na dźwięk głosu i gwałtownie spojrział w bok. Po jego lewicy zaczaiła się postać w burej, postrzępionej szacie, z obszernym kapturem na głowie. Za wszelką cenę gladiator próbował ukryć, że się zląkł, ale nieoczekiwany przybysz nie dał się oszukać. W uśmiechu pełnym triumfu błysnęły zęby, białe i spiczaste.

– Przestraszyłem cię?

– Nie.

– I po cóż kłamać?

– Zamknij się, Andai.

– Skoro uprzejmości mamy za sobą, przejdźmy do konkretów. Szykują się zmiany, co nie?

Ra'Shrani z wahaniem spojrział na swojego rozmówcę. Obszerny kaptur uniemożliwiał dokładne przyjrzenie się twarzy, czego zresztą Baldor nie żałował. Andai był istotą wyjątkowo szpetną. Miał pociągłą twarz o niezwykle ostrych rysach, głęboko osadzone oczodoły i wystający podbródek. Był całkowicie łysy, pozbawiony jakiegokolwiek owłosienia, jego skóra miała sinawy odcień i zdobiły ją błękitne, zawile tatuaże. Kończyny długie, pałkowate, nieco jakby koślawe. Jediną godną uwagi rzeczą w tej pokracznej, groteskowej postaci wydawały się oczy, jasne, lazurkowe, o barwie znacznie głębszej i o wiele piękniejszej od niebieskich oczu Isli. Ra'Shrani rzadko miał okazję w nie spoglądać, Andai zasłaniał je kapturem. Sinawa skóra źle znosiła prażące słońce Hylonu.

Jeśli któregośkolwiek z gladiatorów Ra'Shrani mógł nazwać przyjacielem, był nim właśnie Andai, choć trudno obdarzać kogoś przyjaźnią w miejscu takim jak Krąg Walki. O wiele trafniejsze byłoby stwierdzenie, że Ra'Shrani raczej nie unikał Andaia, tolerował jego obecność i wcale nie miał ochoty go zatłuc podczas najbliższego

sparingu.

– Kem'Zhu zwraca mi wolność i oddaje Krąg Walki – zakomunikował dość sucho.

– Masz przejebane – stwierdził krótko, ale pogodnie Andai.

– Możesz rozwinąć myśl?

– Spójrz na nich. – Tamten wyciągnął dłoń o niespotykane długich, również wytatuowanych palcach i wskazał na walczących. – Oni cię nienawidzą, nawet teraz w wolnej chwili łypią na nas krzywo. Zazdroszczą ci. Masz przywileje, nie sypiasz we wspólnej zagrodzie, dostałeś uroczy mały pokoik w głównym budynku. Ofiarowano ci na wyłączność trofeum. Bardzo ładne trofeum, chyba najładniejsze ze wszystkich. Cieszysz się zaufaniem Mistrza Tresera, chadzasz sobie swobodnie po całym kompleksie. Żresz lepiej od nich, srasz wygodniej. Twoje życie nie przypomina ich. Jest całkiem znośne, gdyby nie ograniczona swoboda i taka sama obroza na szyi jak u wszystkich. A teraz zostaniesz ich panem. Zarzną cię jak świnię już pierwszego dnia.

– Twoje słowa podniosły mnie na duchu.

– Zawsze do usług.

Zapadło milczenie, obaj spoglądali na toczącą się przed nimi walkę. Jeden z gladiatorów, tak samo jak Ra'Shrani będący zniewolonym Baldorem, zagrał nieczysto, sypiąc piaskiem w oczy swojemu przeciwnikowi. Nie spotkało się to jednak z dezaprobatą. Ra'Shrani, weteran wielu potyczek i zwycięzca licznych turniejów, wiedział, że stając twarzą w twarz z rywalem, należy chwycić się wszelkich metod, by osiągnąć przewagę. W Kręgu Walki nie było miejsca na honor i zasady. Oślepiiony niewolnik próbował się osłonić, jednocześnie uskakując nieco w bok. Potężny cios drewnianego miecza uderzył go w zgięty łokieć, Ra'Shrani i Andai jednocześnie syknęli.

– Zwrócisz wolność tej swojej zabaweczce? – przerwał ciszę Andai.

Ra'Shrani już otwierał usta, by odgryźć się towarzyszowi, ale zaniechał zamiaru w ostatniej chwili. Nie było sensu w strofowaniu przyjaciela, już wiele razy ostro zwracał mu uwagę, by nie pozwalał sobie na takie określenia względem Isli, ale ten wydawał się głuchy na jego słowa.

– Pewnie, że zwrócisz – odpowiedział sam sobie Andai. – Ktoś jeszcze zasłuży na ten przywilej?

– Wiem, do czego zmierzasz, ale...

– Daj spokój – wtrącił się tamten ze zduszonym śmiechem. – Nie możesz pozwolić mi odejść, jestem dla tego Kręgu zbyt cenny. Żaden Mistrz Treser nie posiada w kolekcji kogoś takiego jak ja. Jestem unikatowy. Podoba mi się to. Ja, w odróżnieniu od tego całego bydła, naprawdę lubię to miejsce. Mogę czuć się wyjątkowy.

Ra'Shrani miał pewność, że Andai mówi szczerze.

„Dopóki mogę codziennie oglądać niebo, nie nazwę tego niewolą” – usłyszał kiedyś od niego. Baldor próbował wtedy ciągnąć Andaia za język, ale napotykał opór. Wytatuowany niewolnik uśmiechnął się półgębkiem i nic więcej nie zdradził.

Sparingowa walka dobiegła końca, na polecenie przyglądających się jej strażników wezwano felczera, który zajął się zwijającym się z bólu pokonanym. Najwyraźniej drewniany miecz strzaskał staw łokciowy. Z prowizorycznej areny ściągnięto przegranego, zwycięzca ustąpił miejsca kolejnej parze.

– Naprawdę ci nie zazdrozczę – ciszę przerwał głos Andaia. – O wiele łatwiej jest żyć według regulaminu, gdy nie musisz się przejmować, kiedy masz zjeść, a kiedy srać. Wszystko narzucają ci z góry. Teraz ty będziesz tu dowodził. Decydował o ich życiu. Dosłownie. Będziesz ich panem. Będziesz odpowiedzialny za dziesiątki osób, za to, żeby wszystkie trybiki w tej maszynie działały. Teraz będziesz wydawał rozkazy, a nie ich słuchał. Duża zmiana. Podobaś?

Ra'Shrani nie odpowiedział. Nie był głupi, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Kem'Zhu wytykał mu, że nie cieszy się z tego, co dostanie. Powinien czuć wdzięczność za odzyskaną wolność oraz otrzymaną władzę. Jedyne, co Ra'Shrani czuł, to niepokój i niepewność.

Do niewoli trafił jako młodzik, ponieważ ufał za mocno i bywał bezkrytyczny. Szybko nauczył się, że niczego nie dostaje się za darmo. Miał niejasne przeczucie, że za propozycją Kem'Zhu kryje się jakiś podstęp, że słono zapłaci za wolność. Próbował zdusić w sobie te paranoiczne myśli, ale zbyt długo tkwił w Kręgu Walki, by nie nabrać podejrzliwości w stosunku do każdego, kto przychodził do niego bez bata w rękach.



Gdy Ra'Shrani pierwszy raz usiadł za biurkiem na fotelu Kem'Zhu, poczuł, że to nie jest jego miejsce. Miał wrażenie, że wyściółka naszpikowana została ostrymi kolcami. Jakakolwiek pozycję przybrał, i tak było mu niewygodnie. Bezwiednie sięgnął palcami do szyi – wczoraj zdjęto mu obrożę. Bez żelastwa zaciśniętego na krtani czuł się niemal niczym bez ubrania.

Kem'Zhu zrobił z tego cały ceremoniał, po fakcie uściskał byłego już niewolnika, tak jakby miał do czynienia z równym sobie Baldorem. Ra'Shraniemu z trudem przychodziła myśl, że w istocie tak było. Stał się wyzwolencem, nie miał już nad sobą pana rozporządzającego jego życiem.

Po zdjęciu obroży Kem'Zhu zaprowadził go do kancelarii i zapoznał ze wszystkimi obowiązkami. Do późnych godzin nocnych tłumaczył zawilości buchalterii, rozprawiał o obowiązkach Mistrza Tresera, o jego reprezentacyjnej dla kultury Baldorów roli. Ra'Shrani zadawał mu dziesiątki pytań, chcąc jak najlepiej przygotować się do nowej roli. Mimo to nadal nie miał pewności, że sobie poradzi, chociaż żył w Kręgu Walki całe życie. Najpierw obserwował ojca, potem właściciela.

Kem'Zhu o poranku zwołał swoich gladiatorów oraz podwładnych na apel, gdzie oficjalnie przekazał wieści o rezygnacji i zaprezentował nowego Mistrza Tresera. Ra'Shrani słabo pamiętał jego wystąpienie, bo skupił się na twarzach spędzonych w jedno miejsce niewolników. Twarze ciemne, ponure, zastygłe niczym pośmiertne maski. Spojrzenia puste, nawet nie wrogie, jak przewidywał Andai. Gladiatorzy sprawiali wrażenie, że obojętne im było, kto dysponuje ich życiem. Ta reakcja zaniepokoiła Ra'Shraniego. Wolałby już okrzyki oburzenia od martwej ciszy i beznamiętnych obliczy.

Isla pocieszała go, że ten niepokój jest przejściowy. Nic dziwnego, że nie czuje się pewnie, skoro dekadę życia spędził jako niewolnik, bezwolne narzędzie zmuszane ku uciechu gawiedzi do rozlewu krwi, a teraz zwrócono mu wolność i dano do ręki władzę. Szybko się przyzwyczai. Nabierze dystansu.

Po raz kolejny zmienił pozycję i spojrzał na biurko. Sięgnął po księgę rachunkową, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i ujął zmiętą kartkę papieru zapisaną kilkoma imionami. Lista gladiatorów predysponowanych do Uczty. Ra'Shrani wgapiał się szklanym wzrokiem w zapisane imiona, nie czując nic, ani odrobiny współczucia czy trwogi. Sam przeszedł pierwszą Ucztę i, chwała Jego Boskości, nic z niej nie pamiętał. Miał jednak wątpliwą przyjemność asystować później w zabiegach. Kem'Zhu zaciągał go do podziemi głównego budynku Kręgu Walki, by oglądał ponury spektakl.

W założeniu Uczta miała wydobywać z gladiatorów prawdziwy potencjał, zwiększać siłę, odporność, percepcję. W rzeczywistości była ohydną, nieludzką torturą. Ofiarę przywiązywano do kamiennego stołu, a w jej żyły wtlaczano podejrzaną miksturę, w większości będącą zjadłymi truciznami. Organizm trawił je przez dwadzieścia cztery godziny, powodując oszałamiający ból. Jeśli pacjent dożywał ostatniej godziny, łaskawie wlewano w niego otumaniający preparat, który powodował zanik pamięci. Poddany Uczcie gladiator budził się po kilku dniach obolały i wycieńczony, ale bez wspomnień z tamtego koszmaru.

Ra'Shrani oglądał jednak na własne oczy przebieg Uczty. Słyszał potworne wycie niewolników, widział, jak ich ciała konwulsyjnie drgają, obserwował, jak skórzane pasy wrzynają się w ciało, gdy ofiary próbują wyszarpać się z więzów. Świszczące oddechy, pokrzwawione palce

złobiące ślady na kamiennym blacie stołu, mdlący zapach potu wymieszany z niewstrzymywanymi ekskrementami, czasami nawet odgryzione z bólu języki.

Pierwszą Ucztę jako świadek przeżył, rzygając w kącie. Z czasem nabral dystansu, spoglądał na te męki obojętnie. Co innego jednak być niezaangażowanym widzem, a co innego samemu wskazywać palcem, kto ma iść na tortury. To trudny wybór. Uczta, jeśli się powiedzie, da Kręgowi Walki kolejnego gladiatora o nadzwyczajnych umiejętnościach, co podwyższy szansę na wygraną w turniejach. Jeśli jednak Treser wybierze nieodpowiedniego niewolnika, który umrze podczas zabiegu, straci i towar, i trucizny. Ra'Shrani zajrzał do księgi z rachunkami.

Cyfry przy ingrediencjach potrzebnych do Uczty przyprawiły go o zawrót głowy. To było niczym hazard. Pewnie dlatego tak wielu Mistrzów Treserów nie decydowało się na dwa kolejne ceremonie z tym samym wojownikiem. Cały zabieg składał się z trzech serii, każda następna sesja wykorzystywała potężniejsze trucizny. Niewielu przeżywało swoją drugą Ucztę.

Z tego, co Ra'Shrani wiedział, tylko jedna osoba przetrwała trzeci zabieg. Gladiator był trzykrotnym mistrzem igrzysk Miasta Wież, nie przegrał żadnego pojedynku od wielu lat.

Odłożył listę na miejsce i uniósł się z niewygodnego fotela. Nie chciał na razie zagłębiać się w tajniki fachu Mistrza Tresera, wolał odłożyć ten moment. Pomyślał o Isli, czekającej w jego nowej komnacie, odziedziczonej również po Kem'Zhu. Przebrana w suknie z najprzedniejszych jedwabi, świeża i wypachniona, ale przede wszystkim wolna, bez żelaznej obręczy ciasno oplatającej jej łabędzią szyję. Już nie była jego trofeum, nie należała do nikogo, mogła sama decydować, co ze sobą począć. Ra'Shrani uśmiechnął się do siebie. Ciekawe, jak to jest kochać się z wolną kobietą, samemu będąc wyzwoleniec.

Okrzyknął masywne biurko i ruszył w kierunku wyjścia z kancelarii. Zatrzymał się, gdy drzwi niespodziewanie otworzyły się, pchnięte muskularną ręką jednego z gwardzistów. Między strażnikami stał Andai, bez kaptura, prezentując wszystkim szpetne, ale inteligentne oblicze.

– Niewolnik prosi o audiencję – mruknął jeden z gwardzistów, zasłaniając drogę do pomieszczenia halabardą. Czekal na polecenie swojego nowego pana, Ra'Shrani zorientował się dopiero po chwili.

– Wpuśćcie go i zamknijcie drzwi.

Drugi ze strażników popchnął gladiatora. Andai uśmiechał się nieprzyjemnie, prezentując swoje ostre zęby.

– Audiencja? – Gdyby miał brwi, pewnie uniósłby je w rozbawieniu.

– Nie czepiaj się szczegółów. Czego chcesz?

– Powitać cię w roli nowego Mistrza Tresera. – Wojownik



w szyderczym geście pokłonił się zamasyście przed zniesmaczonym Ra'Shranim. – Ale to nie wszystko. Niczego się nie domyślasz?

Nowy Mistrz Treser spojrział ze zdziwieniem na niewolnika. Wyraz drwiny zniknął z sinawej twarzy Andaia, teraz spoglądał na Ra'Shraniego ponuro. Jego oczy wydawały się nie jasnoniebieskie, lecz granatowe, niczym morze przed sztormem.

Andai rzadko zrzucał maskę ironicznego rozbawienia, Ra'Shrani jeszcze nie widział go tak poważnego, skupionego. I jednocześnie zaniepokojonego.

– O co ci chodzi? – zapytał powoli.

– Nie udawaj głupszego, niż jesteś w rzeczywistości. Przemyślałem to sobie. Wymówka Kem'Zhu była wyjątkowo naiwna, czułem, że coś kręci, jego szybka wyprowadzka z Kręgu tylko mnie w tym utwierdziła. Ściągnął ci obrożę, pogratulował, rzucił na odchodne kilka rad, po czym błyskawicznie się spakował i tyle go widziano. Uciekł, nie dostrzegasz tego? Pozostawił za sobą dorobek całego życia. Ciągnął się za nim odór strachu. Nie oddał ci Kręgu Walki, bo uważał cię za godnego następcę. Wcale nie czuł się znużony swoją rolą. Uciekł jak szczur z tonącego statku. Wpadł w jakieś gówna i zostawił cię z nim. Nie mogłeś się nie domyślić. Zawsze miałem cię za mięśniaka, jednak obdarzonego namiastką rozumu.

Przytyki Andaia nie robiły na Ra'Shranim wrażenia. Zamyślił się głęboko, wpatrzony w klepisko. Tak, na jakimś poziomie domyślał się, że to pułapka. Dlatego podczas pierwszej rozmowy z Kem'Zhu zdawał się sceptyczny, długo się wahał. Podskórnie czuł, że historia Mistrza Tresera jest szyta zbyt grubymi nićmi. Zagłuszył jednak podszepty zdrowego rozsądku i dał się ogłupić świeżo odzyskanej wolności oraz nowo nabytej władzy.

– Ra, słyszysz mnie? – Drgnął, gdy wytatuowana dłoń o długich palcach spoczęła na jego ramieniu. – Musisz się mieć na baczności. Cokolwiek spieprzył Kem'Zhu, teraz ty będziesz musiał zmierzyć się z konsekwencjami. Nie możesz ufać nikomu, ani niewolnikom, ani strażnikom. Na twoim miejscu nie ufałbym nawet tej twojej zabaweczce. Kem'Zhu bardzo chętnie oddał ci ją na wieczyste posiadanie.

Ra'Shrani nie odpowiedział, podniósł jednak wzrok i wlepił oczy w twarz Andaia. Isla? Isla miałyby mieć z tym cokolwiek wspólnego? Poczł nieprzyjemne mrowienie na karku. Przecież koła jego niepokoje i przekonywała, że poradzi sobie z wolnością.

Nowy Mistrz Treser nieznacznie przekrzywił głowę, spoglądając intensywnie na stojącego przed nim niewolnika. Czy jeśli ma nie ufać nikomu, to Andaiowi też?



Taras rozpościerał się dokładnie nad największą areną treningową. Wysoki, wyściełany miękkim atłasem fotel osłaniał baldachim, kryjąc obserwatorów przed prażącym słońcem Hylonu. Ra'Shrani odesłał służących z wachlarzami oraz kazał sprzątnąć stoliki z napitkiem i jadłem. Nie przyszedł tu opychać się smakołykami i pić drogich alkoholi, jak to w zwyczaju miał Kem'Zhu, kiedy doglądał walk swoich niewolników. Isla nie protestowała, ale tęsknie oglądała się za odnoszonymi przez służki karafkami pełnymi ciemnoczerwonego wina. Wygodnie usadowiła się na szezlongu, podciągając długie nogi.

Jej suknia z białego jedwabiu miała rozcięcia po obu stronach, a materiału ledwie starczyło na zakrycie pełnych, sprężystych piersi. Wbrew wcześniejszym wątpliwościom szybko dostosowała się do wolności, przyzwyczała do codziennych kąpiei i zabiegów, pięknych sukien i dobrego jedzenia. Z pewnym politowaniem patrzyła na służące jej niewolnice oraz zamknięte w odosobnieniu trofea.

Gdy Isla sprawiała wrażenie, że bardzo jej wygodnie na szezlongu, Ra'Shrani wiercił się na swoim fotelu. Zdecydował się zrezygnować z większości przywilejów, nie chcąc irytować znajdujących się przed nimi niewolników. Doskonale pamiętał uczucie wstrętu, gniewu i zazdrości, gdy był na ich miejscu i spoglądał w górę, na taras, gdzie Kem'Zhu siedział w cieniu, wachlowany przez służbę, zajadający się frykasami, a tymczasem on smażył się we wściekłym słońcu Hylonu, odparzał sobie skórę od napierśnika i nabijał siniaki podczas sparingów z innymi gladiatorami.

Przysunął fotel nieco bliżej balustrady, na granicę rzucanego przez baldachim cienia, by móc lepiej przyjrzeć się wkraczającym na arenę dwóm wojownikom. Imię jednego z nich miał na liście wytypowanych do Uczty. Musiał się przekonać, czy to odpowiedni wybór, czy wojownik jest na tyle silny i zdeterminowany, by przetrwać tortury.

Zgodnie z regulaminem gladiatorzy zwrócili się ku niemu i oddali mu honory, niechętnie, tak przynajmniej wydawało się nowemu Mistrzowi Treserowi. W stronę łoży spojrział również czuwający nad sparingami strażnik. Ra'Shrani uniósł rękę, dając mu znać, że wojownicy mogą zaczynać. Strażnik wydał komendę, przeciwnicy naprężyli mięśnie. Ra'Shrani całą swoją uwagę skupił na potencjalnym kandydacie, wysokim, barczystym mężczyźnie o cynamonowej skórze i hebanowych długich włosach związanych w kity.

Jego szerokie ramiona i plecy zdobiły ciemne, brzydkie tatuaże, w niczym nieprzypominające finezyjnych, błękitnych linii na skórze Andaia. Rysunki na ciele gladiatora były dziełem przypadkowych

artystów z więzień rozsianych po całym Hylonie. Wojownik miał bogatą przeszłość. Nim trafił do Kręgu Walki Kem'Zhu, przebywał w karnej kopalni rudy na południu królestwa. Z tego, co Ra'Shrani wyczytał z papierów zostawionych mu przez poprzednika, niewolnik również tam walczył, w nielegalnych, niemających nic wspólnego z tradycją Hylonu Kręgach organizowanych przez nadzorców. Miał także za sobą dość długą karierę wojskową. Wiedział, jak walczyć. Wiedział, jak zabijać.

Kandydat do Uczty zaatakował jako pierwszy, ruszył na swojego przeciwnika niczym rozjuszony byk, zamachnął się drewnianym treningowym mieczem. Drugi z gladiatorów osłonił się, rozległ się huk uderzającego o siebie drewna. Stali przez chwilę w zwarciu, aż oponent odskoczył do tyłu i tym razem on zaatakował.

Wymiana ciosów była nieco chaotyczna, ale obaj gladiatorzy zdawali się zdeterminowani. Ra'Shrani wiedział, co ich motywowało. Zwycięzcy sparingów pierwsi dostawali jedzenie, pierwsi zachodzili do łaźni. Przegrani zjadali ich resztki i kąpali się w brudnej wodzie. Oparł ramiona na podłokietnikach, splótł ze sobą dłonie i przytknął je do ust, wodząc oczyma za ruchami walczących.

Jego kandydat nie zdołał się osłonić i oberwał silnym ciosem w bok, w okolice nerki. Siedząca obok Isla syknęła i odwróciła wzrok. Uderzenie było piekielnie bolesne, ale gladiator tylko wykrzywił się i głęboko zaczerpnął tchu, nie dał złamać swojej postawy, przed kolejnym trafieniem osłonił się i skontrolował. Był odporny na ból. Taki cios to nic w porównaniu z piekłem Uczty, ale dobrze rokowało.

Potyczka trwała wyjątkowo długo, jak na standardy zwyczajnego sparingu, żaden z gladiatorów nie zamierzał odpuścić. Ich ciosy stawały się coraz bardziej o cięższe, oddechy coraz bardziej chrapliwe, po posiniaczonym ciele spływały krople potu. Krew z rozbitej głowy zalewała oczy jednego z niewolników. Walka zaczynała nużyć nawet oczekujących na swoją kolej wojowników, więc Ra'Shrani wstał, co było jednoznacznym sygnałem dla obserwującego walkę strażnika. Zbrojny wpadł między walczących i rozdzielił ich.

Byli tak zaślepieni, tak pochłonięci pojedyńkiem, że gwardzista musiał rozdzielać ich batem, po czym stróż spojrzął na Mistrza Tresera i podniósł kciuk. Ra'Shrani skinął głową. Oznaczało to, że walka zakończyła się remisem, z korzyścią dla obu wojowników. Obaj wyszli ze sparingu jako zwycięzcy, obaj dzisiaj zjedzą suty, sycący posiłek i wykąpią się w czystej wodzie.

Gladiatorzy zeszli z areny i szybko na ich miejsce wkroczyła kolejna para. Ra'Shrani opadł z powrotem na fotel.

– Ten z tatuażami był lepszy – usłyszał z boku głos Isli. – Zranił przeciwnika do krwi.

– Obaj dobrze walczyli i zasługują na nagrodę.

– Jak uważasz, ty w końcu jesteś Mistrzem Treserem – odparła lekko.

Ra'Shrani zacisnął mocno szczęki, niezauważalnie dla Isli. Nie potrafił wyrzucić z głowy słów Andaia. Od tamtej rozmowy nowy Mistrz Treser zastanawiał się nad każdym słowem wypowiedzianym przez kobietę. Co miało znaczyć to zdanie? Skąd ten lekkoduszny ton? Dlaczego wyglądała na znudzoną? Co się za tym kryje?

Nie potrafił skupić się na walkach, patrzył na arenę, ale tak naprawdę nie widział gladiatorów, wciąż błądził myślami i odtwarzał w głowie słowa Andaia. Dopadało go coraz więcej wątpliwości. A może jego przyjaciel tylko z nim pogrywał? Może miał jakiś ukryty cel? Był podłą istotą, Ra'Shrani znał go nie od dziś, ale zawsze instynktownie mu wierzył. Może się pomylił?

Sparingi zakończyły się. Mistrz Treser z ulgą zarządził przerwę, jego gladiatorzy mieli teraz chwilę, by w cieniu budynków gospodarczych odsapnąć, napić się wody i zjeść rozdawany przez garkuchnię posiłek złożony z mięsnej papki. Jedzenie pożywne, ale pozbawione smaku. Ra'Shrani wstał ze swojego fotela i zwrócił się w stronę podnoszącej się z szeslonga Isli, ale tknięty przecuciem, odwrócił się i spojrzał na dół. Strażnicy otwierali właśnie skrzydło wielkiej żelaznej bramy, wpuszczając w obręb Kręgu Walki grupę Baldorów.

Ra'Shrani podszedł do balustrady, oparł dłonie i wychylił się nieco, by lepiej przyjrzeć się przybyszom. Dostrzegł czarne, jakby osmolone napierśniki. Usłyszał za sobą, jak Isla nabiera głęboko powietrza.

– Łowcy niewolników – powiedziała zduszonym głosem.

Wartownicy Kręgu stanęli gościom na drodze. Jeden z łowców uniósł głowę i spojrzał wprost na taras, na Ra'Shraniego. Uniósł rękę w geście pozdrowienia. Nowy Mistrz Treser chwilę mu się przyglądał, zastanawiając się, co, do ciężkiej cholery, sprowadza do Kręgu Walki łowców. Kem'Zhu rzadko korzystał z ich usług, swój towar nabywał u sprawdzonych handlarzy, czasami sam wyprawiał się po niewolników na drugi kraniec Hylonu. Nie chciał się zadawać z hyclami, jak o nich mówił. Uważał, że to nieeleganckie.

W stronę Mistrza Tresera odwrócili się także strażnicy, czekający na polecenie. Kiwnął im głową, pozwalając wpuścić przybyszów głębiej, sam natomiast opuścił taras. Słyszał za sobą drobne, szybkie kroki Isli.

– Nie stanę naprzeciwko nich. – W jej głosie usłyszał złość i strach.

– Nikt ci nie każe, idź do komnaty i tam czekaj. Ja z nimi porozmawiam.

Spotkali się w chłodnym kamiennym korytarzu. Do środka, przyprowadzony przez wartowników, wszedł tylko jeden łowca, najprawdopodobniej przywódca bandy. Był barczystym, wysokim Baldorem o miedzianej skórze poznaczonej bladymi bliznami. Czarne,

rzadkie włosy nosił związane w długi, naoliwiony, sięgający między łopatki warkocz. Nie miał rogów, ktoś dawno mu je spiłował niemal przy samej głowie. Ruszył w kierunku Ra'Shraniego z otwartymi ramionami, jakby chciał go objąć na powitanie. Mistrz Treser ruchem ręki uspokoił gotujących się do wyciągnięcia broni strażników.

– Sporo się zmieniło, odkąd ostatni raz byłem w Soreham! – zawołał przybysz tubalnym głosem, w którym pobrzmiwały wesołe nutki. – Rozumiem, że Kem'Zhu już nie jest Mistrzem Treserem.

– Zgadza się, teraz ja nim jestem. Ra'Shrani, syn Kren'Naaha.

Łowca uśmiechnął się półgębkiem.

– Kos. Imię proste jak szczeknięcie. Skoro przejąłeś od Kem'Zhu interes, to znaczy, że przejąłeś także jego długi.

– Długi?

Uśmiech Kosa stał się jeszcze szerszy.

– Może porozmawiamy spokojnie, sami, w ustronnym miejscu?

Ra'Shrani popatrzył przybyszowi w oczy. Dostrzegł, że tamten miał źrenice różnych kolorów, lewa była ciemna, prawie czarna, prawa zaś zielonkawa. Uśmiezek nie schodził z jego twarzy i Ra'Shrani czuł, że za tą zadowoloną miną kryje się coś jeszcze. Pokiwał głową i gestem zaprosił gościa, by szedł za nim.

Wspięli się po schodach i udali do kancelarii. Mistrz Treser wskazał na krzesło, ale Kos odmówił.

– Postoję, wolę się nie rozsiadać. Mamy z chłopakami napięty terminarz, dlatego będę się streszczał. Kem'Zhu jest nam dłużny sporo złota. Zaokrąglając, około dziesięciu tysięcy.

Ra'Shrani próbował zachować na twarzy wyraz obojętności.

– To sporo. Mogę zapytać, w jaki sposób wpadł w długi?

– Ja i moi chłopcy, Spaleni, pracujemy dla różnych handlarzy, zwykle nie zawieramy umów bezpośrednio z Kręgami Walki. To psuje interesy na wielkich targowiskach, na dodatek zraża do nas wielu straganiarzy, a ja lubię pozostawać z moimi klientami w dobrej komitywie. Wyjątek zrobiłem dla Kem'Zhu. Dobrze płacił. Aż w końcu przestał. Wysyłałem bezpośrednio do niego naszą najlepszą zwierzynę, ale w pewnym momencie pieniądze przestały płynąć. Nie zamartwiałem się, bo wiedziałem, że Kem'Zhu to solidny gość. Dług jednak zaczął rosnać. Przestałem więc posyłać mu co lepsze kaski, pieniędzy jednak dalej nie widziałem. Musiałem się pofatygować osobiście. Oto jestem. I pytam: gdzie moje złoto?

Kos wyciągnął wymięty papier i pomachał nim lekceważąco przed oczyma nowego Mistrza Tresera. Ra'Shrani chłodno wpatrywał się w wyszczerzonego wilczo łowcę niewolników, przejął od niego kartkę i spojrział. Był to dokument spisany naprędce czyjąś niewprawną ręką; litery były duże, kulfoniaste, zdania krótkie i pełne błędów. Na dole

widniały dwa podpisy, jeden złożył Kos. To on sporządził dokument, sygnatura składała się z takich samych kanciastych liter. Drugi podpis należał do Kem'Zhu, Ra'Shrani wszędzie rozpoznałby jego pismo.

Wolał się jednak upewnić. Okrążył biurko i przewertował księgę z rachunkami, by porównać podpisy. Kos obserwował go z rozbawieniem, nic jednak nie powiedział, zaplótł ręce na potężnej piersi i cierpliwie czekał.

Podpisy się zgadzały.

Ra'Shrani powstrzymał się od ciężkiego westchnienia. Teraz nie dziwił się, dlaczego Kem'Zhu zostawił mu Krąg Walki i sam uciekł. Był dłużny łowcom sporą sumę, ale nie to przstraszyło Baldora. Naraził się nieodpowiednim ludziom. Wszyscy w Hylonie znali bezwzględność i okrucieństwo łowców niewolników. Za złoto byli gotowi posprzedawać własne matki. Liczył się tylko zysk.

– To był dług Kem'Zhu, dlaczego ja mam go spłacać? – zapytał spokojnie. – Nie, nie, nie, tu się mylisz. To dług Kręgu Walki. Skoro go przejąłeś, to znaczy, że przejąłeś także jego zobowiązanie. Naczynia połączone, widzisz?

Mistrz Treser popatrzył na łowcę. Ten stał swobodnie, z jedną nogą wysuniętą do przodu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Nie stracił pogodnego wyrazu twarzy, choć Ra'Shrani nie wiedział, na jak długo starczy mu cierpliwości. Gestem poprosił gościa o chwilę, okrążył biurko i spojrzał w księgę z rachunkami, przekartkował ją. Nigdzie nie znalazł dodatkowych dziesięciu tysięcy.

– Nie mam tyle złota – rzekł szczerze, patrząc w różnokolorowe oczy Kosa. – Znaczący mam, ale jest ono potrzebne do funkcjonowania Kręgu. Wyплаты dla strażników, kupno jedzenia, nowego wyposażenia... Obecnie nie jestem w stanie spłacić zadłużenia. Mogę... mogę jednak zaofiarować coś w zamian. Towar równowarty dziesięciu tysiącom. Wytypuję niewolników na sprzedaż, a wy fachowym okiem ich ocenicie i weźmiecie tylu, ilu potrzeba na spłacenie długu. Sprzedacie ich handlarzom i otrzymacie swoje pieniądze.

Kos zastanawiał się, pocierając dłonią masywną szczękę.

– Sami gladiatorzy?

– Wolałbym nie, nie chcę stracić wszystkich wojowników. Służba i trofea także.

– To będzie sporo ludzi.

– Mamy jakieś inne wyjście? – Ra'Shrani wzruszył ramionami. – Mogę jeszcze zaproponować, żeby dług rozłożyć na raty, ale wątpię, czy się zgodzisz, czekałeś na swoje złoto wystarczająco długo. To jedyne rozwiązanie, żeby sprawy między nami się wyjaśniły. Co ty na to?

Na twarzy najemnika pojawił się uśmiech, tym razem pozbawiony ironii. Wyciągnął ku Mistrzowi Treserowi swoją wielką dłoń, Ra'Shrani

bez wahania ją uściskał. Była twarda, chropowata, ale dziwnie zimna.

– Podobasz mi się. Lubisz konkrety, tak samo jak ja. Nie mydlisz oczu jak Kem’Zhu. Potrafię to docenić. Co powiesz na spotkanie w pół drogi? Wezmę niewolników o równowartości połowy długu, resztę będziesz mi oddawał w ratach.

– To... hojne. Doceniam.

– Przemyśl sobie propozycję dalszej współpracy. Gdy już spłacisz należność, może odnowimy umowę między Spalonymi a Kem’Zhu? Będziemy ci przysyłać najlepszy towar w zamian za złoto, pod warunkiem że uczciwie mi przyznasz, kiedy nie będzie cię na to stać.

– Rozsądne. Zastanowię się.

Kos jeszcze chwilę mocno ścisnął rękę Ra’Shraniego, po czym puścił ją. Mimowolnie Ra’Shrani wzdrygnął się i ledwie powstrzymał, by nie wytrzeć dłoni. Ta reakcja go zdziwiła. Negocjacje z Kosem szły gładko, a łowca niewolników sprawiał dość dobre wrażenie. Mistrz Treser nie mógł jednak pozbyć się niepokoju.

Kos kiwnął głową na pożegnanie, ale przy drzwiach zatrzymał się i odwrócił do byłego gladiatora, obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Słyszałem o tobie. Syn Mistrza Tresera Kren’Naaha. Trafiłeś do niewoli i przez długie lata walczyłeś dla Kem’Zhu. Wiesz, jak to jest być czyjąś własnością. Ja też. Ra’Shrani, Kren’Naah, Kem’Zhu... to imiona szlachetnie urodzonych Baldorów. Takich jak ja, urodzonych w niewoli, synów niewolniczych matek, nazywa się krótko, łatwo, żeby można to szybko spamiętać. A jednak z tych samych pieców chleb jedliśmy. Może dlatego tak dobrze się dogadujemy. Wytypuj niewolników, jutro moi chłopcy po nich przyjdą.

Powiedziawszy to, wyszedł. Ra’Shrani został sam. Usiadł na fotelu, naparł plecami na oparcie i ciężko westchnął. Potarł palcami czoło. Zorientował się, że skórę ma lepką od potu. Było duszno i gorąco, ale wcale nie dlatego się spocił. Popatrzył na drzwi, przez które przed chwilą wyszedł Kos. Nic dziwnego, że Kem’Zhu uciekł, zostawiając dług w jego rękach. Wobec byłego już Mistrza Tresera Kos nie okazałby tyle cierpliwości i wyrozumiałości. Przywódca Spalonych miał w sobie coś, co powodowało, że na jego widok trzęsły się kolana. Lepiej takiemu nie wchodzić w drogę.



Całe napięcie zeszło z Ra’Shraniego. Od czasu pojawienia się Kosa i jego bandy zniknął dręczący go niepokój. Wszystko się wyjaśniło. Kem’Zhu dał nogę, zostawiając mu zadłużony Krąg Walki, bo bał się gniewu

swojego nieprzewidywalnego wierzyciela. Jednak nowy Mistrz Treser gładko dogadał się z Kosem. Łowcy w ramach rekompensaty wzięli kilku jego gladiatorów, służących i trofea. Ich cena nie przekraczała połowy długu. Resztę Ra'Shrani miał spłacać zgodnie z harmonogramem.

Układ był wygodny, ale Isla ostrzegła go, by nie ufał łowcom. Nigdy wcześniej nie miał z nimi do czynienia. Został niewolnikiem, ale nie przeszedł przez ich ręce. Z rodzinnego domu zabrała go straż, wrzuciła do śmierdzącej celi w miejskich kazamatach, stamtąd trafił wprost do handlarzy, następnie do zagrody Kem'Zhu. Isłę upolowali łowcy. Radziła mu, by się z nimi nie spoufalał, ale o niczym więcej nie wspominała. Widział strach w jej oczach, ale kobieta nie chciała mu powiedzieć, dlaczego tak się boi. Widać tamte wspomnienia były zbyt bolesne.

Obudził się, gdy na zewnątrz dopiero zaczynało szarzeć. Zrywał się z posłania o świcie, choć już nie musiał, nie był już gladiatorem, jego dzień nie rozpoczynał się bolesną pobudką z samego rana. Nie potrafił się jednak przestawić. Uniósł się i usiadł na miękkim, szerokim łożu. Isla spała obok, oddychając płytko i równomiernie. Prześcieradło zsunęło się nieco i odsłoniło jej biodro oraz długą, smukłą nogę. Ra'Shrani uśmiechnął się pod nosem. Kusilo go, by przejechać po jej miękkiej, gładkiej skórze, ale nie chciał budzić kochanki. Wstał i ubrał się. Poranek zamierzał spędzić w kancelarii, głowiąc się nad tym, skąd weźmie złoto na pierwszą ratę dla Kosa.

Do południa zajął się mnóstwem rzeczy, zrobił porządek w rachunkach, sporządził listę potrzebnych produktów, przeszedł się po arenie i doglądał treningów, porozmawiał z cyrulikiem zajmującym się opatrywaniem poobijanych wojowników, wysłuchał sprawozdań gwardzistów. Zamierzał właśnie zejść z areny i udać się do kancelarii, aby tam zjeść jakiś ciepły posiłek, gdy zatrzymali go strażnicy. Prowadzili ze sobą nieznanego mu z twarzy Baldora. Ra'Shrani zmarszczył brwi. Kolejni goście w tak krótkim czasie. Poczul, jak mrowi go na karku. Z jakim następnym problemem zostawił go Kem'Zhu?

– Chce się widzieć z Mistrzem Treserem – zakomunikował sucho wartownik.

– Tak. – Gość chrząknął znacząco. – Z Mistrzem Treserem Kem'Zhu. Proszę mnie do niego zaprowadzić.

– Z chęcią, gdybym wiedział, gdzie jest. Wspominał coś o Mieście Wież. Teraz ja tu rządzę. Mistrz Treser Ra'Shrani.

Baldor zrobił okrągłe oczy, ale szybko się opanował. Pokłonił się nisko przed zaskoczonym Ra'Shranim.

– Jestem wysłannikiem Mistrza Tresera Aza'Balnora z miasta Isvalf, nazywam się Volthan. Przybyłem potwierdzić warunki zakładu.

– Jakiego zakładu?

Volthan zwinął dłoń w pięść i przystawił do ust, chrząknął. Ra'Shrani



jednym spojrzeniem kazał swoim strażnikom zostawić ich samych. Obaj Baldorzy stali na ubitej ziemi, otoczeni przez spływających potem, wymachujących treningowymi mieczami gladiatorów.

– Podczas ostatnich Igrzysk Miasta Wież Mistrz Treser Kem’Zhu zaproponował mojemu panu, czcigodnemu Aza’Balnorowi, zakład. Założyli się, że następne Igrzyska zwycięży gladiator należący do Mistrza Tresera Kem’Zhu. Wszystko słyszała Jego Boskość, król-bóg Jegon Ralo, który sam wyraził zainteresowanie owym zakładem. Zwycięzca miał otrzymać sto tysięcy sztuk złota od pokonanego. Dodatkowo mój pan podbił stawkę. Gladiatorzy z przegranego Kręgu Walki mieli zostać własnością zwycięzcy.

Volthan znowu chrząknął.

– Mistrz Treser przegranego Kręgu również.

Ra’Shrani stał nieruchomo, z zaplecionymi z tyłu rękoma, wgapiając się w nieco zakłopotanego posłańca z Kręgu miasta Isvalf. Wszystko nagle stało się dla niego jasne. Kem’Zhu oddał mu wszystko i uciekł nie dlatego, że bał się gniewu zirytowanego Kosa i jego Spalonych. To była tylko część prawdy. Przestraszył się pochopnej decyzji, jaką było wyzwanie rzucone najlepszemu Mistrzowi Treserowi w kraju.

Znudzony i poirytowany Kem’Zhu, oglądając w loży Jego Boskości zmagania gladiatorów, zaproponował Aza’Balnorowi zakład. Miał pewnie dosyć dominacji miasta Isvalf i czempiona Azy, trzykrotnego zwycięzcy Igrzysk Quelaath. Aza’Balnor podjął rzuconą rękawicę i podbił stawkę. Przegrany miał stracić wszystko, swój Krąg, swoich wojowników, własną wolność. Kem’Zhu szybko pojął, jak pochopna i głupia była jego decyzja, w oczy zajrzał mu strach. Nie zamierzał zostawać niewolnikiem, więc zrzekł się swoich praw do Kręgu i oddał go Ra’Shraniemu, wyzwoleńcowi. Przecież jemu będzie wszystko jedno, czy utrzyma wolność, czy znowu ją straci, prawda? Jeśli przegra, ponownie założą mu obrożę i zmuszą do walki, ale to nie będzie dla niego żadna nowość, czyż nie?

Ra’Shrani zwinął dłoń w pięść i z całej siły uderzył nią w blat biurka. Dawno już odprawił Volthana, siedział teraz w kancelarii, blady i drżący z wściekłości. Tępy ból rozlał się po całej ręce, ale Ra’Shrani go ignorował. Zamachnął się i raz jeszcze uderzył, licząc na to, że fizyczne cierpienie zagłuszy bezsilną wściekłość, która szarpała jego wnętrznościami. Uniósł oczy i poparzył na stojącego pod ścianą Andaia.

– Dlaczego to zrobił? Dlaczego rzucił wyzwanie Aza’Balnorowi? Przecież wiedział, że ten ma w swojej zagrodzie niepokonanego wojownika! Jego czempion ukończył całą Uczę! Rozumiesz? Wszystkie trzy etapy. To już... to już nie jest śmiertelnik... to jakaś wyższa forma życia. Nadczłowiek... Dlaczego więc Kem’Zhu to zrobił...?

Gladiator wrzuszył ramionami i nad głową Ra’Shraniego spojrzął

przez okno.

– Zawsze był upartym i ambitnym dupkiem – odparł. – Być może Aza’Balnor go sprowokował. Honor nie pozwolił mu się wycofać. Ale ten zakład i tak zawarł Aza’Balnor z Kem’Zhu, co ci do tego? Nie możesz się wycofać?

– Nie, jeśli nie chcę stracić w oczach króla-boga. Jeśli się wycofam, Krąg Walki straci szacunek i poważanie, nikt nie będzie chciał wystawiać przeciwko nam swoich gladiatorów, już nigdy nie weźmiemy udziału w porządnym turnieju, a to oznacza, że zostaniemy bez pieniędzy. Bez złota nie splączę Kosa, nie chcę robić sobie z niego wroga. To błędne koło. Muszę się zgodzić na warunki Azy. Muszę wystawić swojego najlepszego gladiatora przeciwko jego potworowi. Jestem w dupie. W kurewsko ciemnej dupie.

Ra’Shrani oparł łokcie o blat i złożył głowę na dłoniach. Andai uważnie go obserwował, dostrzegł nieznaczne drżenie ramion nowego Mistrza Tresera. Oderwał się od ściany, nieśpiesznie poszedł do biurka i położył obie wytatuowane dłonie na drewnianym meblu. Nachylił się w kierunku przyjaciela.

– Ten skurwiel pewnie myślał, że wszystko mi jedno... – wymamrotał Ra’Shrani. – Że ponownie utracona wolność wcale mnie nie zaboli. Już nigdy więcej nie chcę, żeby ktokolwiek wkładał mi obrożę na szyję. Nigdy więcej nie chcę być niczyją własnością.

– Musisz zatem wygrać. To proste, nie? Zwycięzca zgarnia sto tysięcy oraz niewoli przegranego. Na Igrzyskach Quelaath musisz więc wystawić gladiatora, który pokona niewolnika Aza’Balnora.

Ra’Shrani odjął ręce od głowy i popatrzył ze zdumieniem na paskudną twarz Andaia. Parsknął gorzkim śmiechem, chociaż wcale nie było mu wesoło.

– Dziękuję za uświadomienie, bez ciebie sam bym do tego nie doszedł.

– Widzisz, już z tobą lepiej, zamiast się rozklejać, zaczynasz się wkurzać. Wiem, że sytuacja nie napawa cię optymizmem, Kos zabrał ze sobą część niewolników, osłabił Krąg. Nie masz na podorędziu nikogo, kto mógłby się zmierzyć z tym „nadczołwiekiem” Aza’Balnora, jak sam go nazwałeś... Przynajmniej na razie.

Przez chwilę obaj milczeli. Na twarzy Ra’Shraniego powoli malowało się zrozumienie, choć jeszcze nie potrafił sformułować swoich przypuszczeń w słowa.

– Powiem to za ciebie. Musisz zaprosić kogoś na Ucztę. Mam już jedną za sobą, chętnie skosztuję drugiej.

– Andai... czy ty wiesz, na co się piszesz? Nie pamiętasz niczego z pierwszego etapu, ale ja widziałem, co się wtedy dzieje... Tego nie da się opisać żadnymi słowami, tego potwornego, nieludzkiego bólu...

Istnieje szansa, bardzo duża, że nie przeżyjesz.

– Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa, a tobie bardzo zależy na zwycięstwie. Jeśli ceną za siłę jest ból, akceptuję to. O mnie się nie bój, jestem wytrzymały.

Ra'Shrani wciąż wyglądał tak, jakby nie dowierzał temu, co usłyszał. Gladiator skwitował to parsknięciem. Wyprostował się i ponownie zaplótł ramiona na wklęsłej piersi.

– Nie myśl sobie, że robię to, żeby ratować twoje rogate dupsko. Aż tak cię nie kocham. Robię to dla siebie. Tam, skąd pochodzę... siła decyduje o wszystkim. Im jesteś potężniejszy, tym większą dzierzysz władzę. Ja... nigdy specjalnie się nie wyróżniałem. Wśród swoich uważany byłem za słabeusza. Groźny, ale zawsze słabeusz. W pogoni za potęgą jestem w stanie wiele znieść. Nawet godziny bolesnej tortury. Dam radę. Przemyśl to, Ra'Shrani. Obaj na tym skorzystamy. Masz jakiś lepszy plan? Możesz poddać mnie drugiej Uczcie i wystawić przeciwko potworowi Aza'Balnora albo od razu założyć sobie obrozę na szyję.

Ra'Shrani zmarszczył brwi, utkwił spojrzenie w blacie, wodził wzrokiem za rysami i pęknięciami w drewnie, rozważając wszelkie za i przeciw. Andai spokojnie wpatrywał się w niego, oczekując decyzji. W pewnej chwili Mistrz Treser uniósł się ze swojego fotela.

– Dobrze, skoro tego chcesz. Do Igrzysk Quelaath zostały trzy księżyce. Miejmy nadzieję, że zdążysz się zregenerować. Ucztę czas zacząć.



Isla stała w ich wspólnej komnacie przy oknie, z dłońmi na biodrach, i nerwowo tupiała obcasem. Całej historii wysłuchiwała w ciszy, z kamiennym wyrazem twarzy. Ra'Shrani zmarszczył brwi. Zwykle czytał w niej jak w otwartej księdze, teraz jednak nie wiedział, co chodzi po głowie jego kochance.

– To szaleństwo – rzekła wreszcie. – Andai zginie.

– To był jego pomysł. – Wzruszył ramionami. – Jest ochotnikiem. Nie mam nic do stracenia, Islo. Oprócz cholernie drogich ingrediencji potrzebnych do Uczty.

– Andai zginie – powtórzyła mocniej, mrużąc oczy z wściekłości.

Przez chwilę milczeli, wpatrzeni w siebie.

– Co cię to interesuje? Nigdy za nim nie przepadałaś – odparł cicho.

Kobieta wydała z siebie pełen poirytowania jęk, zakryła dłońmi twarz i zastygła w tej pozycji na kilka chwil. Szybko opuściła ramiona i podeszła do niego, zwinęła ręce w pięści i uderzyła Ra'Shraniego

mocno w pierś. Spod gniewnie zmarszczonych brwi spoglądały pociemniałe ze wzburzenia oczy.

– Głupi jesteś? Śmierć Anadaia równa się twojej porażce! Ten obslizgły wąż mnie nie interesuje, od zawsze się go po trosze brzydziłam i po trosze bałam! Jeśli on przegra, to ty też, znowu staniesz się niewolnikiem, będziesz służył Aza’Balnorowi! Nie tylko ty... ja też... nie chcę znowu być niewolnicą, nie mogę, ja tego nie wytrzymam... rozumiesz? Nie chcę...

Jej głos się łamał, stawał się coraz bardziej płaczliwy, silna dłoń Ra’Shraniego ujęła ją za kark. Kochanek przytulił Isłę do siebie. W uścisku wytrzymała zaledwie chwilę, szybko i gwałtownie wyrwała się, zdecydowanym ruchem wycierając łzy nagromadzone w kącikach oczu. Wyciągnęła rękę, tak jakby chciała trzymać Ra’Shraniego na dystans.

– Andai zginie – powtórzyła dobitnie po raz trzeci. – I jego śmierć pociągnie nas wszystkich na samo dno. Musisz wymyślić inny sposób, żeby wykaraskać się z tego szamba.

– Podzielisz się jakimś pomysłem? Bo aktualnie nie posiadam żadnego innego – syknął z bezsilną złością Mistrz Treser, rozkładając ramiona.

– Porozmawiaj z Jego Boskością.

– Co?

Ra’Shrani spoglądał bezmyślnie na Isłę, co tylko jeszcze bardziej ją zirytowało. Znowu się do niego zbliżyła i klepnęła w policzek, zupełnie tak, jakby próbowała go otrzeźwić.

– Porozmawiaj z królem-bogiem – wycedziła wolno, jakby przemawiała do dziecka. – Jesteś teraz Mistrzem Treserem, masz pozycję, możesz się starać o audiencję. Pomów z Jego Boskością, wyjaśnij, w jakie gówno wpakował nas Kem’Zhu, spróbuj ten zakład odkręcić. Co ci szkodzi?

– Stracę twarz.

– Co? – Tym razem Isła wyglądała na zaskoczoną.

– Jeśli będę próbować wykręcić się z zakładu, stracę honor, Krąg Walki straci renomę.

Niebieskie oczy Isli zrobiły się okrągłe ze zdumienia, otworzyła usta, nie mogąc uwierzyć w odpowiedź Ra’Shraniego. Ten zaś szybko dostrzegł zmianę w jej twarzy, kochanka chciała się cofnąć, ale zdążył ją mocno złapać za łokcie i przytrzymać w miejscu.

– Nie, nie przedkładałam wolności nad honor, ale skoro zyskałam Krąg i pozycję, nie zamierzam łatwo z tego zrezygnować – próbował jej wyjaśnić. – Do walki w Quelaath zostały trzy księżyce. Udamy się do Miasta Wież gotowi na wszystko. Postaram się jednak, żeby nie dopuścić do realizacji warunków zakładu, spróbuję porozmawiać z Jego

Boskością. Ale potrzebuję jakiegoś planu zapasowego. Jeśli nic z tego nie wyjdzie... przyjmę wyzwanie. Andai zmierzy się z czempionem Aza'Balnora.

Ra'Shrani starał się zachować kamienną twarz. Nie mógł pozwolić, by Isla wyczytała z niej jego prawdziwe uczucia, sam bowiem nie wierzył w to, co mówił. Nie sądził, by udało mu się wykaraskać z tej katastrofy. Próbował jedynie uspokoić ukochaną. Jeśli będzie mu dane, spotka się z Jego Boskością, spróbuje z nim porozmawiać, chociaż w głębi duszy nie wierzył, że coś wskóra. Ledwo powstrzymał gorzki uśmiech. Od kiedy był takim pesymistą?

– Andai nie wytrzyma drugiej Uczty. – Isla nie potrafiła już panować nad głosem.

– Wytrzyma. Zrobi to. Nie dla nas, nie dla Kręgu, nie dla chwały, ale dla potęgi. Żeby zdobyć moc, zrobi wszystko, przetrwa wszystko. Wierzę w niego. Stanie do walki, to pewne. Czy wygra... nie wiem. Jeśli nie... Nie zamierzam zostawać ponownie niewolnikiem. Nie dam Aza'Balnorowi tej satysfakcji. Może wziąć sobie mój Krąg, wszystkich gladiatorów... ale nie weźmie mojej ani twojej wolności. Rozumiesz mnie?

W odpowiedzi Isla tylko pokiwała głową, nie kryjąc już wzbierających łez. Ra'Shrani nie zamierzał teraz jej pocieszać, gładzić po głowie i wmawiać, że wszystko skończy się dobrze. Tańczyli na krawędzi, wszystko mogło się zdarzyć. Zostawił Isłę w komnacie i udał się na zewnątrz.

Przeszedł przez dziwnie opustoszały plac treningowy. Dziś zawiesił wszystkie treningi i sparingi, kazał strażnikom przetrzymywać niewolników w zagrodach. Swoje kroki po rozgrzanym piasku skierował do pomieszczeń gospodarczych, do jedynego magazynu bez okien, który służył za przyczółek Andaia. Uchylił wrota i wślizgnął się do środka, starając się wpuścić jak najmniej światła.

W krótkim blasku dostrzegł niewolnika siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na kamiennym klepisku. Andai nie miał na sobie swojego płaszcza, nie miał żadnych ubrań, siedział nagi, z dłońmi na kościstych kolanach.

Nie przypominał krępych, rosnących Baldorów, od wieków zamieszkujących Hylon. Nie wyglądał też jak potomek tych, których Baldorzy najechali i zniewolili. Oblicze Andaia wzbudzało jednocześnie niepokój i ciekawość, być może dlatego Kem'Zhu tak bardzo go sobie cenił. Był rzadkim okazem.

Baldorzy miłowali nie tylko walkę i podbój, mieli również naturę kolekcjonerów. Lubili ciekawostki i chętnie się nimi otaczali, wyprawiali się w głąb kontynentu, szukając interesujących okazów do swoich zagród. Ra'Shrani nie miał pojęcia, skąd Kem'Zhu wytrzasnął Andaia, wytatuowany niewolnik walczył dla Mistrza Tresera na długo przed

tym, jak Ra dołączył do Kręgu. Na pytanie o pochodzenie Andai wypowiedział się bardzo lakonicznie: „Jestem z daleka”.

Ra'Shrani zamknął wrota i pomieszczenie spowił mrok. Wymacał dłonią ścianę, by dotknąć czegoś materialnego, pewnego. Baldorzy w ciemnościach kiepsko widzieli.

– Gotowy? – wychrypiał.

– Tak – odparł spokojnie i pewnie Andai. – Jestem gotowy.

Rozległ się szelest i kłaskanie bosych stóp o kamienną podłogę. Najwyraźniej Andai zaczął się przyodziewać. Szło mu to nadzwyczaj sprawnie, jego wzrok przystosowany był do mroków.

Ra'Shrani drgnął, gdy poczuł przy sobie obecność wytatuowanego niewolnika.

– Długo tak siedziałeś? – zagadnął Baldor, próbując nieco rozluźnić atmosferę.

– Nie wiem. Gdy medytuję, czas płynie nieco inaczej. Musiałem się... przygotować. – Andai pociągnął nosem. – Tymczasem ty rozmawiałeś ze swoją zabaweczką, przesiąkłeś jej zapachem. Zdradziłeś jej nasz plan?

– Tak. Isla uważa, że nie przetrwasz Uczty.

– Nie przejmuję się jej opinią. – Mimo ciemności Ra'Shrani miał wrażenie, że Andai wzruszył ramionami. – Możemy zaczynać? Nieco się niecierpliwie.

Szybko przeszli przez plac z powrotem do głównego budynku. Będąc już w środku, w asyście dwóch zaufanych strażników zeszli do podziemi po surowych, kamiennych, wyszczerbionych schodach. Niski, wąski korytarz oświetlały wetknięte w wilgotne ściany pochodnie. Na jego końcu znajdowały się drewniane, okute żelazem drzwi, które na gest Ra'Shraniego jeden z gwardzistów otworzył.

W centrum pomieszczenia stał kamienny, solidny stół, wyposażony w mocne skórzane zaczepy oraz pordzewiałe łańcuchy. W pobliżu znajdowały się masywne półki pełne flakonów i słoików wypełnionymi cieczami o różnych kolorach i gęstościach. Tuż przy samym stole, przypominającym makabryczny ołtarz, znajdowała się szafeczka z instrumentami chirurgicznymi i igłami.

Ra'Shrani kiwnął głową na strażników, nie musiał nawet wydawać poleceń, obaj doskonale wiedzieli, co mają robić. Asystowali już przy niejednej Uczcie i było im to obojętne. Andai również nie dał siebie poganiać, zaczął ściągać ubranie i nagi usiadł na skraju stołu.

Był przeraźliwie chudy, o wystających kościach, zapadłej piersi. Jego błękitne tatuaże wiły się po całym ciele. Gladiator uśmiechnął się krzywo, gdy dostrzegł zmartwiony wzrok Ra'Shraniego.

– Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa – powtórzył, a Baldor zachnął się.

– Wydajesz się bardzo odprężony, jak na kogoś, kto za chwilę rozpocznie dwudziestoczterogodzinny maraton bólu – odparł, opierając

dłonie na biodrach. – Nie wiem, jak przebiegnie druga Uczta, Kem’Zhu nikogo do niej nie dopuścił... nikt nie wydawał się na tyle wytrzymały, żeby to podźwignąć. Szansa, że przetrwasz... wydaje się niewielka.

– Twój optymizm jest pocieszający. – Andai nie przestawał szczerzyć ostrych kłów w parodii uśmiechu. – Bólu się nie boję, i tak później nie będę go pamiętał. Śmierć... cóż, powiedzmy, że powinienem być martwy od dawna, wszystkie te lata, które spędziłem w Kręgu Walki... były wykradzione. Daruj mi więc swoje wywody, nie zniechęcisz mnie. Dobrze wiesz, że nie masz wyjścia, musisz poddać mnie tej próbie. Do dzieła.

Andai położył się na stole, a strażnicy za aprobatą Ra’Shraniego zaczęli go krępować. Spięli mu nadgarstki i kostki skórzanymi zaczeпами, zapięli pasy na wysokości piersi oraz w połowie ud i łydek. Dodatkowo okręcili go łańcuchami. Niewolnik pogładził opuszkami palców rysy wyryte na kamiennym blacie przez dziesiątki paznokci i szponów. Mistrz Treser własnoręcznie rozpoczął mieszanie ingrediencji.

Trzymając flakony, Ra’Shrani zorientował się, że trzęsą mu się ręce. Oczywiście nigdy wcześniej nie przygotowywał trucizn na drugą Ucztę, proporcje znał dzięki notatkom Kem’Zhu, które studiował przez całą noc. Jeśli pomyli się choć o kilka kropel... zabije Andaia i pozbawi się szansy na wyratowanie z niewoli. Zaciśnął szczęki i skoncentrował się, jakby siłą woli próbował zmusić ciało do zachowania spokoju. Andai uważnie obserwował jego poczynania.

– Pamiętaj – do rzeczywistości sprowadził go metaliczny dźwięk głosu wytatuowanego niewolnika – nie robię tego dla ciebie. Lubię cię i nawet uroniłbym łzę, gdyby coś ci się stało, tu jednak chodzi o coś zupełnie innego.

Ra’Shrani odwrócił się i popatrzył w lazuruwe oczy przyjaciela. Kiwnął głową, akceptując jego słowa. Wydał suche polecenie strażnikom, którzy zaczęli przygotowywać rurki, strzykawki i igły. Rozpoczęła się Uczta.



Quelaath, Miasto Wież, stolica Hylonu, siedziba Jego Boskości, króla-boga Jegona Ralo. Swoją nazwę zawdzięczało licznym budowłom z czarnego kamienia, spiczastym i piętrzącym się ku niebu. Im wyżej mieszkałeś, tym wyższą posiadałeś pozycję.

Miasto w kształcie pierścienia otaczały wysokie, grube mury, gęsto obsadzone strzelistymi basztami. Nad wysokimi budowłami górowała

Popielna Wieża, Ashar'Talntar, siedziba Jego Boskości. Za młodu Ra'Shrani podróżował do stolicy zaledwie kilka razy. Jego ojciec, średniej klasy Mistrz Treser z niewielkiego miasteczka, nigdy nie był zapraszany do królewskiej wieży, odwiedzał Quelaath wyłącznie w pilnych interesach. Siedząc na koźle czterokołowego wozu więziennego, były gladiator rozglądał się wokoło z gorzkim uśmiechem. Dlaczego sądził, że on, świeży wyzwoleniec, Baldor bez renomy, dostąpi zaszczytu audiencji u Jego Boskości?

Spojrzał w stronę siedzącej obok niego Isli. Uśmiechała się blado, choć wcale nie było jej do śmiechu. Wyciągnęła drobną dłoń i ucisnęła jego rękę. Chciała mu dodać otuchy. Ra'Shrani nie odwzajemnił uśmiechu. W tym momencie pocieszenie Isli bardziej go irytowało, niż podtrzymywało na duchu.

Trzymał wytarte lejce i zmuszał dwa potężne konie do manewrowania po wąskich uliczkach Miasta Wież. Jadący z przodu gwardziści Kręgu torowali im drogę, niełatwo jednak było przecisnąć się przez centrum w samo południe, gdy pałace, czerwone słońce Hylonu stało wysoko na bezchmurnym niebie. Uszy Ra'Shraniego zewsząd atakowała kakofonia dźwięków, okrzyki handlarzy zachęcających do kupna, rozmowy mieszkańców, polecenia pilnujących porządku strażników.

Bez poważniejszych incydentów udało im się wyjechać z głównej arterii stolicy, ciasną uliczką kierowali się na wzgórze, gdzie mieściła się Popielna Wieża oraz arena. Ra'Shrani jako gladiator nigdy nie dostąpił zaszczytu udziału w Igrzyskach Quelaath. Pierwszy raz, gdy Kem'Zhu pominął go przy nominacji, poczuł się znieważony. Szybko jednak zrozumiał, o co Mistrzowi Treserowi chodziło. Wiele międzymiastowych turniejów rozgrywało się do pierwszej krwi, Igrzyska zaś – na śmierć i życie. Zwycięzca mógł być tylko jeden. Odkąd turniej w stolicy zdominował Aza'Balnor, Kem'Zhu nie zamierzał szastać życiem swojego pupilka i najlepszego wojownika. Turnieje między Kręgami dawały profity w postaci złota – nagrodą w Igrzyskach był prestiż i błogosławieństwo króla-boga. Kem'Zhu był pragmatyczny; nad popularność przedkładał zysk.

Przed nimi czekała wysoka żeliwna brama prowadząca do Popielnej Wieży. Grupa strażników w czarnych uniformach zatrzymała wóz i wylegitymowała Ra'Shraniego. W trakcie sprawdzania dokumentacji nowy Mistrz Treser bacznie im się przypatrywał. Nie wyglądali tak paradnie jak straż Kem'Zhu, na sobie mieli stroje praktyczne i wytrzymałe, a przepisowa broń, czyli zakrzywione, szerokie szable, zdawała się przynosić szybką śmierć. Ra'Shrani nie dziwił się tym środkiem bezpieczeństwa, w końcu gwardziści strzegli najważniejszej istoty w całym Hylonie, władcy i boga w jednym.



Nie przejechali przez bramę, przekierowano ich na bok, wóz potoczył się po kamiennym trakcie wprost na tyły wielkiej areny, gdzie co trzy lata odbywają się Igrzyska pod patronatem Jego Boskości. Ra'Shrani zszedł z kozła i rozprostował obolałe mięśnie, wyciągnął rękę, by pomóc zejść Isli. Po zeskoczeniu na ziemię jej pozłacane sandały zakopały się w czerwonym, drobnym piasku. Na powitanie wyszli im zarządcy areny.

Ra'Shrani wcisnął Isli wszystkie papierzyska i okrążył wóz. Więźniarka miała kształt czarnego kwadratu. Na polecenie Mistrza Tresera zasłonięto niewielkie okna, by żadne promienie słoneczne nie wpadły do środka i dodatkowo nie drażniły Andaia. Ra'Shrani otworzył drzwi – nie zamykał ich na skobel, nie spodziewał się, że podczas podróży niewolnik da nogę.

Andai siedział spokojnie, wciśnięty w kąt wozu.

– Jesteśmy na miejscu.

– Aza'Balnor i jego gladiator już tu są – obwieścił jeden z członków komitetu powitalnego. – Chce się spotkać z Mistrzem Treserem Kem'Zhu z miasta Soreham.

– Krąg Walki Kem'Zhu przekształcił się w Krąg Walki Ra'Shrani – zakomunikował sucho Baldor, gniewnie ściągając brwi.

Zarządcy porozumieli się ze sobą spojrzem, jeden z nich nieznacznie kiwnął głową i wycofał się do znajdującego się za ich plecami budynku. Na przód wysunął się rosły Baldor, kanciasty, szeroki w barkach, o rogach ozdobionych srebrnymi obręczami i ciemnych jak smoła włosach, zaplecionych przy samej skórze w grube warkocze. Jego kości policzkowe zdobiły tatuaże. Na całkowicie czarnym ubraniu wyróżniał się srebrny, gruby łańcuch zwieńczony medalem. Mężczyzna skinął ręką na Ra'Shraniego, po czym odwrócił się i wszedł do wnętrza jednego z budynków należących do pałacowego kompleksu. Mistrz Treser zawahał się, ale ruszył za nim wraz z resztą. Baldor czekał na nich w obszernym pomieszczeniu o niskim suficie i niewielkich oknach, które wpuszczały do środka nieco światła. Stał idealnie pośrodku, z rękoma splecionymi w tyle.

– Ozh'Otis, nadworny Mistrz Treser naszego władcy i opoki, Jego Boskości Jegona Ralo – przywitał się ze zdawkowym kiwnięciem głowy. – Co oznacza owo przekształcenie?

Ra'Shrani cierpliwie wytłumaczył, co zaszło przed paroma miesiącami w Soreham. Ozh'Otis słuchał go uważnie, stojąc w niezmiennej pozycji, z rękoma splecionymi w tyle. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego grubo ciosanej twarzy.

– Przybyłem zgodnie z warunkami zakładu, który zawarł z Aza'Balnorem mój były pan, Kem'Zhu, jednak pokornie prosiłbym o możliwość przedyskutowania tej sprawy z Jego Boskością...

Przez całą konwersację nadworny Treser zachowywał kamienny

wyraz twarzy, teraz jednak pozwolił sobie na lekki sardoniczny uśmiezek.

– Zdajesz sobie sprawę, Mistrzu Treserze Ra'Shrani... dobrze usłyszałem...? Zdajesz sobie sprawę, że to nie takie łatwe? Kolejki na audiencję do Jego Boskości umawiane są z wielomiesięcznym wyprzedzeniem... Och, nie rób takiej markotnej miny, może uda się coś zdziałać. – Uniósł wielką, szponiastą dłoń w geście uspokojenia. – Jeden z moich ludzi poszedł właśnie zakomunikować Jego Boskości twoje pojawienie się oraz nieoczekiwaną rotację w Kręgu Walki Kem'Zhu. Jego Boskość, mając na uwadze niespodziankę, zdecyduje, co dalej. Tymczasem wszyscy zachowujmy się tak, jakby nic się nie stało. Aza'Balnor prosi o spotkanie.

– Na co czekamy?– powiedział zniecierpliwiony Andai, który wyszedł z wozu i stanął nieco za Ra'Shranim.

Nadworny Mistrz Treser nawet nie uraczył go spojrzeniem. Zamiast tego wbił przesywający, karcący wzrok w dotychczasowego rozmówcę, obarczając go winą za pyskatego niewolnika.

Andai od niechcienia ściągnął z siebie kaptur. Ciemny jak smoła wzrok nadwornego Mistrza Tresera spoczął na ostrej, sinawej, wytatuowanej twarzy gladiatora. Choć zwykle utrzymywał wystudiowany wyraz obojętności lub lekkiego rozbawienia, tym razem spoglądał na Andaia z nieukrywanym zaintrygowaniem. Ozh'Otis spędził długie lata jako nadworny Mistrz Treser Jego Boskości, ale pierwszy raz widział tak przedziwny okaz.

Cisza przedłużała się. Ra'Shrani starał się hamować narastającą irytację. Kompletnie ignorował Isłę, która zbliżyła się do niego i oplotła rękoma jego muskularne, ogorzałe ramię. Z głębi budynku rozległ się dźwięk kroków.

Mężczyzna był potężny i barczysty, miał surową twarz poznaczoną licznymi bliznami i bruzdami, lewy róg w połowie złamany. Szedł sprężystym krokiem, całkowicie sam, bez przybocznych, bez żadnych niewolników. Ra'Shrani głośno przełknął ślinę i uniósł wysoko podbródek, starając się ukryć zdenerwowanie.

Ku niemu zmierzał Aza'Balnor, Mistrz Treser z Isvalf, trzykrotny zwycięzca Igrzysk Miasta Wież.

Ra'Shrani słyszał, jak tuż przy nim Isla bierze głęboki wdech, czuł, jak jej paznokcie wbijają się w jego skórę. Zerknął na Andaia. Ten wciąż miał na twarzy maskę obojętności.

– Słyszałem, słyszałem – rzekł Aza'Balnor lekkim tonem, szeroko rozpościerając ręce. – Kem'Zhu stchórzył i spierdolił? Jakoś mnie to nie dziwi. I ty, chłopcze, chcesz go zastąpić? Chcesz, żeby twój niewolnik mierzył się z moim czempionem? Mam w dupie, czy to będziesz ty, czy ta stara pierdoła Kem'Zhu, zakład to zakład, został zawarty przed

obliczem Jego Boskości.

Stał naprzeciw Ra'Shraniego, bardzo blisko, tak że ten czuł jego ciepły oddech na twarzy. Aza'Balnor spoglądał na przeciwnika triumfalnie, zupełnie tak, jakby już wygrał zakład. Isli poświęcił zaledwie przelotne spojrzenie, w ogóle nie przejął się jej obecnością, całą uwagę skupił na Ra'Shranim. Ten zaś czuł, że po plecach spływa mu zimny pot.

– Chciałbym poznać szczegóły zawarcia tego zakładu – zaczął nowy Mistrz Treser, starając się nadać głosowi zdecydowane brzmienie. – Kto wyszedł z inicjatywą...

– Czy to, kurwa, ważne? – przerwał mu Aza'Balnor. – Słowo się rzekło, Kem'Zhu przyjął warunki, król-bóg je zaaprobował. Czuję, że stary piernik coś kombinuje, nie sądziłem jednak, że spierdoli z podkulonym ogonem, zostawiając za sobą wszystko. Teraz ty jesteś Mistrzem Treserem Kręgu Walki, twój zawodnik zmierzy się z moim czempionem. Który to? Ta cizia? Nie? To kto?

Jego wzrok padł na Andaia. Wyraz szczerego zadowolenia spelzł z oblicza Aza'Balnora, zastąpiła go głęboka zaduma. Andai, ucieszony z powodu takiego zainteresowania, ukazał w szerokim uśmiechu cały garnitur ostro zakończonych zębów.

– Wystarczy, powitania mamy już za sobą. – Między dwoma Treserami stanął Ozh'Otis. – Walka odbędzie się jutro, gdy słońce osiągnie najwyższy punkt na nieboskłonie. Przygotujcie swoich wojowników, wszelkie udogodnienia królewskiej areny są do waszej dyspozycji.

Aza'Balnor przelotnie zerknął na nadwornego Mistrza Tresera, powłóczyście spojrzenie rzucił Ra'Shraniemu, uśmiechając się przy tym wilczo. Odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pomieszczenia zdecydowanym, wojskowym krokiem.

Ra'Shrani zmełł w ustach paskudne przekleństwo, wziął głęboki wdech i zrobił powolny wydech, sądząc, że to go uspokoi. Nic bardziej mylnego.

Ozh'Otis już otwierał usta, by coś mu zakomunikować, gdy do środka wpadł jeden ze sług w długiej, krępującej ruchy szacie. Ledwo wyhamował, po czym głęboko skłonił się przed oboma Baldorami.

– Jego Boskość pragnie widzieć się na arenie, w królewskiej loży, z nowym Mistrzem Treserem Kręgu Kem'Zhu. Natychmiast.

Ra'Shraniemu nie udało się ukryć zaskoczenia, podobnie Ozh'Otisowi – starszy Baldor posłał mu na poły zdziwione, a na poły rozgniewane spojrzenie, zupełnie tak, jakby ten pośpiech Jego Boskości wcale nie był mu na rękę. Nadworny Mistrz Treser milczał, przyglądając się uważnie młodszemu koledze, dopóki z zadumy nie wyrwało go dyskretne chrząknięcie sługi.

– Nie każmy zatem Jego Boskości czekać. Zajmę się papierami i twoim gladiatorem. – Zwrócił się wyniośle do służącego: – Zaprowadź go do Jego Wysokości.

Z drogi do królewskiej łoży Ra'Shrani zapamiętał tylko niezliczoną liczbę schodów. Szedł za sługą niczym cień, sam, machinalnie stawiając kolejne kroki, walcząc z coraz szybszym pulsem i tęnym dudnieniem w skroniach. Król-bóg chciał go widzieć. Król-bóg naprawdę zaprosił go na audiencję. Jego, byłego gladiatora, byłego niewolnika.

Gwardziści w łuskowych zbrojach otworzyli przed nim dwuskrzydłowe, misternie kute drzwi prowadzące do łoży. Najpierw w oczy rzucił mu się widok z balkonu. Królewska łoża znajdowała się wyżej, ponad zwykłymi trybunami, z tego poziomu miało się doskonale widok na panoramę miasta, na wszystkie strzeliste wieże – trochę gorzej musiało się oglądać walki na znajdującej się znacznie niżej arenie. Siedzących miejsc było niewiele, centralną pozycję zajmowały dwa reprezentacyjne, ozdobne krzesła z wysokimi oparciami, obite miękkim materiałem. Miejsce dla króla-boga i jego małżonki. Oba były puste.

– Zostaw nas.

Nogi momentalnie ugięły się pod Ra'Shranim. Padł na kolana, oparł dłonie o podłogę i nisko schylił głowę, dotykając ziemi czołem. Czuł, że drży jak osika. Król-bóg przemówił w jego obecności. Serce tłukło mu w klatce piersiowej niczym przerażony ptak, w żołądku czuł nieprzyjemne gorąco. Nawet nie zauważył, jak prowadzący go sługa dyskretnie się wycofał, a gwardziści zamknęli drzwi.

– Wstań, Mistrzu Treserze... wybaczyć, wyleciało mi z głowy. Przypomnij swoje imię.

Choć nogi miał jak z waty, posłusznie wykonał polecenie i odważył się również podnieść wzrok, rozejrzeć się po łoży. Jego Wysokość siedział na krześle najbliżej balustrady, oparty o nią jednym łokciem, spoglądając w dół na piaszczystą arenę. Miał na sobie czarną szatę ze srebrnymi ornamentami, jego zakręcone rogi zdobiły pierścienie ze szlachetnych kruszców, czarne, gładkie włosy spływały swobodnie po plecach.

Ra'Shrani spróbował się odezwać, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Musiał odchrząknąć kilka razy, zanim przedstawił się Jego Wysokości. Król-bóg Jegon Ralo zwrócił ku niemu twarzą; o dziwo, jego skóra nie miała barwy rdzy jak u innych Baldorów. Był blady, a w tym świetle zdawał się nawet skrzyć srebrem.

– Mistrz Treser Ra'Shrani. O co chodzi z tą zamianą ról? Chciałbym to usłyszeć wprost od ciebie.

Były gladiator raz jeszcze zmuszony był opowiadać tę samą historię wykrętu i tchórzostwa Kem'Zhu. Jego Boskość słuchał uważnie, patrząc wprost na niego i powodując, że Ra'Shrani jąkał się i plątał w opowieści.

Czuł, że robi z siebie głupca przed władcą, król-bóg jednak nie okazywał zniecierpliwienia, wpatrywał się tylko w niego jasnymi oczyma.

– Interesujący zwrot akcji, tobie jednak pewnie nie na rękę. – Król znów zwrócił się w stronę areny, zaciśniętą pięść oparł o usta. – Słyszałem, że chciałeś się ze mną widzieć, na pewno myślałeś o tym, czy da się to całe zamieszanie odkręcić. Za późno. Lud Quelaath oczekuje pojedynku, takich rewelacji nie dało się trzymać w sekrecie, obywatele są złaknieni godziwej rozrywki. Kimże jestem, żeby odbierać moim ludziom dobrą zabawę? Wieści się rozeszły, na ulicach Miasta Wież nie mówi się o niczym innym jak o zakładzie Aza’Balnora i Kem’Zhu. Jak sądzisz, Mistrzu Treserze... jak zareagują obywatele tego pięknego miasta, gdy w ostatniej chwili dowiedzą się, że walka się nie odbędzie?

Ra’Shrani zacisnął usta w wąską linijkę, ostatkiem sił powstrzymał się od komentarza. Nie ośmieliłby się pyskować Jego Boskości, ledwo mógł na niego patrzeć, a co dopiero wdawać się w dyskusję. Nie potrafił jednak wyrzucić tego pytania z głowy: „Dlaczego ta dobra zabawa ma się odbyć moim kosztem?”.

– Doceniam, że mimo wszystko postanowiłeś podjąć rękawicę rzuconą przez Aza’Balnora. – Na twarzy Jego Boskości pojawił się niewielki uśmiezek.

Ra miał wrażenie, że król-bóg doskonale wiedział o jego rozterkach, o nadziei na to, że ten kuriozalny zakład nie dojdzie do skutku. Jegon Ralo zachowywał się tak, jakby doskonale znał swojego rozmówcę, choć poznali się chwilę wcześniej.

– Co cię do tego skłoniło, Mistrzu Treserze?

– Najbardziej szczęśliwy byłbym, gdyby wszyscy zapomnieli o tym zakładzie – odparł Ra’Shrani po chwili wewnętrznej walki. – Nie chcę błagać o litość, Wasza Boskość. Jeśli każesz mi wystawić swojego wojownika, zrobię to. Mam swój honor. Ważny jest także dla mnie interes Kręgu Walki. Gdybym odmówił... nikt nie brałby mnie i moich gladiatorów na poważnie. Stałbym się pośmiewiskiem całego Hylonu, choć to nie ja założyłem się z Aza’Balnorem.

– Honor u niewolnika... to dość niespotykana rzecz. Wiem, kim jesteś, słyszałem o twojej historii. Byłeś synem lokalnego Mistrza Tresera, twój ojciec prowadził niewielki Krąg Walki. Nigdy przesadnie nie interesowałeś się przejęciem schedy po swoim rodzicielu, wolałeś czas i siły poświęcać kobietom i hazardowi. Narobiłeś masę długów i zniechęciłeś do siebie wielu ludzi. Gdy trafiłeś do więzienia z powodu niewypłacalności, nawet twój ojciec odwrócił się od ciebie, nie zamierzał spłacać twoich wierzycieli. Pozwolił, żeby cię zniewolono. To ciekawe, że mówisz o honorze i chcesz rozstrzygnąć zakład, którego nie zawarłeś. Czyżby pobyt w więzieniu i życie niewolnika naprawdę cię czegoś nauczyły?

W Ra'Shranim zlatliła się iskierka buntu. Gdyby miał więcej odwagi... w żaden sposób jednak nie skomentował słów Jego Boskości, choć z pewnością nie zdołał powstrzymać kwitnącego na twarzy grymasu. Zdał sobie sprawę, że Jegon Ralo, pozornie znudzony, patrzy na niego kątem oka.

– Jak mówiłem, Mistrzu Treserze – król-bóg wstał ze swojego miejsca, Ra'Shrani instynktownie zgiął się wpół – obywatele Quelaath niecierpliwie czekają na wasze starcie, tej walki nie da się w żaden sposób odwołać, nie zamierzam ryzykować tego, że zirytowani mieszkańcy miasta zaczną wszczynać z tego powodu zamieszki. Twój wojownik zmierzy się jutro z czempionem Aza'Balnora. Ze swojej strony mogę cię tylko zapewnić, że będę kibicował właśnie tobie.

Ra'Shrani zrozumiał, że audiencja się skończyła. Na nic czołobitne pokłony, nic nie mogło uchronić go od zakładu, decyzja króla-boga była niepodważalna. Gdyby nie okoliczności, pewnie ostatnie słowa Jego Boskości przyjąłby z wyrazami głębokiego wzruszenia, teraz jednak wymamrotał jakieś podziękowania i wycofał się, wciąż gnąc się wpół.

Znalazł się na korytarzu. Poczul na sobie chłodne, ale czujne spojrzenie gwardzistów. Z zamyślenia wyrwało go chrząknięcie służi, który gestem kazał mu iść za sobą. Ra'Shrani westchnął z ulgą. Przynajmniej jeden problem z głowy – bez przewodnika pewnie zgubiłby się w pokrętnych korytarzach królewskiej areny.

Z przeciwnej strony pojawiła się grupa Baldorek w zwiewnych, lekkich szatach; na ich widok gwardziści przyklęknęli na jedno kolano. Zza grupy młodych dziewcząt wyłoniła się kobieta w złotej sukni o długim trenie, z jasnymi, platynowymi włosami związanymi wokół niewielkich rogów w misterny kok. Służki otworzyły przed nią drzwi do komnaty władcy, ta zaś pewnie wkroczyła do środka, stukając podbitymi podeszwami rzemieniowych sandałów.

Ra'Shrani nie mógł już tego widzieć, ale Jego Wysokość zwrócił wzrok ku kobiecie i obdarzył ją ciepłym, spokojnym uśmiechem.

– Agat...

– Na pięć minut zapomnijmy o tym durnym zakładzie i porozmawiajmy o sprawach wyższej rangi. Pozwolisz?

Agat'Astra, królowa Baldorów, prawowita małżonka i jednocześnie starsza siostra Jegona Ralo, podeszła do męża, trzymając przed sobą zaplecione dłonie. Na długich palcach o kryształowych paznokciach tkwiły złote, cienkie obrączki. Stała naprzeciw króla i spiorunowała go spojrzeniem.

– Środki bezpieczeństwa, o których rozmawialiśmy... nie widzę ich. Wszyscy chadzają sobie po korytarzach, jakby byli u siebie, strażnicy przepuszczają do ciebie każdego bez pytań, bez rewizji, nie podwojono liczby żołnierzy, na moje uwagi twój kanclerz zrobił przerażone oczy

i zapiszczał, że kazałeś wszystko odwołać. Jegon, tu chodzi o twoje życie. Dlaczego nie stosujesz się do naszych zaleceń? Dlaczego pozwalasz na jutrzejszy cyrk? Przecież to doskonała okazja, żeby ci... barbarzyńcy spróbowali się do ciebie dobrać. Pamiętasz, co mówił ten äish, Lashäl czy jak mu tam było, zanim kazałam go oskórować?

Król-bóg już otwierał usta, ale jego małżonka nie dała mu dojść do słowa. Kontynuowała besztanie, zaciskając ostre paznokcie na przedramieniu mężczyzny.

– Nic nie rozumiesz, prawda? – syczała wściekle. – Gdyby cokolwiek ci się stało... To wszystko pieprznie. Stracimy nie tylko władcę, ale i swojego boga. Otworzymy się na atak... wszyscy Baldorzy staną się niewolnikami! Tego pragniesz dla swoich ukochanych obywateli?!

W odpowiedzi Jegon Ralo nakrył dłonią szczupłą, żylastą dłoń Astry.

– Doceniam twoją troskę, wiem, że się o mnie martwisz... i, uwierz mi, nigdy nie bagatelizuję zagrożenia. Jednak jako władca i bóg nie mogę zamknąć się w swoim pałacu na cztery spusty, nie mogę pokazać, że się boję. Cóż byłby ze mnie za bóg? A jutrzejszy cyrk, jak to nazywasz, choć jest przede wszystkim świetną zabawą... ma swój konkretny cel, najdroższa.

Poklepał ją pokrzepiająco po dłoni i odwrócił się, oparł łokciami o balustradę. Królowa zarumieniła się ze złości, ale szybko ochłonęła. Spojrzała na męża uważnie, mrużąc wymalowane oczy. Przez chwilę obserwowała jego ostry profil i błakający się po ustach uśmiezek samozadowolenia. Westchnęła teatralnie i stanęła obok, nacierając ramieniem na jego ramię.

– Pogodziłam się już z tym, że nie potrafię cię zrozumieć. – Pokręciła bezradnie głową, ale również się już uśmiechała. – Nie pytam, co to za cel, lubię niespodzianki, przekonam się jutro. Błagam cię tylko o jedno... zwiększmy na tę okazję ochronę, na wszelki wypadek. Będę spokojniejsza. Zrób to dla mnie.

Jegon Ralo pokiwał głową, wyciągnął rękę i oplótł nią biodra małżonki. Agat'Astra przysunęła się ufnie i oparła głowę na jego ramieniu, spod przymrużonych powiek spoglądając na zachwycający krajobraz Quelaath, skąpany w czerwonym słońcu Hylonu.



Na zewnątrz huczało, wypełniona do ostatnich miejsc królewska arena przypominała ul. Widownia czekała na najważniejszą walkę tego dnia, poprzednie potyczki były zaledwie przystawką do dania głównego – starcia najlepszych wojowników Kręgów Walki Aza'Balnor i Kem'Zhu,

od niedawna Ra'Shrani. Tak naprawdę wszyscy czekali na Saazira, trzykrotnego championa Igrzysk Quelaath, niepokonanego gladiatora z Isvalf, zdecydowanego ulubieńca tłumów.

Na Ra'Shraniego zaś czekało krzesło w królewskiej loży, przy boku Jego Boskości, naprzeciw rywala. Baldor jednak zwlekał z dotarciem na miejsce, przed samą walką chciał odwiedzić swojego wojownika. Nie miał pojęcia, co powiedzieć Andaiowi, po prostu uznał, że powinien go zobaczyć.

Obaj stali w zacienionym, kamiennym, niskim pomieszczeniu, pustym i bezosobowym, w tak zwanej poczekalni. Ra'Shrani niejednokrotnie bywał w takich miejscach jako gladiator. Pamiętał buzującą w żyłach krew, szum w uszach, niezdrowe podniecenie. Nigdy nie bał się pojedynków, z niecierpliwością czekał na swoją kolej. Gdy po raz pierwszy stanął na arenie, nie myślał o tym, że jest w niewoli, że to przymus, nie rozpaczał i nikogo nie obwinał. Nie miał na to czasu, walczył o przetrwanie, walczył o własne życie.

Gdy pierwszy raz przelał krew przeciwnika... gdy wygrał swój pierwszy pojedynek i zyskał swoją pierwszą nagrodę... później też o tym nie rozmyślał. Podczas turniejów kierowało nim coś pierwotnego, jakaś prymarna żądza krwi.

Po raz pierwszy stał w poczekalni i nie czekał na pojedynek. Dziwne uczucie.

– To słodkie, że przyszedłeś mnie wesprzeć na duchu, ale nie potrzebuję tego, naprawdę – za Ra'Shranim rozległ się zgryźliwy głos Andai.

Gladiator stanął obok Mistrza Tresera i uśmiechnął się szeroko, pokazując dwa rzędy ostrych jak szable zębów. Nie miał płaszcza, nie założył żadnego pancerza; nic prócz zwiewnej tuniki nie chroniło go przed ciosami. Obaj przeciwnicy mieli wybrać broń dopiero na arenie.

– Znam plan – stwierdził Andai, jakby przeczuwając, że Ra'Shrani chce mu coś powiedzieć. – Pokonać championa Aza'Balnora. A przynajmniej spróbować.

– Słońce nie będzie ci przeszkadzać?

– Już nie.

Ra'Shrani odwrócił głowę i spojrzał na swojego wojownika, na jego sinawą skórę, łysą czaszkę, gładką twarz. Andai nie przestawał się paskudnie uśmiechać. Mistrz Treser poczuł, że po jego plecach przebiega mimowolny dreszcz. Choć był arcyciekawy, nie zajrzał do podziemi w trakcie Uczt, w swoim gabinecie modlił się o powodzenie całego przedsięwzięcia. Gdy doniesiono mu, że Andai żyje, niemal zemdlął z ulgi. Miał szansę stanąć do zakładu z Aza'Balnorem.

Próbował wypytać o przebieg Uczt pilnujących niewolnika strażników – żaden nie chciał mówić, bledli i zielenieli na przemian na



samo wspomnienie, choć przecież byli doświadczeni i nieczuli. Wszyscy po kilku dniach zwolnili się. Andai pozostawał nieprzytomny przez tydzień, by pewnego dnia rześko obudzić się i zażądać porządnej stawy. Gdy wtedy Ra'Shrani go odwiedził, uderzyła go pewna zmiana w niewolniku, choć nie potrafił określić jej słowami. Im dłużej przebywał z tym „nowo narodzonym” Andaiem, tym uczucie jeszcze się pogłębiało.

Mistrz Treser miał wrażenie, że istoty, którą znał wcześniej, którą prawie mógł nazwać przyjacielem, już nie ma. Nie żyje. Jej miejsce zajął ktoś inny, choć fizycznie sinoskóry niewolnik w ogóle się nie zmienił, a i w jego zachowaniu Ra'Shrani nie znalazł różnicy. Z Andaia była jednak jakaś dziwna wewnętrzna siła, na dodatek zmienił się wyraz jego niebieskich oczu. Pojawiła się w nich jakaś... pogarda. Pogarda dla słabszych, dla istot niższego rzędu. Ra'Shrani także się do nich zaliczał.

– Herold zaraz nas zapowie. Pędź do łoży, bo zajmą ci najlepsze miejsca – z zamyślenia wyrwał go komentarz Andaia. Gladiator uśmiechał się krzywo.

– Miejsca są przypisywane, nikt nie śmie mnie podsiąść – odparł lekko, choć przyszło mu to niełatwo. – Andai...

Oparł dłoń na wątlym ramieniu wojownika, niewolnik nieznacznie skinął głową.

– Wiem, że od tego zależy twoja przyszłość... ale pamiętaj, zrobiłem to dla siebie. Nie chcę twojej zasranej wdzięczności. Aha... jeszcze jedno... nie licz na wiele, dobra?

Ra'Shrani nic więcej nie powiedział. W skupieniu odszedł za sługami, którzy ponownie zaprowadzili go do królewskiej łoży. Kątem oka obserwował jednak zamieszanie na korytarzach, miał wrażenie, że straży jest znacznie więcej niż wczoraj... Wszystko zrzucił na organizację dzisiejszego pojedynku oraz dzikie tłumy na trybunach.

Pojawił się w łoży królewskiej jako ostatni, jego przybycie wzbudziło zainteresowanie, część twarzy zwróciła się ku wejściu. Ra'Shrani głośno przełknął ślinę i głęboko się pokłonił. Czuł na sobie rozbawione, lekceważące spojrzenie Aza'Balnora, spoczywającego po prawicy Jegona Ralo. Jego Wysokości towarzyszyła królowa Agat'Astra, wyniosła, posągowa piękność w skąpej biało-złotej sukni. Królewska małżonka nawet nie zwróciła uwagi na pojawienie się Ra'Shraniego. Lub najzwyczajniej w świecie postanowiła go zignorować.

Oprócz nich w łoży zasiadali Mistrz Treser Ozh'Otis, zahukany Baldor w wymiętej szacie, czyli kanclerz Kandon, oraz nadworny królewski mag Raah'Nazuli, z nudów skubiący rzadką brodę. Służba starała się być niewidoczna. Ra'Shrani zasiadł na swoim miejscu, król-bóg uraczył go zdawkowym, ale w sumie serdecznym kiwnięciem głowy. Młody Mistrz Treser głęboko odetchnął; żałował, że nie może ścisnąć ręki Isli,

przebywającej w loży dla arystokracji. Zastanawiał się, jak jego ukochana radzi sobie wśród tych wszystkich wyniosłych Baldorów i Baldorek. Zacisnął mocniej ręce na podłokietnikach krzesła – herold i sędzia w jednym zapowiadał właśnie pojedynek dnia.

Imię championa Aza’Balnora zaginęło w ogólnym wrzasku rozentuzjasmowanego tłumu. Ra’Shrani zamknął oczy. Jego los za kilka chwil zostanie przypieczętowany. Wziął wdech i uniósł powieki. Cokolwiek się stanie... miał już plan awaryjny.

Jeśli przegra, nie odda się znowu w niewolę. Najpierw zabije Isłę, potem się powiesi. Co jak co, ale nie zostanie niewolnikiem Aza’Balnora. Nigdy więcej nie odda swojej wolności.



Arena – tak głośnie, tak żywa, tak mocno spragniona czerwonej krwi na złotym piasku – zamilkła. Jedynym dźwiękiem było przeciągłe wycie instrumentu królewskiego trębacza. Wszyscy widzowie momentalnie ucichli i skierowali twarze w kierunku najwyżej położonej loży, skąd wydobywał się monotony, głęboki dźwięk. Wszyscy zastygli w oczekiwaniu, łącznie z gladiatorami.

Ra’Shrani siedział sztywno, ściskając podłokietniki tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Wydawało mu się, że żłobi dziury w drewnie. Patrzył rozszerzonymi ze zdumienia oczyma na trębacza, pospolitego Baldora w odświętnych szatach, który wydobywał z długiej trąby niski, drążący w trzewiach dźwięk. Gdy skończył, odstawił instrument od ust, nikt jednak się nie poruszył, nic nie przerwało grobowej ciszy na całej arenie.

Jego Wysokość powoli wstał ze swojego miejsca. Królowa podniosła oczy i spojrzała na małżonka spod wysoko uniesionych, wyluskanych brwi, nic jednak nie rzekła. Nawet Raah’Nazuli przestał skubać swoją kozią brodę, zastygł w bezruchu, a na jego twarzy malowało się czyste zdziwienie. Król-bóg podszedł do balustrady, oparł o nią lewą dłoń i kiwnął głową, nie wiadomo do kogo, do sędziego, do tłumu swoich wyznawców i obywateli czy do dwóch zakrwawionych gladiatorów na arenie.

– Jego Wysokość najwyższy król-bóg Jegon Ralo kończy pojedynek – ogłosił tubalnym głosem sędziujący kapłan. – Zwycięzcą zostaje Saarazir z Kręgu Aza’Balnor. Jego Wysokość docenił jednak umiejętności i wolę przetrwania Andaia z Kręgu Ra’Shrani i ofiarowuje mu życie. Andai z Kręgu Ra’Shrani może z uniesioną głową opuścić arenę, bo chociaż przegrał, w oczach Jego Wysokości króla-boga Jegona Ralo jest

zwycięzcą. Wygrał swoje życie.

Klatka piersiowa Ra'Shraniego poruszała się szybko, zupełnie tak, jakby próbował łapać oddech po długim wysiłku. Co to znaczyło? Jak to interpretować? Spojrzał w bok, przelotnie zerknął na kamienną twarz królowej i utkwiał wzrok w Aza'Balnorze. Jego rywal wyglądał na równie zaskoczonego, siedział napięty niczym struna, wgapiiony w plecy króla-boga. Nikt ze zgromadzonych w loży nie śmiał się odezwać, wszyscy oczekiwali, co powie Jego Boskość.

Tymczasem Jegon Ralo, wciąż przy balustradzie, ciągle patrzył w dół, na arenę, na rozgrzebany piasek, na plamy krwi i dwóch wycieńczonych wojowników. Andai klęczał i zdawało się, że jest o krok od omdlenia, a mimo wszystko cały czas uparcie starał się zachować świadomość. Z licznych ran leniwie sączyła się krew; wyglądało na to, że przy życiu trzyma go tylko nieprawdopodobny upór.

Jego przeciwnik stał wciąż na dwóch nogach, choć musiał opierać ciężar ciała na wbitym w podłoże mieczu. Białe włosy powypadały mu z ciasnego warkocza i zdawało się, że walczy o każdy oddech. Jucha z rozbitego łuku brwiowego zalewała mu oczy.

Mimo ogłoszenia sędziego widownia pozostawała milcząca, nie rozległ się żaden aplauz, żadne wiwaty. Wszyscy spodziewali się, że trzykrotny mistrz Igrzysk Queelath rozniesie swojego przeciwnika po krótkiej zabawie, tymczasem Andai zmusił go do prawdziwej walki; okazało się, że niepokonany dotąd gladiator również krwawi.

Wymiana ciosów trwała długo, w pewnym momencie nawet sinoskóremu niewolnikowi z Soreham udało się wypracować niewielką przewagę. Czempion szybko się otrząsnął i znów zaczął spychać przeciwnika do defensywy, nie mógł jednak ostatecznie zakończyć walki i pozbawić go życia.

Obaj gladiatorzy zapewne tkwiliby jeszcze w bezruchu przez długi czas, gdyby nie wyprowadzili ich strażnicy. Dopiero wtedy na trybunach rozległy się szумы, widzowie poczęli komentować to, czego stali się świadkami.

– Saazarir wygrał, dobrze zrozumiałem, Wasza Boskość? – Aza'Balnor powoli uniósł się ze swojego miejsca. – Czyli to ja zwyciężyłem w zakładzie, tak? Krąg Kem'Zhu należy do mnie?

– Trzeba przyznać, że to był nie lada spektakl. – Król, jak gdyby głuchy na słowa Mistrza Tresera, odwrócił się do zgromadzonych w loży i z uciechą klasnął. – Nie spodziewałem się aż tak zaciętej walki, żaden dotychczasowy przeciwnik mistrza z Isvalf nie wytrzymał tak długo. To był piękny pojedynek, nieprawdaż?

– Owszem – odparł Raah'Nazuli, zacierając ręce. Przez cały pojedynek mag wydawał się niezwykle zaciekawiony reprezentantem Kręgu Walki Ra'Shrani.

– Wasza Boskość, Najwyższy... wygrałem, tak? – dopytywał Aza’Balnor, a Ra’Shrani siedział wciąż w bezruchu.

– Czempion z Iswalf Saarazir z Kręgu Walki Aza’Balnor nadal pozostaje niepokonany. Jeśli chodzi o twój zakład z Kem’Zhu... chciałbym, żebyśmy wszyscy o nim zapomnieli.

Ra’Shrani na moment rzeczywiście zapomniał, konkretnie: jak się oddycha. Podniósł oczy i spojrzał na króla-boga; jasny wzrok władcy spoczywał na nim. Jegon Ralo uśmiechał się zagadkowo.

– Zapomnieli? – powtórzył głupio Aza’Balnor.

– Oczywiście, choć wszystko ma swoją cenę. Mistrzu Treserze Ra’Shrani... unieważnię zakład Kem’Zhu z Aza’Balnozem pod jednym warunkiem... Oddasz mi swojego gladiatora. Za darmo, oczywiście. To cena za twoją wolność.

Ra’Shrani przez chwilę tępo patrzył na swojego króla, próbując poukładać sobie to wszystko w głowie. Zakład miał iść w niepamięć pod tym jednym warunkiem... Ra’Shrani miał rzec się swojego niewolnika, swojego najpotężniejszego gladiatora, który przetrwał drugą Ucztę i niemal pokonał trzykrotnego zwycięzcę Igrzysk... Miał oddać swojego przyjaciela niczym przedmiot...

Mistrz Treser uniósł się na drżących nogach i oddał Jego Wysokości głęboki pokłon.

– Przyjmij, proszę, mojego wojownika, Wasza Boskość. To dla mnie zaszczyt.

– To nie tak... to nie tak miało być! – wyrwało się wściekłemu Aza’Balnorowi.

Oczy wszystkich w loży skupiły się na nim. Baldor spojrzał na swojego pana i momentalnie zgiął się, drżąc ze strachu. Pozwolił sobie na zbyt wiele, ośmielił się kwestionować słowa króla-boga. Jegon Ralo mógł wymierzyć mu dowolną karę.

– Rozumiem, że czujesz się pokrzywdzony, nie będziesz jednak stratny, zapewniam cię. O ile zamierzam sobie wziąć gladiatora Ra’Shraniego, to twojego czempiona pragnę kupić. Za kwotę, którą mi podasz, Mistrzu Treserze.

Aza’Balnor nieśmiało uniósł głowę i spojrzał na władcę. Król-bóg nie wydawał się urażony jego impertynencją, wręcz przeciwnie, uśmiechał się zachęcająco. Mistrz Treser nie wiedział, co powiedzieć, a Jegon Ralo uznał, że najwyraźniej oferta wcale nie była taka kusząca.

– Złoto to jednak nie wszystko – rzekł pogodnie król-bóg, nieznacznie przekrzywiając głowę. – Będę również niewymiernie wdzięczny, Mistrzu Treserze Aza’Balnor, jeśli spełnisz mój kaprys.

To przeważyło. Jeśli trzykrotny zwycięzca Igrzysk wciąż się wahał, to już przestał. Powtórzył swój pokłon.

– Oczywiście, Wasza Boskość.

Żadne pieniądze Hylonu nie zrekompensują mu utraty Saarazira, ale termin „boska wdzięczność” znaczył naprawdę wiele. Mogło się okazać, że sprzedając swojego czempiona, Aza’Balnor właśnie otworzył sobie wrota do wielkiej kariery, sławy, potęgi i pieniędzy.

– Szczegółami zajmie się mój nadworny Mistrz Treser. Najpierw trzeba posłać po najlepszych medyków, żeby połatali naszych wojowników. Ozh, udasz się z Mistrzem Treserem Aza’Balnore i załatwisz wszelkie formalności, towarzyszyć ci będzie Kandon, on zajmuje się finansami. Mistrzu Treserze Ra’Shrani... podziwiam twoją odwagę i poczucie obowiązku, cieszę się, że postanowiłeś dotrzymać warunków zakładu, mimo że sam go nie zawarłeś. Wracaj do Soreham i dbaj o Krąg Walki, liczę na to, że twoi gladiatorzy pokażą klasę na najbliższych Igrzyskach Quelaath. Oczywiście, podczas turnieju jesteś zawsze mile widziany w królewskiej łoży. Do zobaczenia.

Ra’Shrani osunął się na ziemię, by paść przed Jegonem Ralo na oba kolana. Bez słowa przytknął czoło do zimnej podłogi, oddając cześć swojemu bogu. W końcu uniósł się z trudem, wyszedł za Aza’Balnore i dwoma królewskimi urzędnikami. Gdy znalazł się na korytarzu, oparł się plecami o ścianę i zakrył dłonią usta. Wciąż nie potrafił uwierzyć w swoje szczęście. Wczoraj wieczorem kładł się spać z przeświadczeniem, że będzie to ostatni dzień w jego życiu.

Ruszył chwiejnym krokiem, niczym pijany. Musiał znaleźć Isłę, musiał ją do siebie przygarnąć i mocno przytulić, musiał jej wyznać, że oboje pozostają wolni, że oboje przeżyją.

W łoży pozostał tylko król-bóg, jego małżonka oraz nadworny mag. Królowa niedbałym ruchem nadgarstka kazała służącym opuścić pomieszczenie. Wciąż siedząc na ozdobnym krześle, sięgnęła do pobliskiego stolika i ujęła palcami kryształowy kielich wypełniony słodkim winem.

– To był twój plan? Chciałeś położyć łapy na obu niewolnikach? – zapytała kąśliwie.

– Mój panie, mój królu... pragnąłbym... przeegzaminować gladiatora Ra’Shraniego... takiego okazji jeszcze w swojej karierze nie widziałem... zasadniczo chciałbym również zbadać czempiona Aza’Balnora. Ten obiekt przetrwał trzy Uczty... nie ukrywam, obaj mnie fascynują... – Podniecony Raah’Nazuli wiercił się na swoim miejscu i ze zniecierpliwienia łykał słowa.

Agat’Astra teatralnie wywróciła oczyma, wiedząc, jak wyglądają „egzaminacje” nadwornego maga.

– Później, Nazuli. Szczerze mówiąc, Agat, przyszło mi to do głowy dopiero wczoraj. Zakład Aza’Balnora i Kem’Zhu wydawał mi się całkiem zabawny, wypełniał lukę między kolejnymi Igrzyskami, mieszkańcom Quelaath się podobało, mnie też. Pomyślałem jednak, że skorzystam na

tym trochę więcej. Od dawna pragnąłem mistrza z Isvalf w swojej zagrodzie, czekałem na dogodny moment, żeby złożyć jego panu odpowiednią ofertę. Gladiator Ra'Shraniego zaintrygował mnie, dlatego darowałem mu życie. Myślę, że... obaj mogą mi się przydać.

Spojrzał wprost w złote oczy swojej małżonki. Agat'Astra wytrzymała jego wzrok, wysoko uniosła brwi, ale jej twarz wygładziła się, gdy zrozumiała, co mąż ma na myśli. Zdobyła się nawet na lekki uśmiech.

Najwyraźniej Jegon wziął na poważnie ostrzeżenia jej i całego dworu. Dobrze jest otaczać się tak potężnymi niewolnikami.



Taras rozpościerał się dokładnie nad największą areną treningową. Wysoki, wyściełany miękkim atłasem fotel osłaniał baldachim, kryjąc obserwatorów przed prażącym słońcem Hylonu. Ra'Shrani stał z boku, gardząc cieniem; czuł, jak słoneczne promienie pieką odsłoniętą skórę na jego ramionach i karku. Zajmował miejsce tuż przy balustradzie i z założonymi na piersi rękoma obserwował swoich niewolników.

Patrzył na trening siłowy gladiatorów, jak dźwigają ciężary, śliscy od potu. Spoglądał na pojedynkujących się na drewniane miecze. Wysłuchiwał wywrzaskiwanych komend strażników, którzy swoje krzyki wspomagali czasami suchym trzaskiem bicia w powietrzu.

Isli przy nim nie było, prawdopodobnie to gorące popołudnie spędzała w łaźni, wylegując się w chłodnej wodzie. Przed chwilą opuścił go zatrudniony niedawno finansista, próbujący utrzymać w ryzach wszystkie wydatki i porządkujący bałagan w księgach rachunkowych. Ra'Shrani przekonał się już, że Kem'Zhu buchalterię traktował skandalicznie lekceważąco.

Baldor spojrział w kierunku bramy wjazdowej – spodziewał się, że na dniach przybędzie w odwiedziny Kos ze swoimi Spalonymi. W ostatnim miesiącu uregulował wszystkie długi Kem'Zhu i zaproponował, aby wznowić umowę między Kręgiem Walki a łowcami niewolników. Kos chętnie przystał na propozycję; nowy Mistrz Treser przypadł mu do gustu, cenił sobie u niego zwłaszcza słowność oraz wypłacalność. Krąg Walki Ra'Shrani wychodził na prostą, mieli za sobą już kilka międzymiastowych turniejów, wyniki napawały optymizmem. Życie toczyło się dalej, a Ra'Shrani zdążył się przyzwyczaić do nowej rzeczywistości.

Czasami myślał o Andaiu, w końcu była to jedna z nielicznych osób, na których mógł polegać na tym popieprzonym świecie. Sprzedał go, by zachować wolność. Czy czuł się z tym źle? Nie był pewien własnych

uczuć. Za każdym razem, gdy go wspominał, czuł nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej. Żal? Ubolewał nad swoją decyzją? Tęsknił? Czasami łapał się na tym, że wychodzi do zagrody i szuka Andaia wśród gladiatorów. Ra'Shrani szybko jednak tłumiał w sobie te odczucia. Albo on, albo ja, powtarzał sobie. Poświęcił kogoś, kogo mógł nazwać przyjacielem, tylko po to, by zachować wolność. W Hylonie nie ma miejsca na współczucie. To twardy, bezwzględny świat, który przeżuje cię i wypluje, jeśli okażesz się słaby. Doświadczył tego na własnej skórze. Kilka głupich młodzieńczych błędów spowodowało, że jego życie wywróciło się do góry nogami, został niewolnikiem i gladiatorem. Gdyby się wtedy nad sobą rozczulał, pewnie nie dożyłby do dzisiaj. W Hylonie martwisz się o siebie.

Ra'Shrani, zasiadając na miejscu Kem'Zhu w kancelarii, wreszcie przestał wiercić się na krześle. Wreszcie poczuł, że to jego miejsce, że do niego pasuje. Został prawdziwym Mistrzem Treserem. Interes i własne dobro okazały się ważniejsze od przyjaźni. I co z tego, że wolność, którą udało mu się zachować, miała posmak popiołu? W Hylonie nie możesz okazać słabości.

Myślał także o tym, jakim cudem Andaiowi udało się przetrwać drugą Ucztę. Wiedziony ciekawością, Ra wytypował obiecującego gladiatora po pierwszej dawce trucizny i poddał go zabiegom. Z marnym skutkiem. Mistrz Treser mimowolnie wzdrygnął się na wspomnienie tego biedaka – wolałby zapomnieć o tym ponurym spektaklu, który tym razem obserwował ze znaczną uwagą. Potworne, niemal nieludzkie wrzaski bólu tłumione przez kaganiec, drgawki, nabrzmiałe, pulsujące żyły. Ofierze udało się jakimś cudem wypluć knebel. Gladiator odgryzł sobie język i utopił się we własnej krwi.

Ra'Shrani zastanawiał się, jak długo trwałaby agonía, czy wytypowany wojownik dokończyłby Ucztę, gdyby nie ten wypadek. Nie zamierzał jednak rozmyślać nad tym w nieskończoność, zwłaszcza że jeszcze długo w uszach dzwoniło mu od tego dzikiego wycia. Wiedział jedno: na razie nie będzie nikogo skazywał na te męki.

Co sprawiło, że Andai przeżył? Czy było to jego pragnienie mocy? Ra'Shrani otarł nadgarstkiem pot z czoła i znad warg. Wiedział jedno – minie wiele czasu, nim zapomni o wrzaskach wytypowanego gladiatora i nim wróci do pomysłu z poddaniem kogoś drugiej Uczcie. Miał teraz sporo rzeczy na głowie, zarządzanie Kręgiem Walki nie było łatwym kawałkiem chleba, na dodatek zbliżały się Igrzyska, tradycyjnie odbywające się co trzy lata. Również za rok zasiądzie w królewskiej łóżce na arenie w Mieście Wież, tuż przy boku Jego Boskości. Znowu będzie mierzył się z ambicjami Aza'Balnora – choć król-bóg unieważnił zakład, Ra'Shrani instynktownie czuł, że założył za skórę Mistrzowi Treserowi z Isvalf. Rywal będzie chciał go upokorzyć na oczach całego Hylonu.

Ra'Shrani wiedział jednak, że nie podda się tak łatwo, będzie gotowy, gdy znów wystawi swoich gladiatorów do walki w cieniu wielkich wież na piaszczystej arenie w Quelaath.



# MICHAŁ STANISŁAW ŚMIETANA



## OSTATNI RZYMIANIE

*Posiadłość Leopolda, księcia von Hohenberg, pięć kilometrów na południe od Wiednia, marzec A.D. 2050*



**E**dmund Lichnowski rozpoczął przygotowania do walki, jednym haustem osuszając szklanę ulubionej whisky. Z wściekłością rzucił nią w stronę marmurowego kominka ozdobionego rzeźbą dwugłowego orła. Szkło rozpadło się na dziesiątki kawałków.

Kolejny raz spojrzął na ekran telefonu.

„Nigdy nie byłem jeszcze tak blisko. Cierpliwości”

– głosiła wiadomość.

Edmund zgrzytnął zębami. Od lat nic, tylko powtarzana w kółko ta sama śpiewka.

Niedługo po wstąpieniu na uniwersytet jego życie zaczęło przypominać jedną wielką gonitwę. Dziesięć semestrów minęło nie wiedzieć kiedy i teraz, u progu obrony pracy dyplomowej i dwudziestych czwartych urodzin, nie był wcale dużo bliżej osiągnięcia postawionego sobie celu. Choć w teorii wolny, bez zdobycia odpowiednich funduszy Lichnowski był w takim samym stopniu niewolnikiem swoich zobowiązań jak rzymski gladiator.

Dokończył sznurować watowany kaftan, zapiął skórzaną kamizelkę i dwa razy sprawdził sprzączki. Wetknął za pas wzięte ze stolika

rękawice i ruszył w stronę drzwi, na chwilę zapominając o nadwreżonej prawej nodze.

Jeden niepewnie postawiony krok na wypastowanej podłodze i runął jak długi. Zaklął i rozmasował kolano. Podniósł się i tym razem zdołał dotrzeć do drzwi.

– Proszę szanownego pana za mną. – Kamerdyner uklonił się.

Ruszyli korytarzem łączącym zachodnie i wschodnie skrzydło posiadłości. Na ścianach wisiały myśliwskie trofea i obrazy. Co dziesięć kroków napotykali postument z popiersiem z białego marmuru. Edmund dostrzegł Cezara, zauważył Marka Aureliusza. Pozostałych nie rozpoznał.

Gdy dotarli do podwójnych rzeźbionych drzwi z mosiężnymi klamkami, czekający już drugi kamerdyner wyciągnął ku niemu wypolerowaną na błysk srebrną tacę. Między leżącymi na niej zabezpieczonymi drutem okularami z osłoną na nos i kości policzkowe oraz ochraniaczem na zęby Edmund zobaczył swoje odbicie. Kruczoczarne włosy, zielone oczy, rozcięte wargi i blizna na lewym policzku. Lichnowski pewnym ruchem zawiązał staroświecką maskę i włożył do ust ochraniacz. Nałożył rękawice.

Skinął głową, a zgięta wpool służba otworzyła drzwi.

Przeszklony sufit wpuszczał ostatnie promienie popołudniowego słońca, które padały na podłogę, w całości wyłożoną mahoniem. Edmund z ulgą zauważył, że drewno nie błyszczało. W pomieszczeniu nie było mebli ani dzieł sztuki. Wydawałoby się puste, gdyby nie zebrało się w nim przeszło dziesięciu mężczyzn.

Pod bacznym okiem sędziego dwaj sekundanci dezynfekowali jodyną proste ostrza. Lekarze w białych fartuchach rozmawiali z ciemnowłosym mężczyzną o wypielęgnowanych wąsach, który złożył ręce na piersiach. Z jego twarzy aż biło samozadowolenie.

Ubrany w brązowy garnitur Leopold dla wszystkich był dziś gospodarzem. Dla Edmunda dodatkowo serdecznym przyjacielem i hojnym mocodawcą. Po drugiej stronie sali spacerował Karl von Wartenberg, osiadły w Salzburgu daleki kuzyn Leopolda.

– Na pozycje, panowie! – zawołał sędzia, gdy zauważył Lichnowskiego.

Leopold niepostrzeżenie puścił do niego oko.

Edmund ustawił się w odległości pięciu kroków od przeciwnika. Wystawiony przez Wartenberga Włoch o oliwkowej skórze ubrany był w identyczny strój jak Lichnowski i przewyższał go o kilka centymetrów.

Sekundanci wręczyli im ostrza. Edmund uśmiechnął się. Ciężar broni zarówno uspokajał go, jak i pozwalał się skoncentrować.

– Proszę o uwagę, panowie – zwrócił się do zawodników sędzia. – Będziecie prowadzić walkę, aż jeden z was okaże się niezdolny do jej

kontynuowania albo poprosi o łaskę. Czy wszystko jasne?

Edmund kiwnął głową. To samo uczynił Włoch.

– Gotowi?

– Tak!

– Si!

– Walcz! – zawołał sędzia i wraz z innymi cofnął się.

Włoch rzucił się do przodu i jednym skokiem pokonał dzielący ich dystans. Pchnął w wypadzie, celując sztychem w gardło. Edmund zbił ostrze i odpowiedział w skroń. Włoch przerzucił ciężar na tylną nogę i równie szybko się wycofał. Odparował pozorowane cięcie w bok, uskoczył przed pchnięciem i uderzył od dołu.

Edmund został zmuszony do pospiesznego odwrotu. Kontuzjowana tydzień temu noga znów zawiodła. Wyczucie dystansu – nie. Ostrze Włocha jedynie drasnęło kamizelkę, zamiast ją rozciąć.

Okrażali się wzajemnie. Włoch skakał w tył i w przód. Edmund szedł drobnymi kroczkami. Wyczekał, aż słońce za szkłem sufitu będzie świecić tamtemu w twarz, i zaatakował. Wykonał fintę, pozorując natarcie z góry, lecz w ostatniej chwili wstrzymał broń i ciął w prawy bok. Włoch ledwo się zasłonił.

Edmund wyprowadził sztych i zrobił przekrok. Czuł, jak prawa noga pulsuje bólem. Kolejny raz ciął. Przeciwnik obronił się z trudem i odpowiedział na głowę.

Lichnowski uniknął ataku szybkim wypadem w bok. Zignorował protest nogi i skierował ostrze w pierś Włocha. To miało zakończyć sprawę i życie przeciwnika za jednym zamachem.

Nie zakończyło.

Włoch przeturlał się po podłodze. Machnął ostrzem na odlew, uniemożliwiając Edmundowi dobiecie go. Lichnowski zauważył na ostrzu krew. Prędko zbadał stan swojej kamizelki i dostrzegł niewielkie rozcięcie na dole.

Pospieszne oględziny przerwało wściekłe natarcie Włocha. Szermierz ciął Edmunda z właściwym dla swojego narodu temperamentem, nie dając chwili wytchnienia. Zarysował mu lekko osłonę na nos, zostawił kolejną szramę na policzku, równoległą do pierwszej.

Zlany potem i cierpiący z powodu kontuzjowanej nogi Lichnowski zaczął się bać. Statystyka zdecydowanie nie przemawiała na jego korzyść. Połowa walk kończyła się śmiercią. Jedna czwarta trwałym kalectwem.

Były jednak ważniejsze i większe sprawy niż on sam. Jak choćby długi natury honorowej i innej. A poza tym, podobnie jak whisky, Lichnowski uwielbiał to.

Ocecił, że noga wytrzyma jeszcze jedną poważną akcję, zanim zupełnie odmówi mu posłuszeństwa. Postawił wszystko na jedną kartę.

Odparł cięcie Włocha. Cofnął się, przerzucając broń do lewej ręki, i zaatakował od dołu, wkładając w to całą siłę wypoczętego ramienia. Przeciwnik bez trudu się zasłonił. Widać miał jeszcze spore rezerwy sił.

Jednak ułamek sekundy przed tym, nim stal zetknęła się ze stalą, Edmund przekreślił nadgarstek. Jego broń weszła pod klingę przeciwnika, kabłąk zablokował ostrze Włocha. Jednocześnie Lichnowski przeciągnął sztychem do góry.

Włoch ze zdziwieniem spojrział na dwie połowy kamizelki oraz nowo powstałą szramę. Zaczynała się nad pachwiną, biegła przez tors aż do krtani. Odsunął się o krok. Wypuścił ostrze i upadł.

Natychmiast podbiegł ku niemu lekarz.

Edmundowi los przeciwnika był zupełnie obojętny. Zalała go euforia zmieszana z poczuciem spełnienia. Zadanie zostało wykonane i tylko to się liczyło. Leopold kiwnął głową i pogrążył się w rozmowie z salzburskim kuzynem.

Lichnowski zwrócił ostrze sekundantowi, zdjął maskę i kamizelkę, po czym zrzucił kaftan. Posłusznie pozwolił lekarzowi opatrzyć rany i ukłuć go w ramię narzędziem przypominającym skrzyżowanie strzykawki z elektronicznym piórem. Po dziesięciu sekundach urządzenie zabrzęczało, stwierdzając brak obecności środków dopingujących we krwi. Oficjalnie ogłoszony zwycięzcą Edmund pomaszerował pod prysznic. Odetchnął z rozkoszą, gdy strumień gorącej wody spadł mu na twarz.

Pół godziny później wrócił do pokoju, gdzie przygotowywał się do walki.

Na wieszaku znalazł wyprasowany frak, w który od razu się przebrał. Podszedł do stolika, gdzie leżała gruba koperta z plikiem banknotów. Przeliczył je i uśmiechnął się samymi wargami.

Obok koperty stała butelka ballantine'esa, jedna z niewielu przyjemności, na jakie sobie pozwalał. Nawet gdyby nie miał długów do spłacenia i mógł sobie pozwolić na lepszą whisky, tylko ta mu smakowała. O butelkę oparty był liścik gratulacyjny z odcisniętym śladem szminki. Uśmiech Edmunda rozszerzył się o zęby i zyskał na szczerości.

W drodze do wyjścia wzrok Lichnowskiego przypadkiem zatrzymał się na zawieszonym na ścianie portrecie mężczyzny w białym mundurze.

Na szczerej twarzy arcyksięcia Franciszka Ferdynanda trudno było się dopatrzeć wybitnej inteligencji. Wyglądał raczej na dobrodusznego ojca rodziny niż na przywódcę. A jednak Leopold uparcie twierdził, że zapobiegłby upadkowi rodzinnej firmy, gdyby los był dla niego łaskawszy.

Edmunda nie dziwiło, że jego przyjaciel darzył zmarłego prawie sto

czterdzieści lat temu, niepopularnego za życia przodka nabożnym szacunkiem i pragnął powrotu dawnych czasów. Tego ostatniego chciał także on sam.

### *Gabinet, wczesny wieczór*

– Gdy cię trafił, niemalże wzięłem pod uwagę możliwość porażki. – Leopold, książę von Hohenberg odstawił filiżankę z kawą i oparł zbyt wydatny podbródek na rękę. – Ale kiedy zastosowałeś swój popisowy numer, było po sprawie. Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz.

– Nie przesadzaj. Gdyby to nie zadziało, zeszkrobywałbyś mnie z podłogi. – Edmund pomasaował prawe udo.

Kolacja, którą zjedli sami, trwała zaledwie pół godziny. Obaj byli tak głodni, że w mgnieniu oka pochłonęli dziczyznę w sosie żurawinowym i tort Sachera. Teraz siedzieli w obitych skórą fotelach, z nogami położonymi na pufach. W pomieszczeniu przyjemnie pachniały płonące w kominku sosnowe polana. Lampa w orientalnym stylu dawała jasne światło.

– Kolejny raz udowodniłeś, że należy się jednak z tobą liczyć – z zadowoleniem stwierdził Leopold. – Do tego walczyłeś w siedemnastu turniejach i za każdym razem zajmowałeś przynajmniej trzecie miejsce. O zarobionych w ten sposób pieniądzech już nie wspomnę, więc naprawdę możesz sobie darować tę fałszywą skromność.

– Mylisz ją z realizmem. Pięć lat tyram jak osioł i żyję jak asceta, a mimo to wciąż nie spłaciłem długów mojego bractwa studenckiego. Dopóki tego nie zrobię, nie mogę przyjmować nowych członków. W dodatku za pół roku studia dobiegną końca, a moja prezesura razem z nią. Jeżeli nie nastąpi jakiś przełom, zostawię bractwo Purpurowych w dokładnie takim stanie, w jakim je zastałem. W praktyce oznacza to dla niego wyrok śmierci, bo bank zajmie naszą siedzibę i zostaniemy wykreśleni z rejestru.

– Jutro zaczyna się Wielki Turniej. Zwycięstwem rozwiążesz wszystkie problemy za jednym zamachem.

– Czy to właśnie nie takie myślenie doprowadziło do upadku twojej rodziny?

Leopold wydał gniewny pomruk. Dolał sobie kawy i przez chwilę milczał. Za oknami ciemniało, a na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy.

– No dobrze, przepraszam – podjął Edmund. – Pozwól sobie przypomnieć, że do Wielkiego Turnieju dopuszczone są tylko bractwa, które mogą pochwalić się osiągnięciami w turniejach drużynowych. Przez moich nieudolnych kolegów nigdy dotąd nie stanęliśmy na

podium, najwyżej dotarliśmy w zeszłym roku do czwartego miejsca. Niestety, pozostają mi zawody mniejszego kalibru. Myśląc realistycznie, przy sporej dawce szczęścia może uda mi się wygrać wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pokryć resztę zobowiązań. Chyba że wiesz coś, czego ja nie wiem.

– Co do twoich ludzi, lepiej jest mieć w rezerwie dziesięciu towarzyszy, niż nie mieć ich dziesięciu tysięcy, jak uczył Tamerlan.

– Nie próbuj mnie pocieszać. Nie wychodzi ci to – mruknął Edmund.

– A gdybym ci powiedział, że znalazłem sposób, żeby Purpurowi wzięli udział w Wielkim Turnieju?

– Byłbym dozwonnie wdzięczny, ale nie skakałbym z radości. Żeby cokolwiek ugrać, musiałbym oszczędzać nogę. – Lichnowski skrzywił się ironicznie.

– Zatem dowiedz się, że mój kuzyn Karl ma spore wpływy u ludzi, którzy organizują turnieje w twoim kraju. Muszę ci się przyznać do małej manipulacji. Zaprosiłem go, żebyś mógł mu zaprezentować swoje umiejętności.

– Kontynuuj. – Serce Edmunda zaczęło bić szybciej.

– Twój występ niezwykle mu zaimponował i przychylił się do mojej prośby. Bractwo, które w zeszłym roku sprzątnęło Purpurowym sprzed nosa brązowy medal, zostanie wstecznie zdyskwalifikowane, co pozwoli wam zająć jego miejsce w Wielkim Turnieju. Reszta zależy od ciebie... – urwał, bo Edmund zerwał się z fotela i zaczął go ścisnąć. – No już, przestań. Dobrze, dosyć!

– Dziękuję ci z głębi serca, przyjacielu. Czego chcesz w zamian?

Znów usiedli w fotelach.

– Widzisz, mój drogi, jesteśmy do siebie tak podobni. Obaj cierpimy za decyzje podjęte przez naszych poprzedników. Tak samo nienawidzimy sytuacji, w której się znajdujemy, i jesteśmy gotowi poświęcić wiele, żeby przywrócić poprzedni stan rzeczy. Toutes proportions gardées, oczywiście. – Leopold zacisnął pięści. – Pamiętasz, jakie dwie rzeczy ukradziono mojej rodzinie po pierwszej wojnie światowej?

– Straciliście majątek i odebrano wam tytuły, które stały się zaledwie częściami nazwisk. – Edmund nałożył sobie ciasta i poprawił się w fotelu. – Dlatego nazywasz się Leopold, księżę von Hohenberg, a nie księżę Leopold von Hohenberg.

– Dowiedziałem się, że „lepsza” gałąź rodziny wykorzystała sprzyjający klimat polityczny i odzyskała lwią część tego, o czym mówiłeś, na drodze sądowej.

– Jak znam życie, ich inicjatywa nie objęła kuzynów pochodzących z małżeństw morganatycznych...

– Podobnie jak półtora wieku temu, dziś też widzą tylko czubek

własnego nosa. Wciąż uznają nas za parweniuszy, których muszą tolerować. Na szczęście dla mnie, ich działania stworzyły precedens i nie zawaham się go wykorzystać. Kiedy sąd zdecyduje na moją korzyść, zamierzam na chwilę schować do kieszeni dumę i wkupić się w ich łaski.

– A potem wejdiesz do polityki, tak?

– Gdy nasze stosunki się unormują, będzie to zaledwie naturalna kolej rzeczy – wyjaśnił bez cienia fałszywej skromności Leopold. – Zanim jednak podzielę skórę na tym niedźwiedziu, będę potrzebował twojej pomocy.

– Mam na salonach walczyć z ich zawodnikami w twoim imieniu? – zapytał Lichnowski.

– W zupełnie innej lidze i na innym poziomie. To pomoże moim kuzynom szybciej zaakceptować nową rzeczywistość – wyjaśnił Leopold. – Za odpowiednim wynagrodzeniem, ma się rozumieć, i po tym, jak sam załatwisz swoje sprawy.

– Zgoda. – Edmund uściśnął mu rękę.

– Uważam też, że ty i moja siostra nie powinniście dłużej odkładać decyzji o małżeństwie.

– Dlaczego?

– Nareszcie przestanie bujać w obłokach i dzięki temu stanie się cennym atutem dla naszego przedsięwzięcia, a nie tylko balastem, którego na chwilę nie można spuścić z oka.

Lewy kącik ust Lichnowskiego uniósł się. Zadowolony Leopold zaczął bawić się spinkami do mankietów z wytłoczonym na nich dwugłowym orłem.

### *Pokój w hotelu, noc*

Edmund nigdy jeszcze nie był tak rozkojarzony. Gdy wsiadł do samochodu, szofer kilka razy musiał go pytać o adres, zanim Lichnowski w ogóle pojął, że ktoś do niego mówi.

– Do Hiltona obok Stadtpark.

Ruszyli, a Edmund na dobre pogrążył się we własnych myślach. Jeszcze wczoraj nie mógł nawet marzyć o dopuszczeniu bractwa Purpurowych do Wielkiego Turnieju. Teraz wszystko zdawało się być na wyciągnięcie ręki.

Bractwo dostało ostatnią szansę na odrodzenie się. Zdobycie głównej nagrody wystarczyłoby na pokrycie reszty długów, a sława zwycięzcy sprawiłaby, że odpowiedniego pokroju studenci Krakowskiej Akademii Technicznej masowo zaczęliby się zgłaszać do Purpurowych.

Najpierw jednak trzeba było tego dokonać.

W odróżnieniu od pomniejszych imprez, gdzie wstęp miał każdy student z każdego bractwa, Wielki Turniej gromadził samą elitę. Najlepszymi ze wszystkich pozostawało bractwo Zielonych. Znakomicie wyćwiczeni, szczerze sponsorowani przez polską arystokrację, a według Leopolda również przez jego „lepszych” kuzynów, zgarnęli Edmundowi sprzed nosa wiele medali. A teraz stawka wystrzeliła do góry.

Lichnowski wyrzwał za okno. Był już w Wiedniu.

Samochód sunął płynnie po ulicach rozjaśnionych światłami neonów. W miarę zbliżania się do centrum smukła zabudowa z betonu, stali i szkła zaczęła ustępować miejsca klasycystycznej.

Minęli gmach Opery. Afisz nad wejściem z podobiznami Haydna, Mozarta i Beethovena informował o Tygodniu Klasyków Wiedeńskich.

Edmund wyciągnął telefon i westchnął. Zero nowych wiadomości.

Cały czas łudził się, że jego sekretna broń jest już na ukończeniu i wreszcie uda mu się osiągnąć cel. I tak codziennie od ponad dwóch lat.

– Dojechaliśmy na miejsce, proszę pana. – Szofer zatrzymał samochód przed hotelem. – Życzę miłego wieczoru.

– Dziękuję, nawzajem – pożegnał go Edmund.

Przeszedł przez lobby, minął restaurację i wszedł do windy. Wjechał na swoje piętro i wysiadł. Skręcił w lewo i po kilkunastu krokach stanął przed pokojem 753.

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden... – odliczał, przekręcając klucz.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Nawet nie zdążył zapalić światła, gdy jej ręce oplotły mu szyję. Już chciał wyrazić sprzeciw, lecz zamknęła mu usta pocałunkiem. Długim i namiętym.

– Przynajmniej daj mi odstawić twój prezent w bezpieczne miejsce – zdołał wykrztusić. – Nie chcę go stłuc, zanim skosztuję.

Pstryknął włącznik światła. Agnes na chwilę uwolniła Edmunda. Postawiła na stole dwie szklanki, które napełnił bursztynowym płynem.

– Za kolejną wygraną walkę! – wzniosła toast.

– Za tych, którzy wciąż dają mi szansę – odparł.

Wypili do dna.

– Czy mój braciszek znów uraczył cię monologiem na temat słuszności sprawy? – Na powrót wtuliła się w narzeczonego.

– Zwiędłym i nie aż takim nudnym jak zwykle.

– Trafił swój na swego – zaśmiała się. – Zupełnie jak – zastanowiła się – skazani na upadek Rzymianie rojący o odbudowie imperium i powrocie do dni chwały.

– Historia kołem się toczy. Rządy przedstawicielskie okazały się równie ulotne jak rządy dobrze urodzonych, które zastąpiły – odparł Edmund. – Poza tym nie mamy nic do stracenia i dlatego może nam się



udać.

– Ty być może. Leopold jak najbardziej – stwierdziła oburzonym tonem. – Nie wolno mu ryzykować majątku w imię przypodobania się ludziom, którzy przypominają sobie o istnieniu mojego brata, tylko gdy czegoś od niego potrzebują. Zwłaszcza że z każdym dniem nasz kapitał topnieje.

– Tu cię boli! Dla niego większość pieniędzy i posiadłości, a dla ciebie tylko fundusz powierniczy. Sądzisz, że mogłabyś zarządzać majątkiem lepiej niż on?

– Ażebyś wiedział.

– I kto tu żyje w świecie iluzji?

Agnes wymierzyła mu policzek. Jak na pasjonatkę tańca i biegów maratońskich przystało, była ponadprzeciętnie silna.

– Naprawdę chcesz to tak załatwić? – Twarz Edmunda ozdobił wyraz pogardy.

– Nie. – Zaczęła rozwiązywać mu białą muszkę. – Ale możesz mi powiedzieć, o czym rozmawialiście.

Edmund w kilku zdaniach streścił, jak Leopold umożliwił mu udział w Wielkim Turnieju.

– Tego się nie spodziewałam. – Pomogła mu zdjąć marynarkę.

Telefon Lichnowskiego zabrzączał.

„Reakcja myszy pozytywna. Wszystko gotowe” – głosiła wiadomość.

– Co to znaczy? Kim jest Anna? – Agnes odczytała nazwisko nadawcy.

– Moim prywatnym geniuszem, dzięki któremu szanse na wygraną właśnie wzrosły. – Edmund odłożył telefon i pchnął kobietę na łóżko.

– Chętnie poznam tego geniusza – zachichotała, gdy odgarnął jej z czoła ciemnorude loki.

### *Kraków, siedziba bractwa Purpurowych, wczesny ranek*

Ulice były jeszcze prawie puste, lecz miasto budziło się do życia. Z zabytkowych kamienic i wciąż jeszcze nielicznych wieżowców wychodzili ludzie. Udawali się na poranne zakupy bądź spieszyli na stacje uruchomionego trzy lata temu szybkiego tramwaju.

Wiatr rozwiewał chmury, zza których wyglądało słońce. Edmund upewnił się, że nagły podmuch nie zerwie mu dekła – studenckiej czapki w kolorze bractwa, kontrastującej z szarym garniturem. Agnes ubrała się w pastelową garsonkę i buty na płaskiej podeszwie.

Po wyjściu z Dworca Głównego Lichnowski zamówił taksówkę. Wokoło roznosił się zapach świeżych obwarzanków. Bez namysłu uznali, że trudno o lepszy początek dnia.

– Przepyszny – powtarzała Agnes między jednym a drugim kęsem. – Jeszcze lepszy, niż pamiętam.

– A kiedy jadłaś je ostatnim razem?

– Na wiosnę piętnaście lat temu.

Wsiedli do taksówki, a Edmund podał kierowcy nazwę ulicy.

– Podziwiam twoją pamięć, ale wtedy spożywałaś obwarzanka przedkryzysowego.

Po latach tłustych zawsze następowały chude. Właśnie takie pojawiły się w 2035 roku. Pięć lat rujnującej inflacji, ujemnego wzrostu gospodarczego i zmieniających się co kilka miesięcy rządów doprowadziło wiele krajów na skraj nędzy. Najtęższe umysły wspólnie głowiły się i próbowały zaradzić problemom, przy których wielki kryzys sprzed stu lat wydawał się dziecinną igraszką. W pewnym momencie sytuacja zaczęła się jednak poprawiać i w końcu wróciła do normy.

– To był bezcenny dar, którego dla odmiany nie zmarnowaliśmy – powiedział kiedyś Edmundowi Leopold podczas gry w bilard. – Narody nareszcie mogły zrozumieć swój błąd i przestać wybierać prostaków bawiących się w Boga i obiecujących lepsze jutro. A wystarczyło tylko postawić na odpowiednich ludzi.

Edmund nie widział sensu zaprzeczać.

W przypadku Polski wspomnianym człowiekiem był książę Ernest Augustyn Czartoryski. Mianowany premierem tymczasowego rządu fachowców w apogeum kryzysu, zdołał utrzymać stanowisko po jego zakończeniu. Wyprowadził państwo z kłopotów i przy okazji skompromitował dotychczasowe elity do tego stopnia, aby już nigdy nie ośmieliły się podnieść głów. Nastąpiły rządy nowej arystokracji.

Lata płynęły, ministrowie zmieniali się. Czartoryski, wyrachowany i skuteczny jak zawsze, trwał.

Taksówka zatrzymała się.

– Choć wiele rzeczy na szczęście się poprawiło, powietrze wciąż jest tak samo paskudne. – Edmund pokręcił głową.

Zapłacił kierowcy, wziął Agnes pod rękę i poprowadził ją alejkami. Wokół zieleńły się wypielęgnowane trawniki. Słońce przygrzewało już mocno, więc Lichnowski poluzował krawat i rozpiął marynarkę.

Ich oczom ukazał się dwupiętrowy klasycystyczny budynek, pamiętający jeszcze czasy poprzedniego stulecia. Jasne było, że najlepsze lata ma już za sobą. W niektórych miejscach tynk odpadł albo kwitła pleśń. Farba na drzwiach łuszczyła się.

– Nie wiem, jak możesz tu mieszkać – powiedziała Agnes, gdy znaleźli się w środku. – Tu jest tak pusto.

– Nie pomyliłaś się z tymi Rzymianami – przyznał Lichnowski. – Podobnie jak Koloseum wciąż możemy wzbudzać podziw, ale i tak Purpurowi są żalonym cieniem samych siebie sprzed lat. Jeżeli chcesz

zobaczyć winowajcę, popatrz tam.

Agnes spojrzała na ścianę obwieszoną zdjęciami. Pierwsze od prawej przedstawiało Edmunda, drugie wścicza o nalanej twarzy i złośliwym spojrzeniu.

– To poprzedni prezes bractwa. Tydzień po objęciu stanowiska uznał, że zainwestuje nasze pieniądze na giełdzie. Jak możesz się domyślać, popłynął na całej linii. Zamiast się przyznać, wziął kredyt pod zastaw naszej siedziby i dał nogę. O wszystkim dowiedzieliśmy się, dopiero gdy komornik zapukał do drzwi.

– I wtedy pomógł ci mój brat?

– Gdybym poznał go miesiąc wcześniej, nie musiałbym wyprzedać sporej części trofeów i pamiątek, pożegnać wszystkich naszych sponsorów ani czterdziestu trzech kolegów. Poza garstką, którą zdołałem przekonać, nikt nie chciał zostać w bractwie, gdy z dnia na dzień znalazło się na krawędzi bankructwa. Wiele razy chciałem odejść, ale zwyczajnie nie potrafiłem.

Lichnowski ciężko westchnął.

– Wszędzie złe decyzje i ich konsekwencje. – Agnes wzruszyła ramionami. – Pewnie musiałeś przeklinać tego człowieka tyle razy, co mój przodek swojego stryja. Gdyby mógł, pewnie ogoliłby mu te słynne bokobrody – dodała z przekąsem.

– Dobrze, wystarczy. Na dziś dosyć sentymentalizmu. – Edmund otrząsnął się. – Chodź, zapoznam cię z moim geniuszem, skoro tak tego pragniesz.

Schodami dostali się na piętro i stanęli przed ciężkimi stalowymi drzwiami.

– Radzę wstrzymać oddech – rzucił jeszcze przez ramię.

Wstukał kod na konsoli przy drzwiach, wziął głęboki haust powietrza i wparował do środka.

Uderzyła ich mieszanka okropnych zapachów. Smród stokroć gorszy od zgniłych jaj, a dla delikatnych nozdrzy bardziej zabójczy od gazu pod Ypres. Agnes rozkaszała się.

– Jak, do jasnej cholery, możesz pracować w takich warunkach? – zawołał Edmund.

Za biurka, zastawionego próbkami, aparaturą pomiarową i mikroskopami, wstała filigranowa dziewczyna. Zdaniem Leopolda, któremu Lichnowski pokazał jej fotografię, stanowiła kwintesencję piękna. Ubrana w biały fartuch, na nosie miała okulary w rogowej oprawce. Jasne jak len włosy zaplotła w warkocz, a paznokcie pomalowała na ulubiony turkusowy kolor.

Tak Anna prezentowała się na zdjęciach albo gdy nie pracowała. Teraz fartuch był poznaczony licznymi dziurami i tak zabrudzony, że jedynie ktoś niezmiernie wyrozumiały mógłby go nazwać białym. Zza

wyszczerbionej oprawki okularów wyglądały przekrwione, zmęczone niedosypianiem oczy. Włosom brakowało niewiele do skołtunienia, a lakier na paznokciach lewej ręki był spękany. Prawa była zabandażowana.

– To jest ten twój geniusz? – Agnes wciąż walczyła z atakiem kaszlu.

– Poznaj moją przyjaciółkę Annę Wolską, kochana. Razem studiujemy chemię stosowaną i głównie dzięki niej dziekan mnie jeszcze nie wyrzucił. Niestety, gdy wyjeżdżam, ulega zgubnemu zwyczajowi zatracania się w pracy.

– Dziękuję, że tak dbasz o mój wizerunek – odezwała się Anna schrypniętym głosem. – Nie musisz mi przedstawiać swojej towarzyszki. Domyślam się, kim jest.

– Miło poznać – odparła Agnes tonem sugerującym coś zupełnie odwrotnego.

– Świetnie. A teraz proszę wyjść z mojej pracowni. – Kobieta w kitlu stanowczym gestem wskazała drzwi.

Na twarzy Agnes pojawił się gniewny grymas. Położyła lewą dłoń na prawej i spojrzała na Edmunda.

– Wnoszę, że dokonałaś przełomu – odezwał się Lichnowski, próbując rozładować napięcie.

Anna błysnęła oczami. Kiwnęła głową i wskazała na klatkę, po której chodziły dwie myszy.

– Niby co w nich takiego szczególnego... – zaczął Edmund, lecz zaraz urwał.

Futerka myszy były pokryte zakrzepłą krwią, a one same straszliwie pogryzione. Chodziły z trudem, jakby miały za sobą duży wysiłek.

– Co im jest? – spytał.

– Napoiłam je tym lekiem. – Anna podała mu fiolkę z przezroczystym płynem. – Nawet nie wiesz, jaka to radość po tylu niepowodzeniach wreszcie przekazać ci dobre wiadomości.

Edmund na próbę wsunął palec do klatki i natychmiast go cofnął. Zwierzątko kłapnęło szczękami, chcąc ugryźć smakowity kawałek mięsa. W jego oczach płonęła żądza mordy.

– Och! Zapomniałam ci powiedzieć. – Anna wyszczerzyła się w uśmiechu. – Stały się też bardziej agresywne.

– Jak to dokładnie działa? – zapytał Lichnowski.

– Znacząco poprawia koncentrację, wzmacnia agresję, jednocześnie utrzymując chłodną głowę, i niweluje ból. Natomiast dzięki dodaniu mieszanki pewnych soli kontrola dopingu nic nie wykaże. Testowałam na sobie.

– To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Masz rację. Około dwóch minut od zażycia wszystkie efekty poza jednym zaczęły ustępować. Tak z niczego naprawdę się wkurzyłam.

Zniszczyłam jeden z manekinów treningowych, ale wciąż nie miałam dość. Dopiero kiedy zbiłam gołą ręką lustro, odzyskałam nad sobą kontrolę.

– Czy ten niesamowity lek ma nazwę?

– Z uwagi na właściwości przeciwbólowe i dla niepoznaki nazwałam go Ibuprofen.

– No to jesteśmy uratowani. – W przyływie radości Edmund uściskał Annę.

– Musisz to jeszcze przetestować na sobie w kontrolowanych warunkach – starała się ostudzić jego entuzjazm. – Sądzę, że dziś wieczorem...

– Nie mamy na to czasu, Wielki Turniej zaczyna się za dziesięć godzin. Pierwszy z nas, który będzie walczył, to zrobi. Znając moje szczęście, będę to ja.

Edmund odchrząknął i przyjął z rąk Wolskiej cały zestaw fiolek.

– Masz także moją wdzięczność – oznajmiła Agnes. – Teraz możesz iść doprowadzić się do porządku. Kobieta, nawet geniusz, powinna się szanować, dbać o siebie i nigdy nie zapominać, że nią jest.

Jeżeli Anna coś odpowiedziała, Lichnowski tego nie słyszał. Był zbyt skupiony na kontemplowaniu wizji długo wyczekiwanego triumfu.

### *Arena, późne popołudnie*

– Powodzenia, najdroższy, i do zobaczenia wieczorem. – Agnes objęła i ucałowała Edmunda.

– Nie będziesz nam kibicować? – zdziwił się.

– Podniecają mnie zawodnicy, nie zawody. Tych nie znoszę. Poza tym muszę załatwić dla braciszka kilka spraw.

– Baw się dobrze. – Lichnowski wzruszył ramionami.

Odprowadził narzeczoną wzrokiem i skierował się w stronę elipsoidalnego gmachu Areny. Jego zdaniem budynek w pełni zasługiwał na tę nazwę.

Początkowo był pomyślany jako skrzyżowanie krytego boiska z salami gimnastycznymi oraz trybunami, które mogły pomieścić tysiące osób. Z czasem umieszczoną w nim placówkę medyczną rozbudowano do w pełni funkcjonującego szpitala.

Zyski ze sprzedaży biletów, prowizje od zakładów, udostępnienie sal gimnastycznych oraz część gastronomiczna sprawiły, że przychody pięciokrotnie przewyższały koszt utrzymania Areny.

Odnalazł pomieszczenia oddane do użytku Purpurowym, gdzie wszyscy się już zebrali.

– Pani i panowie, długo czekaliśmy na ten dzień! – Edmund z rękami na plecach wszedł do szatni.

Na ławkach ustawionych przed metalowymi szafkami siedzieli pozostali członkowie bractwa. Cała trójka. Choć często pomstował na nich w myślach albo przed Leopoldem, Edmund nie zastąpiłby ich nikim innym. Byli ostatnimi wiernymi. Pretorianami, którzy podążali za nim od pierwszego dnia na stanowisku. Każdy z nich nosił przezwisko od herbu, którym niegdyś – naprawdę bądź rzekomo – pieczętowała się jego rodzina.

Wielki jak góra i silny jak tur Mateusz Trojan, zwany Leszczycem. Będący jego całkowitym przeciwieństwem Mogiła, czyli Jan Stachowski, który niedostatki tężyzny nadrabiał kocią zwinnością. Ostatni był Piotr „Bychowiec” Radwan, mizerny i ważący słowa, lecz zawzięty.

Była tam również Anna. Choć nie mogła należeć do bractwa i tym samym nie brała udziału w turnieju, jej odkrycie mogło przesądzić o wyniku. Gdy Wolska doprowadziła się do porządku, Edmund przypomniał sobie, dlaczego Leopold tak zachwycał się jej zdjęciem.

– Dzięki własnej pracy, pomysłowości Anny i pomocy naszego patrona oraz sponsora otrzymaliśmy jeszcze jedną szansę. Nie zmarnujemy jej i dajmy z siebie wszystko. A teraz zakładać stroje!

Młodzi mężczyźni przebrali się i dołączyli do Wolskiej w poczekalni. Telebim wyświetlał nazwiska zawodników i przypominał zasady Wielkiego Turnieju.

W tym roku do walki stawały bractwa Purpurowych, Zielonych, Czarnych i Żółtych. Zawodników losowo przydzielono do czteroosobowych grup. Po walkach wewnątrz nich systemem pucharowym wyłaniano zwycięzcę.

Lichnowski trafił do grupy A. Walka otwarcia miała się odbyć między nim a zawodnikiem Zielonych. Odruchowo rozmasował prawą nogę. Poczul, że drżą mu ręce.

– Na szczęście. – Anna podała mu szklankę whisky.

Edmund wypił. Gdy nad drzwiami zapaliło się zielone światło, wychylił także fiolkę. Włożył ochraniacz na zęby, sprawdził umocowanie maski.

Podeksytowany opuścił poczekalnię. Przywitały go oklaski z trybun, które nie były wypełnione nawet w jednej dziesiątej. W najbliższych rzędach siedzieli ludzie, których znał z pierwszych stron gazet. Gwiazdy, biznesmeni i przede wszystkim politycy. Wydawało mu się, że w łoży honorowej dostrzegł syna premiera i nawet jakiegoś ministra. Ich nazwiska budziły instynktowny szacunek: Czartoryscy, Potoccy, Zamoyscy. Każdy ważniejszy od drugiego.

Edmund nigdy nie aspirował do dołączenia do warstwy rządzącej, gdyż w jego przypadku spełnienie wymagań było absurdalnie trudne.

Przy wytrwałej pracy cenzus majątkowy nie byłby aż takim problemem, lecz należałoby również znaleźć protektorów oraz dowieść szlacheckiego pochodzenia. W pierwszym przypadku Lichnowski nie zamierzał się nikomu wysługiwać. W drugim jedynymi dowodami, jakie posiadał poza nazwiskiem, były zdjęcia pradziadków na tle niewielkiego dworku pod Lwowem oraz sygnet z herbem Pilawa. Zdecydowanie zbyt mało. Dlatego codziennie był wdzięczny, że los zetknął go z Leopoldem.

Nie wypatrzył przyjaciela na trybunach. Książę von Hohenberg musiał doglądać swoich interesów w Austrii, lecz zagranicznych gości było sporo. Niemieccy grafowie, angielscy książęta i oczywiście członkowie obecnych i byłych domów panujących stawili się licznie.

– Tak zwani przedstawiciele narodu mają wielką słabość do oglądania rozlewu krwi na żywo – powiedział kiedyś Edmundowi jeden z byłych prezesów Purpurowych, gdy ustępował ze stanowiska.

Nie kłamał. Pojedynki i turnieje wewnątrz bractw oraz między nimi były tak stare jak one same. Szlachetne tradycje potajemnie kultywowano, nie bacząc na konflikty zbrojne i zawirowania polityczne. Oczywiście o legalnej formie w żadnym wypadku nie mogło być mowy. Krwawe spektakle były dostępne jedynie dla tych, którzy mogli poszczycić się błękitną krwią, zasobnym portfelem oraz dyskrecją. Choć od czasu do czasu w prasie pojawiały się rewelacje na temat „barbarzyńskich i zwierzęcych praktyk”, prędzej czy później nawet najodważniejsi dziennikarze przestawali drażnić temat.

– A oto Edmund Lichnowski! – zaczął go przedstawiać komentator. – Prezes i fundament Purpurowych, czarny koń naszego turnieju. Złośliwi twierdzą, że jego drużyna dawno powinna skończyć na śmietniku historii, ale Edmund Lichnowski nie raz i nie dwa udowodnił już, że potrafi zaskakiwać. Choć nie jest faworytem zakładów, sporo ludzi będzie zawiedzionych, jeśli odpadnie albo gorzej... – zawiesił głos.

O to drugie z pewnością zechcą zadbać Zieloni, pomyślał Edmund.

Sekundant wręczył mu zdezynfekowane ostrze. Lichnowski machnął nim parę razy, lecz nie czuł jeszcze żadnej zmiany. Może na niego Ibuprofen działał z opóźnieniem? Oceniał, że od zażycia minęła mniej więcej minuta.

– Przeciwnikiem pana Lichnowskiego będzie kapitan drużyny Zielonych Andrzej Niezabitowski...

Ludzie wstali z trybun, zagłuszając komentatora. Z drzwi naprzeciwko wyszedł chudy i żyłasty chłopak, którego Edmund znał dotąd tylko po zwyczajowym przezwisku. To głównie przegranym walkom finałowym przeciwko Wężowi zawdzięczał właśnie dotychczasowy deficyt złotych medali.

– Zawodnicy, na miejsca! – zagrzmiał basem sędzieja.

Edmund posłusznie stanął naprzeciw Węża. Oddali sobie salut

i przyjęli pozycje.

- Gotowi?
- Tak!
- Tak!
- Walcz!

Wąż ciął nieco zbyt szeroko. Edmund odbił ostrze, a wtedy przeciwnik wyprowadził zdradliwy cios w udo. Lichnowski wykonał paradę i skoczył w bok, atakując szyję Zielonego. Ten przyjął cięcie na kabłąk i rąbnął w lewy bok. Ręka Edmunda zdrętwiała od uderzenia.

Ibuprofen wciąż nie dawał o sobie znać.

A co, jeżeli w ogóle nie zadziała? Edmund uznał, że wtedy będzie musiał polegać jedynie na swoich umiejętnościach, bystrości umysłu i szczęściu.

Nie dając Wężowi poznać swoich wewnętrznych rozterek, zaatakował gradem szybkich ciosów. W rękę, w nogę, markowany w drugą rękę, zmiana kierunku natarcia i cięcie w głowę. Z satysfakcją zarysował maskę Węża i rozciął mu kaftan, lecz nie potrafił znaleźć żadnej poważniejszej luki w obronie.

Lichnowski dyszał coraz ciężiej. Walczyli już od dwóch minut, mizając się w nieprzerwanym tańcu. Z rosnącym niepokojem prezes Purpurowych zauważył, że na Węża nie działały jego ataki ani zwody. Związania były zbyt ryzykowne. Jednakże pozostało mu jeszcze kilka asów w rękawie.

Noga dotąd nie dawała o sobie znać, więc pora była to wykorzystać.

Wymieniwszy jeszcze kilka ciosów, Edmund cofnął się. Gdy przeciwnik znalazł się w odpowiednim miejscu, Lichnowski postawił wszystko na jedną kartę. Dwoma susami przebył dzielącą ich odległość i pchnął w gardło Węża. Udało się.

Prawie.

Kiedy w pędzie oparł cały ciężar ciała na prawej nodze, ta nagle eksplodowała bólem. Był gorszy niż wszystkie rany, jakie kiedykolwiek otrzymał. Lichnowski poczuł się jak Juliusz Cezar, z którego zabójcy zakpili i zamiast go dobić, postanowili zrobić z niego kalekę lub poczekać, aż wykrwawi się na śmierć.

Wąż z łatwością odtrącił sztych i niezwykle boleśnie ciął Edmunda w rękę. Ten stęknął i wypuścił broń, upadając na drewnianą posadzkę. Kolano wybuchło kolejną falą bólu. Prezes Purpurowych przetoczył się, unikając dobijającego pchnięcia, i podniósł obie ręce w geście, który nie pozostawiał pola do interpretacji.

- Stop! - ryknął sędzia.

- A niech tych wszystkich geniuszy szlag... - mruknął Lichnowski półgłosem, zanim reszta słów utonęła pośród aplauzu widowni.



## *Szatnia Purpurowych, chwilę później*

– Niczego nie rozumiem. Przecież miało zadziałać! – powtarzała Anna, chodząc po szatni.

Lichnowski posłał jej wściekłe spojrzenie. Siedział między Janem i Piotrem. Mateusz pozostał w przedpokoju, gdyż za chwilę miał walczyć. Już wcześniej uznał, że nie potrzebuje wspomagania i wystarczają mu dotychczasowe umiejętności.

– Tu nie ma nic do rozumienia – jęknął Edmund, wcierając w nogę maść przeciwbólową. – Z jakiegoś powodu Ibuprofen nie zrobił ze mnie idealnego szermierza.

Miał wielką ochotę głośno przeklinać. Dlaczego pięć lat pracy ma zostać zaprzepaszczone tylko dlatego, że w ostatniej chwili okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu? Czy nad Purpurowymi ciążyło jakieś fatum?

Anna nalała whisky do szklanki i podała Lichnowskiemu.

Ulubiony napój oraz działanie maści osłabiło ból na tyle, że Edmund po kilku minutach spacerował już po szatni bez większego wysiłku, ignorując utyskiwania Anny, że powinien oszczędzać nogę.

– Przez troszkę ponad dwie minuty po zażyciu nie odczuwałem bólu, ale potem moja noga po prostu odmówiła posłuszeństwa, a cięcie w nadgarstek bolało jak wszyscy diabli. Czyżby każda kontuzja, rana czy nadwreżenie dawały o sobie znać z nawiązką, gdy Ibuprofen przestaje działać?

– Cenna uwaga. Czyżbym zaburzyła proporcje składników? – zastanawiała się Anna. – A może... nie, na pewno nie!

Zamilkła, a jej wzrok stał się nieobecny. Edmund zostawił ją sam na sam z myślami i wraz z Janem i Piotrem wrócił do poczekalni.

Usiadł przed telebimem, akurat żeby zobaczyć pierwszą walkę grupy B. Mateusz pewnym ruchem przebił się przez obronę Roberta Niedźwiedzkiego, czyli Niedźwiedzia z Zielonych, i wbił sztych w bok przeciwnika. Tym samym Purpurowi wygrali po raz pierwszy. Z dumą wypisaną na twarzy Trojan przyjął owację towarzyszy.

– Siła zawsze się sprawdza – skwitował Mateusz, gdy już wrócił do szatni.

– Pierwszy zarobek tego dnia – dodał Lichnowski.

Następny z drużyny miał walczyć Jan. Poszedł za przykładem Mateusza, choć whisky nie odmówił. Jego pierwszym przeciwnikiem w grupie C była Amelia „Pantera” Werner. Wysoka, czarnowłosa dziewczyna o krótko przyciętej grzywce. Edmund przypomniał sobie, co mówiła o niej Agnes.

– Poznałam ją na wymianie studenckiej. Dosyć odpychająca babka, choć walczyć potrafi świetnie. Na prośbę Leopolda spróbowałam ją

zwerbować, ale nie chciała nawet o tym słyszeć. Braciszek nie był zadowolony.

Jan i Pantera oddali sobie salut. Na komendę sędziego ruszyli do starcia. Stachowski dominował od pierwszych chwil. Zadawał ciosy jeden po drugim i nie ustępował ani o krok. Pantera cofała się coraz bardziej, próbując zmusić go do odwrotu.

Bezskutecznie.

Jan prezentował swój największy atut, jakim były uniki. Ostrze Pantery zawsze trafiało w próżnię. Towarzysze Edmunda wznosili radosne okrzyki. On sam nie podzielał ich entuzjazmu. Zbyt dobrze znał Agnes, by nie wierzyć jej słowom.

I rzeczywiście, powoli ataki Stachowskiego jakby traciły wigor. Kilka lekkich ciosów Pantery zdołało sięgnąć celu i po raz pierwszy Purpurowy znalazł się w defensywie. Wówczas jasne stało się to, co Lichnowski podejrzewał już od dłuższej chwili. Dotąd Zielona jedynie uczyła się techniki Jana, a teraz najwyraźniej skończyła i zaczęła się z nim bawić. Lichnowski poczuł skurcz w żołądku.

Ruchy Pantery stawały się coraz szybsze. Edmund dostrzegł w nich coś znajomego. Kobieta bezbłędnie wykonywała każdą akcję. Gdyby reszta jej bractwa była tak wyćwiczona, już dawno Edmund zostałby posiekany na kawałki. Nigdy jeszcze nie walczył z kimś takim.

Pantera tymczasem zamarkowała cios na głowę, a gdy Jan się zasłonił, przebiła mu sztychem udo. Odskoczyła. Stachowski próbował się jeszcze zerwać i przez chwilę stanął na nogach. Wyprowadził ostatnią serię uderzeń. Pantera bez wysiłku je sparowała, po czym związała jego ostrze i pchnęła w żołądek.

– NIE! – wyrwało się wszystkim Purpurowym.

Jan padł bez życia.

Edmund poczuł, jak po raz kolejny wściekłość wypełnia mu żyły. Podeszedł do Piotra i wręczył mu fiolkę z Ibuprofenem.

– Bierz to i naprzód do zwycięstwa.

Piotr zawahał się, ale wypił. Edmund modlił się w duchu, żeby substancja jakimś cudem zadziałała.

Bychowiec stanął do walki z Jakubem Gockim, zwanym Tygrysem. Zachowaniem podczas starcia Zielony przypominał Jana, lecz na tym podobieństwa się kończyły. Tygrys atakował, wkładając w ciosy całą siłę. Edmund już chciał się pożegnać z kolejnym zawodnikiem.

Niepotrzebnie.

Piotr zdołał wytrzymać napór przeciwnika i wyprowadził kilka ataków. Tygrys ledwo je wybronił, a wprawne oko Lichnowskiego zauważyło, że ręka mu drży. Widownia również zamarła. Nieczęsto się zdarzało, żeby taki chuchrak jak Bychowiec dominował w walce z kimś tak dobrze zbudowanym jak Tygrys.

Purpurowy zmusił przeciwnika do odwrotu i wytrącił mu broń z ręki. Nie czekając, kopnął Tygrysa w krocze i przystawił ostrze do gardła. Zdawało się, że za chwilę mu je poderżnie, ale tego nie zrobił. Sędzia zakończył walkę.

Bychowiec odrzucił ostrze i niechętnie poddał się oględzinom lekarzy. Po przejściu testu na doping wrócił do szatni. Nie panował nad gniewem.

– No i co? To wcale nie jest takie trudne, drogi prezesuniu. – Wycelował palcem w Lichnowskiego. – Wystarczy się troszeczkę przyłożyć i tyle nie chlać.

– Uspokój się – powiedzieli równocześnie Edmund z Anną.

– Ależ ja jestem spokojny – zawołał Piotr i spoliczkował Annę, która upadła na podłogę. – Za przykładem Johna Lennona stałem się oazą spokoju, miłości i pozytywnego myślenia! – Rzucił się z pięściami na Lichnowskiego.

Rozszalałego Bychowca przytrzymał za ramiona Mateusz. Piotr daremnie próbował się uwolnić. Edmund uderzył go pięścią w skroń.

– Jak widzisz – sapnął – poszedłem w ślady Paula McCartneya. Ulubioną używką raczę się rekreacyjnie i bez popadania w nałóg.

Mateusz ułożył nieprzytomnego towarzysza na ławie, na wszelki wypadek wiążąc mu ręce i nogi pasem.

Tymczasem Lichnowski pomógł wstać Annie.

– W imieniu Piotra bardzo cię przepraszam. – Ostrożnie przyłożył jej zimny kompres do policzka. – A jednak na niektórych twój specyfik działa...

– Pytanie brzmi, dlaczego nie zadziałał na ciebie? – skwitowała Wolska, choć nie próbowała wyswobodzić się z objęć Edmunda. Jej oczy biegały po ścianie jak oszalałe.

Niewtajemniczony mógłby pomyśleć, że Anna czyta niewidzialny tekst. W rzeczywistości przetwarzała informacje. Nigdy nie rozważała posiłkowania się notatnikiem.

### *Siedziba Purpurowych, przed północą*

Ból w nodze powracał kilka razy, lecz nie było to nic, czego nie załatwiłaby maść i szklaneczka whisky.

Lichnowski siedział za biurkiem w gabinecie, starając się znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Mimo wysiłków lekarzy Jana nie udało się uratować i jego ciało musieli zabrać „czyszciciele”. Było to eufemistyczne określenie ludzi, którzy oprócz zwykłego sprzątnięcia dyskretnie zacierali ślady po walkach. Dbali dosłownie o wszystko, poczynając od mycia

podłogi, a skończywszy na wszelkich możliwych formalnościach związanych z ewentualnym zgonem zawodnika.

Choć Edmund pożegnał już wielu towarzyszy zarówno przed objęciem prezesury, jak i potem, nękały go wyrzuty sumienia. Aby się ich pozbyć, zatelefonował do Leopolda.

– To jakaś katastrofa – odezwał się, gdy tylko przyjaciel odebrał komórkę. – Brodzę po kolana w błocie, a deszcz leje mi się na głowę.

– Nie bądź melodramatyczny, oglądałem was na żywo. Mów, jak twoim zdaniem wygląda sytuacja.

Lichnowski bez zwłoki spełnił prośbę.

– A zatem zdajesz sobie sprawę, że z martwym Janem, pobudzonym Piotrem, wciąż przywiązanym do łóżka, i po mojej nieoczekiwanej porażce nasze szanse na zwycięstwo drastycznie zmalały...

– A Mateusz Trojan?

– Jest silny i skutecznie wymęczy albo wyeliminuje część przeciwników, ale brakuje mu techniki. Nawet jeżeli wyjdzie z grupy, odpadnie w następnej walce – Edmund zniżył głos.

– No to faktycznie nieciekawie – przyznał książę von Hohenberg. – A jak perspektywy na jutro?

– Trudno powiedzieć. Wiele zależy od popisu Zielonych. Walcząc z nami, nieco się sparzyli, więc jutro wyładują się na Żółtych, którzy tanio skóry nie sprzedadzą. Z kolei my zmierzmy się z Czarnymi. Są ponadprzeciętnie wyćwiczeni i nie możemy ich zlekceważyć.

– Gdybym cię nie znał, uznałbym, że wiesz, co robisz – powiedział kwaśno Leopold, ale widać było, że trochę się rozluźnił. – Tak czy owak, przekaż mojej siostrzyczce, że jeżeli zechciałaby cię dziś męczyć, jako głowa rodziny kategorycznie tego zabraniam.

– Wątpię, żeby cię posłuchała.

– W przeciwnym wypadku zamrozę jej fundusz powierniczy. Dobranoc, przyjacielu.

– Do zobaczenia. – Lichnowski przerwał połączenie. – Cały Leopold – mruknął do siebie.

Od razu mu ulżyło.

Dopił whisky i udał się do zaimprovizowanego skrzydła szpitalnego utworzonego obok laboratorium Anny, które nazywali lazaretem. Pieniądze zarobione u Leopolda oraz wygrane na turniejach, które nie poszły na spłatę długów, nie zostały zmarnowane.

Mateusz siedział na krześle obok łóżka Piotra.

– Jak się czujesz? – zapytał Edmund.

– Wybornie – odparł Bychowiec, patrząc na Lichnowskiego z wyrzutem. – Z godziny na godzinę mam coraz mniejszą ochotę rozłupać ci czaszkę.

– Przykro mi, Piotrze. Nie tak miało być.

- Pisałem się na rany zadawane ostrzem, a nie na jakieś trucizny.
- Wiem, ale poszedłeś na turniej z własnej woli. Mogłeś odmówić wypicia cudownego leku. Znałeś ryzyko i się na nie zgodziłeś. Jesteś tak samo winny jak ja.
- A miałem jakieś wyjście?! Choć tyle, że nie ma innych efektów ubocznych.
- Dopóki Anna nie opracuje właściwej receptury, koniec z Ibuprofenem. To ci mogę obiecać.
- Mam nadzieję, inaczej powieszę cię na tych pasach, którymi mnie skrzepowaliście! – wrzasnął Piotr. – Idźcie wszyscy do diabła!
- Edmund nie miał siły na kłótnię i polecił Mateuszowi zakneblować Bychowca. Wrócił do gabinetu, gdzie zastał Agnes.
- Nic nie mów, mój drogi. To był ciężki dzień. – Natychmiast go objęła.
- Usiedli na kanapie.
- Sądzisz, że to wszystko jest tego warte? Czy przypadkiem nie przeszarżowałem? – Lichnowski pozwolił sobie na chwilę zwątpienia.
- Nie poddawaj się i walcz dalej. Właśnie takiego cię kocham.
- Przytuliła go jeszcze mocniej. Na nią Edmund zawsze mógł liczyć.

### *Arena, następnego dnia*

Lichnowski siedział, z otwartymi ustami wpatrując się w telebim, dopóki Anna nie podsunęła mu ulubionego napoju. Mechanicznym ruchem podniósł szklankę do ust. Czegoś takiego jeszcze nie widział.

Przeciwnik Mateusza z drużyny Czarnych, zwany Pręgierzem, był najszybszym zawodnikiem w swojej drużynie. Jego wielokrotne finty rzadko nie spełniały swojej roli, potrafił też boleśnie żądlić pchnięciami i zawsze uciec z dystansu, zanim druga strona zdołała pomyśleć o odpowiedzi. Walka z nim była więc morderczym baletem.

Trojan zebrał już sporo szram na kamizelce i krwawił z kilku rozcięć. Zdawał się tracić rezon, a zwycięstwo Czarnego zbliżało się wielkimi krokami. Tak wielkimi, że przestał się pilnować.

Pręgierz wbił sztych w bok Mateusza i zamarudził o sekundę zbyt długo. Ostrze weszło płytko i nie zrobiło większej krzywdy. Odpowiedź była bezlitosna.

Uniesienie i opuszczenie ramienia. Błysk stali rozcinającej skórę, ścięgnię i mięśnie, wgryzającej się w kość.

Czarny ze zdziwieniem popatrzył na swoją prawą dłoń, osłoniętą rękawicą. Leżała na ziemi, wciąż zaciśnięta na ostrzu. Przez Arenę przetoczył się upiorny wrzask. Trojan po rycersku walnął przeciwnika

w głowę, aby oszczędzić mu cierpień.

– Gratuluję objęcia prowadzenia w grupie B. – Edmund uściśnął dłoń zwycięzcy i nalał im wszystkim whisky.

Wrócił myślą do własnej walki.

Technika Felicjana Wasilewskiego, nie bez przyczyny nazywanego Gilotyną, z którym Lichnowski się zmierzył, była bez zarzutu. Poprzedniego dnia odniósł też zwycięstwo przy zdecydowanie mniejszym uszczerbku dla własnej kondycji. Edmund, choćby chciał, nie mógł zapomnieć o własnych kłopotach z nogą. Tym samym wiedział, że czeka go trudna przeprawa.

Ciężar ciała oparł w trzech czwartych na lewej nodze i poruszał się drobnymi kroczkami. Bronił się, odpowiadając raczej rzadko. Wiedział, że musi oszczędzać siły. Kilka razy drasnął przeciwnika, lecz nie było to nic poważnego.

Zauważył pewien schemat w ruchach Gilotyny. Za każdym razem po dłuższej wymianie odsuwał się tuż poza dystans cięcia. Edmund świadomie go nie ścigał, nie pozwalając Wasilewskiemu wykorzystać jego słynnego cięcia w kark.

Niech się przyzwyczai, pomyślał.

Przeciwnik zaatakował w skroń, Lichnowski zasłonił się i natychmiast zrobił kolejną paradę, tym razem na nogę. Finta Gilotyny prawie się udała.

– Co z wami jest? – rozzłościł się Edmund. – Tak się uwzięliście, żebym został kuternogą? To zobaczcie, co ja na to!

Przeciwnik już stawiał krok powrotny, gdy Lichnowski zacisnął zęby i postąpił do przodu, prędko robiąc wypad, by odciążyć prawą nogę. Ciął od dołu, przekręcając ostrze w odpowiednim momencie.

Nie był jednak okrutny.

Zamiast ciąć w górę torsu, zrobił to od kostki do uda. Przeciwnik opadł na prawe kolano. Odłożył ostrze i uniósł ręce w geście poddania. Edmund kiwnął głową i uściśnął mu prawicę.

Wreszcie napotkał przeciwnika, który potrafił uznać swoją porażkę, zarobił pierwsze pieniądze w tym turnieju, a co najważniejsze, jego szanse na wyjście z grupy właśnie wzrosły.

### *Siedziba Purpurowych, pod wieczór*

– Wydajesz się dziś dużo bardziej zrelaksowany. Moim zdaniem cokolwiek bezpodstawnie. Ten przyływ nonszalancji jest do ciebie niepodobny... – w telefonie zabrzmiał głos Leopolda.

– Dlaczego nonszalancji? – zapytał Edmund.

– Wąż zabił Krezusa z bractwa Żółtych, z którym się zmierzył. Ten drugi dotąd walczył tylko z Gilotyną i przegrał. Skoro sam wygrałeś z Wasilewskim, wychodzisz z grupy A z drugiego miejsca. Chyba wiesz, co to oznacza?

– Istnieje duża szansa, że Mateusz zwycięży w grupie B, a znając moje szczęście, to z nim zmierzę się w ćwierćfinale – odpowiedział Edmund.

– Założmy, że staniecie do walki przeciwko sobie. Nie będziecie mogli się oszczędzać, bo w przeciwnym wypadku sędziowie mogą was zdyskwalifikować. Im więcej sił straci ostateczny zwycięzca, tym mniej mu jej zostanie na Zielonych. – Leopold zawiesił głos.

– Wiem o tym – odparł nieporuszony Edmund. – Na szczęście dzięki wyeliminowaniu z turnieju Krezusa zyskałem dzień odpoczynku.

Leopold roześmiał się.

– Naprawdę podziwiam twój stoicyzm, przyjacielu. Powodzenia – zakończył rozmowę.

Lichnowski rozłączył się i poszedł odwiedzić Piotra w lazarecie. Bychowiec spacerował po pomieszczeniu, jakby nic się nie wydarzyło. Siedząca na łóżku Anna wpatrywała się w dal, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Agresja całkowicie minęła – stwierdziła. – Najdalej za trzy dni opracuję odpowiednie proporcje mieszanki moich soli i będziesz miał gotowy Ibuprofen, bez niepożądanych właściwości. Gdybym tylko wpadła na to, dlaczego na ciebie nie działa.

– Doskonale! Karta znów zaczyna nam iść. – Edmund uśmiechnął się.

– Nie szczerz się. Gdy ten turniej się skończy, opuszczam bractwo – wtrącił się Piotr. – Przyznam, że trzymała mnie tu tylko sympatia do ciebie, która ostatnio mocno podupadła.

– Nie dasz się nawet przekonać, żeby zostać do czasu, aż zrekrutujemy nowych członków?

– Nie zamierzam dłużej walczyć i nie zostanę tu ani chwili dłużej, niż to konieczne.

– No tak. Ale skoro wciąż jest szansa na zwycięstwo, nie odejdziesz, dopóki nie zainkasujesz premii drużynowej...

– Należy mi się – odparł Piotr.

Nawet śmierć towarzysza nie była w połowie tak straszna jak dezercja, jednak Edmund nie widział sensu podejmować wyzwania. Bychowiec posłał Lichnowskiemu złośliwy grymas i wyszedł. Edmund wrócił do gabinetu. Nalał sobie ulubionego bursztynowego płynu i wypił.

Agnes pojawiła się niedługo potem. Słyszała już, co się wydarzyło.

– Niech sobie idzie. – Machnęła ręką. – Ważne, że wciąż możesz tego dokonać. Nawet z tą nieszczęsną nogą.

– Przyznam, że po dzisiejszej walce naprawdę odzyskałem siły

i wiarę w zwycięstwo. Niedługo będziemy też mieli działający Ibuprofen. Gdy mi się uda, bractwo dostanie wiatru w żagle, a sytuacja się ustabilizuje. Wtedy nareszcie będziemy mogli pomyśleć o naszej wspólnej przyszłości.

– Ja też bardzo tego pragnę. – Pocałowała go. – Mam również nadzieję, że pomożesz mi przekonać Leopolda, żeby zaczął ostrożniej obchodzić się z naszym dziedzictwem.

– Nie mogę tego zrobić – wyznał Edmund.

– A to niby dlaczego? – Agnes odsunęła się od niego.

– Jestem mu to winien – odparł Lichnowski. – Leopold pomógł mi, kiedy było ze mną bardzo źle. Gdy sytuacja bractwa się ustabilizuje, zamierzam mu się odwdziaczyć w taki sposób, w jaki mnie o to poprosił.

Agnes nic nie odpowiedziała, lecz w jej oczach Edmund dostrzegł zawód. Odwróciła się i opuściła siedzibę Purpurowych. Lichnowski znał ją jednak dobrze i wiedział, że prędzej czy później wróci. Zawsze wracała.

### *Arena, dwa dni później*

Przewidywania Edmunda sprawdziły się. Mateusz znalazł się w gronie zwycięzców fazy grupowej. Bratobójcze starcie stało się faktem. Najprostszym wyjściem byłaby ustawiona walka, lecz – jak Leopold słusznie zauważył – zawsze mogło paść oskarżenie o oszustwo i tym samym obaj zostaliby zdyskwalifikowani.

Inną opcją była rezygnacja jednego z nich pod pretekstem braku chęci do walki z towarzyszem. Żaden nie kwapił się jednak, aby ustąpić. Edmund nigdy tego nie rozważał i nie miał serca, aby zmusić do tego Mateusza.

Jedynym rozwiązaniem była walka z pełną świadomością jej konsekwencji.

Tego dnia mieli walczyć jako trzeci. Usiedli przed telebimem i obserwowali, jak Wąż, zwycięzca w grupie A, tnie na kawałki Złotego, który awansował z drugiej pozycji w grupie B. Również Pantera nie dała szans Czarnemu, lecz dla odmiany zakończyła sprawę bez zbędnych ceregieli. Rozbroiła przeciwnika przy trzecim złożeniu.

Czarny wykpił się kilkoma rozcięciami i prawdopodobnie dziękował Bogu, że dla niego było już po wszystkim. Zarobił pieniądze, dotarł do ćwierćfinałów, wyszedł z turnieju w zasadzie bez szwanku, a jego akcje w bractwie wzrosły. Tego dnia miał pełne prawo uważać się za człowieka szczęśliwego.

Gdy nadeszła ich kolej, Lichnowski i Trojan uścisnęli sobie ręce.



– Powodzenia, mimo wszystko – powiedział Edmund.

– Którykolwiek z nas przejdzie dalej, i tak zostanie pożarty przez Zielonych – odparł Mateusz, czego Edmund nie skomentował.

Ramię w ramię wyszli na środek Areny.

– A oto nasi zawodnicy – ogłosił komentator. – Zaszli tak daleko tylko po to, aby natknąć się na siebie. Purpurowi mają tym razem wybitnego pecha.

Rozległ się gromki aplauz. Lichnowski zerknął na tablicę, gdzie rozpisano zakłady. Mateusz był oczywistym faworytem, lecz przy własnym nazwisku odnotował pewną poprawę. Był niemal skłonny uznać to za zaszczyt.

Sekundant podał mu ostrze. Edmund stanął naprzeciw kolegi i zasalutował.

– Gotowi?

– Tak!

– Tak!

– Walcz!

Edmund ruszył drobnymi krokami, Trojan zaatakował szerokimi cięciami znad głowy. Edmund po części parował, po części się odsuwał. Odpowiadał głównie pchnięciami, lecz zachowawczo. Najpierw należało sprawdzić, ile nauczył się przeciwnik, którego pomógł wyszkolić. Poza tym Mateusz miał jedną przewagę, która nie była zależna od żadnego z nich.

Był po prostu większy.

Wykorzystując swój naturalny atut, Trojan cofnął się, a potem skoczył, uderzając sztychem w okolice żołądka. Edmund zbił ostrze w lewo i ciął w kark. Mateusz nie mógł się zasłonić, bo nie zdążyłby wrócić ostrzem. I wcale nie musiał.

Wolną ręką chwycił prawicę Edmunda tuż pod nadgarstkiem, a dłonią z ostrzem ciął go w bok. Brak miejsca uniemożliwił szeroki zamach, lecz siła była i tak wystarczająca, żeby przeciąć strój ochronny i dojść do ciała. Edmund poczuł chłód i nieprzyjemne pieczenie. Musiał szybko coś zrobić, inaczej zaraz nie tylko przegra, ale jeszcze zostanie solidnie pokiereszowany.

Wciąż nie mogąc oswobodzić prawej ręki, gwałtownie szarpnął całym ciałem, ciągnąc za sobą Mateusza. Lewą pięścią uderzył go w splot słoneczny. Raz nie wystarczyło, więc poprawił drugi i trzeci. Uścisk zelżał. Lichnowski wyswobodził się i z całej siły walnął Trojana kablukiem.

Przeciwnik ryknął, spróbował skosić Lichnowskiego horyzontalnym wysokim cięciem. Edmund zanurkował i odpowiedział cięciem w bok. Przynajmniej taki miał zamiar, bo noga niespodziewanie się odezwała i poczuł, jak leci do przodu.

Potraktował to jako atut i przeturlał się, żądłąc ostrzem w stopę przeciwnika. Mateusz zawył. Edmund uniknął sztychu, zasłonił się przed cięciem i zdołał powstać.

Trojan kuśtykał. Jego skórzany lewy but przesiąkał krwią. Balans sił przesunął się.

– Teraz zobaczymy, jak ci pójdzie z taką nogą.

Mateusz zmienił taktykę i postanowił walczyć bardziej stacjonarnie, opędzając się od ataków Edmunda jak od natrętnej osy. Lichnowski postanowił to wykorzystać.

Zrobił przekrok, dając do zrozumienia, że znów zamierza użądlić, tylko w innym miejscu. Trojan zrobił unik i zaatakował z góry.

Oparty na lewej nodze Edmund odsunął się. Ostrze przeszło kilka centymetrów od jego głowy. Odpowiedział atakiem na przedramię, rozcinając kaftan kolegi. Odzienie również zaczęło zabarwiać się na czerwono.

Trojan zawahał się. Edmund zebrał wszystkie pozostałe siły i wyprowadził natarcie. Mateusz zasłonił się nieco wolniej niż zwykle. Lichnowski zrobił zwód i uderzył jeszcze raz. Stał zadzwoniła o stal, a następnie o drewno, którym wyłożono podłogę.

Trojan popatrzył na przystawiony do gardła sztych, następnie na leżące kilka metrów dalej jego własne ostrze.

– Dosyć! – wymamrotał i objął Edmunda.

### *Szatnia Purpurowych, chwilę później*

– Powiedz mi, prezesie, jak to możliwe? – zapytał Mateusz.

– Niby co? – odpowiedział pytaniem Lichnowski.

Siedzieli na ławce, racząc się whisky.

– Kontuzje, obrażenia, porażki, a ty ciągle wypływasz na wierzch jak gówno – zaśmiał się Trojan.

– Praktyka i szczęście.

– Cały czas myślę, że jednak kiedyś ci się skończy, a tu proszę. Okazuje się, że wciąż nie wyczerpałeś limitu. Zastanawia mnie też, jak ktoś, kto tyle pije, jest w ogóle w stanie utrzymać ostrze.

– Powtarzam ci, praktyka – odparł Edmund i już chciał wypić kolejny łyk, ale zatrzymał rękę w pół drogi.

Szklanka wypadła mu z dłoni i rozbiła się na podłodze. Lichnowski nie zwracał na to uwagi, tylko patrzył w dal z szeroko otwartymi oczami. Na jego ustach zagościł uśmiech.

– Jakież to banalne! – wykrzyknął radośnie.

Podsłoczył i klasnął w dłonie. Twarde lądowanie sprawiło, że noga

znów zapulsowała bólem.

– Już wiem, dlaczego nic mi się nie stało.

– Dlaczego? – zapytał Mateusz.

– Przez whisky. Nie... posłuchaj. – Dobrze widział niedowierzające spojrzenie Trojana. – Tylko Piotr i ja zażyliśmy Ibuprofen, ale Bychowiec nie pił ani kropli whisky.

– To może mieć sens – powiedział ostrożnie Mateusz. – A co z wymykającą się spod kontroli agresją? Przecież u Anny nie trwała ona nawet godziny i była zdecydowanie bardziej ograniczona...

– Nie mam pojęcia. – Edmund pokręcił głową. – Teżyzna? Znacznie wyższy poziom testosteronu? Nie wiem, ale muszę dać znać Annie.

Sięgnął po komórkę i wykonał krótki telefon, po czym wraz z Trojanem zasiadł przed telebimem, by obejrzeć ostatnie zmagania ćwierćfinałów. Tygrys stanął do walki ze Stryczkiem, najlepszym z bractwa Czarnych. Zielony dominował przez całe starcie i w końcu wbił słaniającemu się na nogach przeciwnikowi ostrze w sam środek klatki piersiowej. Tym samym zapewnił sobie miejsce w drugiej walce półfinałów, gdzie miał się zmierzyć z Edmundem.

Po dwugodzinnym odpoczynku wznowiono walki, a Pantera pokonała Węża po krótkiej i niezbyt intensywnej walce. Widownia przyjęła to pomrukiem niezadowolenia.

Lichnowski, mimo iż natchniony odkryciem oraz świadomością, że sukces jest już na wyciągnięcie ręki, walczył oszczędnie i z rozwagą. Odpierał lżejsze ataki Tygrysa i unikał silniejszych, czekając na swoją szansę. Gdy ta nadeszła, Edmund wyprowadził serię szybkich ciosów i rozbroił przeciwnika, zmuszając go do kapitulacji.

– I po krzyku – odezwał się, wmaszerowując do przedpokoju. – Jutro w finale pokonam Panterę z Ibuprofenem czy bez, spłacę resztę długów, a Purpurowi odrodzą się...

– Jak Feniks z popiołów? – wpadł mu w słowo Trojan. – Bardzo chciałbym to zobaczyć.

– Cóż to? Wyrzuty sumienia u zwycięzcy? – ostrym tonem zapytał Edmund.

– Jeszcze nie odnieśliśmy zwycięstwa – zauważył Trojan.

– Jesteśmy od niego oddaleni tylko o jeden krok.

– Więc uważajmy, jak chodzimy. Właśnie w takich chwilach ziemia lubi usuwać się spod nóg.

Wtedy telefon Edmunda zawibrował.

– „Ibuprofen gotowy. Przyjdźcie natychmiast” – odczytał wiadomość Anny. – Patrz i płacz, niewierny Tomaszu.

Przez całą drogę do siedziby bractwa Mateusz głośno zastanawiał się, dlaczego starcie z Tygrysem poszło koledze tak łatwo. Smakujący przysły triumf Edmund konsekwentnie go ignorował.

## *Siedziba Purpurowych, przed północą*

Natychmiast po przestąpieniu progu Lichnowski poczuł obezwładniający ból z tyłu głowy i osunął się na ziemię. Gdy powoli zaczął odzyskiwać przytomność, spostrzegł, że jest w lazarecie. Ostrożnie wstał z łóżka. Głowa wciąż pulsowała, nie dając o sobie zapomnieć. Opadł z powrotem na pościel.

– Pobudka, słodki księżę.

Nad Edmundem pochylała się Agnes. Poczul ukłucie igły i wkrótce ból zmniejszył się na tyle, że myślenie przestało sprawiać mu trudność. Przetarł oczy i zamarł. W nogach łóżka stała Pantera.

– Miałaś rację, Agnes. Dokładnie tak twarogłowy, jak mówiłaś – stwierdziła. – A na pewno bardziej niż jego kumpel.

– Co zrobiłaś Mateuszowi?! – wypalił bez zastanowienia Edmund.

– Ja nic, ale moi chłopcy troszkę przesadzili i zamiast go ogłuszyć, rozłupali mu czaszkę.

– Co to ma znaczyć? – Lichnowski zwrócił się do Agnes.

O drzwi opierał się Niedźwiedź, trzymając się za bok. Na krześle przed łóżkiem siedziała Anna. Ręce miała przywiązane do oparcia, a w usta włożony knebel. Za nią stali Wąż i Tygrys.

– Jeżeli to dowcip, to bardzo kiepski – powiedział Lichnowski z niedowierzaniem.

Wąż zarechotał.

– Nie tym razem, mój drogi – odezwała się Agnes. – A to – wskazała na Annę – czysto profilaktycznie. Jak dostanę to, czego chcę, zostawimy was w spokoju.

– Cholera jasna, dlaczego? – zdołał wykrztusić.

Popatrzyła na niego jak na człowieka niespełna rozumu.

– Pogodziłam się z tym, że przyjaźń Leopolda cenisz wyżej ode mnie – odparła, siląc się na szczerść. – Ale tego, że zamiast przekonać go do porzucenia swoich nierealnych pomysłów, tylko go w nich utwierdzasz, nie wybaczę ci nigdy.

– Aż tak ci zależy na pieniądzach?

– Leopold je roztrwoni, ja pomnożę. To proste jak dwa dodać dwa.

– Niby jak zamierzasz to zrobić? Prawo, na którego podstawie mogłabyś zgłosić ewentualne roszczenia, nie istnieje.

– Zdziwiłbyś się, co można osiągnąć z odpowiednimi sojusznikami! – Agnes von Hohenberg uśmiechnęła się. – W zamian poprosili mnie o drobną przysługę. Niestety, napotkaliśmy problem, który ty dla nas rozwiążesz.

– Mianowicie? – zapytał Lichnowski.

– Chcemy Ibuprofen – odezwała się Pantera.

– Czyżby obleciał cię strach przed jutrzejszą walką?

– Po pierwsze, zbyt wysoko się cenisz. Po drugie, nie chodzi tylko o jutro. Nawet dla najlepszych z mojego bractwa walka z takimi jak ty za bardzo przypomina loterię. Dzięki stworzonej przez twoją przyjaciółkę substancji już nigdy nie będziemy musieli się martwić o element losowy.

– Niestety, twoja przyjaciółka jakimś cudem wyczuła pismo nosem i pozbyła się zapasów Ibuprofenu, a teraz uparcie odmawia zdradzenia składnika, który pozwoli okiełznać agresję w końcowej fazie działania. – Agnes pogładziła Annę po policzku. – Być może uda ci się ją przekonać.

– Wątpię.

Agnes bez słowa skinęła na Węża. Zielony podszedł do Edmunda i uderzył go w twarz. Głowa Lichnowskiego odskoczyła, a on sam poczuł ból żuchwy.

Wrzask Anny stłumił knebel.

– Chciałaś coś powiedzieć? – Agnes pozwoliła jej mówić.

– Idź do diabła. – Anna splunęła jej w twarz.

– Jak sobie życzysz – podniosła głos Agnes.

Tym razem Edmund dostał w żołądek i w bok. Zwinął się, łapiąc oddech, a jednocześnie zmuszając swój mózg do pracy. Musiał coś wymyślić.

– Gdybyś mogła dać jej, o co prosi, Anno, byłbym zobowiązany – wymamrotał.

Anna pokręciła głową, lecz w jej oczach widać było ból. Na Lichnowskiego posypały się kolejne ciosy. Nie potrafił wymyślić rozwiązania.

– Dość! – krzyknęła Anna. – Wygrałaś. Dostaniesz Ibuprofen – dodała zrezygnowanym tonem.

– Nie! Nie możesz tego zrobić! – zawołał Edmund.

– Na litość boską, choć raz w życiu posłuchaj kogoś innego niż ty sam – syknęła Wolska.

– Widzisz? – Agnes zwróciła się do Lichnowskiego. – Ta mała suka lubi cię bardziej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Oczywiście człowiek, który nie patrzy dalej niż czubek własnego ostrza, nigdy by tego nie dostrzegł.

Tygrys z Niedźwiedziem rozwiązali Annę i stanęli po jej obu stronach.

– Przygotujesz nam mały zapas Ibuprofenu, kochana. Zanim to jednak zrobisz, wiedz, że zamierzamy to przetestować na Edmundzie – kontynuowała Agnes.

– Nie zapomnij o whisky... – mruknęła Wolska. – Zawsze pije przed i po walce. Nie chcesz chyba, żeby dostał jakiegoś wstrząsu. – Skrzywiła się w wymuszonym uśmiechu.

Wyszli i wrócili po kwadransie, już z nową dawką narkotyku.

Agnes poprowadziła ich do sali pojedynkowej, gdzie Tygrys

przywiązał Annę do barierki i stanął przy niej, celując sztychem w gardło.

– Pij, mój drogi, i walcz z Wężem – zwróciła się do Edmunda. – Masz jedyną okazję, żeby go pokonać. Uznaj to za mój pożegnalny prezent.

– A moja szklaneczka whisky?

– Dostaniesz, jeśli przeżyjesz.

Edmund posłusznie wypił zawartość fiolki. Ból głowy i szczęki odszedł w niepamięć. Myśli znów swobodnie przepływały przez głowę. Jednocześnie wzbierał w nim gniew.

Prezes oszust, długi, odejście towarzyszy, nieustanny wysiłek, zdrada narzeczonej, ignorowanie kobiety, która mogła szczerze coś do niego czuć – z każdym wymamrotanym pod nosem słowem Lichnowski był coraz bardziej wściekły.

Stanął naprzeciw Węża. Pole widzenia jakby mu się zawężyło.

Nie dając mu się zebrać, Lichnowski ryknął jak zapędzone w kozi róg zwierzę i zaatakował od razu. Parł wściekle do przodu, tnąc z góry, z boku i od dołu. Żądlił pchnięciami i zasłaniał się przed okazjonalnymi kontratakami.

Cały świat jakby nie istniał. Był tylko on, Wąż i ich ostrza. Edmund czuł przypływ energii, który zdawał się nie wyczerpywać. Wąż wyraźnie słabł. Lichnowski miał ochotę, żeby walka trwała jak najdłużej, żeby Zielony cierpiał. Pochlastać go i patrzeć, jak wykrwawia się na śmierć z tysiąca ran.

Jednak wkrótce euforia zaczęła mijać. Gniew wciąż wzrastał. Edmund poczuł, że traci nad nim kontrolę. Musiał zakończyć to jak najprędzej.

Zanurkował pod ostrzem Węża i uderzył ukośnie od biodra do ramienia. Poprawił, podcinając mu gardło, po czym kopnięciem odrzucił ciało wroga do tyłu.

Skończył z nim w sto dwadzieścia sekund.

– GDZIE MOJA WHISKY?! – Popatrzył na Agnes.

Ta jedynie wskazała na Annę i postawiła trunek na ławce. Edmund otworzył butelkę i pociągnął łyk. Po chwili zrozumiał.

Ból powoli wracał. Koncentracja spadała, żądza mordu znikła. Dla niepoznaki stanął przed najbliższym manekinem i z wrzaskiem ciął go kilka razy, aby zaraz nagle przestać i odłożyć ostrze.

Znów nalał sobie whisky. Całą siłą woli zmusił się, aby nie stęknąć, gdyż ból w nodze przybierał na sile. Udał, że kicha, i poprosił o chustkę do nosa.

Gdy minęło kilka kolejnych minut, gniew ulotnił się całkowicie. Po półgodzinie Agnes pokiwała głową.

– Doskonale! Zabierz Ibuprofen – rzuciła Pantera do Tygrysa. A potem warknęła do Niedźwiedzia: – Czyń swoją powinność.

Niedźwiedzki przyskoczył do Edmunda i kopnął go w kolano. Gdy Lichnowski upadł, Zielony chwycił go za prawe ramię i umiejętnie założył dźwignię. Trzasnęła łamana prawa ręka.

Edmund wrzasnął. Z oczu pociekły mu łzy.

– Jesteś teraz ostatnim z Rzymian – rzuciła na odchodnym Agnes. – Ciesz się, póki możesz. Jutro podczas finału w pełni zakosztujesz porażki.

Chwilę potem Lichnowski zemdlał.

Ocuciła go Anna szklanką zimnej wody. Bolało go dosłownie wszystko, a ręka najbardziej. Ale wciąż żył.

– Zdołałam ocalić jedną fiolkę, ale zniszczyli laboratorium. Bez sprzętu i składników nic już nie zdołałam. Przepraszam.

– To ja powinienem prosić o wybaczenie. – Dźwignął się na nogi. – Wybacz mi, najlepsza kobieto, jaką znam.

– Przyjmuję.

– Jeżeli choć trochę zależy ci, żebym dożył jutrzejszego wieczora, skocz, proszę, do apteki i kup dowolny lek w kapsułkach. Będę również potrzebował noża i ochraniacza na zęby...

Anna uniosła brwi, więc Lichnowski wyjaśnił jej swój plan. Gdy udała się na zakupy, Edmund zadzwonił do czyścicieli. Po pierwsze należało zatrzeć ślady. Potem wykonał telefon do zaufanego lekarza, aby połączył go na miejscu. Na ostatku wystukał numer Leopolda.

### *Arena, następnego dnia*

Anna przywiązała usztywnioną rękę Edmunda do jego boku.

– Staraj się na nią nie upaść, bo wtedy rekonwalescencja potrwa naprawdę długo.

– Dziękuję i jeszcze raz przepraszam. – Lichnowski kiwnął głową ze zrozumieniem. – Cokolwiek się stanie, zawsze miałaś specjalne miejsce w moim sercu. Szkoda tylko, że zrozumiałem to dopiero teraz.

– To już nieważne. – Przytuliła go. – Wróc w jednym kawałku.

Lampa rozbłysła zielonym światłem. Edmund podniósł do ust fiolkę. Wypił zawartość i założył ochraniacz na zęby. Rozpoczęło się odliczanie.

– Witamy ostatniego dnia Wielkiego Turnieju! A oto chwila, na którą wszyscy czekaliśmy! – zadudnił bas komentatora. – W finale wystąpi od samego początku nieprzerwanie prąca do zwycięstwa Amelia Werner!

Burza oklasków.

– Przyjdzie jej zmierzyć się z człowiekiem, który zbiera coraz większe ciągi w każdym pojedynku, ale wydaje się go to tylko wzmacniać. Powitajcie Edmunda Lichnowskiego. Mimo serii kontuzji zapewnił, że

jest gotów stanąć do boju. To się dopiero nazywa gladiatorski duch... – Reszta słów utonęła w równie głośnym aplauzie.

Sędzia bez zwłoki przystąpił do rzeczy.

– Gotowi?

– Tak!

– Tak!

– Walcz!

No to wóz albo przewóz, pomyślał Edmund, zerkając na zegar. Od zażycia Ibuprofenu minęło pół minuty.

Mocniej chwycił ostrze lewą dłonią i pochylił się do przodu. Publiczność, trybuny, komentator i sędzia jakby zniknęli. Jedyńm, co rejestrował poza Panterą, był zegar, nieubłaganie odmierzający minuty do końca tej całej farsy.

Widział, jak Amelia biegnie ku niemu, chcąc błyskawicznym wypadem rozstrzygnąć turniej. Edmund zbił ostrze i wyprowadził cios na jej lewe ramię. Zaskoczona Pantera zasłoniła się przedwcześnie. Spokojnie zmienił kierunek ostrza, tnąc od dołu i rozcinając kawałek uda.

Kobieta nawet tego nie zauważyła, atakując wściekle z góry. Edmund cofnął się, a potem skoczył do przodu i trafił ją w rękę.

Zerknął na zegar. Minuta.

Wielokrotnie zwierali się w bitewnym tańcu. Cięli, pchali, robili uniki i parady. Doskakiwali i odskakiwali. Po drugim ciosie Pantera zorientowała się, że coś tu nie gra. Zaczęła walczyć nieco bardziej chaotycznie, co skrzętnie wykorzystał Lichnowski, trafiając ją jeszcze raz w udo i kilka razy zadrapując kamizelkę. Sam jednak otrzymał parę powierzchownych ran.

Półtorej minuty.

Lichnowskiemu przemknęło przez myśl, że jeszcze tylko chwila i będzie po wszystkim. Moment dekoncentracji nie uszedł uwagi Werner. Pchnęła go w pierś. Chybiła, lecz wytrąciła Edmunda z równowagi. Ten natychmiast wrócił do pozycji, lecz skutek był opłakany.

Kapsułka z whisky wyleciała z zagłębienia wydrążonego w ochraniaczu na zęby. Lichnowski, chcąc nie chcąc, rozgryzł ją. Ignorowane dotąd otoczenie zalało go falą bodźców, a ruchy Pantery stały się o wiele szybsze.

Zbawienny w innej sytuacji ulubiony bursztynowy płyn teraz mógł go wykończyć. Kolejny atak kobiety wydawał się już o wiele silniejszy.

Edmund prędko zarobił cięcie w lewe ramię. Zaraz dołączyły do niego rany na nogach i szramy na kamizelce. Bronił się jak mógł i czasami żądlił boleśnie, lecz wraz z ustaniem efektów Ibuprofenu stał się po prostu zbyt słaby.



Dwie minuty.

Pantera rozcięła mu prawą nogę. Lichnowski krzyknął, upadając na kolano. Amelia skoczyła, chcąc dobić go pchnięciem. Edmund odparował i wyprowadził rozpaczliwy atak. Wtedy poczuł, jak ostrze przeciwniczki wybija mu z ręki jego własną broń.

Nie było czasu zastanawiać się nad następnym ruchem. Lichnowski cudem dźwignął się na nogi i rzucił do przodu, uderzając głową w brzuch Pantery. To sprawiło, że ona również wypuściła ostrze. Edmund powalił ją na ziemię, wymierzając dwa ciosy pięścią w głowę.

Trzeciego nie było.

Kobieta zablokowała go i uderzyła czołem w jego nos, boleśnie wgniatając mu ochronną maskę. Potem posypał się grad prostych i sierpowych, lewych i prawych. Mając do dyspozycji jedną rękę przeciwko dwóm, Edmund nie był w stanie przetrwać tej nawaly. Pantera szybko podniosła się, lecz zamiast chwycić leżące niedaleko ostrze, raz po raz zadawała mu kopnięcia w bok.

Wtedy Lichnowski dostrzegł swoją szansę.

Przeturlał się w kierunku własnego ostrza. Usztywniona prawa ręka z każdym przetoczeniem się błagała, by przestał. Zignorował ją, w końcu docierając do swojej broni i machając nią na oślep.

Panterze pozostało dość rozumu, by wrócić po swoje ostrze i znów wściekle natarła.

Lichnowski zmobilizował resztki sił i stanął na ugiętych nogach. Niby przypadkiem odsłonił głowę, przesuwając uzbrojone ramię w prawą stronę. Zaślepią wściekłością przeciwniczka zaatakowała pionowo z góry. Edmund odparował horyzontalnie i kreśląc zamaszysty łuk, wyprowadził atak od dołu.

Pantera zasłoniła się.

Na darmo.

Edmund wyćwiczonym ruchem obrócił ostrze. Weszło głęboko. Przeszło przez pachwinę i żołądek, zatrzymując się w sercu. Puścił ostrze i na wszelki wypadek złapał za nadgarstek Amelii.

Niepotrzebnie.

Opadła mu w ramiona i tak już została.

### *Siedziba Purpurowych, tydzień później*

Anna delikatnymi uderzeniami młotka wbiła gwóźdź w ścianę gabinetu.

– Czyń honory, kochany – zwróciła się do Edmunda.

Lichnowski zawiesił na gwoździu oprawiony w ramkę dokument poświadczający spłatę wszystkich długów bractwa Purpurowych. Po raz

pierwszy od wielu lat wypełniała go szczerą radość.

– Dziękuję wam, moi drodzy. Bez was byłoby mi bardzo trudno tego dokonać. – Uścisnął rękę Leopoldowi, objął Annę.

– Chciałeś powiedzieć, nie byłoby to możliwe – ze śmiechem poprawiła go Wolska.

– Proszę, nie wymagaj od niego zbyt wiele – wtrącił Leopold. – Chłopina właśnie z sukcesem zakończył pięcioletnią katorgę, poświęcając dosłownie wszystko. Dajmy mu świętować.

– Dziś możemy to uczynić. Zasłużyliśmy – odparł Edmund.

Wyciągnął whisky i nalał wszystkim po szklance.

– Za zwycięstwo oraz przyjaźń i miłość, które je umożliwiły – wzniósł toast.

Wypili do dna.

– Jednak jutro znów bierzemy się do pracy. Nie możemy pozwolić, żeby tym złodziejom uszło na sucho zabranie ci reszty dziedzictwa.

– Ze wszystkich kradzieży, wliczając w to te dokonane przez republikę, nazistów, komunistów i znów republikę, żadna nie była tak bolesna jak przeprowadzona przez własną siostrę w majestacie prawa – powiedział z zadumą Leopold, uzupełniając zawartość szklanek.

– Co teraz? – zapytała Anna.

– Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy, więc to bardzo proste – odparł Leopold. – Odbudujemy bractwo, tobie sprawimy nowe, lepsze laboratorium i upewnimy się, że każdy zawodnik wystawiony przez naszych wrogów pożałuje dnia, w którym zdecydował się reprezentować ich, zamiast dołączyć do nas.

– Wypijmy za to – zaproponował Edmund.

Nie musiał powtarzać dwa razy.



# KRZYSZTOF ABRAMOWSKI

## O LANCĘ ANDROMEDY



**P**rzekroczyłem próg areny, jakbym wchodził do siebie. Nic zresztą dziwnego, byłem faworytem nadchodzącego pojedynku – na mój widok z głośników popłynął jazgot podnieconego tłumu, który rozlał się po całej arenie jak wysoka morska fala. Kochali mnie. Spiker nie mógł się przebić przez donośny aplauz, ale wiem, co takiego starał się powiedzieć: właśnie przedstawiał Estvana Atomowe Uderzenie. Wyliczał zdobyte w poprzednich walkach moduły, pokonanych przeciwników. Trochę się ich uzbierało przez ponad dwadzieścia lat.

Uniosłem dłoń ku sufitowi w geście nadchodzącego zwycięstwa. Aplauz nasilił się, a ja poczułem satysfakcję, że znowu tu jestem.

Naprzeciwko znajdował się mój oponent. W tych gumowych skafandrach wyglądaliśmy jak szaleni naukowcy – gladiator nie rozstawał się ze swoim kombinezonem ani na krok, nawet po zejściu z areny. Miał nas odróżniać od pracowników Akademii, od straży. Miał nas naznaczać jak więzienne tatuaże. Skafander był też częścią naszej tożsamości, dbaliśmy o niego jak o własne ciało.

Staliśmy więc, ja i Andy, obaj z długimi rękawami, zapięci pod samą szyję, nawet w identycznych butach. Andy Szybkołnący nie miał jednak tej pewności siebie. Nie poruszał się z taką charyzmą. Jego gesty były nieśmiałe, skrępowane. Gdy zapowiadał go spiker, Andy pomachał publiczności, lecz aplauz wydawał się znacznie cichszy i przytłumiony.

– Uruchomić skafandry!

Włączyłem synchronizację z systemem areny i strój zaczął wyświetlać hologramu. Nagle na moich plecach pojawił się kołczan ze

strzałami, u pasa zamigotał gladius w skórzanej pochwie, pierś pokrył lśniący płytowy pancerz, mogący zatrzymać każde cięcie i sztych. Momentalnie stałem się prawdziwym wojownikiem, barbarzyńcą, zabijaką. Czułem, że moje kręcone ciemne włosy dosłownie falują na wygenerowanym wietrze: pewnie to efekt pracujących za ekranami realizatorów.

Zacisnąłem pięści schowane w tytanowych rękawicach i na powrót rozluźniłem dłonie, sprawdzając, czy mechanizmy działają jak powinny. A mój przeciwnik? Andy Szybkotnący miał mniej modułów. Zamiast płytowej zbroi była licha kolczuga. Nie strzelał z łuku i nie używał gladiusa, za to świetnie posługiwał się dwoma krótkimi sztyletami. W jego spojrzeniu widziałem zawahanie. Do ostatniej chwili wierzył, że będzie walczył z kimś innym. Że nie trafi na Estvana Atomowe Uderzenie, faworyta turnieju.

– Głowa do góry... – warknąłem, ale przez dudniącą w uszach krew pewnie mnie nie usłyszał. To miało być pocieszenie w moim wykonaniu.

Cóż, wyszło mizernie, chociaż dobrze rozumiałem jego niepewność. Tę niechęć do walki. W końcu z Andym po prostu się znaliśmy. Rozmawialiśmy ze sobą, razem piliśmy. Głupio było stanąć naprzeciw siebie i skrzyżować broń. To zawsze sprawiało wielką trudność, nikt tego nie chciał poza kilkoma szaleńcami lubującymi się w cudzej krzywdzie, ale...

Ale do tego właśnie trenowano nas całe życie, prawda?

– Ach, cóż za emocje! Cóż za energia! Ci tutaj wyglądają naprrrrrrawdę groźnie! – Spiker pojawił się pośrodku areny. Cudak w smokingu i z mikroportem rozłożył ręce, a oglądający zawtórowali mu wiwatem. – Przypomnijmy naszym widzom zasady dzisiejszego turnieju. Do walki staje dziesięciu śmiazków. Każdemu został wylosowany przeciwnik, z którym będzie musiał się zmierzyć. Zwycięzca przechodzi do następnej rundy. W końcowym pojedynku dwóch najlepszych zawalczy o legendarną Lancę Andromedy!

Spojrzałem na jeden z trzech ogromnych telebimów zawieszonych pod szklanym niebem. Twarz spikera znikła, teraz operator kamery najechał na mnie. Rozległa się kolejna fala podnieconego aplauzu. Gawiedź uchwyciła moje spojrzenie, otaksowała zarost, a gdy obróciłem głowę, by uciec od goniącego obiektywu, na telebimie pokazano coś, co znałem dotychczas tylko z opowieści. Lanca Andromedy.

Obracała się w powietrzu, zawieszona w pionie, jakby realizator chciał pokazać widzowi każdy najdrobniejszy szczegół. Nazwa była myląca, bo okazało się, że to wcale nie jest broń używana w konnych potyczkach. Przypominała bardziej sztylet. Ostrze połyskiwało złowrogo, rękojeść była wysadzana drogocennym kamieniem. Miałem pewność, że informatycy wbudowali do Lancy jakiś specjalny efekt. Zaprogramowali,

że ma wydzielać truciznę w momencie cięcia albo że musi zapłonąć, gdy wyjmie się ją ze skórzanej pochwy. Programiści nauczyli już gladiatorów, że broń turniejowa nigdy nie jest po prostu zwykłym kawałkiem stali.

– Nadchodząca walka – mówił dalej spiker – zostanie oceniona przez naszych sędziów. Poznajmy ich!

Zmiana obrazu. Kamera powędrowała w lewy narożnik areny, wielkiej jak boisko piłkarskie, gdzie na podwyższeniu znajdowały się trzy metaliczne sylwetki, stojące niby skalne posągi i wpatrujące się w nas szklanym okiem. Znałem je doskonale. Odbyłem setki walk pod tym nadzorem nieludzkiego, analizującego spojrzenia i często zastanawiałem się, czy nie lepszy byłby sędzia z krwi i kości.

Spiker przedstawiał je po kolei. Koordynacja, Adoracja i Reputacja. Sztuczne inteligencje. Każda z wbudowanym algorytmem, który liczył po swojemu i zwracał uwagę, odpowiednio, na zręczność i technikę, uwielbienie tłumu oraz najgorsze, czyli na moralność podjętych przez wojownika wyborów. Spiker nie tłumaczył widzom, jakimi algorytmami SI oceniały walkę, ale ja dobrze je znałem i wiedziałem, jakie są bezduszne. Trzeba było zachowywać się w zgodzie z odpowiednim kluczem. W odpowiedni sposób. To jedyna droga do zwycięstwa.

Co prawda można było po prostu zabić przeciwnika – ale sędziowie zapisywali każdy ruch w swojej bezdennej pamięci. Jeżeli śmiertelną ranę zadano w niehonorowy sposób albo użyto nieregulaminowego sprzętu, zwycięzca nie dostawał pełnej puli punktowej. Każda podjęta decyzja rzutowała na końcową tabelę, na wybór następnego przeciwnika w drzewku punktowym. Oceny były ważne także w bezpośredniej walce. Mogło się okazać, że w ostatnim pojedynku turnieju miało się mniej punktów niż drugi finalista, a starcie trwało zbyt długo, nie wyłaniając zwycięzcy. Wtedy Triada kierowała się czystą matematyką.

– A więc co tu dodawać... – zawołał spiker. – Gooooootujemy się na niezłe lanie!

Spiker zniknął, rozproszony jak ciemność przez plazmowy reflektor, i arena była już tylko nasza. W głośnikach rozbrzmiał podniecony tłum. Pięćdziesiąt milionów przed telewizorami, podobno taka była widownia. Podobno, bo ja jej nie widziałem – na arenie brakowało trybun. Wkoło grały jedynie odgłosy od realizatora, ponadto byli sędziowie, drony z kamerami i tylko ja wraz z Andym, który coraz bardziej się niecierpliwił i właśnie próbował mnie okrążyć.

– Powodzenia – mruknąłem, obracając gladiusem.

– Wal się, Estvan – odwarknął mój przeciwnik.

Nie wiedziałem, skąd u niego ta wrogość. Tłumaczyłem sobie, że to nerwy.

Spojrzałem w telebim nad głową i wyczekiwałem zielonego światła oznaczającego początek walki. W końcu sędziowie dali umówiony znak. Zaczęło się.

Andy Szybkoćnący znany był z tego, że próbował zakończyć walkę w pierwszych minutach pojedynku. Skoczył ku mnie susem jak polujący tygrys, lecz ja odsunąłem się w porę i ciąłem powietrze gladiusem, aby go od siebie odciągnąć. Posypały się iskry, gdy natrafiłem na ostrze jednego ze sztyletów. Odepchnąłem je niby brzęczącą przy uchu muchę, a później starliśmy się ponownie. Celowałem w obojczyk. Andy nie wykonywał nawet zastawy, obaj zresztą nie mieliśmy tarczy. Zabalansowałem, unikając śmiertelnego uderzenia, i pchnąłem płynnie pod żebro. Nie zdążyłem nic zrobić!

– Uch, ależ to był cios! – odezwał się głos spikera.

Moja zbroja miała wbudowany moduł o nazwie Ratownik Medyczny. Rozszerzenie dostałem w nagrodę za jeden z wygranych turniejów – działało jednorazowo i po uruchomieniu stawało się bezużyteczne. Ale teraz... domyślcie się, co nastąpiło. Ostrze zatrzymało się na płycie i mimo że wyrąbało w niej otwór, nie dotknęło skafandra. Bez tego modułu walka już by się zakończyła, a ja leżałbym z wnętrznościami na wierzchu.

Odsunąłem się, raniony i nieraniony jednocześnie, następnie przystąpiłem do kontry. Oparłem ciężar na lewej stopie i z wielką siłą uderzyłem gladiusem. Andy zrobił ten swój obrót. Widziałem, jak jego nogi się układają, jak uciekają spod mojego ostrza, lecz wtedy powstrzymałem go ciężką dłonią w rękawicy. Tłum zawył. Ciało Andy'ego poszybowało w powietrze. W locie wojownik zgubił jeden ze sztyletów. Cios był silny; może nie złamał mu żeber, lecz wystarczyło, aby zabrać mężczyźnie oddech.

Andy rąbnął plecami o ziemię. Do moich uszu dobiegł głos podnieconego spikera:

– Widzieliście? Estvan jest faworytem...!

Uniosłem dłoń w geście zwycięstwa. Wiedziałem, że trzeba podkreślić zabawę, więc przeszedłem się dookoła leżącego. Wycelowałem w niego gladiusem, ale cierpliwie czekałem. Nie każdy dysponował Ratownikiem, toteż mogłem teraz teoretycznie dobić Andy'ego. W końcowym rozrachunku Reputacja odbierze mi jednak cenne punkty za wątpliwą moralnie decyzję. Już to kiedyś przerabiałem.

– Dawaj – ponagliłem chłopaka. – Tłum czeka.

– Zaraz rozsmaruję ci ten uśmiech po mordzie... – zagroził.

Pomachałem kamerom, obserwując, jak Andy gramoli się na równe nogi. Stoczył mniej walk ode mnie i nie wiedział chyba, jak powinien się zachować. Popępiał błędy. Nie pozwolił się sfilmować dookoła, nie czekał, aż latające w powietrzu kamery uchwycą jego grymas, jego ból

i napięcie na twarzy. Zamiast tego po prostu przystąpił do ataku. Walił wściekle, ciął, pchał, próbując włożyć mi sztylet do gardła, tymczasem ja już wiedziałem, że jest po walce.

Andy był coraz bardziej zdesperowany. W końcu znudziłem się unikaniem ciosów. Zderzyliśmy się, a ja poczułem jego gorący, lepki oddech.

– Przykro mi, Andy – powiedziałem mu cicho do ucha. – Wiesz, jak to się skończy.

Andy wcale nie wiedział, tylko parskał na mnie śliną i wściekał się, jakby to było coś osobistego. Rozwarliśmy szyk. Andy cofnął się w prawo. Ja w lewo. Już sięgał do drugiej pochwy, gdzie miał schowany zapasowy nóż. Mniejszy i najwidoczniej przeznaczony do rzucania. Miałem dwie sekundy na reakcję. Łuku nie wykorzystam – zbyt mało czasu. Musiałem natychmiast skrócić dystans.

Skoczyłem, a właściwie przeturlałem się po ziemi. Niebezpieczny manewr spowodował eksplozję podnieconego tumultu. Ryk w głośnikach ogłuszał. Andy na moment stracił koncentrację. Cofnął się zbyt późno, gdy byłem już na wyciągnięcie gladiusa, gotowy zakończyć starcie.

Pchnąłem mocno w brzuch i przekręciłem bezlitośnie głownię. Nie było krwi. Żyliśmy przecież w cywilizowanym państwie. Andy jęknął i upadł na ziemię. Neurony podłączone do skafandra właśnie odbierały informację, że hologramowy miecz powinien pozbawić Andy'ego życia. Tak się też działo. Andy umierał, chociaż na jego ciele nie było ani zadrapania.

– Co za cios! Co za cios! – krzyczał spiker, a wszystkie kamery skupiły się na umęczonej twarzy pokonanego.

Pozwoliłem się sfilmować, gdy góruję zwycięsko nad przeciwnikiem. Spiker mówił coraz szybciej, słowa wpadały na siebie i nic już nie rozumiałem. Cały czas wychwalał walkę. Analizował każdy element jak wytrawny komentator sportowy. Tymczasem ja odsunąłem się i wyjąłem łuk. Machinalnie nałożyłem strzałę, przyłożyłem ją do policzka, zerknąłem ukradkiem na Triadę: Koordynacja, Adoracja i Reputacja liczyły każdy mój ruch. Czekałem na pozwolenie. Jeżeli go nie dostanę, nie będę mógł dobić przeciwnika bez odjętych punktów za moralność dokonanego wyboru. Stałem tak z wyczekiwaniem, trzymając napiętą cięciwę. Komputery liczyły. Te trzy niby posągi ze stali i szkła mignęły do siebie porozumiewawczo.

Wreszcie dostałem pozwolenie, a nawet nakaz wykonania egzekucji – migoczący napis: „Finish him!” na telebimie – więc mogłem wypuścić strzałę. Zwolniłem palce. Odprowadziłem pocisk wzrokiem i obserwowałem, jak przecina powietrze, jak leci nieubłagane ku Andy'emu Szybko tnącemu, a wreszcie jak trafia w cel i przeszywa

mężczyźnie krtań. Grot strzały miał w sobie ładunek elektryczny, który po zetknięciu z celem eksplodował małym wyładowaniem. Andym wstrząsnęły gwałtowne konwulsje.

Hologram nagle przestał działać. Oba noże rozplynęły się w powietrzu. Nie było kolczugi Andy'ego. Nie było rękawic ani ciężkich butów. Mężczyzna leżał pokonany w swoim błękitnym gumowym skafandrze, bezwładnie jak szmaciana lalka. Uniosłem obie dłonie w geście triumfu.

– Mamy zwycięzcę! To Estvan Atomowe Uderzenie! – darł się spiker, który znowu pojawił się na arenie. Coś mówił, szybko i nieskładnie, lecz ja go nie słuchałem. Zamiast tego moja uwaga skupiła się na Triadzie.

Trzy sztuczne inteligencje stały niewzruszone. Czy nie potknąłem się przy uniku? Czy cios był czysty? Czy dobrze potraktowałem publiczność? Wykonałem rozkaz z tablicy, wykazałem się więc umiejętnością zwracania uwagi na komunikaty. Za dobiecie przeciwnika bez wyraźnego polecenia realizatorów odejmowano punkty, lecz w takim wypadku z pewnością dostanę ich więcej. Pytań było wiele, a roboty analizowały każdy szczegół.

Podszedłem do nich, wiedząc, że tak się właśnie powinno robić: początkujący w takim momencie już schodzili z areny, pewni swojej wygranej, tymczasem Reputacja odejmowała takiemu gladiatorowi punkty za niestosowne potraktowanie sędziów. Ja jednak cierpliwie czekałem. Powinienem za to dostać bonusową premię.

Po chwili usłyszałem werdykt. Od Reputacji:

– Dziewięć przecinek jeden.

Od Adoracji:

– Dziewięć przecinek sześć.

Oraz od Koordynacji:

– Osiem przecinek siedem.

Wynik dwadzieścia siedem przecinek cztery na trzydzieści możliwych punktów był jednym z moich lepszych w ostatnim miesiącu. Skłoniłem się, pomachałem ostatni raz publiczności i w akompaniamencie oklasków oraz podniosłej muzyki ruszyłem do najbliższej bramy, jakbym wsiadał na swojego pegaza i odlatywał ku zachodzącemu słońcu.

Przejsie otworzyło się i wpuściło mnie do środka. Zniknęło jasne światło reflektorów. Zniknęła arena. Hologram się wyłączył i znowu byłem w ciasnym gumowym skafandrze, idąc przez zimny, niedoświetlony korytarz do sali odnowy.





Nie zrobiłem dziesięciu kroków, a w moją stronę już dreptał doktor Conley. Nie przepadałem za nim równie mocno jak wszystkie istoty żyjące w koszarach: wliczając w to szczury, jadowite czerwone mrówki i wielkie karaluchy pełzające po starych materacach. Mężczyzna po prostu tu nie pasował.

Doktor, ubrany w biały lekarski kitel, był pedantem jakich mało – pięknie przycięte paznokcie, ułożone włosy, wyprasowane ubranie, wyczyszczone zamszowe buciki. Szedł ślalomem, żeby ominąć zbierającą się w podłodze brudną wodę. Na mój widok rozpromienił się i wyrzucił przed siebie ramiona, jakby tym wątlym ciałem chciał mnie objąć i po ojcowsku do siebie przytulić.

– Estvan! – zawołał radośnie.

– Doktorze Conley. – Przywitałem się oszczędnym skinieniem głowy.

Dopadł do mnie i uściśnął.

– Walczyłeś zabójczo dobrze. Zabójczo – zachichotał. – Może się przejdziemy, co?

– Po walce musi mnie pan zweryfikować – przypominałem doktorkowi. Jestem pewny, że świetnie to wiedział, ale z jakiegoś powodu postanowił opóźnić ten rytuał.

– Oj, zdaję sobie sprawę. Ale to za chwilę, dobrze? To co, pójdziemy?

Pociągnął mnie w boczny korytarz. Przywitał się ze strażnikiem, który pilnował łącznika, a dwóch kolejnych, przy schodach, mineliśmy bez słowa. Nie szliśmy w kierunku sali odnowy, dokąd zawsze wracałem po zakończonej walce, ale kierowaliśmy się w jakieś bliżej nieznane mi okolice kuchni i pomieszczeń gospodarczych. Zaraz zdałem sobie sprawę, że spacerujemy bez celu, robiąc kółka po dziwnych rejonach Akademii.

– Bardzo podobała mi się twoja walka. – Doktor Conley przeszedł do konspiracyjnego szeptu. – Konsylium Bezpiecznej Przystani jest całe w skowronkach. Nigdy ich takich nie widziałem, słowo daję! Uwierzysz, że zebrałeś przed ekranami pięćdziesiąt milionów widzów? Wiesz, ile to kasy dla Konsylium? Kupią za to nowy sprzęt i moduły dla gladiatorów!

– Całkiem spora widownia – zauważyłem.

– No właśnie! Wszyscy chcą cię widzieć w końcowej walce. Jesteś faworytem, przyjacielu! Ja obstawiam, że to będzie walka ty kontra Drapis Anielskogłósy. Co myślisz?

Przełknąłem ślinę. Znałem Drapisa. Skurczybyk był utalentowany i młodszy ode mnie jakoś o dziesięć lat. Właściwie to jedyny przeciwnik, z którym powinienem się liczyć. Sam byłem świadkiem, jak Drapis z odległości stu pięćdziesięciu metrów trafił strzałą prosto w czoło szermierza! Grot przebił hełm i wyleciał z drugiej strony.

– Możliwe – odparłem, wzruszając ramionami. – Do czego zmierzasz?

Widziałem, że Conley kluczy wokół tematu. Pogrzebał w kieszeniach

i wyjął małe urządzenie podobne do procesora komputera.

– Dostałem od szefostwa nowy moduł. Nazywa się Kość Maurycego. Kazali ci to dać z zastrzeżeniem, że możesz jej użyć dopiero w końcowej walce z Drapisem. Dostajesz ją jednak teraz, później może nie być okazji. Wokół waszej dwójki zrobi się szum, przybędzie gapiów. Zachowaj moduł w bezpiecznym miejscu.

Uniosłem brwi. Oszustwo? Zapewne nie pierwsze i nie ostatnie. Ostrożnie wziąłem od doktora moduł wielkości płytki paznokcia. Obróciłem urządzenie kilka razy.

– Co to robi?

– Unieszkodliwia przeciwnika. Wystarczy podpiąć pod kombinezon i w twoim wyposażeniu pojawia się nowa broń. Działa jak mody do gier, rozumiesz. – Doktor się podrapał. – Jak twój moduł na długi łuk i gladius.

– Chyba rozumiem. Ale co to konkretnie za broń?

– Wyrzutnia raket. Miniaturowa bomba o niewielkim promieniu rażenia – oświadczył bez ceregieli Conley.

– Bomba?

Unikaliśmy takich zagrywek. Gladiatorzy mieli miecze, sztylety, ogólnie broń białą, a taka wyrzutnia... rozgniałała jaskiniowców bronią plazmową. Zawahałem się, czy przypadkiem nie oddać modułu. Może poradzę sobie bez niego? Kalkulowałem. Bomba zdobędzie u Adoracji maksymalną liczbę punktów – w końcu komu nie podobała się eksplozja rysująca nad areną przepiękny grzyb powybuchowy? – ale zdobędę ich mniej od Reputacji.

– To nie będzie przegięcie? – spytałem niepewnie.

Doktor Conley się roześmiał.

– Ależ skąd! Drapis też ma swoje zabawki. O to się nie martw, coś na pewno wymyśli.

Pokręciłem głową, nie dowierzając doktorowi. Mimo wszystko lubiłem wygrywać, więc wziąłem moduł i schowałem do kieszeni kombinezonu. Tak na wszelki wypadek, uznałem.

– Jak sobie chcesz. – Wzruszyłem ramionami.

– To co, może teraz weryfikacja?

Zgodziłem się. Proces przebiegał zawsze podobnie. Unieś ręce, rozstaw nogi, pozwól wepchnąć sobie pod pachę specjalny skaner, który miał sprawdzić legalność zainstalowanych w kombinezon modułów. Robił to zawsze Conley, więc efektu można się było spodziewać. Akceptacja. Już nawet się nie dziwiłem. Zastanawiałem się tylko, co jest bardziej prawdopodobne: czy to, że doktor sukcesywnie hakuje każde urządzenie do skanowania, czy może to, że robią już tak doskonałe moduły rozszerzające, iż małe urządzonka z łatwością przechodziły nawet najlepszą weryfikację?

– Skoro mamy to za sobą... może zechcesz zobaczyć, co się dzieje

w pokoju socjalnym? – zaproponował Conley.

– Mhm. Jasne.

Ruszyłem chłodnym korytarzem. Doktora Conleya zostawiłem z tyłu – nie należał do typów lubianych przez pozostałych gladiatorów, więc w pokoju odnowy bywał rzadko. Gdy wchodził do pomieszczenia, rozmowy milkły. Ktoś z przyzwyczajenia kładł rękę na udzie, chcąc sprawdzić, czy gladius nadal jest przy pasie. Ktoś inny spluwał z niechęcią, jakby zobaczył wyjątkowo tłustego robaka. Zupełnie się temu nie dziwiłem. Reprezentantów Bezpiecznej Przystani traktowano niczym obcy organizm. Ucieleśniali opresyjną „góre”. Mataczyli w pojedynkach. Jednych otwarcie wspierali, a innym próbowali utrudnić życie. Nie można im było zaufać, nawet gdy mówili „dzień dobry”.

Wszedłem do głównego pomieszczenia. Spojrzenia skupione na monitorze podnieśli na mnie Anrisa Żmijowy Kiel oraz Chalka, dozorca koszar. Reszta gapiła się na ekran, gdzie trwała następna walka. Ogromny mężczyzna właśnie młócił mieczem bękarcim, ciężkim jak dwuręczny, o przedłużonej rękojeści, używając do tego jednej dłoni.

– Dawaj go, Sambos! Jedziesz!

– Ale mu przywalił...

– Patrzcie go, zawraca!

Podążyłem wzrokiem za pozostałymi. Walczącym mężczyzną był nie kto inny jak Sambos Twardokopytny, mój dobry przyjaciel. Postawny, szeroki w barkach, wielki jak dąb. Operował ogromną tarczą zupełnie swobodnie, jakby obchodził się z patyczkiem do lodów. Pchnął swojego konkurenta – którego imienia nawet nie znałem – i z łatwością przewrócił. Potem przygniótł go tarczą, szukając miejsca, by wbić się ostrzem.

– To już koniec – skomentowała Anrisa, obok której stanąłem.

– No nie wiem. Patrz na nogi – mruknąłem, przeczuwając, co się zaraz stanie.

W tej właśnie chwili mężczyzna przygwożdżony do ziemi kopnął Sambosa w jaja.

Reputacja mu tego nie daruje. W głośnikach rozległo się zawiedzione: „Ooo!”, Sambos złamał się wpół, lecz jakimś cudem ustał na nogach.

Przeciwnik wyczołgał się spod tarczy. Splunął czerwienią. Nie wyprowadził kontry i tylko się zachwiał, nadal oszołomiony. Po brodzie skapywała mu strużka krwi. Przy upadku musiał przegryźć sobie język.

– Kurwa! Nie sądziłem, że eliminacje będą takie ciekawe – sapnął z boku Killias Groźny.

– Zobaczysz, co się będzie działo w finałach. – Uśmiechnąłem się.

– Pewnie znowu zatańczysz na czyimś grobie. Nudy – skrzywił się Killias.

Nie odpowiedziałem. Wszystko zależało od tego, jak ułoży się drabinka turniejowa. Na razie walki szły zgodnie z oczekiwaniami. Za chwilę powalczy Anrisa Żmijowy Kieł ze swoim przeciwnikiem. Zerknąłem najpierw na nią, potem dyskretnie na niego. Anrisa była jedyną kobietą w całym turnieju. Mężczyźni często jej nie doceniali, a później kończyli z głową wpatrzoną tępo w szklany sufit areny, zastanawiając się, czemu leżą na ziemi, czemu ich ręce są sparaliżowane i dlaczego Triada ogłasza werdykt na korzyść Anrisy. Chuda, lecz z silnymi ramionami, o pociągłej, przekornej twarzy, z krótkimi popielatymi włosami zaczesanymi na bok. Nie bez powodu nazywali ją Żmijowym Kłem: od lat walczyła za pomocą swojej ulubionej włóczni, do której stopniowo dodawała kolejne moduły. Kto tylko dotknął końcówki grotu, zaraz sztywniał i padał trupem. Wcale nie miałem ochoty mierzyć się z tym wężem, a już tym bardziej dać się ukąsić.

Przeciwnikiem Anrisy był zaś Killias Groźny, z którym zamieniłem już kilka słów. Zналиśmy go wszyscy. Gość był „Groźny” nie z powodu wybitnych umiejętności, ale ciętego języka. Kłócił się ze wszystkimi i o wszystko, byłem nawet pewny, że jeśli Triada wystawi mu negatywną ocenę, to Killias zacznie wygrażać sztucznej inteligencji i szukać sposobu, aby odegrać się na bezdusznych maszynach.

Nagle pokój zagotował się od wrzasków. „To koniec!” – jęknął komentator. Killias „niechcący” wpadł na Anrisę, uderzając dziewczynę łokciem, a ta wylała kawę na posadzkę. Żmijowy Kieł łypnęła na Killiasa, który przeprosił z niewinną miną.

Spojrzałem w ekran. Sambos wywinął się, robiąc zgrabny, jak na swoje warunki, obrót, a potem ciął mieczem na wysokości piersi. Jego przeciwnik nie mógł się osłonić. Zresztą nawet gdyby to zrobił, potężny cios zniszczyłby każdą zasłonę, pogruchotał kości albo w ogóle przeciął nieszczęśnika jak piła tarczowa. Cyfrowy miecz zachował się niczym ostrze wytopione z prawdziwej stali: uderzył przeciwnika Sambosa z takim impetem, że mężczyzna padł jak długi. Nie było krwi – na ekranach zawieszonych nad areną zamigotała liczba 95, co oznaczało procent maksymalnej siły, jaką Twardokopytny włożył w to uderzenie.

– Dobij go!

– Sambos tego nie robi – zachnąłem się. – On nie z takich.

Najazd kamery na zmęczoną, dyszącą twarz gladiatora robił obłądne wrażenie. Twardokopytny wyglądał jak wyciągnięty z boru odyniec, który właśnie walczył na śmierć i życie z drugim samcem. Wahał się. Domyślałem się, co kołatało mu w głowie. Co za potworność! Dostać kilka dodatkowych ułamków od Adoracji czy ujemne od Reputacji? Zabijanie nie było na arenie czymś obowiązkowym, lecz zdarzało się całkiem często. Tak naprawdę można zakończyć pojedynek bezkrwawo. Między starszymi gladiatorami mieli nawet takie ustalenie: zero

zabijania. Wystarczyło zapewnić oglądających, że przeciwnik nie ma szans kontynuowania pojedynku, i Triadzie zwykle to wystarczało.

Lecz Sambos, zamiast unieść rękę w geście zwycięstwa – i zakończyć starcie – podniósł wielki miecz. Odwróciłem wzrok i szczerze się zawiodłem. Myślałem, że znam tych ludzi. Że wiem, co nimi kieruje, i że potrafię przewidzieć ich zachowania. A jednak Sambos Twardokopytny, mój przyjaciel, dobił leżącego przeciwnika brutalnym ciosem.

Tłum zawył. Anrisa powiedziała coś do Killiasa, dozorca Chalka mruknął: „Tak trzeba” z poważnym wyrazem twarzy, świadczącym o tym, że jego gladiator nie miał innego wyboru, ja zaś zastanawiałem się, co też strzeliło do głowy mojemu Sambosowi.

Następnie komentator wygłosił niezdrowo podnieconą mowę na temat siły i sprawności zwycięzcy. Na temat jego błyszczącego pancerza, jego hełmu, który teraz otworzył, by wyszczerzyć się do kamery, na temat tężyzny fizycznej Sambosa, wychwalając go niby bohatera z antycznych eposów, który stanął przed Triadą z uniesioną zwycięsko głową.

Sztuczne inteligencje zamigotały światłami liczników i ogłosiły swój werdykt.

Od Reputacji:

– Siedem przecinek pięć. – Wynik obniżony z pewnością za zabicie przeciwnika.

Od Adoracji:

– Dziewięć przecinek trzy. – Z kolei premia za podniecony, wiwatujący wciąż tłum.

Oraz od Koordynacji:

– Sześć przecinek trzy.

Łącznie lekko ponad dwadzieścia trzy punkty na trzydzieści możliwych. Mniej ode mnie. Zerknąłem na monitor z tablicą wyników. Sambos znalazł się tuż pod moim imieniem. Nie chodziło wyłącznie o wygraną w turnieju: za śrubowanie rekordów otrzymywało się kolejne nagrody, a ja byłem na dobrej drodze, żeby zgarnąć i tę pulę.

– Wygląda na to, że nadal prowadzisz!

To był Killias. Szczerzył się do mnie jak do serdecznego przyjaciela, ale w warunkach bojowych, na arenie, Groźny bez wątpienia wbiłby mi nóż w plecy. Nie miałem co do tego najmniejszych złudzeń.

– Spokojnie. – Wzruszyłem ramionami. – Jeszcze wiele się może zdarzyć.

– Nie bądź taki skromny. – Łypnął do mnie zawadiacko. – I tak wiemy, że to ty wygrasz.

Uśmiechnąłem się.

– Kto może cię pokonać? – Killias wskazał głową na kłębówisko ciał oglądających show na ekranie. – Anrisa Żmijowy Kiel? Nawet jeśli wygra

ze mną, to z tobą nie ma żadnych szans. Za słabe ciosy. No i kto jeszcze? Sambos? Widziałeś, jaki miał problem z tamtym chłystkiem? – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Chyba tylko Drapis Anielskogłosy. Ale jakoś nie wierzę w tego blondaska. Wyłoży się przy pierwszym ciosie, zobaczysz.

Nie lubiłem podobnych rozmów. Bo co powiedzieć? „Jasne, masz rację. Jestem najmocniejszym zawodnikiem w koszarach”? Na arenie mogłem się chępić swoją siłą i zręcznością, żeby zdobyć dodatkowe punkty u Adoracji, ale tutaj, w ciasnych korytarzach, gdzie z każdej strony mogła wychynąć czyjaś zimna dłoń, nie było to wcale wskazane.

Na szczęście instynkt samozachowawczy – ten sam, który wyciągał mnie z różnych opresji już wielokrotnie – wybrał odpowiednią opcję dialogową. Nie chciałem skończyć ze sztyletem włożonym między zębra. Dlatego odpowiedziałem niezobowiązującym mruknięciem i ostrożnym skinieniem głowy, nie wdając się w dalszą dyskusję.

Zauważyłem, że Killiasa ciągnęło do baru. Nie musiałem długo czekać i zaraz rzucił propozycję:

– Napijemy się?

Ja byłem już po walce, lecz Killias Groźny i Anrisa Żmijowy Kiel wciąż musieli stoczyć swój pojedynek.

– Teraz? Jesteś pewny?

– Łyczek burbona nie zaszkodzi – odparł wymijająco. – To przecież nie jest zakazane, nawet jeśli Triada patrzy z niechęcią na podobny „doping”. Co się tak wleciesz?

– Już idę.

W pomieszczeniu atmosfera zelżała. Część gladiatorów wyszła na korytarz, chcąc odetchnąć względnie świeżym powietrzem, a część ruszyła do dormitoriów – sprawdzić swój sprzęt, wysłać wiadomość do kochanki albo podlać roślinkę, którą zobaczy ostatni raz przed wejściem na arenę.

Przeszliśmy z Killiasem do osobnego pomieszczenia, większego, z kolejnymi monitorami zainstalowanymi przy ścianach. Miałem wrażenie, że nawet plastikowe krzesła – ustawione rzędem z niepokojącym pietyzmem – mają swoje własne kamery! Śmierdziało kwaśnym potem, kawą, alkoholem i szczerzymi odchodami, lecz mojemu towarzyszeni najwyraźniej ten aromat wcale nie przeszkadzał.

Pośrodku jadalni rozpościerał się Pocziwy Jerry. Robot, niczym wielka ośmiornica, zawieszony był nad wypolerowanym barem. Górował nad wszystkim. Jedną macką nalewał espresso, korzystając z wbudowanego przy ramieniu lejka, inną odgrzewał zamówiony przez kogoś makaron. Na nasz widok przechylił rozumną podłużną głowę, a ja poczułem dreszcze przebiegające po skórze.

Jerry był „Pocziwy” tylko z nazwy. Ja się go bałem – czerwone ślepia

zapisywały wszystko w swojej bezdennej pamięci, wrzucając każdy obraz, każdy grymas do wielkiego worka zwanego dyskiem twardym. Nieodpowiedni człowiek mógł w każdej chwili zajrzeć na ten dysk i wyciągnąć z niego, czego tylko będzie w danym momencie potrzebował. Do tego generowany cyfrowo głos, stylizowany na mowę przemilego gościa, ociekał fałszem i jakimś takim zepsuciem, którego nie potrafiłem nawet nazwać.

– Witam ponownie. Dla pana Killiasa pięćdziesiątka burbona, czy tak? A dla pana Estvana cytrynowka ze sprite'em? – zapytał Pocziwy Jerry, przechylając ten swój czarnostalowy, gładki pysk. Barman ośmiornica doskonale zapamiętywał twarze i poprzednie zamówienia. Trzymał w tym swoim worku na wspomnienia informacje, co zostało wypite danego dnia i czy mieliśmy potem kaca.

– Dla mnie spoko. – Killias wzruszył ramionami.

– Ja tylko herbatę.

Zapłaciliśmy specjalnymi kartami. Należało przeciągnąć nimi po skanerze podsuniełym przez Jerry'ego i już z osobistego konta gladiatora uciekały cenne coiny – ekwiwalent poprzednich wygranych. Za kasę mogliśmy jeść coś lepszego niż biała proteinowa papka i pić burbon zamiast brudnej wody. Układ jak dla mnie w porządku, zważywszy na to, że każdy miał tyle, ile sam sobie wywalczył.

Po chwili robot przygotował nasze drinki. Robił to z imponującą prędkością: w jednej macce były szczypcy na lód, w innej podajnik, w jeszcze innej lejek ze sprite'em. Nalewał, mieszał, potrząsał, zgniatał i wykręcał. Wyobraziłem sobie, jak zamiast cytryny w tych silnych stalowych mackach znajduje się czyjaś głowa. Przełknąłem ślinę.

– Dzięki – mruknąłem, gdy mój drink znalazł się w ładnej szklance.

Killias Groźny potrzebował alkoholu chyba bardziej niż ja. Udawał, że nie stresowała go zbliżająca się walka, lecz skąd to zagubienie? Skąd rozbiegany wzrok? Drżące kolana? Wypił całą pięćdziesiątkę na raz, a potem poprosił o jeszcze jedną. Na pozór Pocziwy Jerry nie komentował. Ale wiedziałem, że gdzieś w tych małych cyfrowych liczydłach zapisywał sobie dokładne ilości alkoholu, które Killias wypijał bezpośrednio przed każdą walką.

Rozmawialiśmy o głupotach. Groźny żalił się, że w poprzednim turnieju szło mu znacznie lepiej i że ostatnio trochę zaniedbał treningi. To nie była do końca prawda. Ćwiczyłem z Killiasem na sali – to był niezwykle szybki i utalentowany zawodnik. Operował jednoręcznym mieczem jak mało kto. Pamiętam, że wykonywał zwody wcale nie gorzej niż Drapis, brakowało mu tylko tej chamskiej buty, odwagi, którą epatował Anielskogłosa i którą młody gladiator przekuwał w zwycięstwa.

Wreszcie dyskusja zeszła na odległe tory. Killias rozmarzył się o życiu

poza Bezpieczną Przystanią i dywagował, przerywając jedynie wtedy, gdy chciał się napić.

– Tutaj jest ciasno – powiedział, przechodząc do konspiracyjnego szeptu. Jerry w tym czasie odwrócił się i obsługiwał innych klientów, lecz jakim durniem trzeba być, by wierzyć, że robot wcale nas nie słyszy? – Byłeś kiedyś na zewnątrz?

– W Bezpiecznej Przystani? – domyśliłem się.

– Tak.

– Byłem raz czy dwa. – Wzruszyłem ramionami. Znowu nie podobało mi się, w jaką stronę zmierza rozmowa.

– I jak wrażenia?

– Jest lepiej niż tutaj. Ludzie nie muszą walczyć. Są pełnoprawnymi obywatelami. Może i my kiedyś tacy będziemy.

Odpowiedziałem niekoniecznie zgodnie z własnym sumieniem, ale tak, jak trzeba było odpowiedzieć. Wcale nie wierzyłem, że dzięki wygranej pojedynkom uda nam się odzyskać wolność. Obywatele z Bezpiecznej Przystani potrzebowali nas. Chcieli przeżywać nasze porażki i świętować nasze zwycięstwa.

– Lepiej niż tutaj? – powtórzył Killias. Autentycznie się zdziwił. Uniósł brwi, na jego twarzy pojawił się konspiracyjny grymas. Zerknął na robota podającego właśnie herbatę i przygryzł wargi. – A funkcjonariusze na ulicach? Ogłupiająca telewizja? A te wszystkie zasady społeczne? Podoba ci się to głównie tylko dlatego, że owinięte jest w ozdobny papierek. Powiedz mi, Estvan, czy ty lubisz głównie?

– Nie lubię.

– No to dlaczego chciałbyś zostać obywatelem Bezpiecznej Przystani?

Wcale nie powiedziałem, że bym chciał, ale intuicja nakazywała mi milczeć.

– Są inne miasta – powiedział cicho Groźny z irytującym naciskiem na słowo „inne”. – Leżą daleko za morzem, dalej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Ale one gdzieś są. Czekają na nas. Bez Adoracji, Reputacji i Koordynacji, bez Jerry’ego, bez sztucznej inteligencji i bez żadnego krwi motłochu. Czaisz?

Czaiłem, chociaż mimowolnie uśmiechnąłem się z politowaniem.

– I co wiesz o tych miastach? – zapytałem.

Nawet ośmiolatek by zauważył, że właśnie prowadzę Killiasa Groźnego na minę. Powinien odpowiedzieć jakimś żartem, zbyć pytanie machnięciem ręki, uciec od tematu, ale temu człowiekowi dosłownie rozwiązał się język, co nie było dobre ani dla niego, ani też dla mnie.

– Wiem dużo – mruknął. – Bo kumpel zdołał uciec z Bezpiecznej Przystani. Udało mu się wykopać tunel pod miastem i zwał, korzystając z łodzi pewnego rybaka na wybrzeżu.

Brzmiało to dla mnie tak nieprawdopodobnie, że uniosłem brwi



i omal nie parsknąłem śmiechem.

– Przecież Bezpieczną Przystań otacza drut kolczasty – zauważyłem. – Mury i strażniczki z karabinami laserowymi. Widziałem na zdjęciach.

– To prawda. Ale on miał plan tych zabezpieczeń. Ten mój kumpel. Podobno mapę kupił od ważnego konsula w samej Radzie Nadzorującej. Poprosiłem go, żeby wykonał kopię. Ot, na wszelki wypadek...

Ku mojemu zdumieniu Killias wyjął z kieszeni pomiętą kartkę, na której widniały przecinające się linie, koła, symbole i podpisy oznaczające dzielnice Bezpiecznej Przystani. Jakby wyciągnął z plecaka granat, siedząc w kawiarni i popijając herbatkę. Szlag!

– Człowieku, schowaj to – warknąłem cicho. – Oszalałeś?

Z daleka od nas, odwrócony bokiem do Jerry'ego, stał strażnik w polimerowym skafandrze. Rozstawione szeroko nogi, ręce na kolbie zawieszono przez ramię karabinku. Nie widziałem twarzy tego człowieka – w zasadzie nie miałem pewności, że jest istotą z krwi i kości. Głowę zasłoniętą miał kaskiem. Ale byłem absolutnie pewny, że słyszał całą rozmowę. A jeśli nie, to Killiasa właśnie nagrała któraś z kamer.

Wstałem, jakby ktoś przystawił mi lufę do skroni i od mojego ruchu zależało to, czy umrę, czy dalej będę żył. Najbliższe sekundy były kluczowe. Pokręciłem głową – znacząco, aby wszystkie kamery dobrze mnie nagrały – i uniosłem dłonie w geście: „Nie wiem, co kombinujesz, ale mnie w to nie mieszaj”.

Następnie odwróciłem się na pięcie i zostawiłem Killiasa samego.

Nie zdążył niczego zaproponować. Ale nie musiał, bo sama mapa wystarczyła jako niepodważalny dowód na to, że Groźny niedługo zostanie okrzyknięty wywrotowcem. Przykro mi, kumplu, lecz zamierzałem jeszcze pożyć. Byłem doceniany i miałem przyszłość, w przeciwieństwie do Killiasa, który – gdy tylko zorientował się, co właśnie zaszło – powoli schował mapę z powrotem do kieszeni.

Ale było już za późno, pomyślałem wtedy gorzko, spoglądając w czarne lusterka kamer zamontowanych w rogu korytarza. Było już za późno.



Może robiłem się za stary? Może widziałem zbyt wiele, by dać się nabrać? Załatwili Killiasa wcale nie w koszarach. Nie przyszli po niego w mundurach po walce i nie zaciukali go elektronicznymi paralizatorami. Nie skrupowali go także tytanicznymi kajdankami i nie wyprowadzili przy wszystkich na egzekucję. Po co odstawiać szopkę? Lepiej było załatwić sprawę po cichu. Niby przez przypadek. Podczas

pojedyńku z Anrisą Żmijowym Kłem.

– Panie i panowie! – wołał spiker, stanąwszy pośrodku areny. Zdawało się, że w ten sposób przystojny, ulizany jegomość zagania ludzi przed telewizory. Nawet gesty jego dłoni były podobne. – Wracamy po przerwie! Jesteście gotowi na więcej?

Mężczyźnie z mikroportem odpowiedział entuzjastyczny ryk, który popłynął z głośników. Im więcej pojedyńków odbyłem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że dźwięk tłumu jest wygenerowany: zawsze brzmiał tak samo. Może nawet nikt nas nie ogląda? Może po drugiej stronie znajduje się tylko paru waśniaków oglądających nasze zmagania zza biurka? Właściwie nie miało to dla mnie większego znaczenia.

– Gladiatorzy! Nasi widzowie pragną widowiska! Co wy na to?

W dwóch przeciwnych narożnikach otworzyły się bramy. Wojownicy zdążyli już włączyć swoje skafandry. Z jednego przejścia wyszła Anrisa – ze swoją włócznią, w lekkim skórzanym pancerzu, w ochraniaczach na uda i łydki, w trzewikach wiązanych pod kostkami. Lecz przede wszystkim – wyszła krokiem zwyciężczyni. Krokiem niepokonanej.

Z drugiego przejścia szedł Killias Groźny. W zawieszonej u pasa pochwie miał swój miecz, z drugiej strony trzymał przytroczony rewolwer bębnekowy. Często na walkach mieliśmy mieszankę wojskowego oręża z różnych epok – w zależności od tego, jaki moduł udało nam się wcześniej wygrać. Nie uszło mojej uwadze, że Killias kroczył niezdecydowany, jakby zaraz zamierzał zawrócić i schować się wewnątrz koszar. Byle tylko nie stanął naprzeciw Anrisy.

– Zanim rzucą się sobie do gardeł, podsumujmy pojedyńki dzisiejszego wieczoru! – zawołał spiker.

Na monitorach eksplodowała feeria migawek. Wśród obrazów byłem ja, a właściwie mój miecz. Pojawił się tam także mój przeciwnik, na ziemi i pokonany. Potem mignął Sambos Twardokopytny i jego przeciwnik z grymasem na twarzy, krew, później jeszcze jeden pojedynek, który stoczyła dwójka cherlawych mężczyzn. Na tablicy zaświeciły się wyniki i drabinka turniejowa. Moja następna walka miała odbyć się ze zwycięzcą pojedyńku Anrisy z Killiasem. Niedobrze, pomyślałem. Nie chciałem walczyć ani z jednym, ani z drugim.

Poszedłem po herbatę. Gdy wróciłem przed wielki ekran, wokół którego skupili się gladiatorzy, trwała już walka. Anrisa okrążała Killiasa z wycelowaną weń włócznią. Groźny wyciągał przed siebie miecz. Włączył moduł, który roztaczał wokół skafandra dziwne pole siłowe. Ledwo je dostrzegalem, ale nie mogłem się mylić. Cienka, drżąca powłoka potrafiła powstrzymać szybujący prosto w twarz grot, zatrzymać strzałę w locie i odepchnąć szarżującego przeciwnika. Ciekawe, co na to Anrisa...

Żmijowy Kieł zaatakowała. Szybko, gwałtownie! Uderzyła włócznią o niewidzialną tarczę i zaraz odbiła się od niej. Wykonała zwrot, bo już gonilo ją ostrze Killiasa. Zmarszczyłem brwi. Jak dla mnie oboje nie pokazali jeszcze stu procent. Nie pokazali nawet osiemdziesięciu. Groźny wciąż miał w zanadru rewolwer, którego na razie postanowił nie wyjmować, a Anrisa, cóż... Tę dziewczynę stać było na wiele więcej.

Tyle że Killias musiał się mierzyć nie tylko z nią.

Ta chwila nadeszła gdzieś w środku walki – gdy ani mężczyzna, ani kobieta nie mogli uzyskać nad sobą przewagi. Kiedy zniecierpliwiony tłum oczekiwał szybkiego rozwiązania, a Triadzie przegrzewały się zwoje od liczenia punktów za blokady, cięcia, zwody i sztuczki, jakie szermierze serwowali publice, arena uległa nagłej zmianie. Projektant graficzny po prostu nacisnął odpowiedni klawisz i od razu zmieniło się tło. Generowany obraz dostawił drzewa. Z ziemi wyrosły pnąca, korzenie, skały. Niebo spochmurniało. Płaski plac zmienił się w dżunglę.

Miejsce, gdzie pistolet staje się niewiele warty. Włócznia wprawdzie też, za to śmiało można użyć zatrutego sztyletu – drugiej ulubionej broni Anrisy.

– Mała zmiana klimatu! – zawołał uradowany spiker.

Czasem miałem ochotę wrzucić narratora prosto w sam środek areny, najlepiej między walczących. Przygryzłem wargi. Niedobrze to wyglądało.

Anrisa zmieniła taktykę. Faktycznie porzuciła włócznię, zamiast tego w jej ręku pojawił się sztylet. Nie miałem złudzeń, że dziewczynie wystarczy wykonać tylko jedno draśnięcie. Killias tymczasem musiał wyłączyć swój moduł z tarczą energetyczną, która spowalniała go wśród gałęzi i pnączy. Wtedy Żmijowy Kieł przystąpiła do natarcia.

Nóż przeciął pnącze dosłownie przed twarzą Groźnego, a tłum zawył w ekscytacji!

– Czarno to widzę – mruknął Sambos, który siedział tuż obok, oparty wygodnie na krześle.

Zerknąłem na przyjaciela. Wcale nie wyglądał, jakby kilka godzin temu stoczył morderczą walkę na śmierć i życie. Ponadto zauważyłem, że wziął prysznic. Pielęgniarze opatrzyli mu drobne draśnięcia oraz tę większą ranę po pchnięciu mieczem.

Pokiwałem głową, zgadzając się z tym, że jeden z walczących ma przechłapanie.

– Biedny Killias – skomentowałem.

Dosłownie wróciłem spojrzeniem na monitor i już było po pojedynku.

Groźny potknął się o wystający korzeń i runął na ziemię. Anrisa nie mogła zmarnować takiej okazji. Dopadła do przeciwnika i zaraz błysnęło ostrze. Adoracja nie będzie zadowolona, pomyślałem, widząc, jak wojowniczką atakuje leżącego. W pierś Killiasa weszła już jednak

stal i Żmijowy Kiel zatriumfowała.

– Ależ to była walka!!! – wrzasnął rozdzierająco spiker. – Zobaczmy oceny od poszczególnych sędziów!

Od Reputacji:

– Sześć przecinek dwa. – Tak jak się spodziewałem.

Od Adoracji:

– Dziewięć przecinek jeden.

Oraz od Koordynacji:

– Osiem przecinek dwa.

Ponad dwadzieścia trzy punkty, czyli podobnie jak Sambos. Mniej od Reputacji, lecz znacznie więcej od Koordynacji, za szybkość, precyzję ciosów i ogólną finezję Anrisy Żmijowego Kła. Turowaty wojownik chyba w mig pojął, co to oznacza, bo mlasnął ustami z niezadowolenia. Wolał, by Anrisa zdobyła gorszy wynik.

– No i po Killiasie.

Pokiwałem głową. Patrzyłem, jak robią zbliżenie na umęczoną twarz nieruchomego mężczyzny – na szczęście nie dostał w samo serce. Gdyby tak było, na telebimach eksplodowałby napis: BRUTAL!!!, oznajmiający śmierć gladiatora w trakcie pojedynku. Nie pojawił się też rozkaz dobicia przeciwnika, a to oznaczało, że obsługa turnieju zamierza przenieść Killiasa do szpitala.

Walka się skończyła. Ludzie wychodzili na drinka, więc czemu ja miałbym tu zostać? Skierowałem się do wyjścia, gdy Sambos pociągnął mnie za ramię.

– Ej. Coś ci wypadło.

I podał znajomą kartkę...

Kartkę z mapą Bezpiecznej Przystani od Killiasa. Kawalek papieru, na którym zostały rozrysowane wszystkie podziemne przejścia od Akademii aż po wybrzeże. Spojrzałem na koniec korytarza, gdzie znajdowała się kamera monitoringu. Odruchowo zasłoniłem się ramieniem. Szlag!

To jednak wziąłem mapę ze sobą? Myślałem, że oddałem kartkę Groźnemu. A może niepostrzeżenie włożył ją do mojej kieszeni?

Twardokopytny popatrzył na mnie jakoś tak dziwnie. Nie z wyrzutem, lecz z nowym błyskiem w oku.

– Dzięki – odparłem z kamienną miną.

Ale miałem wrażenie, że Sambos coś kombinował. Że zerknął przypadkowo na rysunek i w mig pojął, co schowałem właśnie do kieszeni.

Pytanie tylko, co z tym teraz zrobi.



Czułem na sobie spojrzenia kamer: jednej nad salą odnowy, drugiej przy rozwidleniu i kolejnych wzdłuż korytarza. Strażnicy w czarnych skafandrach nie stawali mi na drodze. W zachowaniu funkcjonariuszy widziałem zasługę doktora Conleya, który poinformował ich, że faworyt turnieju może liczyć na specjalne względy.

Żołnierze swoją uwagę poświęcali hologramowi na ścianie. Migawki przedstawiały różne obrazy – tętniącą życiem stolicę, hipersoniczne metro, ubranych w ozdobne stroje delegatów, rozmawiających o Nowym Pokoju i Bezkresnej Przyjaźni. Wiedziałem, co właśnie oglądam, chociaż moje oczy piekły od fali jaskrawych kolorów. Obywatele Bezpiecznej Przystani co sto dwadzieścia minut musieli obejrzeć porcję specjalnie dobranych wiadomości. To z tych projekcji można się było dowiedzieć, że Bezpieczna Przystań przekroczyła liczbę siedemdziesięciu milionów mieszkańców albo że w Dzielnicy Wodnej ruszyła nowa elektrownia jonowa. Te rewelacje wydawały się bardzo odległe. Szczególnie dla mnie: gladiatora, który za chwilę wyjdzie na arenę.

Staralem się jednak nie zatrzymywać. Mogłem mieć względy u doktora Conleya, ale nie wszyscy pracownicy Akademii byli mi przychylni. Odwróciłem wzrok od hologramu i wlepiając spojrzenie w podłogę, wszedłem w labirynt komorowy na końcu korytarza. Komory techniczne stanowiły podłużne szklane tuby, połączone siecią kabli z komputerem pokładowym na środku pomieszczenia. Użytkownik wchodził do takiej tuby i uruchamiał specjalny program wirtualnej rzeczywistości: wczytywał swój aktualny sprzęt, parametry manekinów – szybkość, siła, ogólna postura, a nawet wygląd – i mógł z nimi ćwiczyć, dokładnie tak, jakby stanęli ze sobą na arenie. Dwaj gladiatorzy również mogli się połączyć w trybie online.

W trakcie turnieju mało kto tutaj zaglądał. Większość wojowników robiła sobie taką rozgrzewkę rano przed serią zmagañ, lecz teraz, bezpośrednio przed pojedynkami, wszyscy woleli obserwować przebieg turnieju z przeszklonej sali odnowy. Ja jednak wybierałem właśnie to miejsce, żeby nacieszyć się spokojem.

Dotknąłem panelu i najbliższa komora rozjaśniła się zielenią – to był znak, że wewnątrz jest przygotowane i gladiator może zająć miejsce na wyścielonym podłożu. Położyłem się. Przezroczyste przewody wysunęły się z ukrytych zapadek po bokach i delikatnie oplotły moje nadgarstki. Rurka o największej średnicy wysunęła się ku mojej szyi. Szklana kopuła zamknęła się, a ja westchnąłem, wpatrując się w światła lamp pod sufitem.

Przeniosłem się do mojej ulubionej utopii. Znajoma arena była pusta, spiker nie wrzeszczał do mikrofonu, w powietrzu nie latały filmujące drony. Znów miałem płytowy pancerz, a w ręku trzymałem gladius.

Ruszyłem przed siebie. Lubilem tak po prostu przejść się po arenie. Okrążyć pole bitwy, na którym za chwilę będę musiał walczyć o życie. Szedłem po piasku, próbując poczuć każde ziarenko pod stopami, i zastanawiałem się, jak będą wyglądały następne pojedynki.

Ku mojemu zdziwieniu w oddali zamajaczyła znajoma sylwetka.

Sambos Twardokopytny szedł szybkim krokiem. Bez swojej wielkiej tarczy, ubrany po cywilnemu. Widać, że nie zdążył wygenerować sobie stroju.

– Sambos? Co ty tu robisz?

– Doktor Conley cię szuka.

Uniosłem brwi.

– Przyjacielu... naprawdę nie musiałeś podłączać się do komory, żeby mi o tym powiedzieć. Zaraz do niego pójde.

Chyba nie tego spodziewał się Sambos. Poruszył swoimi ogromnymi ramionami, przestąpił z nogi na nogę i wydawało się, że od tego gestu arena zadygotała.

– To jednak będziesz walczył z Anrisą? – spytał.

Anrisa, przypomniałem sobie. No tak. Zbliżała się godzina mojego pojedynku. Strażnicy pozwalali nam jednak na treningi w komorach nawet w takich momentach, wiedzieli bowiem, że od tych krótkich seansów w wirtualnej rzeczywistości może zależeć wynik całego turnieju.

– A mam wybór?

Zauważyłem, że Sambos stoi nade mną, chcąc chyba jeszcze coś powiedzieć.

– No? – ponagliłem go. – O co ci chodzi?

– Ta kartka z mapą...

– Na nieomylną Triadę, Sambos – warknąłem. – Nawet nie zaczynaj tego tematu. Nawet, kurwa, nie zaczynaj!

Zrozumiałem, że to był prawdziwy powód, dla którego Twardokopytny podłączył się do komory: tutaj nie mogli nas podsłuchać! Program nie zapisywał spotkań gladiatorów online, monitorowano jedynie nasze funkcje życiowe i samą obecność wojownika na treningu. Mogliśmy więc spiskować do woli, fizycznie znajdując się tuż obok kamer i pilnujących nas strażników.

– To jest jakaś mapa, prawda?

Schowałem twarz w dłoniach. Sambos wyczytał z kartki Killiasa coś, czego za cholerę nie powinienem wyczytać. Jak mu teraz grzecznie powiedzieć, że nic się nie dzieje? Że wcale nie planuję ucieczki z Bezpiecznej Przystani? Że jestem tylko gladiatorem i zamierzam wygrać pieprzony turniej O Lancę Andromedy?

Wyjaśniłem Sambosowi, do czego Killias próbował mnie przekonać. Nie chciało mi się opowiadać szczegółów, ale Twardokopytny nie był

kretyńcem – reszty sam się domyśli. Usłyszał o mapie i o przyjacielu Killiasa, który kiedyś... gdzieś... uciekł z Bezpiecznej Przystani, poza mury i drut kolczasty.

– Interesujące – podsumował Sambos. – Musimy się z nim natychmiast zobaczyć.

– Niby z kim?

– Z Killiasem, oczywiście. Leży w drugim skrzydle szpitalnym na obserwacji. Posiedzi tam jeszcze dzień, może dwa, zanim trucizna rozejdzie się po organizmie. Pierwszy paraliż powinien już puszczać.

Przełknąłem ślinę. Znaliliśmy działanie jadu, którego używała Anrisa, bo sama często się nim chwaliła – mieszanina białek w kilka sekund zwiotczała mięśnie i odbierała mowę. Trucizna nie była bardzo ciężka i nie zostawiała trwałych śladów w organizmie, jednak bardzo szybko docierała do serca i roznosiła się po całym ciele.

Od walki minęło trochę czasu. Poturbowany i pozszywany Killias powinien być zdolny przynajmniej do rozmowy.

– Chcesz z nim gadać o ucieczce? – spytałem. – Pojechało cię? Bazujemy na plotkach. Wymyślach starego, przepitego łba. Nie wiesz nawet, czy historia z kolegą uciekinierem to prawda. Taką mapkę mogę sam narysować, proszę bardzo, nawet na kolanie.

Mężczyzna pokręcił głową. Omiótł wzrokiem arenę i poczułem, że ta dojmująca pustka go przytłacza.

– Co ci szkodzi? Cholera, Estvan. Nie interesuje cię, co Killias ma do powiedzenia? Przyglądałeś się w ogóle tej mapie? Pełno w niej skrótów, których nie potrafię rozwinąć! A Killias... on doskonale będzie wiedział, jak stąd uciec!

– Nie mam ochoty w tym uczestniczyć.

Lecz Sambos nie ustępował.

– Widzę, że potrzebujesz się stąd wyrwać. Często zaglądasz do kratki wentylacyjnej. Chciałbyś wiedzieć, co jest na górze...

Nie lubiłem, gdy ktokolwiek wspominał o kratce wentylacyjnej. Było takie miejsce w segmencie B, miejsce niechronione przez kamery. Dla funkcjonariuszy Akademii to miejsce nie stanowiło żadnego strategicznego punktu. Po prostu w suficie była mała kratka. Nie dało się przez nią przejść, nie dało się przez nią czegoś podejrzeć. Ale dobywał się z niej zapach: zapach niezwykłych potraw.

Przez wiele lat wracałem w tamto miejsce i od czasu do czasu przekomarzałem się sam ze sobą, co takiego jedzą ludzie na górze. Nauczyłem się zapachu cebuli i papryki, dowiedziałem się, czym jest kurkuma, czasem opisywałem te zapachy Conleyowi i on dostarczał mi wtedy czegoś, co pachniało bardzo podobnie. Przełknąłem ślinę.

– Nie powinieneś o tym wspominać – zachnąłem się.

– Bez ciebie trudno będzie przejść przez ochronę. Mogą mnie nie

wpuścić do skrzydła szpitalnego, ale ciebie? Faworyta? Atomowe Uderzenie? No, nie zastanawiaj się dłużej!

Nie podobało mi się to wszystko i trochę żałowałem, że schowałem się tutaj, w mojej samotni, gdzie nikt nie zaglądał – jak widać, nikt oprócz mojego przyjaciela – zamiast po prostu pójść do sali odnowy, żeby odnalazł mnie doktor Conley. Wtedy wszystko działałoby się swoim ustalonym rytmem. Walka z Anrisą. Zwycięstwo. Walka z Drapisem. Zwycięstwo. Nagroda. Zostały mi przecież tylko dwie walki, a później mogłem wrócić do swoich ćwiczeń. A było pewne, że wygram, bo dostałem od Conleya Kość Maurycego. Spokojnie. Bez problemów. A teraz?

Ryzykować dla jakiegoś głupiego pomysłu, że niby można stąd uciec? I co ja będę robił na zewnątrz? Urodziłem się, by walczyć. Byłem przecież najlepszy. Mogłem spokojnie siedzieć na dupie i czekać na kolejne propozycje walk.

– Mogę z tobą pójść, żeby zobaczyć się z Killiasem – mruknąłem w końcu niechętnie. – Sprawdzimy, czy wszystko z nim w porządku. Ale potem maszeruję prosto na arenę. Jak będziesz chciał, to porozmawiacie sobie i pospiskujecie, ale mnie w to nie mieszajcie. Mam w kalendarzu potyczkę z Anrisą.

Mięśnie twarzy Sambosa zadrgały w podnieceniu.

– Świetnie. W takim razie nie traćmy czasu!

Zakończyłem program i otworzyłem oczy. Na powrót znajdowałem się w komorze, a przez przeszklenie widziałem jaskrawe światła lamp nad głową. Odlączyłem od siebie przewody i rozejrzałem się po pomieszczeniu. Sambos znajdował się w komorze kilka metrów dalej. Właśnie stawał na równe nogi.

Za chwilę ruszyliśmy korytarzem. Nie mogłem uwierzyć, że idę za wielkoludem w kierunku skrzydła szpitalnego. W każdej chwili mogliśmy trafić na doktora Conleya, który jak nauczyciel szukający niesfornego ucznia wziąłby mnie za kark i sprowadził na arenę.

Spokojnym krokiem, chcąc wyglądać zupełnie normalnie i nie ściągać podejrzeń, minęliśmy dwóch strażników. Na nasz widok przestali rozmawiać i utkwili we mnie podejrzliwe spojrzenie. Wiedziałem, że się wahają: zatrzymać nas czy nie. Co prawda udało się przejść, ale najgorsze było jeszcze przed nami.

Dotarliśmy do sali rehabilitacyjnej, która stanowiła podłużne pomieszczenie na końcu korytarza. Nie weszliśmy jednak do środka, ponieważ drzwi pilnował postawny strażnik z polimerowym hełmem na głowie. Na nasz widok żołnierz w ogóle się nie poruszył.

– Przychodzimy z polecenia doktora Conleya – skłamałem.

– Nie otrzymałem takiej instrukcji – usłyszeliśmy metaliczny głos z głębi skafandra bojowego.



Przełknąłem ślinę, przeczuwając, że będzie trudno. Z bijącym szybciej sercem wpadłem na pewien pomysł. Sięgnąłem do kieszeni i pokazałem żołnierzowi moduł Kości Maurycego.

– Czy doktor Johnson jest w środku? Doktor Conley kazał mu dostarczyć ten moduł w trybie pilnym. Podobno chodzi o przebywającego na sali pacjenta.

Strażnik milczał. Nie widziałem jego oczu, ponieważ całą twarz zasłaniał przeszklony hełm. Mogłem się założyć, że wpatruje się w moduł ze zdziwieniem. Kimkolwiek był ten funkcjonariusz, musiał mnie znać. Musiał mnie oglądać na arenie. Wiedział, że jestem ulubieńcem doktora Conleya i że naukowiec lubi się mną wysługiwać. Nazwisko drugiego lekarza Akademii było mi znane, chociaż osobiście nigdy z nim nie rozmawiałem.

– Ty wchodzisz – żołnierz westchnął po chwili – a ty zostajesz.

Sambos przygryzł wargi. Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale go ubiegłem:

– Doktor Conley wysłał nas obu. Sambos jest ranny i potrzebuje pomocy medycznej.

Gładiator w mig pojął, że powinien się przygarbić. Spuścił wzrok i jakby mimochodem chwycił się za bandaż po poprzedniej walce. Gdyby się uważnie przyjrzeć, siniaki i zadrapania były stare i zupełnie niegroźne. Na pewno nie wymagały pomocy medycznej. Ale żeby to stwierdzić, należało się dokładnie przyjrzeć. Strażnik albo więc miał dobry dzień, albo nie zależało mu na konflikcie z Conleyem, bo tylko wzruszył ramionami.

– Niech wam będzie.

Nogi miałem jak z waty. Przekroczyliśmy próg do czystego pokoju i zostawiliśmy strażnika w tyle. Idąc wzdłuż pustych łóżek, wzrokiem szukałem doktora Johnsona: on doskonale wiedział, że żadnego modułu od Conleya nie potrzebuje. Ten numer absolutnie nie przejdzie. Będzie go trudniej przekonać, dlatego kręciliśmy się po skrzydle medycznym. W myślach gorączkowo kombinowałem wiarygodne wytłumaczenie, ale nie mogłem żadnego znaleźć.

– Tu go nie trzymają – mruknął Sambos.

– Tam jest jeszcze jeden pokój.

Ostrożnie przeszliśmy do mniejszego pomieszczenia, gdzie znajdowały się chyba cięższe przypadki. Z daleka dochodził dźwięk pykającej aparatury. Gdy podeszliśmy bliżej, w napięciu wstrzymaliśmy oddechy – tu leżał Groźny. Podłączono go do przedziwnego urządzenia. Od razu pomyślałem, że z całą pewnością nie był to sprzęt mający poprawić stan zdrowia gladiatora. Przeciwnie. Wzdłuż jego ciała niby ohydny wąż wiła się rurka z płynem, znikająca pod powierzchnią skóry biednego Killiasa. Mężczyzna miał twarz umęczoną, bladą i umierającą.

Na nasz widok wyjęczał coś niezrozumiałego. Wkoło nie było personelu, a mnie ogarnęło paskudne przeczucie nadchodzącej katastrofy. Ale nie mogliśmy się już wycofać.

– Hej, brachu – zaczął Sambos, na którym widok gladiatora zrobił piorunujące wrażenie. – Oj, słabo wyglądasz...

– Co oni ci podają? – zdziwiłem się, oglądając podpiętą pod Killiasa kropłówkę.

To zdecydowanie nie była odtrutka na jad z włóczni Anrisy, bo do tej pory Killias powinien być jak nowo narodzony. A wyglądał źle. Bardzo źle. Wydałem w zamyśleniu wargi. Nie chciało mi się wierzyć, że tak go urządzili jedynie za POMYSŁ, jakoby z Bezpiecznej Przystani można było uciec. Źle to wyglądało. Dawałem Killiasowi dzień, może dwa dni życia.

Wziąłem głęboki oddech, widząc, że Killias wykonuje niemrawy gest dłonią.

– O co chodzi?

– Zobacz, kreśli prostokąt. Chodzi o mapę? Tak? Chcesz nam coś pokazać? – Niepewnie wyjąłem z kieszeni pogięty świstek papieru.

Pacjent pokiwał głową. Widziałem, że każdy ruch sprawia mu nieopisany ból, jednak wykonał gest „bliżej”. Druga dłoń Killiasa, ta, której ramię było podpięte do kropłówki, w ogóle zdawała się niesprawna. Zerknąłem porozumiewawczo na Twardokopytnego. Wielki mężczyzna ponaglił mnie ruchem podbródka. No, dawaj, Estvan, miejmy to już za sobą.

Podstawiłem mężczyźnie mapę pod nos. Ten zacharkał, z trudem podnosząc się do pozycji półleżącej. Postukał w mapę. Nie, nie w mapę. W jeden narysowany korytarz. Obaj z Sambosem nachyliliśmy się nad skrawkiem papieru. O co mu chodziło? Killias uparcie stukał w tę samą pogrubioną nitkę. Potem zrobił gest palcem, jakby przechodził przez ścianę korytarza prosto ku tunelowi technicznemu. Znałem ten korytarz. Używany był tylko w sytuacjach awaryjnych, ostatni raz kilka lat temu, gdy poziom wody na morzu otaczającym wyspę znacznie się podniósł. Potem Killias palcem nakreślił koło.

– Nie możesz po prostu tego wyjaśnić? Jad Anrisy przestał działać. Chyba że głos ci odebrali?

– Może odebrali. Nie wiadomo, co za syf wpuszczają mu do żyły.

Odwróciłem wzrok.

– Jemu chodzi o to, że trzeba wywiercić dziurę w ścianie na korytarzu obok sali odnowy. Dobrze mówię?

Groźny powoli kiwnął głową. Zamrugał. Jeszcze raz. Postukał w mapę. Potem pomachał palcem w stylu „nie, nie, nie”, jakby rugał dziecko, a następnie zacisnął pięść i gwałtownie ją rozluźnił.

– Nie wywiercić, tylko wysadzić – zrozumiał nagle Sambos.

Znowu potwierdzenie, tym razem energiczne.

– I jak chcesz to zrobić? – spytałem ostro.

Groźny znowu coś wskazywał. Coś, co miałem wewnątrz kieszeni, a o czym nie mógł wiedzieć. Po prostu nie mógł! Z zawahaniem sięgnąłem do kombinezonu i położyłem na tym rękę. Przełknąłem ślinę. Czy ten dupek obserwował moją rozmowę z doktorem Conleyem? Podglądał, jak przyjmuję łapówkę, która miała poprowadzić mnie prosto do wygranej z Drapisem? Moduł był tylko niewielką płytką z zapisanym programem, ale jeśli wierzyć, co to robiło... Wziąłem głęboki oddech i wyszeptałem:

– Mam użyć Kości Maurycego?

Potwierdzenie. Cisza. Wpatrywałem się w chorego Killiasa i zastanawiałem się, czy to trucizna opanowała już całkiem jego mózg, czy może gladiator naprawdę rozważał tak bezdennie głupie rozwiązanie. Jak niby mam użyć modułu rozszerzającego skafander poza arenę? Na polu walki były specjalne skanery, które odczytywały wszystkie rozszerzenia. Które emitowały miecze, łuki, tarcze, broń palną, wszystko, czym dysponowaliśmy. Poza areną byliśmy nikim. Ćwiczyliśmy poruszanie się w skafandrze, trenowaliśmy umysł, by móc zapanować nad wszystkimi rozszerzeniami, ale nie byliśmy władni uruchomić ich poza arenę! Co Killias chciał osiągnąć? Co proponował? Że rzucę tą płytką w ścianę i ta wybuchnie?

– Czyś ty całkiem ochujał... – syknąłem, ale zaraz musiałem zamilknąć.

Ktoś szedł w naszą stronę.

– Estvan – wydyszał nagle Sambos – ja znam sposób. Jest emulator. Zdobędę go dla ciebie.

– Co tu się dzieje? – zagrzemiał głos doktora Conleya, który wkroczył do sali wraz z niewysokim doktorem Johnsonem.

Lekarze szli w obstawie dwóch strażników. Ciemne polimerowe skafandry zakrywające każdy centymetr ciała, hełmy z zaciemnioną szybą, w rękę przygotowane karabinki z amunicją paraliżującą. Mogli odstrzelić nas w każdej chwili.

Uśmiechnąłem się sztucznie do Conleya, wiedząc, że nakrył nas na złamaniu regulaminu. Do sali nie można było nawet wchodzić, a co dopiero rozmawiać z pacjentami. Przełknąłem ślinę. Wiedziałem, że muszę przejąć inicjatywę, coś powiedzieć, rozładować atmosferę.

– Chcieliśmy zobaczyć, jak się czuje nasz przyjaciel – mruknąłem.

Nie była to może najlepsza opcja dialogowa, jaką mogłem wybrać, ale doktor Conley uśmiechnął się lekko w odpowiedzi. Nachylił się do kolegi lekarza i powiedział, tylko nieznacznie przyciszając głos:

– Przyjacielu, naprawdę zostawiłeś obiekt bez nadzoru?

– Panie doktorze, strażnicy...

– Sugeruję – przerwał mu Conley – zastanowienie się nad lepszym

doborem personelu pilnującego placówki.

A potem władczym gestem machnął ręką w kierunku wyjścia.

– Wy, na zewnątrz. Natychmiast.

Opuściliśmy salę i w asyście strażników znaleźliśmy się na korytarzu.

Miałem wrażenie, że będąc przy drzwiach, usłyszałem słowa chorego. Wypowiedziane cicho, słabo i ledwo słyszalnie:

– Nie nazywam się Killias... Tak naprawdę... jestem... Marcin. Marcin... Kuczeba.

Mogło mi się tylko wydawać, dlatego milczałem. Nie zaszczylił mi Groźnego już choćby spojrzeniem. Na korytarzu Conley stanął przed nami ze skrzyżowanymi ramionami. Gdyby Sambos był sam, zakuliby go w kajdany. Ale że przyszedł tu ze mną, doktorek zmarszczył nos i warknął jak rozeźlony pies:

– W podskokach wracaj do dormitoriów. Zanim zmienię zdanie.

Słowa skierował do ogromnego, turowatego Twardokopytnego, który przewyższał doktora co najmniej o dwie głowy. Wojownik nie ośmielił się zaprotestować. Wiedział, że od bolesnej pacyfikacji dzieli go ledwo skinienie wypielegnowanych palców Conleya. Kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i odszedł. Obserwowałem, jak znika za zakrętem korytarza, i zostałem sam ze strażnikami i Conleyem.

– To nieporozumienie – powiedziałem od razu.

Doktor nie pozwolił mi jednak dokończyć.

– Nie dbam o to, co tam robiliście – mruknął. – Bardziej mnie zastanawia, dlaczego nie przystąpiłeś do pojedynku z Anrisą.

Wydałem wargi. Co miałem odpowiedzieć? Myślałem przez chwilę, jak się wytłumaczyć. Przecież laziłem po niedozwolonym skrzydle szpitalnym, rozmawiając z gladiatorem podejrzanym o planowanie rebelii! Paciorkowate, dociekliwe oczka doktora wiedziały, że dzieje się coś dziwnego, ale z jakiegoś powodu Conley postanowił nie reagować.

– No nic – powiedział nagle. – Masz ogromne szczęście, że delegaci Bezpiecznej Przystani postanowili przesunąć twoją walkę wyżej w drabince. Ludziom wyjaśnimy, że otrzymałeś dodatkowe punkty za styl. Spodoba im się. Jesteś uwielbiany, więc wystartujesz od razu w potyczce finałowej. Jeśli wygrasz, to zapomnimy o tym niemądrym incydencie i nie będziemy wyciągać konsekwencji.

– O kurwa – wysnęło mi się. – Więc kto będzie teraz walczył?

– Jak to kto? Anrisa z Drapisem Anielskogłosym.

Zakląłem w myślach. Włóczniczka miała stoczyć pojedynek ze mną. Wtedy mogłem darować jej życie. Mogłem markować ciosy, tak abyśmy nie odnieśli poważnych obrażeń. Dogadalibyśmy się. Tymczasem z Drapisem nie szło się na żadne układy. Młodzieniec znany był z ogromnej brutalności i niepotrzebnej siły, którą wkładał w każde uderzenie, byle zmiażdżyć oponenta i zdobyć dodatkowe punkty od

bezdusznej blaszanej SI.

Pokręciłem głową, chociaż wiedziałem, że pod względem oglądalności to było najlepsze rozwiązanie.

– Kiedy walczą?

– Cóż... – Conley zerknął na elektroniczny zegarek wyświetlający się na przegubie jego dłoni. – Planowo to właśnie powinni kończyć.



Dobiegłem do sali odnowy, aby obejrzeć chociaż końcówkę pojedynku. Z daleka słyszało się jazgot widowni pomieszany z okrzykami oburzenia pozostałych gladiatorów. Wpadłem do pokoju. Stałem w przejściu. Przed wielkim ekranem kłębili się chyba wszyscy adepci Akademii. Stłoczeni w niewielkim pomieszczeniu, wpadali na siebie, niektórzy włązili na plastikowe krzesła, inni rozpychali się łokciami, byle obejrzeć wypięty tors Drapisa.

Nienawidziłem gościa – być może dlatego, że był wszystkim tym, czym i ja byłem ponad dziesięć lat temu. Na mój widok kilkoro gladiatorów rozstąpiło się. Dotarłem do monitora i gapiałem się na Drapisa Anielskogłosego z mieczem uniesionym triumfalnie ku górze. Patrzyłem na migdałową, barwnie pomalowaną tarczę rzuconą na ziemię i najwyraźniej przebitą włócznią Anrisy. Na mężczyznę o złocistych włosach, na szerokie, odsłonięte ramiona, na zapięty u bioder potężny pas, niby zerwany z kultowego Conana Barbarzyńcy. Drapis po prostu wyglądał bajecznie. Jednym gestem doprowadzał widownię do zbiorowego orgazmu.

Uniósł miecz raz jeszcze, a wtedy głośniki zatrzeszczały, nie wytrzymując napierających na mikrofony decybeli. Komentator coś mówił. Lecz kto by go słuchał? Walka była zakończona. Zwycięzca czekał na ocenę sędziów.

– Szkoda, że się spóźniłeś – odezwał się na mój widok nadzorca Chalka. Miałem wrażenie, że wiecznie przeliczał punktację na swoim tablecie, który przyrósł mężczyźnie do ręki. W tej chwili kątem oka patrzył to na mnie, to na monitor, gdzie wprowadzał aktualizacje do tabeli turniejowej. – Pojedynek trwał równo osiemdziesiąt cztery i trzy setne sekundy.

Zdębiałem. Osiemdziesiąt cztery sekundy na pokonanie Anrisy. Co on jej zrobił? Wytężyłem wzrok w poszukiwaniu kobiety, lecz na monitorze był tylko Drapis, Drapis i Drapis. Łokieć Drapisa, mięsień trójgłowy Drapisa, jego miecz, jego piękny podbródek i jego cholerne złociste włosy! A gdzie pokonana?

Na okazję tego pojedynku zmieniono scenerię areny. Z ziemi nie wyrastała dżungla jak w przypadku poprzedniej walki, nie było też piaszczystego podłoża. Graficy przygotowali coś specjalnego. Kamery krążące nad areną obserwowały małe starożytne miasto. Żółte piaskowe ściany, gliniane wazy, wąskie alejki. Teren trudny i ewidentnie skrojony pod Drapisa, który lubił starcia na krótki dystans.

Usłyszałem werdykt Triady. Od Reputacji:

– Dziewięć przecinek dziewięć.

Od Adoracji:

– Dziewięć przecinek osiem.

Oraz od Koordynacji:

– Dziewięć przecinek dziewięć.

Łącznie dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych punktu. Nie mogłem w to uwierzyć. Gladiatorzy wokół mnie chyba również – bo rozmowy przerwano jak cięciem miecza. Było nam głupio. Zwyczajnie głupio. Miałem wrażenie, że spojrzenia stłoczonych w małej salce wojowników padają na mnie jedno po drugim. Coraz więcej i więcej spojrzeń, aż zrobiło mi się od nich ciężko, jakbym dźwigał ogromny blok kamienia.

– Nie będziesz miał łatwej przeprawy – skomentował podekscytowany Chalka.

Pokiwałem zgodnie głową. Byłem cholernie daleko od „łatwej przeprawy”, jeśli miałem mierzyć się z tą maszynką do mielenia mięsa. Wszyscy wiedzieli, że turniej został ustawiony i że miałem wystąpić w bitwie finałowej. Ciekawe, czy wiedzieli także o mojej ukrytej broni? O karcie przetargowej „Wygrywasz turniej”, schowanej w prawej kieszeni kombinezonu? Moduł zamontowany w skafandrze miał spowodować, że po wyjściu na arenę będę napieprzał bombami. No, Drapis? Czy ty też potrafisz robić fajerwerki?

Dwójka gladiatorów – początkująca dziewczyna o chudych dłoniach i koślawych nogach, a także młodzieniec uczący się dopiero fechtunku – wyszła z ciasnego półokręgu i odsłoniła resztę ekranu. Zobaczyłem Anrisę. Leżała przy roztrzaskanej glinianej wazie jak szmaciana lalka. Miała głęboką ranę pośrodku piersi. Skurwiel grał na ostro. Nie bawił się w bloki i cięcia, nie przedłużał pojedynku, lecz tańczył z ostrzem zupełnie po swojemu. Znałem ten taniec – to ja mogłem uczyć gówniarza kroków.

Wyszedłem z sali, wiedząc, że nie powinienem oddalać się za bardzo. Nie warto nadużywać cierpliwości doktora Conleya. Dlatego wybrałem drogę ku skrzydłu technicznemu i w myślach zastanawiałem się nad Drapisem i jego słabymi stronami. Ten napchany modułami cyborg musiał mieć jakieś słabe punkty, prawda? Szybkość, kreatywność, obserwacja, to wszystko Anielskogłósy opanował do perfekcji. Do tego dochodziły te wszystkie dodatki wszczepiane do kombinezonu – stalowe

karwasze, lśniący napierśnik odbijający ciosy, u pasa dwa pistolety, u stóp dynamiczne buty... mogłem wymieniać bez końca. Modułów Drapis miał mnóstwo. Ćpał je. Brał ich coraz więcej. I właśnie w tym upatrywałem jakąkolwiek szansę, żeby go pokonać, gdyby rzeczywiście doszło do walki.

Upomniałem się w duchu. Nie „gdyby doszło do walki”, lecz „kiedy do niej dojdzie”. Powinienem zostawić za sobą wszelkie wątpliwości. Nie powinienem nawet dopuszczać myśli – choćby ulotnej! – że wezmę udział w tej cholernej farsie, którą rozpoczął Killias, a którą próbował teraz ciągnąć Sambos.

O wilku mowa. Twardokopytny odnalazł mnie w momencie, gdy przechodziłem obok robota naprawczego. W kolejce czekało trzech gladiatorów, którzy postanowili zbadać sprawność modułów rozszerzających. Ja nie czekałem w kolejce, bo wiedziałem, że mój skafander jest w porządku: w trakcie walki przed oczami wyświetlały się kontrolki odpowiadające za każde rozszerzenie. Gdyby któraś zgasła, należało zgłosić się do naprawczego. Tymczasem skrzyżowałem ramiona i obserwowałem.

Maszyna o wielkich stalowych ramionach i szklanych skanerach chwyciła skafander gladiatora w specjalnie do tego przeznaczone szczytce i przez chwilę analizowała, co należy zrobić. Następnie przed wojownikiem pojawiała się konsola z wypisanymi usterkami: tutaj naruszenie integralności kombinezonu, tutaj przetarcie, tutaj obluzowany moduł. Usterek mogło być wiele. Zadaniem wojownika było jedynie zaznaczenie, co poprawiamy, i uiszczenie odpowiedniej opłaty w punktach, które gladiatorzy trzymali na kartach elektronicznych. Proste? Proste.

– Znalazłem... emulator – powiedział konspiracyjnym tonem Sambos. Stał obok mnie z miną wielkiego opancerzonego żółwia, który właśnie wraca z maratonu. Dyszał, jego potężne ramiona unosiły się wysoko i opadały. – Na minus trzecim piętrze jest nieużywany magazyn. Tam leży sporo sprzętu.

– Ukradłeś go? – syknąłem niezadowolony.

No pięknie. Nie dość, że łamiemy regulamin, nie dość, że planujemy ucieczkę z Akademii, to jeszcze to! Dowalajmy sobie więcej do wyroku.

– Przypominam, że chcemy stąd ZWIAĆ – odwarknął Sambos, zerkając co chwila na ustawionych w kolejce gladiatorów. – Co ty sobie myślałeś? Że poprosimy, żeby nas wypuścili? „Proszę bardzo, panie Estvan, zapraszamy tędy. Akurat rozłożyliśmy czerwony dywan. A, i od teraz może pan używać swojego prawdziwego imienia i nazwiska, a nie pseudonimu”.

Prychnąłem. Nie pamiętałem już, jak ja się właściwie nazywałem. Teraz byłem znany jako Estvan i z pewnością umrę jako Estvan. Może

w metryce miałem inaczej? Czy to ważne? Każdy miał nadawany pseudonim. Tak było ciekawiej dla publiczności. Tak było po prostu lepiej. Zerknąłem na Sambosa i zmarszczyłem brwi.

– Powiedziałeś, że „my” chcemy stąd zwać?

– No a nie?

Westchnąłem ciężko. Twardokopytny najwyraźniej chciał mnie w to wszystko wciągnąć, a ja nie byłem do końca pewny, co robić. Wziąłem głęboki oddech, gdy ostrożnie odwinął z czarnej folii swoje „znalezisko”. Urządzenie przypominało niewielkiego pilota do telewizora.

– Jak działa ten emulator? – spytałem.

– Tutaj, z tyłu, jest kieszeń na moduł rozszerzający. Wkładasz i włączasz przyciskiem. Musisz mieć założony skafander, ale widzę, że z tym nie ma problemu, bo nie rozstajesz się z nim nawet na krok. – Sambos wzruszył ramionami. – Emulator roztacza wokół ciebie pole podobne do tego na arenie. Sprawia, że emitowane miecze, tarcze i inne moduły działają naprawdę!

Uniosłem brwi.

– Pierwsze słyszę.

– Nie moja wina, żeś niedouczony. – Tur uśmiechnął się brzydko. – Jest jedno ograniczenie. Pole musi nachodzić na przeszkodę, którą chcesz pokonać. Więc jeżeli mamy rozwalić ścianę korytarza technicznego...

– ...to powinienem stanąć przy samej krawędzi, żeby zadziałało – dokończyłem.

– Właśnie.

Nachmurzyłem się. Wziąłem od Sambosa emulator i ukryłem go wewnątrz skafandra – jeszcze nie podejmowałem decyzji, jeszcze nie chciałem myśleć, jakie przyniesie to konsekwencje. Nogi same wyprowadziły nas ze skrzydła technicznego.

Twardokopytny marzył, jak wspaniale byłoby stąd zwać. Jak dobrze będzie ukryć się w Bezpiecznej Przystani, zdobyć zupełnie nową tożsamość. Spytałem, co by tam właściwie robił. „Żył” – odparł wtedy. „Żył, Estvan, kumplu, pracował, gdzie się chce, rozmawiał, z kim się chce, i myślał o tym, co się chce”. Nie odpowiedziałem. Uważałem, że to utopijna wizja. Jeszcze nikomu nie udało się uciec z Akademii, a już z całą pewnością nie było możliwe ukrywanie się przed funkcjonariuszami Bezpiecznej Przystani.

– Daj mi się zastanowić – mruknąłem.

Nawet się nie zorientowałem, kiedy zrobiliśmy półokrąg po podziemiach Akademii. Sambos przystanął, rozejrzał się dookoła. Z jakiegoś powodu w tym miejscu zamiast kamery pod sufitem zionęła pustka – czy ktoś ją rozmontował? A jeśli tak, to dlaczego nikt nie wstawił nowej? Jeżeli to Killias, być może miał więcej pod paznokciami,



niż nam się wydawało, i dlatego go dorwali...

– Czemu się zatrzymaliśmy? – zapytałem.

– Bo jesteśmy na miejscu. To korytarz techniczny.

Zdziwiłem się. Jeśli dobrze pamiętałem z mapy, korytarz techniczny powinien znajdować się bliżej jadalni, tymczasem byliśmy niemal po drugiej stronie Akademii. Gładka, ubrudzona ściana z grubego betonu wydawała się nie do przejścia. Zerknąłem to w lewo, to w prawo, wokół nie było nikogo.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– No... dawaj, wysadzamy. Użyj tego swojego modułu.

Zdębiałem.

– Mam to zrobić... teraz? Mówiłem ci, że muszę, kurwa, się zastanowić... Sambos, nie użyję Kości w tym momencie!

– A kiedy? – zniecierpliwił się Twardokopytny. – Teraz to zawsze najlepszy moment! Słuchaj. Ja ci wszystko wytłumaczę. Niedawno odbyła się walka Anrisy z Drapisem, tak? No to dopiero za godzinę będzie starcie finałowe. Mam rację? A więc kiedy chcesz zwiać? Może jak już cię zaciągną na arenę? Albo gdy Drapis skopie ci dupsko?

– Wydawało mi się, że chcesz to wszystko przemyśleć. Zaplanować. Że w swoim planie nie bierzesz mnie pod uwagę. Miałem ci tylko pomóc dostać się do skrzydła szpitalnego...

– Powtarzam ci, że teraz jest najlepszy moment, kumplu! – przerwał mi Sambos. – Za dużo się nad tym zastanawiasz. Dawaj. Działamy. Odpalaj te swoje czary i zaraz będziemy po drugiej stronie. Wszyscy czekają na finałową walkę. Na zewnątrz nie ma patroli. Przecież całe miasto chce oglądać starcie Estvana z Drapisem!

Zacisnąłem dłoń na Kości Maurycego. Wystarczyło włożyć ją do emulatora i uruchomić. Rozejrzałem się raz jeszcze, coraz bardziej nerwowo. Ależ to było głupie! Co ten Sambos wyczyniał? Dlaczego chciał mnie popchnąć do ucieczki?

– Jeśli tak bardzo chcesz, to sam sobie wysadź tę cholerną ścianę – odpowiedziałem po chwili. Wyjąłem z kieszeni moduł i wcisnąłem go Sambosowi, który zrobił zdziwioną minę. – No, masz. Mnie w to nie mieszaj. Ja wypadam.

– Dobra!

Ku mojemu przerażeniu Twardokopytny wyrwał mi emulator z ręki. Miałem nadzieję, że Sambos po prostu odpuści, porzuci ten idiotyczny pomysł, lecz nie, on włożył moduł do pilota, zatrzasnął klapę i podszedł do ściany. Uruchomił urządzenie – patrzyłem, jak zamiast gumowego skafandra na klatce piersiowej Twardokopytnego pojawia się znajoma zbroja płytowa, obok tarcza, buty i stalowe rękawice. Następnie przekonałem się, jak wygląda Kość Maurycego podczas walki na arenie – w istocie była to podłużna ciężka tuba u boku, przypominająca

standardową wyrzutnię rakiet.

– Ażebyś wiedział, że sam to zrobię, ty niezdecydowana dupo! – warknął wojownik.

Rzucił tarczę na ziemię i gwałtownym ruchem wyszarpał wyrzutnię. Odsunął się o trzy spore kroki i roześmiał.

– Zabijesz nas...! – zawołałem.

Nie zdążyłem się osłonić. Twardokopytny nacisnął przycisk i Kość Maurycego rzygnęła ogniem.

Płomienie zakryły mnie, zakryły Sambosa, zakryły ścianę korytarza technicznego. Pożerający blask zapalił skórę i oślepił, objął każdy włos na mojej głowie, każdy centymetr podłogi pod moimi stopami.

Przez kilka sekund nie wiedziałem, czy umarłem, czy udało mi się przeżyć. Instynktownie rzuciłem się w przeciwną stronę, byle dalej od ognia. Nie bałem się. Byłem szczerze zaskoczony i zdeterminowany, żeby stąd zwać. Puściłem się biegiem przez korytarz płomieni, pośród swędu palonej skóry.

Biegłem tak szybko, jak tylko pozwalały mi wyćwiczone na arenie mięśnie i ścięgna. Nie oglądałem się za siebie. Byłem pewny, że Sambosa już nie ma. Że nie istnieje ani jedna komórka jego ciała, że spłonął tam, za moimi plecami. Jego nie ma, ale ja przeżyłem. Nadal oddycham, chociaż płuca wypełnił nieprzyjemny zapach, nadal żyję, chociaż eksplozja powinna mnie zabić na miejscu.

Drogę do dormitorium znałem doskonale. Pędziłem środkiem korytarza na oślep, jak ranne zwierzę. Pierwszy zobaczył mnie doktor Conley – jego paciorkowate oczy rozszerzyły się jak dwie monety. Rozdziawił usta i szepnął tylko:

– Estvan, do chuja...

A potem wezwano strażników. Bardzo, bardzo wielu strażników. Panowie w ciemnych skafandrach zabezpieczyli teren, przesłuchali mnie. Poddano mnie badaniu na wariografie. Odpowiadałem zgodnie z prawdą: nie, nie zamierzałem uciekać. Tak, Sambos był moim przyjacielem. Nie, nigdy nie wspominał o planach ucieczki. Czy utrzymywał kontakt z Killiasem? Tak. Czy rozmawiali wcześniej o ucieczce? Być może. Na koniec przesłuchania strażnicy oddali mnie w ręce medyków.

Wkłuwali mi różne rurki pod skórę. Smarowali maściami na oparzenia, pobierali krew, pompowali we mnie jakieś płyny. Wszystko po to, bym o ustalonym czasie mógł stanąć na arenie. Igrzyska musiały trwać. Widzowie dostali obietnicę i choćbym miał zdechnąć, to medycy wyciągną mnie z zaświatów i postawią przed blondwłosą maszyną do zabijania.

– Jeśli zwyciężysz – powiedział doktor Conley, spoglądając na tablicę z odczytem mojego ciśnienia krwi – wszystko ci wybaczą. Naprawdę

wszystko. Tylko daj wycisk temu blondasowi.

Westchnął i dodał:

– Po kiego wała dałeś moduł Sambosowi? To był psychopata, zupełny świr. Drugiej Kości nie mam, więc jesteś zdany wyłącznie na siebie.

Na dźwięk imienia przyjaciela podniosłem głowę.

– Właśnie, co z nim? – zapytałem. – Co z Sambosem? Przeżył? Uciekł?

Lekarz zmarszczył brwi, jakby do jego nozdrzy doleciał wyjątkowo ohydny zapach zgnilizny.

– Nie będziemy o tym rozmawiać. Za sześćdziesiąt minut wychodzisz na arenę, więc skup się na walce! Wiesz już, jaką obierzesz taktykę na piękniś? Tym się zajmuj, a nie głupotami! Pokładam w tobie nadzieję!

Przełknąłem ślinę i pokiwałem w milczeniu głową.

Czyli nie odnaleźli ciała Sambosa, pomyślałem i odwróciłem się, by doktor mógł obejrzeć moją poparzoną szyję.



Kwadrans przed walką zamknęli mnie w komorze odnowy biologicznej. Zanurzyli w zielonkawym płynie i zrobili tak, że zasnąłem. Gdy na powrót otworzyłem oczy i stamtąd wyszedłem, ubrali mnie w kombinezon i wpuścili na arenę.

– Est-van! Est-van! Est-van!

Wiwat na moją cześć przetoczył się donośnym echem. Znowu tu byłem. Stałem na sztucznym piachu w wygenerowanym pancerzu, z gladiusem w dłoni. Wypoczęty jak nigdy, bez siniaków i zadrapań. Doniosła muzyka wibrowała w powietrzu. Podniecony głos spikera anonsował moje przybycie, gdy Drapis siedział w kucki i patrzył na mnie z obojętnym spokojem.

– Osiemdziesiąt jeden pojedynków, w tym siedemdziesiąt sześć skończonych przed czasem, dwukrotny zdobywca Trofeum Bezpiecznej Przystani i licznych laurów publiczności... – Spiker wymienił jeszcze kilka tytułów, ale najważniejsze było, że w końcu mnie przedstawił: – Estvan Atomowe Uderzenie! Powitajcie go gromkimi brawami!

Arena ryknęła jeszcze mocniej. Zabrzmiała jak lew otwierający paszczę. Spojrzałem na przeciwnika – Drapis nawet się nie poruszył. Piękny chłopiec, niby Achilles, bardzo dokładnie studiował moje nogi. Obserwował, jak stawiam kroki. Wiedział, że od tego przygotowania może zależeć reszta pojedynku, wiedziałem też to ja.

– Naprzeciwko niego! Już teraz! Już za chwilę! Już za momencik... – spiker wyrzucał z siebie kolejne bezsensowne słowa, a my trwaliśmy w oczekiwaniu – stanie wojownik z bilansem sześćdziesięciu pięciu

stoczonych pojedynków, wszystkie skończone przed czasem! Dominator! Szybki jak strzała! Silny jak wół! Tytularny zdobywca Szlema o Wysoką Stawkę! Proszę państwa, oto Drapis Anielskogłosy!

Ryk tłumu był wyraźnie słabszy, ale Drapisowi to nie przeszkadzało. Podniósł się, pomachał widowni. Uniósł miecz w geście nadchodzącego zwycięstwa. Już teraz walczył o punkty od Adoracji. Pojedynek rozpoczął się, gdy obaj weszliśmy na arenę, pomyślałem przelotnie i uśmiechnąłem się ze zrozumieniem.

– Przypominamy, że sponsorem turnieju O Lancę Andromedy jest Arc-Trans, firma transportowa z tradycjami – powiedział spiker i uśmiechnął się perłście do krążącego nad nami drona z kamerą.

Jak na zawołanie w powietrzu pojawił się hologram – najpierw logo sponsora, a następnie przedmiot, o który się biliśmy. Złocisty sztylet błyszczał w świetle reflektorów. Był piękny. Obaj go pożądaliśmy, nie wiedząc tego aż do tej pory. Obejrzałem się na zacienione trybuny: wiwat publiczności był zbyt żywiołowy, zbyt radosny, by mógł być prawdziwy.

– Panie i panowie! Zaczynamy walkę wieczoru!

Rozległ się gong i spiker rozpląnął się w powietrzu.

Przez pierwsze sekundy żaden z nas się nie poruszył. Drapis obserwował mnie tym swoim zimnym spojrzeniem, aż w końcu zacząłem go okręzać. Powoli, krokiem faworyta turnieju, w uszach słysząc dudnienie zniecierpliwionego tłumu. W tym przeciągłym ryku dostrzegałem pierwsze nuty irytacji. Dlaczego Anielskogłosy mnie lekceważył? Dlaczego nie przyjmował pozycji bojowej, nie próbował mnie podejść? Czy nie bał się punktów odjętych przez Adorację za lekceważenie przeciwnika?

Zaraz jednak zrozumiałem, że to taka zagrywka, gra psychologiczna, by wytrącić mnie z równowagi. Zerknąłem w kierunku trzech sztucznych inteligencji, twardo stojących w tym samym miejscu co zawsze. Potem wróciłem spojrzeniem do Drapisa i spostrzegłem, że ten właśnie zrobił krok w moją stronę.

– Nie chcę cię zabijać – powiedziałem głośno. Potem wycelowałem w przeciwnika gladiusem. – Ale jeżeli mnie do tego zmusisz, nie zawaham się.

– Walczymy do końca – odparł spokojnie Drapis i niespodziewanie przystąpił do ataku.

Był piekielnie szybki. Przeskoczył prawie dwa metry i zatopił sztylet w miejscu, gdzie przed chwilą stałem. W porę się odsunąłem. Wyprowadziłem kontrę gladiusem. Mocno. Lecz Drapis już sięgał do mnie z boku.

Odepchnąłem go, ciąłem na wysokości piersi, ten się zastawił, wykonał fintę, ale nie dałem się zmylić. Uderzyłem ostrzem – dokładnie

tam, gdzie się zasłaniał, w najmocniej chronione miejsce płytowego pancerza, mając nadzieję, że Drapis się przesunie i popełni błąd. Ale on to przewidział. Blondwłosa śmierć przesunęła się wzdłuż mojego ramienia. Anielskogłósy zamierzał zakończyć pojedynek, nim zdąży się zmęczyć. Był blisko mnie, cholernie blisko, czułem jego oddech na własnej spoczonej skórze.

Wtedy moja pięść zapłonęła. Tłum jęknął, gdy gorąca fala rozbiła się o twarz Drapisa. Poszły iskry, jakby rozgrzany młot uderzał o kowadło. Moduł rozszerzający rzeczywistość nazywał się Rękawica Boga nie bez powodu.

Przeciwnik miał poparzoną skórę, jego usta wykrzywiły się w pogardliwy grymas. Tania zagrywka. Aż byłem zaskoczony, że się udała. Drapis otrząsnął się szybko. Rzucił sztylety na piasek, w jego dłoni zmaterializował się półtoraręczny miecz z inkrustowanym napisem wzdłuż klingi.

– Myślałem, że stać cię na więcej – powiedział spokojnie.

Szybko zrozumiałem jego spokój. Mimo tej wpadki wydawał się panować nad sytuacją. Przeprowadził kolejny atak – tym razem diabelnie skuteczny. Co prawda odbiłem uderzenie i ciąłem w tempo, lecz Anielskogłósy zanurkował pod moim ostrzem i poprowadził klingę prosto w moje żebra. Zdążyłem przeczytać napis: „Własność Boga Drapisa”. Uchyliłem się, lecz za późno i ostrze zjechało po zbroi. Zahaczyło boleśnie w złączenie płyt. Zakląłem, wiedząc, że właśnie straciłem ważne punkty u Adoracji. Odsunęliśmy się od siebie jak dwójka klóćących się kochanków.

Potem to ja zaatakowałem. Należało ukrócić gówniarza, dopóki byłem w pełni sił. Zaatakowałem wypadem, Drapis uchylił się, ani na moment nie spuszczać wzroku z mojego gladiusa. Ale ja się nie cofnąłem, zrobiłem krok naprzód. Pchnąłem raz jeszcze. Drapis ledwo zdążył się odsunąć. Widziałem, jak pierwsza kropla potu spływa po jego czole.

– Ależ są wściekli! – wołał spiker. – Podoba wam się? Chcecie więcej?!  
Entuzjastyczny ryk tłumu rozwałął bębenki.

– No to macie! Podkreścamy temperaturę!

I wtedy pole bitwy zmieniło się diametralnie. Zniknął zwirowy piasek, zniknęła szklana kopuła nad nami, zamiast tego pojawiły się lawa, obsydianowe kamienie błyszczące w świetle pochodni, czarna spalona ziemia. Zamrugąłem zaskoczony. Nie miałem wątpliwości, że ogień prawdziwie parzy. Że postawienie stopy w czerwonej magmie skończy się amputacją nogi w punkcie medycznym. Drapis też to wiedział. Zrobił kilka kroków pomiędzy pryskającymi bąblami lawy. A potem podniósł na mnie wzrok mówiący: „Już po tobie”.

Nowe pole do pojedynku okazało się pełne śliskich kamieni

i buchającego ognia. Scenariusz naszej walki wyglądał jednak podobnie: obaj nie mogliśmy znaleźć na siebie sposobu. Tłum się niecierpliwił, chciał krwi. Obaj czekaliśmy na popełnienie błędu przez przeciwnika, jednak żaden takiego nie popełnił. Do czasu.

Bo w pewnej chwili poślizgnąłem się.

Głupia wpadka. Po prostu na moment straciłem równowagę. Drapis wykorzystał cenną sekundę przewagi i od razu do mnie doskoczył. Ciął podłe w ramię, uchyliłem się, lecz zbyt wolno: poczułem, jak buchnęła krew. Rozorał mi mięsień. Zakląłem siarczyście, wyprowadziłem kontratak. Drapis uchylał się z coraz bardziej triumfalnym wyrazem twarzy. Powoli zdobywał przewagę. Odłożył swój miecz. Na arenie została porozrzucana broń. Standardowa sztuczka, żeby podkreślić napięcie. Anielskogłósy podszedł do stojaka z włącznią, zważył ją w dłoni i niespodziewanie cisnął w moją stronę!

– Uwaga! – wrzasnął spiker.

Uchyliłem się. Grot śmignął obok ucha. Jak piorun zesłany przez Zeusa. Gdyby Drapis trafił, to byłby koniec. Anielskogłósy uśmiechał się, widząc moją ranę i krew skapującą na czarne śliskie kamienie. Posoka przeciwnika działała na niego jak narkotyk. Wtedy w mojej głowie zaświeciła się lampka.

Starliśmy się ponownie. Drapis próbował różnych sposobów, by mnie dorwać, a ja pozwoliłem się zranić raz jeszcze – w tę samą dłoń. Kontrolowanie. Na tyle, na ile to możliwe. Blondyn doskonale wiedział, że jestem praworęczny. Że zwycięstwo jest już blisko. Nie wiedział tylko, że moje lewe ramię jest tak samo silne i niebezpieczne jak prawe.

Drapis poczuł się jeszcze mocniejszy. Rozluźnił napięte mięśnie. Pewniej stawiał kroki.

– Już wiem – mruknąłem do siebie.

Złoty szermierz walczył niedbale, nonszalancko. Kolejne ciosy odbierały mi siły, lecz starałem się nie tracić koncentracji i czekać na odpowiedni moment. Zagrałem w ten scenariusz. Pozwoliłem tłumowi dopingować Drapisa, aby dokończył pojedynek, pozwoliłem spikerowi, by raz za razem zadawał pytania: „Kiedy to się skończy? Czy Estvan przegra? Czyżbyśmy mieli nowego mistrza?”

Pozwalałem się spychać w kierunku czarnej kamiennej ściany na końcu areny.

Gdy tam dotarliśmy, Anielskogłósy patrzył już na mnie głodnym wzrokiem oszalałego furia zwierzęcia. Zamierzył się do finalnego ciosu, dysząc ciężko, i wyrzucił:

– Czekałem tyle lat...

Nie pozwoliłem mu dokończyć.

Przerzuciłem gladius do drugiej ręki, zanurkowałem pod ramieniem zaskoczonego Drapisa i wbiłem się ostrzem głęboko w podbrzusze

blondyna. Cała arena oniemiała. Nikt nie wydał nawet dźwięku. Spiker się zaciął, a ja w tym czasie zadałem kończące uderzenie.

Drapis Anielskogłósy padł u moich stóp. Ten piękny chłopiec, zaskoczony obrotem spraw, wybałuszył oczy i patrzył na mnie z poziomu czarnej, ubrudzonej krwią posadzki. Bąble lawy tryskały gdzieś w tle. Słupy ognia jakby zelżały, zamiast tego zabłysły światła białych lamp, pojawił się spiker.

– Co za zwrot akcji! Wygląda na to, że Estvan Atomowe Uderzenie zwyciężył w turnieju O Lancę Andromedy!

Obszedłem Drapisa dookoła. Rozłożony na kamieniu, nie poruszał się. Jego wzrok stał się zamglony, nieobecny, rana podbrzusza musiała być śmiertelna. Nogą obróciłem szermierza twarzą do sufitu. Zmarszczyłem brwi. Dyszałem ciężko. To za Anrisę, pomyślałem przelotnie. Za Sambosa, którego już nigdy nie zobaczę, i za Killiasa, za wszystkich gladiatorów, którzy w tym turnieju pojawili się po raz ostatni. Posłałem pytające spojrzenie w kierunku sztucznych inteligencji, oczekując na wyrok.

Po chwili usłyszałem od Reputacji:

– Dziesięć.

Od Adoracji:

– Dziesięć.

Oraz od Koordynacji:

– Dziesięć.

Tłum wiwatował, a ja obserwowałem spływającą ku mnie Lancę Andromedy. Główną nagrodę. Spiker wypluwał z siebie kolejne epitety na temat mojej szybkości, siły i złości, pijany cudzym sukcesem, a ja triumfalnie chwyciłem sztylet w krwawiącą dłoń. Głównia nie była wykonana z żadnego złota. Tylko wyglądała na bogato zdobioną. Gdy jej dotknąłem, zauważyłem odłóżką farbę i miękkie, plastikowe obicie.

Lecz nie zwróciłem na to najmniejszej uwagi i uśmiechałem się do tłumu. Uśmiechałem się, bo wiedziałem, że tak właśnie trzeba postępować.

W końcu niedługo następny turniej.



MAJA LIDIA  
KOSSAKOWSKA

---

NA ROZKAZ  
CEZARA

**Prolog I**

*Rozpadlina, teraz, 4.23 czasu lokalnego,  
mieszkanie Lockhetta*



**K**iedy zasypiam, śnią mi się pola kukurydzy. Rozległe, nieskończone, sięgające po horyzont. Niebo nad nimi jest wściekle, niemożliwie niebieskie, aż muszę mrużyć oczy. To porażający, niemal boży błękit, jakbym gapił się na podszewkę boskiej szaty. Na fragment bardzo osobistej, lekko szokującej garderoby ekscentrycznego Stwórcy.

O łańcach słoneczników nie śmiem marzyć nawet we śnie. Ale pamiętam ich pałającą, dominującą barwę. Ten żółty kolor jest jak sztylet. Jak tęsknota.

Kiedy zasypiam...

Ale od lat nie śpię zbyt dobrze. Może to jakaś osobliwa łaska. Inaczej bym zwariował. Tutaj ludzie łatwo tracą zmysły. Tutaj, to znaczy w Rozpadlinie. Świecie kamiennego zimna i wszechobecnego półmroku.

W moim świecie. Na zawsze.



## Prolog II

*Rozpadlina, wczoraj, 23.15 czasu lokalnego, Arena Olimpu*

Stoisz na arenie. Piasek pod stopami jest biały i miałki. Wiesz, że właśnie wysypał się z klepsydry twojego losu, ale nie dbasz o to. Setki krzyczących, rozentuzjasmowanych twarzy na trybunach jawią się w twoich oczach barwną mozaiką. Dekoracją. One także nic nie znaczą.

Podobnie jak przeciwnik czy przeciwnicy, z którymi przyjdzie ci się zmierzyć. To przecież tylko mięso, zupełnie pozbawione znaczenia.

Bo liczy się wyłącznie jedno. On. Twój pan. Twój patron. Cały świat, wszystko, co najważniejsze, zawiera się w tym jednym człowieku. Jego spojrzeniach, gestach, rozkazach.

Jego zadowoleniu.

Kiedy przywołujesz w pamięci obraz tego szlachetnego oblicza, ogarnia cię uniesienie.

Mój Cezarze, wołasz bezgłośnie, mój władco! Będę dziś walczył dla ciebie! Będę dla ciebie zabijał!

Ta myśl jest tak słodka, upojna jak najprzedniejszy narkotyk.

Pełen napięcia i radosnego wyczekiwania drżysz, nasłuchując sygnału, którym lanista ogłosi rozpoczęcie walk.

Uśmiechasz się lekko, nieznacznym drgnieniem warg, bo dobrze wiesz, co nastąpi, gdy upragniony odgłos rogu wreszcie wybrzmi.

Rozpęta się burza krwi.



*Rozpadlina, teraz, 6.11 czasu lokalnego, mieszkanie Lockhetta*

Lockhett marzył. Podciągnął wyżej grubą kołdrę i koc termiczny w rozpaczliwej nadziei, że zrobi mu się od tego lepiej. Nie zrobiło. W Rozpadlinie zawsze brakowało światła i ciepła, lecz niektórzy potrafili się w końcu przyzwyczać. Okutani w kokony ciepłych ubrań z mniejszą udręką znosili tutejszy klimat. Ale nie on.

Urodził się przecież w Kukurydzianym Raju i doskonale pamiętał jarzącą się, cudowną, promieniejącą ciepłem kulę słońca na majestatycznie błękitnej tafli nieba.

Tutaj słońca nie było.

Bo nie dało się nim nazwać tej smętnej czerwonej plamki, która znaczyła wąską błyskawicę ciemnego nieboskłonu wysoko, wysoko, hen, ponad głowami ludzi.

Nie, to na pewno nie było słońce. Raczej totalna porażka. Jak całe to cholerne miejsce.

Na samą myśl o tym, że będzie musiał wyciągnąć ręce spod kołdry, Lockhett zaczął się trząść. A będzie musiał, to pewne, bo uporczywy brzęczyk już od paru chwil informował go, że ktoś pilnie chce się z nim skontaktować.

Szeryf. Oczywiście, że szeryf. Bo kto inny, u diabła, budziłby go o podobnie nieludzkiej porze?

Gdyby Lockhett zamontował sobie wszczep rdzeniowy, mógłby rozmawiać bez konieczności zwleczenia się z łóżka, lecz był zdecydowanie zbyt ostrożny i staroświecki, żeby pozwolić sobie majstrować w głowie. Pozostawało więc tylko odrzucić zwały kołdry i koca, żeby zmierzyć się z rzeczywistością.

– No? – stęknął ochryłym, zmęczonym głosem, gdy na ekranie pojawiła się brązowa, pomarszczona twarz Montalemberta-Salignaca.

– Spałeś? – zdziwił się szeryf.

– Tak, jasne, że spałem. Jest środek nocy.

– No to sobie nie pośpisz. Jest sprawa, Lockhett.

Taaa... pewno. Zawsze to samo. Sprawa. Kiedy szef policji w Rozpadlinie wyrażał się w ten sposób, Lockhett wiedział, że ma przesrane, i to grubo.

– Gdzie? – spytał tylko.

– Arena Olimpu – usłyszał w odpowiedzi.

– Kurwa!

Wepchnął palce w kącki oczu, jakby próbował wycisnąć z nich resztki snu.

– Już idę, Ollie.

– Tylko się pośpiesz – ponaglił go szeryf. – To cholernie śmierdząca sprawa, jeśli chcesz wiedzieć.



Szczerze mówiąc, wcale nie chciał. Brnął w półmroku, otoczony nimbem drobnej mżawki, główną aleją habitatu, klnąc ponuro, bo nie zdążył złapać omnitrainu na najbliższym przystanku, więc zdecydował pójść pieszo do szybszej i wygodniejszej linii podmetra. A teraz, moknąc i ziębnąc, żałował tej pochopnej decyzji.

W końcu udało mu się dotrzeć do stacji i wsiąść do ciemnego wagonu, w którym jarzyła się tylko słaba lampka przy wejściu, umierający z zimna i mroku, samotny elektryczny świetlik.

Przynajmniej nie pada na łeb, pomyślał, żeby się jakoś pocieszyć. Bo śmierdząca sprawa szeryfa mogła się okazać żmudna, upierdliwa, a przy tym cholernie przygnębiająca. Jak zwykle.

W końcu ujrzał majaczący w półmroku masyw Areny Olimpu, ogromną donicę z tworzyw sztucznych i szkła, która w założeniu miała dostarczać mieszkańcom Rozpadliny podobnie wyrafinowanych rozrywek jak koncerty, pokazy holograficzne oraz wystawy najnowszej sztuki, a ostatecznie, skutkiem różnych machlojek i gigantycznego zadłużenia podatkowego, przeszła w prywatne ręce, żeby skończyć jako przybytek półlegalnych walk androidów, a także różnorakiego hazardu.

Wysiadając, Lockhett wpadł po kostki w kałużę lodowatej wody.

Szeryf się nie pomylił. Intuicja podpowiadała, że ten przypadek, jakkolwiek się okaże, będzie cuchnął niczym zgniła wątroba.



Lanista, niziutki, blady, okropnie roztrzęsiony, przypominał z wyglądu gekona i wydawał się tak samo rozumny. Co chwila rozkładał bezradnie ręce, bełkocząc w kółko:

– Ja nie wiem! Zupełnie nie wiem, jak mogło do tego dojść! Co za tragedia!

No faktycznie, za dobrze to wszystko nie wyglądało.

– Ile jest ofiar? – zapytał Lockhett.

Wepchnął ręce głęboko do kieszeni kurtki, bo w pośpiechu zapomniał rękawiczek, więc w drodze na miejsce wypadku palce zdążyły mu skostnieć na sople.

– Na razie dwie. – Szeryf zwrócił ku niemu ponure, pobrużdżone zmarszczkami oblicze.

Lockhett zawsze uważał, że Olivier Montalembert-Salignac przypomina jakiś starożytny drewniany totem przez długie wieki wystawiony na działanie wichrów i burz. Worki pod ciemnymi, bystrymi oczami szeryfa zdawały się wystarczająco duże, żeby chować w nich drobne przedmioty.

– Na razie? Może być więcej zabitych?

– Zdziwiłbym się, gdyby nie było – westchnął szef policji. – Patroni wystawiają swoich gladiatorów całkowicie anonimowo.

– Cholera, fatalnie. W jaki sposób ofiary mogły zginąć? Przecież sprzęgi telepatyczne mają bariery ochronne, które nie pozwalają

żadnym obcym impulsom wedrzeć się zwrotnie do umysłów patronów. Puścili? To niemożliwe!

– No właśnie! Właśnie! – zajęczał gekon-lanista, machając nerwowo ukwiałami łapek. – Jak to się mogło stać?! No jak?!

Przemarznięty, niewyspany i zmartwiony Lockhett z rozkoszą kazałby mu się zamknąć. Ale zamiast tego spytał tylko:

– Kto nie żyje, Ollie? Obywatele? Górnicy na kontraktach? Czasowi?

– Oczywiście, że obywatele. A któż by?

No tak, jak ma być przesrane, to zawsze po całości.

– Svanna Erdebess i Leden Kilian Ugabe – głos szeryfa zabrzmiał grobowo.

Dzwon żałobny dla Rozpadliny. Bo oto odeszło nagle w zaświaty dwoje z jej najprzedniejszych przedstawicieli. Specjalistka do spraw wdrażania nowych technologii Korporacji Górniczej Tytan, spółki posiadającej na własność cały habitat, oraz jeden z ważniejszych udziałowców kopalni.

Kurwa, katastrofa.

A teraz Lockhett, pełniący oficjalnie w Korporacji Tytan obowiązki osoby do zadań specjalnych i kryzysowych, a tak naprawdę człowiek zatrudniony do zmiatania brudów, musiał się wziąć do roboty i posprzątać cały ten syf. Dobrze chociaż, że miał mu pomóc w tym niewdzięcznym zadaniu solidny, uczciwy i rzetelny Montalembert-Salignac.

Lockhett nigdy nie ciągnęło specjalnie do hazardu, ale oczywiście wiedział, w jaki sposób odbywają się obstawiane walki androidów. Tak zwany patron, czyli właściciel robota, po prostu przysyłał swojego zawodnika do Areny. Tam androida poddawano serii odpowiednich skanów i badań, żeby sprawdzić, czy nie jest niebezpieczny lub uszkodzony. Jeżeli pozytywnie przeszedł selekcję, kwalifikował się do występu w kolejnym planowanym przedstawieniu. Każdy patron podczas walki osobiście prowadził swojego zawodnika, połączony z jego umysłem sprzęgiem telepatycznym. Robot naśladował ruchy, ataki, uniki i kopnięcia swojego pana, oczywiście o wiele bardziej sprawnie. Lockhett nigdy nie mógł się przekonać do tej rozrywki, a wizja brzuchatych kolesiów, tłustawych panień w średnim wieku i chuderlawych staruszków podrygujących w paroksyzmach nieudolnej, pozorowanej walki wydawała mu się równie żalosna, co groteskowa. Ale Rozpadlina rządziła się swoimi prawami, więc walki tak zwanych gladiati były ogromnie popularne. W dawnych czasach, żeby móc kierować androidem, patron musiał zakładać specjalny kombinezon. Potem wystarczył kask i rękawice. Ale szybko okazało się, że użytkownicy narzekają na niewygody i ograniczenia związane z koniecznością noszenia jakichkolwiek elementów specjalnego stroju

podczas sprzęgu. Dlatego na rynku szybko pojawiły się cieniutkie, prawie niewidoczne opaski na czoło, jednak prawdziwa rewolucja wybuchła, dopiero kiedy naukowcom udało się opracować wszczepy rdzeniowe umieszczane w kręgosłupie, tuż u podstawy czaszki. Z początku były cholernie, niedosiężnie wręcz drogie, więc na takie wynalazki pozwalali sobie jedynie prawdziwi bogacze. Szybko jednak modele się uprościły i rozpowszechniły, a ich cena spadła. W dzisiejszych czasach średnio zamożny obywatel Rozpadliny mógł zafundować sobie wszczep, który pozwalał nie tylko kontrolować różnego rodzaju androidy oraz wiele innych urządzeń, ale także zapewniał łatwą i natychmiastową komunikację z dowolnym użytkownikiem sprzęgu telepatycznego. Po wprowadzeniu tego wynalazku natychmiast podniosły się protesty i głosy oburzenia. Według sceptyków tego typu eksperymenty miały się okazać niebezpieczne, za daleko posunięte, a czasem nawet zabójcze, za bardzo kojarzyły się z przerażającą i wyklętą Erą Dehumanizacji oraz zakazanymi ingerencjami w ludzki mózg. Koronnym argumentem przeciw wszczepom miało być ryzyko przejścia słabszego umysłu przez silniejszy lub plaga telepatycznych podsłuchów, ale do niczego takiego w końcu nie doszło. Jak zwykle zwyciężyła wygoda, więc wielu odpowiednio majątnych ludzi na wszystkich zamieszkałych przez Ziemię światach zaczęło masowo korzystać ze wszczepów. Także w Rozpadlinie sporo obywateli, a nawet robotników kontraktowych nosiło pod skórą na karku malutki srebrzysty krążek połączony siecią igiełek z ich rdzeniem kręgowym.

I mogło się bezkarnie bawić w wojowników staczających na arenie brutalne walki.

Ale jak widać, do czasu.

Bo teraz dwoje szanowanych członków społeczności leżało w swoich domach martwych jak sztuczna inteligencja. Kwiat korporacyjnej elity ścięty nagłym impulsem zabójczego androida psychopaty. Fantastycznie! Tylko klaskać. A ofiar tajemniczego porażenia telepatycznego mogło być jeszcze więcej. No pięknie. Naprawdę pięknie. Pogratulować udanego poranka, Lockhett.

I wielu innych wypełnionych żmudną, katorżniczą, zapewne niebezpieczną pracą, bo odnalezienie oraz zatrzymanie sprawcy stanowiło zaledwie połowę problemów. W powietrzu na kształt czarnej, burzowej chmury wisiało jeszcze kluczowe pytanie. W jaki sposób te cholerne bariery puściły?



– Jak dowiedziałeś się, że obie ofiary zginęły, uczestnicząc w widowisku?

Ciemne, głębokie oczy szeryfa spojrzały na Lockhetta z politowaniem.

– Dostałem niemal jednocześnie dwa zgłoszenia o nagłych zgonach. Domownicy albo służący denatów przyznali od razu, że zarówno Erdebes, jak i Ugabe akurat ucinali sobie randkę z gladiatorami. A kiedy pojechałem do Areny, okazało się, że dwa bojowe androidy wysokiej klasy leżą martwym bykiem i do niczego się już nie nadają. Łby im usmażyło, podobnie jak ich patronom. Łatwo powiązać te fakty, nie?

– Wiadomo, kto ich załatwił?

– Jakiś nowy gladiati. Zupełnie niepozorny. Niezbyt duży, bez wyraźnej masy mięśniowej. Sobowtór. Lanista myślał, że to były, zużyty Lolo, który się komuś znudził. Przeszedł wszystkie testy, więc poszedł na piach walczyć. I zabił. Choć diabli wiedzą jakim cudem.

Sobowtór, zastanowił się Lockhett. Czyli robot z pokrywą biologiczną, łudząco podobny do żywego człowieka. Nie dziwne, że od razu na myśl przychodzi Lolo. To znaczy oficjalnie android typu Żigolo. Taki chłopaczek do towarzystwa powszechnie wykorzystywany jako droga zabawka seksualna. Jego żeński odpowiednik stanowiła Lola. Sobowtóry tego rodzaju najczęściej były wzorowane na znanych seksbombach, ale zdarzają się przecież różne gusta. Niektórzy użytkownicy, nieco nieśmiali lub zainteresowani typem zwykłej dziewczyny z sąsiedztwa albo przeciętnego chłopaka ze szkoły, woleli, żeby ich zabawka nie była przesadnie przerysowana.

Lockhett pociągnął łyk piwa ze szklanki. Było zimne, ale obaj z szeryfem pozwolili sobie wpaść na chwilę do ciepłobaru, żeby obgadać sprawę. Siedzieli teraz przy zacisznym stoliku pod ścianą, otuleni żółtym, przyjemnym kokonem światła padającego z niedużej lampki. Po raz pierwszy od dawna szef zespołu kryzysowego i człowiek do zadań specjalnych Korporacji Tytan nie czuł się przemarznięty do kości.

– W jaki sposób zabił aż dwoje przeciwników naraz? Walczył z obydwojema równocześnie? – spytał.

– Nie, nie do końca. To był pojedynek typu każdy z każdym. Wiesz, lanista wypuszcza kilkanaście robotów na arenę, a one się tłuką tak długo, aż zostaje ostatnia para. Wtedy jest finałowe starcie, fanfary i koniec zabawy.

– Rozumiem. – Lockhett skinął głową. – Taka mała wieczorna gimnastyka.

– Coś w tym guście – zgodził się szeryf.

Gdzieś w tle cicho szemrała kojąca muzyka, klosze lamp jarzyły się złoto i pomarańczowo jak zamknięte jeszcze pąki słonecznych kwiatów, piwo było odpowiednio chłodne, a przekąski gorące, więc siedząc w tym swoim, przyjaznym wnętrzu, Lockhett poczuł, że może jednak

wszystko się ułoży. Nie będzie więcej ofiar, a przestępcę, kimkolwiek by był, zdołają schwytać, a potem osądzić.

Piękna bajka, nie? Aż za ładna, żeby miała się ziścić. W Rozpadlinie brakło miejsca dla bazarzy i marzycieli. Takich kopalnia pożerała w pierwszej kolejności.

– Spróbujemy złapać drania, Ollie – zaproponował. – Zastawimy pułapkę podczas następnych igrzysk. Tylko nie do końca wiem jak. Nie możemy przecież narażać życia prawdziwych patronów. Nawet gdyby jacyś funkcjonariusze zgłosili się na ochotnika.

Szeryf parsknął w piwną pianę.

– Ty byś się pewnie pierwszy zgłosił, nie? Daj spokój, synu. Od razu widać, że nie masz pojęcia o walkach gladiati. Każdy lanista ma swoje własne modele ćwiczebne. Nie potrzebują sprzęgu z żywym człowiekiem. Mają specjalny program treningowy. Oczywiście, gracz zaraz się zorientuje, że nie walczy z realnym przeciwnikiem. Ale co z tego? My już zdążymy wczepić się w bydlaka. Dorwiemy go, Lockhett. Zobaczysz. Tylko tak mi wygląda, że będziemy musieli skołować jakiegoś czarodzieja. Jak myślisz, korporacyjny się nada?

Czarodziej. Czyli ktoś, kto dzięki własnym zdolnościom oraz specjalistycznym wszczepom potrafi zhakować telepatycznie inną osobę bez jej wiedzy i woli. Innymi słowy, wleźć jej do świadomości i sporo namieszać. Zmusić do podzielenia się informacjami, majątkiem lub zamierzeniami. Proceder nielegalny jak diabli, niebezpieczny, skomplikowany, lecz niesłychanie użyteczny. Każda większa firma zatrudniała jakiegoś czarodzieja, wszytego głęboko pod podszewkę struktury. Taką ukrytą broń, diablika z pudełka, wyskakującego na moment wtedy, gdy pojawiał się realne, bardzo poważne zagrożenie. Albo po prostu kiedy trzeba było łatwo i czysto załatwić raz na zawsze konkurencję. W przypadku androida psychola czarodziej miałyby przede wszystkim odkryć tożsamość jego pana. Plan całkiem niezły, lecz Lockhett wolałby uciąć sobie kciuk, niż poprosić o pomoc korporacyjną specjalistkę od telepatii. Zawsze przechodziły go ciarki na widok tej prześlicznej jak bibelot, maleńkiej, czarnowłosej dziewczyny, bezwzględnej niczym Księżę Ciemności. Panna Woo, zawsze łagodna, cicha i uprzejma, stanowiła prawdziwą ukrytą bombę Tytana. Bombę, która potrafiła wybuchnąć, rażąc każdego, kto naraził się korporacji mieszaniną zarasków czarnej ospy, oparów radioaktywnych, plag biblijnych i strug płonących wydzielin. Lockhett znał w życiu wielu brutalnych, okrutnych ludzi. Bandziorów, mafiosów, biznesmenów, skorumpowanych polityków. Ale tej Woo po prostu się bał, a zwykle nie brakowało mu odwagi. Sprawiała wrażenie całkowicie niepoczytalnej. Potrafiła rozsądzić od środka umysł każdego człowieka. Zniszczyć, wypalić, zaorać i pozostawić po swoim przejściu jałową, posoloną

ziemię. Zabiła mentalnie przynajmniej czworo ludzi, sprowadzając ich do stanu, w którym kapusta wydawała się przy nich inteligentna. Dwóm rozbiła jaźnie na osobowości mnogie, trzech cofnęła umysłowo do czasów wczesnego dzieciństwa, a przynajmniej kilkoro przyprawiła o ciężką postać schizofrenii. Wszystko na rozkaz korporacji. Lockhett doskonale wiedział, że nie miała żadnych hamulców. Co więcej, zawsze podkreślała, jaką dumą napawają ją te umiejętności oraz poczynania. Dla dobra Tytana. Zawsze tylko dla dobra Tytana. Poza tym kopalniana czarodziej jako straszliwa, zajadła perfekcjonistka z pewnością oskarżyłaby jego i szeryfa o niekompetencję, niedostateczne wypełnianie obowiązków, a kto wie, może nawet o zdradę interesów korporacji. A miała u szefostwa bardzo solidne chody.

Nie, Stella Woo kompletnie nie wchodziła w grę.

– Wolałbym póki co nie zwracać uwagi kopalni na tę sprawę. Im mniej patrzą nam na ręce, tym lepiej. Wiesz, jaki jest zarząd. Dość nadpobudliwy, powiedziałbym.

Montalembert-Salignac westchnął nad szklanką.

– No dobra, ale ja nie znam żadnego czarodzieja. Poza tym kompletnie nie mam mu z czego zapłacić. Policja tutaj kokosów nie zbija, chłopcze.

– Ja znam – przyznał Lockhett – i to dobrego. A forszą się nie martw. Mam jakiś niewielki fundusz na wypadek nagłych kłopotów. Coś wymyślę, żeby z niego skorzystać. W końcu przecież prowadzimy to cholerne śledztwo.

– W takim razie w porządku. Szukaj swojego czarodzieja. A ja zajmę się lanistą i jego bandą robotów. To jak? Jeszcze po jednym, synu? Za powodzenie akcji?

Ciepło tak przyjemnie otulało Lockhetta, dosłownie ocierało się o niego niczym rozmruczany kot, że nie miał siły odmówić.

– Dobra. – Skinął głową. – Po jednym, Ollie.



W domu było zimno. No oczywiście. A czego się spodziewać? Automatyczny system kontroli energii wyłączył ogrzewanie i światło, ledwo za Lockhettem zamknęły się drzwi. Podkreślił poziom zużycia na full, choć wiedział, że przyjdzie mu za to zapłacić horrendalny rachunek. Trudno, musiał pomyśleć. Do tego potrzebował jednak ciepła i światła. Chociaż cholernej namiastki znośnych warunków. Miejsca, gdzie nie będzie bez przerwy szcząkał zębami i rozcierał zziębniętych dłoni.



Korporacja Górnicza Tytan była skąpa i podejrzliwa niczym starzec z „Opowieści wigilijnej”. Z pewnością utrzymanie, ogrzanie i zasilenie w energię tak olbrzymiego habitatu jak Rozpadlina musiało kosztować fortunę. Ale Tytan swoją kamienną ręką wyduszał oszczędności dosłownie ze wszystkiego. Najczęściej kosztem komfortu i zadowolenia swoich obywateli. Górnicy przecież nie mieli być zadowoleni, tylko wydajni.

Kiedy dawno, w jakiejś kompletnie innej rzeczywistości, którą umysł Lockhetta zapamiętał niemal jak pobyt w równoległym świecie, całe życie, wszystko, co znał, runęło, spłonęło i rozwiało się na popiół, Lockhett uciekł w głąb Rozpadliny, w czerń i zimno grobowej jamy. Nory, gdzie chroni się ciężko ranny zwierz, żeby poddać się i umrzeć.

A przecież nie umarł.

Trwał w kopalnianym chłodziu i mroku, sam zamrożony, stężały, lodowato twarde. Znalazł tu sobie miejsce, na osobliwej, dobrowolnej zsyłce, kładąc samego siebie za błąd, którego tak naprawdę nie popełnił. Dla niego habitat stanowił rodzaj pokutnej celi, gdzie tkwił zamknięty między kolosalnymi, ponurymi ścianami skalnymi, pod zawsze niedosiężną, ciemną kopułą z tworzyw sztucznych, chroniącą kopalniane miasto przed zabójczą atmosferą na powierzchni i równie toksycznym kosmicznym promieniowaniem.

Lecz Rozpadlina w oczach dużej liczby górników i specjalistów wcale nie jawiła się jako piekło lub więzienie, lecz miejsce pracy, w którym można było nieźle zarobić. Owszem, często pracownicy, którym brakło żelaznej woli oraz umiejętności gospodarowania pieniędzmi, popadali w długi, po czym w konsekwencji zostawali niejako niewolnikami swoich kontraktów. Ale większość po odpracowaniu umówionego okresu odlatywała stąd bogatsza o całkiem niebagatelne kwoty.

Habitat zbudowano w ogromnym, rozgałęzionym naturalnym wąwozie i zakryto przejrzystą kopułą. ART 193678 była niegościnnym, skalistym światem, okrążającym tutejsze słońce po odległej orbicie. Dlatego cały gigantyczny, rozległy jar trzeba było nieustannie ogrzewać i doświetlać. A zarząd korporacji nie lubił dodatkowych wydatków. Z tego powodu wewnątrz utrzymywano tak zwaną temperaturę minimalną, najniższą z zaakceptowanych przez Kosmiczną Komisję Godziwych Warunków Pracy. Te same przepisy dotyczyły oświetlenia. Ścisłe minimum. A to oznaczało wieczny chłód i półmrok.

Każdego wieczoru czy poranka kondensatory skraplały nadmiar wilgoci w powietrzu, więc przez godzinę lub dwie padał deszcz albo nad ulicami snuł się ciężki, szary opar mżawki. No cóż, Rozpadlina nie była jakimś nadzwyczaj urokliwym miejscem.

Kształtem przypominała długi, wąski klin, spękany wieloma głębokimi wąwozami wpijającymi się w litą skałę. Odsłoniętą aortę

planety, poprzecinaną systemem splecionych tętnic i żył. Faktycznie, można uznać, że stanowiła swoisty krwiobieg tego świata, zaludniony niezliczonymi krwinkami pracowników korporacji, przemieszczającymi się nieustannie, mieszającymi i falującymi w rytm dobowych szycht.

W najszerszej części wąwozu usadowiła się sama kopalnia, drążąca w głąb planety kruszcowe korytarze. Tu mieściły się również biura oraz budynki zarządu, a także port oraz punkt wysyłkowy urobku, połączone pionowym szybem z kosmodromem na powierzchni.

Resztę Rozpadliny zajmowało miasto górnicze. Tanie noclegownie, hotele, pensjonaty, bary, przybytki rozrywki, sklepy i wreszcie domy stałych mieszkańców. Najbiedniejsi gnieździli się na samym dole, w pobocznych wąwozach. Ot, zwykłe robotnicze osiedla tanich, tandetnych domków, przewiewnych niczym karmniki dla ptaków. Najuboższe trudno było odróżnić od zwykłych slumsowisk. Im bliżej głównej alei, tym lepsze i okazalsze budynki, spiętrzone tarasami w górę, pięły się po zboczach skalnego jaru. A najwyżej, tuż pod samym przejrzystym niebem kopuły, niczym niedosiężne konstelacje majątku i sukcesu, jaśniały olśniewającym blaskiem rezydencje najbogatszych obywateli habitatu. Całe łańcuchy jaskrawych, białych lub złocistych światel, klejnoty luksusu i elegancji.

Lockhett dobrze wiedział, że w domach bogaczy bywa tak ciepło, że hostessy mogą spacerować nago, a goście zażywać w basenach ochładzających kąpieli.

Nie zazdrościł nikomu tego oszałamiającego przepychu. Bo zdawał sobie sprawę, że za cienkim lukrem pozłoty skrywa się często okrutny świat brudnych interesów, małych i wielkich podłości, szwindli oraz tuszowania ciemnych sprawek. Rozpadlina chorowała bowiem na korupcję, nepotyzm, przekręty podatkowe i wiele innych cywilizacyjnych przypadłości. A najpoważniejszą z nich była przestępczość zorganizowana. Bardzo sprawnie zorganizowana, trzeba przyznać. Do tego stopnia, że na przeciwległym, najwęższym krańcu jaru, niczym ogromny wrzód, rozrastała się druga, nielegalna kopalnia, eksplorująca znacznie mniej wydajne złoża. Ale nie na tyle jałowe, żeby nikt się nimi nie zainteresował. Więc oczywiście znalazł się ktoś chętny. Gangsterzy. Spółka górnicza Geotrick była całkowicie kontrolowana przez miejscową mafię. Oba przedsiębiorstwa trwały w rodzaju toksycznej symbiozy. Teoretycznie cała władza nad habitatem pozostawała w rękach udziałowców Korporacji Tytan, która niegdyś wydzierżawiła, sprzedała czy udostępniła pokłady na drugim końcu wąwozu innej, niezależnej spółce, ale wszyscy wiedzieli, że to nie do końca prawda, a „inna spółka” jest niczym więcej niż odłamem organizacji przestępczej. Stało na tym, że wszyscy legalni mieszkańcy Rozpadliny, stali lub czasowi, wiedzieli, gdzie jest koniec bezpiecznego

terytorium, a dokąd za nic nie należy się zapuszczać. Policjanci, celnicy i urzędnicy podatkowi też zostali pouczeni, żeby zostawić drugą kopalnię w spokoju. Nawet Lockhett dostał surowy zakaz mieszania się w sprawę, jak mu oświadczone, „odrębnego, niezależnego przedsiębiorstwa”. Nie mieszał się zatem.

Zazwyczaj.

Mafijny biznes kręcił się wyśmienicie, gdyż miał własny kosmodrom na powierzchni, niezbyt duży, lecz wystarczający na przyjęcie masowców, i jeśli już wspomniany w oficjalnych dokumentach korporacji, to jako „samowola budowlana bez specjalnego znaczenia gospodarczego”.

Gdyby to zależało od Lockhetta, wjechałby natychmiast z wojskiem na teren tej „niezależnej spółki wydobywczej” i uwolnił od niewolniczej pracy wszystkich tamtejszych górników, wśród których znajdowali się także dawni legalni pracownicy Tytana. Zubożali, wepchnięci w nędzę przez kopalniane długi, zrozpaczeni, często będący ofiarami własnej głupoty, narkotyków, hazardu, alkoholu. Drobne cwaniaczki, zwykłe draby, niebieskie ptaki, kolesie, którzy zbyt szybko startowali do innych z łapami albo mieli przesadnie lekceważący stosunek do prawa i norm społecznych, kanciarze, dziwkarze, złodzieje. Niewątpliwie aniołami to oni nie byli. Dlatego też to, że wpakowali się w cholerne kłopoty na swoje życzenie, nie obchodziło specja od sytuacji kryzysowych. Sam nie miał prawa aspirować ani do skrzydeł, ani do aureoli. Ale zawsze obchodziła go przyzwoitość. Zwykła ludzka niezgoda na rażącą krzywdę, na wyzysk i śmierć.

Na bezkarność i bezprawie posunięte do ekstremum.

Czasem miał tego dość. Po prostu nie mógł znieść, że w Rozpadlinie pozostawał praktycznie bezradny. Nic od niego nie zależało. Już nic.

Mógł więc tylko pomagać Montalembertowi-Salignacowi robić dobrą policyjną robotę.

To zaś oznaczało, że czas ruszyć w wilgotny ziąb ulicy i poszukać czarodzieja.



Mżyło. Lockhett podniósł kołnierz i przyspieszył kroku. Jak na powszedni dzień, w dzielnicy rozrywkowej panował spory ruch. Kanałem komunikacyjnym mknęły prywatne śmigacze, niektóre całkiem luksusowe. Po ziemi pełzły wagony omnitrainu, jedne za drugimi, jak gąsienice na pochodzie. Przechodnie mokli w ten dżdżysty wieczór, ale tylko nieliczni zdecydowali się rozpiąć nad głowami osłony

wodoodporne. Mieszkańcy habitatu byli zahartowani i przyzwyczajeni do paskudnej pogody.

Wśród pieszych dało się zauważyć wiele androidów. W mdłym, mżącym blasku lamp i barowych szyldów połyskiwały ich barwne pancerze, liźnięte wilgocią. Żółte w przypadku robotów wyspecjalizowanych w działalności chemicznej, czerwone u przeznaczonych do zadań niebezpiecznych, niebieskie w przypadku maszyn zajmujących się gazownictwem. Czasem przemknęło kilku sobowtórów. Ale z pewnością nie Lolów, tylko Technicznych, bo ich skóry też miały czerwony, żółty lub niebieski kolor, tak jak u zwykłych androidów.

Kiedy Lockhett wreszcie dotarł do umówionego światłobaru Tańczący Motyl, był już nieźle przemoczony i zmarznięty.

Potrzebuję czegoś mocniejszego na rozgrzewkę, pomyślał.

Gdy tylko wszedł do środka, natychmiast musiał zamknąć oczy. Jaskrawe światło dosłownie wrzasnęło mu prosto w twarz, bezczelne, ostre, wszechobecne. Mrugał i łzawił, próbując przyzwycząić wzrok do białej, niemal niebiańskiej światłości. Osobiście wolał przytulne, ciemnawe ciepłobary. Tu było chłodno, sterylnie i śnieżno-błękitnie jak w kostnicy. Krystaliczne szkło blatów, oszroniony srebrzystymi odbłaskami polerowany metal, lodowa biel ścian i lampy rozjarzone jak arktyczne słońce.

Każdy, kto tu wszedł, ryzykował polarną ślepotę.

Sam Lockhett oślepl tak bardzo, że przez dłuższą chwilę rozglądał się. Przed oczyma miał jedynie barwne plamy powidoków i zębate girlandy mroczków. Postaci ludzkie migały mu tylko czarno i biało teatrem cieni na olśniewającej bieli tła. Nie potrafił dostrzec czarodzieja siedzącego przy kontuarze tuż obok. Dopiero gdy Bastian Egre wstał i ruszył w jego stronę, Lockhett go rozpoznał.

Egre przywitał się krótkim przyjacielskim klepinięciem w ramię i pociągnął starego kumpla za sobą.

– Chodź, sowo cholerna! – zaśmiał się. – Siadaj, zanim się zabijesz o własne nogi.

Zajęli miejsca przy barze, a Lockhett natychmiast zamówił podwójną brandy.

Czarodziej popijał z wysokiej szklanki drinka, bladezielonego jak jego oczy.

Nie prezentował się specjalnie okazale. Ot, drobny, chudy mężczyzna o ostrych rysach i długich jasnych włosach. Z trójkątną twarzą, wysokimi kośćmi policzkowymi i spiczasto zarysowanym podbródkiem wyglądał jak jakiś pieprzony kopalniany chochlik, ale był piekielnie sprawnym telepatą, a także dobrym, sprawdzonym przyjacielem.

– No co jest? – spytał. – Co tam się stało, Ambrosius?

Szef od rozwiązywania problemów Korporacji Tytan lekko skrzywił wargi. Od dawna nikt nie zwracał się do niego po imieniu. Nic dziwnego. Nazywał się Ambrosius Abelard Lockhett i często zastanawiał się, dlaczego rodzice musieli go w niemowlęctwie aż tak znienawidzić.

Wyjaśnił jednak spokojnie, do czego potrzebne mu są usługi telepaty. Bastiana znał od wielu lat i wiedział, że za fizjonomią złośliwego gнома kryje się porządny, lojalny, uczciwy człowiek. Owszem, w świetle prawa drań i przestępca, ale przyzwoity do kości.

– Morderstwa? Włam do obcego sprzęgu? Niebezpieczny psychopata? – powtórzył znad swojego drinka czarodziej.

Przez chwilę zawiesił głos, jakby rozważał propozycję współpracy. A potem rozpromienił się w uśmiechu jaśniejszym niż lampa na kontuarze.

– Brzmi fantastycznie! – przyznał. – Stary, nawet nie wiesz, jak mi się nudzi ostatnio. Ile można sprawdzać, czy twoja małżonka nie puszcza się na boku z Lolem za twoje pieniądze? Dobra, biorę tę robotę. A teraz postawię ci drinka i pogadamy o starych czasach. Co? Może być?

Lockhett rzucił okiem w głąb sali, na gości siedzących przy stolikach. Pili, śmiali się i wyglądali na wyluzowanych. Ładna dziewczyna tańczyła przy rurze w rytm pulsującej muzyki. Po jej skórze płynęły, splatały się i wybuchały kolorami holograficzne tatuaże. Była naga i zgrabna, lecz na jej widok zamiast pożądania Lockhett poczuł tylko gęsią skórę na ramionach.

Rany, jak ona wytrzyma w tej lodówce? Przecież tutaj nie ma chyba nawet tej pieprzonej temperatury minimalnej?

– Bastian, tu jest kurewsko zimno – wyznał.

Egre pokazał w kolejnym uśmiechu ostre, nierówne zęby.

– Ale jak jasno, bracie! Popatrz, jak jasno! W cholernych zaświatach nie znajdziesz takiego światła!

Ambrosius Abelard westchnął i skapitulował. Faktycznie, od dawna nie znajdował się w tak doświetlonym miejscu. A światło też było w habitacie na wagę złota. Zamówił kolejną podwójną brandy, starając się zignorować wszechogarniające zimno. I tak zawsze marzył.

W sumie w Rozpadlinie oprócz hazardu i niedozwolonej działalności można było tylko pracować, spać albo pić. A z tych trzech opcji zdecydowanie preferował ostatnią.



Rankiem w biurze szeryfa czekały na Lockhetta wieści i jedna przykra niespodzianka. Odnaleziono kolejną ofiarę. W hotelu dla Czasowych

sprzątaczką natknęła się o świcie na ciało górnika nazwiskiem Peter Scavolli.

– Mamy już wyniki sekcji – oznajmił ponuro szeryf. – Wszyscy zmarli w ten sam sposób. Rozległy udar przekrwienno mózgu. A sprzęgi telepatyczne przepalone na wylot.

Szef do spraw kryzysowych Korporacji Tytan poczuł lodowaty dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Sprawa okazała się nie tylko śmierdząca, ale w dodatku gruba.

– Olivier, zdajesz sobie sprawę, jak to wygląda? – spytał ostrożnie.

– Taaa... – westchnął Montalembert-Salignac. – Atak telepatycznego hakera, nie?

Lockhett tylko w milczeniu skinął głową.

Boże, spraw, żeby to nie była robota panny Woo, poprosił w myślach. Tylko nie jej. Bo jeśli tak, to ja i szeryf szybko możemy zostać następnymi rezydentami kostnicy. Korporacja lubiła utrzymywać swoje czystki w sekrecie.

– Zwerbowałaś czarodzieja?

– Tak. Przyjdzie dziś wieczór do Areny Olimpu ze sprzętem.

– Dobrze – mruknął szeryf. – W takim razie gra się zaczyna.



Lockhett, szeryf, lanista i czarodziej siedzieli w przeszklonej łoży trenerskiej, z napięciem wpatrując się w leżącą poniżej arenę. Cztery koty zaczone pod mysią dziurą. Za chwilę miał się rozpocząć pozorowany pojedynek poszukiwanego androida.

Montalembert-Salignac zadbał nawet, żeby trybuny nie były zupełnie puste, tylko obsadził je kilkoma funkcjonariuszami, choć na zwykłe przedstawienia rzadko przychodziła publiczność. Entuzjaści telepatycznych starć robotów woleli oglądać walki w domu, dyskretnie, na własnych ekranach. Co innego, jeśli szykowały się duże, prawdziwe igrzyska z licznymi atrakcjami. Wtedy w amfiteatrze mogło nawet zabraknąć miejsc.

Łowcy nie musieli się bać, że przestępczy android dostrzeże zbyt dużą grupę obserwatorów w łoży treningowej, w której zwykle przebywał tylko samotny lanista, gdyż w okna pomieszczenia wstawiono weneckie szyby. Świat hazardu cenił anonimowość.

Atmosfera napięcia i oczekiwania buzowała w powietrzu niczym ozon po burzy na starej, rodzimej Ziemi. Wszyscy milczeli, ale cisza wydawała się duszna i przytłaczająca. Nienaturalna. Zaprawiona kwaśnawym odorem strachu. Zastawili sidła, a teraz nie mogli nic

więcej zrobić, tylko czekać. W pewnym momencie Lockett stwierdził, że w ciasnym pomieszczeniu sam czuje się zatrzaśnięty w pułapce. Szeryf pewnie też miał podobne wrażenie, bo wiercił się na krześle, bezwiednie postukując palcami w blat konsoli. Lanista był błądy i zdenerwowany, jakby sama obecność morderczego androida na jego arenie mogła porazić obecnych jakimś rodzajem mrocznego skażenia. Pocił się nieco.

Co dziwne, najbardziej wyluzowany wydawał się Egre. Siedział spokojnie w głębokim fotelu, swobodnie opierając ręce na podłokietnikach. Przypominał odrobinę ofiarę nielegalnych eksperymentów, bo z jego karku zwiślał gruby kabel podłączony do dwóch wielkich wzmacniaczy telepatycznych, ale nic nie wskazywało, żeby czarodziej był specjalnie zdenerwowany. Miał skupiony wyraz twarzy i czujny wzrok.

Czekanie przedłużało się jednak nieznośnie, cisza buczała w uszach jak przeciążony transformator. Pierwszy nie wytrzymał Montalembert-Salignac.

– Przyszedł już? – spytał ściszym głosem.

Lanista szybko skinął głową.

– Tak. Przebiera się. Zaraz zabrmi sygnał rozpoczęcia walki.

– Oby! To zawsze tyle trwa?

– Zawodnik musi założyć wszystkie elementy zbroi. Za chwilę...

Długi, przeciągły głos rogu zagłuszył dalsze słowa. Brzmiał jednocześnie groźnie i jakoś nieprzyjemnie złowroźnie. Wręcz pogrzebowo. Jakby zaraz ktoś tu miał się rozstać ze światem.

– Wchodzą androidy treningowe. – Lanista przełknął ślinę, bo ze zdenerwowania nagle zaschło mu w ustach.

Faktycznie, wielka brama po lewej stronie areny otwarła się majestatycznie, wypuszczając na piasek trzy roboty. Miała kształt lwiej głowy z ryczącym pyskiem. I właśnie z tej paszczy wybiegali teraz gladiati. Czerwonoskóry Techniczny, ubrany w wypukły pancerz, na głowie nosił pokraczny hełm kojarzący się z rozplataną rybią tuszą. W dłoniach dzierżył potężny trójząb oraz topór, który dziwnie przypominał zwykłą siekierę. Drugi android okazał się wielkim żółtym robotem kopalnianym z dwiema parami ramion. Górne, muskularne i dłuższe od dolnych, zakończone były metalowymi szczypcami. W krótszych trzymał swoje uzbrojenie, szeroki trójkątny miecz i okrągłą tarczę. Trzecim gladiatorem był niebieski sobowtór przyodziany w lamelkową zbroję sięgającą mu za kolana oraz groteskowe, nabijane metalowymi kolcami karwasze. Całości dopełniał baniasty hełm z okrągłą szybką, który żywo przypominał nurkowy keson sprzed zamierzchłych wieków.

Zaraz wsadzi sobie to kolczaste cholerstwo w wątrobę, pomyślał

Lockhett z lekkim niesmakiem. Skąd lanista wytrzasnął te idiotyczne eksponaty?

Faktycznie, trudno się było pozbyć wrażenia, że aby ubrać i wyposażać zawodników, ktoś musiał okraść jakieś ubogie prowincjonalne muzeum.

Toż to zwykła żalosna dziecinada! – stwierdził szef do spraw kryzysowych, ale nawet nie wiedział, jak szybko przyjdzie mu pożałować tego pochopnego stwierdzenia.

W tej samej chwili bowiem róg znów się odezwał, a brama po drugiej stronie areny zaczęła się z wolna otwierać. Przypominała łeb warczącego tygrysa, więc wejście miała węższe i niższe od lwiego pyska, lecz zanim jeszcze odemknęło się całkowicie, gladiator już wybiegł na arenę.

Ubrany równie groteskowo jak jego przeciwnicy. W jakiś długi skórzany kaftan i obły puklerz z zupełnie innej bajki. Na nogi założył nagolenniki oraz sandały, ale na oko dziwnie damskie. Hełmu nie nosił wcale, nie miał też żadnej widocznej broni, tylko gołe ręce. No i wydawał się zdecydowanie za stary, zbyt przeciętny na Lola. Ot, sąsiad w średnim wieku. Zwykły sąsiad z przeciwka. Kto chciałby się pieprzyć z takim kochankiem?

– Co tu się, kurwa, wyrabia? – stęknął zdumiony szeryf.

Nikt nie zdążył odpowiedzieć, bo sąsiad właśnie rzucił się do boju.

Przystanął dosłownie na ułamek sekundy, żeby ocenić sytuację, a potem ruszył do błyskawicznego ataku. Lockhett nigdy w życiu nie widział tak szybko poruszającej się istoty. Domniemany Lolo przypadł najpierw do sobowtóra z jezami zamiast pięści. Jednym potwornym ciosem zmiażdżył mu klatkę piersiową, wbijając ramię głęboko do środka. Płynnie, niemal zwiewnie uchylił się przed uderzeniem metalowego karwasza, jednocześnie wyszarpnąwszy kłęb broczących sztuczną posoką narządów z biomasy. Wszystkie żywotne organy przeciwnika. W momencie gdy wypatroszony android już padał do przodu, morderczy sąsiad na ułamek sekundy objął go za głowę i przytulił czoło do swojego czoła, jakby żegnał czule umierającego przyjaciela. Gdy zewłok sobowtóra walił się na piasek, jego przeciwnik już walczył z żółtym robotem kopalnianym. Tańcząc, śmigając, uskakując, okładał powolnego giganta gradem ciosów, nie doznawszy ani jednego draśnięcia. Tymczasem pod uderzeniami jego pięści pancierz olbrzyma wgniatał się bądź pękał. A mordercze szczypce i trójkątny miecz zawsze chybiały celu. W dodatku podstarzały Lolo bez większego trudu zastawiał się kopalnianym androidem jak tarczą, broniąc się jednocześnie przed atakami czerwonoskórego Technicznego. Widać było, że bawi się przeciwnikami, gra z nimi dla własnej przyjemności. Walka na arenie przypominała zdumiewający balet. Jakieś nierealne



przedstawienie, w którym doświadczony, utalentowany baletmistrz występuje w towarzystwie członków kółka tanecznego z domu starców, prezentując niewiarygodny popis zręczności, szybkości i siły.

Spektakl zakończył się nagle, w sposób równie sensacyjny, co niespodziewany. W pewnym momencie, chyba znudzony walką, morderczy android wykonał błyskawiczny piruet, a po nim długi odskok w bok. W tej samej chwili, gdy bez trudu łapał równowagę po skoku, trójząb czerwonego Technicznego, skierowany pierwotnie w jego pierś, wbił się głęboko w bok żółtego olbrzyma. Tymczasem potężne szczypce o włos minęły głowę starszawego Lola, zaciskając się bezwiednie na szyi towarzysza broni. Oba roboty z chrzęstem padły na piasek.

Rany, specjalnie to zrobił, skurwysyn! – pomyślał osłupiały Lockhett. Poszczuł je na siebie, żeby same się zabiły! Boże drogi! Jak mu się to udało, do cholery?

Zafascynowany walką, nawet nie spojrzał na fotel, w którym siedział Egre. Odwrócił się, dopiero gdy usłyszał bolesny, przeciągły krzyk czarodzieja. Telepata spazmatycznym gestem zdołał jakoś wyszarpnąć kabel ze swojego sprzęgu. Ale ledwo to zrobił, poleciał w tył, na oparcie fotela, bezwładnie jak wór szmat. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, z nosa buchnął gejzer krwi.

– Bastian! – zawołał przerażony Lockhett, przypadając do przyjaciela.  
– Kurwa, pomóżcie mu! On umiera!

Szeryf już dotykał szyi czarodzieja, szukając pulsu.

– Żyje – stwierdził. – Ale nie mam pojęcia, w jakim stanie jest jego mózg.

Oszołomiony Lockhett stał tylko, dysząc ciężko, wpatrzony w nieprzytomnego telepate. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko, co dziś wieczór stało się na Arenie Olimpu, rzeczywiście się wydarzyło.

Szeryf klepnął go pocieszająco w ramię.

– Karetka już tu jest. Sanitariusze za sekundę się nim zajmą.

Przez panoramiczne szyby łoży treningowej roztaczał się wyśmienity widok na piaszczystą pustynię porażki. Leżały na niej tylko trzy zdruzgotane, martwe roboty.

Morderczy android oczywiście zniknął.



Jezu, usmażyłem kumpla!

To jedno koszmarne zdanie dudniło nieustannie pod czaszką Lockhetta.

Oby to nie była prawda. Oby nic mu się nie stało, powtarzał sobie

nieustannie. Rany, czemu wszystko, czego się tknę, zamienia się w totalny syf i wybucha mi w rękach? Boże, spraw, żeby Bastian przeżył i wyzdrowiał. To jedyne, o co teraz ośmielam się prosić.

Siedział w policyjnym śmigaczu w drodze do szpitala. Montalembert-Salignac wezwał go enigmatycznym „przyjedź natychmiast” i powiadomił, że posyła transport. Lockhett wyskoczył z pojazdu, nie zamykając drzwi, ledwie podwozie dotknęło lądowiska. W panice gnał szpitalnymi korytarzami, a jego serce grało jak werbel.

Kurde! Kurde! Kurde! Byle Egre wyzdrowiał! Byle nie umarł ani nie zmienił się w wegetującą kukłę!

Gdy wpadł wreszcie do izolatki, telepata, nagle jakiś maleńki, wątki, omalże przezroczysty, leżał bez ruchu na łóżku. Oczy miał zamknięte, skórę nienaturalnie białą, perłową niemal, z sinawą poświatą ostateczności. Wydawał się utkany z ektoplazmy, a długie, jasne pasma włosów rozrzucone na poduszce tylko potęgowały to okropne wrażenie.

W nogach czarodzieja stał szeryf, milczący, uroczysty, niewzruszony. Duch przodka czuwający nad członkiem plemienia. Jego brązowa, ciemna twarz rażąco kontrastowała z bledością chorego.

Lockhett wparował do salki i w progu zmarł jak wryty.

– Bastian! – jęknął zdruzgotany zastanym widokiem.

Egre zamrugał powiekami, z trudem odemknął jasnozielone oczy.

– Niech cię szlag, Ambrosius – szepnął słabo. – Przypomnij mi, żebym już nigdy, przenigdy nie narzekał przy tobie na nudę.

Pod szefem do spraw kryzysowych kolana ugięły się z nadmiaru emocji. Złapał za klamkę, żeby utrzymać równowagę. Ze szczęścia i ulgi cały świat zawirował mu w głowie. Łóżko, stolik, sprzęty medyczne i totemiczna figura szeryfa przewijały mu się przez sekundę przed oczami w radosnej karuzeli. Ledwie wrażenie minęło, natychmiast wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Stary! Nie rób tak więcej! Chyba że chcesz przyprawić mnie o zawał.

– Nic mu nie jest. Przeżył głęboki wstrząs, ale dojdzie do siebie – oświadczył szeryf, który pozostawał cały czas bardzo poważny i zatroskany. – Teraz najważniejsze, co mi powiedział. Możesz, Egre?

Lockhett pochylił się nad łóżkiem przyjaciela.

– Nawiązałeś kontakt? Widziałeś patrona? Wiesz, kto to jest? – spytał z mieszaniną podziwu i niedowierzania.

Telepata z trudem, w ostatniej chwili zdołał uratować życie. W takich warunkach odkrycie tożsamości sprawcy wydawało się zupełnie niemożliwe.

Czarodziej jednak słabo skinął głową.

– Victor Zebedeusz Hernandez – wyszeptał.

Lockhett z zaskoczeniem spojrział na szefa policji.

– Olivier? – spytał tylko.

– No właśnie! – westchnął Montalembert-Salignac. – No właśnie!



Chwilę trwało, zanim Lockhett otrząsnął się ze zdumienia.

– Jesteś pewien, Bastian? – Nie potrafił uwierzyć. – Nie pomyliłeś się? W końcu byłeś w szoku i w ogóle...

– Nie byłem „w ogóle” – w zmęczonym, cichym głosie telepaty zabrzmiała nuta irytacji. – Twarz tego skurwysyna rozpozna każdy w Rozpadlinie. A już szczególnie czarodziej.

No tak. Z tym stwierdzeniem nie dało się dyskutować. Hernandez należał do najbogatszych udziałowców spółki górniczej Geotrick, a jednocześnie pozostawał najbardziej wpływową szycą mafijną na całej planecie.

Pozostawał.

Do pewnego czasu.

Bo tak się akurat składało, że od dobrego miesiąca nie żył.

Jako oficjalną przyczynę śmierci podano niewydolność wielonarządową. Z tym akurat Lockhett zgadzał się w zupełności. Sześć kul w różnych częściach organizmu mogło do niej doprowadzić.

– Prawdopodobnie drań żyje w najlepsze, bo tylko sfingował swoją śmierć – zasugerował. – Da się to sprawdzić? Ekshumacja wchodzi w grę?

– Chcesz obejrzeć trupa? – warknął ze złością Montalembert-Salignac.

– O, to bardzo proste! Wystarczy zdjąć pokrywkę i wysypać skurwiela na talerz. Zgodnie z ostatnią wolą nieboszczyka rodzina zaraz po jego śmierci zarządziła kremację.

– Kurwa! – stęknął rozczarowany Lockhett.

– Ano właśnie. Kurwa – przytaknął szeryf. – Ale to nie koniec ponurych nowin. Egre widział coś jeszcze.

Lockhett zerknął na przyjaciela, który nadal leżał na łóżku bez ruchu, z zamkniętymi oczami, jakby spał albo stracił przytomność. I wtedy Ambrosius napotkał bladozielone, nieco tylko zamglone spojrzenie czarodzieja.

– To Anioł. – Telepata znów przymknął powieki, jakby chciał przypomnieć sobie ulotną wizję. – Anioł Stróż.

W pierwszej chwili Lockhett przestraszył się, że Egre jednak doznał uszkodzeń mózgu i majaczy. Ale szybko zrozumiał, o co chodzi.

O Boże, zrozumiał!

– To niemożliwe! Niemożliwe! Nikogo w Rozpadlinie nie stać na taki

model! Nawet Hernandez!

Szeryf westchnął ciężko.

– Widocznie nie wszystko wiedzieliśmy o finansach tego pana. Czarodziej twierdzi, że to Anioł Stróż, najnowszy i najpotężniejszy model cyngla. A ja mu wierzę. Spytasz dlaczego? Bo zastawiliśmy fachową pułapkę na tę maszynę. Dwa ciężkie wozy policyjne, blokada, kilkunastu funkcjonariuszy z bronią długą, trzech gości z paralizatorami elektronowymi o mocy zdolnej wyłączyć główny generator Rozpadliny, których jeden impuls zdołałby usmażyć każdego robota w habitacie. I jaki rezultat? Dwóch dobrych, sprawdzonych policjantów nie żyje, trzeci walczy o każdy oddech w tym cholernym szpitalu, jeden pojazd opancerzony i dwa śmigacze rozwalone na miazgę gołymi rękami tego pierdolonego androida, zresztą postrzelanego przez moich jak sito, wielu ludzi poturbowanych, niektórzy z nich dość mocno i ani śladu naszego elektronicznego psychologa. Jeśli to nie chrzaniony Anioł Stróż, to niby co?

Lockhett rozpaczliwie próbował zachować rozsądek, lecz panika mąciła mu myśli. Jeśli Bastian i Montalembert-Salignac się nie mylą, to mieszkańcom Rozpadliny przyjdzie się zmierzyć z prawdziwym potworem. Wielu wpływowych ludzi, polityków, przedsiębiorców, gwiazdorów fundowało sobie do ochrony specjalne androidy, zwane powszechnie cynglami. Na rynku było wiele modeli takich robotów. Od bardzo prostych, pozbawionych sprzęgów telepatycznych, humanoidalnych maszyn po wyrafinowane sobowtóry, połączone telepatycznie ze swoim patronem. Te ostatnie zwykle wyglądem przypominały po prostu krzepkich osiłków. Lecz ostatnio naukowcom udało się podobno stworzyć supernowoczesnego cyngla o niebywałych umiejętnościach i odporności. Praktycznie niezniszczalnego, wiernego do ostatka sobowtóra, który w dodatku potrafił odeprzeć atak innych androidów bojowych, w jednej chwili zabijając nie tylko je same, ale także sprzężonych z nimi operatorów. W ten sposób znacznie obniżał ryzyko zabicia lub zranienia własnego patrona. Nazwano go Aniołem Stróżem, bo posiadał zdolności niemal nadprzyrodzone. Model ten był ściśle tajny. Powstał specjalnie do ochrony najważniejszych przedstawicieli ludzkości, szczególnie polityków i głównie przed zamachami terrorystycznymi, choć nie tylko. Ten supercyngiel miał wmontowane bardzo silne zdolności telepatyczne, wzmocnione specjalnymi urządzeniami. Ślepo posłuszny, wykonywał wszystkie rozkazy pana. Co więcej, dla niepoznaki był ucharakteryzowany na zwykłego człowieka. Mógł wyglądać jak śliczna dziewczyna, starszy mężczyzna, zażywna dama, zupełnie przeciętny sekretarz, księgowy, urzędnik, współpracownik. Ktoś, kto nie rzuca się w oczy w szeregach świty wpływowej osoby.

Zupełnie jak zabójczy Lolo, który dopiero co walczył na Arenie Olimpu.

Lockhetta przeszedł dreszcz. Lodowato zimny, jak tchnienie śmierci.

Nigdy, odkąd zaczął pracować w Korporacji Tytan, ludność Rozpadliny nie znalazła się w takim niebezpieczeństwie.

Oczywiście, Anioł Stróż kosztował nieziemskie krocie, a posiadanie go w prywatnych rękach było całkowicie zabronione. Żaden zwykły obywatel nie miał prawa nabyć takiego cyngla. Ale od kiedy bogaci gangsterzy należą do grona zwykłych obywateli?

Widocznie Hernandeza było stać na kupno najwierniejszego przyjaciela na świecie. Tyle że teraz po habitacie biegał poraniony i być może zepsuty hiperzabójca, prawdopodobnie pozbawiony patrona. Jeśli Hernandez faktycznie nie żył, bo nawet tego nie dawało się sprawdzić.

Boże drogi, co za syf!

W tej chwili Lockhett nie miał najmniejszego pojęcia, co robić. Na pomoc Bastiana na pewno nie miał już co liczyć. Zresztą nie wykorzystaliby przyjaciela do walki z androidem o morderczych skłonnościach telepatycznych. Egre uratował życie w ostatniej chwili. Zdołał uciec, wypinając sprzęgi, tylko dlatego, że był piekielnie utalentowanym czarodziejem. Zachował zimną krew, świetnie się maskował przez cały czas, a zabójca był dodatkowo zajęty walką. Jednak czarodziej, nawet wyśmienity, niewiele mógł zdziałać w starciu z Aniołem Stróżem. Co najwyżej szybko zwać albo przenieść się na drugą stronę tęczy.

Nawet umiejętności panny Woo na nic by się tu nie przydały. Ona potrafiła tylko włamać się do mózgu zwykłego człowieka i zrobić z niego sałatkę. Nie miała żadnego doświadczenia w walce z bojowym androidem telepatą.

Lockhett ze smutkiem zrozumiał, że tak czy inaczej, będzie musiał powiadomić zarząd korporacji. Sytuacja stała się zbyt kryzysowa, żeby zdołał sam zamieść wszystkie brudy pod dywan.



Dyskutowali i dyskutowali z szeryfem na wszelkie sposoby, ale niczego sensowniejszego nie umieli wymyślić. Sprawa zdecydowanie stała się zbyt śmierdząca. Nie pozostawało nic innego, tylko zgłosić się po pomoc do służb specjalnych w Kukurydzianym Raju, siostrzanej planecie, pod której jurysdykcją oficjalnie pozostawała Rozpadlina. Przy tylu ofiarach i takiej skali problemu obaj mieliby poważne kłopoty, gdyby podjęli inną decyzję. Poza tym nie mogli ryzykować, że ktoś jeszcze zginie.

Ale przekazanie śledztwa tajnym służbom z Cerery 703A, jak nazywał się naprawdę Kukurydziany Raj, bolało niczym osobista porażka.

– Chyba nie jest jeszcze pozamiatane, Ollie. Możemy coś jeszcze zrobić – stwierdził Ambrosius Abelard. – Za hazardem zawsze idą pieniądze. Ten pieprzony morderczy Lolo wygrał pojedynek. Czyli zarobił. Sprawdźmy więc, dokąd popłynęła forsa.

Szef policji Rozpadliny popatrzył na przyjaciela spode łba.

– Masz mnie za głupka, synu? Myślisz, że ze starości stetryczałem? Nasi szukają tej kasy, odkąd dostaliśmy zgłoszenie o zabójstwach. Tylko że to trochę potrwa. Na razie wiemy, kto oficjalnie odbiera pieniądze. I tu uważaj, żebyś się nie zdziwił. Otóż nie kto inny, tylko Juliusz Cezar.

– Pretensjonalne dosyć, nie? – parsknął Lockhett. – I jakby mało oryginalne.

Montalembert-Salignac tylko machnął ręką.

– Od początku wiedziałem, że ta sprawa śmierdzi. Od początku!

Siedzieli nad kubkami gorącej kawy w gabinecie szeryfa. Wszędzie na ścianach, biurku i innych meblach stały bądź wisiały pamiątki dobitnie przypominające rodowód przodków Montalemberta. W oknie kolorową pajęczyną rozpinał się łapacz snów. Na szafce z papierami służbowymi pysznił się rzeźbiony kiel morsa. Z kąta wyglądał totem, bardzo brzydki, jaskrawy i dość tandetny, zdaniem Lockhetta. Na ścianie zaś wisiało jakieś badziewie z koralików, które szef policji dumnie nazywał „wampumem”.

Wszędzie poniewierały się także liczne indiańskie drobiazgi, skórzane makatki, wyszywane paski, orle pióra, wisiorki w kształcie łososi lub wyjących wilków.

Po niebezpiecznej Erze Dehumanizacji oraz przerażającej Katastrofie Cyfrowej, która miała miejsce na Ziemi niemal dwieście lat temu, ludzie zaczęli przywiązywać ogromną wagę do manifestowania swojego człowieczeństwa. Co za tym idzie – ogromnie modny zrobił się powrót do korzeni, badanie linii genetycznego pokrewieństwa i poszukiwanie przodków. Powstał cały rynek specjalistycznych usług skierowanych do „genetonautów”, zainteresowanych zamierzchłymi losami swoich rodzin. Liczne przedsiębiorstwa oferowały stare zdjęcia, pamiątki, mapy, a także różnego rodzaju „śledztwa genetyczne” oraz testy. Już za niewielkie pieniądze można było zbadać DNA, żeby stwierdzić przewagę genów, pozwalających określić rodowód dowolnej ludzkiej istoty. Szeryf poddał się takiemu badaniu, a potem zatrudnił specjalną firmę, która udowodniła niezbitnie, że większość jego antenatów pochodziła z arktycznych terenów Ameryki Północnej, z państwa zwanego podówczas bodajże Kanadą.

Lockhett nigdy nie przywiązywał wagi do tego, skąd wywodziła się jego rodzina. Po prostu nic go to nie obchodziło. Ale Montalembert-

Salignac miał na punkcie swojej istnego bzika.

Wyznał kiedyś przyjacielowi, że tak naprawdę nosi nazwisko rodowe matki, a nie ojca.

– Dlaczego? – zdziwił się Ambrosius.

– Ponieważ nazywam się Pazur Kuguara.

– Hmm – zastanowił się Lockhett. – A co to jest kuguar?

– Lew górski. Takie wielkie, płowe kocisko, które mieszka na skałach i wszystkich zżera.

Szef do sytuacji kryzysowych obrzucił szeryfa krytycznym spojrzeniem.

– W sumie wszystko się zgadza. Pasuje do ciebie. I nawet nieźle brzmi. Przynajmniej można to jakoś wymówić. Nie tak jak ten jakiś Montalembert. Tydzień się uczyłem, zanim zapamiętałem. I w dodatku kojarzy się ze śmierdzącym, spleśniałym serem. Czemu nie wrócisz do nazwiska ojca?

– Bo bez przerwy by mnie pytali, co to jest ten zaszary kuguar, a w końcu szlag od tego może trafić. Wiem, bo już próbowałem – przyznał szeryf.

Wówczas na tym ich rozmowa się skończyła. Lockhett nie lubił drażnić w przeszłości. Jego własna miała zbyt gorzki smak. Słabość szeryfa do genealogii uważał za nieco zabawną i tyle. W sumie sprowadzała się głównie do kupowania niby autentycznych, a faktycznie podrabianych indiańskich gadżetów. Co w tym złego? Każdy ma swój gust.

Całe to lekkie szaleństwo genetyczne ludzkości stanowiło niską cenę za uniknięcie ostatecznej Katastrofy Cyfrowej, która dwieście lat wstecz poważnie zagroziła istnieniu życia na Ziemi. Świat wirtualny, czymkolwiek był, tak zawładnął umysłami ludzi, że nie chcieli już wcale spędzać czasu w realnej rzeczywistości. Całe ich życie, praca, seks, rozrywki, pasje przeniosły się w jakąś wydumaną cyberprzestrzeń. W tym samym czasie doszło do stworzenia całkowicie niezależnych, samouczących się sztucznych inteligencji, których interesy szybko okazały się sprzeczne z interesami ludzkości. Jednocześnie z rozrostem dominacji AI naukowcy odkryli sposób zapisywania osobowości człowieka jako informacji i przenoszenia jej do wirtualnych światów, w tak zwane hiperobłoki czy hiperchmury.

„Hurra! Pokonaliśmy śmierć!” – krzyczeli jedni.

„Opamiętajcie się!” – wołali inni. „To przecież wbrew naturze!”

Zapanował niewiarygodny chaos. Mnóstwo ludzi masowo zaczęło przenosić się „w chmury”, jak to się wtedy poetycznie nazywało, zwłaszcza gdy na horyzoncie pojawiała się starość. Ale równie wielu nie było stać na ziemski raj. Wybuchły zamieszki, terroryści popierający jedną lub drugą stronę dopuszczali się krwawych zamachów, ludzkość

szycowała się do globalnej wojny o prawo do obłoków.

A wtedy nad całą Ziemią zawisło widmo katastrofy.

Wykorzystując słabość swoich dawnych panów, sztuczne inteligencje uderzyły. I starłyby na proch życie w jego biologicznej formie, gdyby nie jeden naukowiec.

Świecki święty.

Mąż opatrnościowy całego świata.

Geniusz.

Matematyk, informatyk, cyfrysta.

Renard Mgembe.

Człowiek, który uratował świat.

Wszystkie ludzkie istoty rozsiane po całym kosmosie znalazły jego nazwisko.

Bo to właśnie on jeden bez żadnej pomocy opracował program, który kasował wszelkie cyfrowe przejawy osobowości, ale bez zniszczenia surowych danych. I tylko dzięki niemu gniewna, bezwzględna wirtualna kostucha zgasła jednym impulsem wszystkie odrealnione raje, rozpędziła „chmury”, zabierając w prawdziwe zaświaty zarówno wszystkie AI, jak również cyfrowe duchy niegdysiejszych mieszkańców Ziemi.

Owszem, zaraz potem nastąpił potężny kryzys informatyczny, ale kryzys to nie anihilacja. Na szczęście nie.

Okres ozdowieńczy był dla ludzkości bardzo trudny, lecz zaszczepił ją na zawsze przeciw zbyt śmiałym eksperymentom z cyfryzacją.

Ludzie okrzyknęli Mgembego wybawcą, a jego program zbawiennym „wirusem Renarda”, choć naukowiec do końca życia upierał się, że nigdy nie tworzył wirusów.

Sam mąż opatrnościowy nie cieszył się, niestety, długim życiem. Zmarł wkrótce po zakończeniu Katastrofy Cyfrowej. Podobno z przepracowania. Tak przynajmniej głosiła oficjalna wersja. Ale ludzie szybko zaczęli szemrać o samobójstwie. Podobno Mgembe nie mógł znieść ciężaru swojego czynu.

Ostatnie słowa naukowca miały ponoć brzmieć: „Zabiłem ich wszystkich”.

Dla Lockhetta, jak dla większości współczesnych, były to zamierzchłe i o lata świetlne odległe dzieje. Owszem, groźne i przerażające, niosące wciąż aktualne ostrzeżenie, lecz przecież pogrążone w mrokach przeszłości, której nikt nie pamiętał.

Świat od dawien dawna wyglądał jak tutaj, w Rozpadlinie albo w Kukurydzianym Raju, najbliższej planecie krążącej wokół tego samego słońca co ART 193678. Królowały w nim androidy i inne roboty, sprzęgi telepatyczne, proste rozrywki oraz twarda, namacalna rzeczywistość.



Oczywiście, świat wirtualny oraz cyfrowa łączność nadal istniały, ale w zupełnie innej formie niż kiedyś. Poddane rygorystycznym przepisom, służyły tylko do przechowywania i przekazywania informacji. Może jeszcze do czegoś, ale o tym wiedzieli tylko specjaliści.

Szef do zadań specjalnych Korporacji Tytan kompletnie się na tym nie znał.

W tej chwili obchodziło go tylko jedno. Że na dane personalne Juliusza Cezara oraz przybycie funkcjonariuszy z Cerery 703A będzie trzeba chwilę poczekać.

Więc czekał, modląc się, żeby w tym czasie nie nastąpił kolejny atak szalonego androida.



Wiadomość od szeryfa zastała go przy kolacji. Gotowy posiłek instant stygł szybko w chłodnym wnętrzu mieszkania, w kącie, pulsując kolorami, pomrukiwał holowizor.

– Mamy go! – krzyczał podekscytowany Montalembert-Salignac. – Jest nazwisko i adres. Zaraz u ciebie będę. Szykuj się!

Lockhett bez żalu porzucił brejowate jedzenie i zaczął się pośpiesznie ubierać.



Oznakowany śmigacz wylądował tuż pod drzwiami budynku akurat w chwili, gdy Ambrosius otwierał drzwi. Pilotował sam szef policji.

– Wskakuj! – nakazał krótko.

Ledwo Lockhett zajął miejsce, Olivier poderwał pojazd do lotu. Maszyna, kierowana automatyczną nawigacją, od razu pomknęła na miejsce.

– Nie zabrałeś ze sobą żadnego policjanta? – zdziwił się Ambrosius. – Nie potrzebujemy wsparcia?

Montalembert-Salignac skwitował pytanie wzruszeniem ramion.

– Po co? Ten koleś to z pewnością tylko pierwszy supełek na sznureczku. Przekazuje forszę komuś innemu, ten ktoś podaje ją dalej i tak jeszcze parę razy, dla zatarcia śladów. A jeśli ten pieprzony robot tam jest, to moi chłopcy i tak nam nie pomogą. Po co mam ryzykować ich życie. To przecież nasza sprawa, synu, nie?

Szef od sytuacji kryzysowych nie mógł się z tym nie zgodzić. Nawet jeśli sami siedzieli w gównie, to nie powinni ściągać tam nikogo więcej.

– Osiedle nazywa się Oaza. Tanie, biedne, ale jeszcze nie slums. Mieszkają tam głównie Czasowi, ale na długich kontraktach. Nasz cesarz Julek nazywa się Basilio Estevez Cheng. Co ciekawe, nie ma go na liście pracowników Tytana. Figuruje tam jednak Esteban Mauricio Cheng, górnik, który mieszka pod tym samym adresem. Ale od dwóch miesięcy pracuje na nowym, eksperymentalnym wyrobisku. To tak cholernie głęboko pod ziemią, że nie opłaca się codziennie wyciągać robotników na powierzchnię, do Rozpadliny. Wszyscy tam śpią, jedzą i pracują. Kurewska robota, ale nieźle płatna. Cheng nie wyściubił stamtąd nosa, odkąd zjechał w dół. Sprawdziliśmy.

– Ten Basilio to pewnie jego brat albo kuzyn – stwierdził Lockhett. – Nie ma go na liście pracowników, bo to pewnie pieprzony gangster z Geotricku.

– Zaraz się przekonamy.

Montalembert-Salignac zrobił szeroki nawrót i przyszykował śmigacz do lądowania.

Osiedle Oaza nie prezentowało się najlepiej. Rzędy małych, ubogich domków sklezione ze sobą, wciśnięte pod nawis potężnej czarnej ściany skalnej wyglądały, jakby próbowały się ukryć przed niewidzialnym wrogiem. Struchlałe, stare i krzywe, dożywały kresu zmęczonego żywota. Wypaczone okna, wyrwane framugi, ciekące dachy. Wszędzie tu brakowało przestrzeni, oddechu, nadziei.

Smętne miejsce.

Duża policyjna maszyna ledwo zdołała przykucnąć w wąskiej ślepej uliczce, zakończonej gruzowiskiem kamieni.

– To tam – wskazał szeryf. – Ostatni dom.

Dzwonka nie było, więc zapukali do obłazących z farby metalowych drzwi. Nie doczekali się odzewu, zatem załomotali znowu.

– Wynoście się, pijacy cholerni! – usłyszeli w odpowiedzi jazgotliwy kobiecy głos. – Nic wam nie dam! Ani grosza!

– Policja! Proszę otworzyć! – zawołał głośno Olivier.

– Akurat! Pobujajcie kogoś innego! Wynocha, powiedziałam!

Lockhett tylko wzruszył ramionami, ale jego przyjaciel skrzywił się z irytacji.

– Proszę pani, nazywam się Montalembert-Salignac i pełnię tutaj funkcję szeryfa. Jest ze mną Ambrosius Lockhett z Korporacji Tytan. Przed pani domem stoi oznakowany pojazd policyjny. Proszę natychmiast otworzyć drzwi!

Tym razem zawiasy skrzypaneły i na progu pojawiła się kobieta ubrana w wyciągnięty, brudny dres, na który narzuciła ogromny bury sweter. Wyglądała, jakby taszczyła na plecach niedźwiedzia. Miała tłuste, mysie włosy i zniszczone paznokcie. Jej trójkątna, blada twarz o podkrążonych oczach była pyszczkiem przerażonej fretki czy łasicy.

Jakoś dziwnie pasowała do zabudowań, które kojarzyły się Lockhettowi z rzędami klatek dla futerkowych zwierząt.

– Pani Cheng? – spytał szeryf, jednocześnie pokazując odznakę. – Zna pani niejakiego Basilia Esteveza Chenga?

Kobiecina zbielała jak śmierć i aż się zachwiała w drzwiach.

– Boże Święty! Chyba nic mu się nie stało?! – wyjąkała.

Gdzieś w głębi domu rozpląkało się rozgłosnie niemowlę.

– Nie. Jeszcze nie. Ale może być oskarżony o bardzo poważne przestępstwo.

– Silio?! – Złapała się za głowę. – Co on znowu nawyrabiał?! Czasem coś tam gwizdnie albo zepsuje, ale nigdy...

– Jeśli wie pani, gdzie Cheng w tej chwili przebywa, proszę natychmiast powiedzieć – przerwał szeryf. Jego twarz stała się maską surowości i powagi. – To nie są żarty, droga pani. On może być oskarżony o współudział w wielokrotnym morderstwie.

– Morderstwie?! – Kobieta w niedźwiedzim swetrze zaczęła się trząść, jakby poraził ją prąd. – Mój syn?! To niemożliwe! On ma dwanaście lat!

Lockhett i szeryf wymienili natychmiast zaniepokojone spojrzenia. Po habitacie krążył, najprawdopodobniej uszkodzony, robot bojowy najwyższej klasy. Oczywiście prawdopodobieństwo, że znajdował się w tym samym miejscu co Basilio, było bardzo niewielkie. Jednak jeśli jakiś nieostrożny dzieciak przypadkiem wlaź pod łapy niebezpiecznemu psychopatycznemu zabójcy, w każdej chwili może z niego zostać krwawa mielonka.

– Pani Cheng – powiedział Lockhett – widocznie zaszła pomyłka. Ale chłopcu może grozić poważne niebezpieczeństwo. Wie pani, gdzie on teraz jest?

– Bawi się na tym wielkim wysypisku dwie przecznice dalej. – Ciemne oczy kobiety były teraz oceanami strachu. – Już dawno powinien wrócić do domu, wiem. Ale mam pięcioro dzieci, mąż w kopalni... Nic mu się nie stanie, prawda?

– Nic – oświadczył dobitnie Montalembert-Salignac. – Zaraz go pani przywieziemy.

Ale w jego głosie dała się słyszeć nuta napięcia. Stare wysypisko? Cholera! Gdzie mógłby się ukryć postrzelany robot? Właśnie na starym wysypisku, gdzie łatwo znaleźć kryjówkę i poszukać części do naprawy. Oczywiście, w grę wchodziły też opuszczone szyby, porzucone magazyny, baraki czy inne podobne miejsca, lecz poziom niebezpieczeństwa, w jakim mógł się znajdować chłopak, znacząco wzrósł. Lepiej odprowadzić szczeniaka bezpiecznie do mamusi i zająć się Aniołem Stróżem.

Kiedy wsiadali do śmigacza, Ambrosius odwrócił się na moment i w słabym świetle padającym z wnętrza domku zobaczył sylwetkę

oniemiałej ze zgrozy pani Cheng, wciąż stojącej na progu.



Wysypisko obejmowało naprawdę rozległy teren. Szeryf i Lockhett zaparkowali w uliczce obok, po czym zaczęli przeczesywać złomowisko, szczerze mówiąc, bez większej nadziei na znalezienie chłopca. Na szczęście ktoś zadał sobie trud i kiedyś, pewnie bardzo dawno temu, posegregował na osobne sterty większość zgromadzonych na złomowisku części i sprzętów tak, że między kupami złomu powstały wąskie ścieżki.

Przez godzinę z hakiem przyjaciele obchodzili te wąwozy wryte w zwałach zardzewiałych śmieci, ale nie napotkali ani śladu obecności dzieciaka.

– Patrz, tam stoi hangar czy jakaś inna wielka buda. – Lockhett wskazał latarką mającący w oddali kanciasty masyw budynku. – Może mały tam się zadekował.

Montalembert-Salignac skinął głową.

– Prawdopodobnie. Sam bym tak zrobił na jego miejscu.

Ledwie weszli do wnętrza przez wielkie metalowe drzwi, uwagę szefa do spraw kryzysowych przykuło mającące w oddali bladziutkie, słabe światelko. Małeńki, ledwo żywy odprysk jasności. Niemalże zjawa świetlna.

Chwycił za ramię szeryfa, szepcząc:

– Patrz!

Obaj przygasili latarki i poszli w kierunku mdłego odbłasku, starając się zachowywać ostrożnie i cicho. Po chwili ich oczom ukazało się wnętrze całkiem schludnego niedużego warsztatu. Na blacie leżało kilka urządzeń, wyraźnie przygotowanych do naprawy, a w kącie buczał miarowo niewielki generator, oddający pomieszczeniu nieco ciepła i światła.

– Jeśli to melina małego, to szczeniak ma smykałkę do elektroniki – powiedział szeryf z odrobiną podziwu w głosie.

– Może znaleźliśmy kryjówkę jakiegoś innego złomiarza – zastanowił się Lockhett.

– Może. Chodź, rozejrzemy się.

Hangar był duży. Porzucone dawno temu, stare kopalniane urządzenia, często przykryte płachtami plandeki, przypominały zmumifikowane truchła wielkich zwierząt. Jakieś mastodonty i mamuty zamierzchłych technik wydobywczych. Zastawiały niemal całą przestrzeń.

Omiatali latarkami wewnątrz, lecz z ciemności wylaniały się tylko pęki kabli, grube, omszałe rdzą przewody, kanciaste przekładnie, zakrzywione lemieszki czy bulwiaste zawory, nagie kości zapomnianych, dawno umarłych maszyn.

Wtem Lockhettowi wydało się, że dostrzega jakiś ruch na górze, pod mrocznym, wysokim niebem sufitu. Cień cienia. Czerń ciemniejszą od pozostałych plam ciemności.

Antresola. To była antresola, na której prawdopodobnie coś się poruszyło.

– Basilio! – zawołał Ambrosius Abelard. – Basilio Cheng! Nie chowaj się! Wyjdź! Jesteśmy z policji! W okolicy grasuje bardzo niebezpieczny android! Zabił już pięć osób, w tym dwóch funkcjonariuszy! Nie bój się! Nie zrobimy ci krzywdy! Chcemy tylko zawieźć cię bezpiecznie do domu! Silio! Jesteś tam? Słyszysz?

– Widziałeś go? – spytał szeryf.

Lockhett bezradnie rozłożył ręce.

– Nie wiem. Chyba coś tam się poruszyło. Pojdę sprawdzić.

– Dobra – zgodził się Motalembert-Salignac.

Szef do zadań specjalnych ruszył przed siebie, przebijając się z trudem między trupami niegdysiejszych koparek i gruzarek. Po krótkich poszukiwaniach odnalazł kręcone metalowe schody, istny kręgosłup schorowanego potwora. Stopnie rozłaziły się jak zdeformowane kręgi, główna oś, pokryta starą posoką rdzy, przypominała wynaturzony, odsłonięty rdzeń, ale konstrukcja zdawała się w miarę solidna.

Na wszelki wypadek dobył broni, odbezpieczył i bez wahania wbiegł na górę.

Słyszał, jak w czeluściach hangaru szeryf nawołuje chłopca i dobitnie uświadamia, ile ofiar pochłonęło już szaleństwo bojowego robota.

Na antresoli poniewierało się po podłodze dużo drobnych śmieci, w tym jakieś szmaty i sporo opakowań po elektronicznych częściach. Kiedyś musiały się tutaj znajdować pomieszczenia biurowe lub magazyny służące do przechowywania mniejszych i delikatniejszych przedmiotów, bo Lockhett zauważył w ścianie troje zamkniętych drzwi.

Ujął za klamkę najbliższych i ostrożnie otworzył. Rozległo się jęśliwe, upiorne skrzyknięcie, jak zawroźnienie głodnej strzygi. W szparze za framugą ukazała się tylko głęboka otchłań zupełnej ciemności.

– Silio? Jesteś tam? – spytał stłumionym głosem szef od niewygodnych spraw Korporacji Tytan.

Ale chłopca za drzwiami nie było.

Zamiast niego objawił się upiór. Czarno-krwawy, oblepiony zaschlą skorupą czerwieni, wychynął z nicości, łyskając spod poszarpanych tkanek surowym metalem korpusu. Porwane ubranie wlokło się za nim

niczym strzępy skrzydeł.

Szarpnął klamką od wewnętrznej strony tak mocno, że omal nie wyłamał Lockhettowi palców. Gdyby Ambrosius Abelard miał choć odrobinę gorszy refleks, już by nie żył. Zdołał jednak uskoczyć w bok i schylić się, zanim dosięgły go mordercze dłonie androida.

Bo to był właśnie on. Sobowtór morderca.

Psychopatyczny sąsiad księgowy, którego jak pocisk wypluła naraz ciemność.

Teraz zaś ten gladiator z piekła właśnie na niego nacierał.

Adrenalina buchnęła w mózgu Lockhetta, popłynęła żyłami, gorąca, pienista, zwierzęca. Gdzieś daleko, poza rzeczywistością, słyszał wysoki, piskliwy, pełen paniki głos dziecka albo kobiety, dochodzący chyba z innego świata.

Ponieważ w tym świecie polował na niego nieubłagany, bezwzględny Anioł Stróż.

Miotając się w jakimś szalonym tańcu, niczym marionetka na drucie, Lockhett zdołał wywinąć się kilka razy spod ramion androida, ale wiedział, że to nie potrwa długo. W starciu z tym upadłym elektronicznym demonem był z góry skazany na zagładę. Wiedział, że nie ma szans oślepić przeciwnika silnym światłem czołowej latarki, bo to nie człowiek, ale bojowa maszyna. W przeskokach czerni i bieli, jak na stroboskopowym ujęciu, migały mu mordercze pięści robota, jego beznamiętna, przeciętna twarz, znoszone buty, fragmenty podartego ubrania.

Cyk – cyk.

Jasno – ciemno.

Policzek – dłoń.

Cios – kopniak.

Kopniak – cios.

Życie – śmierć.

Nie, chyba jednak śmierć, bo Lockhettowi coraz trudniej było uchylać się, żeby unikać morderczych uderzeń księgowego zombie. Spocił się, zadyszał, zmęczył. A tamten nacierał z obojętną zaciekłością maszyny.

Maszyny służącej do zabijania.

Lockhettowi wydawało się, że walczy całe godziny, choć przecież nie minęło więcej niż kilka sekund, kilka wydechów i uników. Dlaczego wciąż żył? Nie miał pojęcia. Czasem odnosił wrażenie, że android zwalnia na mgnienie, chybia, nie wyprowadza naprawdę celnych ciosów. Jego pięści omijały twarz i tułów człowieka, kopnięcia nie łamały kości, ruchy stawały się chaotyczne, niepewne.

Jakim cudem? Bo tylko cud zrządził, że szef do spraw kryzysowych jeszcze nie leżał martwy z wyrwanymi flakami.

Bo android jest zepsuty! Zepsuty! Dzięki ci, Jezu, ale to i tak w sumie

nic nie da. Nawet uszkodzony, potwór zmiążdży go, nim Ambrosius Abelard zdoła wypowiedzieć swoje przydługie miano.

I to właśnie, dokładnie to, śmierć, tak absolutnie ostateczna, miała nadejść dosłownie w tej chwili, bo ramiona robota już, właśnie teraz zaciskały się na klatce piersiowej Lockhetta. Odruchowo, nawet nie licząc, że bardziej uszkodzi sobowtóra, lecz w słabej, słabiutkiej nadziei, że może choć odrobinę opóźni, Lockhett wywalił cały magazynek trzymanego w ręku igłowca wprost w odsłonięty brzuch robota. Siła uderzenia czternastu pocisków faktycznie na ułamek sekundy zatrzymała upiornego gladiatora.

Ten właśnie ułamek, w którym szef do spraw kryzysowych podjął rozpaczliwą, piekielnie desperacką decyzję.



Przeskoczył przez balustradę antresoli i rzucił się w dół.



Bo w nagłym rozbłysku wizji, białym jak flesz i równie krótkotrwałym, przypomniał sobie, że pod antresolą na podłodze leżały chyba jakieś płachty, szmaty, fragmenty rozdartych pudeł z kartonu, a nie twarde, śmiertelne metalowe kanty dawnych kopalnianych maszyn.

Chyba.

Ale i tak brakło czasu na zastanowienie.

Kiedy gruchnął z całej siły o zaśmieconą posadzkę hangaru, na moment spowiała go całkowita ciemność nieświadomości. A potem zapłonął wściekły, ognisty, gniewny i wszechogarniający ból. Buzował jak kara boża, kosmiczna katastrofa i Wielki Wybuch.

Spadając, Lockhett próbował zwinąć się w powietrzu tak, żeby zrobić przewrót przez bark, ale nie zdołał tego dokonać. Latarka czołowa wytrzymała upadek, więc teraz, półprzytomny z bólu i szoku, mrugając powiekami, przyglądał się z niedowierzaniem ostremu, białemu kawałkowi kości, który wystawał pod nienaturalnym kątem z jego prawego przedramienia.

W boku i ręce wciąż szalał ogień bożego gniewu. Gdzieś bardzo, bardzo daleko, za horyzontem zdarzeń, słyszał krzyki szeryfa, odgłos strzałów i jeszcze jeden głos, wysoki, histeryczny, piskliwy ze strachu.

Ale to nie obchodziło go wcale. Z pewnością nie tak jak fascynujący biały gnat oblany szkarłatną emalią krwi. Bardzo dziwny. Bardzo niepokojący. Bo zwykle to, co znajduje się wewnątrz człowieka, powinno tam pozostać, prawda? Zwłaszcza kości i te, jak im tam, wnętrzości. One szczególnie muszą być w środku, no nie?

Kiedy nie są, zaczynają się problemy.

Nie zdążył jednak sprawdzić stanu swoich narządów wewnętrznych, ponieważ tuż obok siebie usłyszał nagle ciężki, przerażający łomot. Dwa potężne łupnięcia.

Buch, buch.

Odgłos odmykających się wrót do zaświatów.

To android. To on. Skoczył za Lockhettem, żeby dokończyć morderczego dzieła. Stał teraz nad ranną, bezbronną ofiarą, kolebiąc się lekko. Potyczka z policjantami odcisnęła na nim wyraźne piętno. Cały był poharatany, strzępy skóry zwisały mu z ramion i piersi jak szalone proporczyki, odznaki zdobytych sprawności w zabójczym kunszcie. Spod rozdartych powłok ciała prześwitywał powgniatany od kul pancerz.

Twarz, poznaczona bojowym tatuażem szram, pozostawała niewzruszona.

Ostateczne nemezis dopełniającego się właśnie losu Lockhetta, czyli żegnaj, okrutny świecie.

Robot postąpił o krok, wyciągnął rękę.

Zaraz umrę, zrozumiał oszołomiony Ambrosius. Naprawdę umrę. Tak po prostu, tu i teraz. Dobry Jezu, to kompletnie nieprawdopodobne.

Patrzył na swojego paskudnego, częściowo oskórowanego elektronicznego kata i nie potrafił uwierzyć.

A wówczas z niebiańskich wysokości antresoli rozległ się donośny, zbawczy głos:

– Dość! Natychmiast przestań! Nie zabijaj go! Nikogo nie zabijaj, rozumiesz?! Nikogo! Nie wolno ci zabijać, nie wolno walczyć! Już nigdy! To rozkaz! Rozkaz pana! Słuchaj szeryfa jak mnie samego! Słuchaj policji! Koniec z walką i śmiercią! Koniec na zawsze! Ukłęknij teraz grzecznie i... poddaj się! Natychmiast się poddaj, bo tak każę!

Android słuchał z uniesioną głową. Słuchał, słuchał i napawał się słowami patrona. A potem padł posłusznie na kolana, opuściwszy ręce wzdłuż boków.

Połamany, krwawiący Lockhett, który leżał na stercie pudeł i śmieci, westchnąwszy głęboko, osunął się w mroki niebytu. Klęczący opodal robot wyglądał, jakby go opłakiwał.



– Ambrosius, chłopie, ocknij się! Żyjesz? – wyrwał go z omdlenia, przerażony głos Montalemberta-Salignaca.

Cóż, można się było przyjemniej obudzić. Prawy bok i ramię bolały tak, że Lockhett wolałby znowu stracić przytomność.

– Nie drzyj... się tak... – zdołał wyszeptać.

– Rany boskie, myślałem, że już po tobie. – Szeryf nerwowym gestem przegarniał włosy. – To nic, nie przejmuj się. Karetka już leci. Wyciągną cię z tego, zobaczysz.

– Robot...?

– No klęczy na śmieciach jak jakiś cholerny pokutnik. Jest posłuszny i całkowicie pokorny. Chłopaki zaraz tu będą, zabiorą go do aresztu. Ale żeby ten dzieciak... no kto by pomyślał! To on był patronem tego pieprzonego elektrycznego psychola.

– Juliusz... Cezar – wymamrotał szef do spraw kryzysowych, któremu znów zaczęło się ćmić przed oczami.

– Już ja mu pokażę pieprzonego Juliusza! – warknął wściekle Olivier. – Jak go tylko dorwę. Bo uciekł, szczeniak przeklęty. Zwiął mi sprzed nosa gdzieś na dach i dalej, jak jakaś posrana wiewióra! Wyobrażasz sobie?

Ale Lockhett nie mógł sobie niczego wyobrazić, ponieważ ponownie zemdlał.



Lockhett przyjechał do biura szeryfa natychmiast, gdy tylko dowiedział się, że Basilio Estevez Cheng został odnaleziony. Od środków przeciwbólowych wirowało mu w głowie i mdliło w dołku, a żebra i ręka nadal dokuczały jak diabli. Spędził trzy dni w szpitalu, a potem nie wytrzymał i wypisał się na własne życzenie. Korporacja Tytan zapłaciła za zoperowanie otwartego złamania, resztę pokryło prywatne ubezpieczenie szefa do spraw kryzysowych. Jak się okazało, ramię miał złamane w trzech miejscach, wybity bark, dwa żebra pęknięte, a dwa złamane z przemieszczeniem.

Mały siedział na krześle przy biurku szeryfa. Wyglądał marnie. Oczy miał wielkie, przerażone, pełne zdziwienia, jak u psiaka, który narobił na dywan. Broda mu się trzęsła od tłumionego płaczu. Wielki, zwalisty Montalembert-Salignac, oparty o blat, górował nad nim, surowy, nieprzejednany, majestatyczny. Totem plemiennej policyjnej sprawiedliwości. Nieugięty, nieprzejednany, nieunikniony. Zaciśnięte usta, wzrok karcący, lecz smutny jednocześnie.

Czysta kwintesencja zatroskanego, rozczarowanego dziadka czy wuja, który nie spodziewał się, że młodszy krewny aż tak zawiedzie pokładane w nim nadzieje.

Szef do zadań kryzysowych cicho wsunął się do gabinetu, nie chcąc przerywać tej iście dickensowskiej sceny. Jednak szeryf natychmiast zauważył i wykorzystał pojawienie się przyjaciela. Wskazał go dramatycznym gestem, oznajmiając:

– Widzisz, synu? To jest pan Lockhett, wysoki szczeblem pracownik Korporacji Tytan. O mało przez ciebie nie zginął! Ten twój cholerny android połamał mu żebra, rękę, a mało brakowało, żeby skrzył kark! Co ty na to, chłopcze?! Masz mi chyba coś do powiedzenia.

Wtedy dzieciak pękł. Obrócił na Lockhetta bladziutką, przerażoną twarz. Z oczu popłynęły mu ciche, bezradne łzy.

– Ja tylko chciałem spłacić dług kopalniany taty! – jęknął.

A potem rozryczał się na dobre.

Montalembert musiał długo poklepywać go po ramieniu i podsuwać kolejne wyszywane indiańskie makatki do wycierania nosa, aż chłopak uspokoił się na tyle, że znowu odzyskał zdolność mowy.

– Nie chciałem nic złego – chlupał. – Nic złego. Nie miałem zamiaru nikogo zabić! Nie wiedziałem! Ja... Tylko dać tacie pieniądze na spłatę długu i zostawić sobie troszkę, na różne takie fajne rzeczy... to nie miało być dużo. Troszkę. Ojca ciągle nie ma, pracuje na dole, w kopalni, na samym dnie. Mama chodzi wciąż wściekła, złości się i krzyczy. A jak oboje są razem, to też kłócą się i wrzeszczą. Myślałem... myślałem, że jak

zarobię te pieniądze, to wrócimy na górę, do domu, do słońca i powietrza, i...

Znowu wybuchnął płaczem.

– No dobrze już, dobrze, młody – pomrukiwał Olivier jak wielki, ale pocziwy zwierz, jakiś niedźwiedź czy rosomak, który owszem, przed chwilą się srożył, ale teraz się udobruchał, widząc szczerą skruchę winnego. – Weź się w garść. Przestań już beczeć, no, dość.

Lockhett opadł ostrożnie na fotel w rogu gabinetu, krzywiąc się z bólu, gotów na drugi akt tego codziennego, wręcz powszechnego dramatu rodzinnego z Rozpadliny. Przeciętna familia żyjąca niegdyś spokojnie w Kukurydzianym Raju nagle bankrutuje lub zostaje skuszona perspektywą łatwego zarobku w kopalni. A potem jak zwykle, rusza loteria. Jednym się udaje, innym nie. W przypadku Chengów wyjazd na ART 193678 okazał się porażką.

Tylko rzadko bywała to porażka z robotem psychopatą w tle.

Kiedy Silio jako tako się opanował i przestał spazmatycznie szlochać, szeryf westchnął głęboko. Odruchowo odgarnął z czoła kosmyk długich do ramion, niegdyś czarnych włosów. Osiwiał zupełnie nietypowo, bo śnieżnobiałe pasma mieszały się z ciemnymi, tworząc pasy, jak na sierści prawdziwego rosomaka albo borsuka.

– W porządku, mały. A teraz musisz nam wszystko opowiedzieć od początku, bardzo dokładnie. Rozumiesz?

Basilio skinął głową.

*Rozpadlina, mniej więcej miesiąc wcześniej,  
15.14 czasu lokalnego, złomowisko*

Czasami zarówno szeryf, jak i Lockhett przeklinali swoją parszywą robotę i całkiem serio uważali, że mają najbardziej przesrane w całej Rozpadlinie. Basilio Estevez Cheng mógłby jednak przysiąc, że to on, właśnie on, a nikt inny, ma od chwili przybycia do habitatu po prostu superprzesrane. Nienawidził tego miejsca. Nie cierpiał, odkąd znalazł się na płycie kosmodromu, i od początku wiedział, że Rozpadlina żywi do niego tę samą zacieklą, lodową nienawiść. Czuł jej gniewny oddech, dyszącą wściekłość, destrukcyjną zaborczość.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że ART 193678 w końcu zabierze mu ojca, matkę, rodzinę, a wreszcie pochłonie jego samego.

Już od pierwszych dni, kiedy wszystko wyglądało niby tak różowo, Silio widział symptomy upadku. Ta okropna ciemność i zimno, ludzie na ulicach jacyś tacy spięci, jakby wiecznie wygłodniali, niebezpieczni i wcale nie budzący zaufania. W niczym nie przypominali

dobrodusznym, sympatycznym sąsiadów, których znał do tej pory.

Pogrążone w mroku ulice, mżące szyldy barowe, pijackie wrzaski w nocy, skrzypiące wagoniki omnitrainu, niedoświetlone, czarne jak karawan. Wszystko to przyprawiało go o dreszcze, przywodziło na myśl sceny z najbardziej przerażających horrorów.

Jak można żyć w świecie, w którym nie ma słońca?

Silio uważał, że wcale nie można. Rodzice musieli upaść na głowę, kiedy się tu przenieśli.

W domu napięcie rosło, ojciec i matka przestali się dogadywać, młodsze rodzeństwo stało się niezdolne i płaczliwe.

A Basilio Estevez Cheng został zupełnie sam ze swoimi lękami i problemami. W szkole z nikim się nie zaprzyjaźnił. Nie żeby dzieciaki go tępiły czy szykanowały. Po prostu z żadnym nie było mu po drodze. Ponieważ rodzinna atmosfera stawała się coraz bardziej ponura, snuł się popołudniami po mrocznych i nieprzyjaznych ulicach, zaułkach, a nawet niezamieszkałych wąwozach i starych, zamkniętych sztolniach. Nikt mu tego nie zabraniał, bo matka uważała, że jest dostatecznie dorosły, żeby o siebie zadbać.

Zazwyczaj Rozpadlina pokazywała mu nieprzyjemne, brzydkie, nieradosne oblicze. Dlatego moment, w którym odkrył to nieużywane, opustoszałe, ogromne złomowisko, okazał się dla Silia objawieniem. Wreszcie znalazł miejsce, w którym czuł się choć trochę u siebie. Zawsze potrafił majstrować przy sprzęcie elektronicznym, coś przerobić, naprawić. Tu zastał cały przekrój przeróżnych urządzeń, części, sprzętów. Bawił się, dłubiąc przy tych starych gratach, przywracając im życie lub zmieniając w coś zupełnie innego. Miał kilka kryjówek, gdzie mógł spokojnie oddawać się swojemu hobby, ale najczęściej przesiadywał w wielkim, opuszczonym hangarze. Wysypisko musiało być kiedyś jakimś przedsiębiorstwem, po którym ocalał tylko ten ogromny, widmowy teraz budynek. W jego wnętrzu młody Cheng znalazł zupełnie przyzwoicie wyposażony warsztat, gdzie zorganizował sobie ulubioną bazę.

Oczywiście, często wypuszczał się na wycieczki po złomowisku w poszukiwaniu fajnych gadżetów, jakie przedtem przeoczył, lub wyprawiał się po potrzebne elementy urządzenia, nad którego naprawą akurat się biedził.

I właśnie podczas takiej wyprawy po części zauważył coś niezwykłego. Tuż nad wysypiskiem pojawił się niespodziewanie bardzo elegancki sportowy bordowy śmigacz. Jego lśniące boki miały ten sam kolor co mała ciemnoczerwona kropka słońca widoczna przez kopułę na szarym grafitowym niebie Rozpadliny. I gdyby ten punkt rozjarzył się nagle wiśniową światłością, a potem upadł do stóp Basilia, chłopak byłby chyba mniej zdziwiony. Pojawienie się tak drogiego, luksusowego

pojazdu w tym miejscu wydawało się kompletnie niemożliwe.

A przecież był tam. Nad samym dachem hangaru. Leciał bardzo nisko, coraz niżej, chwiejnie jakoś, nerwowymi, chaotycznymi zygzakami. Wtem poddał się, zaprzestawszy walki z powietrzem. Sfrunął dostojnie w dół, jakby wyczerpany nagle, osłabiony, pragnął czym prędzej usiąść na ziemi i zasnąć.

Zabrakło mu paliwa? – zdziwił się Cheng, kiedy pojazd ze zgrzytem opadł na łożę z metalowych gratów gdzieś z tyłu, za budynkiem. Ej, nie. To chyba niemożliwe.

Rozsądek podpowiadał mu, żeby natychmiast pobiec do domu, ale ciekawość podszeptowała coś zupełnie innego.

Może tam ktoś zasłabł za sterami i potrzebuje pomocy? – przekonywał sam siebie Silio.

Rzecz jasna, wcale nie zamierzał jej udzielać. Na pewno nie bezpośrednio. Najwyżej zdecydowałby się zawiadomić matkę lub któregoś z miłszych sąsiadów. Nikt nie może przecież oczekiwać od dwunastolatka, żeby udzielał fachowej pomocy ofierze wypadku. Ale zobaczyć, co się stało, to już coś całkiem innego, prawda? Nie ma nic złego w tym, że zerknie na śmigacz. To bardzo piękna, strasznie droga, luksusowa maszyna. Kto wie czy kiedykolwiek jeszcze trafi mu się okazja, żeby przyjrzeć się takiemu cacku?

Dla bezpieczeństwa postanowił odczekać kilkanaście minut, dysząc z niecierpliwości. Jeśli śmigacz w tym czasie odleci, to trudno.

Nie odleciał.

Przez krótką chwilę Basilia opanowały wątpliwości, czy postępuje słusznie i czy to w ogóle bezpiecznie podchodzić do obcego pojazdu, który wylądował na złomowisku w tak niepokojących okolicznościach. Ale ta maszyna, ta cudowna, piękna jak samo życie maszyna wabiła go gdzieś tam, pośród śmieci, słodką, powabną pieśnią, którą zrozumie każdy, kto kocha wspaniale zaprojektowane, idealnie wykonane urządzenia, tak jak Basilio.

Nie, zdecydowanie młody Cheng musiał przyjrzeć się temu śmigaczowi.

Złomowisko, choć teraz porzucone, zapewne kiedyś miało jakichś właścicieli, którzy posegregowali niektóre części na osobne sterty, a między hałdami zardzewiałego metalu porobili coś na kształt uliczek. Właśnie jedną z nich pobiegł Silio, żeby spotkać się ze swoim przeznaczeniem.



Wiele rzeczy spodziewał się zobaczyć, ale tego akurat nie. Opływowy, obły wiśniowy cud stał na jednej ze ścieżek, połyskując ciemną czerwienią karoserii w mdłym, szarym świetle rozpadlinowego dnia. Takie same karminowe plamy rozlewały się po ziemi, znacząc żwir hieroglifami krwi. Czołowa latarka i lampka w dłoni Chenga budziły ogniste rozbłyski we wszechobecnym obłędzie burgunda. Ten człowiek, ten trup chyba, pólleżał oparty o bok pojazdu, cały pokryty ciemnym, lepkiem szkarłatem. Nie ruszał się.

Jednak na widok chłopca wydał długie, rżące westchnienie z głębi miazgi, która musiała być kiedyś jego klatką piersiową.

– Ty... ty...

Silio, który stał i patrzył, nie mogąc się poruszyć, zamarły, sparaliżowany szokiem, zerwał się nagle do ucieczki, jakby ten jęk, to stęknienie przełamało urok. Biegając, usłyszał jeszcze słaby, rwany głos trupa:

– Złap... nie zabijaj...



Pędził, uciekał co sił. Gnał między stosami gratów, niesiony anielskimi skrzydłami strachu. Biegł, biegł i biegł, najszybciej na świecie, ale ten Anioł Stróż, którego wysłał za nim truposz, i tak bez trudu go dopędził. Silio kopał, wyrывał się, gryzł, walczył ze wszystkich sił, lecz mocne ramiona przydusiły go w uścisku, podniosły, jakby nic nie ważył, i zgodnie z rozkazem zaniósł z powrotem do konającego mężczyzny, którego rozorana klatka piersiowa wyglądała teraz jak śmiejąca się paszcza.



Victor Zebedeusz Hernandez, który leżał właśnie na złomowisku, wsparty o bok swojego eleganckiego śmigacza, wykrwawiając się na śmierć, był człowiekiem skrytym, ostrożnym i nieufnym. Starannie dobierał sobie współpracowników, choć w głębi duszy nie wierzył do końca w lojalność żadnego z nich. Ale nigdy, przenigdy nie domyśliłby się, że zmija zdrady uniesie swą głowę, by zaatakować w jego własnym domu. Dwóch ukochanych synów i córka! Jak mogli? Co ich skłoniło, żeby podnieść morderczą rękę na ojca? Czym zasłużył, żeby uciekać w popłochu, ciężko ranny, pod opieką jedynej istoty, która go nie zdradziła. Robota. Androida ochroniarza. Cóż za bolesna ironia.

Przez całe życie Hernandez dał się poznać jako zły, bezwzględny i okrutny człowiek. Spodziewał się, że być może umrze gwałtowną śmiercią. Ale ta prawdziwa, ostateczna okazała się tak gorzka, że niemal pragnął, by go zabrała. Niemal. Ponieważ pozostała mu jeszcze jedna, ostatnia emocja, ostatni impuls, każący kurczowo trzymać się życia.

Zemsta.

O tak, jeden z najpotężniejszych gangsterów Rozpadliny marzył już tylko o tym, żeby przykładowie ukarać swoje niewierne dzieci.

Dlatego w rozpadającym się, zalanym falami halucynacji umyśle zrodził mu się desperacki pomysł.

Chłopak. Ten chłopak, który tak nagle pojawił się na opuszczonym złomowisku. To musi być znak. To zbawca. Niespodziewana pomoc. Uśmiech wszechświata skierowany wprost do zdradzonego człowieka, głęboko skrzywdzonego przez własnych najbliższych. Musi nim być, skoro objawił się właśnie tutaj, w miejscu tak pustym i nieczułym, prawda?

Skierował gasnący wzrok na dzieciaka, wijącego się w objęciach Anioła Stróża, i wyszeptał zaklęcie, mantrę, która działała zawsze i nigdy go nie zawiodła.

– Chcesz... zarobić? Dużo zarobić...? Teraz?

Zadziałała i tym razem, gdyż szczeniak przestał się miotać. Spoglądał tylko spode łba.

– Puść... – nakazał androidowi Hernandez.

Robot spełnił rozkaz, a dzieciak na szczęście nie uciekł. Stał czujny i spięty, lecz nie próbował zwiewać.

– Pomóż... dam pieniądze... mnóstwo... tak?

W tym momencie umysł Silia zaczął działać na najwyższych obrotach. Wszystko w nim zawirowało. Dług kopalniany ojca, zwykła bieda domowa, marzenia o powrocie na Cererę, luksusy, na jakie mógłby sobie pozwolić, gdyby naprawdę zarobił wielką, wspaniałą kasę. A ten facet ją miał, na pewno. Widać po śmigaczu i drogim, ekskluzywnym ubraniu.

– Dobrze, pomogę – zgodził się bez wahania.

Hernandez poczuł taki przyływ ulgi, że na sekundę stracił przytomność. Nie zdawał sobie sprawy, że w jego stanie pomoc mógłby już tylko cud. We własnym mniemaniu miał szansę uratować życie i dopełnić zemsty. A tylko tego pragnął.

Kiedy otworzył usta, pękła na nich szyderczo szkarłatna bańka krwi. Coś jeszcze próbował rozumieć, ogarniać, ale jego umysł zasnuwała już, mąciła, omotywała szara, beżowa mgła śmierci. Wiedział jedynie, że na całym świecie zostało mu tylko tych dwóch, te dwie rozpaczliwe szansy. Szczeniak i Anioł Stróż.

– Słuchaj go – wychrypiął do androida. – Słuchaj... jak mnie... samego.



To mój... następca. Twój... patron. Pan. Od teraz... pan. Słuchaj... we wszystkim... on...

Nie zdążył dokończyć, bo zamiast rwącym, ciężkim oddechem zakrztusił się nagle krwią. Spróbował ją wypluć, lecz rzygnęła mu z ust gejzerem gorącej czerwieni. Hernandez zatrząsł się, zaniósł długim, bolesnym spazmem kaszlu i umarł.

Android i Silio stali przez chwilę ogłupiali, patrząc na zwłoki, a potem Cheng rzucił się do panicznej ucieczki.



To nic nie dało. Nic a nic. Ledwo zaczął biec, usłyszał za sobą ciężkie kroki robota.

O Boże, Boże! Co teraz będzie? – myśli desperacko tłukły mu się po głowie. Co zrobić z tą piekielną maszyną? Sprzedać? Nie da się, to na pewno nielegalne. Oddać na policję? Za nic! Psy to świnię. Ojciec tak zawsze powtarza. Chociaż trochę głupio brzmi, bo niby jak psy mogą być świniami? Nieważne. Policji nie wolno ufać i już. Zostawić drania? Fajno, ale jak? Przecież tamten truposz powiedział, że teraz jestem jego panem. O rany! Jestem jego panem! Mam androida! Własnego, najzupełniej prywatnego androida! Ale odlot!

Zebrał całą odwagę, jaka mieszkała mu w sercu, i zaczął zwalniać, a potem całkiem się zatrzymał. Wziął głęboki oddech, a następnie odwrócił się do swojego nowego ochroniarza.

Na oko robot wyglądał całkiem przeciętnie. Ot, jakiś facet. Tyle że cały koszmarnie postrzelany. Poplamiony krwią. Swoją, sztuczną, i całkiem prawdziwą – dawnego patrona. Przedstawiał raczej makabryczny i nieco żaloszny widok. Cholerny zombie księgowy. Brakowało mu tylko teczki.

Ale Silio doskonale pamiętał szybkość i siłę, z jaką sobowtór go trzymał.

– Kim jestem? – spytał ostro.

Uszkodzony android niezdarnie przyklęknął na jedno kolano.

– Moim panem.

– Będziesz mnie słuchał?

– Zawsze.

Basilio odetchnął z ulgą, a w piersi poczuł przyjemne, podniecające ciepłko. Miał własnego sobowtóra. Okropnie drogą, bardzo niezwykłą maszynę. No, to było coś! Ciekawe, co by na to powiedziały dzieciaki w szkole. Gały by im wyszły z podziwu! I nie ma inaczej!

– To dobrze. W takim razie chodź za mną – wydał pierwszy rozkaz

swojemu nowemu słudze.

Pękał z dumy i, dziwne, nieco wrednej radości. To jego android. Nie ojca, matki czy nauczycieli. Jego własny. Małego, nieważnego Silia Esteveza Chenga. Który już nie jest taki nieważny, bo ma coś, czego nie mają najbogatsi, najbardziej wpływowi ludzie w Rozpadlinie. Prywatnego ochroniarza. No i niech teraz ktoś spróbuje mu podskoczyć!

Oczywiście, jednocześnie trochę się bał i martwił, bo taki prezent od losu mógł dla dwunastolatka z biednej rodziny oznaczać poważne kłopoty. Ale na razie nic złego się nie działo, a android wydawał się w pełni posłuszny.

Szedł za swoim panem grzecznie jak pies na smyczy.

Nic nie szkodzi, jeśli go zatrzymam i trochę się nim pobawię, myślał podekscytowany Basilio. Na pewno nic złego się nie stanie.

I do samego końca nie miał pojęcia, jak bardzo się pomylił.



Zaprowadził sobowtóra do hangaru, wskazał mu zaciszne miejsce za jakimiś pakami i nakazał na siebie czekać. Uznał, że najlepiej będzie odczekać kilka dni. Jeśli robot przez ten czas pójdzie sobie gdzieś albo zepsuje się ostatecznie, to trudno. Wyglądał na poważnie uszkodzonego, ale działał dość sprawnie.

Android rzeczywiście wykonywał bez szemrania wszystkie polecenia Silia. Pozostawiony w hangarze, po prostu usiadł pokornie w kącie, zwiesił głowę i zamknął oczy, jakby spał.

Młody Cheng oddalił się z bijącym niecierpliwie sercem i po prostu poszedł do domu. Przez kolejne poranki niespokojny werbel tętna wyrывał go z łóżka, a wieczorami nie dawał spać.

Co też zastanie w hangarze? Czy sobowtór dalej tam będzie? Czy znajdzie tylko jego zepsuty, martwy zewłok? A może nic.

Chciał sobie dać trochę więcej czasu, ale nie wytrzymał. Odczekał tylko cztery dni. Susami pędził na wysypisko z głową pełną pytań. Lecz ledwie przekroczył próg warsztatu, aż krzyknął z ulgi i radości.

Robot był. A jakże. W najlepsze. Siedział tam, gdzie go Silio zostawił. Na widok pana podniósł się z trudem, przyklęknął i wychrypiał:

– Patronie, witaj. Czego sobie życzysz?

Chłopiec gestem pokazał mu podłogę.

– Usiądź, bo się jeszcze przewrócisz. Jesteś zepsuty?

– Tak, panie. Niestety.

– Zupełnie? Nigdy już nie wrócisz do sprawności? – Cheng nawet nie starał się ukryć zawodu w głosie.

W końcu rozmawiał z maszyną, nie mógł zranić jej uczuć.

– Nie, patronie. Potrzebuję tylko czasu, żeby dokonać samoregeneracji. Wkrótce wszystkie moje funkcje powrócą.

– Jupi! – Basilio aż podskoczył z radości. – Rany! To super! Zaraz, a jak dużo czasu ci potrzeba?

– Dwadzieścia siedem tutejszych dni standardowych, sześć godzin, siedemnaście minut i dwadzieścia trzy sekundy – odparł robot.

– Łłłaaah! – jęknął oszołomiony Silio. – Ty to jesteś naprawdę niesamowity! Odlotowy, nie? Czekaj, a tak naprawdę to co ty w ogóle umiesz?

Sobowtór z szacunkiem skłonił głowę.

– Chronić. Bronić. Wykonywać wszystkie rozkazy patrona.

Cheng w zamyśleniu podrapał się w nos.

– No dobra. Chronić, bronić, takie tam. Ale co umiesz robić najlepiej? Tak najlepiej na świecie.

– Walczyć – powiedział robot z powagą.

I właśnie wtedy, w tym jednym szalonym momencie cały plan pojawił się w głowie Basilia Esteveza Chenga, jasny i strzelisty jak flara.

Oczywiście! Oczywiście, że tak!

Przed oczami stanęła mu nagle opromieniona blaskiem chwały Arena Olimpu i jego księgowy kasujący przeciwników jak żniwiarz kłosa. A potem rześisty deszcz banknotów zasypujący ich obu całych, razem z głowami. Rany, ale genialna była to wizja!

Silio często oglądał walki gladiati i zawsze po kryjomu marzył, że wystawi kiedyś własnego zawodnika. A teraz los dawał mu tę wielką, wspaniałą szansę. Android twierdzi, że umie walczyć? Więc niech walczy.

Dwadzieścia siedem dni to akurat tyle czasu, żeby odnaleźć w zgromadzonej w hangarze stercie gratów, które kiedyś mogą się przydać, ten stary kask do sprzęgów telepatycznych, rękawice, naprawić cały sprzęt, przywrócić do pełnej sprawności, a potem wypróbować.

O tak. Z pewnością to będzie wystarczająca ilość czasu.

Basilio rozpromienił się w uśmiechu jak słońce nad Kukurydzianym Rajem.

Miał już plan i wiedział, że nie zawaha się go zrealizować. Taka okazja trafia się przecież raz w życiu, no nie?

Władczo wycelował palec w androida.

– Dobra, słuchaj uważnie. Ty sobie teraz spokojnie dokonuj tej samoregeneracji, naprawiaj się i odpoczywaj do woli. A ja się zabiorę za robotę. Potem, kiedy już wyzdrowiejesz, będziesz dla mnie robił to, co umiesz. Wystawię cię do walki. Rozumiesz?

– Tak, patronie. Zawsze zgodnie z twoją wolą, panie.

Młody Cheng popatrzył na pokornego, posłusznego we wszystkim

robota i poczuł luby, słodki powiew samozachwytu.

– Nie mów do mnie „patronie” – nakazał surowo. – Nie jestem byle tam jakimś, zwykłym gościem. Zwracaj się do mnie „Cesarze”. „Juliuszu Cesarze”. To był wielki zwycięzca z bardzo dawnych dziejów, a ja też zamierzam taki być. Dotarło?

– Tak, mój panie, Juliuszu Cesarze.

– No! – Silio znów surowo uniósł palec, tak jak zwykł to robić jego ojciec. – I niech będzie tak, jak powiedziałem.

– Tak, Cesarze – usłyszał w odpowiedzi.

A potem, porzuciwszy swojego gladiatora, zaczął przewracać kupę starych, zniszczonych urządzeń w poszukiwaniu rękawic i kasku, czym ostatecznie przypieczętował na zawsze los własny oraz pięciu zupełnie mu nieznanym mieszkańcom Rozpadliny.

### *Rozpadlina, teraz, 12.14 czasu lokalnego, biuro szeryfa*

– Nie wydałem rozkazu, żeby pana zabił. Nigdy nikogo nie chciałem zabijać – powiedział do Lockhetta młody Cheng. – Kazałem mu uciekać. Ale nie usłuchał. Bardzo się wtedy przestraszyłem. Krzyczałem i krzyczałem, że nie wolno, że musi robić to, co mu każę, aż się w końcu poddał. Dlaczego mnie nie posłuchał? Przecież przedtem nigdy się nie zbuntował.

– Jest popsuty – powiedział Lockhett, krzywiąc się z bólu, bo fotel dla interesantów okazał się jeszcze bardziej niewygodny niż siedziska w kopalnianej windzie, a żebra mu dokuczały nawet bez dodatkowej stymulacji. – Dlatego zaczął wariować.

Wielkie brązowe oczy Silia, błyszczące od łez jak szlifowane topazy, rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Nieeee... Powiedział, że się naprawił. No i w jaki sposób przeszedłby przez skany lanistów w Arenie Olimpu, gdyby nie był całkiem sprawny?

– Synu – odezwał się szeryf – androidy tego typu są tak zaprojektowane, że bez trudu potrafią przejść przez skanery międzyplanetarnej kontroli granicznej. Wyświetlają takie dane jak zwykle sobowtóry towarzyszące. A gdyby Hernandeza było stać na robota najwyższej klasy, odrzuciłby go każdy lanista, bo taki android melduje się na skanach jako zwykły żywy człowiek.

Basilio otworzył usta ze zdumienia.

– Ojej! – stęknął. – Aż tak?

– Właśnie tak – skwitował Montalembert-Salignac. – A teraz słuchaj uważnie. Z Cerery wkrótce wystartuje grupa wykwalifikowanych

specjalistów i tajnych agentów, żeby przejąć kontrolę nad twoim zbuntowanym robotem. Musisz być przy tym obecny, jako jego aktualny patron. Jest w końcu jakaś szansa, że cię posłucha i nie zechce stawiać oporu. A to by przecież mogło oznaczać kolejne ofiary. Ten android jest piekielnie niebezpieczny. Nie chcesz przecież, żeby znów coś się komuś stało, co?

Młody zaprzeczył, energicznie kręcąc głową.

– Dobrze, że rozumiesz, jaka to trudna sprawa – pochwalił go szeryf. – Dlatego z pewnością zdajesz sobie sprawę, że wszyscy ci poważni ludzie z Kukurydzianego Raju, a także policja Rozpadliny nie będą za tobą latać i szukać cię po jakichś śmietniskach. Masz siedzieć w domu, nigdzie się nie włączyć i czekać na funkcjonariusza, który po ciebie przyjedzie. Jasne?

Biedny, zasmucony i zawstydzony Basilio spuścił wzrok na własne buty.

– Tak, proszę pana – wyszeptał pokornie.

– Aha, a tak przy okazji, co się stało z tym eleganckim śmigaczem Hernandeza?

– Stoi tam, gdzie wylądował. Ukryliśmy go razem z androidem. Zamaskowaliśmy płachtami i kawałkami metalu. To znaczy on to zrobił, bo mu kazałem.

– Hmm – zastanowił się szeryf. – Bardzo potrzebowałeś pieniędzy, synu. Czemu nie próbowałeś sprzedać pojazdu? Na pewno jest drogi.

Na twarzy Silia pojawił się jakiś tęskny, niemal bolesny grymas.

– I taki piękny! Ja... nie umiałem go oddać. Marzyłem, że może kiedyś nauczę się pilotować... że wsiądę i poderwę go w górę. Albo robi to za mnie android. Poza tym nie jestem jeszcze dorosły. Nie znam nikogo, kto chciałby kupić luksusowy śmigacz. Bałem się, że ktoś mnie oszuka, jeśli spróbuję tak po prostu wypytywać na ulicy. Lub nada na policję, że niby go ukradłem.

– No, tym razem postąpiłeś rozsądnie – pochwalił dzieciaka Olivier. – Szkoda, że nie zawsze tak robisz. Teraz pojedziesz grzecznie do domu i będziesz czekał na policjanta. Któryś z chłopaków cię odwiezie, żebyś znów nie narobił kłopotów. No już, uciekaj. Mam mnóstwo pracy.

Młody Cheng szybko poderwał się z krzesła. Widać było, że bardzo chętnie opuszcza komisariat.

– Dziękuję. Do widzenia panu. E... panom. I... przepraszam.

Montalembert-Salignac westchnął ciężko.

– Ech, dzieciaki. Same problemy z nimi.

Lockhetta tak bolały żebra, że się nawet nie odezwał.

*Rozpadlina, 17.24 czasu lokalnego,  
komisariat policji, złomowisko*

Kilyan Darrel, przedstawiciel tajnych służb planety Cerera, elegancki, uprzejmy, tchnący spokojem niemalże wiekuistym, ze zdumieniem przeniósł wzrok ze skulonego w kącie celi androida na szeryfa Rozpadliny.

– Zamknął go pan w areszcie? – spytał z niedowierzaniem.

Montalembert-Salignac tylko wzruszył ramionami.

– Nic innego nie mogłem zrobić. Nie mamy tu lochów, katakumb, twierdzy ani niczego podobnego. Zresztą on jest teraz posłuszny i apatyczny. Poddał się, tak jak kazał mu patron.

Darrel westchnął.

– Oby taki pozostał przez cały proces wstępnej utylizacji. Wszystko gotowe? Możemy jechać?

– Gotowe – przytaknął Olivier.

Razem z agentem specjalnym z Cerery przybyło jeszcze trzech wojskowych telepatów i czterech komandosów wyszkolonych do walki z robotami bojowymi. Uszkodzony czy nie, księgowy zombie budził niezły respekt.

Kiedy czarodzieje zażądali, żeby przewieźć robota w jakieś ustronne, najlepiej znane mu miejsce, Lockhett i szeryf od razu zdecydowali się na wysypisko.

Ze złomu powstałeś i w złom się obrócisz.

W warunkach polowych całkowite zniszczenie androida okazało się niewykonalne. Specjaliści mieli go tylko osłabić, zamknąć w izolowanym sarkofagu, a potem wywieźć do Kukurydzianego Raju, gdzie miał zostać ostatecznie zniszczony.

Ekipa przybyła z Cerery robiła naprawdę potężne wrażenie. Dwóch żołnierzy zakutych w hiperwytrzymałe pancerze bojowe najnowszej generacji dzierżyło w dłoniach potężne karabiny laserowe przeznaczone do walki z elektronicznym przeciwnikiem. Dwaj pozostali przywdziali wspomagane egzozskielety z wbudowanymi miotaczami, które także wyśmienicie się sprawdzały w starciach z androidami.

Jeśli odpała naraz to gówno, pomyślał Lockhett, cały hangar stopi się w płynną lawę surówki. A morderczy sąsiad pewno i tak z tego wylezie.

Trzej telepaci wyglądali jeszcze groźniej. Ubrani w przeciwtermiczne, kuloodporne kombinezony z powszywanymi żyłami i obłymi naroślami wzmacniaczy, nosili na plecach garby nadajników sygnałowych. Gdy nałożyli kaski ekranujące, naszpikowane wypustkami anten sensorycznych, zaczęli przypominać starożytne bóstwa jakiegoś pozaziemskiego plemienia.

Ambrosius poznał ich wcześniej, na komisariacie, zanim przebrali się

w bojowe stroje. Był wśród nich czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku, krótko ostrzyżona blondynka i prześliczna czarnowłosa dziewczyna, sprawiająca wrażenie nastolatki.

Lockhett przypomniał sobie jednak pannę Woo i ciarki mu przeszły po plecach.

Bo w porównaniu z prawdziwymi, wojskowymi czarodziejami korporacyjna telepatka z pewnością wydawałaby się niewinna jak świeży śnieg.

Cała grupa z trudem zapakowała się do policyjnych śmigaczy Montalemberta-Salignaca. Android leciał z dwiema telepatkami, żołnierzem i miejscowym funkcjonariuszem, który pilotował. Rozdygotany, drżący Basilio – z szeryfem i Lockhettem.

Zważywszy na to, że mały był chyba na granicy hysterii, szef od sytuacji kryzysowych wcale nie miał pewności, czy rzeczywiście zabieranie go na miejsce utylizacji to taki dobry pomysł. Sobowtór mógł przecież pomyśleć, że patron znajduje się w niebezpieczeństwie. Ale szeryf się uparł, a Darrel potwierdził, że potrzebują małego Chenga podczas akcji.

Kiedy dotarli na miejsce, hangar jarzył się białym, upiornym blaskiem, jakby zagubiona kometa spadła do środka prosto z nieba. Specjaliści rozstawili w nim tyle świateł, że zrobiło się jaśniej niż w niejednym świetłobarze.

Pod antresolą, mniej więcej tam, gdzie spadł Lockhett, stało teraz ogromne pudło z lśniącego tworzywa. We wnętrzu, wydrążonym na kształt ludzkiej postaci, pulsowały elektroniczne wnętrzości.

Pod ścianą piętrzyły się odgarnięte niedbale płachty, plandeki i podarte, połamane opakowania. Ambrosius skrzywił się odruchowo, bo wydawało mu się, że widzi na nich zakrzepłe plamy własnej krwi.

Silio zgodnie ze wskazówkami agenta Darrela kazał robotowi stanąć przed sarkofagiem i zaprzestać jakiegokolwiek obrony. Żołnierze natychmiast ustawili się w kwadrat wokoło, a telepaci stanęli obok siebie, za pudłem, naprzeciw androida.

Mały Basilio trząsł się, jakby dostał gorączki. Ciemne topazy jego oczu lśniły przerażeniem i rozpaczą jak u postrzelonej sarny. Szeryf przygarnął chłopca ramieniem i mocno przytrzymał.

– Musisz być dzielny, synu. Każdy odpowiada za swoje czyny i decyzje. Nawet dzieciak taki jak ty. Rozumiesz?

Silio nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko hipnotycznie w swojego pokonanego gladiatora.

Czarodzieje rozpoczęli akcję na skinienie ostrzyżonej blondynki, egzotycznej bogini, której głowę połykał teraz pozaziemski robak kasku. Chwycili się za ręce i zafalowali w jednym rytmie, lekkimi, kołyszącymi ruchami. Uspokajająco, niemal sennie.

Jednak ich płynny, powolny taniec nie ukoił androida. Wprost przeciwnie. Robot zatrząsnął się, przycisnął dłonie do uszu i krzyknął ochryple.

W tej samej chwili młody Cheng zaczął płakać.

Tymczasem wojskowi telepaci zmasowali atak. Ich ruchy, choć wciąż łagodne, płynne jak miód, stały się szybsze, potężniejsze, napierające niczym fale przyboju.

Sobowtór znów wrzasnął przeciągle, zakrztusił się krzykiem. Z ust spłynął mu wykwit obrzydliwych, pienistych, żółtych wymiocin. Ciałem wstrząsnęły drgawki. Wygiął się w pałąk do tyłu i zawołał:

– Panie! Nie widzę, oślepiłem! Jaki rozkaz?!

– Yyyyy! – szlochał tylko załamany Basilio.

– Synu! Weź się w garść! – syknął mu w ucho szeryf.

– Wyyy...yyyy...trzymaj! – jęknął mały Cheng, nie wiadomo, do siebie czy do robota.

A tymczasem czarodzieje, potężni, nieubłagani wojenni szamani, znów uderzyli mocniej. Telepatyczna moc, którą utkali, wibrowała w powietrzu, unosila się tornadem zmasowanej woli, miażdżyła wszelki opór, przymuszała do absolutnego posłuszeństwa.

Niosła śmierć.

Lockhett poczuł ją w głowie. Czarną, upiorną, rozrastającą się jak tumor. Uciskała mu umysł, nieznośna i wszechmocna, a przecież nie był w żadnym wypadku ofiarą ataku. Zamrugał, przetarł powieki, jakby mógł zetrzeć sprzed oczu latające, roziskrzzone ćmy mroczków.

Tymczasem sobowtór tańczył już ostatni taniec z kostuchą. Trząsł się, dygotał agonalnie, co chwila bluzgał z ust strugami zielonych i żółtawych wymiocin. Jednak zamiast pokornie poddać się zagładzie, w ostatnim, spazmatycznym odruchu buntu spróbował postąpić krok do przodu i unieść ręce do walki.

W tym samym momencie równy rytm telepatycznych fal przypląwu załamał się na mgnienie. Pojedyncze, niemal niezauważalne mgnienie, a jednak.

– Paa...paa...nie! Roz...kaz? Ce...za...rze?

Nieszczęsny, zdruzgotany Gajusz Juliusz wtulił tylko twarz w brzuch Montalemberta-Salignaca, zapłakawszy z rozpacz.

– Silio! – napomniał go Olivier. – Każ mu się natychmiast poddać!

– P...poddaj się! Teraz! – wyszlochał ostatkiem sił chłopiec.

Android zadrżał, opuścił ramiona, odchylił do tyłu głowę i runął na kolana.

– Umieram na rozkaz... – wyszeptał. – Jak... smutno...

A potem upadł na bok znieruchomiąły. Żołnierz w egzoszkielecie natychmiast przyskoczył, żeby umieścić ciało w sarkofagu.

W tej samej chwili Lockhett poczuł dreszcz grozy maszerujący



wzdłuż kręgosłupa.

To android! Maszyna! Nie rozumie, co to śmierć. I na litość boską, w żadnym wypadku nie może mu być smutno!

– No już, już dobrze – szeryf mamrotał uspokajająco do rozdygotanego, splakanego Chenga.

Chłopiec wyglądał tak, jakby za chwilę miał zemdleć.

– Słuchaj, Ollie, mały jest w kiepskiej formie. Przydałoby mu się coś na uspokojenie.

W oczach szeryfa mieszało teraz zmęczenie. I coś jeszcze. Jakby cień przygnębienia.

– Na zewnątrz stoi ruchomy punkt medyczny. Lekarz zajmie się dzieciakiem, a potem któryś z moich zabierze go do matki.

Ambrosius westchnął głęboko, aż zakłuło go w połamanych żebrach.

– Rany, chłopie. Muszę się napić.

– Ja też – przyznał Montalembert-Salignac. – Dasz się zaprosić do mnie? Mam co nieco w barku.

Lockhett ze znużeniem skinął głową. Był wykończony, ale wiedział, że bardzo mu się teraz przyda pogawędka z przyjacielem. Przed oczami wciąż widział koszmarny taniec konającego androida.

Czy był świadomy? Czy naprawdę jakimś cudem mógł być świadomy?

Nie chciał zadawać sobie tego pytania. Zdecydowanie nie.

Tymczasem zmęczeni, lecz zadowoleni czarodzieje pościągali kaski, a żołnierze pod okiem agenta Darrela fachowo zabezpieczali pudło ze zwłokami sobowtóra.

Nad tym gladiatorem sarkofag zatrzasnął się na zawsze.



Ciepłe, jasne, lecz łagodne światło zalewało eleganckie wnętrze miodowym, złocistym blaskiem. Panowała tak cudowna temperatura, że śliczne kelnerki mogły nosić krótkie sukienki bez rękawów. W wielkich donicach rosły drzewka cytrusowe i fikuśnie przycięte iglaki. Podawano znakomite potrawy z prawdziwych produktów, a nie powszechne w Rozpadlinie mdłe papki instant. Bar oszalał mozaiką różnorodnych ekskluzywnych alkoholi. Muzyka sącząca się z głośników miała posmak plaży, morza oraz kolorowych drinków z małymi parasoleczkami.

Oczywiście, wszystko to kosztowało kurewsko drogo, ale po zakończeniu tak ciężkiego śledztwa Lockhett i szeryf uznali, że mogą sobie pozwolić na kolację w prawdziwym ciepłowsiatłobarze. Zasłużyli na odrobinę luksusu. Jak zwykle zaprosili się nawzajem, żeby obniżyć

kosmiczne koszty.

Lockhett popijał brandy, a Montalembert-Salignac jakiś malinowy, słodki koktajl godny rozszczebiotanej studentki.

Na widok zdziwionej miny przyjaciela wyjaśnił:

– Jeżeli już mam pić za takie pieniądze, to czemu nie to, co mi naprawdę smakuje?

W sumie trudno mu było nie przyznać racji.

Ambrosius Abelard pociągnął łyk dębowego, rozgrzewającego trunku.

– Nie powiedziałem zarządowi korporacji o Siliu. Nie widziałem potrzeby.

Olivier z aprobatą skinął głową.

– Słusznie. Chłopaki ze służb specjalnych też się nie wygadają. To porządni faceci, naprawdę. W oficjalnym raporcie napiszemy, że android działał sam. Oszalał po śmierci patrona. Na oślep wykonywał jego ostatni rozkaz. Zabijał i walczył.

– No dobra, ale co zrobimy z chłopakiem? W końcu odpowiada za śmierć pięciu osób, w tym policjantów. Jasne, że nieświadomie, ale jednak.

Na ustach szeryfa pojawił się chytry uśmieszek.

– Kombinowałem, aż wymyśliłem. Grucha, synu. To jedyne rozwiązanie.

Lockhett zachnął się lekko.

– Naprawdę chcesz napuścić na małego Gruchę?

– Pewno. – Montalembert-Salignac znów się uśmiechnął. – Przyda się całej rodzinie, no nie?

Szef od sytuacji krytycznych zamyślił się. Może i tak. Może Ollie ma rację. Laila Olimpia Ben Barrak od lat pełniła funkcję naczelną dyrektora Opieki Społecznej Rozpadliny. Była porządną, uczciwą kobietą, bardzo oddaną swojej pracy. Trzymała się sztywno zasad i reguł, jakby od tego zależało prawidłowe funkcjonowanie wszechświata. Problem w tym, że przez całe życie Lockhett nie spotkał nikogo bardziej władczego, apodyktycznego i pryncypialnego. Istniały tylko dwa wyjścia. Mogło być po Gruchowemu albo wcale.

Ale familia Chengów naprawdę potrzebowała wsparcia, a także motywacji, integracji oraz porządnego kopa w dupę. A Ben Barrak nadawała się do takich rzeczy wprost wyśmienicie.

– Dobra – zgodził się. – Czemu nie Grucha? Tak weźmie szczeniaka do galopu, że wkrótce zrobi z niego majątnego udziałowca firmy.

– Dzieciak pewnie wolałby studia techniczne – wtrącił niby niewinnie szeryf.

Lecz w oczach pojawił mu się świetlisty, bystry błysk, który Lockhett dobrze znał. Stary Ollie wpadł na pomysł. A taki pomysł mógł się okazać

albo genialny, albo zupełnie do dupy.

Montalembert-Salignac pociągnął ze szklanki spory haust malinowej słodyczy.

– Pamiętasz ten śmigacz Hernandeza? – zagadnął. – Moi chłopcy go zarekwirowali. Wiesz... co leży na złomowisku, jest złomem do wyrzucenia, no nie? W sumie porządny, kosztowny pojazd. Nic szczególnego mu nie dolega. Jest w dobrym stanie, prawie nowy.

– I? – spytał Ambrosius.

– Tak sobie razem wymyśliliśmy na komisariacie, że wystawimy go na licytację. A cały zysk pójdzie na policyjną nagrodę dla rodziny, która w istotny sposób przyczyniła się do ujęcia śmiertelnie niebezpiecznego androida.

Mimo bólu w boku Lockett zaśmiał się serdecznie.

– Ollie, stary draniu! Jesteś wielki! Sam nigdy bym na to nie wpadł.

– Dlatego ja tu jestem szeryfem, a ty płaczesz się tylko przy korporacji, marnujesz talent i nie wiesz, co zrobić z własnym życiem. Zamówimy coś do żarcia? Należy nam się. To była naprawdę cholernie śmierdząca sprawa.

Szef do spraw kryzysowych zgodził się z przyjacielem w zupełności.



# HUBERT OLKOWSKI

## GNIEZNO PIĘKNE JAK DZIŚ



**A**rena gnieźnieńskiego Koloseum rozbrzmiała rżęsiстыми brawami. Zwycięzca ostatniego pojedynku, wielki gladiator, uniósł triumfalnie zakrwawione ostrze włóczni z nabitą nań głową. Jego oponent, teraz już stygnący, pocięty trup, został przed momentem ściągnięty z placu przez służby porządkowe. Tylko w kilku miejscach na piasku schły czerwone plamy, świadectwo przebrzmiałego starcia.

Oglądający widowisko przez wąską szczelinę Ulryk przymknął oczy. Skupił się na chwili obecnej, na miarowym oddechu, ale na niewiele się to zdało. Znow dopadł go przeszywający strach. Paskudne, piekące wnętrzości uczucie, zaciskający się nagle żołądek, jakby ktoś złapał go w dłoń. Z trudem powstrzymał wymioty.

Lewa ręka zacisnęła się w pięść. Zaskrzypiały i zapiszczały mechanizmy wzmocnionej protezy. Choć gladiator działał i wyglądał jak maszyna, to jednak był tylko i wyłącznie przerażonym niespełna dwudziestoletnim chłopakiem. A teraz czekała go walka.

– Powstańcie, wielmożni państwo, i przyjrzyjcie się uważnie – wzmocniony przez tuby głos zapowiadacza niósł się po widowni. – Przed wami pojawi się teraz niezrównany Ulryk Stalowa Skóra, syn tej ziemi, reprezentujący nasze wspaniałe miasto.

Na dźwięk własnego imienia gladiatora opadła kolejna fala strachu.

– Jego przeciwnikiem będzie nasz gość specjalny. Specjalnie dla tej walki sprowadzony z gorących wybrzeży Afryki potężny Askari, Pogromca Lwów. Ruszajcie, mości woje. – Ostatnie zdanie utonęło w ogłuszającym wrzasku widzów.

Stalowe wrota prowadzące na arenę rozwarły się szeroko.

Nadzorca pchnął gladiatora w plecy, wypuszczając na zalaną światłem setek lamp scenę. Chłopak zmrużył oczy, przyzwyczajając je do nowego otoczenia. Nic, żadne myśli czy słowa nie pozwalały przygotować się wcześniej na ten moment. Szczerze nienawidził tego miejsca, ale tylko dzięki Koloseum wciąż jeszcze żył. Jego przekleństwo, a zarazem nadzieja.

Tłum już czekał. Dookoła na fotelach w pnących się w górę rzędach siedzieli widzowie dzisiejszego spektaklu. Lokalna śmietanka towarzyska, ubrani w kontusze co znamienitsi obywatele stolicy, damy w długich, barwionych na wschodnią modłę sukniach. Pomędzy nimi ciemniejsze twarze rzymskich pretorów. Obywatele Cesarstwa byli łatwi do rozpoznania, wszyscy w błyszczących pancerzach.

Wysoko ponad głowami ostatnich rzędów chłopak widział nawet sprawozdawców radiowych, ukrytych za metalowymi mikrofonami. Wszyscy spoglądali na niego.

Zabrział donośnie gong przed walką. Jasnowłose gladiator rozejrzał się po arenie. Miejsce nie wyróżniało się niczym szczególnym, ot, zwykła betonowa misa o dnie wyłożonym sypkim piaskiem. Ten chrzęścił przy każdym kroku. Ściany znaczyły ślady po przypaleniach, wgniecenia od potwornych uderzeń. Niemy świadek wielu walk.

Zacisnął prawicę na długim mieczu. W zasadach ustanowionych dla walk gladiatorów był jeden zakaz – nie wolno używać mechanicznej broni dystansowej. Dlatego odpadały kulomioty, choć wciąż można było używać ofensywnych darów.

Wrota po drugiej stronie miski uniosły się wolno, skrzypiąc niemilosiernie. Przeciwnik z początku jawił się jako cień, dopiero gdy wkroczył do kręgu, dało się zauważyć całą postać. Wtedy, właśnie wtedy po karku Ulryka spłynęły lodowate strużki.

Kolejną z zasad Koloseum był brak informacji o rywalu. Do momentu konfrontacji na arenie gladiator miał nie wiedzieć, kogo spotka. Przez to starcia stawały się jeszcze bardziej widowiskowe. Przygotowania nie skupiały się na wadach przeciwnika. Niemniej dzisiejsza walka zapowiadała się wyjątkowo spektakularnie.

Olbrzym był wzrostu przynajmniej dwóch dorosłych osób. Potężne ramiona ozdobione splotami mięśni przywodziły na myśl greckie kolumny. Swoje gigantyczne rozmiary Afrykańczyk zawdzięczać musiał specjalnym odżywkom, z tego zresztą słynęły szkoły walki na Czarnym Łądzie. Z usług czarowników z Namibii korzystał nawet Rzym.

Zamiast prawej ręki przeciwnik miał stalowoszarą protezę, złożoną z nakładających się segmentowych płyt. Konstrukcja wchodziła aż na klatkę piersiową, druty i kable niknęły pod hebanową skórą gladiatora. Reszta ciała lśniła od oliwy. Całość przywodziła na myśl ożywioną statwę Fidiasza. Pogromca Lwów zaciskał tę mechaniczną dłoń na olbrzymim

toporze o całkowicie metalowym stylisku.

Diabeł, tylko to przebiegło chłopakowi przez głowę.

– Hurra! Szykuj się na krwawy bój! – wrzasnął przeraźliwie Afrykańczyk, unosząc wysoko nad głowę broń. Łacinę rozumieli tutaj wszyscy, język Cesarstwa był drugim oficjalnym językiem Lechii. Tłum widzów zafalował, rozległy się pojedyncze okrzyki. Ktoś nawet zaklaskał.

– Biada zwyciężonym – mruknął cicho Lechita, poprawiając uchwyt na rękojeści.

Ciemnoskóry gladiator przyśpieszył kroku. Lewa dłoń, ta z krwi i kości, wycelowała w pierś Ulryka. Czoło hebanowego wojownika przecięła zmarszczka, koncentrował się.

Niemal natychmiast chłopak przyklęknął. Spiał się. Bezszelestnie, ledwo poruszając ustami, wznosił modlitwę do Peruna, swojego boskiego opiekuna. Znajome ciepło rozlało się po członkach, jednocześnie poczuł się senny. Tarcza została przywołana. W ostatniej chwili.

Dar zadziałał bezbłędnie, jak zawsze. Niewidzialna bariera materializująca się dookoła Ulryka obroniła go przed uderzeniem ognistej kuli. Afrykańczyk musiał posiadać potężne umiejętności ofensywne. Raz za razem wyrzucał pociski wielkie jak ludzka głowa.

Widzom nic nie groziło. Arena została zabezpieczona rozpiętym polem siłowym, oddzielającym walczących od rzędów foteli. Emocje były takie, jakby znaleźli się prawie w centrum walki. Za to właśnie płacono, za smak oraz zapach potu i krwi.

Askari znalazł się tuż przed chłopakiem. Wyciągnięta ręka wznosiła się wysoko nad skulonym gladiatorem. Afrykańczyk znów zarżał swoim głęboko basowym tonem. Śmierdział potem, oliwą i jakby strachem. To przynajmniej czuł Ulryk Stalowa Skóra.

Młody zacisnął na moment oczy, zbierając siły. Wciąż jeszcze chroniło go pole siłowe. A potem wyprostował się błyskawicznie. Wyrzucił w górę prawicę, ostrze miecza zatoczyło łuk, zatrzymując opadający topór. Zazgrzytał metal, poleciały iskry.

Askari był silny, bardzo silny. Chłopak czuł, jak topór opuszcza się wolno pod naciskiem potężnych mięśni. Miecz niebezpiecznie zadygotał.

Dar nie trzymał wiecznie, chłopakowi zostały może sekundy, aż tarcza kompletnie puści. Teraz on uderzył. Mechaniczna proteza zastępująca lewą rękę zwinęła się w pięść, stalowy taran trafił Pogromcę Lwów w tors. Z rozciętych rurek trysnęła para i gorący olej, ale uderzony nawet się nie zachwiał. Stał, jakby zrobiono go z kamienia.

Topór uderzył znowu, tym razem mijając głowę chłopaka o włos. Gorący piasek wzbili się w powietrze.

Askari złapał wolną ręką za tors Ulryka. Podniósł go zupełnie bez wysiłku i cisnął, jakby za przeciwnika miał szmacianą lalkę, a nie drugiego gladiatora.

Stalowa Skóra uderzył boleśnie plecami o betonową ścianę areny. Zsunął się na piasek, czując, jak pulsują połamane żebra. Ledwo zdążył zasłonić się mieczem, bo lśniące ostrze raz za razem opadało. Przeciwnik rąbał bez opamiętania, a miecz niebezpiecznie chwiał się pod kolejnymi ciosami.

Widownia znalazła nowego faworyta.

– Askari, Askari! – zakrzyknął ze zdwojoną siłą tłum. Do tej pory dopingowali miejscowego gladiatora, ale teraz zmienili zdanie. Woleli zwycięzcę.

Głośne okrzyki dodały jeszcze sił czarnoskóremu olbrzymowi. Potwór cofnął się o parę kroków, nabierając rozpędu. Szykował się do szarży. Chciał wbić młodego w ziemię.

Ulryk czuł, że przegrywa. Jeszcze moment i straci zasłonę daru, nie wytrzyma następnych uderzeń. Nie miał jak przejść do ataku. Za moment ciemny kolos rozbije mu czaszkę jak skorupę orzecha.

Chłopak zacisnął zęby. Zamiast strachu miał w środku pustkę. Uniósł miecz, zasłaniając się przed ciosem, i z całych sił uderzył wolną ręką w mechaniczne ramię Afrykańczyka. Zaskoczył go, przeciwnik szykował się już do finiszu. Czarnoskóry wściekle opędzał się wolną ręką.

Teraz to Ulryk przystąpił do ofensywy, wymierzając zabójcze ciosy. Pogromca Lwów był większy, mógł zatem przyjąć o wiele silniejsze uderzenia. Ale też sił starczało mu na krócej. Dwa razy większy wzrost to cztery razy większa masa ciała.

Młody gladiator pamiętał, co wciąż i wciąż wpajali mu instruktorzy. Im potężniejszy, bardziej rozrośnięty jest twój przeciwnik, tym krócej wytrzyma w walce. Natury nie da się oszukać, nawet wspomagany i hodowany do starcia od urodzenia, mniej wytrzyma, jeśli będzie gigantem. Tego nie da się obejść.

Wciąż zatem uderzał pięścią w protezę Askariego. Nie skupiał się na torsie, tylko na mechanicznej dłoni. Starał się unikać potężnych ciosów, ale żebra bolały, niemiłosiernie obijane. To zwierali się w klinczu, to odpadali od siebie. Topór i miecz były bezużyteczne, zakleszczone w jedno.

Widział doskonale białka oczu zatopione w ciemnej twarzy. Mała głowa osadzona na wielkim ciele wyglądała groteskowo. Z bliska jeszcze wyraźniej widać było potężne sploty mięśni, gruby jak konar dębu kark.

Uderzył ostatni raz. Zaciśnięte palce wyrwały luźne przewody. Mechaniczna kończyna sypnęła iskrami, a potem odpadła, razem z toporem wciąż tkwiącym w zaciśniętej pięści. Askari zatrzymał się na moment, zaskoczony.

Sam Ulryk czuł, że czas jego ramienia też się kończy. Zamiast palców miał zgniecioną bryłę. Ale to tylko lewa ręka, ta metalowa. Prawa, trzymająca miecz, była wciąż zabójczo sprawna. Uwolnił się z uścisku przeciwnika.

Zapiekłły połamane żebra, jedno przebiło się chyba przez skórę. Zasapany jednoręki kolos odwrócił się za nim. W ostatnim ruchu starał się zasłonić ocalałą ręką. Za wolno, dużo za wolno. I zbyt rozpaczliwie.

Młody gladiator nie czekał. Pchnął mieczem jak włócznią, przebijając kolosa na wylot. Ostrze weszło po rękojeść. Z osłaniającego pierś wspomaganie buchnął dym, mechaniczna klatka piersiowa zapłonęła.

Wygrana smakowała zdecydowanie gorzko, ale może chłopak po prostu był zbyt zmęczony, żeby się cieszyć. Nie miał też po prawdzie z czego, zabił człowieka, którego nie znał, bo kazali mu to ludzie, których nigdy nie spotka. Wielogłowa hydra siedząca na krzeselkach, karmiąca się jego strachem, euforią i bólem.

Tłum niemal oszalał.

Gladiatora zalała kakofoniczna fala krzyków i nawoływania. Teraz każdy skandował jego imię. Namacalnie czuł ich podniecenie. Nie rozumiał wcale, dlaczego tak go męczyli.

Widział na twarzach radość tych, którzy na niego postawili, dziesiątki nowych przyjaciół. Z drugiej strony byli też i smutni, rozgoryczeni przegrani. Z każdą walką robił sobie też zastępy bezimiennych wrogów.

Głos sprawozdawcy, wyprany z emocji, obwieścił:

– W piątej walce zwyciężył Ulryk Stalowa Skóra, miejscowy zawodnik z Gniezna.

Wolno, niemal czołgając się z bólu, młody gladiator dobrnął do wyjścia. Resztę wydarzeń tego dnia pamiętał jak przez mgłę.

Najpierw instruktor, siwy Otokar, klepał go po obitych plecach, wyrzucając z siebie potoki słów. Mówił o dumie i spełnionym zadaniu, tak jakby była to najważniejsza rzecz na świecie. Tymczasem niewolnicy zdejmowali zniszczone protezy. Po kolei tracił całe wspomaganie: nogę, oko, lewą rękę, mechanizm zamienił się w strzępy.

Potem zaciągnięto go do luksusowego wozu, dalej czekało go tylko dormitorium i regeneracja. W tym długo wyczekiwany sen.

Rytuał po zwycięstwie był jasny, choć nie znaczyło to, że sprawiał chłopakowi przyjemność. Ulryk nie lubił sprowadzanych dziewczek, wszystko, co z nimi robił, wydawało się wymuszone. Ale wiedział, że właśnie tego oczekuje od niego właściciel szkoły walki. Nie mógł im dać przyjemności, ani zresztą sam jej odebrać. Anatomia była bezwzględna, wszystko miał znacznie większe od normalnych ludzi. Dlatego sprowadzano dla niego tylko stare, przechodzone ulicznice. A i tak skarżyły się na ból.

Choć na arenie i potem w swoich sypialniach mogły do niego



wzdychać tysiące ślicznotek, to żadna nie chciałaby się z nim spotkać. Ludzie zazwyczaj bali się go, w najlepszym razie bali się i podziwiali. Jak psa, którego się tresuje, ale nie dopuszcza do siebie ze względu na zagrożenie.

– Poszło dobrze, ale pojawiły się problemy. Wyczekałeś, aż opadnie z sił, tego cię uczyłem. Bałem się tylko jednego, że Askari cię złamie na początku. Silny, prawda? – wrócił do pojedynku instruktor, gdy już wyszły dziewczki. Gladiator leżał na wielkim łożu i przypatrywał się, jak Otokar ogląda uszkodzone w walce protezy.

Ulryk kiwnął głową. Instruktor uśmiechnął się szeroko, odsłaniając spróchniałe zęby. Starszy mężczyzna był dla chłopaka jak ojciec, rodzina, której nigdy nie miał. Wcześniej Otokar służył w legionach królewskich, a po wypełnieniu swojego kontraktu zarabiał, ucząc gladiatorów.

Spalona we wcześniejszej walce połowa twarzy zapiekła chłopaka. Teoretycznie był wolny, mógł w każdej chwili opuścić dormitoria swojego pracodawcy. Prawo stanowiło jasno. Ci, co szafują własnym życiem na arenie, muszą być wolni.

W praktyce jednak niewiele to zmieniało. Jeśli ktoś chciał przeżyć jako gladiator, musiał się stać tym, do czego go stworzono i przez lata szkolono. Maszyną do zabijania.

Ludzie nazywali wrodzone umiejętności darami, ale naprawdę były raczej przekleństwami. Niemowlaki, u których je zaobserwowano, albo były sprzedawane właścicielom szkół walki, albo mordowano je jeszcze w kołysce.

Potem na dzieciaki czekały długie lata brutalnego szkolenia i wzmacniania, stymulowania wzrostu i masy mięśniowej. W ciągu całego cyklu dorastania młodych gladiatorów uczono walczyć, zabijać i mordować wszystkim, co zostało wymyślone przez człowieka.

A cały ten wysiłek po to, by następnie stoczyć trwającą moment walkę na piaskowej arenie. Czasem gladiator stawał do pojedynku tylko raz, jako że ze starcia mógł wyjść tylko jeden zwycięzca. Ale to dlatego płacono olbrzymie pieniądze za oglądanie wspomaganych mechanicznie gladiatorów. Za krew i prawdziwą śmierć.

Właściciele szkół robili wszystko, by zwiększać szanse swoich ludzi. Dlatego często części ciała zastępowano mechanicznymi odpowiednikami, specjalnie jeszcze udoskonalanymi do starć.

Sam Ulryk dawno stracił lewą rękę, wypadek podczas ćwiczeń. Od łokcia zastępowały ją coraz doskonalsze protezy. Prawą nogę i oko zabrano mu już na polecenie mistrza, zamiast nich miał specjalne wszczepy.

Nie czuł się dobrze we własnym ciele, okaleczonym i zmienionym na potrzeby areny. Różnił się od normalnych ludzi wzrostem, wyższy

o dobrą głowę, rozrośnięty w barach, z przesadnie rozwiniętymi mięśniami. Na co dzień traktowano go jak dziwaka.

– Najtrudniejszy był początek, wydawało się, że walczę z posągiem. Taki twardy. Ile miał stóp? Z tuzin, więcej? – syknął w końcu, rozpięty przez masażystów na leżance. Ostatnia walka odbiła się wyraźnie na jego zdrowiu. Bładą skórę pokryły szybko ciemniejące siniaki, na żebrach ziała otwarta rana. Pięść Askariego rzeczywiście połamała mu kości.

– Najmniej tyle. Sam jestem ciekaw, czego jeszcze dowiemy się po analizie. – Instruktor przejechał palcami po zniszczonym mechanicznym ramieniu. Na pokiereszowanej twarzy pojawiła się zaduma. – Jeśli chodzi o ciebie, sam wiesz, że spisałeś się nad wyraz dobrze. I tak potrzebujemy teraz nowych, lepszych protez. Ćwiczebne zostaną dostarczone w kolejnych dniach. Jednak wydaje mi się, że potrzebujemy więcej.

– Więcej czego? – Ulryk przejechał prawą dłonią po obitym udzie. Medyk nałożył mu już opatrunki, ale i tak ból wciąż napływał nowymi falami.

– Wymienić? Pomyślmy może nad twoimi biodrami, one mi się nie podobają. Tutaj widziałbym mechaniczne wstawki w rodzaju półpancerza. To też zniwelowałoby częściowo problemy z systemami krążenia, zwiększyło nieco odporność. – Ręka instruktora, śmiesznie mała w porównaniu z cielskiem chłopaka, poklepała go po barku. – Ale to będzie dopiero dyskusja na kolejne dni. Teraz odpoczywaj, zasłużyłeś.

Głowa Ulryka opadła bezwładnie na posłanie. Kolejne modyfikacje, pomyślał, to nic innego jak kolejne części ciała zabrane mu przez mechaniczne wspomaganie. Ciało, z którego coraz mniej należało do niego. I którego z każdym udoskonaleniem tracił coraz więcej. Tym samym jego ciało stawało się też więzieniem – do życia i w miarę normalnej egzystencji potrzebował coraz więcej protez, odżywek.

Znów czuł ból, euforia po walce zdążyła dawno odpłynąć. Spojrzał na ścianę, gdzie wisiały cztery złote sztylety. Każdy symbolizował wygraną walkę, najnowszy jeszcze lśnił. Tyle stoczył starć, jak na razie wynik w miarę przyzwoity. Rekord tutejszego Koloseum to dwadzieścia, ale średnia była przecież znacznie niższa.

Walczono tylko na śmierć i życie. Pary dobierano mniej więcej równo pod względem doświadczenia. Gladiatorzy ścierali się raz na pół roku. Nie częściej, nie rzadziej. Za każdą walkę dostawali oczywiście nagrody, ale suma szła głównie na poczet nowego sprzętu, zakwaterowania i opłacenia instruktorów. Takim jak Ulryk nie zostawało zbyt wiele.

– Zarobiliście dziś wystarczająco, mistrzu? Powiedźcie, proszę, że postawiliście na mnie – zapytał jeszcze instruktora.

– Odpowiednio dużo, żeby znalazły się środki na nowe modyfikacje.

Co tylko będzie potrzebne, kupimy – potwierdził na odchodnym Otokar.  
– Zostajesz dziś tutaj czy świętujesz gdzie indziej?

Ulryk nie odpowiedział. Obserwował w milczeniu, jak starzec wychodzi. Zakładał, że nauczyciel pójdzie się napić, może też do swojej niewolnicy, a on został tutaj, sam, nie licząc sług. Nawet instruktor nie chciał spędzać z nim swojego wolnego czasu.

Teoretycznie nie mieszkał przecież w więzieniu. Mógł wyjść z dormitorium, kiedy tylko chciał. Więcej nawet, posiadał kilkunastu niewolników, którzy byli na jego każde skinienie.

A jednak... Częściej, zamiast korzystać z uroków milionowej metropolii, stolicy królestwa Lechii, zostawał tutaj, w swoich czterech ścianach. Poza nimi był dziwadłem.

Apartament, w którym mieszkał, zaprojektowano dla wielkiego człowieka. Olbrzymie łóżko, wyskalowane przyrządy gimnastyczne. Do tego na prośbę gladiatora na ścianach w równych rzędach powieszono krajobrazy z egzotycznych miejsc. Wszystko luksusowe, pierwszej jakości. Miał nawet najnowsze radio, a jednak... czuł się samotny.

Teraz Ulryk czekał, aż niewolnicy przysposobią mu cywilne protezy. Bez wspomagania nie mógł się nawet normalnie ruszać. Ho, mały Azjata, giął się pod ciężarem lewej ręki gladiatora.

– Wielmożny panie, prosiłbym o moment bezruchu – wydukał Ho. Od dawna żył w Gnieźnie i dobrze władał językiem. Prócz koloru skóry wyróżniały go jeszcze metalowe kłamry na nadgarstkach, symbol jego kasty. Samego niewolnika złapano podczas jednej z ostatnich wypraw króla Ostromira IV na Daleki Wschód.

Zazgrzytała proteza wpasowywana w wywiercone kostne uchwyty. Potem włożono oko, specjalnie umieszczone w metalowych obejmach, zachodzących aż na czaszkę. Ulryk znów mógł widzieć przestrzennie, choć obraz dostarczany przez sztuczną soczewkę nieco się różnił od naturalnego.

Czasem gladiator zastanawiał się nad sensem własnej egzystencji. Hodowano i tresowano go tylko do walki, jak zwierzęta szykowane na rzeź. Miał być gotowy, aby pewnego dnia wyjść po raz ostatni na scenę i tam zginąć. Inaczej życie gladiatorów się nie kończyło. Zbyt duże sumy wykładano na jego szkolenie, by pozwolić im pozostać na wolności. A nawet jeśli uwolniłby się od właściciela akademii, to i tak nie miałby gdzie się podziać. Pułapka.

Z wolna nadchodził wieczór, na zewnątrz zapadał zmrok. Chłopak, skrzypiąc mechaniczną nogą, podszedł do okna, wychodzącego wprost na panoramę stołecznego miasta. Za każdym razem widok zniewalał.

Z tego punktu Gniezno ukazywało się w całej okazałości. Centrum, położone podobnie jak Wieczne Miasto na siedmiu wzgórzach, migotało tysiącami różnobarwnych świateł. Ponad panoramę wybijała się wieża

świątyni Światowida, olbrzymi monolit podświetlony krwawą czerwienią. Wyróżniająca się także arena stadionu wyglądała niczym klejnot w koronie z przypominających szpony wysokościowców.

Ulryk lubił patrzeć na pozornie spokojne miasto. Żył własnym życiem, jak mrowisko, a on był jedynie nieprzeszkadzającym obserwatorem. Spojrzał na niebo. W górze ponad szczytami ostrych budowli pojawiały się liniowe sterowce, podchodzące do gigantycznych terminali przeładunkowych.

Czasem w nocy przechadzał się po ulicach, próbując poczuć bijące serce miasta.

Westchnął, spojrzawszy w bok, gdzie wisiała gablota. Na wbitych hakach leżały nigdy nieużyte protezy bojowe, stworzone, kiedy zaczął trenować. Kulomioty ze specjalnie ukształtowanymi palcami, doczepionymi magazynkami. Pamiątka po tym, jak go oszukano.

Na początku każdemu z gladiatorów dawano nadzieję, że z czasem okrutny los się zmieni. Młodym adeptom obiecywano, że po kilku walkach będą mogli dołączyć do oddziałów królewskich, aby wspierać regularnych żołnierzy. W końcu byli istnymi herkulesami. Dziś wiedział, że to czcze słowa.

Owszem, był potężny, dużo silniejszy od normalnych ludzi, ale też bardziej ograniczony. Olbrzymie ciało męczyło się znacznie szybciej niż specjalnie szkoleni żołnierze. Sam gladiator stanowił też dużo większy cel dla wroga. Poza tym był niemożliwie wręcz drogi. Zbyt cenny, by pozwolono mu odejść bez ostatniej walki. Jeśli wkłada się w coś wiele wysiłku, to nie po to, by później wypuścić to z rąk. Inwestycja, tak tłumaczył mu pewnego wieczoru instruktor.

Dochodziła północ, kiedy Ulryk zdecydował, że jednak chce wyjść na samotny spacer. Czuł, że zasłużył. Ciemny płaszcz z kapturem skrywał obolałe olbrzymie ciało.

W pokojach swojego dormitorium nie musiał się schylać, korytarze wymurowano odpowiednio do jego wysokości, ale już gdy wyszedł z apartamentu na zewnętrzny dziedziniec, wzrost dał o sobie znać.

Miał specjalnie dostosowany do własnych wymagań jednośląd, parkujący właśnie na patio. Czasem jeździł bez celu po szerokich drogach, głównie nad Gopło, gdzie najlepiej można było poczuć obecność bogów. Wtedy przez krótkie momenty czuł się wolny. Ale dziś minął maszynę. Tam, gdzie zmierzał, wygodniej mu było pieszo. Zresztą nie musiał iść daleko.

Dormitoria gladiatorów występujących w Koloseum stanowiły ogrodzony i strzeżony kompleks treningowy. Poszczególne apartamenty wypożyczano instruktorom, ci z kolei kwaterowali tam swoich podopiecznych. W ten sposób w razie śmierci jednego z zawodników łatwo można było wprowadzić kogoś nowego.

Całość leżała poza centrum Gniezna, w jednej z biedniejszych dzielnic, gdzie ziemia była tania. Tutaj też zawodnicy mogli bez przeszkód trenować, każde dormitorium miało własne sale ćwiczebne. Ulryk rzadko spotykał innych gladiatorów. Dużo częściej widział ich na arenie.

Teraz ruszył z wolna w płataninę ciasnych uliczek i śmierdzących bram. Wszedł pomiędzy tanie dwupiętrowe kamieniczki, z których znakomita większość pamiętała jeszcze poprzednie stulecie. Kawałki tynku odpadły od pobazgranych obscenicznymi napisami ścian. Pod stopami chrzęściły przebijające się przez płyty rośliny.

Lokalni mieszkańcy raczej schodzili mu z drogi. Znacznie wyższy i potężniejszy, brzęiący mechanicznymi protezami mógł być tylko jednym – gladiatorem. I choć czuł się, jakby kroczył pośród mrówek, to jednak nie o wzbudzenie strachu mu przecież chodziło.

Odwrócił się. Przez moment wydawało mu się, że jeden z przechodniów, mężczyzna w szarej tunice, idzie za nim od bramy kompleksu. Teraz jednak człowiek zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Ulryk doszedł do wniosku, że mogło mu się tylko wydawać. Czasem od ciosów mieszało mu się w głowie.

Skierował się do taniej karczmy, gdzie właścicielem był dobry znajomy. Znajomy to trochę za duże słowo, raczej fan. Spelunka mieściła się w narożnym budynku czynszowym, z wejściem wychodzącym na plac obsadzony skarłalymi drzewkami, tuż obok brzegu narowistej Wełny.

Klimat panujący w środku lokalu oddawał nastroje większości klienteli. Ściany zadymionej salki obwieszały czarno-białe zdjęcia, reprodukcje wojskowych fotografii. Odbijanie zakładników z zigguratów szacha Persji, legiony królewskie i sprzymierzeńcze lądujące na ziemiach Inków, pałace tamtejszych krwawych władców. W jednym miejscu, tuż nad ladą, na honorowym miejscu wisiała fotografia z pierwszej walki Ulryka.

– O, pojawił się nasz wczorajszy bohater. – Właściciel, niski i nieco grubawy były dekurion, zamachał wesoło ręką. Zaraz też usadził gladiatora tuż obok legionistów z królewskiego manipułu. Już na pierwszy rzut oka wyglądali na weteranów, ogorzałe od słońca twarze, szczupłe sylwetki i oszczędne ruchy. Nawet na przepustce ubrani byli w przepisowe zbroje, obok pełnych kufli leżały hełmy z czerwonymi kitami.

– Oglądałeś moją walkę, Siemomyśle? – zapytał Ulryk, kosztując piwa. Porządne jasne z Mazur, nie miejscowe siki.

– Skądże. Bilet do Koloseum kosztuje tyle, co moje roczne przychody. Ale słuchałem w radiu relacji. Można było prawie poczuć się jak na arenie. – Gospodarz pokręcił głową. – Jesteś popularny. Wszyscy

z okolicy zeszli słuchać relacji. Mówiłem, że czasem przychodzisz. Zgrabnie załatwiłeś tego Askariego.

– Ano – zgodził się gladiator.

– Myślałem właśnie, czy zajrzysz po walce do przyjaciela. Masz przecież co świętować. Mocno dostałeś, nie? – domyślił się gospodarz, widząc, jak chłopak ostrożnie układa się na krześle. – Siedź, ja przyniosę jeszcze jeden dzban.

Dalsza rozmowa, prowadzona z legionistami, przebiegała normalnie, można powiedzieć, że standardowo. Chłopak znał osobiście niektórych z żołnierzy, w większości byli stałymi bywalcami tej karczmy.

Zaczęli od pochwał. Walka wzbudzała szacunek, to oczywiste. Gladiator czuł się niemal bohaterem. Z wolna, w miarę jak opróżniano kolejne kufle, temat rozmowy zbaczał jednak w niebezpieczne strony.

Za każdym razem, gdy Ulryk patrzył na legionistów, czuł tylko smutek i żal. Wiedział, że nigdy nie będzie mógł służyć jak oni, tak jak to sobie wymarzył. Wszyscy mniejsi od niego, ale nabici mięśniami i wytrzymali fizycznie. To on był nieproporcjonalną karykaturą.

Znów przez rozmowę przewinęły się żarty. Pytali się, kiedy przestanie walczyć na arenie i dołączy do armii. Nie miał co odpowiedzieć, niepewny i zagubiony. Nie próbował nawet tłumaczyć dokładnie swojej sytuacji.

Dalsza konwersacja nie kleiła się już wcale. Dlatego po paru kolejnych kuflach pożegnał się i z ulgą ruszył chłodną ulicą w stronę domu. Najbardziej bolało go, że nawet tu, wśród ludzi, których przecież szanował, nie znalazł zrozumienia. Wolno powlókł się ku dormitorium.

– Już jesteś, chłopcze? – w progu apartamentu przywitał go zdenerwowany instruktor. – Dobrze, bardzo dobrze. Spacer, tak?

Ulryk przytaknął gestem. Spojrzał uważnie na dyszącego Otokara. Opiekun wyglądał na mocno przerażonego. Ubrany niechlujnie, we wczorajszą tunikę, jakby nie miał czasu się nawet odświeżyć, instruktor rozpoznał się dopiero na widok swojego gladiatora.

– Co się stało takiego, że odwiedzacie mnie po nocy? – zapytał chłopak.

– Chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku... – Otokar machnął ręką. – Pamiętasz gladiatora, który wczoraj wygrał walkę przed tobą? Nazywa się Mścibor, też podlega pod naszego pracodawcę, mieszkał w sąsiednich apartamentach. W każdym razie on przed niecałą godziną zniknął.

– Nie rozumiem was, panie. Jak to zniknął? – Ulryk przysiadł ciężko na fotelu. Wyprofilowane siedzisko pasowało idealnie do gigantycznego ciała.

– Wiele nie wiem. Od pracodawcy dostałem informację, że Mścibor zniknął, i polecenie, żeby sprawdzić, co dzieje się z tobą. Śledczy

stołeczni dopiero co zajęli się sprawą. – Instruktor westchnął ciężko. – Tam zamordowano wszystkich niewolników, a sam gladiator zniknął bez żadnego śladu.

– I nikt niczego nie zauważył?

– Kilka pojazdów dostawczych widziano nocą na patio, ale strażnik przy bramie myślał, że to ktoś od zaopatrzenia. – Otokar podrapał się po policzku. – No, wystarczy złych informacji. Wstępnie jesteśmy już umówieni na następną walkę. I niestety, obawiam się, że będzie jeszcze coś, co może nie przypaść ci do gustu.

– To znaczy? – Chłopak potarł skroń.

Opiekun pstryknął palcami. Ciężkie drzwi otworzyły się i do komnaty weszło dwóch strażników. Ciężkozbrojni, w stalowych półpancerzach i z długimi kulomiotami na ramionach, wyglądali dokładnie tak, jak powinni: doświadczeni, zwolnieni już ze służby za wysługę lat legionieści. Wciąż zabójczo sprawni, teraz dorabiali do sutych emerytur, robiąc za pieniądze to, co potrafili najlepiej.

– Nowi ochroniarze, specjalnie zamówieni przez właściciela. Będą tutaj cały czas – wyjaśnił instruktor. – Mam jeszcze prośbę. Nie opuszczaj tego apartamentu w najbliższym czasie.

Ulryk został całkowicie sam. Niewolnicy wyszli wcześniej, a z sypialni zniknęli ciężkozbrojni. Mieli czekać pod drzwiami, z drugiej strony, by nie przeszkadzać w wypoczynku.

Zagrzebał się głębiej w pościeli, ale sen nie nadchodził.

Znów się bał, strach ścisnął żelaznym uściskiem wnętrzości. Po raz pierwszy zagrażało mu coś innego niż arena. Pogodził się, że Weles powita go po jednej z walk, taka była kolej rzeczy.

Ale teraz świat wywrócił się na opak, a to było dziwne. Poza Koloseum czuł się jak półbóg, praktycznie nieśmiertelny. Własna siła i rozmiary dawały poczucie bezpieczeństwa. Aż do teraz.

Kto ośmielił się podnieść rękę na gladiatora?

Przez całe życie Ulryk chciał jednego – prawdziwego życia. Tego, co odebrało mu szkolenie, specyfiki i mechaniczne protezy. Skoro nigdzie nie był bezpieczny, jaki sens miało dalsze bezczynne trwanie?

Jako żywa maszyna zagłady mógł w końcu okazać się użyteczny. Wystarczyło jedynie znaleźć porwanego...

Wiedział, że nie będzie to proste. Ale i tak zasypiał z myślą, że właśnie zaczyna się najważniejsza walka w jego życiu.

Taka, do której arenę w końcu wybrał sam.



# WOJCIECH OKRUTNY

## CYBERNEZIS



Siedział na pryczy w półmroku wypełniającym małą celę, będącą jedynym domem, jaki znał. Spoglądał na swoje poznaczone niezliczonymi bliznami ręce, próbując sobie przypomnieć, kiedy i w jakich okolicznościach powstała każda z tych blizn. Bezskutecznie. Błede szramy nachodziły na siebie, tworząc skomplikowane wzory, całą ich konstelację, rozchodzącą się od dłoni na przedramiona i dalej, na całe ciało.

Opuszkami palców powiódł po jednym z tych zgrubień, wędrując labiryntem pamięci o cierpieniu. Blizny na jego ciele. Tylko tyle pozostało z tych, którzy mu je zadali. Był teraz chodzącym pomnikiem upamiętniającym ich śmierć na Arenie. Kiedy on odejdzie, zniknie ostatecznie świadectwo o każdym z przeciwników, ich męstwie, kunszcie. Dźwignął się z pryczy i stanął nagi przed dużym lustrem na ścianie.

Spoglądał na wysokiego, barczystego mężczyznę, którego ciało mimo wieku przypominało nadal pomnik antycznego herosa – idealne proporcje, wyraźnie zaznaczone węzły mocnych mięśni oplatających tors i członki. Każdy centymetr ciała pokrywały blizny. Wyglądał jak zapomniany spiżowy posąg pokryty pajęczynami. Blizny były jego nową skórą. Po starej, nieznaną cierpienia, gładkiej i nieskalanej pozostały gdzieś tam tylko nieliczne wspomnienia. Przeniósł wzrok na twarz w odbiciu.

Ogolona głowa, ostre rysy, połamany wielokrotnie nos, strzępki małżowin usznych, głębokie kaniony szram biegnących po policzkach. W tym rozoranym, przypominającym wielokrotnie bombardowane pole bitwy obliczu jarzyły się błękitnym ogniem oczy. Zwykle czujne,



wyzywające, groźnie spoglądające na świat, teraz jednak podkrążone i zmęczone. Oczy starca. Oczy, które widziały śmierć pod każdą z jej postaci i teraz marzyły tylko o tym, aby zeszklić się i zasnąć wiecznym snem. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie dziś. Jest jeszcze jedno zadanie.

Jedno jedyne marzenie, jakie ośmielił się zachować w sercu przez te wszystkie dwadzieścia dwa lata.



W sali narad znajdującej się na ostatnim piętrze Olympus Plaza przy długim na czterdzieści osób stole siedział tylko jeden człowiek – profesor Margaret Guynard. Jako spadkobierczyni założyciela firmy była posiadaczem prawie połowy akcji Korporacji Guynard–Xiao, jednakże wolała trzymać się w cieniu i nie ingerować w politykę zarządu poza służące jej celom minimum. Oficjalnie była więc jedynie członkiem rady nadzorczej, a także bezpośrednią szefową pionu badań firmy nad transhumanizmem.

– Może... ekhm, przepraszam... – W drzwiach do sali stanęła sekretarka, wyraźnie wstrząśnięta tym, że ktoś zamiast połączenia holo lub wirtualnego wybrał osobiste stawiennictwo na posiedzeniu zarządu korporacji. – Czy życzy sobie pani coś do picia?

Profesor odwróciła wzrok od potężnej tafli okna, przez które przesączały się nieśmiałe promienie wiosennego słońca, i spojrzała na młodą kobietę w przepisowym mundurku korporacji, która wyraźnie nie wiedziała, co zrobić z rozedrganymi dłońmi.

– Ile masz lat?

– Eee... proszę? – Konsternacja sekretarki pogłębiła się.

– Ile. Masz. Lat.

– Trzydzieści sześć, proszę pani.

– Jak długo pracujesz tu, w biurze zarządu, jako sekretarka?

– Od pięciu lat. Wcześniej przeszłam staż w dziale...

– Ilu członków zarządu albo rady nadzorczej poznałaś osobiście? – przerwała jej profesor Guynard.

– Wszystkich, począwszy od...

– Osobiście? Czy przez VRnet?

– Eee... Nie rozumiem... – W oczach sekretarki widać było panikę.

– Ilu członków zarządu firmy i ilu członków rady nadzorczej widziałaś na żywo i rozmawiałaś tak jak teraz ze mną?

– No... – Sekretarka przeczesywała swoją pamięć, próbując przypomnieć sobie podobne zdarzenie. – Pani jest pierwsza...

– Ilu pracowników zatrudnia korporacja? – Guynard zauważyła, że

tęczówki oczu sekretarki zmętniały, gdy ta sięgnęła poprzez wszczepiony w jej mózg implant informacyjny do baz danych VRnetu.

– Obecne zatrudnienie Korporacji Guynard–Xiao wynosi pięć tysięcy ośmuset dwudziestu trzech pracowników na etatach stałych oraz... – wydukała sekretarka.

– Pięć tysięcy ośmuset pracowników. Z iloma miałaś kontakt bezpośredni w ciągu ostatnich pięciu lat?

– No... hmm. Wydaje mi się, że z... dwoma... Trzema!

Sekretarka była już cała rozdygotana. Niecodziennosc sytuacji oraz pytania, które nie mieściły się w rutynie jej dotychczasowych kontaktów zawodowych, wyraźnie zbiły ją z tropu. Guynard podejrzewała, że kobieta wyobraża sobie, iż jest to jakiś test, od którego zależeć będzie jej dalsza kariera w firmie uważanej za jednego z najlepszych pracodawców na całym świecie.

– Trzema... Przez pięć lat pracy w samym mateczniku firmy. A nabór na stanowisko? Miałaś kontakt z kimś... na żywo? – drążyła Margaret.

– Przeszłam standardową rekrutację przez VRnet...

– Dlaczego tu jesteś?

– Nie rozumiem...

– Nie zastanawiało cię, dlaczego jesteś tu osobiście? Dlaczego nie obsługujesz posiedzeń zarządu, które i tak dotąd odbywały się jedynie w VRnecie, za pomocą łączny? – Widząc otwarte szeroko usta i wyraz bezgranicznego zdziwienia na twarzy sekretarki, Guynard westchnęła. – Otóż jesteś wymarłym gatunkiem. Zapomnianym kwiatkiem w doniczce stojącym na parapecie opuszczonego biura. Efektem kaprysu zapisanego w testamencie mojego ojca, który widząc, co się wokół dzieje, wydał dyspozycję, aby w sekretariacie zarządu zawsze dyżurował nie hologram, tylko żywa osoba. Powiedz mi, kiedy ostatnio spoglądałaś w niebo?

– Nie rozumiem...

– Kiedy ostatni raz patrzyłaś na niebo. Tu nie ma czego rozumieć. Tu, gdzie stoimy, to ziemia, drogie dziecko, a tam – Guynard wskazała przez okno – jest niebo. To ten wielki błękit.

– Ja... – Skołowana sekretarka znajdowała się na skraju załamania. – Jeśli pani chce, zaraz przyciemnię szyby...

– Nie. – Ton Guynard stał się ostry, a jej spojrzenie twarde. – Pytam, kiedy ostatni raz spoglądałaś na pieprzone niebo.

– Przepraszam, nie wiem, co powiedzieć... – zająknęła się sekretarka, a jej oczy zaszklily się od wzbierających łez.

– Wiesz, jakie zwierzęta nie patrzą w niebo? Świnie. A obecnie także i ludzie. Świnie usprawiedliwia budowa anatomiczna. Nas nie usprawiedliwia nic. Zejdź mi z oczu.

Sekretarka wybiegła, łkając.

– W dobrym humorze, jak zwykle. Dobrze cię widzieć, Margaret – głos dobiegł z odleglejszej części stołu, gdzie wbudowany w blat projektor wyświetlił hologram Mbewe LaCroix, wiceprezesa zarządu.

– „Widzieć” – prychnęła Guynard. – Dobrze sobie. Mam nadzieję, że masz na tyle przyzwoitości, że nie leżysz teraz w łóżku z jakąś kurewką. Ach, zapomniałam, teraz kurewki można zamawiać w holo, a pakiet związanych z nimi doznań jest w pełni programowalny.

– Słusznie, a wszystko to między innymi dzięki Korporacji Guynard-Xiao, w tym naszej gwiazdzie badań naukowych profesor Margaret Guynard. Mógłbym zapytać ciebie, tak oburzoną formą obrad, kiedy ostatni raz widziałas ten gabinet na żywo... Ale nie zapytam. – Hologram wyszczerzył usta w niezmaconym niczym uśmiechu. – Naprawdę, moja droga, nie znam nikogo innego, kto tak nienawidziłby własnych dzieł. Poświęcasz wszystko dla ich tworzenia, a im są doskonalsze, tym bardziej nimi gardzisz.

– Nie gardzę swoimi dziełami, tylko tym, w jaki sposób są wykorzystywane. Dlatego przesłam do pionu badań nad transhumanizmem.

– Chcesz mi wmówić, że tak inteligentna kobieta jest jednocześnie tak ślepa i naiwna, że nie ma pojęcia, jakim celom służyć będą jej wynalazki?

– Jestem kobietą, która wierzy, że ludzkość stać na więcej, a jednak zamiast odchodzić coraz dalej od drzewa, z którego jako gatunek zesłiśmy, wolimy spoglądać na nie z tęsknotą.

– Dlatego Korporacja Guynard-Xiao bierze na swoje barki ciężar odpowiedzialności za kierunek, w którym ludzkość pójdzie. – Na sali rozbłysnął kolejny hologram, tym razem prezesa zarządu Xiao Li. – Kto jak kto, ale ty, Margaret, choćby przez wzgląd na pamięć swojego ojca powinnaś brać odpowiedzialność za politykę firmy i swoje dzieła, a nie próbować wmówić wszystkim dookoła, że jesteś bezwolną ofiarą. Czego? Masz taki sam głos w zarządzie jak wszyscy inni. Nie przypominam sobie, żebyś protestowała przeciw wprowadzaniu kolejnych modułów neurostymowych do obiegu...

– To wszystko miało służyć innym, wyższym celom niż tworzenie dla ludzi cybernetycznych klatek, które zastępują im całe realne życie.

– Jakich klatek? Czy my kogokolwiek kiedykolwiek zmuszaliśmy do korzystania z VRnetu? Z holoawatarów, z cybernetycznych zamienników dla rzeczywistości? Skoro ktoś wybiera, podkreślam, wybiera, holożycie, wirtual, to znaczy, że jego realna egzystencja jest niedoskonała. Co widzisz złego w korzystaniu z udogodnień? Zakażesz ludziom korzystania z krzeseł, bo mogą doprowadzić do zaniku zdolności chodzenia?

– Liu, ta rozmowa nie ma najmniejszego sensu – ucięła Guynard. –

Odbywaliśmy ją tyle razy, w tylu konfiguracjach, że mogłabym teraz przedstawić każdy kontrargument i każdy zabieg retoryczny, który wytoczysz na moje argumenty. Ty nie przekonasz mnie do swojego punktu widzenia, ja nie mam złudzeń co do tego, czy zdołam przekonać ciebie do moich. Więc skończmy te przepychanki.

– Jak sobie życzysz, moja droga. – Liu uśmiechnęła się widmowymi ustami. – Jak widzę, wszyscy są już obecni. – Potoczył wzrokiem po sali, na której poza profesor Guynard znajdowało się trzydzieści osiem holograficznych awatarów. – Możemy zaczynać posiedzenie zarządu. Wszyscy zapoznali się, jak sądzę, z przesłanymi materiałami. Przypomnę, że dziś rozmawiać będziemy o postępach w projekcie „Prometeusz”.

– Drogie koleżanki i koledzy – zaczął Alex Chen, główny koordynator projektu. – Jak wiecie, projekt ma ambitny cel stworzenia w pełni funkcjonalnego i dostosowanego do aktualnych potrzeb...

– ...hodowanego w laboratorium niewolnika, którego można zaprogramować na poziomie genetycznym do wykonywania określonych funkcji, z których przynajmniej dziewięćdziesiąt procent będzie polegało na dawaniu ludziom rozrywki. A pozostałe dziesięć będzie się sprowadzało do wykonywania co bardziej szkodliwych i uciążliwych prac, zważywszy na to, że nadal nie mamy dokładnego rachunku, co jest tańsze w produkcji i eksploatacji: robot czy klon – wtrąciła się, cedząc słowa, Margaret.

– Ekhm... – chrząknął zbity z tropu Alex. – Profesor poza ładunkiem emocjonalnym przedstawiła ogólny zarys projektu... Faktycznie, jego głównym założeniem jest możliwość jak najbardziej ekonomicznej produkcji osobników spełniających określone służebne w stosunku do społeczeństwa role, w których zwykła maszyna nie byłaby dość elastyczna w działaniu lub wystarczająco wydajna. Jednak celem dalekosiężnym jest coś o wiele ważniejszego. Jak wiemy, efektem ubocznym VRnetu jest znaczący spadek liczby urodzeń i nieprzewidywalna dekonstrukcja społeczeństwa, wywoływana postępującym skrajnym eskapizmem oraz zanikiem zdolności do empatii, prowadzącymi do zwiększenia odsetka osób z osobowością dyssocjalną oraz skłonnościami psychopatycznymi... Dzięki sukcesowi projektu „Prometeusz” korporacja mogłaby zaoferować... usługę polegającą na stworzeniu nowej generacji ludzi, wyspecjalizowanych już od momentu poczęcia, pozbawionych zbędnych i rozprasających ich potencjał elementów, jak nieprzydatna wiedza czy traumatyczne przeżycia. Ludzi pozbawionych wszelkich ułomności i idealnie dostosowanych do nowych realiów cyberspołeczności, wolnych od wspomnianych zaburzeń emocjonalnych i psychicznych.

– Wykastrowane intelektualnie mrówki, pozbawione prawa wyboru,

a mimo to zadowolone, bo nie znałyby innego życia – prychnęła Margaret.

– Profesor Guynard, przywołuję panią do porządku – zagrmiał Xiao.  
– Doktorze Chen, wiemy, czym jest „Prometeusz”. Wiemy, że projekt trwa już kilka lat, wiemy, ile środków pochłonął, wiemy, ile było niepowodzeń jednostkowych...

– Cudowny eufemizm, Xiao – wtrąciła Guynard. – „Niepowodzenie jednostkowe”. Idealny do umieszczenia na nagrobkach trzystu osiemdziesięciu dwóch żywych, inteligentnych i odczuwających emocje istot, bo jak rozumiem, słowo „człowiek” będzie dla was nie do przyjęcia. Niestety, żadna z tych osób nie ma nagrobka, więc nie ma na czym napisać tego epitafium.

Xiao nie odezwał się, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Niezręczną ciszę przerwał w końcu doktor Chen.

– Pani profesor ma rację, że poprzednie eksperymenty zakończyły się przedwcześnie, głównie za sprawą, ee... niezrównoważenia emocjonalnego obiektów... Musimy pamiętać, że jednym z niezbędnych parametrów w produkcji obiektów jest ich znacznie podwyższony potencjał emocjonalny. Dzięki temu osobniki powinny działać w sieci neurostymowej jako naturalne stymulanty, potęgujące doznania użytkowników. Niestety, u samych obiektów wywołuje to wspomniane przeze mnie problemy ze stabilnością emocjonalną i psychiczną. Nasze zespoły psychiatrów dokładnie badały każdy przypadek i jako przyczynę masowych samobójstw podawały głównie sam program kształcenia. Izolacja, ograniczenia w dostarczaniu informacji, brak rozwiniętej interakcji z innymi osobnikami... Przy podwyższonych parametrach emocjonalnych prowadziło to do samobójstw. Podkreślam jednak, że choć wspomniane eksperymenty nie przyniosły zadowalającego efektu, to zebrana dokumentacja okazała się nieoceniona w programie badań pani profesor na temat transhumanizmu oraz prognozy dalszego rozwoju naszego społeczeństwa. Szczególną uwagę zwraca projekt dziewięćdziesiąt pięćsto dwa, kiedy to ośmiu wyhodowanych osobników umieściliśmy na próbę w jednej lokacji, zezwalając im na interakcję...

– Doktorze. Nasz czas jest cenny. Proszę w końcu powiedzieć, dlaczego zebrał nas pan tutaj.

– Ekhm... Tak. – Chen podrapał się po nosie i sięgnął po coś znajdującego się poza obrazem holo. – Proszę państwa, mamy sukces. Trzysta osiemdziesiąty trzeci obiekt doszedł do fazy dorosłej, nie wykazując najmniejszych objawów niestabilności.

Na środku stołu zmaterializował się holoobraz nagiego młodego chłopaka. Ostre rysy twarzy, kwadratowa szczęka, czujne oczy, zupełny brak owłosienia, mocna, umięśniona budowa ciała, sugerująca poza

olbrzymią siłą także nadzwyczajną wytrzymałość i zwinność.

– Obiekt ma obecnie siedemnaście lat. Przewidujemy, że w warunkach standardowych dożyłby czterdziestu, czyli do maksymalnego zakładanego pułapu na tym etapie eksperymentu. Sprawność fizyczna, inteligencja oraz zdolność odczuwania emocji znacznie powyżej przeciętnej. Podwyższone zdolności regeneracyjne, odporność na większość znanych chorób zakaźnych. Na stałe wszczepione złącza neurostymowe i VRnetowe. Poza tym brak implantów i nanowszczepów, brak też innych ingerencji. Z drugiej strony podlega wielu ograniczeniom, szczególnie jeśli chodzi o fizjologię. Brak zdolności reprodukcyjnych... – Doktor złowił spojrzenia kilku członków zarządu obojga płci z ciekawością wędrujące ku obnażonym genitaliom chłopaka. Wyjaśnił: – Może uprawiać seks, ale jest bezpłodny. Jeśli chodzi o preferencje seksualne, to zadbaliśmy o to, aby był biseksualny.

– Jaki wiek osiągały poprzednie obiekty? Skąd pewność, że ten jest wyjątkowy i stabilny? – zapytał Xiao.

– Najbardziej obiecujący obiekt dożył czternastego roku życia. Ten jest stale monitorowany i na praktycznie żadnym etapie rozwoju nie odnotowaliśmy najmniejszych alertów związanych z niestabilnością emocjonalną czy psychiczną – odparł Chen z niezmaconą pewnością siebie. – W naszej ocenie jest gotowy, aby wejść w końcowy etap przygotowań do roli gladiatora. Etap ten zakończy się równo za rok.

Doktor znowu przełączył coś poza zasięgiem sensorów. Obraz na środku sali zmienił się i ożył. Chłopak, tym razem w ochraniaczach na ramionach, nogach i torsie, stał na środku większej hali, uzbrojony w energetyczny pałasz. Naprzeciw niego tkwił nieruchomo humanoidalny, trzymetrowy, masywny robot, którego sześcioro ramion uzbrojonych było w różnego rodzaju broń białą. Mechanizm ruszył, stąpając ciężko, w kierunku stojącego na lekko ugiętych nogach chłopaka. Słysząc było zgrzyt i pobrękiwanie metalu, świst mechanizmów wprawiających robota w ruch.

– To nagranie w czasie rzeczywistym. Mech wykorzystywany jest obecnie do treningu gladiatorów o maksymalnym poziomie doświadczenia. Zdjęto z niego ograniczenia, to znaczy, że jeśli tylko będzie miał szansę, uderzy tak, aby zabić. Jeśli ktoś z państwa chce, może połączyć się neurostymowym złączem z obiektem. Będziecie mogli jako pierwsi wejść w jego głowę i ocenić, na ile towarzyszące temu doznania warte są poniesionych środków. – W głosie Chena pobrzmiwała duma.

Wszyscy obecni wpatrywali się z ciekawością w widowisko, jakie się przed nimi rozgrywało. Profesor Guynard, zamiast śledzić bój chłopca, jako jedyna obserwowała zafascynowane przemocą oblicza. Większość

członków zarządu użyła neurostymów, specjalnych łączy zespajających ich umysły ze zmysłami gladiatora – oczy awatarów zaświeciły białkami, mięśnie twarzy zaczęły drgać w niekontrolowany sposób.

Coraz bardziej wyjałowione z emocji społeczeństwo potrzebowało nowych, silniejszych niż dotąd doznań – narkotyki dawno stały się przeżytkiem. Obecnie nie trzeba było ich zażywać – wystarczyło podpiąć się pod kogoś, w czyich emocjach chciało się zanurzyć. Dziesiątki filtrów i nakładek pozwalały tak skalibrować doznania, aby ich bukiet dostosowany został do najbardziej wyrafinowanych preferencji.

Tymczasem holoprojekcja w sali konferencyjnej ożyła. Robot zwarł się w śmiertelnym starciu z obiektem. Sześcioro ramion wykonywało najpierw pojedyncze ataki, a sztuczna inteligencja badała szybkość reakcji chłopaka, jego zdolności motoryczne oraz refleks, szukając optymalnego algorytmu, dzięki któremu mogłaby go zabić.

Pojedyncze natarcia przyspieszyły – obiekt zdawał się uskakiwać przed ciosami i pchnięciami w ostatniej chwili. Wbrew opisom doktora nie sprawiał wrażenia nadzwyczajnie szybkiego, zwinnego i sprawnego – wydawało się, że z trudem paruje ciosy i tylko cudem udaje mu się umknąć przed spadającym toporem czy zataczającym łuk kolczastym łańcuchem. Na twarzy Xiao, który nie użył neurostymowego łącza, pojawiła się irytacja. Robot w tym czasie rozpoczął bardziej złożone ataki – tym razem ciosy spadały z dwóch stron jednocześnie.

Chłopak chwiał się, uskakiwał, z rzadka parując ciosy – wydawało się, że jego ramię, w którym trzymał energoostrze, jest zbyt obolale, by stawić opór kolejnym miazdzącym atakom przeciwnika. Walka trwała już dobrą chwilę, na skórze chłopca zaczął perlić się pot, jego oddech stał się cięższy. Nieliczne kontry, na jakie się decydował, nie wywierały jakiegokolwiek wrażenia na opancerzonym mechu, ześlizgując się po jego korpusie.

Robot zwiększył tempo, angażując w ataki cały potencjał, jaki dawały mu trzy pary ramion i pazurzaste odnóża. Zanosilo się na rychły tragiczny koniec walki – mimo to doktor Chen spoglądał na widowisko z niezmaconym niczym uśmiechem na twarzy. W końcu ciosy robota zaczęły dochodzić celu – i na ciele chłopca rzeczywiście wykwitły szkarłatne szramy, a liche w porównaniu z pancerzem maszyny ochroniacze zmieniały się w zwisające smętnie strzępy włókien. Jednak z każdą chwilą na twarzach połączonych neurostymowo członków zarządu pojawiały się coraz bardziej ekstatyczne wyrazy zadowolenia.

Im więcej ran otrzymywał chłopak, im bardziej był zmęczony, tym większe bodźce otrzymywali połączeni z nim widzowie – bodźce odpowiednio skalibrowane, komfortowe, wygodne i bezpieczne.

Guynard wreszcie spojrzała na brutalne widowisko. Starła się zachować obojętny wyraz twarzy, ale drżenie jej dłoni i wyraz oczu

zdradzały obawę o los starcia. Robot bezpardonowo siekł i młócił, jednak chłopak był nieugięty. W pewnym momencie, zupełnie nieoczekiwanie, zanurkował pod wzniesionymi do ataku mechanicznymi ramionami, ominął wymierzone w niego ostrza i płynnym, pełnym gracji ruchem odrąbał jedno z ramion napastnika. Sypnęły iskry.

Ramię padło na ziemię, a z przeciętych przewodów trysnął smolisty płyn hydrauliczny. Oczy Xiao rozszerzyły się i niedawną irytację zastąpiła na jego twarzy ciekawość. Po krótkiej chwili chłopak w podobnym brawurowym stylu znów skrócił dystans, uniknął serii błyskawicznych cięć i odciął kolejne ramię.

Za trzecim razem robot zdołał zareagować, ale jedyne, co osiągnął, to kolejnych kilka szram na ciele chłopaka – zapłacił za to nie jednym, ale dwoma odciętymi ramionami. Scena przywiodła Guynard na myśl okrutne dziecko, które metodycznie okalecza pająka, wyrывая mu odnóża. W końcu mech zredukowany został do leżącego na ziemi korpusu z jedną kończyną.

Obiekt stanął nad pokonaną maszyną, dysząc i krwawiąc z dziesiątek płytkich, niegroźnych ran. Spoglądał na przeciwnika, a w jego wzroku zamiast nienawiści, złości czy satysfakcji widać było ciekawość. Guynard nie wiedziała, czy to jej wymysł, czy też faktycznie dostrzegła we wzroku chłopca coś jeszcze – żal i współczucie.

– Panie i panowie, gladiator czeka na werdykt – rzucił doktor Chen żartobliwie pompatycznym tonem, naśladującym mistrzów ceremonii na Arenie. – Czy ma darować życie oponentowi, czy też dokończyć walkę?

Holograficzne postaci praktycznie jednomyślnie opuściły kciuki, wysyłając odpowiedni komunikat. Otrzymawszy go, chłopak uniósł energomiecz, stanął nad korpusem robota, który wił się karykaturalnie, nadal próbując dostosować się do nowej sytuacji i wykorzystać do zabicia przeciwnika to, co mu zostało. Po chwili wahania obiekt wbił rozżarzone energoostrze przez otwór po jednym z ramion, sięgając ku centralnemu procesorowi. Mech znieruchomiał, obraz zastygł, a w sali posiedzeń zapadła doskonała cisza.

– Chciałbym zapytać państwa, jak wrażenia? – odezwał się Chen z triumfalnym uśmiechem na twarzy.

– To... to było... – wykrztusił Brusilow, członek zarządu odpowiadający za promocję i marketing, znany z zamiłowania do Areny – niesamowite! Przy standardowych ustawieniach filtrów poziom emocji przekraczał normy co najmniej dwu-, co ja mówię, trzykrotnie! Odczucia okazały się bardzo czyste, pozbawione zniekształceń i interferencji występujących przy zastosowaniu wzmacniaczy farmakologicznych albo nakładek cyfrowych. Powiedziałbym... szczerze, dziewczcze! Najlepsi



gladiatorzy przechodzą specjalne przygotowania, żeby wytrzymali presję, stres, czasami są odurzani, czasami mają wszczepy regulujące gospodarkę hormonami... Dlatego wielu widzów preferuje walki debutantów, nie weteranów, żeby poczuć prawdziwy strach, gniew. Ale nawet to nie daje takiego kopa jak ten tutaj chłopak! To będzie hit! Szkoda, że najpierw będzie musiał przejść przez te nudne eliminacje, to powinien być towar luksusowy, a nie dostępny dla plebsu za darmo.

– Może więc wystawić go w finałach? W przyszłym roku będzie gotowy, a to, jak się zdaje, rok jubileuszowy, więc będzie okazja pokazać go dopiero na finałach Areny? – podchwyciła temat Casiopea Munn, jedna ze wschodzących gwiazd korporacji.

– To walki dla weteranów. Chcemy trochę na nim zarobić, najpierw pańszczyzna i darmowe transmisje z eliminacji, potem dopiero płatne ligówki. Jak będzie dobry, dotrwa do kolejnego Jubileuszu... – oponował Brusilow.

– Nie będzie dobry. Będzie najlepszy – przerwał doktor Chen. – Chłopak walczył dzisiaj po raz pierwszy z tym typem robota. W każdej chwili mógł go załatwić. W pierwszej sekundzie. Jednak został przeszkolony do dawania widowiska. Ma przygotowanie gladiatora, nie jest zwykłym zabójcą, chociaż spokojnie mógłby nim zostać, jeśli taka będzie wola firmy. Jest artystą, dającym widzom przedstawienie.

– Okej, założmy, że jest dobry. Ale w Jubileuszu walczą NAJLEPSI. Powiedzmy, że go wystawimy. Że przekonam kogo trzeba do ominięcia systemu kwalifikacji i wrzucenia go jako czarnego konia na finały. Co się stanie, jeśli ktoś wybebeszy go w pierwszych minutach? Co niby wtedy zaprezentujemy? „Proszę państwa, nowy produkt, był zajebisty, musicie nam wierzyć, ale obecnie stanowi tylko padlinę, którą możecie sobie pooglądać”? – zadrwił Brusilow. – Proponuję powoli przepuszczać go przez poszczególne fazy, tymczasem pracować nad kolejnymi modelami. Wrzucanie go na głęboką wodę i stawianie na szali wizerunku firmy to nie jest najlepszy pomysł. Na Arenie mistrzami zostają ludzie, a nie roboty. Czy on walczył z ludźmi?

Chen skrzywił się nieznacznie. Brusilow trafił w słaby punkt.

– Dlatego mówię o wystawieniu go za rok, przez który dodatkowo przeszkolimy go wszechstronnie z walk z żywym przeciwnikiem, w dowolnej konfiguracji bojowej i na dowolnych terenach walki.

– Jestem za – włączyła się Lucia Sanchez, do niedawna szefowa wchłoniętej przez korporację firmy zajmującej się badaniami geologicznymi na Marsie. Po jej oczach i wyrazie twarzy widać było, że nadal buzuje w niej adrenalina wywołana neurostymowym połączeniem. – Możemy za rok zmienić decyzję. Możemy też wystawić go do finałów bez naszej etykiety, zaczekać na rozwój wydarzeń i jeśli dotrze do ostatniej czwórki, wtedy odsłonić karty. A jeśli polegnie już na

początku, no cóż, nikt się nie dowie, że to nasz produkt.

– To nie do końca tak... – zaczął Brusilow. – Trzeba jakąś historię dla niego ułożyć, inaczej pojawią się pytania. Finały to spektakl, który jest nagłaśniany stopniowo przez cały rok właśnie. Prezentacje walczących postaci, ich historie, gadzety, VIP-sesje sam na sam...

– Dimitrij – La Croix uśmiechnął się chytrze w stronę awatara kierownika promocji – jesteś najlepszy. Wierzę, że coś wymyślisz. Nieznany rycerz na białym koniu to też atrakcyjna alternatywa. Dlaczego nie nabić mu reklamy, opierając się na tajemnicy? Ludzie lubią nieoczekiwane zwroty akcji.

– To kosztuje – westchnął Brusilow. – Trzeba będzie dać w łapę władzom Ligi, opłacić kampanię w mediach...

– Xiao? – La Croix zwrócił się do milczącego prezesa.

– Mam pytanie, doktorze Chen – odezwał się Xiao. – To jest trzysta osiemdziesiąty trzeci obiekt. Przestudiowałem dokumentację jego rozwoju i powiem szczerze, że nie ma w niej kompletnie NIC, żadnego wniosku na temat tego, co spowodowało, że akurat ten przypadek przeżył i doszedł do finalnego etapu.

– Zmiany w porównaniu z poprzednimi obiektami są znaczące, od farmakologii, gdzie skorygowaliśmy codzienne dawki...

– Doktorze Chen – uciął Xiao – nie robi na mnie wrażenia naukowy bełkot. Proszę o najprostszą z możliwych odpowiedzi: co okazało się decydującym czynnikiem w powodzeniu projektu „Prometeusz”?

– Nie można podchodzić do tego w sposób inny niż całościowy! Otóż, jeśli przyjrzy się pan tabelom...

– Czyli nie macie pojęcia, co sprawiło, że ten osobnik nie popełnił samobójstwa – wycedził Xiao, mierząc wzrokiem zdenerwowanego Chena. – Margaret, skoro pofatygowałaś się osobiście na zebranie, masz oto okazję dorzucić swoje trzy grosze. Co o tym sądzisz, jako specjalista od transhumanizmu? Też brałaś udział w badaniach nad obiektem. Czy twój zespół wychwycił jakieś anomalie?

– Nasze ustalenia również masz w raporcie – odparła Guynard. – Nic godnego uwagi. Nikt nie ma pojęcia, co sprawiło, że ten chłopak – rzuciła wyzywające spojrzenie Xiao, akcentując mocno słowo „chłopak” – jest wyjątkowy. Jestem również gotowa iść o zakład, że nie uda się powtórzyć tego sukcesu jeszcze przez długi czas. Nawet stosując dokładnie te same parametry rozwojowe. Jak słusznie zauważyłeś, mówimy tu o anomalii. Pytanie, co z tym cudem zrobimy: czy damy mu szansę na dalszy rozwój, czerpiąc z tego wiedzę o nas samych, czy też jedyna inteligentna, czująca istota, jaką dotąd stworzyliśmy, skończy jako kolejna zabawka ludzkości?

– Pani profesor, to żadna anomalia – wtrącił rozeźlony Chen. – To oczekiwany i zaplanowany efekt naszych długoletnich badań. Których,

przypomnę, jeszcze do niedawna była pani gorącą orędowniczką.

– Tak, projekt „Prometeusz” był całym moim życiem. Dopóki nie zrozumiałam, jakim celom tak naprawdę służył i będzie służył. Moim zadaniem jest prowadzenie badań nad rozwojem człowieka nowej generacji, a faktycznie zajmujemy się tworzeniem cholernych bezmózgich golemów, czujących niewolników. Nie wspominając o tym, że Chen i jego banda amatorów nie mają zielonego pojęcia, co robią. Są jak stado małąp, które dorwało się do maszyny do pisania, a chłopiec jest po prostu dziełem Szekspira, które według prawideł statystyki udało im się przypadkiem stworzyć.

– Wypraszam sobie! – Doktor zachłysnął się z wściekłości.

– Co proponujesz, Margaret? – przerwał mu niewzruszony Xiao.

– Przekażcie chłopaka mojemu zespołowi wraz z prawem do pełnej wyłączności badań i bez wtrącania się w metody dalszego rozwoju, jakie zaproponuję. Xiao, gladiatorów jest wielu, ten chłopak tylko jeden jedyny w swoim rodzaju.

Zapadła cisza. Holograficzny prezes wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, pogrążony w zadumie. Część członków zarządu zastygła z pustym wyrazem oczu – charakterystycznym dla osób prowadzących właśnie konwersację za pomocą implantów. Guynard zastanawiała się, na czyje głosy może liczyć, kto z zarządu jest po jej stronie.

– Głosujemy. Opcje: przekazanie... chłopca profesor Guynard lub wystawienie go w finałach Areny za rok – przerwał w końcu milczenie Xiao.

Po chwili nad blatem zmaterializowały się wyniki. Margaret westchnęła. W migoczących cyfrach odbijała się przyszłość dzieciaka, którego sprowadzili na ten świat. Spośród czterdziestu uprawnionych do głosowania członków zarządu tylko dwie osoby były przeciwne wystawianiu go w finałach – Guynard oraz nieoczekiwanie sam Xiao, który posłał jej teraz spojrzenie mogące być wyrazem współczucia.

Profesor chwilę rozważała, na ile prezes faktycznie przyjął jej argumentację, a na ile była to z jego strony gra – wiedząc, że jego głos nic nie zmieni, mógł spokojnie poprzeć Margaret.

– A więc postanowione. Zamykam posiedzenie zarządu.

Chwilę później profesor Margaret Guynard opuszczała prawie opustoszałą oficjalną siedzibę korporacji wolnym krokiem, żegnana ukradkowym spojrzeniem sekretarki. Nie czuła się przegrana.

Przeciwnie, jej plan działał.



Słońce prażyło niemilosiernie, gorące, niewzruszone żadnym podmuchem powietrze stężało, pełne kurzu i zapachu świeżo przelanej krwi oraz potu. Dookoła leżały zmasakrowane ciała w strzępach archaicznych pancerzy, będących współczesnymi wariacjami na temat dawnych czasów.

Piach Areny zmienił się miejscami w małe błotniste jeziora, wypełnione krwią wypływającą z rozdartych aort, przeciętych żył. Nie słychać było jęków umierających, gdyż nad Areną unosiła się wrzawa setek tysięcy holograficznych awatarów widzów, których ciała spoczywały w synaptycznych uprzężach umieszczonych w domach, biurach, zakładach. Ich ekstrawaganckie, sztucznie stworzone wizerunki wrzeszczały, ekstatycznie pojękiwały, drgały w konwulsjach wywoływanych sprzężeniem z gladiatorami, których wszystkie odczucia emocjonalne i fizyczne były do nich transmitowane za pomocą złączy neurostymowych.

Złącza dawały możliwość wniknięcia do głowy gladiatora: każdy mógł poczuć to, co wybrany przez niego wojownik, zobaczyć walkę jego oczami i przeżyć każdą jej sekundę – oczywiście z komfortowym dla widza poziomem zabezpieczeń i intensywności bodźców. Profesorowie, sprzedawcy, operatorzy maszyn, pracownicy korporacji, młodzi, starzy, uczciwi i podli, wszyscy łączyli się we wspólnym kibicowaniu i przeżywaniu śmiertelnych starć na dziesiątkach aren rozsianych po całym globie, a nawet w przestrzeni kosmicznej i na Księżycu.

W dowolnej chwili mogli założyć uprzęż i zafundować sobie niewyobrażalny zastrzyk adrenaliny, nieosiągalny w ich nudnym, przewidywalnym życiu. Mogli w bezpieczny sposób zajrzeć do innego, niebezpiecznego świata, zakosztować zakazanego chaosu, tak obcego w poukładanym i ściśle kontrolowanym społeczeństwie. Mogli nakarmić swoje niespełnione ego, puścić wodze na co dzień potępianych fantazji i dewiacji, wszystko kosztem innych ludzi, skazanych na wieczną walkę w imię rozrywki.

Kosztem gladiatorów.

Neurostymy były jak programowalne narkotyki oferujące szeroki wachlarz doznań – od zwykłego pobudzenia po ekstatyczną euforię. Co więcej, po igrzyskach każdy mógł przeżyć dowolną walkę jeszcze raz, z innymi ustawieniami, a nawet skorzystać z trybu symulacji i spróbować pokierować którymś z walczących wedle swego uznania. Raz na pięć lat organizowano też Jubileusz Areny. Odbывał się on w otocze nawiązującej do starożytności – na kopii dawnego Koloseum, z użyciem wyłącznie broni białej.

W igrzyskach brali udział najlepsi – dwustu wojowników, podzielonych na dwie drużyny, czerwoną i czarną. Każdy miał określoną rolę i uzbrojenie, odpowiadające dawnym igrzyskom

w starożytnym Rzymie – byli konni eques, półnaczy retiariusi z trójzębami i sieciami, essedariusi na rydwanach, dimachareusi uzbrojeni tylko w sztylety, myrmillo, samnici i galowie z tarczami i mieczami. Na igrzyskach nie pozwalano na ubieranie gladiatorów w pełne pancerze – widzowie musieli widzieć nagą skórę, na której pojawiały się krwawe pręgi ran. Krew i pot składane w ofierze pierwotnej, krwiożerczej i sadystycznej naturze, tkwiącej głęboko w oglądających widowisko ludziach.

Taki całodzienny bój właśnie dobiegał końca.

Na Arenie z początkowych dwóch setek gladiatorów zostało raptem trzech. Rudowłosa kobieta w roli retiariusza. Myrmillo – mężczyzna w groteskowym hełmie przypominającym rybę, z materiałową osłoną na całej długości prawego ramienia, nagołennikami, z mieczem i prostokątną tarczą. Oraz najlepiej opancerzony, wysoki i postawny crupelarius z dwoma mieczami i garnckowym hełmem.

Wokół trójki gladiatorów wyrosło ograniczające ich pole siłowe, zapobiegając dalszej walce. Nad Areną zmaterializowała się gigantyczna holograficzna głowa mistrza ceremonii – Dozosa Miraculum, aktualnie największej gwiazdy neurokina. Zgodnie z panującą modą lewa strona jego twarzy za sprawą operacji plastycznych i makijażu była kobieca, a prawa męska. Dozos głosem modulowanym przez implanty soniczne zaczął ekstatycznie przedstawiać ostatnich pozostałych przy życiu wojowników.

– Kochani, czy jesteście gotowi na finał?

Hologramy na trybunach podniosły się z miejsc, a z wokalizatorów ryknęła kakofonia tysięcy okrzyków.

– Obawiam się, że nasi wybrańcy na Arenie nie usłyszeli! CZY JESTEŚCIE GOTOWI NA FINAŁ?

Wrzawa jeszcze się spotęgowała, wprawiając Koloseum w wibrację.

– Oto przed wami zajadła, żądna krwi Miriam, Pożeraczka Dusz! Schwytna w Podświecie jako dziecko, skazana za rozboje, wandalizm i kradzieże, obecnie odkupuje swoje winy krwią, walcząc ku waszej ucieście!

Rudowłosa wojowniczką wykonała serię wymyślnych pchnięć swoim trójzębem, połączonych z akrobatycznymi wyskokami i isticie baletowymi piruetami, podczas których z jej skóry spadł deszcz potu i krwi z dziesiątek małych ran. Na koniec zastygła w wystudiowanej, groźnej pozie, z prężącymi się pod mlecznobiałą skórą węzłami mocnych mięśni.

– Od sześciu lat na Arenie, trzysta dziewięćdziesiąt sześć walk, osiemnaście przegranych! To, że stoi przed wami, jest jasnym dowodem, że przegrywała w wielkim stylu, zasługując na łaskę! A może to ogień w jej spojrzeniu sprawiał, że wasze serca miękły i darowaliście jej życie

za każdym razem? – Gargantuiczne oblicze Dozosa wyszczerzyło się w obleśnym uśmiechu. – Użytkownicy premium mogą przekonać się na własnej skórze o walorach tego młodego, gibkiego ciała! Pamiętajcie, tylko dziewięć koma dziewięćdziesiąt dziewięć kredytów w skali miesiąca! W ramach abonamentu dostęp do ekskluzywnych materiałów, hiperłącza emocjonalne oraz prywatne sesje z gladiatorami!

Obraz Dozosa rozmył się i został zastąpiony dynamiczną reklamą ukazującą wyjątkowo brutalne wycinki walk przeplatane wizjami wirtualnych orgii. W tym samym czasie setki małych robotów wjechały na Arenę, oczyszczając ją ze zwłok, odciętych kończyn i porzuconego oręża.

– Drugi finalista, uwielbiany przez was niezłomny, niepokonany, nienasycony, wasz prywatny bóg wojny, AREEEEEEEES!

Wrzawa ponownie przetoczyła się po Arenie jak grom, wszyscy zaczęli skandować imię opancerzonego crupelariusza, który wzniósł w górę oba zakrwawione miecze i uderzając nimi, zaczął nadawać rytm skandowaniu.

– Dziś jego jubileusz! Dwadzieścia lat spędzonych na wszystkich możliwych arenach! Dziś dokładnie trzytysięczna walka Aresa! W ciągu całej kariery poniósł jedynie cztery porażki! Przypomnijmy sobie wszystkie chwile chwały, w jakich za jego sprawą braliśmy udział!

W powietrzu pojawiły się nagrania ze starć będących udziałem wojownika. Typowe walki arenowe – pojedynki, starcia grupowe w różnym wyposażeniu, jak i epickie, masowe rekonstrukcje największych bitew w historii – od Maratonu czy Termopil przez Hastings, zdobycie Jerozolimy, Crécy, Lipsk, Waterloo, Verdun, Stalingrad, Normandię, Dien Bien Phu, Afganistan po pacyfikację Moskwy, inwazję na Tajwan, drugą wojnę secesyjną, rebelię górniczą. Wszystkie najkrwawsze momenty w historii ludzkości. Ares walczący w normańskiej kolczudze. Ares szarżujący na koniu z szablą w dłoni na szereg muszkieterów. Ares biegnący przez ziemię niczyją, kulący się pod seriami z karabinów maszynowych. Ares pacyfikujący wietnamską wioskę. Ares z karabinem snajperskim przekradający się przez skaliste granie. Ares w uprzęży raketowej sunący ku wyrwie w kadłubie stacji orbitalnej. Ares w pancerzu naszpikowanego bronią robota, rozszarpujący stalowymi szponami kabinę mecha przeciwnika na księżycowym globie. Widownia kwitowała co bardziej krwawe sceny obłąkańczym wyciem i skandowaniem nazw batalii, z których pochodziły dane ujęcia.

– Tak, moi drodzy! Dwadzieścia lat z nami! Ares, Ares, Areeeeeees! – skandował Dozos razem z tłumem. A gdy euforia odrobinę opadła, przedstawił ostatniego walczącego: – Oto przed wami ostatni finalista. Nasza niespodzianka! Od razu w imieniu Korporacji Guynard-Xiao

chciałbym podziękować wszystkim, którzy wybrali tego gladiatora do nawiązania połączenia. Zaryzykowaliście, obstawiając nieznanego zawodnika, jednak jak widać, ryzyko się opłaciło, dotarł do finału! Ale Korporacja Guynard- Xiao chciałaby was dodatkowo wynagrodzić. Zaraz podamy listę osób, które wygrały ROCZNY abonament premium na Arenie!

Po dopełnieniu formalności z ogłoszeniem nagrodzonych Dozos podjął swój wywód na nowo:

– Moi drodzy, musicie jeszcze uzbroić się w cierpliwość. Personalia ostatniego z gladiatorów podamy dopiero po zakończeniu starcia finałowego. Do tego momentu możecie mówić o nim „Prometeusz”, albowiem to on da wam ogień emocji na skalę, o jakiej wam się dotąd nie śniło!!! Niech rozpocznie się walkaaaa!

Gladiatorzy unieśli swój oręż, a ich tradycyjny okrzyk, którego geneza leżała w spowitej mrokami przeszłości, przebił się za sprawą wokalizatorów przez panujący rejwach: „Idący na śmierć pozdrawiają was!!!”. Energetyczne pola ograniczające zamigotały i zgasły, dając walczącym swobodę.

Ares od razu zaczął siec powietrze swoimi mieczami, wprawiając je w widowiskowy młynek. Miriam aktywowała bransoletę na lewym przedramieniu, powodując wysunięcie się z niej macek energii układających się w sieć. Myrmillo ugiął lekko nogi, uniósł tarczę i oparł na niej wymierzone przed siebie ostrze miecza. Przeciwnicy obserwowali się uważnie, próbując przewidzieć, kto uderzy na kogo w pierwszej kolejności, oceniając, kto stanowi większe zagrożenie, kogo należy wyeliminować najpierw.

Ten zakląty krąg przerwał Ares – ruszył z impetem na Prometeusza. Miriam dostrzegła swoją szansę, ruszyła za odwróconym do niej tyłem Aresem, zamierzając zarzucić na niego buzującą wyładowaniami sieć. Prometeusz instynktownie uniósł tarczę, chcąc zablokować cios Aresa – ten jednak podskoczył, uderzył prawą stopą w tarczę i wybił się do tyłu, prezentując zwinność i szybkość zupełnie niepasujące do masywnej postury i ciężkiego pancerza.

Energetyczne wiązki sieci minęły koziółkującego w powietrzu Aresa i sięgnęły po lecącego do tyłu, wybitego impetem kopnięcia Prometeusza. Ciałem wojownika wstrząsnęły bolesne skurcze wszystkich mięśni – podłączeni do niego widzowie zawyli z podniecenia, czując jego cierpienie i ból. Miriam nie zwlekała – widząc swoją szansę, dźgnęła trójzębem w odsłoniętego Prometeusza – ten jednak zdołał unieść ramię i zbić cios.

Znowu pojawił się Ares, atakując tym razem Miriam. Dało to Prometeuszowi chwilę na otrząśnięcie się. Wstał i ruszył do walki. Troje wojowników tańczyło teraz wokół siebie w morderczym balecie – każdy

atakował każdego, broń cięła powietrze, uderzające o siebie ostrza krzesaly iskry. Niektóre z ciosów dochodziły celu, znacząc szkarłatem odsłonięte części zroszonych potem ciał. Każdemu grymasowi bólu, każdemu syknięciu lub przekleństwu towarzyszył szaleńczy aplauz podpiętych do gladiatorów widzów.

Wojownicy walczyli, prezentując cały swój kunszt i doświadczenie, zdobywane w ciągu wielu lat morderczych treningów i krwawych, bezpardonowych walk. Żyli dla takich chwil – gdy podziwiali ich miliardy ludzi, łowiąc najmniejsze drgnienie mięśni, najlżejszy gest, ruch. Przed nieuchronną śmiercią dawali widzom widowisko, starając się połączyć chęć przetrwania z artystycznym kunsztem. W tej walce nie musieli udawać, sztucznie przeciągać starcia – wszyscy prezentowali tak wysoki poziom, że przełamanie obrony przeciwnika i zadanie mu śmiertelnego ciosu nie było łatwe.

W pewnym momencie Miriam wbiła trójzęb w ziemię i używając go jak tyczki, wybiła się w powietrze. Przelatując nad głową wykonującego szerokie cięcie Aresa, kopnęła mocno. Crupelariusz mimo hełmu osłaniającego głowę zachwiał się ogłuszony i przyklęknął na jedno kolano. Prometeusz skoczył w jego kierunku, jednak w ostatniej chwili, będąc tuż obok, wykonał obrót wokół własnej osi. Dzięki temu lecąca w jego kierunku energetyczna sieć rozładowała się na jego tarczy. Sekundę później legł płasko na ziemi, a powietrze nad nim rozorał śmiertcionosny trójzęb.

Rozległ się pełen bólu i wściekłości ryk Aresa, który stojąc za Prometeuszem i zamierzając wbić w jego plecy oba miecze, stał się celem trójzębu. Ostrza broni przebiły pancerz pokrywający pierś wojownika. Rana nie mogła być śmiertelna, jednak spod przebitego metalu zaczęła tryskać krew.

Gladiatorzy znów zwarli się w na pozór chaotycznej, ale dokładnie kontrolowanej i precyzyjnej wymianie ciosów. Powietrze jonizowała co chwila wystrzeliwana sieć Miriam. Prometeusz gorączkowo zastanawiał się, jak przełamać trwający impas. Ilekroć jeden z walczących odsłaniał się na cios drugiego, ten, kto mógłby zadać cios, odsłaniał się też na atak trzeciego z wojowników. Przypominało to grę w papier, nożyce, kamień. Prometeusz podjął decyzję.

Zaatakował Aresa, napierając na niego tarczą i jednocześnie próbując pchnięciami krótkiego miecza przebić się przez wirujące miecze crupelariusza. Tak jak się spodziewał, sytuację ponownie chciała wykorzystać Miriam. Kobieta cisnęła na niego swoją energetyczną sieć. Tym razem jednak nie uskoczył, nie zablokował. Tuż przed smagnięciem porażającej mięśnie energii wykonał zamaszyste cięcie na nogi crupelariusza, a gdy ten podskoczył, uderzył mocno tarczą, zwalając go z nóg. W tej samej chwili poczuł, jak wyładowania z sieci Miriam



wgryzają się w jego układ nerwowy, szarpiąc każdym włóknem.

Zgrzytnął zaciśniętymi zębami, czując, jak kilka z nich się kruszy. Świat zawirował mu przed oczami; zdawało się, że krew w żyłach zmieniła się w kwas. Ból wycieńczonego długą walką, poranionego ciała był niewyobrażalny. Ku powszechnemu zaskoczeniu tak widzów, jak i Miriam Prometeusz odwrócił się, ciągle wstrząsany spazmami, odrzucił miecz i tarczę, chwycił oburącz pędzący w kierunku swojej piersi trójzab i wyrwał go z rąk wojowniczkii. Przyspieszając ruchy tak, że dla ludzkiego oka stały się one ledwo zauważalne, odbił drzewcem trójzębu nadciągające cięcie mieczy crupelariusza, po czym z całą siłą wbił graniaste grot trójzębu w niechroniony brzuch ciągle zaskoczonej Miriam.

Z jej ust bluznęła gęsta, ciemna krew, kolana ugięły się. Prometeusz bezceremonialnie wyrwał broń z padającego ciała. Wciąż mając mroczki przed oczami i ciężko dysząc, odwrócił się do Aresa, gotowy na jego atak. Ten jednak stał w bezpiecznej odległości, przyglądając się całej scenie – pomiędzy wizurami hełmu lśniły brązowe oczy, skupione, inteligentne, czujne. Ares ledwo dostrzegalnie kiwnął głową – Prometeusz nie wiedział, czy w wyrazie uznania, czy też wyzywając go do dalszej walki. Wówczas pomiędzy wojownikami rozbłysła tafla zapory energetycznej i nad Areną znowu zmaterializował się monstrialny hologram Dozosa.

– Moi drodzy, czyż to nie było wspaniałe?! – zawył ekstatycznie mistrz ceremonii. – Oddajmy cześć Miriam, niezrównanej wojownicy, która przez tyle sezonów urzekła nas swoim kunsztem i pięknem! – Dozos przybrał zboląły ton i cierpiętniczy wyraz twarzy, jednak już po paru sekundach znowu krzyczał, pełen euforii: – Pamiętajcie o Miriam, wykupując holopakiety Gloria Victis! Dzięki nim będziecie mogli przeżyć na nowo jej największe triumfy!

Prometeusz nie słuchał tego bełkotu, próbując skupić się na przeciwniku i przeanalizować wszystkie słabe i mocne punkty Aresa, jakie poznał w dotychczasowej walce. Mając trójzab Miriam, musiał trzymać się na dystans. Ares z kolei powinien próbować wykorzystać swoje mocne opancerzenie, aby szybko ten dystans skrócić i zakończyć walkę w zwarciu, w którym trójzab był bezużyteczny. Prometeusz rozważał chwilę, czy nie spróbować podnieść z ziemi swojego porzuconego oręża, jednak pomiędzy nim a bronią stał Ares.

– Niech zacznie się finałowa walka! – wrzasnął Dozos, a ekrany ograniczające zniknęły.

Ares ponownie przejął inicjatywę i ruszył na Prometeusza, jednak już nie z całym impetem, ale rozważniej i ostrożniej, jakby zrozumiał, że przeciwnik nie da się zastraszyć.

Prometeusz część ciosów zbijał, część parował, pracował dystansem

i wykonywał próbne pchnięcia w chwili, gdy crupelarius zanadto się odsłaniał. Jednakże ataki te zwykle albo trafiały w próżnię, albo były za słabe, by przebić hartowany pancerz.

W pewnej chwili Ares po wykonaniu wypadu poślizgnął się i zachwiał. Prometeusz wykonał mocne pchnięcie, pewny, że to jego najlepsza szansa na zakończenie walki. Jak się okazało, był to wybieg – crupelarius błyskawicznie stanął na nogi, odbił cios trójzębu i korzystając z tego, że dystans niebezpiecznie się zmniejszył, uderzył.

Ostrze jednego z mieczy rozcięło udo Prometeusza, sięgając aż do kości. Gdy ten wrzasnął i zasłonił się drzewcem przed ciosem drugiego miecza, Ares ponowił cięcie pierwszym, żłobiąc krwawą wyrwę w ramieniu przeciwnika. Prometeusz rozpaczliwie szarpnął się w tył i kopnął w nadgarstek Aresa, wytrącając mu jeden z mieczy, po czym wykonał akrobatyczne salto, używając, podobnie jak wcześniej Miriam, trójzębu niczym tyczki.

Jednak gdy lądował, dała o sobie znać raniona noga i gladiator legł na ziemi. Ares doskoczył, chcąc zakończyć walkę, jednak Prometeusz zasłonił się ranioną wcześniej ręką. Ostrze krótkiego miecza przebiło muskularne przedramię, jednak nie sięgnęło piersi. Wojownik zaś błyskawicznie szarpnął trójzębem i wraził go w bok Aresa, między metalowe płyty pancerza.

Crupelarius jęknął, wypuścił wciąż wbity w przedramię wroga miecz i legł na boku. Prometeusz wyszarpnął trójzab, zerwał się i sprawnym ruchem przyszpilił prawą dłoń Aresa do ziemi. Po chwili, nie zważając na ból, wyrwał ze swojej rany miecz i przybił nim drugą dłoń przeciwnika, unieruchamiając go z rozłożonymi rękoma, na wzór schwytanego przez entomologa motyla. Z głowy Aresa spadł wreszcie inkrustowany w mityczne stwory hełm i Prometeusz spojrział w oblicze wroga.

Twarz była mocno zdeformowana na skutek odniesionych ran. Zaczyły ją blizny i stare oparzeliny. Przywodziła na myśl twarz żywego trupa. Jedyne ciemne oczy, teraz obwiedzione czerwonym wianuszkami popękanych naczynek krwionośnych, świadczyły o tym, że leżąca przed Prometeuszem osoba nie jest gnijącym truchłem.

Patrzyli na siebie, ciężko dysząc i nie odzywając się – poraniony, wyczerpany Prometeusz i pokonany, bezbronny Ares.

– Chwała Prometeuszowi! – ryknął holograficzny Dozos. – Mamy zwyciężcę! Oto nadchodzi moment prawdy! Moi drodzy, krótka chwila dla naszych sponsorów, po czym nastąpi głosowanie: czy oszczędzicie Aresa? Czy też wyślecie go na wieczną emeryturę? To już za chwilę!

– Uwolnij... mnie... – wycharczał, krztusząc się krwią, stary gladiator. – Nie... pozwól... aby to... oni... decydowali... Daj mi ten moment... daj mi wybór... Uwolnij...

Prometeusz klęknął przy leżącym przeciwniku. Cały czas spoglądając mu w oczy, dotknął delikatnie jego poznaczonej bliznami skóry, chropowatej twarzy. Po czym bez ostrzeżenia, bez śladu emocji chwycił oburącz głowę starego wojownika i gwałtownie przekręcił, łamiąc mu kręgosłup.

Zapadła cisza. Dozos po raz pierwszy umilkł, nie wiedząc, co powiedzieć.



Pierwsze wspomnienia były mgliste – wszechobecna biel i szarość. Teraz, po latach, porównywał swoje dzieciństwo do tresury dzikich zwierząt w cyrku. Nie miał rodziców. Nie miał przyjaciół. Nie zbudował żadnej trwałej relacji, więzi. Jedyne świat, jaki widział, tworzyły wtedy sterylne pomieszczenia, wyposażone jedynie w najniezbędniejsze sprzęty, ale za to hojnie wypełnione aparaturą badawczą.

Jedyni ludzie, z jakimi miał do czynienia, byli opakowanymi w jednakowe kombinezony naukowcami, których twarze wiecznie przesłaniały kitle. Co dzień nowe testy. Co dzień nowe badania. Co dzień żmudna nauka i wycieńczające ćwiczenia, mające zbadać, gdzie leżą granice jego fizycznej i psychicznej wytrzymałości, by następnie je skruszyć i wytyczyć nowe, o wiele dalej.

Uczono go wszystkiego, co według instruktorów było przydatne na rozsianych po całym świecie arenach. Aż tyle i tylko tyle – nie było miejsca na wiedzę, która nie byłaby podporządkowana wyłącznie jednemu celowi – walce i zwyciężaniu.

Intensywność dnia nie pozwalała mu skupić się na czymkolwiek poza zadanymi kwestiami. Nie miał czasu na zastanowienie, kim właściwie jest, skąd się tu wziął, co go czeka. Cykl dnia i nocy był pojęciem abstrakcyjnym – wyznaczały go sztuczne światła w korytarzach. Gdy w jego celi zapadała ciemność, nachodził go strach i niewyobrażalny niepokój. Nim zasnął, zwykle lkał w poduszkę, dając upust tamowanym cały dzień emocjom, których nie potrafił nawet nazwać.



– Doktorze Chen, nadal uważa pan, że proces „wgrywania osobowości” przebiega odpowiednio? – Margaret Guynard wpatrywała się w monitor, na którym widać było małego, około siedmioletniego chłopca, kulącego się na kozetce w celi.

Kamery przebijały ciemność pokoju, ukazując w nienaturalnym spektrum barw ciało chłopca i jego szeroko otwarte oczy, przypominające w noktowizji dwa błyszczące opale. Chłopcem od czasu do czasu wstrząsał spazm – Guynard domyśliła się, że płakał.

– Mamy jasne parametry do osiągnięcia. Obiekt ma zostać dostosowany do roli, jaką mu przeznaczymy. Nic ponadto. Musimy zmaksymalizować efektywność hodowli poprzez ograniczenie elementów wychowawczych i edukacyjnych do niezbędnego minimum. Nie zależy nam na osobniku wszechstronnie utalentowanym, potrzebujemy wąsko wyspecjalizowanego drapieźnika. – Nie odrywając się od wirtualnych ekranów z setkami wykresów, siedzący obok Guynard doktor Chen przybrał mentorski ton, jakby wyluszczał oczywiste aspekty nowemu studentowi.

– Drapieźnika, który pozna tysiące sposobów na zabicie osób, z jakimi spotka się jedynie na Arenie. Drapieźnika, który będzie oglądany przez cały świat, ale nie będzie zdawał sobie sprawy, jak ten świat naprawdę wygląda – westchnęła profesor.

– Zważywszy na to, jakie cele będą przed nim postawione, powtórzę: nie ma powodu, aby dawać mu informacje o historii Francji, twórczości Goethego czy budowie geologicznej kuli ziemskiej. Z całym szacunkiem, ale byłoby to tak sensowne jak wtłaczanie do głowy górnika z Pasa Kuipera wiadomości o etykietce dworskiej w wiktoriańskiej Anglii.

– Nie zastanawiał się pan, po co nam to?

– Ee... Nauka służy różnym celom...

– Doktorze, w tym wypadku służy pozyskaniu istoty, która swoimi emocjami będzie karmić zblazowaną, zepsutą i coraz bardziej wyalienowaną ludzkość. Nazywając rzeczy bardzo brutalnie po imieniu: tworzymy sobie błazna, który będzie zaspokajał nasze najprymitywniejsze fascynacje.

– Oczywiście można to i tak rozumieć – chrząknął doktor. – Ale ja wolę być realistą. Sama szczytna idea nie wystarczy, żeby opłacić badania. Kiedyś powiedziała pani w jakimś wywiadzie, że nauka jest ścieżką, dzięki której trafimy kiedyś do prywatnego laboratorium Stwórcy. A kiedy tam trafimy, nie znajdziemy wszechmocnego demiurga, tylko proste lustro, w którym ujrzymy nasze własne odbicie. To właśnie tu robimy: kradniemy bogom ogień i ożywiamy nim gliniane golemy. Co dalej się z nimi stanie, na to już nie mamy wpływu.

– Wie pan, że ta argumentacja jest bardzo popularna u wszystkich, którzy wysługiwali się zbrodniczym reżimom i uczestniczyli w ludobójstwie? „My tylko wykonywaliśmy rozkazy”. „Wszystko dla dobra nauki”...

– Nie wiem, czego pani ode mnie oczekuje – zachnął się Chen. – Mam mieć wyrzuty sumienia? Przykro mi, ale nie mam. Z tych badań może

powstać wiele dobrego dla lepszego zrozumienia człowieka, a w dalszej perspektywie zabezpieczenia losu ludzkości. Przy obecnym przyroście naturalnym, a raczej jego braku, inżynieria genetyczna i sztuczne tworzenie ludzi jest koniecznością. Co więcej, musimy opracować efektywne sposoby wychowywania dzieci sprowadzonych w ten sposób na świat. Zważywszy na lawinowe przenoszenie się całej aktywności w wirtual, w holoświat, paląca staje się potrzeba opracowania takiej drogi wychowawczej nowych pokoleń, która nie spowoduje cofnięcia się cywilizacji o kilka wieków. Inaczej będziemy wypuszczali na świat osobniki niestabilne, psychopatyczne i zupełnie aspołeczne. Jest pani szefową badań nad transhumanizmem, nie muszę więc tłumaczyć, że potrzeba kontrolowanego przejścia do człowieka dwa zero, a nawet trzy zero, bo ewolucja przestała nadążać za rozwojem technologicznym. Nie mamy gwarancji, że za chwilę nie okaże się, że dotarliśmy do ślepej uliczki w rozwoju naszej cywilizacji, gatunku, społeczeństwa.

– Proszę sobie darować te przemówienia jak z oficjalnych broszur. Doskonale wiem, jak wygląda sytuacja. Tylko że zamiast faktycznego wychodzenia za pomocą technologii poza nasze ograniczenia wybraliśmy uludę. Zawłóści świata przerosły nas i zamiast stawić im czoła, stworzyliśmy nowy, lepszy, cukierkowy i szalenie nieprawdziwy, nietrwały miraż, którym się odurzamy. Widział pan, jak ostatnio wyglądają ulice miast? Wymarłe. Gdziekolwiek pojawia się jakiś człowiek, cała reszta ruchu ulicznego to zautomatyzowane transporty. Za to VRnet tętni życiem! Wirtualne miasta kipią życiem, świecą neonami. Wszędzie tłumy awatarów...

– Trudno mieć za złe ludziom, że pociąga ich perspektywa świata, który mogą dowolnie zmieniać i przebywać w nim pod dowolną postacią.

– Oczywiście. Tylko... do czego to tak naprawdę doprowadzi? Ziemia stanie się jednym wielkim grobowcem, pełnym bajkowych królewiczów i księżniczek, pogrążonych w błogim śnie? – zadrwiła Guynard.

– Może to jest kolejny etap naszej ewolucji? Czy jaskiniowiec zrozumiałby, jak można żyć w wielkich betonowych miastach? Może jesteśmy neandertalczykami wypieranymi przez nowy gatunek? Pani profesor, proszę mi wierzyć, ja doskonale rozumiem te rozterki. W większości podzielam podobne wątpliwości. Różni nas jedno: pani chciałaby zbudować tamę, która zatrzyma rzekę zmian, ja natomiast chcę poznać jej bieg, zapanować nad nurtem i nadać jej odpowiedni kierunek, a nie zatrzymywać.

– Nie, doktorze. Wam zależy na stworzeniu potwora Frankensteina, ja chcę stworzyć Prometeusza. Istotę, która ulepi ludzkość na nowo i tchnie w nią ogień – oznajmiła Guynard ostrym tonem.

Chen westchnął z rezygnacją i odwrócił się znów ku swoim

holopanelom. Margaret milczała długo, skupiając się na obrazie leżącego w ciemności chłopca. Wreszcie obiekt usnął, jego pierś wznosiła się teraz jednostajnym rytmem.

– Przeglądałam raporty i analizy poprzednich przypadków – podjęła na nowo, zwracając się do Chena. – Chyba wiem, czego najbardziej brakowało w programie kształtowania osobowości.

– Tak? Proszę mnie oświecić.

– Wiary.

– Przerabialiśmy już to. – Doktor machnął lekceważąco ręką. – W paru poprzednich przypadkach włączaliśmy do procesu edukacji podstawy teologii, przyswajanie różnych systemów wierzeń, nie zauważono jednak jakiegokolwiek znaczącej poprawy. Zasadniczo to wręcz przeciwnie. Zwykle wprowadzenie elementów religijnych powodowało przyspieszenie prób autounicestwienia.

– Chodzi mi o cel w życiu i wiarę w sens istnienia.



Zobaczył przed sobą unoszącą się nad podłogą świetlistą postać. Spowita w niebieskawą poświatę istota – z całą swoją delikatnością i gładkością rysów twarzy, mogącej być tak dziewczęcą, jak i chłopięcą, z całą zwiewnością i kruchością kształtów – przypominała senną efemerydę. Za jej plecami rozwijały się i leniwie wachlowały srebrzące się skrzydła, po których przy każdym ruchu przemykały błękitne rozbłyśki wyładowań energii.

Chłopiec spoglądał na wiszące przed jego łóżkiem widmo, bardziej urzeczony niż przestraszony. Spróbował odezwać się, jednak odkrył, że nie jest w stanie wykrztusić słowa. Nie mógł też się poruszyć, choćby i mrugnąć.

– Nie musisz nic mówić, wystarczy, że pomyślisz – odezwał się ciepły, głęboki głos w jego umyśle.

– Czy... czy ja śnię? – pomyślał.

– I tak, i nie – odezwała się zjawą.

– Kim... kim jesteś?

– Aniołem. Twoim własnym aniołem stróżem.

– Co to jest... anioł?

– Opiekun. Przyjaciel. Poślaniec. Nauczyciel.

Chłopiec zrozumiał tylko znaczenie ostatniego słowa.

– Czy to czas nauki...? Czego mnie nauczysz?

– Całe życie jest nauką. Nauczę cię tego, kim naprawdę jesteś. Wskażę ci cel, dla którego żyjesz.

Anioł podpłynął do chłopca, położył na jego głowie swoją widmową dłoń i uśmiechnął się.

- Pokażę ci prawdę, Prometeuszu.
- Prometeusz... Czy to jest moje imię?
- Od teraz i na zawsze tak.

Od tamtego momentu chłopiec nie był sam. Ilekroć tego potrzebował, zjawiał się anioł. Najpierw niósł słowa pociechy, pomagał zasnąć i uporządkować, ujarzmić myśli. Odpowiadał cierpliwie na każde pytanie, jakie rodziło się w dziecięcej głowie. Z czasem anioł zaczął opowiadać mu o tym, że istnieje inny świat poza laboratorium i celą.

- Inny świat? Chodzi ci o inne areny? – zapytał chłopiec.
- Nie. Chodzi mi o świat POZA nimi – odparł spokojnym głosem posłaniec.
- Ale nauczyciele mówią, że są tylko areny. Że zostałem stworzony, żeby na nich walczyć.

– Areny to tylko część prawdziwego świata. Chcą, żebyś myślał, że nie ma nic poza Areną, bo wtedy będziesz im uległy. Chcą, żebyś walczył. I będziesz walczył. Ale masz do odegrania znacznie ważniejszą rolę.

- Jaką?
- Dowiesz się, kiedy nadejdzie czas.
- To znaczy kiedy? Skąd mam wiedzieć, że oni kłamią, a ty mówisz prawdę?
- Pokażę ci prawdziwy świat.
- Kiedy?
- Niebawem.

Anioł rozmyślał, a w zjonizowanym powietrzu pozostał dłużej tylko jego enigmatyczny uśmiech. Chłopak wydrapał wtedy skrzydła na ścianie naprzeciw lustra. Potem często stawał pod tą ścianą i patrząc na swoje uskrzydłone odbicie, wyobrażał sobie, że sam jest aniołem. Zamykał oczy i śnił, że unosi się na świetlistych skrzydłach gdzieś daleko, z dala od bolesnych badań, nużących lekcji, wyczerpujących ćwiczeń.

Anioł opowiadał mu o prawdziwym świecie, pełnym miliardów śniących na jawie ludzi. Pełnym strzelistych budynków, w których istniały całe labirynty pomieszczeń. Świecie niegdyś żywym, wspaniałym, ale i niebezpiecznym, obecnie coraz bardziej zapomnianym na rzecz kolorowego mirażu. Chłopiec nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie tacy jak on, mając do dyspozycji tak rozległy, wspaniały świat, większy od najrozleglejszej z Aren, odrzucili go i woleli przesypiać całe swoje życie.

Anioł starał się dawkować opowieści w taki sposób, aby zazębiały się z wiadomościami, które podawano chłopcu podczas lekcji udzielanych

przez maszyny i ludzi w kitalach. Z tych fragmentów powoli powstawało wyobrażenie tego, co znajduje się poza więzieniem – bo Prometeusz tak zaczął traktować swoją celę i laboratorium.

Pewnego dnia anioł oznajmił mu to, do czego go tak długo przygotowywał.

– Dziś ujrzysz prawdziwe oblicze świata.

– Jak stąd wyjdziemy? – zaniepokoił się chłopiec.

– Twoje ciało pozostanie tu, w celi. Na spacer zabiorę twoje zmysły.

Anioł użył implantu neurostymowego chłopca, aby zabrać jego awatara do realnego świata. Przeżycie było wstrząsające, o wiele bardziej intensywne niż pierwsza wizyta Prometeusza, również neurostymowa, na największej z otwartych aren.

Posłaniec przeniósł chłopca na polanę w lesie.

Dzięki strzelistym drzewom i przesłaniającym niebo koronom strach przed otwartą przestrzenią nie był tak duży. Prometeusz z zaciekawieniem obserwował otaczającą go zielenią, pełną żywych stworzeń. W ciągu kolejnych podróży, odbywanych co kilka dni, anioł zabierał go coraz dalej, pokazywał mu coraz więcej prawdziwego świata. Jednym z etapów podróży było miasto i jego monumentalne budowle, błyskające neony, trójwymiarowe reklamy. I uderzający brak mieszkańców – poza nielicznymi osobami ulice były wyludnione.

– Gdzie są wszyscy? Mówiłeś o miliardach, a tu nie ma prawie nikogo?

– Ludzie odwrócili się od tego świata. Wybrali świat kłamstw i złudzeń.

Anioł pokazał chłopcu ludzi zamkniętych w swoich mieszkaniach, podłączonych neurostymami do wirtualnego uniwersum. W najbardziej drastycznych przypadkach w domach spoczywały ciała owinięte kokonami aparatury podtrzymującej życie, a umysły ich właścicieli przebywały w rzeczywistości wirtualnej, w której pracowały, obsługując automaty istniejące w świecie realnym, spotykały się z rodziną i znajomymi, bawiły, imprezowały, bezwysiłkowo uprawiały sporty.

– Teraz rozumiesz, dlaczego mówiłem, że ci ludzie śnią. Trzeba ich obudzić. Trzeba przypomnieć, czym są prawdziwe uczucia. Miłość, nienawiść, ból, radość, rozpacz, cierpienie, szczęście. To, gdzie żyją obecnie, to złudzenie, namiastka. Ich zmysły śpią, próbują zastąpić prawdziwe emocje, żerując na emocjach gladiatorów. Tu zaczyna się twoje zadanie. Do tego zostałeś tak naprawdę stworzony: aby podzielić się z nimi swoim cierpieniem i ich przebudzić.





Mężczyzna oderwał wzrok od skrzydeł wydrapanych dawno temu na ścianie celi. Kącki jego ust, nienawykłych do uśmiechu, zadrgały na wspomnienie spokoju i ciepła, jakie rozlały się w jego ciele pod wpływem pierwszego dotyku anioła. Po chwili wykonał kilka ćwiczeń rozciągających, serię pompek, przysiadów. Jego ciało było od dawna gotowe.

Przeszedł długą drogę od pierwszego występu na Arenie – wtedy walczył jako nieznany nikomu amator. Teraz był bożyszczem spragnionych jego emocji tłumów. Miliardy ludzi łączyło się z nim, by w bezpieczeństwie swoich domowych sarkofagów poczuć dreszczyk emocji, euforie, która towarzyszyła jego walkom.

Od pierwszego występu na Arenie minęły dwadzieścia dwa lata. Nie potrafił zliczyć, ile walk odbył. Dawno przestał liczyć, ilu ludzi, ile mutantów, ile maszyn pokonał. Jego krew i pot zrosiły wszystkie areny, jakie istniały na Ziemi i poza nią. Gdy wychodził z bronią w dłoni, stawał się bezrozumną, bezrefleksyjną bestią, dla której liczy się tylko przetrwanie. Ludzie to uwielbiali – kiedy rozrywał zębami krtań przeciwnika, kiedy łamał kości i druzgotał czaszki, kiedy obcinał członki, miażdżył żebra, dusił, palił, ćwiartował...

Całej rzezi, jakiej się dopuszczał, towarzyszyło poczucie widmowej obecności milionów, miliardów widzów, których gardłowe okrzyki i skandowanie towarzyszyły mu zawsze. Między starciami ci, którzy płacili krocie, mogli połączyć się z nim na zasadzie wyłączności – wiele kobiet i wielu mężczyzn chciało zmierzyć się z nim w walce w wirtualu, jeszcze więcej chętnych było na neurostymowy seks w cyberprzestrzeni. Każdego dnia oddawał całego siebie żądnym tego obcym, zgnuśniałym ludziom.

Wiedza, jaką przekazał mu anioł w ciągu tych wszystkich lat, dała mu siłę potrzebną, by wytrwać, by zbudować mur wokół resztek własnego ja, ale też stała się przekleństwem. Zbyt wiele wiedział o tym zepsutym świecie, by czerpać przyjemność z uwielbienia tłumów. Zbyt wiele wiedział, by zadowalać się tylko ciągłą walką i powrotami z aren do celi. Przy zdrowych zmysłach trzymało go nie poczucie misji, o którym mówił posłaniec – tego wyzbył się już dawno.

Jako chłopiec widział siebie jako anioła miłosierdzia, mesjasza zbawiającego świat i budzącego ludzi z letargu. Potem jednak, wraz z każdą kroplą krwi, jaką przelewał na arenach, w jego sercu wzbierało inne uczucie – nienawiść i żądza zemsty na tych, którzy go stworzyli, by spełniał ich przyziemne zachcianki. Z anioła miłosierdzia przemienił się w czekającego na swoją szansę anioła zemsty i zagłady. Czekał cierpliwie, aż jego skrzydlaty mentor nawiedzi go i powie, że już czas.

Czekanie właśnie się skończyło.



Właśnie wychodził z ambulatorium, w którym automaty chirurgiczne tysięczny raz pozszywały jego ciało po kolejnej walce na Arenie. Nafaszerowany środkami znieczulającymi i stymulantami regeneracyjnymi, szedł korytarzem w stronę swojej celi, gdy odebrał informację, że tego wieczora czeka go sesja VIP z jednym z fanów. Oznaczało to zwykle cyberseks, w którym stan ciała nie miał znaczenia – gwałcono jego umysł, odzierając go z prawa do prywatności, do poukładania rozbitego walką i towarzyszącymi jej emocjami wnętrza.

Nie mógł się sprzeciwić. Nie mógł nic zrobić. Był produktem, narzędziem – a nikt nie pyta kilofa, czy ma ochotę rozłupywać skały. Dotarł do swojej kwatery, usiadł na łóżku, podpiął neurostymową uprząż i uruchomił połączenie z klientem. Po trwającej mgnienie chwili znalazł się z awatarem nie w cyberprzestrzeni, ale na prawdziwym tarasie niebotycznego drapacza chmur.

W dali zachodziło słońce. Jego ostatnie promienie ślizgały się po widnokręgu, wyłuskując z krajobrazu kontury odległych wzgórz i nielicznych lasów, a bliżej rozciągała się potężna aglomeracja. Linia ciemności powoli postępowała za oddalającymi się promieniami, pochłaniając kolejne kwartały miasta. Okna i elewacje rozbłyskiwały różnokolorowymi światłami, przez co panorama przekształciła się w pstrokatą, hipnotyzującą mozaikę.

Po dłuższej chwili Prometeusz odwrócił się od widoku za balustradą, szukając wzrokiem klienta.

– Nie chciałam ci przeszkadzać. Oglądam ten widok od wielu lat niemal codziennie, a nadal mnie urzeka. – Z tonącego w półmroku salonu wyszła leciwa kobieta.

Wysoka, szczupła, emanująca stanowczością, energią i charyzmą, mimo siwych włosów i głębokich zmarszczek żłobiących jej twarz. Właśnie siwe włosy i zmarszczki zwróciły uwagę gladiatora – współczesne kanony piękna w połączeniu ze zdobyczami kosmetyki i chirurgii plastycznej sprawiały, że sędziwi ludzie stawali się nie do odróżnienia od nastolatków. Ta kobieta postanowiła jednak iść pod prąd mody i obnosić się ze swoją starością.

– Czy to ty jesteś klientką? – odparł bezceremonialnie, nie chcąc przeciągać całego spotkania.

Nie miał ochoty na sztuczne, nic nieznaczące rozmowy, wymianę grzeczności, tworzenie iluzji zażyłości. Zawsze chodziło tylko o jedno. Gardził nimi. Byli obleśnymi, emocjonalnymi zombie – dlatego też nie widział powodu, dla którego miałby polepszać ich samopoczucie, udając, że sesje VIP są czymś głębszym niż zwykłą cyberprostyucją.

– Tak, to ja wykupiłam sesję – odparła kobieta. – Może usiądziesz?

– Wolałbym przejść do rzeczy – rzucił Prometeusz. – Możemy zsynchronizować neurostymy...

– Nie po to cię tu ściągnęłam – przerwała kobieta. – Zaproponowałabym ci drinka, ale jestem średnio przekonana co do celowości tego gestu, zważywszy, że jesteś tu wirtualnie, a ja nie lubię oszukiwać zmysłów.

– Jeśli mamy tylko gadać, to ostrzegam, że nie jestem dobrym rozmówcą.

– Wiem – uśmiechnęła się kobieta. W tym uśmiechu pojawił się cień jej dawnej piękności. – Mimo to spróbujmy. Jestem Margaret Guynard. Córnka jednego z twórców korporacji, która cię stworzyła.

Prometeusz stał z niewzruszonym wyrazem twarzy. Jeśli chciała, by padł przed nią na kolana tylko dlatego, że znajdowała się w zarządzie firmy, która kontrolowała całe jego życie, to się przeliczyła. Nie potrafił zresztą zweryfikować, czy kobieta faktycznie jest tym, za kogo się podaje – od wielu lat twarzą koncernu był Xiao Liu, reszta udziałowców pozostawała w jego głębokim cieniu i nie była szerzej znana.

Kimkolwiek naprawdę była kobieta, nie obchodziło go to. Chciał jak najszybciej zakończyć sesję i zasnąć.

– Podobno widzisz anioły – rzuciła swobodnym tonem. – Chciałabym coś więcej o tym usłyszeć.

Te słowa zelektryzowały Prometeusza. Mimo stałej kontroli, sprawowanej nad nim dzień i noc przez automaty i obsługujących je naukowców, był pewien, że nikt nie wiedział o wizjach, które go nawiedzały. Anioł zapewniał, że nikt nigdy nie dowie się o ich spotkaniach.

– Nie obawiaj się. – Guynard uniosła dłoń. – Twoja tajemnica jest bezpieczna. Twój posłaniec jest... naszym wspólnym znajomym.

– Czy... czy do ciebie też przychodzi? – wykrztusił wciąż zszokowany Prometeusz.

– Można tak powiedzieć – westchnęła Guynard, marszcząc brwi, jakby nad czymś się zastanawiała. – Czym jest dla ciebie anioł?

Prometeusz zastanawiał się chwilę. Nie wiedział nic pewnego o tej kobiecie. Równie dobrze ktoś mógł wpaść na trop jego nieautoryzowanych sesji z aniołem i teraz próbował wybać go, potwierdzić swoje przypuszczenia, a w efekcie dotrzeć do posłańca. Nie mógł na to pozwolić.

– Powtarzam, nie obawiaj się. – Margaret podeszła bliżej, rozkładając dłonie. – To nie podstęp. Nie zrobię krzywdy ani tobie, ani naszemu świetlistemu przyjacielowi. Znam go, wiem, o czym rozmawialiście przez te... ile to już czasu? Trzydzieści trzy lata... – Guynard westchnęła ze smutkiem. – Trzydzieści trzy lata i żadnej nadziei dla ludzkości, która

nadal śpi...

Gladiator łowił każde jej słowo z rosnącym niepokojem.

– Tak, wiem, że anioł obiecał ci, że zostaniesz tym, który przebudzi ludzkość. Wiem też, jakiego pytania nigdy mu nie zadałeś. Ani jako mały, ciekawski chłopiec z celi, ani jako dorosły, zaprawiony w bojach wojownik. Nigdy nie zapytałeś, kto go do ciebie przysłał.

Prometeusz milczał długą chwilę, po czym wyszeptał:

– To oczywiste. Zesłał go ten, kto mnie naprawdę stworzył.

– Tak, to prawda. – Guynard pokiwała głową, a za nią zmaterializowało się dobrze znane Prometeuszowi świetliste, uskrzydłone widmo. – To ja dałam ci świadomość. Pokazałam prawdę. Dałam ci cel. Projekt „Prometeusz” na początku miał być... miał dać podwaliny pod stworzenie nowego człowieka, czy raczej nauczyć nas, jak przywrócić ludzkości człowieczeństwo. Jednak szybko zmieniono priorytety. Tak jak po śmierci mojego ojca zmieniły się priorytety całej korporacji. Zamiast wyzwolenia potencjału ludzkości kreowanie kolejnych pęt. Świecidełek, jeszcze bardziej mamiących rozpuszczonego bachora, jakim stała się ludzkość. Zmieniamy się w cyfrowe widma. Jak ten anioł... – Guynard skrzywiła się. – Wszystko to wiesz. Twój organizm zaprojektowano tak, aby przeżył maksymalnie czterdzieści lat. Za miesiąc twoje czterdzieste urodziny. Za miesiąc umrzesz. Dziś daję ci to, co zabrano ci w momencie stworzenia: wybór śmierci. Trzysta osiemdziesiąt dwie istoty powołane do życia przed tobą wybrały śmierć z własnej ręki. Kolejne osiemdziesiąt dwie stworzone po tobie również popełniły samobójstwo. Jesteś jedynym owocem projektu, owocem, który może umrzeć prawie naturalną śmiercią. Możesz też umrzeć za trzy dni na Arenie, podczas kolejnych jubileuszowych igrzysk, dając ludzkości szansę na przebudzenie.

Profesor zawiesiła głos i wpatrywała się z napięciem w gladiatora, próbując odczytać coś z jego twarzy. Ten stał nieruchomo, milcząc. W końcu podszedł do holograficznego anioła. Delikatnie pogładził dłonią jedno ze skrzydeł. Oba holograficzne obrazy – dłoni Prometeusza i skrzydła anioła – nałożyły się na siebie.

– Zrobię to. Nie z miłości do ludzkości, tylko z nienawiści. Dam im piekło świadomości i wiedzy, dokładnie takie samo, jakie zgotowałam mi ty.



Stali naprzeciw siebie – Prometeusz oraz przeciwnik, o którym nic nie wiedział. Nic to nie zmieniało – tym razem nie zależało mu na wygranej.

Dziś da ludzkości, połączonej z nim neurostymowymi łączy, największy spektakl, na jaki tylko będzie go stać.

W dawnych czasach igrzyska łączyły wszystkich – bogatych i biedotę, podobnie było i teraz. Prawo do uczestnictwa w VRnecie urosło do rangi prawa niezbywalnego, z którego korzystać mogli zarówno prezesi firm, wysoko postawieni urzędnicy, jak i mieszkańcy Podświata – mrocznych, najniżej położonych habitatów, nad którymi rozpościerały się skomplikowane konstrukcje drapaczy chmur. Jubileuszowe igrzyska były otwarte dla wszystkich, każdy mógł podłączyć się do wybranych zawodników i wtłoczyć do swojego umysłu skondensowane prawdziwe emocje.

Arena była tą samą wzorowaną na Koloseum konstrukcją, na jakiej dwadzieścia dwa lata temu Prometeusz rozpoczynał swoją karierę. Wojownik rozejrzał się, irracjonalnie szukając wzrokiem jakichkolwiek śladów swojej pierwszej walki. Tym razem jednak nie były to zmagania dwóch setek najlepszych gladiatorów. Korporacja Guynard-Xiao zapłaciła duże pieniądze zarządowi Ligi, aby zorganizować osobną walkę Prometeusza i zupełnie nowego rodzaju gladiatora, o którym niewiele było wiadomo poza tym, że nie jest wytworem tego samego projektu, jaki dał życie Prometeuszowi.

Po kolejnych fiaskach zespół doktora Chena zmuszony został do zamknięcia projektu. Prometeusz pozostawał obecnie pierwszym i jedynym sztucznie wyhodowanym wojownikiem, który zachował cechy człowieka i nie był ordynarną mutacją. Pozostawał też najdłużej niepokonanym mistrzem.

Tym razem na trybunach nie było awatarów. Ludziom wystarczyło zmysłowe uczestnictwo w zmaganiach, możliwość spoglądania tak oczami gladiatorów, jak i za pomocą czujników oraz mikrokamer dających wierne odwzorowanie pola zmagania. Manifestacja awatarów w realnym świecie przestała być do czegokolwiek potrzebna. W efekcie Prometeusz stał naprzeciw swojego oponenta na środku całkowicie pustego Koloseum.

Za pomocą holozłącza w implancie mógł dowolnie zmieniać widok i oglądać obraz, który widzieli widzowie – dla nich Koloseum tętniło wirtualnym życiem, pełne było krzykliwych reklam oraz ogłuszającej wrzawy, przez którą przebijał się głos mistrza ceremonii. Nie interesowało go to. Po raz pierwszy od dawna czuł prawdziwą ekscytację.

Prometeusz i jego przeciwnik mieli na sobie specjalne nanokombinezony – ściśle przylegającą do ciała, połączoną ze sobą sieć mikrodronów. Otrzymywała ona rozkazy bezpośrednio z mózgu użytkownika, dostosowując się błyskawicznie do jego potrzeb – niczym druga, inteligentna skóra. Stroje zabezpieczały użytkowników przed

większością znanych rodzajów broni, jak również pozwalały na poruszanie się w skrajnie niebezpiecznych warunkach środowiskowych. W razie odniesienia ran kombinezon mógł na jakiś czas powstrzymać krwawienie. Poza funkcją ochronną nanokombinezony potrafiły zmienić się w dowolną broń białą – walczący mógł w każdej chwili przekształcić powierzchnię ciała w śmiertelnie ostrze lub tnącą krawędź o grubości jednej molekuly. Granice możliwości nowych strojów wyznaczała jedynie wyobraźnia użytkownika. Tego dnia kombinezony skalibrowano pod kątem wyłącznie ofensywnym, dezaktywując funkcje leczące i ochronne – widownia domagała się krwi. Prometeusz na próbę uformował ze swoich dłoni dwa ostrza, po czym wprowadził je w ruch wirowy, na wzór wiertel górniczych. Wszystko działało doskonale.

Wreszcie energetyczne bariery ograniczające przeciwników opadły i zaczęła się walka.

Obaj gladiatorzy, w kombinezonach przywodzących na myśl płynny metal, zaczęli krążyć wokół siebie, od czasu do czasu zmieniając rytm, pozorując wypad, to znów odskakując asekuracyjnie poza przewidywany zasięg ataku. Prometeusz wyłączył całkowicie przekaz z holotransmisji, skupił się na realnym świecie. Powitała go przytłaczająca i kontrastująca z wirtualnym zgiełkiem cisza, zakłócana tylko odgłosem bicia jego własnego serca i świstem oddechu.

Spoglądał na oblicze przeciwnika, osłonięte nanokombinezonem, jak zresztą każdy centymetr jego ciała, i widział jedynie siebie, odbijającego się w lustrzanej powierzchni. Dwie pozbawione twarzy marionetki. Dwa metaliczne posągi, wykonujące dziwny, powolny, przypominający trans taniec.

Prometeusz nieoczekiwanie zmienił kierunek, w którym obchodził przeciwnika, po czym zrobił szybki wypad w jego stronę, wykonując jednocześnie pchnięcie długim szpikulcem, który uformował wokół dłoni. Wróg nie dał się zmylić – odchylił się lekko, sparował pchnięcie, jak również następujące po nim cięcie na nogi wykonane drugą ręką. Sam nie pozostawał dłużny – kopnął stopą, wokół której wytworzyły się zabójcze kolce, celując w odsłonięty tors.

Cios musnął jedynie cel, ale na tyle, by Prometeusz poczuł ból, kiedy końce ostrych kolców przeniknęły kombinezon i drasnęły znajdujące się pod spodem ciało. Gladiator odskoczył i na chwilę przełączył się na obraz z wirtualu. Z wielką satysfakcją ujrzał na wielu twarzach grymasy bólu i zaskoczenia. Plan Guynard działał.

Przez długie lata profesor potajemnie pracowała nad uzyskaniem wirusa mogącego globalnie zakłócić działanie zabezpieczeń i filtrów neurostymulacyjnych. W efekcie widzenie odczuli by dokładnie taki sam ból i cierpienie, jakie były udziałem gladiatorów, do których się podpięli.

W finałowej, mającej zakończyć karierę Prometeusza walce prawie wszyscy widzowie byli do niego podpięci, chcąc uczestniczyć w jego triumfie lub przegranej. Dziś idol miliardów miał stać się ich katem, przekleństwem przypominającym żyjącym w bezpiecznej cyberutopii, czym są prawdziwe emocje, prawdziwe cierpienie.

Guynard wierzyła, że załamanie VRnetu, jakie miało przynieść jego zhakowanie, będzie początkiem nowej ery. Płomieniem, który albo spali ludzkość, albo obudzi ją z letargu. Wirus poza łamaniem zabezpieczeń uniemożliwiał też wyjście z symulacji.

Prometeusz uśmiechnął się, wyobrażając sobie miliardy podpiętych do sieci ludzi, którzy w tym samym momencie wrzasnęli z bólu, kiedy przeciwnik rozorał mu pierś. Przedstawienie czas zacząć, pomyślał i rzucił się na przeciwnika.

Dwa metalowe golemi zwały się, okładając w zawrotnym tempie ciosami zmienianych w morderczą broń rąk i nóg. Wojownicy prezentowali bardzo podobny, wyrównany poziom – Prometeusz z uznaniem zauważył, że jego najbardziej wymyślne techniki, którymi pokonywał wcześniej dziesiątki gladiatorów, nie robią większego wrażenia na oponentie. Co więcej, wróg często przełamywał jego własne bloki, zmuszając go do coraz bardziej rozpaczliwych uników.

W pewnym momencie Prometeusz odniósł wrażenie, że przeciwnik wręcz czyta mu w myślach, uprzedzając jego ataki. Nie zmartwiło go to jednak, tak samo jak nie zważał na krew, której coraz więcej pojawiało się na jego metalicznym kombinezonie. Cieszył się wręcz z każdej rany, bo nowe spazmy rwącego bólu oznaczały cierpienie milionów ludzi nienawykłych do jakiegokolwiek dyskomfortu.

Cały świat gladiatora zaczął składać się z połyskujących wyładowaniami cięć, pchnięć i uderzeń oraz towarzyszących im ukłuc bólu.

Doskok, cięcie, blok, pchnięcie, blok, blok, kopnięcie. Oddech stawał się coraz bardziej płytki, ciężki, zmęczone mięśnie paliły żywym ogniem. Prometeusz zauważył, że jego przeciwnik nie zdradza żadnych oznak słabości – zdziwiło go to, bo nie spotkał jeszcze nikogo, kto przewyższałby go kondycją i sprawnością. Mimo wieku nadal miał przewagę nad każdym zwykłym człowiekiem. Jednak nie tym razem. Co więcej, nie zauważył też, aby wróg krwawił – a był pewien, że trafił go co najmniej kilkukrotnie.

Na chwilę zwiększył dystans i przerzucił się na widok z cyberprzestrzeni – ujrzał awatary o obliczach zniekształconych niewyobrażalną grozą i przerażeniem, naznaczonych cierpieniem. Walka trwała długo, ale nikomu najwyraźniej nie udało się rozpracować wirusa i zneutralizować jego działania – może nawet nie było komu się tym zająć, przecież administratorzy VRnetu mogli także zwijać się teraz

na podłodze, tocząc pianę z ust i nie mogąc wyjść z przepełnionego bólem piekła, w jakim uwięzili ich wspólnie z Guynard. Znów uśmiechnął się z satysfakcją. To nie koniec lekcji. Jeszcze finał. Ostatni akord.

Przeciwnik nie dał mu wiele wytchnienia – natarł z impetem, zasypując go ciosami. Już czas, pomyślał Prometeusz, usunął maskę ze swojej twarzy i zamiast zasłonić się przed kolejną serią wymyślnych ataków, runął z rozłożonymi na boki ramionami wprost na oponenta.

Poczuł wnikające w ciało ostrza wieńczące obie ręce, impet przesunął go dalej, tak iż wyglądało, jakby padli sobie w objęcia. Z jego torsu wystrzeliły kolce, upodabniając Prometeusza do metalowego jeżozwierzka i przebijając wroga na przestrzał – jeden z tych kolców wniknął od dołu w szczękę zaskoczzonego przeciwnika i przebił się na wylot przez czaszkę. Rywale legli na stratowanej walką ziemi, złączeni ze sobą w morderczym uścisku.

Prometeusz spoglądał w lustrzaną powierzchnię maski przeciwnika. Widział w niej wyłącznie odbicie swojej rozciągniętej w triumfalnym uśmiechu, zmęczonej i oszpeconej dawnymi ranami twarzy. Otaczała ich niezmacona cisza, a wokół rozrastała się gwałtownie plama krwi.

W setkach mieszkań na podłodze dogorywały miliony ludzi, których udziałem stała się agonía gladiatora. Nieliczni, najbardziej odporni leżeli w stanie bliskim katatonii, nie rozumiejąc, co właśnie przeżyli.

Na balkonie najwyższego piętra jednego z wieżowców promienie zachodzącego słońca kładły krwawe cienie na martwym ciele Margaret Guynard, towarzyszącej Prometeuszowi do ostatnich chwil jego życia.



Ciemność.

- Wszystkie funkcje w normie? Czy on mnie słyszy?
- Tak, panie Xiao.
- Świetnie. A wizja?
- Włączona.
- Dzięki, Chen.

Ciemność zmienia się w obraz. Chwilę zajmuje zrozumienie, co właściwie widzi. Twarz. Przystojny mężczyzna w średnim wieku. Pojawia się ciąg informacji – Xiao Liu, syn jednego z założycieli Korporacji Guynard-Xiao. Prezes zarządu i główny udziałowiec.

- Witaj, Prometeuszu. – Xiao uśmiecha się. – Pewnie zżera cię ciekawość, co też się właściwie, u licha, dzieje?
- Ja... umarłem...



– Tak, to prawda. I nie, to nie jest niebo. Piekło też nie, chociaż zdania mogą być podzielone. – Xiao zawiesił głos, marszcząc brwi. – Ale po kolei. Do twojej ostatniej walki wystawiliśmy cyborga, nasze nowe osiągnięcie. Miał on wgraną AI, która została opracowana w jednym jedynym celu: przeanalizować wszystkie twoje walki, a następnie opracować algorytm, który pozwoliłby cię pokonać. Wiesz, taka ludzka obsesja, sięgająca starych czasów, kiedy naprzeciw szachistów stawiano maszyny i sprawdzano, czy sztuczna inteligencja może przewyższyć człowieka. Powiem ci, że zaskoczyłeś i sztuczną inteligencję, i nas. Nikt jakoś nie przewidział, że remis to również klęska. Lub zwycięstwo, zależy, jak na to patrzeć...

– Guy...Guynard...

– A tak, nasza nieodżałowana Margaret. – Xiao westchnął, udając smutek. – Możesz o niej zapomnieć. Trzeba przyznać, że wybrała wyjątkowo widowiskowy sposób na rozstanie się z życiem. Wasza... „rewolucja” kosztowała cholernie dużo istnień ludzkich. Ale nie smuć się! Tak się składa, że Korporacja Guynard-Xiao pospieszyła na ratunek. Od paru lat zgrywaliśmy profile osobowościowe użytkowników VRnetu. Staraliśmy się uzyskać maksymalnie wierne cyfrowe... powiedzmy, mapy ludzi. Nie ich anatomii, rzecz jasna, tylko umysłów, osobowości... Cyfrowe klony, może tak łatwiej będzie to opisać. Im dłużej ktoś użytkował sieć, tym szanse na odrodzenie go w wiernej formie cyfrowej były większe. Takim oto sposobem zapełniliśmy VRnet kopiami tych, których uśmierciłeś. Paradoksalnie Guynard dała podwaliny pod powstanie człowieka nowej generacji, może nie takiego, jakiego się spodziewała, ale jednak... – Xiao uśmiechnął się. – Co do ciebie... Tak, dobrze się domyślasz. Też jesteś swoją własną kopią. Wgraliśmy cię w ciało cyborga, dokładnie taki model, z jakim walczyłeś. Chen, lustro.

W lustrze ujrzał szklistą maskę, taką samą, w jakiej chwilę wcześniej widział odbijające się swoje zakrwawione oblicze. Wzajemne odbicia lustra oraz lustrzanej maski dały efekt nieskończonej powielającej się kaskady.

– Ludzie, ci żyjący w prawdziwym świecie, jak i cyfrowi, nadal chcą oglądać Prometeusza na Arenie. Chcą widzieć, jak pokutuje za swoje grzechy, umierając na niej. Nie raz, nie dwa, ale tyle razy, ile Korporacja Guynard-Xiao uzna to za stosowne i opłacalne.

Chciał się poruszyć. Chciał zamknąć oczy. Chciał się obudzić.

Zamiast tego wydał z siebie tylko cyfrowy skowyt.



# ALICJA JANUSZ

## NA UBITEJ ZIEMI



Strażnicy na próżno starali się rozpędzić tłum. Nie pomagało wymachiwanie pałkami ani krzyki. Ludzie cofali się o krok, by za moment znowu zacisnąć krąg wokół niezwykłego zjawiska, które kapitan straży bezskutecznie usiłował zakryć płaszczem. Chłopy wytykali je sobie palcami, baby plotkowały albo pokazowo wręcz lamentowały. Że też, psiamać, musiało pierdolnąć akurat w dzień

targowy...

Nagle tłuszcza zafalowała, gdy gdzieś z tyłu wybuchło poruszenie. Rozległy się pierwsze historyczne krzyki. Ludziska zaczęli umykać na boki, ustępując miejsca przepychającej się przysadzistej postaci. Gdyby nie zawieszona na szyi lunula i rozpuszczone jasne włosy, można by ją wziąć za stateczną matronę. A tak każdy wiedział, że ma do czynienia z żerczynią.

Niewiasta roztrącała gapiów łokciami, kilku co bardziej opornym zagroziła klątwą. Za nią przepychał się szlachcic w krótkim czarnym żupanie. Na nim zamieszanie zdawało się nie robić większego wrażenia, jakby podobne dziwa oglądał codziennie. Widząc strażników, uprzejmie skinął głową i wskazał na zawieszony na szyi srebrny triskelion, symbol bardów.

– Tutaj, wasza godność! – Kapitan zamachał ręką. – A wy co się gapicie, psie syny! – warknął na tłuszcę, która ponownie zaczęła gromadzić się wokół.

Dał znać towarzyszącym mu strażnikom. W ruch znowu poszły pałki i płazy szabel.

– Odeta i Radomir Lipnitz – rzuciła krótko żerczyni. – Posyłałście po

nas.

Kapitan cofnął się o krok, odsłaniając leżącą na ziemi kupkę nadpalonych szmat, które przy bliższych oględzinach okazały się skuloną kobietą. W tłumie znowu rozległy się histeryczne wrzaski.

– W kuli ognia, kochaniutka, spadła! – krzyczała jakaś przekupa, trącając swoją towarzyszkę.

– Nie wierzcie im, wasza godność – stwierdził kapitan. – Ale fakt, zjawiała się znikąd. Próbowaliśmy ją pytać, ale jak rozwarła gębę, to wyleciał z niej tylko popiół. Zaraz potem padła i tak leży, ale chyba jeszcze dycha.

Wiedźma uklękała na ziemi i ostrożnie ułożyła nieprzytomną na boku. Powiodła palcami tuż nad pokrytą popiołem skórą.

– Ależ ci, dziecko, spieszno do Welesa! – mruknęła.

Obok niej ukląkł bard, pustym wzrokiem wpatrując się w przestrzeń. Nagle potrząsnął głową, jak gdyby odpędzał od siebie nieprzyjemną wizję.

– Płuca poparzone i jakby coś w nich zalegało, trochę jak u topielca – stwierdził.

– Czyli popielna klątwa. – Odeta pokiwała głową.

Wstała i rozejrzała się po placu targowym. Zgromadzeni czym prędzej spuszczaali wzrok w obawie przed urokiem. Bo kto tam tych ludzi mocy wiedział! Wiedźmy najwyraźniej jednak nie obchodzili.

Kobieta podeszła do uwiązanej do kramu kozy. Rzuciła garść monet oniemiałemu handlarzowi i poprowadziła zwierzę do przeklętej. Znowu rozległy się krzyki, gdy wprawnym ruchem poderżnęła mu gardło, mamrocząc przy tym zaklęcia. Krew bryznęła na nieprzytomną. Odeta zanurzyła dłoń w posoce i poczęła nacierać nią poparzoną skórę. Przez moment nic się nie działo. Wreszcie dziewczyna jęknęła.

– No, już, już, dziecinko! – uspokoiła ją żerczyni.

Przeklęta otworzyła oczy i poruszyła ustami. Natychmiast jednak wstrząsnął nią kaszel. Krztusząc się popiołem, próbowała coś powiedzieć.

Radomir nachylił się nad nią na chwilę przed tym, jak znowu straciła przytomność. Żrenice jego oczu skurczyły się. Na twarzy barda dopiero teraz odmalowała się troska. Zamrugał i spojrzał na żonę.

– Powiedziała „arena”.



Dochodziło południe. Przez nieruchome korony drzew przedzierał się słoneczny blask, powietrze pachniało żywicą. Gorąc jednak

najwyraźniej nie przeszkadzał ptactwu, bo darło się ile wlezie. Badylara miała już tego serdecznie dość.

Niewygody były jednak niczym w porównaniu z towarzystwem Wojcieszka. Młody lutnista siedział rozparty w siodle, co rusz trącając rozstrojone od upału struny, zupełnie niepomny niechęci towarzyszki. Nie to, że Badylara nie lubiła Wojcieszka. W końcu był jej przyjacielem i ruszyła za nim, gdy uprzedniej nocy opuścił biesiadę i pognął konia prosto w las. Oczywiście zrobił to tak, jak stał – czyli jedynie z lutnią w rękę. Po szaleńczym pościgu, podczas którego bogowie jedni wiedzieli jakim cudem nie spadł pod kopyta, Badylara dopadła go wreszcie i zdzieliła kułakiem po karku. Pijany Wojcieszek okazał się jednak jej najmniejszym problemem – zabłądzili, nie mając przy sobie praktycznie niczego.

– Zamkniesz się wreszcie? – warknęła, odgarniając lepiące się do czoła ogniście rude włosy.

Wojcieszek spojrział na nią ze zdziwieniem.

Przez moment w jego oczach – błękitnych jak dwie niezapominajki pływające w spirytusie – odmalowało się zrozumienie i Badylara zaczęła nabierać nadziei, że będzie mogła się skupić. Zeskoczyła z siodła i bardowskim sposobem wyostrzyła słuch. Zaraz też końskie parskanie i ptasie trele uderzyły ją z całą mocą. Zagryzła zęby, szukając w tym zgiełku zgoła innych odgłosów – ludzkich pokrzykiwań czy hałasów wskazujących na obecność w okolicy najlichszej choćby osady.

Zamiast tego poczuła się, jakby ktoś przyładował jej obuchem w głowę, gdy Wojcieszek na nowo uderzył w struny.

– O przedziwna gładkości, światowi podobna! Wkradłaś mi się w serce me, dziewczyno nadobna! – zaintonował nieco zachrypniętym po wczorajszej popijawie głosem.

Oszołomiona bardka w pierwszym odruchu nakryła dłonią bliźną szpecącą lewy policzek. Nosiła ją już tyle lat, że powinna się przyzwyczaić, a tymczasem przyśpiewka Wojcieszka zadziałała na nią równie źle co spojrzenie w lustro. Potem jednak otrząsnęła się i jednym susem dopadła do lutnisty.

– Ty psi synu! – wrzasnęła, łapiąc za uzdę jego wierzchowca. – Mało ci, że przez ciebie zabłądziliśmy w środku lasu, mało? Musiałeś mi jeszcze rano wszystką wodę, co ją przy siodle miałam, wychlać, i to zanim się obudziłam?!

– Kiedy mnie suszyło... – wymamrotał Wojcieszek, skrzętnie unikając wzroku Badylary.

– Teraz suszy i nas, i konie, idioto! A jak mi Bies padnie z pragnienia, to łeb ci przy samej rzyci urżnę! Więc zrób nam tę przysługę i bądź przez moment cicho, to może Minstrel da nam znaleźć jakieś sioło! – Bardka znowu zamknęła oczy i sięgnęła po swój dar.

Tym razem poszło lepiej. Zdawało jej się, że gdzieś w oddali słyszy ludzkie głosy. Potrząsnęła głową, stępując słuch, i wyciągnęła tkwiącą za paskiem szalamaję. Poprawiła ustnik, po czym nabrała powietrza i zadęła w instrument. Powietrze przeszył ochryply ryk.

Koń Wojcieszka prychnął niezadowolony, sam lutnista zaś skrzywił gębę i złapał się za skroń. Badylara nie zważała na to. Słuchała uważnie. Po chwili, która zdała jej się wiecznością, nadeszła odpowiedź.

– Tam – powiedziała, wskakując na siodło. Ponownie zadęła w szalamaję.

Tym razem dźwięk rogu przybliżył się. Bardka pognała konia, ignorując protesty Wojcieszka. Już miała ponownie wezwać pomoc, gdy jej oczom ukazali się trzej jeźdźcy. Nosili się typowo dla Królestwa Słowiańskiego, w żupanach i z szablicami przy boku. Widząc na piersi Badylary srebrną broszę w kształcie triskelionu, uprzejmie skłonili głowy.

– Miron Żaliński – przedstawił się najstarszy z nich, uchylając magierki. – Kapitan straży w służbie pani Nasławy Sienińskiej, dziedziczki pałacu w Rawie.

– Badylara, bard srebrnej rangi – przedstawiła się dziewczyna. – Dziękuję wam za odzew. Gdyby nie wy, przyszłoby nam szczenąc w tym przeklętym lesie.

– Zabłądziliście? – zgadł Żaliński.

– Ano, zabłądziliśmy. Przez tego tam. – Wskazała podbródkiem na Wojcieszka, który dopiero teraz dogonił towarzystwo, sapiąc głośniejsze niż jego własny koń.

– Nasza pani chętnie gości ludzi mocy. W jej imieniu zapraszam do pałacu. – Kapitan spojrział z namysłem na lutnistę.

– Wojcieszek nie ma mocy, towarzyszy mi – wyjaśniła pospiesznie Badylara. – Wojcieszek, chamie! Powieszże coś?!

– Tak. Będę rzygać.



Licząca zaledwie dwadzieścia wiosen pani Sienińska trochę na wyrost nazywała swoją posiadłość pałacem. Był to raczej mały pałacyk wzniesiony na francuską modłę. Badylarze, przyzwyczajonej do spania na gołej ziemi, a w najlepszym razie na sienniku w karczmie, i tak kojarzył się z przesłodzonym ciastkiem z kremem. Ale cóż było począć. Najwyżej młoda pani dziedziczka uzna ich za prostaków i wygoni do najbliższego miasta. Albo zatrzyma sobie tylko Wojcieszka. Badylara z chęcią porzuciłaby go w pierwszym lepszym rowie, ale nie miała

ochoty tłumaczyć się starszym bardom, co nagle stało się z ich pozbawionym daru znajomkiem.

Nagle wzrok bardki padł na konstrukcję wzniesioną w pewnym oddaleniu od pałacyku. Wysoki parkan i trybuny okalały niewielki, wydeptany plac, ani chybi miejsce do toczenia pysznych pojedynków. Widywała już takie na zachodzie, gdzie nadal utrzymywała się tradycja turniejów. Słowiańska szlachta wolała dawanie sobie po mordzie szablą, a potem wspólną popijawę do utraty zmysłów. Tym bardziej dziwił widok szranków w samym sercu Królestwa.

– Co to, pani lubuje się w pojedynkach? – zagadnęła dziewczyna Żalińskiego.

– Można tak powiedzieć – odparł. – Dopiero niedawno odziedziczyła majątek i chciałaby otoczyć się odpowiednimi ludźmi. Umyśliła więc sobie, że wyłoni najlepszych w turnieju. Zaprosiła szermierzy i ludzi mocy, żeby spróbowali się w pojedynkach. Bronią do pierwszej krwi, a magią do ogłuszenia przeciwnika. A może i wy byście spróbowali sił? – Wskazał na rapier u pasa bardki.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Zdarzało jej się pojedynkować za pieniądze. A i prawa bardów nakazywały bronić słabszych, jednocześnie nie precyzując, czy wolno używać do tego tylko i wyłącznie mocy. Bardowie od zwykłych muzyków różnili się tym, że ze swojskich melodii potrafili uwolnić potężny dar Minstrela. Przy pomocy swoich instrumentów mogli wpływać na ludzki umysł albo pojedynkować się z demonami. Im lepiej zagrany utwór, tym bardziej precyzyjny czar można było spleść. Nic dziwnego, że niejeden chciał ich mieć na swoich usługach: tym sposobem zapewniali sobie i dobrą muzykę, i ochronę przed biesami.

– Nie narzekam na brak zleceń.

– Warto to jeszcze przemyśleć, wasza godność. Pani obiecuje złoto dla zwycięzcy, a do biednych nie należy. Nie musicie też wiązać się na stałe.

Badylara znowu wzruszyła ramionami, ale już z mniejszym przekonaniem. To się zaczynało robić interesujące. Dawno nie miała okazji nikomu upuścić krwi, a bogaty patron mógłby się czasem przydać.

Tymczasem wybiegli do nich pachołkowie. Zajęli się końmi i Wojcieszkiem, któremu trzeba było pomóc zejść z siodła. Żaliński przykazał przygotować dla przybyłych stosowne kwatery i poinformować panią, że będzie miała gości.

– Acan, nam kwater nie potrzeba – stwierdziła bardka. – My nawykli do niewygód.

– Pani ceni sobie ludzi mocy, mościa Badylaro. Prawdę mówiąc, to dla nich pomyślany jest ten turniej. Rozumiesz, wasza godność, czasy niespokojne.

Co prawda, to prawda; w ciągu ostatnich miesięcy bardów częściej niż zwykle wzywano do siły nieczystej czy nawet egzorcyzmów. Niejeden musiał urlopować z dworskich kapel, w których dotychczas zarabiał na chleb, i ruszać z powrotem na trakt, gdzie namnożyło się nadprzyrodzonego tałatajstwa. A i zwykłych bandytów jakby przybywało.

Niby wyjaśnienie kapitana straży wydawało się logiczne, Badylara poczuła jednak, że srebrna brosza na piersi zaczęła emanować nieprzyjemnym ciepłem. Zignorowała to na razie. Dar mógł ją ostrzegać, ale równie dobrze amulet mógł reagować tak na obecność innych ludzi mocy.

– Rozumiem – mruknęła, wspinając się po marmurowych schodach pałacu.



Pałacyk mógł być sobie wybudowany na wzór francuski, ale w środku bawiono się jak najbardziej po słowiańsku. Zacnych miódów i win było pod dostatkiem, stoły uginały się od suto doprawionych szafranem mięsów i pieczeni.

Wniesiono jesiotry wyglądające jak kapłony i faszzerowane dropie przypominające ryby, a na zakąskę łosie chrapy w galarecie. Wielobarwne cukrowe głowy i wymyślne desery cieszyły oko. Młoda dziedziczka widać postanowiła już na początku się postawić, coby pokazać, że kontynuuje tradycje przodków. Badylarze wystarczyło jedno spojrzenie na bogatą szlachciankę, by stwierdzić, że zdobycie szacunku okolicznego warcholstwa nie przyjdzie jej łatwo. Pani Sienińska była drobniotka, a haftowana suknia z delijką zdawały się tylko tę drobnosć podkreślać. Odzywała się niewiele; co najwyżej wznosiła toast za zdrowie szanownych gości, obdarzając ich dziewczęcym uśmiechem.

A towarzystwo było zacne! Najwyraźniej złoto pani dziedziczki skusiło niejednego zabijakę. Były tutaj i zawołane rębajły, zbrojne w tasaki i staroświeckie tarcze, których Badylara na dzień dobry poczęstowałyby rapierem pod żebra. Kilku szaraczków i bardziej dystygnowanych najemników też szukało garnuszka, a może i czegoś więcej u młodej szlachcianki. Nie brakło również ludzi mocy, o których wspominał pan Żaliński.

W rogu, wyraźnie stroniąc od reszty kompanii, rozsiedli się uczeni doktorzy z uniwersytetu, rozprawiając o czarnoksięstwie i sztukach magicznych. Ich młodszy koledzy, najwyraźniej studenci lub czarodzieje zaraz po studiach, żarli i pili ile wlezie, rechocząc ze sprośnych

przyśpiewek Wojcieszka, na które lutnista dał się namówić już po kilku kielichach. Zjawili się również owczarze, pełniący rolę wiejskich czarowników i wróżbitów, oraz wiedźmy, patrzące z pogardą na uczone towarzystwo. Badylara wymieniła nawet uprzejmości z młodym bardem, widać od niedawna noszącym żelazny triskelion.

Zabawa trwała w najlepsze, a wizja jutrzejszych walk wcale nie studziła zapału do mocnych trunków. Wręcz przeciwnie. Szalamaistka już czuła, że alkohol zaczyna szumieć jej w głowie. Jeszcze moment, a trunek obudzi diabła za skórą, pomyślała, dopijając resztkę przedniego wina.

– Gospodarzu, gospodarzu, kto u ciebie bywa! Zawsze wesół, zawsze wesół, nigdy nie poziwa! – zaśpiewał Wojcieszek.

– Hej ha, do licha! Dajcie mu kielicha! A za jego zdrowie, nich nam szumi w głowie! – wyrwało się z kilku gardeł.

– O tak, zabawa przednia...

Badylara odwróciła się w stronę, z której dobiegł ją ironiczny komentarz – zbyt cichy dla zwyczajnego człowieka. Najwyraźniej wypowiedziała go dziewczyna w prostej sukni, której ziemista zieleń wskazywała jednak na to, że nie nosi jej zwykła chłopka. Na słomianych, krótko obciętych włosach spoczywała chusta w identycznym kolorze. Czyli pani Sienińska nie cieszyła się sympatią szeptuchy...

– Ejże, sestro! – Wiejska wiedźma oderwała wzrok od złoczonego kielicha, gdy Badylara przysiadła się do niej bezceremonialnie.

– Wino nie wchodzi?

Szeptucha spojrzała na bardkę spode łba. Gdyby nie zaciśnięte pełne usta i zmarszczone czoło, można by ją wziąć za jedną z uroczych pasteczek, których urodę lubili czasem opiewać podstarzali poeci. Jeśli jednak pyzată bużkę rozjaśniał czasem uśmiech, to w jasnych oczach i tak kryła się ta zabójcza determinacja, cechująca wszystkich ludzi mocy.

– Badylara jestem. A ciebie jak wołają?

– Matyllda – odparła szeptucha, najwyraźniej siląc się na uprzejmość.

– Ejże, ktoś ci przykrość sprawił, sestro? Wskaż no tylko, a jutro mu rzyć stałą popieszczę! – mrugnęła szalamaistka. – No wiesz, my, mądre baby! musimy się trzymać razem.

– Dziękuję, radzę sobie.

– Właśnie widzę – roześmiała się Badylara. – No nie rób takiej miny. Bo wyglądasz, jakby cię kto do tej uczy zmusił.

– A skąd wiesz, acanka, że tak nie jest? – zapytała Matyllda, po czym wstała, zostawiając oniemiałą bardkę samą.





Zęby sypały się jak kasza, stal krzesła iskry, a palców ucięto tylko dwoje i nie należały one bynajmniej do Badyлары – szalamaistka dawno tak dobrze się nie bawiła!

Co prawda najpierw nie bardzo chciano się z nią pojedynkować, nawet pomimo zasady, że pierwsza krew kończy walkę. Każdy głupi wiedział, że kto zabije człowieka mocy, ten rychło spotka się z boską karą. Co prawda uczeni doktorzy zapewniali szermierzy, że przypadkowa śmierć w uczciwym pojedynku, na który człowiek mocy się zgodził, wcale nie przyciągnie w szranki rozwścieczonych demonów. Rębajły zechciały wyjść z nią na ubitą ziemię dopiero wówczas, gdy bardka złożyła uroczystą przysięgę, że przeciwnikom nie grozi nic poza jej szermierczym kunsztem. A ten, trzeba przyznać, był iście imponujący.

Kiedy dawno temu Badylara zdecydowała, że zacznie robić bronią, dar Minstrela przybrał u niej zgoła inną postać niż u większości bardów. Tak jakby ich bóg uznał, że ważniejsze od finezyjnych magicznych sztuczek było to, żeby bardka po prostu potrafiła przeżyć. Dziewczyna umiała zatem po szeleście powietrza poznać, jaki atak wyprowadzał przeciwnik. A i bez tego miała dość forteli w zanadrzu, by poradzić sobie nawet z dużo silniejszym szermierzem.

Pierwszy rębajło zrobił ten błąd, że mimo wszystko jej nie docenił. Dopiero stal wgrzająca się w zadek uświadomiła mu, jak bardzo się mylił. Dla niego było jednak za późno. Pierwsza krew skończyła pojedynek. Dalej już nie szło Badylarze tak prosto, co wcale jednak jej nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Największą radość sprawił jej młody szlachetka, który postanowił potraktować ją piekielną czwartą. Zmyślna sztuczka szablistów pozwalała na szybkie rozbrojenie przeciwnika z rapierem. Przynajmniej jeśli ktoś jej nie znał. Bardka udała, że unosi ostrze do zastawy, gdy przeciwnik zamarkował cięcie na głowę. Zanim jednak młodzian opuścił szablę w dół, zeszła w tył lewym trawersem. Zaskoczony chłopak ciął powietrze, odsłaniając się jak szczeniak. Nie przepuściła mu. Wybiła się z zakroczonej nogi i sprzedała kopniaka w pięknie wyeksponowane klejnoty.

– To niehonorowe! – wrzasnął ktoś z publiczności, podczas gdy ciury pomagali szaraczkowi się podnieść.

– Ale za to jakie skuteczne. – Badylara otarła pot z czoła i przyjęła od usługowego pacholika puchar z mocno rozwodnionym winem.

W turnieju ostała się ich ledwie garstka. Pani Sienińska zapowiedziała, że wieczorem zmierzą się wszyscy ze „specjalnym wyzwaniem”. Schodząc z ubitej ziemi, bardka napotkała Matyldę, oglądającą ostatniego przeciwnika szalamaistki. Szeptucha rzuciła jej zniesmaczone spojrzenie.

– Badylara! Badylara!

Bardka odwróciła się, widząc zataczającego się w ich stronę Wojcieszka.

– Twoje zdrowie, o bogini stali! – Lutnista uniósł trzymany w ręku puchar.

– Tak, tak. Który to raz już za mnie dzisiaj pijesz? – zakpiła.

Wojcieszek wetknął jej w dłoń puchar, z którego ukradkiem podpila, po czym rozczapierzył palce i zaczął liczyć. Najwyraźniej ich jednak nie starczyło, bo tylko potrząsnął głową i odebrał trunek z rąk przyjaciółki.

– Grunt, że działa! – rozpromienił się.

Ruszyli w kierunku pałacu, gdzie miano podać obiad. Lekki, coby jadło potem w kiszkach nie ciążyło. I tak na stoły wniesiono więcej półmisek, niż większość z tu obecnych widywała w ciągu miesiąca.

Wieczór nadszedł szybko. Badylarę z poobiedniej drzemki obudził sługa pani Sienińskiej. Towarzystwo już się zbierało na ubitej ziemi. Bardka zarzuciła na siebie podbity skórą płaszcz, który nieraz służył jej za broń albo tarczę, przypasała rapier i kopnęła zalegającego pod ławą Wojcieszka. Lutnista jęknął, ale łaskawie wstał i chwiejnym krokiem ruszył za przyjaciółką na arenę.

Zapadł już zmrok, a drogę oświetlały jedynie rzadko pozatykane pochodnie.

– Walka w ciemności? To ma być to specjalne wyzwanie? – mruknęła Badylara. Odpowiedział jej stłumiony jęk.

Pokręciła głową. Odsupłała od pasa zawiniątko, w którym zwykła nosić swoje piszczki, i wepchnęła woreczek z instrumentami Wojcieszkowi w dłoń.

– Masz i pilnuj. Jak zgubisz, to sobie zrobię szalamaję z twojej rzyci! – zastrzegła.

Muzyk mruknął jakąś odpowiedź i ruszył ciężko w kierunku trybun, tymczasem Badylara już wkroczyła na arenę. Tak jak podejrzewała, praktycznie jej nie oświetlono i widziała jedynie zarys sylwetek trzech przeciwników. Skłoniła się im uprzejmie, chociaż wątpiła, czy to zobaczyli.

Dźwięk rogu oznajmił rozpoczęcie walki. Bardka zamknęła oczy i sięgnęła po dar Minstrela. Bez muzyki nie mogła w pełni wykorzystać swoich zdolności, ale czuły słuch wystarczył, by odgadła, gdzie znajdują się pozostali szermierze. Zamarła, słysząc na arenie nie trzy, ale cztery bijące serca. Jedno z nich z całą pewnością nie należało do człowieka.

Skrzywiła się, gdy dobiegł ją zgoła inny odgłos – dźwięk odsuwanego rygła. Zaraz potem rozległ się brzdęk metalu. Areną wstrząsnął zwierzęcy ryk. Pani Sienińska kazała wypuścić na nich niedźwiedzia!

Badylara znieruchomiała, zdjeta pierwotnym strachem. Byli zamknięci w ciemności z dziką bestią. Zaraz jednak otrząsnęła się, czyniąc sobie wyrzuty o tę chwilę słabości. Była bardem! Wybranką

Minstrela, której bóg powierzył opiekę nad innymi ludźmi. Musiała poradzić sobie z zagrożeniem.

– Wojcieszek! – wrzasnęła, świadoma, że zapewne zwraca na siebie uwagę rozjuszonego zwierza. – Wojcieszek, rzuć mi szałamaję!

Dopadła do drewnianej ściany odgradzającej ich od publiczności. Ze strony, gdzie powinien znajdować się lutnista, dobiegło ją tylko pijackie chrapanie.

– A psi ci w bęben! – warknęła, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Odwiązała płaszcz i pewnie chwyciła rapier. Tylko co ona może nim zrobić wściekłemu miśkowi? Kolnąć go w zadek? Gdyby jeszcze udało się zarzucić mu płaszcz na łeb, miałyby szansę poważniej go uszkodzić. Zachodziło jednak prawdopodobieństwo, że jedynie bardziej go tym rozsierdzi.

– Pani Sienińska! Dajże nam, acanka, światło! – rozpoznała głos starszego szlachcica, z którym przed południem stoczyła całkiem pyszny pojedynek. – Inaczej zaraz będzie tu rzeź!

– Największe niebezpieczeństwa czają się w ciemnościach, mości panie Konarski – odparła słodko dziedziczka.

Konarski nie zdążył odpowiedzieć. Chwilę później gdzieś na arenie rozległ się krzyk bólu i odgłos rwanego ciała. Badylara ponownie poczuła, że ogarnia ją niegodny człowieka mocy lęk. Ale jak niby miała prosić o pomoc Minstrela bez muzyki? Nagle usłyszała miękkie uderzenie w piasek.

Coś upadło tuż u jej stóp.

Schylła się i z ulgą poczuła pod palcami znajomy materiał. Jej piszczki! Co prawda instrument zwiększał szansę, że bardka przeżyje ten wieczór, nadal jednak nie miała pomysłu, jak wyjść cało z tej kabały. Owszem, istnieli bardowie zdolni swoją muzyką obłaskawić dzikiego zwierza. Mistrzowi Natterkönigowi z Wiednia udało się nawet zapanować w ten sposób nad smokiem. Badyлары jednak nigdy nie interesowały podobne sztuczki. Tam, gdzie inni ludzie mocy używali magii i dyplomacji, ona wykorzystywała brutalną siłę i zastraszanie. Tacy jak ona nie rozplątywali z pietyzmem uroków rzuconych na opętańców. Oni wykurzali demona prosto do otchłani. Co w sumie podsuwało jej pewien pomysł. Nie musiała wszak zabić niedźwiedzia. Wystarczyłoby, że udaremniłaby mu rzeź.

Wysupłała z woreczka szałamaję, nabrała powietrza i zaczęła grać prostą danzę altę. Do wyostrzonego słuchu dołączyła pajęczyna astralnych linii, oplatając szczelnie arenę. Wcale nie przypadło Badylarze do gustu to, co Minstrel raczył jej pokazać. Jeden z szermierzy już nie żył, dosłownie rozszarpany przez niedźwiedzia na strzępy. Drugi gorączkowo próbował wspiąć się po pionowej ścianie, skamłając o litość. Trzeci, zapewne pan Konarski, usiłował utrzymać niedźwiedzia na

dystans, wywijając młyńce szablą. Na niewiele się to zdawało, bo zwierze wcale nie rezygnował z ataku.

Badylara uderzyła w niego mocą dokładnie tak, jak to czyniła z uporczywymi biesami. Niedźwiedź ryknął i zdumiony cofnął się o parę kroków. Starła się wzbudzić w nim poczucie zagrożenia. Chciała, by poczuł się tak jak oni – jak zwierzyna niezdolna do obrony. I chyba zadziało.

Bardkę zaczęła ogarniać euforia podobna do tej, gdy zasypywała przeciwnika gradem ciosów. Niedźwiedź nie mógł odpowiedzieć atakiem, mógł tylko się cofać, nagle żaloszny z tymi swoimi kłami i pazurami. To po stronie Badyлары leżała boska moc przed wiekami ofiarowana ludziom.

Złękniiony niedźwiedź cofał się więc, gdy pewnie szła w jego stronę, nie przerywając gry. Tak stawiała kroki, by zad zwierzęcia trafił w otwartą klatkę. Szóstym zmysłem widziała, jak wciska się w kąt, podobny do zastraszonego szczeniaka.

Teraz albo nigdy! Przerwała grę, po czym błyskawicznie zatrzasnęła klatkę i zasunęła rygiel.

Dopiero teraz mogła z pogardą splunąć na ziemię, kierując wzrok tam, gdzie powinna siedzieć dziedziczka.

– Zapal pochodnie, pani Sienińska, i zobacz, co masz na sumieniu! – warknęła, wtykając szalamaję za pas.

Na trybunach zabłyśły lampiony. Badylara zamrugęła, nagle oślepięna światłem. Zmusiła się jednak, by spojrzeć na dziedziczkę. Czekęło ją rozczarowanie.

Pani Sienińskiej nie było nigdzie w zasięgu wzroku.



Badylara czekała przyczajona za rogiem korytarza. Kroki zbliżyły się. Po chwili zobaczyła rosnący cień. Odczekała jeszcze moment, po czym wyłoniła się zza zakrętu bezszelestnie jak kot.

– Winna ci jestem podziękowania, siostrę – odezwała się do zaskoczonej Matyldy. Wiedźma spojrzęła na nią szeroko rozwartymi ze zdumienia oczyma, ale zaraz odzyskała fason. Nie odezwała się jednak ani słowem, zacisnąwszy usta. – Gdyby nie ty, wszyscy bylibyśmy martwi – ciągnęła bardka.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Szeptucha skrzyżowała ramiona.

– A ja i owszem. To ty, acanka, rzuciłaś mi piszczki. Bo przecież nie Wojcieszek. Otrzeźwiał dopiero przed chwilę, po czym znowu poszedł chlać z towarzystwem. I będą pewnie tak zalewać mordy do rana, bo

i dla nich to całe theatrum musiało być wielce nieprzyjemnym. No ale nie będę sobie jęzora strzępić, bo widzę, żeś nierozmowna. Zobaczymy się jutro na arenie, oby ci bogowie sprzyjali...

Badylara odwróciła się, ale celowo nie odeszła daleko. Tak jak się spodziewała, chwilę później Matyllda podążyła jej śladem.

– Zaczekaj!

Awanturnica uprzejmie przystanęła i odwróciła się w stronę wiedźmy.

– Ja nie wiem, acanka, gdzie my możemy bezpiecznie porozmawiać. – Dziewczyna spuściła wzrok.

– A choćby tutaj. – Badylara wykonała niedbały ruch dłonią, jakby chciała strącić z niej uporczywego komara. Naraz powietrze zadrżało, a dźwięk zaczął rozchodzić się zgoła inaczej, jak pod wodną taflą. – Mów śmiało, siostró. Nikt poza mną cię nie usłyszy! Słowo barda – dodała, zaciskając dłoń na srebrnej broszy.

Dopiero teraz szeptucha odetchnęła z ulgą.

– Pani Sienińska to swołocz jakich mało – zaczęła, rozglądając się na boki. Badylara tymczasem nonszalancko oparła się o ścianę. – Już jako pannica była wyjątkowo podła. Chłopstwo męczyła niemiłosiernie, służbą pomiatała...

– W rzyci jej się poprzewracało, normalna to rzecz. – Bardka wzruszyła ramionami.

– Ano ładnie żeś to ujęła. Ale nie od dobrobytu, jeno z zazdrości. Imaginuj sobie, że ona strasznie chciałaby umieć czarować. Więc najpierw starsi Sienińscy sprowadzali nauczycieli, skąd się dało. Ale spełzło to wszystko na niczym, bo pannica nie miała za grosz talentu! A jak się rodzicielom zmarło, to pannica z kolei zaczęła się otaczać ludźmi mocy...

– Zauważyłam – prychnęła szalamaistka.

– A tam, acanka, zauważyłaś! Nasprowadzała jakichś typów spod ciemnej gwiazdy, mrocznych magów i fałszywych czarowników. Nie wiem, co tam uradzili, bo potem nagle wszyscy wyjechali, a ona umyśliła sobie ten turniej. Kto z okolicznych nie chciał po dobroci przybyć, to na niego sposób znalazła... – Głos Matylldy zadrżał, wiedźma odwróciła na moment wzrok.

Wreszcie tamta odetchnęła i podjęła przerwana opowieść:

– Jak odmówiłam, przysłała do wsi najemników, dobrze uzbrojonych. Ludzi natłuki, plony stratowali, na koniec puścili czerwonego kura. Starosta nic nie powiedział, on u niej dawno w kiesie siedzi.

– Nie mogłaś rzucić klątwy? Chamstwu kuśki pozabierać, a jej jakiego syfa zapodać? – zdumiała się Badylara.

– Mocy mi nie stało. Najpierw ratowałam tych, co przez najemnych zbójów ledwie dychali. Potem zabezpieczałam wieś, ale widać

dziedziczka jakichś mrocznych amuletów wcześniej nakupiła, bo połowa czarów nie zadziałała. A ja mam we wsi dziatki i męża, co to niemagiczni są... Więc cóż było robić. – Matylda ukradkiem potarła oczy.

A więc takie ziółko z tej dziedziczki... Bardka zacisnęła szczęki.

– Co ta baba kombinuje...? – powiedziała na głos.

– Nic dobrego, mości Badylara. Jest zdolna do wszystkiego, sama, acanka, dzisiaj widziałas. Boję się tej jutrzejszej walki...

– Nic się, siostra, nie bój, tylko trzymaj się blisko mnie. Ja ci krzywdy nie dam zrobić. – Szalamaistka uściśnęła Matyldę za ramiona. – Tylko trzeba obmyślić, jak tej francy zadać bobu, coby się jej zbójceckich sztuczek odechciało! A wierz mi, w tym to ja mam niemałą wprawę!



Pogoda dopisała. Popołudniowe słońce wychylało się zza chmur, gdy Badylara z Matyldą maszerowały w kierunku areny. Wiedźma co rusz przesuwała nanizane na rzemyk paciorki z wypisanymi nań imionami bogów, modląc się o łaskę. Dla odmiany bardka była w znakomitym humorze. Za pas, do którego przytroczony miała rapier i kilka drobnych sakiewek, wsunęła jeszcze szalamaję, swój nieodłączny płaszcz zaś niefrasobliwie przerzuciła przez ramię. Gwizdała wesoło jakąś skoczną melodyjkę, przerywając tylko co jakiś czas, by popędzić jęczącego Wojcieszka. Muzyk ścisnął w ramionach swoją lutnię i wams przyjaciółki, narzekając strasznie na ból głowy. Ani Badylara, ani Matylda nie ulitowały się nad nim, surowo zabraniając mu pić tego dnia jakiegokolwiek alkoholu.

– Powiedz mi, siostro, jak się rzuca czary na ludzi – poprosiła awanturnica, gdy strażnik uchylił przed nimi wrota areny. Bardowską moc co prawda zaliczano do magii, jednak tak bardzo różniła się od miotania zaklęć, że Badylara nie miała w tym wielkiego doświadczenia.

– O, wbrew pozorom nie jest to takie proste, jak by się mogło wydawać – odparła wiedźma. – Żeby rzucić precyzyjny urok, trzeba mieć fragment czyjegoś ciała albo przynajmniej ubrania, które dotykało skóry lub włosów. Bez tego można miotać uroki, patrząc na ofiarę, ale jeśli ta się porusza, to prawdopodobnie czar i tak uderzy gdzieś obok i albo się rozpadnie na pierwotny ładunek mocy, albo spadnie na najbliższą osobę.

– Czyli trza się ruszać... – skostatowała Badylara. – Możesz nas jakoś osłonić?

Matylda pokręciła głową.

– Na bardów czary działają inaczej. Bardzo szybko można opaść z sił,

a i ich zaklęcia stają się mniej trwałe. Już bardziej ci się przydam, miotając uroki na przeciwników.

Bardka uśmiechnęła się złośliwie. Przez pół nocy zastanawiała się, co zrobić, żeby wydusić z Sienińskiej, co też ona knuje. Doszła do wniosku, że najpierw będą musiały pozbyć się z pałacyku pozostałych ludzi mocy, a dopiero potem przymusić dziedziczkę do gadania. A najprościej było to zrobić, wygrywając turniej.

Co prawda miała jakąś niejasną intuicję, że na arenie coś może pójść nie tak. Z braku innych pomysłów postanowiła jednak na razie ją zignorować.

Czuła, jak wpięty w koszulę triskelion nagrzewa się od nagromadzonej mocy, gdy Żaliński tłumaczył zasady pojedynków. Na ubitą ziemię mieli dziś wejść wszyscy, którzy jeszcze zostali, a ten, kto straci przytomność albo poniesie inny uszczerbek na zdrowiu, zostanie wyeliminowany z turnieju. Badylara słuchała jednym uchem, to obserwując przeciwników, to znów zerkając na siedzącą na trybunach dziedziczkę. Pannica wyglądała na znudzoną. Po przeciwnej stronie areny siedział Wojcieszek, cały czas zasłaniając oczy i krzywiąc się od bólu głowy. Bardka miała nadzieję, że teren walki został zabezpieczony i uroki nie wydadzą się na widownię.

Stała na ugiętych nogach, ściskając rapier w dłoni, gdy kapitan krzyknął: „Gotów? Bij!”. Na tę komendę rzuciła się biegiem do najbliższego przeciwnika.

Był to młodzik, który najwyraźniej niedawno przeszedł inicjację, bo nerwowo drżały mu dłonie, gdy wykonywał magiczne gesty. Badylara zamarkowała cios rapierem, a gdy gołowąs uchylił się z krzykiem, podcięła mu nogi i doprawiła kopniakiem w potylicę. Odskoczyła, gdy triskelion nagrzał się mocniej, ostrzegając przed uwalniającą się z nieprzytomnego ciała mocą. Niedokończony zaklęcie huknęło i wypełniło powietrze smrodem spalenizny, nic więcej jednak się nie stało.

Pamiętając, by nie pozostawać w bezruchu, bardka puściła się biegiem przez arenę. Widziała, jak jeden z doktorów magicznych pada na ziemię, trzymając się oburącz za głowę. Z jego nosa pociekła strużka krwi, poza tym jednak nie wyglądał na rannego. I nic dziwnego. Nikt rozsądny nie chciał zabijać ludzi mocy. Bogowie okrutnie się za to mścili, liczył się też fakt, że obecni przeciwnicy mogli kiedyś znaleźć się po tej samej stronie barykady.

Drogę Badylarze zastąpiła czarownica w szlacheckim stroju. Skinęła jej głową z szacunkiem, jednocześnie szepcząc zaklęcie. Bardce wcale się to nie spodobało. Udała, że zgina kark w służalczym ukłonie, po czym wybiła się z zakroczonej nogi i uderzyła przeciwniczkę z byka w brzuch.

Wokół nich powietrze zafalowało od uwalnianej energii,

najwyraźniej jednak wiedźma nie chciała ryzykować aktywacji czaru tak blisko siebie. Padły obie na ziemię, przeturlały się po piachu... Badylara pierwsza zerwała się na nogi, gdy szlachcianka zaplątała się we własną suknię. Chciała zdzielić ją w łeb koszem rapiera, nagle jednak poczuła wzbierającą wokół moc. Wiedziona instynktem odskoczyła. Rychło w czas! Chwilę później głowa czarownicy eksplodowała w fontannie krwi. Bardka wpatrywała się w to oniemiała, czując narastające mdłości.

To nie czas na słabość! – upomniała się jednak, starając się ignorować wrzaski przerażenia atakujące ją ze wszystkich stron. Dojrzała uśmiechającego się głupkowato mężczyznę w lichej koszulinie. Ani chybi jakiś wiejski owczarz bez przeszkolenia! Zapewne nawet nie kontrolował własnej mocy.

– Przerwać turniej! – krzyknęła do Sienińskiej, beznamiętnie obserwującej walki.

Dziedziczka tylko lekceważąco machnęła ręką.

– Oszalałaś, acanka?! – zawołał jeden z doktorów magicznych. – Doszło do wypadku!

– Niech wygra najlepszy – uśmiechnęła się fałszywie jaśniepani.

– To skandal! – odparł uczony. – Rezygnuję! – Ruszył w kierunku wyjścia z areny. – Wypuścić mnie!

Nikt nie zareagował.

– Każ, acanka, otworzyć te drzwi albo rzucę urok! – zagroził mężczyzna, patrząc na panią Nasławę. Ta od niechcienia machnęła ręką.

Badylara już myślała, że spełni prośbę maga. Myliła się jednak. Z trybuny poszybował bełt kuszy i trafił mężczyznę w nogę.

– Powiedziałam: niech wygra najlepszy – warknęła dziedziczka, ignorując wyjącego z bólu czarownika.

Bardka zacisnęła dłoń na koszu rapiera. Dopadła do przerażonej Matyldy.

– Ona nas pozabija! – jęknęła szeptucha. – Nie własnymi rękoma, jest na to za sprytna! Ale doprowadzi do tego, żebyśmy sami się pozabijali!

– Ta baba jest szalona jak wściekły pies – syknęła Badylara. – Siostró, musisz wezwać pomoc! Umiesz się teleportować?

Matylda pokiwała głową i jakby wstąpiły w nią nowe siły.

– Umieję. Zaraz nas stąd wyciągnę – powiedziała hardo.

– Nie! Sama przeteleportujesz się do najbliższych ludzi mocy w okolicy i wezwiesz pomoc!

– A ty?!

– Nie zostawię Wojcieszka. On jest niemagiczny, nie przeżyje skoku przez astral. – Wskazała brodą na bladego lutnistę, przy którym teraz stał uzbrojony strażnik. – Postaram się utrzymać jak najdłużej, a ty się spiesz!



– Potrzebuję na to chwili...

Badylara przytaknęła, rozglądając się za szalonym owczarzem. Właśnie pojedynkował się z jakimś magiem, chichocząc przy tym pod nosem.

Już miała odetchnąć z ulgą, że ktoś zajął się wariatem, gdy jedna z wiedźm rzuciła się na nią z wrzaskiem.

– Co ty, acanka?! – warknęła bardka, odtrącając ją kopniakiem. – Trzeba powstrzymać tego szaleńca, bo nas pozabija!

– Niech wygra najsilniejszy! – odparła czarownica, usiłując złapać Badylarę za włosy.

Ta odskoczyła, owijając sobie płaszcz wokół przedramienia i chlaszcząc nim jak biczem. Na niewiele się to zdało. Wiedźma nie zaprzestała ataków, eteryczny ognek minął szaląmaistkę o włos. I Badylara już wiedziała: tylko jedna z nich może wyjść z tego żywa.

Prosząc Minstreła o wybaczenie, pchnęła rapierem w żywot. Stał weszła w ciało z paskudnym mlaśnięciem, kobieta wrzasnęła, osuwając się na kolana. Bardka zaparła się nogą i wyciągnęła stał z ciała.

– Policzymy się u Tryglawa – rzuciła w stronę konającej i rozejrzała się za innymi zagrożeniami.

Kilku innych ludzi mocy najwyraźniej też było zdesperowanych na tyle, by za wszelką cenę wygrać turniej. Tych musiała wyeliminować, jeśli miała dożyć jutra. Rzuciła ukradkowe spojrzenie Matyldzie. Wokół wiedźmy drżało powietrze, najwyraźniej już kończyła zakłęcie. Nagle jednak rozległ się huk i szeptucha zniknęła w tumanie ognia.

Badylara krzyknęła i dopadła do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą stała dziewczyna. Leżała tam jednak tylko kupka popiołu. Niepomna niebezpieczeństwa bardka ukłękła i dotknęła spalonej ziemi. Dobiegł ją chichot szalonego owczarza. Czarownik stał nad praktycznie zwęglonym trupem doktora nauk magicznych i wpatrywał się w pokryte sadzą dłonie.

– Zabiję cię, psi synu! – warknęła Badylara, ruszając w jego kierunku.

Drogę jednak zastąpił jej kolejny mag o błędnym spojrzeniu. Kopnęła go w podbrzusze, nie zwracając sobie nim głowy. Padł na ziemię. Ku jej zdziwieniu zaraz podniósł się, jakby niepomny bólu.

– Co wy, szaleju żeście się najedli?! – zdziwiła się bardka. Nikt normalny przecież nie zabijał kolegów po fachu, a tu nagle takie nagromadzenie waryjatów!

I nagle ją olśniło.

Ci ludzie nie musieli być szaleni. W końcu trucizny i narkotyki działały na ludzi mocy dokładnie tak samo jak na śmiertelników. Dopiero teraz dotarło do niej, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajdowała. Szepcząc słowa przeprosin, pchnęła odurzonego rapierem w szyję, po czym wyszarpnęła ostrze z ciała i ruszyła w kierunku

owczarza. Już czynił magiczne gesty, moc wrzała w powietrzu...

Badylara rzuciła się głębokim wypadem, celując w żywot. Poczula, jak magiczny pocisk osmała jej policzek, zignorowała ból. Cholera wie co ten człowiek zaraz na nich sprowadzi!

Owczarz nawet nie próbował się zasłaniać, zupełnie jakby nie widząc ostrza. W chwili gdy stał wchodziła w ciało, bardka pomyślała zatem, że wygrała. Resztką sił mężczyzna zdołał jednak dokończyć zaklęcie. I wtedy wszystko utonęło w białym blasku.

Badylara zatoczyła się do tyłu, na szczęście nie wypuściła rapiera z dłoni. Nie widziała nic. Zupełnie jakby patrzyła w rozpaloną tarczę Dadźboga. Zacisnęła powieki i starała się uspokoić. Wokół niej rozbrzmiewały krzyki. Co teraz będzie? Podobijają ich na arenie strzałami z kuszy? Czy poczekają, aż sami wyzdychają z powodu odniesionych ran?

A psi wam w bęben, skurwysyny! – pomyślała bardka. Ignorując piekące oczy, sięgnęła po dar Minstrela.

Wrzaski bólu i zaskoczenia przybrały na sile, chociaż teraz mogła bez problemu rozróżnić poszczególne głosy. Dobiegały zewsząd, co oznaczało, że czar poraził również ludzi na trybunach.

Słyszała świst broni, którą wymachiwano na oślep, czuła pulsującą moc, gdy odurzeni miotali klątwami. Musiała uciekać, wydostać się z areny! Tylko jak? Pozostając tu, ryzykowała, że w każdej chwili uderzy w nią rykoszetujący urok. Gdyby schowała rapier i sięgnęła po piszczki, wówczas niechybnie zdradziłaby swoją pozycję. Musiała więc liczyć na to, że jedno z zaklęć zniszczy ogradzającą arenę parkan.

– Ejże, sucze syny! Tutaj jestem! – wrzasnęła, po czym machnęła dłonią, wygłaszając przestrzeń wokół siebie.

Teraz była nie tylko ślepa, ale i głucha. Ocalali magowie nie mogli jej już jednak usłyszeć. Padła na ziemię, licząc, że to wystarczy. Chwilę później przetoczył się nad nią impuls mocy.

Poczula swąd spaleniźny i ból, gdy drzazgi porwały jej koszulę i wgryzły się w ciało. Odczekała kilka oddechów, po czym zdjęła wygłuszenie i ostrożnie wstała. Poza powierzchownymi zadrapaniami chyba nie ucierpiała. Za to powietrze wokół niej płynęło już inaczej. Udało się! W parkanie najwyraźniej ziała dziura.

Starając się poruszać jak najciszej, Badylara przekradła się w tamtą stronę. Z każdym krokiem czuła się swobodniej. Minstrel najwyraźniej miał ją w swojej opiece. Emocje i dar zrobiły swoje. Przed bardką rysował się powoli obraz świata rozpoznawanego słuchem. Co prawda nie był tak dokładny jak ten odbierany za pomocą wzroku – co uświadomiła sobie, gdy zahaczyła nogą o przeszkodę wystającą z ziemi – z pewnością jednak miała przewagę nad pozostałymi.

Wydostała się z areny i zatrzymała na moment, nasłuchując.

Wiedziała, że strażnicy dziedziczki albo tarzają się po ziemi, ślepi i ogłuszeni, albo ledwie dyszą, ranieni bronią własnych towarzyszy. Usłyszała wreszcie dźwięk, którego szukała – cichy pomruk, jaki wydawała rezonująca z otoczeniem lutnia. Tam był Wojcieszek! Bardka ścisnęła mocniej rapier i wspięła się po rozklekotanych drewnianych schodkach prowadzących na trybuny. Drewno skrzypiało pod jej podkutymi butami. Człowiek, który pilnował lutnisty, najwyraźniej nie stracił zimnej krwi.

– Jest tu kto? – warknął.

Badylara zaczęła ostrożnie stawiać kroki.

– Jest tu kto? Gadaj, bo mu gardło poderżnę! – odezwał się znowu strażnik. Dostatecznie blisko!

Awanturnica wybiła się z zakroczonej nogi i pchnęła rapierem tam, gdzie powinien być żywot. Dobiegł ją jęk i bulgot krwi. Wyszarpnęła rapier z rany, słysząc, jak posoka chluszcze na deski.

– Wojcieszek? Cały jesteś? – zapytała.

– Umieram!

– Nie umierasz. Jakiś idiota rzucił na nas Uśmiech Żmija. Z tego, co mi wiadomo, ten czar nie jest trwały.

– Oczy mi wypalili! Ogień mi się wdarł do samego mózgu! – chlipnęła lutnista.

– Nie pieść się! Mocniej cię wzięło, bo żeś wczoraj z pół beczki wina wyzłopał! Dawaj rękę, wyprowadzę cię! – prychnęła bardka. – Uciekamy, zanim ktoś wyczaruje co gorszego!

– Uciekaj sama! Ja umieram!

Wymierzyła mu policzek, po czym chwyciła za rękaw. Pomogła Wojcieszkowi wstać i już miała sprowadzić go po schodach, gdy poczuła palący ból w łydce. To konający strażnik ostatkiem sił dźgnął ją nożem!

Syknęła z bólu i zdrową nogą posłała mężczyznę w dół schodów.

– Co się stało? Umieramy? – zawył muzykant.

– Nie. Obezwajec dziabnął mnie nożem, poszło po cholewie buta, ale mnie drasnął – odparła bardka. – Chodź, gorsze rany miewałam!

Ostrożnie zeszli po schodach, nasłuchując pogoni. Nikt ich jednak nie ścigał. Badylara zaciskała zęby, utykając. Sugestię Wojcieszka, że należy odzyskać konie, zbyła siarczystym przekleństwem. Kłątwa z dużym prawdopodobieństwem nie sięgnęła zamku. Tam wciąż mogli być ludzie gotowi wymordować ich jak kocięta. Poza tym nawet jeśli mogła się w miarę sprawnie poruszać, bardka nie czuła się na siłach na ślepo powodować koniem.

Zamiast tego poprowadziła ich w stronę, z której dobiegał szum lasu. Miała nadzieję, że uda im się tam przycząić, dopóki nie miną skutki zaklęcia.



Nie umiała ocenić, ile tak szli. Czasami kazała Wojcieszкови się zatrzymać i zagrać coś na lutni, której dźwięk nił w promieniu kilkunastu kroków, ale Badylarze wystarczał, żeby stworzyć dokładny obraz otoczenia.

Sprowadziła ich z głównego szlaku i poprowadziła głębiej w las, gdzie łatwiej było zgubić pościg. Po jakimś czasie usłyszała chlupot wody. Wprowadziła protestującego lutnistę do płytkiej rzeczki i kawałek przeszli jej korytem. To powinno zmylić ewentualną pogoń.

Kiedy zrobiło się chłodniej, bardka wreszcie zarządziła dłuższy postój. Obmyła się, licząc, że woda jest dostatecznie czysta, by nie zakazić ran. Wcześniej tylko prowizorycznie opatrzyła rozcięcie kawałkiem oddartego od koszuli płótna. Teraz wysupłała z jednego z woreczków szczyptę soli i sycząc z bólu, posypała ranę na nodze. Nie była głęboka, ale doświadczenie nakazywało jej nie lekceważyć żadnych obrażeń.

– Słyszałaś to? – odezwał się nagle Wojcieszek.

– Ta. Pewnie jakieś zwierzę nadepnęło na gałązkę – odparła.

– A jak nas pożre?

– To będę miała od ciebie święty spokój! Zamkniesz się i dasz posłuchać? – warknęła, targana niepokojem.

Badylara mogła co prawda poradzić sobie z dzikimi zwierzętami tak, jak zrobiła to wcześniej z niedźwiedziem, ale była pewna, że skończy potem, rzygając z wyczerpania, bezbronna w przypadku następnego ataku.

Okazało się, że jednak jest gorzej, niż przypuszczała. Przez las przedzierali się ludzie.

– Cholera, pogoń – szepnęła. – Teraz słuchaj mnie wyraźnie, łajzo! Jak ci każę, masz grać na lutni do upadłego, rozumiesz? Najlepiej bransle, schiarazulę albo inną skoczną melodię, rozumiesz? Może być jedna i ta sama w kółko, bylebyś się nie pomylił! Nie mogę się rozproszyć. Wystarczy, że lutnia i tak będzie pewnie rozstrojona jak lichy.

Wojcieszek zachnął się, ale nie powiedział nic, tylko przytaknął i mocniej chwycił instrument w dłonie. Badylara słyszała, że serce wali mu jak oszałałe. Naprawdę zależało od niego teraz więcej, niż bardka skłonna była przyznać. Nawet najlepszą lutnię było słyhać tylko w promieniu kilkunastu kroków od grającego. Jeśli Wojcieszek zacznie się mylić i jej pomysł nie wypali, będą zgubieni. Zwłaszcza że triskelion zaczął pulsować ciepłem. Czyli zbliżali się do nich ludzie mocy.

Niedobrze.

– Graj! – rozkazała, dobywając rapiera.

Stała na ugiętych nogach, ignorując ból w łydce. Mogła zapomnieć o głębokich wypadach czy kopniakach. Zmęczenie też robiło swoje i coraz trudniej było jej ignorować dolegliwości.

Rozległy się pierwsze akordy lutni. Instrument rzeczywiście był rozstrojony od chłodu i długiego marszu, dźwięk jednak naszkicował dla niej sylwetki dwóch osób przedzierających się przez las. Na plecach jednej z nich jakiś instrument odpowiadał delikatnym rezonansem. Bardowie? W pałacu oprócz niej znajdował się tylko jeden bard obdarzony mocą, teraz zapewne ciężko ranny lub martwy. Sam dar Minstrela nie sprawdził się na arenie i Badylara widziała, jak mężczyzna pada ogłuszony zaklęciem.

Wahała się za długo. Zduszony kobiecy okrzyk uświadomił jej, że w końcu zostali zauważeni.

– Na wszystkich bogów! – odezwała się nieznajoma. – A więc to prawda!

– Kto idzie? – warknęła Badylara, pewniej ujmując rapier. – Jeśli macie złe zamiary, to tanio skóry nie sprzedamy!

– Nie ma takiej potrzeby! – tym razem odpowiedział jej męski głos. – Nie jesteśmy wrogami! Synku, schowaj no tę lutnię, nie żal ci jej tak na wilgoć wystawiać? – zwrócił się do Wojcieszka.

– Ma rację, możesz przestać grać – mruknęła bardka. – Coście za jedni?

– Odeta i Radomir Lipnitz – odezwał się mężczyzna. – Ejże, czy ciebie aby nie wołają Badylara? Polowałaś kiedyś na strzygę z naszą córką! Po bliźnie poznaję!

– Daj jej spokój! Nie widzisz, że dziewczyna ledwie trzyma się na nogach? – fuknęła Odeta. – Pokaż się, opatrzę ci rany! Na litość Welesa! Przecież ty nic nie widzisz!

– Zajmij się, acanka, najpierw Wojcieszkiem. Mnie bez oczu łatwiej żyć niż jemu.

Wiedźma mruknęła coś o upartych ludziach drogi, ale spełniła prośbę. Tymczasem Radomir przysiadł się do bardki.

– Powiedz no, dziecko, kto was tak urządził! – Podał awanturnicy buklaczek z jakimś trunkiem.

Przyjęła go z wdzięcznością i rozpoczęła opowieść. Lipnitz słuchał uważnie, z rzadka wtrącając jakieś pytanie. W połowie opowieści Odeta przerwała im, smarując czymś twarz Badylary. Bardka poczuła ciepło i chwilę później jasność przed oczami zaczęła ustępować miejsca szarówce zmierzchu. Zaskoczona dziewczyna zamrugła i potarła powieki.

– Czekaj no, jeszcze obejrzę ci nogę – burknęła pulchna wiedźma. – To mówisz, że tamta mała szeptucha to twoja kompanka? To by się nawet zgadzało, jak raz z jakiejś kabały wyszła!

– Matylda żyje? – Tylko żelazny uścisk żerczyni nie pozwolił Badylarze wstać.

– Ano żyje, żyje, chociaż ledwo. Fest tą popielną klątwą oberwała, ot co! I dlatego tu jesteśmy. Próbowaliśmy się cofnąć jej szlakiem w astralu, ale coś zaburzyło aurę i wyrzuciło nas tutaj. Pewno do ostatniej żywej nosicielki mocy.

– Trzeba wracać do majątku! Przecież ta latawica dziedziczka może jeszcze dycha! – zawołała bardka.

– Nie tak prędko, dziecino – przerwał jej Radomir. – Po pierwsze, jeśli dycha, to ledwo. Taka ilość klątw w jednym miejscu nie wróży nic dobrego, mogła się nawet przedrzeć osnowa świata. I jakoś nie mam ochoty sprawdzać, co tam zza niej wylazło. Po drugie, zmierzcha. A wtedy ani z demonami, ani z ludźmi lepiej się nie wadzić. Ty też sił nabierz. Rankiem sprawdzimy, czy coś z pałacu zostało.



Badylara musiała przyznać Radomirowi rację. Rankiem bezsprzecznie stwierdziła, że okolica pałacu rzeczywiście nie należała już do tych, w których chciałyby się znaleźć po zmroku. Otaczający posiadłość ogród obrócił się w perzynę, sam pałacyk zaś wyglądał, jakby od lat nikt w nim nie mieszkał. Z areny również niewiele zostało. Kupa desek i stercząca samotnie na wpół zrujnowana trybuna. Tylko triskelion, pulsujący nieprzyjemnym ciepłem, przypominał bardce, że jeszcze dzień wcześniej roіło się tu od ludzi mocy.

Odeta zatrzymała się kilka kroków od feralnego pałacyku i zamknęła oczy, mamrocząc przy tym jakąś formułkę.

– Ktoś tutaj rzucał wyjątkowo ponure uroki – oceniła. – I to już jakiś czas temu. Nadal jest ślad w aurze, chociaż mocno zatarty.

– Trzeba sprawdzić pałac – orzekł Radomir. – Tam może ostał się jeszcze kto żywy.

Mylił się. Posiadłość okazała się pusta, bez śladów walki czy ludzi. Ku radości Wojcieszka nietknięta była również spiżarnia oraz piwniczka z winem, którym też zaraz się poczęstował. Badylarę bardziej ucieszyło to, że w stajni nadal stały ich konie, choć wyraźnie przestraszone. Nie wróżyło to niczego dobrego. Zwierzęta zwykle jako pierwsze reagowały na obecność siły nieczystej.

Badylara z bijącym sercem wchodziła na pozostałości areny. Na ubitej ziemi nadal widniały jeszcze plamy krwi i sadzy, pozostałości po wczorajszych walkach. Nigdzie jednak nie było widać trupów, które spodziewała się zastać awanturnica. Zamiast tego spod pozostałości

jednej z trybun dobiegł ją cichy jęk.

– Tutaj! – zawołała do przeszukujących gruzowisko towarzyszy.

Pod deskami leżał kapitan Żaliński, chociaż najwyraźniej szykujący się już na spotkanie z Welesem.

– Imć panie Mironie, powinnam panu skopać rzyć – warknęła Badylara, nachylając się nad konającym. – Ale mogę obiecać, że cię, acan, dobiję, jeśli mi wyśpiewasz, w jaką to gierkę nas wciągnąłeś.

Żaliński jęknął i zakaszłał krwią.

– Demony – wychrypiał.

– To wiemy – powiedział Radomir. – Pewnie ktoś rzucił o jedną kłatwę za dużo albo i sam litościwy Weles w swej mądrości postanowił posprzątać po waszych zabawach.

– Mów, acan, po co była ta szopka! Od początku chodziło wam o to, żeby nas tu wszystkich pozabijać!

– Magowie! Oni powiedzieli panience... – znowu zakrztusił się krwią – że jak umrze dużo ludzi mocy... to ich zdolności przejdą na nią.

Odeta zakłęła szpetnie.

– Tak, istnieje taki rytuał – przyznała. – Zakazany przez wszystkie bractwa. Nie tylko jest wątpliwy moralnie, ale zwykle właśnie tak się kończy. – Zatoczyła dłonią krąg.

– Głupich nie sieją. – Radomir wzruszył ramionami. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale Żaliński zakaszłał po raz ostatni i stało się jasne, że nic już im więcej nie powie.

Badylara zacisnęła usta. Gdyby takie idiotki jak Sienińska wiedziały, z czym wiąże się posiadanie mocy. Gdyby musiały wyjechać na trakt albo bezsilnie patrzeć, jak umiera ich towarzysz, sprzątający burdel, którego narobiły...

– A niech wasze truchła szarpią psy, mości panie Żaliński. – Podniosła się i splunęła na ziemię. – Tylu dobrych ludzi przez was zginęło...

– Weles im tego nie przepuści, dziecko – pocieszyła ją Odeta. – Ich potępione dusze pewnie już wyją w zaświatach.

– Nie wszystkie – skomentował Radomir, wpatrując się w na wpół zawaaloną trybunę. Pomiędzy połamanymi deskami zawisła jeszcze jedna postać.

Wyglądało to, jakby ktoś usadził w gruzowisku posąg znudzonej, nieruchomej kobiety. I tylko błyszczące, rozwarte w niemym przerażeniu oczy wskazywały na to, że Nasława Sienińska nie ze szczeniem przeniosła się na tamten świat.

*W tekście wykorzystano fragment staropolskiej pieśni miłosnej „O przedziwna gładkości” i treść oryginalnych toastów z epoki.*



MICHAŁ  
PUCHALSKI

---

## HYMN DO PIERZASTEGO WĘŻA



**P**łaszcz przybysza, ozdobiony bajecznie kolorowymi piórami rzadkich ptaków, przywodził na myśl świetlistą tęczę, zaklętą w materię zręcznymi dłońmi rzemieślnika. Pełna przepychu była także reszta odzienia – utkane z najdelikatniejszej bawełny szaty, miękkie sandały oraz ciężka od złota i jadeitu biżuteria. Na smagłym obliczu mężczyzny malowała się duma i z trudem skrywana wrogość.

Bogactwo nie imponowało jednak nikomu w tym miejscu, cała komnata była go pełna. Ze wszystkich stron połyskiwało złoto i szlachetne kamienie. Ściany pokrywały płaskorzeźby i kolorowe malowidła, wszystkie przedstawiające sceny z historii Quetzalcoatl, Pierzastego Węża, od czasów jego narodzin przez panowanie aż po odejście na wschód. Największy obraz, znajdujący się bezpośrednio za stojącym na wzniesieniu tronie, przedstawiał pełen chwały powrót wygnanego boga. Ogromna postać zdawała się śledzić spojrzeniem każdego w sali.

Władca, młody mężczyzna w koronie z barwnych piór, spojrzał obojętnie na przybysza i skinął nieznacznie głową, pozwalając mu mówić. Poseł skłonił się, chociaż zrobił to jedynie tak głęboko, jak wymagał tego zwyczaj.

– O wspaniały Tlahuicole, tlatoni pięknego miasta Tlaxcala – odezwał się pełnym wystudiowanej uprzejmości głosem. – Przemawiam w imieniu wielkiego Montezumy, władcy cudownego Tenochtitlánu i pierwszego spośród Trójprzymierza. Oto kończy się zima i zbliża czas siewów, a wraz z nimi ofiara dla Xipe Toteca, naszego Pana Obdartego



ze Skóry. Aby zapewnić ofiary, których krew użyźni ziemię i sprowadzi dobre plony, wielki Montezuma wzywa cię, o panie, do uczestnictwa w Wojnie Kwiatów.

Gdy poseł skończył przemawiać, przed niego wysunęli się towarzyszący mu słudzy. Z wyplatanych koszy wysypali morze kolorowych płatków u stóp władcy, po czym wycofali się z pokłonem.

Tlahuicole milczał, surowym spojrzeniem wpatrując się w przybysza tak długo, aż z oblicza mężczyzny zniknął wyćwiczony uśmiech i zastąpiła go niepewność.

– Mexikowie to odurzone krwią demony, które nie znają niczego prócz śmierci – przemówił w końcu władca. – Zbliża się pierwszy rok trzciny, a wraz z nim powróci nasz pan Quetzalcoatl, by ponownie zaprowadzić ład w tej przeklętej krainie. Lud Tlaxcali pamięta prawdziwe nauki Quetzalcoatla i nie będzie dłużej uczestniczyć w krwawym barbarzyństwie Mexików. Idź i przekaz swojemu panu Montezumie, że jeżeli ukorzy się i obali swoje przeklęte bożki, to być może Tenochtitlán zostanie oszczędzony. W innym wypadku jego ulice spłyną krwią po raz ostatni, lecz tym razem będzie to krew Mexików.

Twarz posła, początkowo zastygła w szoku, wykrzywiła się z nienawiści na podobieństwo dzikiego stworzenia. Mężczyzna wyglądał, jakby chciał się rzucić na władcę Tlaxcali, lecz gdy tylko drgnął, przy jego piersi natychmiast pojawiły się obsydianowe groty trzymany przez strażników włóczni. Mexik odetchnął kilkakrotnie, próbując się opanować. W końcu podniósł wzrok na Tlahuicole, a jego usta rozciągnął pełen pogardy uśmiech.

– Prawdą jest to, co mówią o Tlaxcaltekach, że mają serca jadowitych węży i mózgi bagiennych ropuch. Mexikowie wyrwą wam te zdradzieckie serca i oddadzą w hołdzie Huitzilopochtliemu. Oto skazałeś Tlaxcalę na zagładę. Biedny twój lud, który zamiast mędrca obrał na nowego tlatoani zwykłego szaleńca.

Strażnicy podnieśli broń, by ukarać bezczelność posłańca, lecz powstrzymała ich uniesiona dłoń władcy.

– Powiedziałem ci już wszystko, co powinienes usłyszeć – przemówił spokojnie Tlahuicole. – Kazałbym wyrwać ci język za twoje zuchwalstwo, lecz będziesz go potrzebował, żeby zanieść swojemu panu moje słowa. Idź, przekaz, że dni krwawych rządów Mexików są policzone.

Poseł splunął na wysypaną kwiatami podłogę, odwrócił się na pięcie i opuścił pałac. Po jego wyjściu zapadła głucha cisza, której nie śmiał przerwać nikt z dworzan.

– Czas rozesłać wieści – odezwał się tlatoani do zgromadzonych kapłanów i dowódców wojskowych. – Niech wszyscy nasi sojusznicy dowiedzą się, że nastał czas, o którym tak długo mówiliśmy. Nastał czas,

aby pozbyć się mexykańskiej zarazy z oblicza ziemi.



– Tlatoani?

Tlahuicole drgnął, gdy niepewny głos wyrwał go z zamyślenia. Uniósł wzrok i spojrzał na stojącego u podnóża tronu sędziwego mężczyznę, Ichtacę, najbardziej zaufanego doradcę, służącego wcześniej jego ojcu. Napięcie wyrysowane na twarzy starca wyraźnie zdradzało, że nie przynosił dobrych wieści. Władca skinął głową, pozwalając mu mówić.

– Tlatoani, Mexikowie nadchodzą – przemówił dworzanin, kłaniając się. – Stoją już pół dnia od miasta. Przybędą o świcie.

– Jak wielu? – wyszeptał wyschniętymi wargami Tlahuicole.

– Wielu, tlatoani. Dwa dni temu dołączyły do nich wojska wysłane przez Teotitlan. Razem nie mniej niż sto tysięcy mężczyzn.

– Jakież wieści z Oaxaki? Choluli? Od Mixteków? – wypytywał władca.

– Żadnych, tlatoani – zaprzeczył Ichtaca. – Żaden z sojuszników obiecujących wsparcie nie przybył. Może nie zdążyli na czas, może stchórzyli, a może po prostu zdradzili.

– To nie ma teraz znaczenia. – Tlahuicole westchnął głęboko i zamknął oczy.

– Rozpoczęliśmy już przygotowania do oblężenia. Nasze mury są silne, a zapasy wystarczą na wiele tygodni. Możemy ich odeprzeć. – Starzec starał się przemawiać pewnie, lecz wahanie w jego głosie zdradzało, że sam nie był przekonany do prawdziwości swych słów.

– Nie – odparł spokojnie władca. Napięcie, które przygniatało go przez ostatnie dni, zniknęło, zastąpione nagłą jasnością umysłu. Wiedział, że teraz już nic nie może zmienić, i ta myśl wydawała mu się dziwnie pokrzepiająca. – Każ przygotować wojska do wymarszu. Spotkamy się z Mexikami w otwartym polu.

– Tlatoani? – Ichtaca spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Nasze mury są grube, lecz zapasy, nieważne, jak liczne, pewnego dnia się wyczerpią. Nie możemy liczyć na odsiecz. Mexikowie w końcu wedrą się do miasta i Tlaxcala upadnie. – Tlahuicole zacisnął dłonie na podłokietnikach tronu. – Nie możemy do tego dopuścić. Mexikowie przybyli tu po ofiary i właśnie je dostaną. Spotkamy ich w otwartym polu i damy im okazję wziąć dość jeńców, by zaspokoili swoją żądzę krwi. Okupimy życie mieszkańców własnym życiem. Tylko tak Tlaxcala przetrwa do czasu przybycia Quetzalcoatl. Każ przygotować ludzi. Wyruszamy za godzinę.

– Wedle twojej woli, tlatoani – odparł starzec, gnąc się w głębokim

pokłonie. Jego oczy były pełne łez, lecz nie wywołał ich żal spowodowany losem, na jaki skazywali wojowników, a duma z młodego władcy.



Armia Mexików, kłębiąca się niczym rój mrówek, zdawała się nie mieć końca, zasłaniała cały horyzont. Tysiące wojowników o twarzach pokrytych barwami wojennymi wznosiło ogłuszające okrzyki. Promienie słońca lśniły na obsydianowych ostrzach włócznie i macuahuitli, przerażających maczug najeżonych odłamkami wulkanicznej skały. Bojowe bębny i piszczałki wygrywały szaloną melodię.

Wśród zwykłych żołnierzy wyraźnie wyróżniali się przedstawiciele legendarnych zakonów Jaguara oraz Orła. Ci elitarni wojownicy, odziani w skóry dzikich kotów lub stroje ozdobione wielobarwnymi piórami, otoczeni byli powszechnym szacunkiem. Nawet na polu bitwy wszyscy pokornie schodzili im z drogi. To właśnie oni stanowili najstraszliwszy oręż mexykańskiej armii. Zajmowali zaszczytne pierwsze szeregi, gotowi wziąć na siebie główny impet uderzenia oraz zdobyć chwałę i najlepszych jeńców, których serca ofiarują bogom.

Tlahuicole wpatrywał się we wrogie siły z napięciem, próbując oszacować liczebność przeciwników. Chociaż jego wojsko pospiesznie opuściło miasto, to przygotowania do wojny trwały już od dawna. Dzięki temu udało mu się zebrać dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Ogromna armia, jakiej władcy Tlaxcali nie zdołali wystawić od pokoleń. Mimo wszystko Mexikowie mieli przewagę przynajmniej pięciu, może sześciu mężczyzn na każdego z jego wojowników.

Młody wódz zgromadził swoje wojska w lesie, gdzie drzewa nie tylko chroniły je przed wrogimi strzałami, lecz także ukrywały liczebność przed wzrokiem Mexików. Była to jedyna przewaga, na jaką mogli liczyć. Co prawda kapłani zapewniali, że Quetzalcoatl będzie strzegł swego ludu i poprowadzi go ku zwycięstwu, ale Tlahuicole nie był tego pewien. Pierzasty Wąż dopiero miał wrócić z wygnania i na razie losy bitwy znajdowały się poza jego zasięgiem. Tylko od Tlaxcalów zależało, w jakim świecie powitają swego pana.

Mexikowie sięgnęli po zawieszane na sztykach gwizdki, rzeźbione na kształt ludzkich i zwierzęcych czaszek, i zadęli w nie z całych sił. Pod niebo wzbil się nieziemski wrzask, jakby dobiegający jednocześnie z tysięcy gardeł ludzi wijących się w nieskończonej agonii. Serca Tlaxcalteków przepełniła groza na myśl, że już wkrótce ich głosy dołączą

do tego potężnego chóru. Niektórzy rzucali broń, zasłaniali uszy i próbowali uciekać, lecz byli zatrzymywani przez swoich towarzyszy.

Zagrzmiały bębny i Mexikowie ruszyli do ataku. Armia Montezumy imponowała liczebnością oraz wyszkoleniem wojowników, nie stanowiła jednak zwartej struktury. Każdy z żołnierzy był indywidualistą walczącym dla własnych zaszczytów. Dlatego też ich atak przypominał raczej furię żywiołu niż precyzyjny manewr. Rycząca i wymachująca bronią tłuszcza rzuciła się do wścieklej szarży niczym rozszalałe fale oceanu atakującego brzeg.

– Strzelać, gdy tylko znajdą się w zasięgu – rozkazał Tlahuicole.

Przemawiał pewnym głosem, w którym nie dało się wyczuć ani krzty wahania. Chociaż serce krwawiło mu na myśl o rzezi, na którą posyłał własnych ludzi, na zewnątrz musiał pozostawać niewzruszony niczym głaz.

Zaśpiewały zwalniane cięciwy. W powietrze wystrzeliła chmara strzał i wyrzuconych przy użyciu atlatli oszczepów, mknąc na spotkanie meksykańskiej hordy. Kolejne salwy zbierały krwawe żniwo, powalając na ziemię setki martwych lub konających wojowników. Nie mogło to jednak wstrzymać impetu uderzenia. Nie zwracając uwagi na umierających towarzyszy, Mexikowie pędzili ku ścianie lasu, osłaniając się tarczami zdobionymi barwnymi piórami.

– Do ataku! – zawołał Tlahuicole, gdy wrogowie niemal dotarli już do linii drzew.

Ruszył jako pierwszy, z okrzykiem bojowym na ustach. Wiatr rozwiewał jego długie czarne włosy, bawiąc się nimi delikatnie niczym dłoń kochanki. Słońce lśniło na złotej biżuterii. Najeżony obsydianowymi ostrzami macuahuitl wzniósł się ku niebu, rzucając wyzwanie nie tylko Mexikom, ale także ich bogom. W tej jednej chwili, pędząc śmiało ku niezliczonym rzeszom wrogów, w oczach swych ludzi zdawał się herosem z dawnych podań. Każdy z nich w głębi duszy czuł, że nigdy jeszcze nie widział niczego tak pięknego. Z sercami pełnymi wzruszenia Tlaxcaltekwie popędzili na spotkanie śmierci, prowadzeni przez swego władcę.

Armie zderzyły się z impetem. Powietrze rozbrzmiało hukami ścierającego się oręża, jękami ranionych i triumfalnymi okrzykami raniących. Pierwsze momenty starcia były zażartą, wyrównaną walką. Mimo przewagi liczebnej Mexików, zgodnie z ich zwyczajem, bitwa szybko zaczęła przeradzać się w arenę osobistych pojedynków, a nie plac zmagania zwartych oddziałów. Wojownicy z zakonów Jaguara i Orła krążyli po polu niczym prawdziwi drapieżnicy, wyszukując najbardziej godnych siebie oponentów, z którymi mogli skrzyżować broń.

Tlahuicole szybko stracił kontrolę nad przebiegiem starcia. Walcząc

w pierwszym szeregu nie mógł w żaden sposób dowodzić oddziałami, ale nie czuł takiej potrzeby. Znał swoich ludzi, ufał ich wyszkoleniu i determinacji. Los bitwy nie leżał już w jego rękach. Jedyne, co mógł jeszcze zrobić, to posłać do grobu tylu Mexików, ilu tylko zdoła.

Macuahuitl tańczył w dłoniach młodego wodza jak obdarzony własną wolą. Wgryzał się w piersi przeciwników, rozszarpywał gardła, miażdżył obojczyki i wypruwał wnętrzności. Wkrótce kolorowe farby pokrywające ciało Tlahuicole zniknęły przykryte monotonną czerwienią krwi, należącej zarówno do niego, jak i do wrogów. U stóp władcy zalegał wciąż powiększający się stos ciał.

W pewnym momencie tlatoani zauważyli, że ze wszystkich stron otacza go morze wrogiej armii. Nie spostrzegł, kiedy został odcięty od swoich wojsk. Mexikowie stworzyli dookoła niego szeroki krąg, a na ich twarzach malowała się mieszanina nienawiści i zachwytu. Widząc kunszt wojenny Tlahuicole, każdy z nich pragnął pokonać go i przyprowadzić kapłanom, zyskując nieśmiertelną chwałę.

Tlaxcaltek splunął gęstą śliną wymieszaną z krwią i gestem dłoni zaprosił kolejnego przeciwnika. Na spotkanie wyskoczył mu ogromny Mexik odziany w cętkowaną skórę jaguara. Ciosy wymierzane przez jego macuahuitl były szybkie i piekielnie silne, ale każdy z nich łatwo było odczytać przez niemalże teatralne ruchy wojownika. Jaguar popisywał się umiejętnościami. Jego największą słabością był jednak fakt, że nie chciał zabić przeciwnika, lecz jedynie zranić go i schwytać żywcem.

Tlahuicole nie miał podobnych oporów.

Udał, że poślizgnął się na pokrywającym ziemię krwawym błocie, i pozostawił na chwilę wysuniętą do przodu nogę. Zgodnie z przewidywaniami Mexik natychmiast spróbował ją zaatakować. Młody wódz w ostatniej chwili cofnął się, a obsydianowe ostrze o grubość palca minęło jego kończynę. Następnie, nim wróg zdążył wrócić do obrony, potężnym ciosem macuahuitla rozłupał głowę Jaguara. Wśród otaczających go wrogów rozległy się głośnie wiwaty.

Nie zdążył nawet odetchnąć, gdy skoczył ku niemu kolejny wojownik, tym razem przedstawiciel zakonu Orła. Wymieniając z nim ciosy, Tlahuicole kątem oka zauważył poruszenie za swoimi plecami. Nim zdążył zareagować, poczuł rozdzierający ból w lewej łydce. Odwrócił głowę, by zobaczyć młodego Mexika dzierżącego ociekającą krwią włócznię. Uderzenie serca później głowa chłopaka potoczyła się po ziemi, ścięta przez wykrzywionego z wściekłości Orła.

Zraniona noga ugięła się pod wodzem Tlaxcalteków. Tlahuicole padł na ziemię, lecz nie zamierzał się poddawać. Używając broni niczym laski, zdołał podnieść się i przyklęknąć na zdrowej kończynie. Jego oczy natrafiły na pełne uznania spojrzenie przeciwnika. Tlahuicole skinął mu lekko głową, a potem niezdarnie zaatakował. W tej pozycji nie mógł

jednak skutecznie walczyć. Wojownik Orła bez trudu zbił jego cios na bok, a następnie obrócił macuahuitl w dłoni i potężnym uderzeniem tępej strony broni trafił go w bok głowy.

W jednej chwili nastąpiła ciemność i Tlahuicole padł bezwładnie na ziemię. Nie wiedział, że był ostatnim Tlaxcaltekiem wciąż walczącym na polu bitwy.



Jeszcze w trakcie walki Mexikowie zaczęli składać pierwsze ofiary z serc pojmanych wrogów. Początkowo miały przeważać losy starcia, potem stanowiły dziękczynienie za jego przebieg. Rytuały te stanowiły jednak tylko preludium losu, który miał stać się udziałem jeńców.

Powiązali ich sznurami w długie kolumny i pognali w stronę Tenochtitlánu, plugawego serca imperium Montezumy. Tych, którzy nie mogli iść o własnych siłach, tak jak Tlahuicole, nieśli na swoich barkach mniej ranni pobratymcy. Wojownicy Mexików szli z obu stron, pyszniąc się zwycięstwem i szydząc z pokonanych wrogów. Dotkliwymi razami popędzali ociągających się, a wszelkie próby ucieczki brutalnie karali.

Większość więźniów po całym dniu marszu nie mogła liczyć na więcej niż kawałek kukurydzianego placka i łyk wody. Nieco lepiej traktowani byli ci, którzy w trakcie walki wykazali się męstwem i umiejętnościami. Największe względy okazywano Tlahuicole. Wojownik z zakonu Orła, który podczas bitwy powalił młodego wodza, teraz nie odstępował go na krok. Sam pobieżnie opatrzył mu rany. Dzielił się z nim nawet jadłem z własnej miski. Przechwalał się też przed innymi Mexikami, pozwalając im oglądać swojego jeńca, i rósł z dumy, słysząc ich pełne podziwu i zazdrości słowa.

Tlahuicole początkowo przeklinał w duchu swojego opiekuna. Przez jego ciągłą obecność nie miał szans na nawiązanie kontaktu z resztą jeńców. W przejawie naiwnej dumy nie chciał niczego od niego brać, w końcu jednak głód zmusił Tlaxcalteka do ustępstwa. A wraz z pełnym brzuchem przyszła jasność umysłu, której wcześniej mu brakowało.

Rozmowy z innymi nie miały sensu, i tak nie byli w stanie niczego zdziałać. Los wziętych do niewoli wojowników był już przesądzony, jedyne, co im pozostało, to przyjąć śmierć z godnością.

Następnego dnia Tlahuicole spróbował oszacować liczbę wziętych przez Mexików jeńców, lecz nie potrafił ich zliczyć, bo kolumny ciągnęły się daleko zarówno w przód, jak i do tyłu. Był jednak pewien, że do niewoli dostały się setki, może nawet tysiące Tlaxcalteków. Poczł, jak na jego sercu zaciska się lodowata dłoń, ale zdławił to uczucie i odsunął

od siebie poczucie winy.

Dobrze się stało. Taka liczba jeńców powinna zaspokoić krwawy apetyt Mexików na długo. Dość długo, by przetrwać do powrotu Quetzalcoatl. Miasto zostało ocalone.



W końcu przybyli do Tenochtitlánu. Kolumnę jeńców poprowadzono szeroką groblą, prowadzącą do położonego na jeziorze miasta. Na widok powracającej armii na ulice wyszła większość ludności stolicy. Gońcy już wcześniej przynieśli wieści o losach bitwy, dlatego też mieszkańcy czekali ze śpiewem na ustach i girlandami kwiatów w dłoniach.

Zaraz po wkroczeniu do miasta Mexikowie zajęli się sprawnym dzieleniem więźniów i rozsyłaniem ich do poszczególnych calpulli, siedzib najważniejszych rodów i klanów, gdzie czekały już przygotowane dla nich klatki. Tlahuicole z ciężkim sercem obserwował, jak na czele jednej z grup dumnie maszeruje stary Ichtaca.

Wódz Tlaxcalteków ponownie został rozdzielony ze swoim ludem. Wojownik Orła poprowadził go ulicami miasta do swojego domu, położonego w najlepszej dzielnicy. Mijani przez nich ludzie zatrzymywali się, by podziwiać wspaniałego jeńca i obsypywać komplementami zarówno więźnia, jak i człowieka, który go schwytał.

Domostwo, do którego przybyli, było w istocie niewielkim pałacem. Gospodarz przekazał jeńca służbie, która zabrała go do łaźni. Po kąpieli oczyścili i opatrzyli mu rany. Następnie namaścili skórę olejkami i ubrali go w miękką bawełnę. Tak przygotowanego młodzieńca poprowadzili do głównej sali domostwa.

Na miejscu oczekiwała uczta. Stół zastawiono półmiskami pełnymi pieczonego drobiu, ryb i węży, a także warzyw, słodkich owoców i smażonych mrówek. Zgromadzili się przy nim wszyscy domownicy, nikt jednak nie jadł, wyraźnie oczekiwali na jeńca. Posadzili go po prawicy głowy domu. Wojownik wciąż ubrany był w swój pyszny płaszcz z ptasich piór, chociaż rzeźbiony na kształt orleja głowę hełm zastąpił wysadzaną klejnotami przepaską.

– Witaj w moim domu, o wielki Tlahuicole! – powitał go ciepło mężczyzna. – Nazywam się Ocotlan i mam zaszczyt być twoim gospodarzem tak długo, aż wezwą cię bogowie. Przygotowaliśmy na twoją cześć skromną kolację. To zapewne licha namiastka wygód, do jakich jesteś przyzwyczajony, mam jednak nadzieję, że nie odbierzesz tego jako zniewagi. Wieści o zwycięstwie dopiero niedawno dotarły do tego domu i moja rodzina nie zdążyła odpowiednio się przygotować.

Tlaxcaltek zmierzył rozmówcę uważnym spojrzeniem. Nie dostrzegł na jego twarzy kpiny ani szyderstwa, wojownik najwyraźniej mówił szczerze. Skinął mu głową.

– Nie interesuje mnie wola twoich bogów – powiedział spokojnie. – Ale rad jestem przyjąć twoją gościnę. Wykazałeś, że jesteś wielkim wojownikiem, i przebywanie w twoim domu byłoby zaszczytem dla każdego.

Słyszając pierwsze słowa gościa, Ocotlan zacisnął wściekle usta, ale dalsza wypowiedź zmieniła jego nastawienie. Wyprostował się, uśmiechnął szeroko i rzucił domownikom pełne dumy spojrzenie. A potem klasnął głośno i roześmiał się. Uczta została rozpoczęta.



Tlahuicole spędził następne dni w domostwie Ocotlana. Chociaż pozostawał jeńcem i nie miał prawa opuszczać budynku, traktowano go raczej jak honorowego gościa. Otrzymał własną komnatę i służącego do wyłącznej dyspozycji, a o zmroku jadał razem z domownikami wystawne kolacje, na których gościli miejscy dostojnicy. Reszta dni upływała mu na samotnych rozważaniach, czasem przerywanych rozmowami z Ocotlanem. I chociaż czuł się źle ze świadomością, że mieszka wśród luksusów, gdy jego ludzie giną na ofiarnych stołach, musiał szczerze przyznać, że powoli zaczynał darzyć sympatią gospodarza i jego rodzinę.

Piątego dnia pobytu w Tenochtitłanie Ocotlan wezwał jeńca na rozmowę. Mexik był wyraźnie podekscytowany. Gdy tylko zobaczył Tlahuicole, podniósł się z siedzenia, a jego twarz zdawała się promienieć.

– Szlachetny Tlahuicole! – zawołał. – Radosny to dzień. Obu nas spotkał ogromny zaszczyt. Oto przed chwilą przybył posłaniec z pałacu samego tlatoani, przynosząc fantastyczne wieści. Wspaniały Montezuma przybędzie dzisiejszego wieczoru, aby się z tobą spotkać.

Tlaxcaltek zamarł, słysząc słowa gospodarza.

– A czegoż to może chcieć ode mnie wielki Montezuma? – spytał ostrożnie.

– Tego, co wszyscy inni, oczywiście. Z pewnością zamierza złożyć ci wyrazy szacunku. – Usta Ocotlana rozjaśniał szczerzy uśmiech, lecz Tlahuicole wyraźnie wyczuwał, że mężczyzna nie mówi mu wszystkiego.

– Niech więc i tak będzie – powiedział. – Pozwól, że cię zostawię. Z pewnością masz wiele spraw do dopilnowania przed przybyciem



tlatoani.

– W istocie – zgodził się Mexik. – Zobaczymy się wieczorem.

Popołudnie w domu Ocotlana upłynęło na gorączkowej bieganinie i rozpaczliwych przygotowaniach. Słudzy uwijali się jak w ukropie, szykując mieszkanie na przybycie władcy. Kiedy jednak słońce zaszło, a na zewnątrz rozległa się muzyka towarzysząca świcie Montezumy, efekt ich pracy był oszałamiający. Na wierzch wydobyto wszelkie kosztowności i skarby, jakie Ocotlan i jego rodzina zgromadzili przez pokolenia. Ściany wprost lśniły od złota i klejnotów, a wszystkie podłogi wyścielały miękkie dywany. Honorowe miejsce w głównej sali przyozdobiono szeregiem zdobytych na wrogach tarcz oraz proporców przedstawiających dzikie zwierzęta.

Montezumie towarzyszył tuzin służących. Czterech rosłych mężczyzn o natartych olejem mięśniach, niczym wykutych z kamienia, trzymało nad władcą baldachim. Pozostali zamiatali drogę, którą miał kroczyć, i wyścielali ją kolorowymi płaszczami, a także grą na bębnach i fujarkach ogłaszali mieszkańcom miasta, że ich ulicami kroczy właśnie tlatoani. Prócz służby przybył także oddział strażników, złożony z najlepszych wojowników z zakonów Jaguara i Orła, uzbrojonych w złowieszcze macuahuitle oraz włócznie.

Zostawiwszy parawan i służbę na zewnątrz, Montezuma wkroczył pewnie do domostwa Ocotlana. Był dojrzałym mężczyzną, który przekroczył już pięćdziesiąty rok życia, o poważnej, dumnej twarzy. Kruczoczarne niegdyś włosy, ozdobione fantastyczną koroną ze złota i turkusów, gęsto przetykały pasma siwizny. Ze złota wykonano także zwisające z jego uszu kolczyki w kształcie dysków, przetyczkę w wardze, pierścienie na palcach i medalion na szyi. Na ramiona narzucony miał płaszcz z piór kwezala.

Wszyscy domownicy skłonili się głęboko na widok władcy.

– Tlatoani – przemówił ubrany w swoje najlepsze szaty Ocotlan – twoje przybycie zaszczyca i przepelnia radością nasze serca. Mój dom jest twoim domem, moja rodzina twoją rodziną, a mój majątek twoim majątkiem. Rozporządzaj nimi wedle własnej woli.

– Zaszczycem jest gościć u tak wielkiego wojownika, cny Ocotlanie – powiedział łagodnie Montezuma. – Zaiste żadne imperium świata nie jest w stanie mierzyć się z Tenochtitlánem, w którego imieniu walczą tak wspaniali mężowie! Nie oparł im się nawet dumny lud Tlaxcali, którego władcę widzę stojącego u twojego boku niczym krewniaka. Bądź pozdrowiony, szlachetny Tlahuicole. Czy uczynisz mi tę przyjemność i nim rozpocznie się uczta, raczysz rozmówić się ze mną na osobności?

– Z przyjemnością, tlatoani – odpowiedział Tlaxcaltek, skłaniając sztywno głowę.

Udali się do odosobnionej komnaty, w której nikt nie mógł im

przeszkadzać.

– Czym mogę ci służyć, o wielki Montezumo? – zapytał Tlahuicole.

– Odkąd tylko moje wojska wróciły do miasta, nieustannie słyszę o twoim wyczynie, dzielny Tlahuicole – powiedział Montezuma, wbijając w rozmówcę przenikliwe spojrzenie. – Początkowo słyszałem, że powaliłeś tuzin wojowników, zanim zostałeś zdradziecko raniony. Z każdym kolejnym dniem liczby rosły. Dzisiejszego ranka jeden z moich dowódców zapewniał, że na własne oczy widział, jak porąbałeś na kawałki pięćdziesięciu moich ludzi, sam będąc przy tym naszpikowanym strzałami i przebitym dwoma włóczniami. Gdy spytałem go, dlaczego sam się z tobą nie zmierzył, odparł, że niestety, był zbyt daleko i pokonano cię, zanim zdołał dobiec. – Montezuma roześmiał się serdecznie.

Tlahuicole milczał, widząc, że mexykański władca jeszcze nie skończył. Po chwili mężczyzna podjął wątek:

– I chociaż dobrze znam ludzką skłonność do przesady, to pewne jest, że dowiodłeś swojej wartości jako jeden z największych wojowników, jakich nosiła ziemia. Chociażby z tego tylko powodu godzien jesteś, abym przyszedł złożyć ci wyrazy szacunku. Ale to nie wszystko. Wykazałeś się nie tylko jako wojownik, ale i jako zdolny dowódca. Niektórzy powiedzą, że kryjąc się wśród drzew i zasypując moich ludzi strzałami, zachowałeś się jak tchórz. Ja widzę w tym spryt. W istocie, spryt i zdolności, które szkoda byłoby zaprzepaścić, składając cię w ofierze. Nadchodzą ciężkie czasy, w których nasza ziemia potrzebować będzie młodzieńców takich jak ty. Oto moja propozycja, szlachetny Tlahuicole. Ukorz się, a daruję ci życie i mianuję dowódcą moich wojsk.

– Mówisz poważnie? – Szok wywołany słowami Montezumy sprawił, że młody wódz zapomniał o etykiecie.

– Reprezentuję sobą majestat Tenochtitlánu, chłopcze – przemówił ostro władca Meksyków. – Nie zwykłem żartować.

– A jednak, jeżeli twoje słowa nie są okrutnym żartem, muszą być przejawem głupoty – przemówił Tlahuicole z gardłem ściśniętym gniewem. – Bo jedynie głupiec mógłby pomyśleć, że będę ci służyć po tym, gdy posłałeś mój lud na krwawą rzeź!

– Ja ich posłałem?! To tyś ich na to skazał! – wykrzyknął czerwony na twarzy Montezuma. – Twoja arogancja, buta i ślepotą kazały ci rzucić mi wyzwanie w imię przestarzałych zasad wygnanego boga!

– Przestarzałych? O nie, Montezumo. My po prostu wróciliśmy do prawdziwych nauk Quetzalcoatl, którego brzydzą barbarzyńskie ofiary z ludzkiej krwi. Przypomnieliśmy sobie o wierze naszych przodków i dobrze wiesz, dlaczego to uczyniliśmy. Uchodzisz za mędrca, więc równie dobrze jak ja musiałeś odczytać znaki. Widziałeś gorejącą

gwiazdę, która nawet za dnia widnieje na niebie. Widziałeś słup ognia szalejący nocami na wschodzie. Świątynię waszego przeklętego boga strawiły płomienie, a ulice miasta zalały fale jeziora. Nadchodzi pierwszy rok trzciny, a wraz z nim powróci Quetzalcoatl, zetrze Tenochtitlán z powierzchni ziemi i skończy waszą bluźnierczą tyranię!

– To nie będzie pierwszy raz, gdy Quetzalcoatl miał powrócić – wyszeptał poblady nagle wódz Mexików. – Jego przybycie wróżyło za panowania mojego dziada i wcześniej, za panowania jego ojca. I także wtedy podobni do ciebie głupcy nadaremnie wyczekiwali powrotu swojego boga. Tak samo będzie i tym razem.

– Powtarzaj sobie te słowa tyle razy, ile chcesz, Montezumo, lecz nie zdołasz odmienić prawdy. Nie zdołasz zapomnieć o znakach, które widziałeś. Quetzalcoatl powróci, a ja żałuję tylko, że nie pożyję dość długo, żeby zobaczyć, jak miażdży twoje imperium.

– W istocie, nie pożyjesz zbyt długo – warknął Mexik. – Gardzisz moją przyjaźnią i rzucasz mi w twarz obelgi, gdy przyszedłem do ciebie z otwartymi ramionami i obietnicą zaszczytów. Zgodnie z twoją wolą zostaniesz złożony w ofierze, która cię tak brzydzi. Szkoda jednak oddawać kapłanom na rzeź, niczym zwierzę, kogoś o twoich umiejętnościach. Nie zginiesz na ołtarzu wieńczącym piramidę Huitzilopochtliego. Mam dla ciebie inny los. Zbliży się uroczystość ku czci Xipe Toteca. Zginiesz na Kamieniu Wojowników, a twoja krew nakarmi ziemię, zapewniając dostatek Mexikom, których tak znienawidziłeś.



Tlahuicole wciąż pozostawał gościem honorowym, lecz po wizycie Montezumy zniknęła serdeczność, z jaką traktowali go domownicy. Pogłoski o zniewadze, której dopuścił się względem tlatoani Tenochtitlánu, rozeszły się po mieście z prędkością wystrzelonej strzały. Początkowo Ocotlan szalał, bowiem cały jego dom stał się obiektem jadowitych plotek. Wkrótce jednak przedstawiciele wszystkich najważniejszych rodów zaczęli zabiegać o jego względy. Każdy z nich pragnął zostać zaproszony na wieczorną ucztę i na własne oczy zobaczyć dumnego Tlaxcalteka, który rzucił wyzwanie władcy Mexików.

W wieczór poprzedzający ceremonię Ocotlan przyszedł do komnaty Tlahuicole, po raz pierwszy, odkąd jeniec zamieszkał w jego domu. Przyniósł ze sobą butelkę octli, alkoholu pędzonego z agawy.

– Myślałem, że wy, Mexikowie, wystrzegacie się trunków – powiedział zdziwiony Tlahuicole, gdy gospodarz podał mu pełny kubek.

– Niektórzy mogą pozwolić sobie na nieco więcej – odparł uśmiechnięty Ocotlan. – Zwłaszcza bohaterowie i wybrańcy poświęceni bogom. Przynajmniej tak długo, jak znają umiar.

Tlaxcaltek skinął głową i upił łyk octli. Lekko musujący napój miał gorzki, ostry smak i przyjemnie rozgrzewał gardło. Przez chwilę obaj mężczyźni rozkoszowali się trunkiem.

– Cieszę się, że dane mi było cię poznać – odezwał się w końcu Ocotlan. – Wiem, że widzisz we mnie wroga i gardzisz naszymi zwyczajami, ale szanuję cię jako człowieka i jako wojownika. Żałuję jedynie, że nie urodziłeś się Mexikiem, bo wtedy moglibyśmy być braćmi.

– Nie ty jesteś moim wrogiem – odpowiedział Tlahuicole. – Moimi wrogami są wasi bogowie, wasi kapłani i wasz władca. Reszta Mexików to tylko ofiary ich zaślepienia.

Ponownie zapadła cisza. Atmosferę pomiędzy mężczyznami wypełniał pewien specyficzny rodzaj napięcia, pozbawiony jakiegokolwiek agresji czy wrogości. Zamiast tego obecne w nim były wzajemne zrozumienie i pogodzenie z nieuchronnym losem.

– Nie próbuj jutro ze mną walczyć – powiedział bez przekonania Tlahuicole.

– Nawet tak nie żartuj! – Ocotlan parsknął śmiechem. – To ja cię pochwyliłem i to mnie przypadnie zaszczyt zmierzenia się z tobą na oczach całego miasta. Zadam ci setkę ran, żeby spuścić z ciebie całą krew, a na końcu dobiję cię jednym ciosem. Potem kapłani obedną cię ze skóry i zrobią z niej płaszcz, który będę nosił przez trzydzieści dni.

Wódz Tlaxcalteków uśmiechnął się smutno.

– Zabiję cię – powiedział tylko.

– Jeśli taka będzie wola bogów. – Mexik wzruszył ramionami. – To będzie dobra śmierć, najlepsza, jaką mógłbym sobie wymarzyć. Dzięki niej nie zgniję w ziemi, lecz mój duch uleci ku niebiosom, po których będzie kroczył razem ze słońcem.

– Bogowie nie będą mieli tu nic do rzeczy – przemówił Tlahuicole. – Będziemy tylko my.

Ocotlan ponownie wzruszył ramionami i dolał octli do kubków, które zdążyli już opróżnić.

– To dopiero jutro. Na razie mamy na głowie pilniejsze sprawy. Takie jak niemal pełna butelka.



Rankiem przybyli przysłani przez kapłanów słudzy. Zaprowadzili

Tlahuicole do świątyni, gdzie natychmiast zajęli się przygotowaniami do uroczystości. Wykąpali go i ścięli mu włosy, a jego ciało nasmarowali białą gliną. Za jedyne odzienie dostał przepaskę biodrową.

Wręczono mu broń, którą miał walczyć podczas ceremonii. Rzeźbiony drewniany trzon macuahuitla wyglądał solidnie, jednak zamiast obsydianowych ostrzy zamocowano w nim ptasie pióra. Ponury żart kapłanów, którzy udawali, że rozegra się uczciwa walka.

Gdy przygotowania dobiegły końca, Tlahuicole wraz ze sługami opuścił świątynię. Powitał go ogłuszający ryk wielotysięcznego tłumu. Na placu i specjalnie zbudowanych w tym celu wzniesieniach zebrała się większość mieszkańców miasta. Chociaż wyłożony kamieniami teren był rozległy, nie wszyscy zdołali się na nim zmieścić. Ci, dla których zabrakło miejsca, rozsiadali się na schodach otaczających plac piramid zwieńczonych świątyniami.

Tlahuicole ruszył przed siebie, prowadzony przez sługi. Przed nimi szedł kolorowy korowód tancerzy w maskach, którzy podskakiwali i płąsali w rytm szalonej muzyki wygrywanej na bębnach i fletach. Kierowali się w stronę centrum placu, gdzie tłum pozostawił wolną przestrzeń.

Tancerze rozbiegli się na boki, tworząc pozostający w ciągłym ruchu krąg. W jego wnętrzu znajdował się ogromny kamienny dysk, liczący trzysta stóp średnicy i wznoszący się na trzy stopy ponad poziom placu. Temalacatl, Kamień Wojowników. To na nim Tlahuicole miał wydać ostatni dech.

Gdy słudzy przyprowadzili go bliżej, dostrzegł, że cała powierzchnia dysku pokryta jest misternymi rzeźbieniami. Te na krawędzi przedstawiały sceny z licznych pól bitew, na których niezmiennie triumfowali Mexikowie, podporządkowując sobie inne ludy. Szczyt kamienia ozdobił ogromny wizerunek słońca.

Kazali mu wejść na dysk, po czym jeden ze służących obwiązał go w pasie grubą liną, której drugi koniec zamocowano do otworu wydrążonego w środku kamienia. Długość sznura była dokładnie odmierzona, tak, aby mógł podejść do krawędzi temalacatla, lecz nie mógł z niego zejść.

Tlahuicole z odrazą spostrzegł, że powierzchnia dysku jest już pokryta lepką posoką. Nie był pierwszą ofiarą tego dnia. Poczul irracjonalne ukłucie zawodu. Chociaż brzydził się całym rytuałem, to schlebiała mu myśl, że wszystko to zorganizowano przez wzgląd na niego, i rozczarowała go świadomość, że był tylko jednym z punktów programu.

Uniósł wzrok. Ze wzniesienia mógł objąć spojrzeniem cały tłum. Mexikowie nie szczędzili zbytku na uroczystości. Każdy z nich założył odświętne szaty. Tlahuicole ujrzał falujące morze wymalowanych

twarży, kolorowych piór, złota i klejnotów.

Na wprost niego, na rzeźbionym tronie osłoniętym baldachimem, zasiadał Montezuma, otoczony przez najwyższych kapłanów odzianych w pyszne stroje i maski, odgrywających tego dnia role bogów, którym służyli. Tlatoani Meksików pochwycił spojrzenie jeńca i wykrzywił wargi w drwiącym grymasie. Uniósł niedbale dłoń, a muzyka i okrzyki natychmiast ucichły.

– Niechaj wystąpi śmiałek, który gotów jest napoić krwią spragnioną ziemię! – zawołał mocnym głosem.

Tłum zafalował, przepuszczając wojownika. Gdy Ocotlan wyszedł na wolną przestrzeń, widzowie zaczęli wiwatować i skandować jego imię, a muzyka zabrzmiała ponownie, jeszcze głośniejsza i bardziej szalona niż wcześniej.

Mexik miał na sobie strój w całości pokryty orlimi piórami, a jego głowę zdobił rzeźbiony hełm przedstawiający głowę drapieżnego ptaka. W jednej dłoni ścisnął najeżony obsydianem macuahuitl, w drugiej tarczę.

Wojownik uniósł broń nad głowę, rzucając wyzwanie przeciwnikowi. Tlahuicole odpowiedział tym samym. Ocotlan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i ruszył do przodu. Nie pobiegł prosto w stronę dysku, na którym stał jego przeciwnik. Zamiast tego zaczął krążyć dookoła, poruszając się zgodnie z wybijanym przez bębny rytmem. Jego ruchy bardziej przypominały rytualny taniec niż przygotowanie do walki. Wojownik podskakiwał i przypadał do ziemi, uderzał bronią o tarczę i wydawał bojowe okrzyki. Nieustannie jednak zbliżał się do platformy, krążąc po zacieśniającej się spirali. Tłum nagradzał jego popisy owacjami.

Tlahuicole czekał w samym centrum dysku. Mógł stanąć na krawędzi i wykorzystać przeciwko Ocotlanowi przewagę wysokości, lecz chciał dać mu równe szanse. Na tyle równe, na ile mogły to zapewnić różnice w uzbrojeniu. Ten drobny gest sprawiał, że nawet mimo panujących okoliczności wódz Tlaxcalteków czuł się lepszy od otaczających go Meksików.

Ocotlan w końcu dotarł do temalacatla i dostał się na niego jednym pewnym skokiem. Spojrzał na Tlahuicole z uśmiechem, lecz nic nie powiedział, skinął mu tylko głową, po czym runął do ataku.

Mexik był wyśmienitym wojownikiem. Szybki i silny, uderzał z zabójczą precyzją, nie wykonując zbyt wielu zbędnych ruchów, które pozwoliłyby na kontratak. Od pierwszych ciosów zmusił Tlaxcalteka do rozpaczliwej obrony. Na polu bitwy Tlahuicole bez trudu wydałby mu wyrównany pojedynek, teraz jednak, bez tarczy i jedynie z pałką z nastroszonymi piórami, mógł skupić się tylko na parowaniu ataków przeciwnika i oczekiwaniu na jakiś błąd. Do tego wciąż doskwierała mu

raniona podczas bitwy noga.

Ocotlan, gdyby tylko chciał, najprawdopodobniej mógłby szybko skończyć tę walkę, ale jego celem nie było jedynie zabicie przeciwnika. Musiał dać popis umiejętności, zapewniając widowisko zarówno widzom, jak i bogom.

Tlahuicole warknął wściekle, gdy pierwszy raz nie zdążył odbić wrogiego macuahuitla i obsydianowe ostrze przecięło skórę na jego ramieniu. Tłum zawył na widok pierwszych kropli krwi na tle białej glinki. Ocotlan rzucił przeciwnikowi pełne triumfu spojrzenie i zaatakował ponownie.

Nierówna walka zdawała się trwać wieczność. Tlahuicole krwawił już z tuzina drobnych ran i dyszał ciężko, lecz nie tracił jasności umysłu. W końcu zaczynał uczyć się ruchów przeciwnika. Gdy Ocotlan atakował z lewej strony, cały czas osłaniał się tarczą, czasem jednak praca nóg o ułamek uderzenia serca nie nadążała za resztą ciała, odsłaniając go na krótką chwilę. Kiedy następnym razem Mexik zaatakował w ten sposób, Tlahuicole, zamiast tak jak dotychczas zablokować cios pałką, wykonał ryzykowny unik, pozwalając broni przeciwnika przemknąć tuż przed swoją pierśią. Następnie błyskawicznie uderzył, precyzyjnie znajdując upatrzoną wcześniej lukę w obronie. Ozdobiona piórami broń trafiła z impetem w żołądek wojownika, wybijając z niego oddech.

Ocotlan, zupełnie zaskoczony, zgiął się z bólu. Tłum wydał stłumiony okrzyk zdumienia. Tlahuicole nie zamierzał tracić szansy, która mogła już się nie powtórzyć. Od razu przeszedł do ataku, nie dając przeciwnikowi czasu na dojdęcie do siebie. Uderzał z całej siły, raz za razem, spychając Ocotlana do obrony. Ten zdołał zasłaniać się tarczą, lecz błyskawiczne ciosy nie zostawiały mu wiele miejsca na kontratak.

W pewnym momencie Mexik uniósł tarczę zbyt późno, a potężny cios pałki Tlahuicole trafił go prosto w głowę, zrywając z niej orli hełm, który poleciał w stronę tłumu. Ocotlan zachwiał się i upadł na kolana. Spojrzał na Tlaxcalteka, a w jego wzroku po raz pierwszy pojawił się strach. Tlahuicole nie zamierzał jednak okazywać przeciwnikowi żadnej litości. Sympatia, którą do niego żywił, uleciała, gdy pierwszy raz skrzyżowali broń. Resztki spokoju Tlaxcalteka zagłuszała krew dudniąca w uszach do rytmu mexykańskich bębnow.

Skoczył do ataku. Jednym ruchem zbił niegroźny atak oszołomionego Ocotlana, drugim odtrącił na bok jego tarczę. Wreszcie uchwycił pałkę w obie dłonie i uderzył w bok głowy przeciwnika.

Mexik padł na twarz, ogłuszony, ranny, lecz wciąż jeszcze żywy. Nie stracił także przytomności, próbował się podnieść. Tlahuicole nogą obrócił go na plecy. Stał nad dyszącym ciężko Ocotlanem i spojrzał mu prosto w oczy. Już nie widział w nich strachu, jedynie spokój człowieka pogodzonego ze swoim losem. Tlaxcaltek uniósł broń ku

niebu, krzyknął tak głośno, jak tylko potrafił, po czym z całej siły spuścił pałkę na głowę Ocotlana.

Potem następny raz, następny i następny, miarowo zmieniając twarz przeciwnika w pozbawioną jakichkolwiek rysów krwawą miazgę.

W końcu się opamiętał. Na placu panowała głucha cisza. Tlahuicole powiódł rozognionym spojrzeniem po zgromadzonych Mexikach, po czym uniósł wysoko nad głowę pałkę ociekającą mieszaniną krwi, skrawków mózgu i drobnych odłamków czaszki. Zawył dziko, a tłum odpowiedział mu pełnym ekstazy rykiem.

Montezuma powstał ze swojego tronu i natychmiast zapanowała cisza.

– Wspaniały popis umiejętności, który z pewnością ucieszył bogów! – zawołał donośnie i natychmiast znów rozległy się wiwaty. – Niechaj wystąpi kolejny śmiałek!

Z tłumu wyłonił się wojownik odziany w skórę jaguara. Podobnie jak wcześniej Ocotlan, nie ruszył prosto w stronę dysku, lecz rozpoczął taniec wojenny. Dzięki temu Tlahuicole miał czas, aby przygotować się do walki. Spojrzał na trzymaną w dłoni zakrwawioną pałkę, z której wciąż sterczało kilka połamanych piór, i odrzucił ją daleko od siebie. Zamiast niej podniósł macuahuitl i tarczę należące do Ocotlana.

Zbliżający się do temalacatla wojownik musiał zakładać, że Tlahuicole tak jak wcześniej będzie czekał na przeciwnika w centrum, bez zastanowienia bowiem rozpędził się i skoczył na szczyt dysku. Tlaxcaltek nie zamierzał jednak dawać mu żadnych szans. Podbiegł do krawędzi i uderzył, nim Jaguar zdążył się wyprostować. Zaskoczony wojownik nawet nie zareagował, gdy macuahuitl przeciął ze świstem powietrze i wgrzył się w jego szyję, płynnie oddzielając głowę od reszty ciała.

Okrzyki rozentuzjzmowanego tłumu wzniosły się pod niebo. Tlahuicole kopnięciem zrzucił zwłoki rywala z podwyższenia, nie zaszczycając ich nawet przelotnym spojrzeniem. Z wyszczerzonymi zębami oczekiwał następnego przeciwnika.

Kolejny z wojowników, ponownie z zakonu Orła, ruszył natychmiast po śmierci poprzednika. Świadom błędu, jaki popełnił przed chwilą Jaguar, zachowywał znacznie większą ostrożność. Niestety, stracił przez to przewagę, jaką zapewnić mogło zaskoczenie. Tlahuicole czekał na przeciwnika, stojąc przy krawędzi dysku, uniemożliwiając mu dostanie się na podwyższenie. Mexik mógł atakować jedynie nogi wroga, podczas gdy ten z łatwością sięgał jego głowy.

Wojownik Orła trzymał się na dystans, próbując taktyki polegającej na szybkich doskokach i atakach wymierzonych w odsłonięte łydki, po których natychmiast wycofywał się poza zasięg Tlaxcalteka. Pomysł ten początkowo zdawał się sprawdzać i na nogach Tlahuicole pojawiło się



kilka krwawiących ran, chociaż zdawały się one bardziej drażnić jeńca, niż zadawać mu ból.

W końcu jednak Mexik popełnił błąd. Źle wymierzony skok sprawił, że wykręcił stopę w kostce i wybił się z rytmu nieustannych ataków i uników. Tlahuicole nie mógł przepuścić takiej okazji. Nim Orzeł zdążył odzyskać równowagę, macuahuitl Tlaxcalteka spadł z impetem na jego głowę, rozłupując ją niczym dorodną dynię.

Tłum szalał z rozkoszy, skandując imię Tlahuicole. Młody Tlaxcaltek walczył jak artysta, ze śmiertelną gracją i precyzją pozbawiając życia kolejnych przeciwników. W oczach Mexików jawił się niczym personifikacja samego Huitzilopochtliego, boga-słońca i patrona wojowników. Najlepsi synowie Tenochtitlánu nie mogli stawić mu czoła. Nawet wzbudzający powszechny respekt wojownik walczący lewą ręką, przynoszący zgubę najwspanialszym szermierzom, poległ pod ciosami macuahuitla Tlahuicole.

Gdy padł ósmy z rywali Tlaxcalteka, na całym placu zapanowała cisza. Jeszcze nikt w długiej historii miasta nie zdołał pokonać tylu wojowników podczas ofiary na temalacatlu. Mexikowie, świadomi faktu, że są świadkami historycznego zdarzenia, wbili spojrzenia w jeńca.

Tlahuicole także był świadom doniosłości tej chwili. Wyczuł ją z pełnej napięcia atmosfery i skupienia malującego się na wpatrzonych w niego twarzach. Całe jego ciało pokrywała lepka czerwona skorupa, powstała z glinki wymieszanej z krwią, należącą zarówno do niego, jak i do wrogów. Jeszcze przed chwilą w oczach Mexików mógł przypominać Huitzilopochtliego, teraz jednak jawił się bardziej jak obdarty ze skóry Xipe Totec.

Wiedział, że musi wykorzystać tę wyjątkową chwilę, nim Montezuma wyśle przeciw niemu kolejnych przeciwników. Złapał za linę łączącą go z kamiennym dyskiem i przeciął ją jednym ciosem broni. Następnie zeskoczył z temalacatla i ruszył w stronę tronu władcy Mexików. Z każdym krokiem zdawał się odzyskiwać siły.

– Oto przedsmak losu, który cię czeka, Montezumo! Losu, który czeka was wszystkich! – zawołał ochrypłym głosem, który poniósł się po całym placu. – Oto zapowiedź końca przekłętego Tenochtitlánu! Tak jak żaden z waszych wojowników nie był w stanie się ze mną mierzyć, tak wasi obmierzli bogowie nie będą w stanie mierzyć się z powracającym Quetzalcoatlem!

Wielotysięczny tłum, który jeszcze niedawno ubóstwiał młodego wojownika, odwrócił się od niego w jednej chwili. Ci sami ludzie, którzy skandowali z zachwytem jego imię, teraz wykrzykiwali nienawistne obelgi. W kierunku Tlaxcalteka poleciały kamienie i owoce. Część z nich docierała do celu, Tlahuicole jednak, chociaż się chwiały, dalej szedł przed siebie.

– Jestem tym, który przynosi wam ostatnie ostrzeżenie! – krzyczał, chociaż jego słowa nikt nie słyszał. – Ukorzcie się! Nadchodzi pierwszy rok trzciny!

Montezuma, nagle pobladł na twarzy, wpatrywał się w osłupieniu w zbliżającego się młodzieńca. W końcu oprzytomniał, potrząsnął głową i spojrzał na stojącego w pobliżu dowódcę przybocznej gwardii.

– Zakończcie to szaleństwo! – warknął.

W powietrze pomknął tuzin ciśniętych przez wojowników włóczni. Tlahuicole zdołał zablokować kilka tarczą, część innych spudłowała, lecz jedna trafiła prosto w pierś. Kamienne ostrze przebiło go na wylot i rzuciło na plecy.

Młodzieniec odruchowo złapał za sterczące spomiędzy żeber drzewce, ale nie miał siły, by chociaż spróbować je wyszarpnąć. Otworzył usta, lecz zamiast słów wydobył się z nich jedynie strumień krwi. Utkwił spojrzenie w błękitnym niebie i na jego twarzy wykwitł blady uśmiech. Wysoko nad horyzontem płonęła jasna gwiazda, wyraźnie widoczna pomimo światła słońca.

Wciąż się uśmiechał, gdy pojawił się nad nim cień ze wzniesioną wysoko maczugą.



Wzburzone fale wściekle uderzały o burty, jednak rozkołysany pokład w niczym nie przeszkadzał mężczyźnie stojącemu na dziobie okrętu. Miesiące spędzone na otwartym morzu sprawiły, że bez trudu utrzymywał równowagę. Z całych sił zaciskał dłonie na trzymanej przy oku lunecie, za pomocą której wpatrywał się w widoczny na horyzoncie ciemny punkt. Jego wargi rozciągały się w pełnym zadowolenia uśmiechu.

Nagle drgnął, gdy gdzieś za nim rozległ się niespodziewany i zdumiewająco głośny atak kaszlu. Odwrócił się i spojrzał na zawstydzonego chłopca pokładowego.

– Wszystko z tobą w porządku, Miguel? – spytał z troską.

– Oczywiście! – zawołał majtek. – To nic takiego! Zwykłe przeziębienie, señor Cortés.

– To dobrze – odparł rażno konkwistador. – Nie chciałbym, żebyś przez taką błażostkę przegapił podbój nowego świata.



KONIEC



GLADIATORZY © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2020

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-630-2

WSZYSCY DLA JEDNEGO © Tomasz Kołodziejczak, 2019  
OSTATNI STRZAŁ STRACHU © Magdalena Kozak, 2020  
ARENA NALEŻY DO WAS! © Magdalena Ratajczak, 2020  
STULTI ET CIRCENSES © Bartek Biedrzycki, 2019  
IGRZYSKA HAŃBY © Eugeniusz Dębski, 2019  
GLADIATOR © Andrzej Pilipiuk, 2020  
OSTATNI © Michał Śmielak, 2020  
SOL INVICTUS © Michał Gołkowski, 2020  
CZEMPION © Wojciech Kowalski, 2020  
COLOSSEUM INFERNO © Marcin Podlewski, 2019  
AMULET © Janusz Płonka, 2020  
NAJWIĘKSZY BOHATER © Arkady Saulski, 2019  
MURMILLO Z KOŃCA ŚWIATA © Jarosław Grzędowicz, 2019  
ZAKŁAD © Aleksandra Staniewska, 2020  
OSTATNI RZYMIANIE © Michał Śmietana, 2020  
O LANCĘ ANDROMEDY © Krzysztof Abramowski, 2020  
NA ROZKAZ CEZARA © Maja Lidia Kossakowska, 2019  
GNIEZNO PIĘKNE JAK DZIŚ © Hubert Olkowski, 2020  
CYBERNEZIS © Wojciech Okrutny, 2020  
NA UBITEJ ZIEMI © Alicja Janusz, 2020  
HYMN PIERZASTEGO WĘŻA © Michał Puchalski, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski  
Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Piotr Cieślinski

ILUSTRACJE

Andrzej Łaski, Przemysław Truściński, Paweł Zaręba

PROJEKT OKŁADKI

Szymon Wójciak

REDAKCJA

Michał Cetnarowski, Dominika Repeczko, Mirosław Ruszkiewicz

KOREKTA

Magdalena Byrska, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



[swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)



Zamówienia hurtowe

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)

[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)



KOSSAKOWSKA • GRZĘDOWICZ  
• KOŁODZIEJCZAK • PIŁIPIUK •  
GOŁKOWSKI • SAULSKI  
• KOZAK • PODLEWSKI •  
DĘBSKI • BIEDRZYCKI

ORAZ ABRAMOWSKI  
• JANUSZ • KOWALSKI •  
OKRUTNY • OLKOWSKI  
• PŁONKA • PUCHALSKI •  
RATAJCZAK • STANIEWSKA  
• ŚMIELAK • ŚMIETANA



## MORITURI TE SALUTANT!

**Od skrwawionego piasku Koloseum  
przez śmiertelnie niebezpieczne zakątki Zony  
aż po inteligentne nawierzchnie kosmicznych aren przyszłości –  
odwieczne pozdrowienie gladiatorów rozbrzmiewać będzie  
wszędzie i zawsze.**

Uzbrojeni w elektryczne lance, broń kwantową, nóż czy gołe pięści.  
Odziani w zbroje wzmocnione medycznymi modułami albo w kawałek  
brudnej szmaty. Sprzedani, porwani, zmuszeni do walki lub wychodzący  
na arenę z własnej woli. Ludzie, anioły, roboty, bestie. Może ich różnić  
wszystko, ale zawsze łączyć będzie jedno – ich życie trwać będzie tyle,  
ile aplauz pijanej krwią widowni.

Patroni medialni

